

Jan Jachimowicz
 5649 LINFIELD AVE
 SAN-DIEGO
 CA 92120
 U.S.A.

II/1559/Ikonkurs

ZIELONY BRZEG BIALEG0 KRYMU

0009890

I

© ARCHIWUM WSCHOĐNIE

DRUSKIENIKI ! Maleńkie kurcyjne miasteczko, pięknie położone nad brzegem rzeki Niemen, otoczone gęstym lasem, szczyciło się w kraju mineralnymi wodami i czarnym błotem.

Błoto zawierające w sobie fosfory i inne składniki chemiczne ,miało wielkie powodzenie w leczeniu reumatyzmu i innych takich czy owakich dolegliwości .

Po lewej stronie głównego wejścia do parku z ulicy Józefa Piłsudskiego ,grupa ceglanych budynków z wielkim napisem "ŁAZIENKI" znana była nawet poza granicami Polski. W tych budynkach leczyli się kuracjusze siedząc zanurzeni po szyję w przygotowanym dla nich czarnym błocie.

Nie tylko chorzy ludzie odwiedzali to miasteczko.Ogrodzone wysokim płotem 'SŁONECZNE KĄPIELE' wabiły sportem ,wielkimi basenami tak młodzież jak i starszych ludzi.

'KASKADÓWKI' to miejsce gdzie woda Rotniczanki ujarzmiona budynkami, w których spadając z kilku metrów wysokości, orzeźwiała i masowała ciała, miała wielkie powodzenie u kobiet.

Jedna z naturalnych plaż w Druskienikach,wyspa na Niemnie sprawiedliwie podzielona drucianym płotem z Litwa,na która można było dostać się po długim drewnianym moście od polskiej strony, kusiła złotym ziarnistym piaskiem, wspaniałym miejscem do kąpieli w bieżącej wodzie rzeki Niemna i opalaniu się na słońcu.

Piękny park z symfoniczną orkiestrą,która grała codziennie podczas sezonu od południa,aż do wieczora, a potem wieśniacy po Litewskiej

Głośne cmokanie, krzyki dorożkarzy, swist batów powoli ucichły. Słychać było tylko głośne uderzenia końskich kopyt o bruk i echo odbijające się o drzewa otaczającego ich lasu.

Dopiero teraz kuracjusze oddychając głęboko powietrzem nasyconym aromatem sierków i kwiatów, zaczęli z ciekawością rozglądać się dookoła podziwiając piękno natury otaczające to małe miasteczko.

Po lewej stronie mijali lśniące w słońcu jezioro Druskonie i zaraz za nim ukazał się wspaniały kościół otoczony kasztanowymi drzewami. Skręcając w prawo z placu kościelnego, poza kilkoma ulicami wspaniałych willi, droga przechodząca przez nisko położony most nad Rotniczanką, wspinała się znowu w górę wychodząc na Poganke. Poganka, przedmieście Druskienik, miała tylko dwie krótkie ulice i znana była z częstego pobytu marszałka Józefa Piłsudskiego, który podczas swoich wakacji przebywał w Druskienikach i mieszkał w ostatnim domku na wysokim brzegu rzeki Niemen.

Bardzo często podczas wizyty marszałka, ludzie widzieli go siedzącego na drewnianej ławce, patrzącego na piękny widok rzeki i skromnej wioski po litewskiej stronie Niemna.

Druskieniki, które zimową porą razem z zającami skaczącymi po głównej ulicy Piłsudskiego niedaleko parku, nie mogło doliczyć się dwóch tysięcy mieszkańców, latem rosło do dwudziestu kilku tysięcy ludzi.

Na początku sezonu 1939 roku wydawało się niewystarczy pomieszczeń dla napływających do Druskienik ludzi. Wszystkie pokoje w willach były pozajmowane.

Gwar dorosłych, krzyki dzieci, wołania młodzieży, wypełniły lasy, park i plażę. Roześmiane twarze i gesty rozbawionych ludzi mówiły o dobrze spędzonych dniach wakacji.

Głośne cmokanie, krzyki dorożkarzy, swist batów powoli ucichły. Słychać było tylko głośne uderzenia końskich kopyt o bruk i echo odbijające się o drzewa otaczającego ich lasu.

Dopiero teraz kuracjusze oddychając głęboko powietrzem nasyconym aromatem śierków i kwiatów, zaczęli z ciekawością rozglądać się dookoła podziwiając piękno natury otaczające to małe miasteczko.

Po lewej stronie mijali lśniące w słońcu jezioro Druskonie i zaraz za nim ukazał się wspaniały kościół otoczony kasztanowymi drzewami. Skręcając w prawo z placu kościelnego, poza kilkoma ulicami wspaniałych willi, droga przechodząca przez nisko położony most nad Rotniczanką, wspinała się znowu w górę wychodząc na Poganke. Poganka, przedmieście Druskienik, miała tylko dwie krótkie ulice i znana była z częstego pobytu marszałka Józefa Piłsudskiego, który podczas swoich wakacji przebywał w Druskienikach i mieszkał w ostatnim domku na wysokim brzegu rzeki Niemen.

Bardzo często podczas wizyty marszałka, ludzie widzieli go siedzącego na drewnianej ławce, patrzącego na piękny widok rzeki i skromnej wioski po litewskiej stronie Niemna.

Druskieniki, które zimową porą razem z zającami skaczącymi po głównej ulicy Piłsudskiego niedaleko parku, nie mogło doliczyć się dwóch tysięcy mieszkańców, latem rosło do dwudziestu kilku tysięcy ludzi.

Na początku sezonu 1939 roku wydawało się niewystarczy pomieszczeń dla napływających do Druskienik ludzi. Wszystkie pokoje w willach były pozajmowane.

Gwar dorosłych, krzyki dzieci, wołania młodzieży, wypełniły lasy, park i plażę. Roześmiane twarze i gesty rozbawionych ludzi mówiły o dobrze spędzonych dniach wakacji.

I nagle spokojne to życie Polaków ukazujące się tak wyraźnie w tym małym miasteczku przerwane zostało brutalną siłą losu.

Adolf Hitler czarując swoją mową niemiecki naród zwrócił uwagę na Polskę i zarządził korytarza do Prus.

Minister Polski Józef Bek odpowiedział Hitlerowi, że Polska nie odda morza. Ze ten mały kawałek bałtyckiego wybrzeża (120) kilometrów z portem Gdynia, jest jedynym polskim okiem na świat i bez niego Polska nie może istnieć.

W Druskienikach gdzie tylko słychać było wystawione w oknach radio zbierali się ludzie i słuchali bieżących wiadomości z Warszawy, ale nikt nie przerywał wakacji

Po kilku ostrych wymian zdań i opinii pomiędzy państwami, w Polsce nastąpiła mobilizacja.

Kilka wagonów nie wystarczyło na tylu ludzi naraz opuszczających miasteczko. W wielkim pośpiechu warszawianie ładowali się do wagonów idących do Wilna a wilnianie do wagonów jadących do Warszawy.

Obładowane dorożki, i kilka miejskich taksówek wiozły śpieszących się ludzi bezpośrednio do Porzecza, z którego łatwiej było dostać się na pociągi idące bezpośrednio do Warszawy i odwrotnym kierunku do Wilna.

W kilka dni miasteczko zupełnie opustoszało. Nawet część stałych mieszkańców zniknęła nie wiadomo gdzie.

W całym kraju tak i w Druskienikach zaczęto przygotowywać się od wojny.

Sierżant Zuch z pobliskich koszar straży pogranicznej zorganizował młodych chłopców. Zabrał ich do lasu niedaleko jeziora i musztrował od rana do nocy

Kobiety zalepiały okna pasami wyciętymi z gazet, a starsi mężczyźni kopali doły na schrony.

Młodzi, zmobilizowani panowie, oblani łzami żon i matek odjechali do miejsc wyznaczonych im przez władze.

Zarząd miasta z burmistrzem na czele, po długich przemówieniach na placu kościelnym zebrał pieniądze na koszt wojny.

Kto co mógł to dawał na obronę ojczyzny, niektóre kobiety oddawały ślubne obrączki.

Tego samego wieczora radio Warszawa zostało zablokowane.

Wieczorowy komunikat przychodził zagłuszony, trudny do zrozumienia.

-Polska będzie się broniła- podawała Warszawa

-Marszałek Rydz Śmigły wyjechał-----głośny szum zablokował stację nie dając usłyszeć końca zdania.

-Prezydent Ignacy Mościcki stara się porozumieć z rządem angielskim i Francuskim.-----mocniejszy szum zablokował resztę wiadomości.

Tych kilka krótkich, uchwyconych zdań dodało otuchy.

-Mamy przyjaciół! Francje, Anglie. Jak ma być wojna to niech będzie! Jak trzeba się bić to będziemy się bili.- mówili ludzie jeden przez drugiego.

Znowu mineło kilka nerwowych dni. Podnieceni ze świącącymi się oczyma starzy jak młodzi krzatali się dookoła, przygotowując do wojny.

Nie brakło zapału, Każdy chciał coś robić, żeby tylko nie oddać polskiej ziemi Niemcom.

Nie brakowało bohaterów. Bolek Zawicki, którego ze względu na krótszą nogę nie przyjęli do wojska, zapisał się na żywa torpedę. Był on 49tym na liście i pod koniec tygodnia miał wyjechać do Gdyni.

Pierwszego września 1939 roku, jakiś starszy pan wybiegł na ulicę Józefa Piłsudskiego.

Wojna! Wojna! Niemcy zaatakowali nas! wojna!-krzyczał nerwowym głosem.

-Niemiecka piechota przekroczyła polską granicę, Niemieckie samoloty bombardują polskie miasta, wsie i drogi.-

Kilka kobiet uspokoiło staruszkę. Kto tylko mógł kręcił swoje radio starając się dostać jakieś wiadomości. Niestety przychodziły one ponure, przygnębiające, ciężkie, jak czarne chmury na niebie przed okropną burzą.

Niemiecka piechota zajęła Częstochowę. Niemcy trzema kolumnami niszcząc stawiany im opór, posuwali się w głąb polskiej ziemi.

Pomimo nieprzyjemnych wiadomości nikt w miasteczku nie tracił nadziei.

-To nic! Damy sobie jeszcze radę! Zobaczycie! Zobaczycie!-pocieszał jeden drugiego.

Przez często blokowane radio, trudno było dowiedzieć się co się dzieje na froncie.

Wiadomości jak polska kawaleria zaatakowała niemieckie czołgi, Westrplatte, polska fortyfikacja w Gdansku stawia Niemcom wielki opór, dodawały otuchy i nadziei.

Polskie radio Warszawa ostrzegało ludzi przed gromadzeniem się na ulicach. Niemieccy piloci ostrzeliwali stojących przed ambasadą angielską ludzi, raniąc i zabijając kobiety i dzieci.

Od początku wojny odczuwało się obecność "piątej kolumny" o której stale ostrzegano. Złe raporty, odcięte linie telefoniczne, rozrzucone wieczne pióra, zapalniczki, zegarki, naładowane materiałem wybuchowym były wynikiem ich roboty. Pokaleczyły one przeważnie dzieci.

Kilka takich pułapek dostało się do Druskienik. Jeden z chłopców stolarza Zawickiego stracił trzy palce u ręki.

Pomimo, że Niemcy omijając fortyfikację w Modlinie uderzyli prosto na Warszawę, była jeszcze wielka nadzieja że nowo formujące się oddziały wojska na wschodzie, zmienią oblicze wojny.

Niestety, nie było tak sądzone. Przyszadł czarny w historii narodów, dzień 17 września 1939 roku.

Rosyjskie wojska przekroczyły Polską granicę i uderzając niespodziewanie z tyłu sparaliżowały przygotowujące się do kontrataku polskie wojska.

Przez następnych kilka tygodni, w niektórych miejscach, wojsko polskie walczyło. Nie chcieli się poddać. Niektóre oddziały ukryły się w lasach, atakując niemieckie wojska z nienacka, wieczorami.

Kpiąc z innych narodów Niemcy z przyjacielem Rosją, podzielili Polskę pomiędzy siebie.

Tak jak po niemieckiej stronie tak i po rosyjskiej zaczęło się prześladowanie i niszczenie polskiego narodu.

Więcej niż dwa miliony Polaków, wysłali Rosjanie na Syberię. Niewielka ilość zdołała się uratować.

II

Szary, ponury, zimny poranek w Druskienikach oznajmił wczesną jesień. Po całonocnej ulewie kałuże na podwórkach i ulicach błyszcząły ciemno matowym kolorem wody.

Pokopane tak niedawno doły na schrony wypełniły się po same brzegi wodą. Czarne, ciężkie chmury, kłębiły się przygotowując na nową ulewę.

Janek Falkowski, szesnastoletni, wysoki jak na swój wiek, szczupły młodzieniec, zatrzymał się przy oknie. Na jego młodej twarzy widać było wielkie niezadowolenie, Jego niebieskie oczy straciły blask.

Przez chwile obserwował spadające z kasztanowego drzewa krople wody. Wzdrygnął się i powrócił do trzeszczącego radia.

Od wczoraj Warszawy nie mógł dostać. Na innych falach nadawali Rosjanie. Krzyczącym głosem oznajmiali, że przychodzą, oswobodzić ludzi.

Usiadł z boku radia. Odgarnął spadające mu na czoło włosy.

-Może coś usłyszę!- mruknał przeczucując się ze stacji na stacje.

-Co oni do licha chcą? Kogo chcą oswobodzić?- denerwował się .

-Co się dzieje? Ani jednej polskiej stacji! Czyżby to był koniec wojny.-

Głos matki ocknał go. Wołała z apteki. Zgasił radio i po kilku sekundach minął korytarzyk oddzielający prywatne mieszkanie od apteki.

-Co się stało?- zawołał tak głośno, że aż ojciec jego, zajęty przygotowaniem recepty uniósł głowę do góry.

Matka stała przy wejściowych drzwiach do apteki. Z boku jej jakaś wysoka, tęga brunetka z bardzo poważną miną słuchała co opowiadał Heniek Stolarski, kolega Janka.

Widząc Janka, Heniek chrzaknął i zaczął mówić od nowa.

-Wielki transport wojskowy przyjechał na stację kolejową. Ja myślałem że oni będą tutaj się bić! Ale oni kazali zawołać ludzi, potrzebują furmanki. Będą rozładowywać wagony pełne broni i jedzenia.

Odwrócił się do Janka matki.

-Pani powie mojej matce, że ja będę tam na nią czekać. O! I proszę powiedzieć jej żeby zabrała ze sobą wózek!- Odwrócił się i zniknął w drzwiach apteki.

-Mamo! Ja za nim pojedę!- zawołał Janek, wybiegł na werandę, ściągnął po schodkach na podwórko rower i zanim matka zdołała odpowiedzieć popędził za Henrykiem.

Po kilku minutach zasapani wyjechali na dworzec kolejowy. Spora grupa ludzi pomagała żołnierzom ładować broń, amunicję i jakieś pudła na stojące z boku furmanki. Kowal Janusz z obładowana dorożką zatrzymał się koło Janka. Uśmiechnął się po przyjacielsku.

-Dzieńdobry Janek! Chodź, pomożesz dla mnie wyładować te kule. Bo ja, to za stary, żeby je daleko rzucać.-

Zadowolony, że w czymś może dopomóc, Janek zawrócił rower. Do jeziora nie było tak daleko. Kilka furmanek stało blisko brzegu. Jacyś ludzie ładowali pudła z amunicją do dwóch niewielkich łódek.

Janusz Kowal zatrzymał konia. Przywiązał go do małej sosenki rosnącej z boku. Zakasał rękawy, splunął w dłonie i zabrał się do roboty. Za jego przykładem Janek złapał za pudełko. Było ciężkie i nie takie łatwe do rzucania jak mu się wydawało. Kilka większych skrzaynek z karabinami zostawili na brzegu.

-Oni je zatopią w głębokim miejscu- wytłumaczył Janusz.

-No a teraz z powrotem na stację.- mruknął odwiązując konia.

Na peronie zauważyli grupę ludzi stojących przy pierwszym wagonie. Janek zbliżył się do nich. W szeroko otwartych drzwiach towarowego wagonu siedziało kilku żołnierzy. Z boku stał oficer. Nerwowo rozglądał się dookoła.

Na poważnej jego twarzy wyczytać było można wielką odpowiedzialność, która spadła na jego barki. Widząc na sobie tyle zaciekawionych oczu, potrzęsnał głową. Wstał i patrząc smutnie na ludzi odezwał się głośno.

-Ten transport miał iść do Warszawy. Niestety zaraz za Grodnem zostaliśmy zatrzymani. Bolszewicy zajęli Białystok. Wracając z powrotem otrzymałem telegram, że oni są już w Wilnie! - Poprawił czapkę, głęboko westchnął i wydymając usta krzyknął:

-Ja tego transportu im nie oddam! Ruska nie bede zbroił. - Wskazał ręką na ludzi ładujących furmanki.

-Pomóżcie im zatopić broń i amunicję! To w nagrodę rozdaję prowiant. -

Nie trzeba było więcej mówić. Otaczająca grupa ludzi rzuciła się do pomocy. Janek odstawił na bok rower i dołączył się do ładujących furmanki mężczyzn.

W niecałe dwie godziny wagony były puste. Żołnierze upewniając się, że wszyscy powrócili z jeziora, otworzyli pozostałe wagony. Przyjemny zapach rozmaitych przysmaków wypełnił powietrze.

Nastąpił wielki ruch. Przez chwilę widać było biegających we wszystkich kierunkach ludzi. Obładowani prowiantem opuszczali dworzec kolejowy. Do cywili dołączyli się żołnierze. Wracali do domów, dla nich wojna była skończona.

Głośne wołanie Henryka zwróciło Janka uwagę. Obracając kilka razy zdołał on odłożyć dość sporą ilość artykułów spożywczych.

Konserwy, worki z kaszą, wielki kawał bekonu, leżały pod sosnowym drzewem, przy którym stał zadyszany ale dumny z siebie Heniek.

-Janek! Popilnuj to dla mnie! A ja zobaczę co się dzieje z moją matką? Ona powinna już tutaj być - denerwował się Heniek.

Patrząc za nim, daleko na zakręcie Janek zauważył Stolarską. W długiej szarej sukni, rozwianą na głowie kolorową chustą,

spieszyła sie ciągnac za sobą reczny wozek. Ujrzawszy Henryka na rowerze przyspieszyła kroku. Radosc jej na widok lezacych pod drzewem produktów, ukazala sie w przyjemnym usmiechu. Objęła syna rekoma uscisnęła go i bez słowa zabrala się do ładowanie prowiantu na wózek. -Zabrałem co tylko mogłem!- smial sie Heniek pomagajac matce.

Janek rownież czul sie zadowolony. Pani Stolarska miała szescioro dzieci ktore sama musiala wychowywac, bo maz jej, alkoholik co zarobil to przepił. Janek dołożył Henrykowi kilka swoich rzeczy, który dostal od jednego z zolnierzy, zabral rower i wrócił na peron.

Za wielka lokomotywą stala masa pustych wagonów. Tylko ostatni towarowy wagon zajmowali jeszcze zolnierze. Idac z boku uslyszal ich rozmowe.

-Hej! Bolek! a gdzie ty teraz pojedziesz?- zapytal ktos z grupy.

-Wiesz co ! ja sam nie wiem. Mieszkam niedaleko Czestochowy, ale nie wiem jak sie tam dostac.- Odpowiedzial gruby głos ze srodka wagonu.

Naraz Janek zauwazył maszynowy karabin. Oparty byl o zamkniete drzwi po drugiej stronie wagonu. Podszedl blizej. Lsniaca matowym kolorem lufa, piekna kolba, przypadly mu do serca.

-To szkoda zniszczyc. Nawet oni zostawili go na sam koniec.- mruknal sam do siebie. Rozejrzal się dookola. Na peronie nie bylo nikogo.

-To naprawde warto uratowac!- zadecydowal i podszedł jeszcze blizej.

-Panie kapralu!- glos mu sie zalamal ale tylko na chwile.

-Panie kapralu, czy moglyby pan podarowac mi ten karabin?-

Zdumiony kapral spojrzal powaznie na Janka. Z zacietych bruzd na czole widac bylo, ze sie zastanawia. Oficera juz nie bylo, on mial zadecydowac, co robic z pozostawionym sprzetem.

-Stasiu- uslyszeli glos jednego z zolnierzy w srodku wagonu.

-Zapytaj ! po co jemu! co on z nim będzie robił? My mamy go utopić w głębokim miejscu, żeby nikt go nie wyłowił. Rozkaz kapitana. Zresztą! po co jemu. Nie znając się na broni może narobić sobie dużo kłopotu.-

-Słuchaj Bolek, zniszczyć taką broń to aż serce się kraje, dlatego odłożyłem ją na bok z myślą, że się przyda dla partyzantki-. Dołączył się do rozmowy młodo wyglądający żołnierz.

-Panie kapralu ja go schowam i na pewno przyda się partyzantom!.
zawolał Janek jak najbardziej przekonującym głosem.

Zaskoczony tymi słowami kapral, przeszył Janka swoimi piwnymi oczyma, mierząc go od góry do dołu odezwał się cedząc uważnie każde słowo.

-Ty nie żartujesz! Bo jak dla partyzantki to ci go dam, ale żebyś go dobrze schował-Przez chwilę obserwował Janka, w końcu odwrócił się na bok.

-Kazik podaj mu L.K.M.! Dla naszych chłopców! niech go schowa-
Widocznie młody żołnierz jeszcze się wahał. Mruczając coś pod nosem z niechęcią podszedł do karabinu, delikatnie uniósł go do góry i wolnym ruchem ręki podał Jankowi.

-Pamiętaj musisz go dobrze schować- szepnął cichutko jakby nie chciał żeby go ktoś usłyszał.

Jeden z żołnierzy podał Jankowi koc. Kazik zeskoczył z wagonu i dopomógł Jankowi owinąć karabin kocem.

-musisz go schować od ludzi, złych oczu! Rozumiesz!- tłumaczył cicho

W wagonie znalazło się kilka kawałków sznura i dobrze opakowany mocno przywiązany do ramy roweru karabin był gotów do drogi.

-Poczekaj! poczekaj - zatrzymał odchodzącego Janka kapral.

Odejdiesz tak bez amunicji? Przecież bez kul on nic nie wart.-
usmiechnął się do czerwonego na twarzy jak burak, Janka.

-Poczekaj ja zaraz będę ~~s~~powrotem- mruknął głośno i widząc, że Janek czeka zniknął w środku wagonu. Po chwili powrócił z plecakiem w rękę

Kazik przytachał duże metalowe pudło, z którego wyciągnął długą taśmę z amunicją, i zaczął ciąć taśmę na równe kawałki.

Do pomocy dołączył się kapral. Pozwijał obcięte kawałki, wcisnął je do pustych okrągłych pudełek, zakręcił przykrywki i włożył do plecaka. Zanim Janek zdążył założyć ciężki plecak na ramiona, Kazik, gdzieś z boku, wyciągnął pudło z wojskową kawą. Wspaniały jej zapach rozszedł się dookoła.

-Poczekaj bratku! Poczekaj!- zatrzymał gotowego do drogi młodzienca.

-Deszcz zaraz lunie panie kapralu!- starał się usprawiedliwić Janek

-Dobrze !dobrze ale jak sie nazywasz, imie! nazwisko! adres? Jak my sie porozumiemy! jak znajdziemy! i jak będziesz wiedział komu oddać karabin.-zarzucił go pytaniami.

Janek głęboko westchnął, odstawił na bok rower, poprawił wcinające się w ramiona pasy plecaka, podał nazwisko i swój adres.

-Pamiętaj! nasze hasło będzie "Wolna Warszawa" ale bez mojego nazwiska hasło nieważne! Rozumiesz! kto by to nie był musi podać moje imię i nazwisko.- kapral odetchnął głęboko.

-Pamiętaj! Stanisław Slimak! Zapisywać nie wolno-uśmiechnął się.

-Wolna Warszawa na rozkaz Stanisława Slimaka - powtórzył wolno.

Młodo wyglądający żołnierz poklepał Janka po ramieniu, dołożył do ciężkiego plecaka kilka paczek kawy i zawiązał klapę.

-No a teraz zwiewaj!- zawołał wskakując ~~z~~powrotem do wagonu.

Na początku Janek jechał w stronę apteki. Myśląc gdzie schowa ten karabin. Zwolnił i stanął. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie będzie to takie łatwe, jak na początku mu się wydawało. Nie widząc łatwego wyjścia z sytuacji, zdecydował zajechać do Henryka.

-Może on mi pomoże- mruknął skręcając w prawo na Poganke.

Na samym końcu ulicy Poniatowskiego ostatnie dwa budynki z wielkim owocowym ogrodem należały do Stolarskich. Dwa mieszkania od ulicy przedzielone były sionką. Od strony ogrodu mieszkała Viktoria Kozłowska, Henryka babka, matka Marii Stolarskiej. Mieszkanie od ulicy wynajmowane podczas lata kuracjuszom świeciło pustką.

Dom z boku małego podwórka zajmowała rodzina Stolarskich. Janek wiedział, że Heniek wybudował sobie mały pokoik na strychu, z którego był bardzo dumny.

Z nadzieją, że u niego, przynajmniej na pewien czas znajdzie miejsce na karabin, zostawił rower przy płocie, wspiął się po stromych schodach na górę i zastukał do drzwi.

-Kto tam? - usłyszał głos Henka. Po chwili głowa jego ukazała się w drzwiach. Z ciekawością patrząc to na Janka, to na plecak zapytał.

- Co w nim masz? -

-Poczekaj! poczekaj! Heniek, z początku przyrzeknij mi, że nikomu nie powiesz - przerwał mu Janek ciężko oddychając ze zmęczenia.

-Przyrzekam! Przyrzekam! Co masz w plecaku? -

-Masz łopatę? i czy pomożesz mnie kopać? -

-Mam łopatę! - ale co masz w plecaku? - niecierpliwił się Heniek.

-Wojskową kawę i amunicję do karabinu. -

-Wielka mi mecyja! Po co je zakopać, kawa się zepsuje a kule po co ci? nie masz i tak z czego strzelać, wszystko potopione. - zaśmiał się

-No nie! - oburzył się Janek.

-Maszynowy karabin mam na rowerze. Muszę go gdzieś schować. Rozumiesz dla partyzantów! Zakopać gdzieś w ogrodzie, ale jak nie chcesz dopomóc, no to sam muszę znaleźć jakieś dobre, suche miejsce. -

Heniek ze zdumienia otworzył usta. Przez chwilę przyglądał się Jankowi nie wierząc w to co on mówi. Widział sam jak cała broń zatopili w jeziorze. A powierzyć karabin młodemu chłopakowi jak

on, i to maszynowy karabin? po prostu było nie do wiary.

-Maszynowy karabin!- zawołał głośno wybiegając z pokoju.

Zanim Janek zszedł na dół, Heniek zdążył odwiązać kawalek sznura, unieść koc do góry i zajrzeć do środka.

-Tak, to jest karabin, skąd tyś go dostał?! Prawdziwy! maszynowy!-

-Mniejsza o to skąd,- przerwał mu Janek, zaslonił kocem lufę i spojrzał na Henryka.

-Muszę go schować, zakopac gdzieś w ogrodzie.-

-Janek! ty wiesz że on w ziemi z^ordzewieje. Musimy znaleźć lepsze miejsce. Żołnierze tobie go dali? Ja bym się bał o niego zapytać, a co dopiero chować. Zresztą u mnie to za dużo dzieci, wszędzie nosa wetkna, nic od nich nie mogę ukryć, nawet kawałek czekolady i to wywachały. A u ciebie w aptece za dużo ludzi się kręci. niebezpiecznie nawet go tam przenieść, a co dopiero chować!- Podrapał się bezradnie po głowie.

-Tak tu za dużo dzieci, a u mnie nie ma po prostu gdzie! ja już sam nie wiem po co go wzięłem.- zmar^wł się Janek.

Wielkie krople deszczu zaczął kropić dookoła. Z pomocą Henryka, Janek wprowadził rower do sionki.

-Heniek!- Odezwał się i wskazał ręką puste mieszkanie.

-Świetne miejsce! W zimie nikt tu nie będzie mieszkał a do lata znajdziemy inne miejsce.

-Poczekaj, ja postaram się o klucz, bo okna zabite na stałe. a klucze wiszą na gwoździu w mieszkaniu babki- zgodził się zadowolony z Janka idei Heniek. Przykładając palec do ust zastukał do drzwi po drugiej stronie korytarza, nie czekając na odpowiedź otworzył je i wszedł do środka. Przez kilka minut Janek czekał patrząc na coraz to gęstszy deszcz.

Heniek wrócił z wiadrem w ręku i uśmiechając się podał Jankowi wielkie koło z małym kluczem.

-Ja polecę po wodę a ty odwiąż go i wnieś do środka. Babka przy kuchni coś tam pitrasi nie będzie nic słyszała.- zasmiał się cicho.

Ciche trzaśnięcie zamku połączyło się ze zgrzytem starych zawiasów otwieranych drzwi. Mieszkanie było małe, dwa wąskie długie pokoje połączone ze sobą szerokim przejściem. Po prawej stronie drugiego pokoju stała stara, żelazna kuchnia. Kilka kawałków drzewa leżało z boku w wielkim plecionym koszyku. Pokój pierwszy był pusty z wyjątkiem wielkiej sięgającej do samego sufitu szafy, obłożonej od góry do dołu książkami i czasopismami. Drzwi jej stały z boku oparte o ścianę, dalej, małe krzesło.

- Niestety ale i tu nie ma miejsca,- odezwał się do wchodzącego Henka - A co zrobiłeś z wodą?-

- Za mocno pada deszcz, muszę poczekać- odpowiedział Heniek rozglądając się ciekawie po pokoju .

Naraz złapał Janka za rękaw. Nie mówiąc nic, z tajemniczą miną na twarzy, wskazał ręką na sufit.

Trochę czasu zabrało zanim Janek zauważył luzną deskę, tuż nad wielką belką sufitu.

Stając na krzesło, Heniek odsunął deskę na bok. Uważnie umieścili zawinięty w koc karabin pomiędzy dachem a sufitem. Mała w tym miejscu przestrzeń sprawiała sporo kłopotu. Pomimo starań, luzna deska nie dała się wsunąć ~~z~~powrotem na miejsce. Odstając trochę więcej niż poprzednio, ukazywała kawałek koca.

Długi drut do czyszczenia lufy schowali za piec. Na amunicję nie było miejsca. Rozglądając się dookoła, Janek zauważył na okiennej ramie doniczki. Trochę ziemi z której strzelały w różne strony wysuszone łodygi kwiatów nasunęły mu świetną myśl.

-Świetnie! - zawołał, może trochę za głośno bo aż Henryk przyłożył palec do ust i widząc co Janek robi, dołączył się z pomocą.

Uważnie wysypali ziemię z doniczek na gazetę wyciągniętą z szafy, do środka powkładali pudełka z amunicją. Przykrywając je kawałkami papieru wypełnili pozostałe miejsce ziemią.

Zadowoleni z wyniku postawili doniczki z powrotem na okienną ramę. Odstawili na miejsce krzesło i zabierając ze sobą gazetę z pozostałą ziemią opuścili pokój.

Deszcz przestał padać, tylko tu i tam spadały wielkie krople, jakby chmury gotowały się na większą ulewę. Janek wyciągnął z sionki rower.

Heniek nie zdążył wysypać piasku na grządkę przed domem jak głośne uderzenie drzwi zwróciło ich uwagę. W otwartym wejściu do korytarza ujrzeli głowę Kozłowskiej.

-Co to jeszcze nie przyniosłeś wody? Ja tu czekam i czekam a on sobie tu gada zamiast pracować.- zawołała grubym głosem.

-Ja czekałem aż deszcz trochę zelży!- zawołał Heniek. Szybko jak błyskawica złapał za wiadro i machając do Janka ręką popędził w stronę studni.

-Janek Falkowski! A co ty tu robisz? -Zapytała staruszka patrząc z ciekawością na plecak.

-Wojna już zakończona, a ty bawisz się w żołnierza?- zaśmiała się.

-Gdzieś ty znalazł ten plecak?- Zapytała przypatrując się jak Janek zarzucił pasy na ramiona.

-Dostałem z kawa, na stacji kolejowej- wytłumaczył predko.

-Z kawą! ty lepiej uważaj! Kawa niezdrowa na serce- ostrzegła go zamykając za sobą drzwi.

Janek odetchnął głęboko, wyprowadził rower na ulicę. Pomimo, że się bardzo spieszył nie zdołał uciec od chmury. zaraz za mostem złapał go deszcz. Mokry do ostatniej nitki wszedł do domu.

-A mowiłam ci poczekaj! nawet deszczowy płaszcz zapomniałeś!- usłyszał głos matki.

-Widzisz cały jesteś mokry, A to co masz na plecach- Pomogła mu zdjąć plecak. Otworzyła go i zajrzała do środka.

Kawa? wojskowa kawa! Skąd to masz?- zaciekała się.

-Pomagaliśmy rozładowywać transport z bronią, za pomoc rozdawali prowiant, to ja zabrałem z sobą ten plecak i kawę. czy przynajmniej jest ona sucha?-

-Sucha! Sucha, ale ty sie szybko przebierz i wracaj do pokoju. Ojciec chce z nami porozmawiać.-

Po szybkiej kąpieli, w suchym ubraniu Janek wszedł do pokoju. Ojciec jego z okularami na nosie przeglądał jakieś papiery. Matka i młodszy jego brat, Sławek siedzieli na kanapie.

-Janek! Siadaj i słuchaj,- odezwała się matka.

Ojciec uniósł głowę do góry, spojrzał na Janka i zaczął mówić.

-Ja bym chciał żebyście za daleko od domu nie odchodzili, bo sytuacja jest bardzo nieprzyjemna, jak ty wiesz Janek wojna skończona. Niemcy dzielą się polską ziemią z Rosjanami. I nie wiadomo do kogo nas dołączają. Ja z matką mamy bardzo dużo roboty w aptece, dlatego was bardzo proszę pilnować jeden drugiego. Zgoda Sławek?- Uśmiechnął się i opuścił pokój.

-Do kogo nas dołączają?- zapytał smutnym głosem Janek.

-Nie wiadomo jeszcze. Niemcy w Warszawie, a Rosjanie w Wilnie i okolicach Grodna. Podobno już są w pobliżu Porzecza. Moze Litwini nas zabiorą, są niedaleko po drugiej stronie Niemna- mowiła zdławionym głosem.

-A teraz zamijcie się czemś tutaj, bo ja muszę isc do apteki. Dużo ludzi rannych i chorych potrzebuje pomocy.-

III

Poranek był ładny. Na niebie ukazało się ciepłe słońko. Mocne jego promienie budziły ludzi, zwierzęta i ptaki.

Janek zerwał się z łóżka. Nie zdążył się jeszcze ubrać kiedy Sławek wbiegł do pokoju.

Okrągły na twarzy, z małym zadartym troszeczkę do góry noskiem jak mała kulka przebiegł pokój i patrząc z ukosa swoimi niebieskimi oczyma na Janka zatrzymał się przy drzwiach.

-Ja coś wiem czego ty nie wiesz!-zawołał głośno.

-Co się stało?- zaciekawił się Janek.

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, spojrzał na tajemniczo uśmiechającego się brata.

-Ja z tobą dzielę się wiadomościami!- mruknął z wyrzutem.

-No dobrze powiem tobie- odpowiedział Sławek siadając na łóżku.

-My wyjedziemy za granicę!zobaczysz że wyjedziemy.-

-Skąd ty to wiesz? Kto ci to powiedział? -zdziwił się Janek.

-Widzisz Rosjanie zajęli Grodno. A mama chce uciekać na Litwę,rozmawia teraz z ojcem.Zobaczysz jeśli ona tak bardzo chce to napewno wyjedziemy, zobaczysz!-

Nie słuchając co dalej mówił brat, Janek kilkoma susami przeskoczył korytarzyk, otworzył drzwi do apteki i cichutko wsliznął się do środka, gdzie bardzo podenerwowana matka rozmawiała z ojcem. Uniosła ręce do góry i mówiła:

-Stefan! Ja ci mówię i mówię, im wierzyć nie można. Będą znowu kraść,mordować jak w dwudziestym roku,czy ty to zapomniałeś?-

Ojciec smutnie patrzył przez okno na ulicę. Po chwili odwrócił się, był bardzo blady na twarzy.

-Słuchaj Klaudja! Słuchaj, to było dawno temu,dwadziescia lat. Przez ten czas ludzie sie zmienili. Rząd się ustabilizował.

Przecież ty wiesz, że my nie jesteśmy bogaczami. Jesteśmy ciężko pracującymi ludźmi. No i popatrz, cały nasz dorobek zostawić, jechać w nieznane? Gdzie? Dokąd?- Rozłożył bezradnie ręce.

-Stefan!- nie dawała się przekonać matka.

-Ty wiesz, że to jest zły system! Komuniści się rządzą. Fanatycy! Oni krzyczą, na burżujów sami są największymi burżujami na świecie, żyjącymi kosztem innych. Kontrolują ludzi do ostatniej nitki. Nawiększy terror na świecie, a ty mówisz, że oni się zmienili!- Matka nerwowym krokiem przeszła po sklepie zatrzymując się przed ojcem.

-Stefan, dopóki ten system będzie tam czy gdzie indziej ludzie będą się zcierać, niszczyć, mordować, i umierać z głodu. To kara Boża, choroba, rozumiesz! W najbiedniejszym państwie będzie nam lepiej niż pod komunizmem. Nie tylko nam, ale każdemu uczciwemu człowiekowi. Stefan! posłuchaj mnie, czyś ty zapomniał coś przeżyli, obudź się i uciekajmy od tej zarazy dopóki mamy czas.-

Zaskoczony tym nagłym wybuchem żony, Stefan spuścił głowę. Przyznawał jej rację, ale opuszczać to ukochane miejsce, gdzie ma tyle przyjaciół. Gdzie go ludzie lubią i szanują!

-Klaudja ty trochę przesadzasz, przez tyle czasu musiało się i tam coś nieco zmienić. Ja myślę, że już tak źle to nie jest, ludzie tam żyją.-

-Ale jak?- przerwała mu matka.

-Ludziom nie wolno mieć nic własnego. Ty myślisz, że będziesz pracował w aptece! W swojej własnej aptece? Obudź się, najsprytniejsi, najbardziej chytry politycy nie dają sobie rady! Rade! Ha! sami siebie dla stanowiska w szklance wody utopiają. Ludzie tacy jak my nie mają nic do powiedzenia. Plutokraci się rządzą. Ja już wolałabym najgorszy system polityczny a nie komunizm.-

Janek nic z tego nie rozumiał. Dlaczego matka tak ich nie lubi? Co złego jest w komunizmie? Od nauczycieli słyszał, że to jest idea,

którą ludzie starają się wprowadzić w życie. U stolarza Zaka w rozmowie usłyszał jego opinię, że to najlepszy system, w którym człowiek nie wykorzystuje człowieka. I komu to wierzyć ?

Zmartwiony Stefan nie miał ochoty zostawić wszystko i uciekać. Zniechęcony starał się jeszcze raz przekonać żonę że się myli. Klaudja! Gdzie ty chcesz uciekać! Nie mamy nic wartościowego. Polskie pieniądze za granicą nie mają żadnej wartości, więc z czego będziemy żyć, pomyśl! Pomyśl nad tym! Pomyśl! Bo ja nie jestem ani politykiem ani jakimś tam urzędnikiem. Pomagaliśmy innym, nikomu nic złego nie zrobiliśmy! Wrogów nie mamy! Takich ludzi jak my to ani Niemiec ani Rusek nie ruszy. Po co? Rozumiesz!-

-Tak! Tak! Stefan ja widzę, że zapomniałeś, albo nie chcesz pamiętać! Oburzyła się matka, i patrząc na męża mówiła spokojniejszym głosem.

-Wierz mi, ci ludzie żyją, niby to dla systemu, głupiej idei. I zamiast dobrobytu gnębią się i terroryzują. A ja nie chcę żyć w niewoli!-

-Klaudja! my nie wiemy jak oni naprawdę żyją! Skąd ty to wiesz? Gdzieś ty takie wiadomości dostała? Od kogo?

-No to powiedz mi, dlaczego oni niszczą religie? Dlaczego odtrącają Boże prawa? Nie zabijaj! Nie kradnij! Kochaj bliźniego swego! Stoją im na drodze? Pan Bóg dał człowiekowi całkowitą wolność, na którą ich nie stać! Ja tobie-----

Głos otwieranych drzwi przerwał ich dyskusję. Do apteki weszła zapłakana Stolarska. Przez łzy starała się wytłumaczyć, że jej młodszy syn Józek został sam na leśniczówce Niedaleko Porzecza. Wojska rosyjskie zajęły Grodno i posuwają się w stronę Druskienik.

-Zenek Wróblewski tylko co przyjechał na rowerze i zawiadomił mnie, że Józek czeka na kogoś, ktoby go stamtąd zabrał! Co ja poradzę?

Pociągi nie chodzą a furmani za żadne skarby tam nie chcą jechać. Co ja mam robić? Sam jeden! W gęstym lesie!- wybuchła głośnym płaczem.

-Czy pani rozmawiała z Kowalem? On ma konia!- zapytała Klaudja
Pytałam się! Stary zabrał konia i pojechał na szosę idącą do suchej granicy na Litwie, zabierać samochody!- pokręciła głowa Stolarska.

-Zabierać samochody?- zdziwił się Stefan.

Ach ty jesteś tak zajęty receptami, że nie widzisz co się dzieje!
Oburzyła się Klaudja.

-Mnie mówili, że ludzie tak jak tylko mogą uciekają od Bolszewików. Furmankami! Samochodami! Rowerami! czym się tylko da! A tym co zabrakło benzyny zostawiają samochody i idą dalej piechotą. Aby tylko uciec od Ruska. A ty tu siedzisz!- wytłumaczyła spokojniejszym już głosem Klaudja.

Stolarska błagalnie spojrzała na Stefana.

-Pytałam starego Joszke, on ma samochód zgodziłby się, nawet za małe wynagrodzenie, ale ktoś mu ukradł bańkę z benzyną, a w miasteczku nawet za złoto benzyny nie dostaniesz. Pan ma motocykl! Może pan ma benzynę?-

-Stefan! może ty go przywieziesz na motocyklu? zapytała Klaudja.

-Benzyny ja też nie mam. Do Porzecza i z powrotem, to co mam w baku powinno wystarczyć. Tyko co on zrobi z bagażem?- zapytał Stefan.

On nic z rzeczy nie ma ! A jak ma za dużo, to niech zostawi.- zawołała z radością Stolarska.

-Z tym co tu jest, to ty chyba dasz sobie radę. No to ja idę po motocykl- zgodził się Stefan.

W drzwiach apteki ukazała się młoda dziewczyna. Spocona na twarzy w rozwianym płaszczu wbiegła do środka.

-Panie aptekarzu! Panie aptekarzu!- zawołała głośno

-Panie aptekarzu! mnie potrzebne jest to lekarstwo! Bardzo potrzebne! Matka dostała ataku serca! doktor u nas. Posłał mnie z tą receptą! Panie aptekarzu, jak prędko może pan ją zrobić? Olaboga jak prędko!?- Patrzyła błagalnie na Stefana.

Ojciec Janka spojnął na zapłakaną Stolarską.

-Ja pojedę! Pojadę, Niech pani się uspokoi! Jak tylko zrobię to lekarstwo to zaraz pojedę.- Wziął receptę do ręki.

-Hmmm! zabierze to trochę czasu.- mruknął niezadowolony. nałożył biały fartuch. Wyciągnął z szafy kilka słoików i czytając receptę, zaczął ważyć.

Do apteki weszło kilku nowych ludzi z receptami w ręku. Stefan spojnął błagalnie na Klaudje.

-Zabierz Marje do mieszkania! Ja tych ludzi nie mogę tak zostawić! Ty sama rozumiesz, że to są moje obowiązki! A jak znajdę trochę czasu to pojedę. Z wielką chęcią pojedę.-

-Tato, Tata da mnie klucze do motocykla, to ja pojedę po Józka. Ja wiem gdzie on czeka, Rok temu byłem w tej leśniczówce- odezwał się cicho Janek.

Stefan spojrzal poważnie na syna. Pozwalał mu jeździć motocyklem, wiedział, że potrafi, Ale teraz wojna, Rosjanie w pobliżu! Nie wiadomo co może spotkać na drodze. Może ktoś na nich napaść, pobić i odebrać motocykl?- Obejnął się za Klaudją. Widocznie wyszła z Marją Stolarską. -Do Porzecza nie jest tak daleko, szosa dobra. Powinien obrócić w godzinę. O ile Rosjanie są w Grodnie to daleko jeszcze od Porzecza.- Westchnął głęboko, Spojrzał na nerwowo chodzącą po poczekalni młodą kobietę i siedzących spokojnie na krzesłach mężczyzn. Wyjął z kieszeni klucze.

-Uważaj! Uważaj! Nie zatrzymuj się nigdzie! Jak zobaczysz ludzi na drodze to omiń ich bokiem! Rozumiesz! I nie zapomnij wiaść płaszcz-

podał Jankowi klucze.

Z początku Janek jechał wolno, minął stację kolejową. Dopiero za elektrownią dodał gazu. W kilka minut dojechał do szosy Grodno-Kowno.

Na tej szosie można było znaleźć pozostawione z braku benzyny samochody. Z ciekawością spojrzął w obie strony. Szosa jak okiem sięgnąć była zupełnie pusta. Droga do Porzecza wiała się pomiędzy drzewami jak serpentyna.

-Żeby tylko jakaś furmanka nie znalazła się na drodze. One lubią jechać po środku drogi.- mruknął sam do siebie i dla bezpieczeństwa trochę zwolnił.

Stacja kolejowa w Porzeczu wyglądała przynębiająco martwa. Na bocznych torach zauważył kilka wagonów naładowanych drzewem, z boku stały dwie nieczynne lokomotywy. Na dworcu ani jednego kolejarza.

Nie śpiesząc się przejechał kilka, pustych uliczek miasteczka. Za nimi minął puste pole i zagłębił pomiędzy drzewa, równo ręką ludzką, sadzonego lasu, na końcu którego ujrzał wielki budynek z werandą zajmującą prawie połowę domu.

Józek z daleka rozpoznał Janka. Z wielkim workiem zbiegł z werandy i czekał na podwórku. Co chwilę uważnie rozglądał się dookoła.

-Janek! Janek! Ja się ciebie nie spodziewałem! Już byłem gotów iść piechotą. Popatrz!- zarzucił worek na plecy i zaśmiał się głośno.

-Poczekaj Józek! Powiedz mi co się stało? Co się stało z ludzmi. Ja taki kawał drogi przejechałem i ani na szosie ani w miasteczku nie widziałem żywej duszy. Co się dzieje?- wdrygnął się.

Józek opuścił worek na ziemię. Wskazał ręką w stronę Grodna i rozejrzał się jeszcze raz dookoła.

-Wczoraj wieczorem tam się bili. Słyszałem głośne wybuchy, strzelaninę na całego. W nocy kilku ludzi wiozło na furmankach rannych. Mówili, że to studenci z Grodna starali się zatrzymać bolszewików- pokiwał głową.

-Nie mogąc dać sobie rady, uciekali do lasu.- Twarz mu posmutniała.

-Rano jeden z leśniczych wrócił. Mówił, że Rosjanie się mszczą.

Roztrzelali kilku ludzi z wioski. Niby to pomagali oni studentom.

Ludzie się boją, chowają się gdzie się tylko da.-

-Józek! Jak my zabierzemy ten worek?- przerwał mu Janek, z obawą rozglądając się dookoła.

-Zaraz! Zaraz!- zawołał Józek, biegiem wskoczył na schody i zniknął w budynku. Po chwili powrócił z kawałkiem grubego sznura. Z pomocą Janka, owinał sznur dookoła worka. Pozostawiając trochę luźnego miejsca wsadził w nie rece i jak plecak umieścił worek na ramionach.

-Gotów?- zapytał Janek zapalając motor.

-Gotów!- odpowiedział Józek siadając z tyłu.

-Musimy się pospieszyć! Patrz! Chmury. A taki piękny był poranek.- zdziwił się Janek tej nagłej zmianie pogody.

Powoli przejechali ulicę Porzecza i wyjechali na szosę do Druskienik. Zaczęło mżyć. Janek poprawił czapkę z daszkiem żeby lepiej widzieć i dodał gazu.

W krótkim czasie dojechali do miejsca gdzie szosa wykręcała omijając głębsze miejsca terenu.

Nagle, wyjeżdżając z jednego zakrętu ujrzeni przed sobą dwie wielkie ciężarówki. Stały one po obydwóch stronach szosy zostawiając pomiędzy sobą niewielką przestrzeń. Na hamowanie było za późno.

-Olaboga reta!- usłyszał głos Józka.

Przerażony, bezwiednie przymknął gaz i skierował się prosto w otwarty przejazd. Z bliska zobaczyli czerwone gwiazdy wymalowane na bokach drzwi.

-Bolszewiki!- nie zdążył wykrztusić, gdy ujrzeni furmankę zakrytą dotychczas ciężarówką. Z boku stał wieśniak z zakrwawioną twarzą. Przy nim kilku żołnierzy w długich płaszczach.

Zaskoczeni widokiem motocykla, żołnierze odskoczyli na boki. Nie było czasu do stracenia, Janek dodał gazu. Minął ciężarówkę, furmankę i zdumionych ludzi.

-Stój! Stój!- usłyszeli za sobą krzyki.

Naraz Janek uczuł brak powietrza. To Józek złapał go ręką za wysoko i trzymając się kurczowo tamował mu oddech.

Trzymając jedną ręką na gazie, druga odsunął Józka ręce do dołu. W tej samej chwili usłyszeli świst kul tuż z boku i głośny huk z tyłu.

Jankowi wydawało się, że stoją w miejscu, za wolno jadą. Dodając jeszcze gazu przeskoczył z jednej strony szosy na drugą.

-Musimy dostać się do tego zakrętu! Trzymaj się Józek, Na Boga trzymaj!- Krzyknął przechylając się do przodu.

Nowy świst i tuż przed nimi kupa kamieni zakłębiła się rozsypując na wszystkie strony. W wielkim pędzie znaleźli się po lewej stronie szosy, tuż na samym brzegu drogi. Janek przyhamował i przechylając w prawą stronę motocykl dodał gazu. Mięka ziemia z kamieniami prysnęła z pod kół motocykla. W sekundzie znaleźli się po drugiej stronie, gdzie szosa skrcająca w prawo zasłonięta była gęsto rosnącymi sosnami.

Głęboki oddech zadowolenia wydarł się z ich piersi. Niestety, był to tylko krótki objazd, za którym szosa skręcała w lewo i wychodziła prosto pod nosy żołnierzy.

Janek zwolnił zupełnie. Widząc po prawej stronie drogi wąską dróżkę schodzącą do lasu, skierował się prosto na nią.

Głośny krzyk przestraszonego Józka, krótkie szamotanie się z równowagą wynagrodziło ich odwagę.

Znaleźli się pomiędzy drzewami, na wąskiej, leśnej drożce, zostawiając rosyjskich żołnierzy daleko w tyle.

Na całe szczęście Józek znał dobrze tą część lasu. Dużo razy

chodził tu na grzyby i kilka razy polował na zające.

-Skręć w lewo, tą dróżką idzie spowrotem do Porzecza, a tamta na Litwę. Uważaj na te ostre zakręty, za niemi są doły, żeby furmanki tędy nie jeździły.- cieszył się zadowolony ze swojej wiedzy.

Musiali zwolnić. Po długiej walce z zakrętami dojechali do szosy. Janek zgasił motor, zostawił motocykl z Józkiem i rozglądając się uważnie dookoła, wspiął się na nasyp. Nie widząc nikogo po obydwóch stronach szosy zawołał Józka.

-Ja nie wiem, w którym miejscu jesteśmy? na której szosie, do Druskienik? czy do Litwy. Po tych ostatnich zakrętach straciłem orientację.-

Widocznie i Józek miał trudności z orientacją. Długo rozglądał się. Naraz coś zauważył. Przyglądając się grupie drzew zawołał.

-Ja wiem gdzie my jesteśmy! To szosa Grodno-Kowno. A niedaleko stąd w tym kierunku piaszczysta droga zaprowadzi nas prosto na Poganę.-

Józek miał rację. Po kilku minutach dojechali do piaszczystej drogi, na której Janek musiał uważać na głębokie koleiny furmanek.

Rozwiane chmury odsłoniły błękitne niebo. Słońce oblało złotymi promieniami las i drogę, czarującą pieknością. Janek zwolnił i wdychając przesiąknięte aromatem świerków powietrze, podziwiał piękno natury.

Po dobrej godzinie jazdy, znaleźli się na mostku pomiędzy dwoma jeziorkami.

-Poganka!-zawołał zadowolony Józek.

Jankowi nie trzeba było tego mówić. On już znał tą stronę lasu. Minął młody lasek i wjechał pomiędzy pola.

Widok domów i lepsza droga zachęciły do dodania gazu. Niestety motocykl zamiast przyspieszyć, zwolnił i dławiąc się kilka razy stanął

-To ci pech! Zabrakło bezyny!- mruknął niezadowolony Janke.

-To nic! Popatrz już jesteśmy w domu. Mój pierwszy w rzędzie-
pocieszył go Józek. Zciągnął z siebie worek, położył na motocyklu,
roztarł zbolące ramiona i dołączył się do pchania.

W mieszkaniu Stolarskich nikogo nie^zastali. Speszony tym Józek,
pobiegł do mieszkania babki. Po chwili wrócił z uśmiechem na twarzy.
-Młodsze dzieci u babki, a matka i Heniek u was!- oznajmił krótko.
-Józek! To w takim razie pomóż mi schować motocykl, to ja pójde
piechotą do domu.- zdecydował Janek.

W drodze do domu odczuł głód. Dopiero teraz przypomniał sobie, że
w tym wielkim pośpiechu zupełnie zapomniał o śniadaniu.

Niedaleko apteki spotkał czekającego na niego ojca, który ze
szczęśliwym uśmiechem na twarzy przycisnął go do siebie.
-Nic jeszcze nie mów! chodź i nic nie mów!- poprowadził Janka do
stołowego pokoju.

Dopiero jak ugryzł kajzerkę i popił herbatą, matka zaczęła
zadawać pytania. Stolarska i Heniek siedzieli na kanapie nie mogąc się
doczekać co on im powie.

-Józek zdrow i cały w domu! W tamtą stronę to nie było kłopotu, nie
widziałem żywej duszy. Ale ^zpowrotem napotkaliśmy bolszewików.
Ominęliśmy ich bokiem. Całe szczęście, że Józek zna te lasy, bo ja to
bym zajechał na Litwę.- zaśmiał się i spojrzał na ojca.
-Motocykl musiałem zostawić u Stolarskich, bo zabrakło bezyiny.-
-To nieważne!- machnął ręką ojciec.
-Najważniejsze, że nikt wam nie zrobił krzywdy- zaśmiał się zadowolony.

O strzelaniu Janek nic nie mówił. Nie chciał ich straszyć. Widział
dookoła siebie zadowolone twarze. Był ^zpowrotem z rodziną w suchym,
ciepłym, przytulnym domu. To było najważniejsze.

IV

Pod koniec września wojna było zakończona. Polska została podzielona pomiędzy Rosją i Niemcami.

Rosyjskie wojska zajęły Lwów, Białystok, Wilno, Grodno i niewiadomo dlaczego zatrzymały się w Porzeczu. Pogłoski chodziły, że Litwa dołączy Druskieniki do siebie. Ale Litwini nie przekraczali granicy.

Miasteczko otoczone zostało z jednej strony Litwą a z drugiej Rosją. Bez policjantów, którzy zniknęli w obawie przed komunistami, bez wojska, Druskieniki zostały bez żadnej administracji.

Zaskoczeni tą zmianą ludzie, przeważnie chowali się po domach czekając co się stanie.

W ostatnich dniach miesiąca pogoda poprawiła się. Na niebie ukazało się słońce. Tylko tu i tam małe barankowe chmury upiększały błękitne niebo.

Zmuszony do siedzenia w domu Janek postanowił wykorzystać ten piękny dzień, spacerem nad brzegiem Niemna.

-Może uda mnie się zobaczyć czy Litwini przygotowują się do zajęcia miasteczka- starał się usprawiedliwić.

Upewniając się, że matka i ojciec zajęci są w aptece, pobiegł do budynku z tyłu apteki, w którym mieściła się kuchnia i stołowy pokój.

Widząc Sławka zajętego wojną ołowianych żołnierzyków i Marje Stolarską zajętą gotowaniem, niezauważony opuścił pokój, podszedł do wysokiego drewnianego płotu, odsunął dwie deski i przeslizgnął się na podwórko szkoły publicznej.

Budynek był pusty. Pozabijane okna i drzwi dyktą, wywierały bardzo nieprzyjemne uczucie. Minął je szybko i wyszedł na ulicę.

Jak i ulice tak i park był opustoszały. Jakby w miasteczku zabrakło ludzi. Trochę speszony doszedł do Niemna. Nie widząc ani jednego rybaka na ulubionym ich miejscu skręcił w lewo, w stronę

stoczni z budynkiem na kajaki i łódki.

Uważnie obserwując Litewski brzeg, minął polankę na której tyle razy siedział z rodzicami słuchając śpiewających Litwinów, i zbliżył się do stoczni.

Ktoś wyłamał drzwi w budynku. Jedna polowa wisiała na zawiasach a druga leżała na wysokiej trawie z spod spodu wystawał kawałek przykrytego nią kajaka.

- Śpieszyło im się! Pociemku odrzucili drzwi. Zmiażdżyli go- mruknął niezadowolony. Machnął pogardliwie ręką i zajrzał do budynku. Nie było w nim ani jednej łodzi.

-Uciekinierzy na Litwę pozabierali wszystkie łodzie- potrząsnął niedowierzająco głową i wrócił na ścieżkę.

W ostatnich dniach dużo się o nich słyszało. Ludzie uciekali szosą, lasem, któreśdy tylko się dało. Nic dziwnego, że pierwszą ofiarą padły łódki i kajaki.

Niewidząc żadnego ruchu po Litewskiej stronie, rozczarowany, że oni nie chcą ocalić od Ruska Druskienik, doszedł do mostu na plażę.

Na drewnianych schodach mostu zauważył siedzącego mężczyźne w ubraniu kaprała.

Bez czapki na głowie, opierając brodę na złożonych jak do modlitwy dłoniach, patrzył w stronę iglastego lasu po drugiej stronie rzeki.

-Dziedobry panie kapralu.- Zawolał Janek zbliżając się do mostu.

Kapral z ukosa spojrział na niego. Mruknął coś niezrozumiałego jakby starał się go pozbyć.

-Nareszcie mamy piękny dzień, prawda panie kapralu?- Zakomentował Janek, dumnie rozglądając się po pięknym wybrzeżu Niemna.

Kapral opuścił ręce na dół i patrząc w stronę Litwy, odezwał się cicho.

-Tak blisko!. A tak daleko!- szepnął cicho.

Widząc zdumioną twarz Janka zaśmiał się sztucznie i wskazał palcem
-Ja chciałem dostać się na drugą stronę. A tu niema jak! Ten most
idzie na wyspę. Może za tymi drutami jest Litwa! Ale po drugiej stronie
wyspy niema mostu, a woda bystrzejsza niż po tej stronie. A ja jestem z
Białegostoku, pływać nie umiem. No a jak długo można na takiej wyspie
siedzieć?- zaśmiał się ironicznie. -Czy

pan musi dostać się na Litwę?- Zapytał zdumiony Janek.

-No tak! Wiesz co? Jak pomożesz mi przedostać się na tamtą stronę to
powiem ci dlaczego.-

-To nie jest tak bardzo trudne!- zgodził się Janek. I widząc błysk w
oczach kapral umilkł.

-Ach ty smarkaczu! Ja tu szukam od wczoraj jak się przedostać, a ty
mówisz, że to nie sztuka!- zawołał patrząc ze zdumieniem na Janka.

-No nie, koło przystani widziałem wyłamane drzwi. Na nich może pan
przepłynąć bez trudu- starał się usprawiedliwić cichym głosem.

Przez moment kapral patrzył ze zdumieniem na Janka, Po chwili z
zagadkowym uśmiechem na twarzy, zrobił ręką szeroki gest.

-I ty myślisz, że one mnie uniosą. Nie przewrócę się na środku rzeki?-
zapytał niedowierzającym głosem.

-Utrzymają takich dwóch jak pan! A stojąc po środku i wiosłując nawet
grubym patykiem, wywrócić się! to poprostu niemożliwe.-

-Tak jak na tratwie!- zainteresował się kapral.

-Dlaczego nie! Można by spróbować!- usmiechnął się.

-Pomożesz mi? Ja po drodze do stoczni powiem ci dlaczego muszę dostać
się na Litwę. Dlaczego ja o tem nie pomyślałem?- podrapał się po
głowie.

Odrzucając włosy do tyłu, założył rogatywkę, podniósł leżący z
boku karabin i spoglądając z ukosa na Janka podążył za nim.

Nowa nadzieja dodała mu otuchy. Z otuchą przyszedł humor. Idąc z boku chrzakał kilka razy.

-Moje nazwisko Stanisław Patyk! Jak twoje imię?-

-Janek Falkowski.- odpowiedział krótko Janek.

-Widzisz ja biłem się z Niemcami niedaleko Prus. Byliśmy nawet po ich stronie ,ale o tem nie warto mówić. Przyszedł rozkaz dla mnie i kilku moich kolegów jechać do Wilna. Mieliliśmy organizować nowe dywizje. Ochotników i ochoty nie brakowało. Ty wiesz! Niezdażyliśmy jeszcze otrzymać broń, a tu Rusek atakuje od tyłu. Żadnej szansy! zagnali nas na wielki szkolny plac, i zaczęli segregować. Poustawiali nas w linii przed stolikiem, przy którym siedziało kilku rosyjskich oficerów i kilku cywili z książkami w ręku. Pytli o imię, nazwisko adres, rangę i czem byłeś w cywilu. Potem oglądali rece. No! patrzyli się na dłonie.- Przerwał na chwile, i westchnął głęboko.

-Skąd ja mogłem wiedzieć, że oni nienawidzą kaprali! Bo mojego nazwiska w książkach nie znaleźli. Oficerów załadowali do ciężarówek i zaraz odesłali niewiadomo gdzie. Sierżantów, plutonowych wypuścili na wolność razem z szeregowcami. A nas kaprali zaprowadzili na stacje kolejową, i zapakowali do wagonów. Wiesz co!- zaśmiał się cicho .

-My musieliśmy być bardzo dla nich ważni! Bo zawieźli wagony na jakąś małą stacyjkę i trzymali nas dwie noce i dwa dni bez jedzenia. Tylko raz na dzień wypuszczali w małych grupach po wodę do picia. No i wiesz co.- przez chwile szli w milczeniu.

-Widzisz niedaleko torów kolejowych, z boku niewielkiej chałupy stała studnia z długim żurawiem. Trzeba było mocno za sznur ciągnąć zanim wiadro z wodą uniosło się do góry.-

-Może ten żuraw był źle zbalansowany?- przerwał mu Janek.

-Może, ale ja myślę, że nam brakło sił.- Zatrzymali się przed leżącymi drzwiami.

Janek chciał je podnieść ale były za ciężkie. Kapral przyszedł z pomocą. Razem unieśli drzwi do góry i przewrócili na drugą stronę.

Wielkie zdumienie zamieniło się w radość. Tuż przed nimi leżał w bardzo dobrym stanie kajak. Głęboki rów z gęstą, wysoką trawą osłoniły go od zniszczenia.

Uważnie we dwojkę wydostali go z rowu. Obejrzeli ze wszystkich stron. Z wielkim zadowoleniem umieścili kajak na wodzie z boku przymocowanej do brzegu tratwy, z której wsiadało się do łódek. -Zaraz! Zaraz! A teraz trzeba poszukać wiosła! Albo jakiś patyki. - oznajmił Janek wracając do budynku.

W ciemnym kącie na podłodze znalazł dwa złamane w połowie wiosła. Niewidząc nic lepszego zabrał je ze sobą.

-Panie kapralu tylko to znalazłem. Będzie pan musiał wiosłować po indiańsku. Nawet na to są trochę za długie. -

-Nie trać nadziei! -Uspokoił go kapral. Podeszedł do kolczastego płotu, oddzielającego przystań łódek od parku. Wyginając na boki odłamał kawał drutu.

-Trzymaj! Mocno trzymaj! - Złożył końce wiosel razem i owinął je mocno dookoła drutem.

-To będzie się napewno trzymało. -zaśmiał się oglądając skończoną robotę.

Naraz stanowczym ruchem ręki podał Jankowi wiosło i poważnie patrząc się na niego, odezwał cichym głosem.

-Ty mnie przewieziesz, a potem wrócisz ~~z~~ powrotem. Kajak potrzebniejszy jest po tej stronie! rozumiesz? -

-Rozumiem. - zgodził się Janek siadając z tyłu kajaka.

-Poczekaj, nie śpiesz się. - powstrzymał go kapral przykucnął na stoczniowej tratwie i spojzał na wodę Niemna.

Przez chwilę siedzieli słuchając jak wiatr szumiał kołysając sosnowe drzewa, a rzeka przygrywała im delikatnym pluskiem bierzącej wody. Z boku śpiewały ptaszki, a gdzieś z daleka odezwała się kukułka.

-Ciężko opuszczać Ojczyznę.- westchnął głęboko kapral.

-Słuchaj.- Szepnął cichutko jakby nie chciał przeszkodzić, temu pięknemu, koncertowi natury.

-Trzeciego dnia!. Trzeciego dnia pod wieczór.-

-Nasza grupa stała w kolejce po wodę. Naraz podchodzi do nas ich sierżant, podły człowiek. Kilka razy widziałem jak bił naszych chłopców. Stanął przed nami i krzyczy coś po rusku. Nierozumiejąc co mówi, patrzymy na niego jak na barana. Widocznie to go zdenerwowało bo przywołał do siebie wartowników. Obniżyli swoje karabiny, ukazując na metr długie bagnety. Mój kolega Stefan, w tym czasie nabierał wodę. Widząc na co się gotuje, pchnął z całej siły napelnione wiadro. Długie ramię żurawia zakręciło się dookoła!- Zaśmiał się uderzając dłonią po kolanie.

-Uderzył ich tak mocno po plecach że aż karabiny wyleciały im z rąk. Oczywiście był to moment do wykorzystania! Jak na komendę skoczyliśmy i zabraliśmy karabiny. Zbyszek którego dzień przedtem sierżant zbił po twarzy przeszył go bagnetem. Zanim drudzy się zorientowali w sytuacji, po nas nie było śladu.- Spojrzał na Janka i pokazując jodły, westchnął głęboko. -Cała noc błakaliśmy się po takim lesie, Rozumiesz całą noc! Dopiero nad ranem trafiliśmy na małą wioskę. Nakarmili, napoili i pokazali nam drogę do Grodna. pod wieczór natknęliśmy się na żołnierzy rosyjskich. Prowadzili kilku studentów. Jeden z nich wucił się do ucieczki, a ten durny oficer zaczął do niego strzelać z rewolweru! Zdaje się, że go ranił, bo opuścił rękę. i zwolnił w biegu. No to my z pomocą. Otworzyliśmy ogień.

Wystrzelaliśmy całą amunicję. Studenci rozbiegli się na wszystkie strony. Rosyjscy żołnierze, razem z oficerem schowali się do rowu, a my odrzuciliśmy karabiny i w nogi. - Zaśmiał się zadowolony.

-Na drugi dzień dostałem się do Grodna. Niedaleko domu ciotki zatrzymał mnie mój stary przyjaciel z którym dużo razy piłem. Pociągnął za rękaw na bok i mówi, że Polacy uciekają do Francji, tam organizuje się wojsko! Polskie wojsko! Razem z Francuzami będziemy bić Niemca. Droga przez Litwę, Ale podobno Litwini przyjmują tylko żołnierzy, co mają broń. Po długiej pogadance, znalazł dla mnie ten stary karabin, dwa granaty i wskazał drogę do Druskienik. Bo mówi, że suche granice są za bardzo obstawione. Rozumiesz teraz! Ja przez Litwę dostanę się do Szwecji, a z stamtąd do Francji! - Zakończył wsiadając do kajaka.

Janek odwiązał sznur i powoli odbił od tratwy. Cichutko wiosłując wypłynął na rzekę. Zbliżając się do Litewskiego brzegu zauważył patrol pograniczny. Głęsty kłując rękoma wskazali im gdzie mają dopłynąć.

Jeden z żołnierzy litewskich dopomógł kapralowi wysiąść z kajaka. A on oddał im karabin i granaty. Po krótkiej rozmowie odwrócił się do Janka. Zrobił szeroki, pożegnalny gest ręką i podążył za Litwinami.

Z nową nadzieją w sercu, zadowolony, że Niemcy jeszcze nie wygrali. Wojna nie skończona. Myśląc tak, przepłynął z powrotem na Polski brzeg. Niedaleko stoczni, w gęstych nadbrzeżnych krzakach schował kajak i szybkim krokiem ruszył w kierunku ulicy Piłsudzkiego.

Zaledwie przeszedł kilka kroków po ulicy, jak jakiś nieznany mu ostry zapach zakręcił w nosie. Odwrócił się do tyłu. Zimny dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Tuż za nim, na ulicy ujrzął kilku Rosyjskich żołnierzy. Na ulicach miasteczka nie widać było żywej duszy i nie było gdzie się ukryć. Bezradnie opuścił ręce do dołu i patrzył jak oni z nisko opuszczonymi karabinami, na których świeciły się długie bagnety, uważnie rozgladając dookoła zbliżali się do niego.

Mieli na sobie zielone nie obrębione płaszcze. Czarne buty z cholewami, do których wciśnięte były ciemno zielone spodnie. Szerokie pasy z długimi pochwami na bagnety z boku. Okrągłe watowane czapki z nausznikami, wiszącymi luźno po bokach, zamiast daszka miały przyszyte kawałki futerka na których, rzucały się w oczy czerwone gwiazdy. Na Janka nie zwrócili uwagi. Obrzucili go dziko świecącymi się oczyma i minęli bokiem, pozostawiając za sobą ostry nieprzyjemny zapach.

Janek ostrożnie przeszedł na drugą stronę ulicy. Nie śpieszył się, Chciał nogi rwały się do biegu. Powoli doszedł do apteki.

Ojciec z matką i kilku ludzi stało przy oknie. W głębokiej ciszy patrzyli się na idących żołnierzy.

Nieprzyjemne uczucie smutku zmieszane ze strachem odczuwało się dookoła. Jakaś kobieta przeżegnała się i zakryła rękoma twarz.

-Straciliśmy wolność! Straciliśmy! Znowu jesteśmy pod okupacją!-

Pzerwiała ciszę i wybuchła głośnym płaczem.

Na ulicach miasteczka widać było coraz to więcej wojska, żołnierze rosyjscy szli bez końca, jakby ktos wysypał ich z worka.

Jakis starszy, siwy mężczyzna podszedł do wiszącego na ścianie kalendarza. Oderwał kartkę i trzymając ją u góry zawołał.

-Pamiętajcie! Pamiętajcie! Rosjanie przekroczyli granicę Polską 17 września. To była niedziela! Dzisiaj pierwszego października jest również niedziela! Hołota! Nawet świętego dnia nie potrafią uszanować. Niemogli poczekać do następnego dnia! Albo wcale!-

Tak! Tak! Albo wcale! Panie Kozicki! Albo wcale!- zawołała drżącym głosem, płaczącą jeszcze starsza pani.

Do późna w nocy rosyjskie wojsko przepływało przez Druskienik. Jedną stroną wchodzili a drugą opuszczali to małe miasteczko.

Dopiero na drugi dzień zajęli koszary pogranicznej straży, budynek uzdrowiskowy dla dzieci na Pogance i budynek szkoły powszechnej.

Następnego dnia władze rosyjskie, kazały pootwierać sklepy. Wyglądało jakby miasteczko powróciło do normalnego życia. Ludzie ukazali się na ulicach. I tego samego dnia, rosyjscy żołnierze, w małych grupach dołączyli się do klienteli. Z szeroko otwartymi oczyma, nie mogli ukryć zdumienia na widok obładowanych towarem sklepów. Chwaląc się wielką kulturą i dobrobytkiem w Rosji, rzucili się na towar. Kupowali do ostatniej kopiejki w kieszeni.

Przeliczając rubla za dwa złote płacili rublami jeszcze mokrymi z spod prasy, których każdy z nich miał więcej niż potrzeba.

Zapytani, dlaczego kupują jednakowe rzeczy w dużych ilościach. Odpowiadali, że mają ~~duże~~ rodziny, i wysyłają po jednej rzeczy dla każdego, jako pamiątki z Polski.

-Ale my tych rzeczy to tak bardzo to nie potrzebujemy! U nas to wszystkiego pod dostatkiem. Fabryk mamy więcej niż na całym świecie! A kultura to u nas bardzo wysoka!- Powtarzali co drugie zdania.

W między czasie sklepy pustoszały. Pierwszą ofiarą, padły dwa sklepy z zegarkami. W tym samym dniu, po kilku godzinach handlu, nie zostawo w sklepie ani jednego zegarka. Nie mając możliwości do sprowadzenia nowego towaru właściciele pozamykali sklepy.

Pod koniec tygodnia tylko niektóre sklepy, spożywcze i sprzedające towary wyrabiane na ziemiach zajętych przez Rosję, prowadziły interes. Nawet w aptece zaczęto się odczuwać wielki brak lekarstw.

Polskie monety zamienione zostały na Rosyjskie ruble, których niesamowita ilość ukazała się na rynku.

Rosyjskie władze, dla utrzymania porządku zorganizowały milicje. Na milicjantów powybierali przedwojennych komunistów, dobrze znanych pijaków i ludzie którzy przed wojna byli w kłopotcie z policja.

Najważniejsza i najprzyjemniejsza dla nich funkcją było, w imieniu rosyjskiego rządu konfiskowanie potrzebnych im rzeczy.

Mieszkania ich, wypełniły się luksusowymi meblami. Spiżarnie, na długi czas jedzeniem i alkoholem. Delegacje z miasteczka do władz o pomoc, Rosjanie ich wysmieli i pod karabinami odesłali na milicje, którzy zbili ich gumowymi plakami i wyrzucili na ulice.

Do późna w nocy pracował Falkowski przy ladzie mieszając zioła i inne potrzebne lekarstwa na rany, siniaki i nerwowe konwulsje.

Od tego czasu, w budynku milicji N.K.W.D. zaczęło przesłuchiwanie, po których rodziny, musiały zabierać na noszach, niewinnie pobitych ludzi.

Nigdy w swoim życiu doktor Trusiewicz nie miał tak dużo do zestawiania polamanych kości, jak w tych pierwszych tygodniach. Zmęczony, nie mógł nadażyć z pilnie krzątającą się milicją.

Ludziom otworzyły się oczy. Obietnica oswobodzenia, nadawana tak często w radiu Rosyjskim, okazała się wielkim kłamstwem.

Oswobodzili ich od towaru w sklepach, od prywatnych majątków, niektórych powyrzucali z domów, które zajęli członkowie partji komunistycznej. Oswobodzili ich od wolnej opinji, za którą, kara były gumowe palki.

Widząc co się dzieje, Stefan przyznał całkowitą rację Klaudji i zgodził się na ucieczkę do Litwy.

W końcu pierwszego tygodnia przed południem przyszła Stolarska. Jak co dzień ugotowała obiad, posprzątała naczynia i zamiast iść, jak codziennie do domu, cicho popłakując, dołączyła się z pomocą do pakowania.

Sławek włożył pudelko z ołowianymi żołnierzami do walizki. Spojrzal na Janka, mrugnął i uśmiechnął się niewinnie.

-Ja mówiłem ci że wyjedziemy! widzisz! Miałem rację! Co?-

-Tak miałes racje.- Zgodził się Janek. Pomógł zmknąć mu walizkę i ważąc ją w reku odwrócił się do brata.

-Sławek! Czy ty dasz sobie radę z takim ciężarem? Wiesz co, ja go poniosę, a ty zabierz ta mala walizeczke. Ale za to musisz mnie obiecac, ze zrobisz to, co ci powiem. Zgoda?-

-Ach ty zawsze coś chcesz odemnie!- zachnął sie Sławek. Zlapal za walizkę, uniósł do góry i z kwaśna miną postawil ja ~~z~~powrotem na podlodze.

-Tym razem chodzi o coś bardzo poważnego!- staral sie przekonac brata Janek.

Przez chwile Sławek sie wahał. Walizka była cieżka. Ale nie wiedzial co od niego ~~bedzie~~ wymagał starszy brat. Zaciekawiony, spojzal figlarnie na Janka.

-No dobrze! Co chcesz?-

-Sławek ty musisz mnie przyrzec, za nie odstapisz od matki! Ani na jedna sekunde. Rozumiesz! Ja z ojcem mozemy odejsc, czy po jedzenie, czy inne potrzebne rzeczy, ale ty bedziesz miał za zadanie pilnowania matki, ~~ze~~by jej sie nic złego nie stalo. Zgoda?- spojzal poważnie na brata.

Sławek na zgode kiwnal tylko glowa. Wybiegl szybko z pokoju. Matke znalazł w aptece. Pomagała ojcu z receptami, na które czekali, siedząc na krzesłach niecierpliwii ludzie.

Klaudja szybko zapisala na papierze najważniejsze ~~w~~zeczy, które mieli zabrac ze soba. Podala kartkę Sławkowi. Ale on nie chcial od niej odejść. Zaskoczona tym, zawolala Janka.

-Daj to Marji. I zabiesz z soba Sławka. On tu za mna chodzi jak cień i mowi, że to twój rozkaz. Ci ludzie czekaja na lekarstwa, a my nie mamy za dużo czasu! Ja musze pomóc ojcu! Rozumiecie?- wytłumaczyła wracając ~~z~~powrotem do recepty.

Ostatnie zapakowane walizki Janek wniósł do stołowego pokoju. Marja popłakujac cicho, sprawdzila liste czy wszystko zapakowala.

Pod wieczór przyszedł Bolek Zawicki. Wysoki przystojny blondyn ubrany był w ciemną grubą kurtkę, czarne wciśnięte w buty z cholewami spodnie. Na głowie miał ciemno niebieską czapkę z daszkiem.

-Jesteście gotowi?- zapytał w drzwiach.

-Gotowi- odpowiedziała Kaludja nerwowym głosem.

-No! Ale lepiej poczekać aż zupełnie się ściemni- oznajmił Bolek. Usiadł na krzesle i rozejrzał się po pokoju..

Widząc smutne twarze wyciągnął płaską, złotą papierośnicę. Poczęstował Klaudje, Stefana, i uśmiechnął się do Sławka.

Zaambarasowany coś niecoś Sławek wykręcił się na pięcie i podbiegł do siedzącego w samym końcu pokoju z mapą w reku Janka. Nachylił się mu do ucha i szepnął

-Ja jemu nie wierzę!-

-Dlaczego?- zdziwił się Janek.

-On ma na sobie czarne ubranie.-

-On musi mieć na sobie czarne ubranie! Żeby w nocy nikt go nie zobaczył. On przewiezie nas na Litwę.- wytłumaczył Janek wracając z powrotem do mapy.

-Niezgadzając się z tym co mu powiedział brat, czując się niepewnie, Sławek usiadł cicho z boku i patrzył się raz na Bolka, a raz na Janka, mruczał coś niezrozumiałego pod nosem.

W pokoju było cicho, ponuro. Nikt nie miał chęci do rozmowy. Naraz ciszę przerwał Bolek. Wstał z krzesła i zbliżył się do okna. Delikatnie odsunął firankę. Wszystkie oczy spoczęły na nim.

-Ja myślę, że już czas!- Odezwał się poważnie.

Wszyscy razem, jak na komedę, poderwali się na nogi. Klaudja przeżegnała się i razem ze Stefanem starała się uspokoić płaczącą Marję, która zgodziła się pozostać w aptece i czekać na Stefana z Bolkiem. Mieli oni wrócić po resztę bagażu.

Każdy z nich, nie wyłączając Sławka zabrał po dwa pakunki. Sławek niosł dwie małe walizeczki. Szedł zaraz za Bolkim, mając za sobą matkę. Za Klaudją szedł Janek a za nim przygnębiony, zmartwiony tą nagłą zmianą, Stefan.

Bolek prowadził ich opracowana już droga. Tylnymi drzwiami przez kuchnię wyszli na zewnątrz. Z boku komórki w wysokim płocie z luznowane deski przepuścili ich na sąsiednie szkolne podwórko.

Chowając się przed zajmującymi budynek żołnierzami, obeszli dookoła wielki plac szkoły. Kilka usuniętych desek w płocie po drugiej stronie szkoły, umożliwiło im dostać się na podwórko pani Bojrowskiej. Zajmowała ona przednią część budynku. Pozostała część mieszkania, zabita dyktą, stała pusta.

Zwalniając trochę, mineli jej ogród i wyszli tylną bramką na ulicę Poniatowskiego. Serca zabiły im na widok skromnie oświetlonego głównego wejścia do parku, przy krzyżującej się ulicy Józefa Piłsudskiego. Ta droga była niebezpieczna. Ządurzo żołnierzy i milicjantów kręciło się po tej stronie na ulicach.

Bolek, sprawdzając czy nikogo nie ma na ulicy Poniatowskiego, przeprowadził ich na drugą stronę. Chowając się za budynkami minęli podwórko z boku nagich wystawowych okien. Opróżnione z towaru sklepy, wywierały przygnębiające uczucie. Ostrożnie, pojedynczo przekroczyli ciemną w tym miejscu ulicę Józefa Piłsudskiego. Bolek odsunął kawał wyciętej siatki płotu za którą zagłębili się w obrosnięty krzakami i drzewami park. Dziką, wąską ścieżką, doszli do Niemna.

Niedaleko rzeki przekroczyli świeżo wydeptaną dróżkę, patrolującej granice rosyjskiej warty. Teraz można było zauważyć zaniepokojenie Bolka. Postawił walizki na ziemi i przyłożył palec do ust.

-Odpocznijcie tu, a ja sprawdzę ile mamy czasu!- Oznajmił cichutko znikając pomiędzy krzakami.

Po kilku minutach wrócił zadowolony

-Mamy dosyc czasu. Jeszcze ich nie widac.- szepnął dosyc glosno i nie czekajac na odpowiedź zsunął sie z karby na piasek przy wodzie. Odsunął kilka gałęzi olbrzymiej plączacej wierzby z pod której wyciągnął długa, wąska łódkę.

W wielkiej ciszy zaladowali pakunki i waliski. Bolek trzymajac lodke dopomogl przy wsiadaniu. Widocznie omylil sie przy obliczaniu. Dla wszystkich nie wystarczylo miejsca.

Janek zgodzil sie pozostać i czekać na nich. Zaambarasowany Bolek podal mu latarkę.

-Jak kogos zauważysz, to daj kilka krótkich błyskow. A jak droga bedzie wolna daj dwa długie. Pamiętaj! Używaj ja tylko w razie potrzeby.- Wytlumaczyl nerwowym glosem.

Cichy plusk wody oddalil sie wraz ze znikajacymi w ciemności sylwetkami ludzi. Nastała ponura cisza.

Janek czuł jak go ogarnia strach. Rozejrzal sie dookola. Zarysy wysokich drzew na tle oświeconego księżycem nieba, ruszajace sie pod delikatnym naporem wiatru, zmienialy ksztalty, powoli, tajemniczo.

Zimny nieprzyjemny dreszcz przebiegl po jego ciele. Stojac nieruchomo usłyszal szelest tu i tam. Głośniejszy od strony Rotniczanki.

Chciał sobie dodać odwagi gwizdaniem, ale ze złożonych ust, zamiast głosu wylatywalo tylko powietrze. Stojąc jak zamurowany w miejscu wykręcił sie w strone przystani. Tuż przy spadającym brzegu rzeki zobaczył duży krzak. Nie tracąc czasu odchyłil gałęzie i wcisnął się do środka. Usiadł na powyginanych pod jego ciężarem gałęziach i odetchnął z ulgą. Niezdążył jeszcze dobrze sie ulokować, jak usłyszal o wiele większy hałas od strony mostu na Rotniczance.

Znieruchomiał i zamienił się cały w słuch. Na początku usłyszał cichy przerywany trzask łamanych suchych galezi. Po chwili wyraźny głos ludzkich kroków.

Przekrecając się na bok, wbił oczy w stronę znikającej w ciemności dróżce.

-Kto to może być? Kogo tu licho niesie!- mruknął niezadowolony.

Przypomniał sobie o rewolwarze, który dzień przedtem dostał od Henka. Był to malenki bebenkowiec z czterema kulami, bo więcej nie mogli znaleźć.

Szybkim ruchem włożył rękę do kieszeni. Leżąca na kolanach latarka zsunęła się na ziemię. Nie martwiąc się o nią, wyciągnął rewolwer. Zimny, ciężki jego kształt w ręku dodał otuchy i odwagi. Spojrzał na dróżkę. Szare ciemne postacie zarysowały się na zakręcie. Rosły w oczach. Zbliżały się w jego stronę.

-Rosyjska warta!-Szepnął drżącym głosem.

-Jeden, dwa... Pięć, sześć! Siedem!- Liczył wylaniające się postacie.

Teraz wyraźnie można było rozpoznać rosyjskich żołnierzy. Szli z karabinami na plecach, cicho nie mówiąc ani słowa.

-Siedmiu! Polacy zawsze chodzili we dwójkę.- Zaśmiał się cicho.

Naraz pierwszy z nich, odwrócił się do tyłu.

-Zakurka! Zakurka!- zawołał zatrzymując się.

Nierozumiejąc o co chodzi, Janek skierował w niego rewolwer i patrzył szeroko otwartymi oczyma, niewiedząc co ma zrobić.

Żołnierze zatrzymali się, i otoczyli półkołem tego co podał komendę. A on wyciągnął z kieszeni woreczek, rozluźnił u góry sznurek i zaczął sypać tabaką na wystawione kawałki papieru.

Ostry zapach tabaki, i tego dziwnego, ostrego, osobistego ich zapachu zamęciło powietrze.

Stojący bliżej krzaka żołnierz, wyciągnął z kieszeni małą zapalniczkę. Przez chwilę starał się ją zapalić. Bijąc o but, dmuchając, krecił beznadziejnie kolko. Na koncu wśród głośnego śmiechu schował ją do kieszeni. Sasiad z boku zapalił zapalniczkę i trzymając w dłoni wysunął do przodu. Nachylone po ogień twarze zasłoniły kłęby dymu. Wymieszane zapachy mundurów, tabaki i dymu, zakręciły w nosie. Janek czując że zaraz kichnie, złapał się za nos.

Dźwięk poruszonej latarki przypomniał mu o sygnale. Powolutku schował rewolwer do kieszeni, Namacał ręką latarkę. Ostrożnie unióś ją do góry.

-Błysk światła, Oni mogą zauważyć!- Zatrzymał się. Denerwujące myśli paraliżowały ruchy. Zrobiło mu się strasznie gorąco. Powoli opanował się. Bezwiednie rozpiął płaszcz. Nowa myśl przyszła mu do głowy.

-Oczywiście! Świetnie!- Ucieszył się. Spojrzał w stronę żołnierzy.

Stali otoczeni chmurą dymu. Zadowolony z idei wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i zasłonił nią przód latarki. Osłaniając płaszczem od stojących żołnierzy nacisnął kilka razy guzik.

Cichy trzask sprężyny przestraszył go więcej niż blask światła. Odwrócił się w stronę grupy. Tym razem żołnierze zajęci byli jakąś poważną dyskusją. Giestykulując zawzięcie rękoma, tłumaczyli coś jeden drugiemu. Niepuszczając z nich oczu Janek powtórzył sygnał.

Naraz jeden z żołnierzy ruszył prosto w kierunku krzaka. Płaszcz jego znalazł się tuż przed Janka twarzą. Myśląc że go zauważyli, opuścił do dołu, niewiadomo dlaczego, ciężkie jak ołów rece, i cierpliwie czekał co się stanie.

Idący z przodu żołnierz, zatrzymał się przy krzaku. Przepuścił swoich kolegów na wydeptaną ścieżkę, odrzucił niedopalony papieros do wody i pomaszerował za resztą grupy.

Minęło kilka minut, zanim Janek spokojnie odetchnął. Uniósł latarkę, do góry i posłał, kilka długich sygnałów, na drugą stronę rzeki.

Niedługo czekał na tak bardzo oczekiwany plusk wody. Z ciemności wyłoniła się sylwetka ojca. Stał na przodzie łódki. Bez słowa wyskoczył na brzeg rzeki i odepchnął łódkę z powrotem na wodę.

Bolek robiąc małe kolo, podpłynął bliżej wygrzebującego się z krzaków Janka. Balansując łódkę złożył ręce do łapania.

-Widziałeś ich? Jak dawno temu? Ilu ich było?- Zarzucił pytaniami.

-Siedmiu, kilka minut temu.- Odpowiedział Janek rzucając do Bolka latarkę. Spodziewając się, że Bolek ukryje łódkę i wróci z nimi po resztę bagarzu, przykucnął z boku krzaka. Ale widząc jak on zakrecił na głęboką wodę i odpłynął w dół rzeki, pobiegł za oddalającym się ojcem.

Wracali tą samą drogą zasłaniając za sobą porobione przejścia w plotach. Dopiero w domu Janek zapytał ojca co się stało. Głęboko zamysłony Stefan przez długi czas nic nie mówił. Wypił podaną mu kawę. Pokręcił głową, jakby nie mógł coś zrozumieć i patrząc raz na Stolarską, a raz na Janka odezwał się wolno, cedząc każde słowo.

-Nas nie chcieli przyjąć!- rozłożył bezradnie ręce.

-Musiałem długo z nimi dyskutować zanim zgodzili się zatrzymać Klaudję ze Sławkiem. Wysłałem telegram do kolegi w Kownie, Może on nam pomoże. Najważniejsze, żeby Klaudja nie zapomniała wysłać listu do ambasady i cierpliwie czekała na odpowiedź.-

Janek nie rozumiał dlaczego Litwini nie chcieli ich przyjąć. Żołnierzy to nie przyjmowali bez broni, ale cywili? Masa ludzi przekroczyła granice bez żadnych kłopotów, i zostali tam przyjęci. Dlaczego teraz zdecydowali zamknąć granicę?

Podenerwowany nieudaną ucieczką, Janek długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok. Słyszał jak ojciec chodzi nerwowo po pokoju. Dopiero późno w nocy, oszłomiony, zmęczony, zasnął.

Następny poranek minął w wielkim napięciu. Gotowi do drogi czekali na odpowiedź z Litwy. Minął szalenie długi dzień, i nowy poranek.

Jak codzien Stolarska ugotowała obiad. Nakarmiła Stefana i Janka sprzątnęła naczynia i popłakując cicho poszła do swojego domu.

Późno po południu, jakiś młody chłopiec wpadł do apteki. Bojaźliwie rozejrzał się po pokoju. Widząc Stefana za lada podbiegł do niego i wręczył kawałek papieru.

-Panie aptekarzu! To dla pana. Bolek aresztowany!- Oddychając ciężko ze zmęczenia, zanim Stefan zdążył mu podziękować, wybiegł na ulicę.

Przez chwilę Stefan patrzył za chłopcem. Powoli obniżył okulary i przeczytał podaną mu kartkę. Twarz mu zbladła. Bez słowa zdjął biały fartuch i odłożył go na bok.

-Pani Bojakowska! Mogła by pani przyjść jutro po to lekarstwo.- zwrócił się do siedzącej w końcu pokoju kobiety.

-Ja mam tu bardzo ważną sprawę, w dodatku pani recepta potrzebuje proszek, którego nie mam. Może uda mnie się dostać u Kaca, w składzie aptecznym.-

2-Co to! Nie ma pan nikogo kto by przyniósł ten proszek?- Zapytała kobieta patrząc na niego z oburzeniem.

-Niestety nie! Pani sama wie jakie to są czasy. Pomocników nie mamy, Żona wyjechała na kilka dni, jestem sam. Bardzo dużo chemikali i lekarstw brakuje. Może pani pójdzie do Kaca, on zrobi tą receptę.-

-Przecież pan wie, że im nie wolno robić recepty. On nie jest farmaceutą- obużyła się Bojakowska.

-Proszę pani! teraz nikt na to nie zwraca uwagi. Ah! Zresztą on przedtem robił recepty.-

-Tak nielegalnie! Słyszałam! Wie pan co! Niech pan idzie a ja tu poczekam i aptekę panu popilnuje. Dobrze!- Zapytała błagalnym głosem.

-Dobrze! Pani Stasiu, niech pani poczeka, Ja wrócę tu jak najszybciej.-, Zgodził się Stefan. Szybkim krokiem wyszedł z apteki.

-Janek! Janek! Chodź prędko! zostaw wszystko i chodź!- Zawołał cicho z korytarza. Zarzucił na siebie płaszcz i wybiegł na werandę.

Dopiero w połowie ulicy Janek dogonił ojca. Stefan szedł tak szybko, że Janek musiał biec, żeby nadążyć za jego wielkimi krokami. W kilka sekund doszli do ulicy Poniatowskiego.

Stefan uważnie rozejrzył się dookoła. Niewidząc nikogo w pobliżu, skręcił prosto w bramę, głównego wejścia do parku. szeroka tu ścieżka doprowadziła ich do rzeki. Tu skręcił w lewo i zagłębili się w zarośla.

Niedaleko przystani na łódki Stefan zwolnił i oddychając głęboko odwrócił się do Janka.

-Czy ty wiesz gdzie można znaleźć jakąś łódkę?-

-Tak niedaleko stoczni schowałem kajak, ale co się stało! Po co ojcu łódka?- Zapytał zdumiony tym nagłym pospiechem.

-Matka napisała, że mają ich odwieść na suchą granicę. Prosto w ręce komunistów!- Mówił nerwowo, przyspieszając kroku.

-Bolek aresztowany! nie ma nikogo, kto by przewiózł ich ~~z~~powrotem!-

Przez chwilę szli w milczeniu. Ojciec nad czymś się zatanawiał.

-My mamy trochę czasu zanim Litewska policja po nich przyjedzie.

Podobno dostarczyli Rosjanom kilka furmanek ludzi. Komunisci zażądali to od Litwy, A ci się boją i robią, co im karzą.- Wytłumaczył zmartwionym głosem.

Janek zdenerwowany słowami ojca pobiegł do przodu.

-Nie mogą poczekać na odpowiedź z Kowna! Dranie! Śpieszy im się! Chcą się podlizać bolszewikom! - Wołał głośno.

Zbliżył się do krzaku, w którym schował kajak. Odrzucił gałęzie na bok, przeszukał brzeg, ale kajaka nie znalazł.

-Nie ma go! Ktoś go zabrał!- zawołał zdławionym głosem.

Stefan rozgladnął się dookoła. Budynek, w którym trzymano łódki był zupełnie rozwalony. Nawet wyłamane drzwi zniknęły bez śladu.

Odwrócił się w stronę rzeki. Bystra, zimna o tej porze woda wyglądała nie bardzo zachęcająco do pływania. Myśl, że Klaudja i Sławek musieli by płynac pogorszała sytuację. Beznadziejnie spojrział w stronę przystani.

Przez chwilę patrzył na zatokę nie wierząc własnym oczom. Tratwa, z której wsiadało się do łódek, przymocowana łańcuchami do dwóch pali wbitych głęboko w ziemię, pływała spokojnie na wodzie.

-Janek!- Zawołał głośno.

-Janek! Mamy na czym przedostać się na druga stronę!- Zasmiał się podchodząc do tratwy.

Nie mogąc odczepić grubego łańcucha, przylutowanego do pali na stałe, Stefan podłożył leżący z boku drąg pod spód i starał się wyciągnąć z ziemi drewniany pal.

Widząc walczącego z drągiem ojca. Janek złapał za drugi drąg uderzając nim w bok pieńka nadruszył go, i po kilku minutach obydwie pale pływały z boku tratwy.

Porwani mocnym prądem wody wypłynęli na sam środek rzeki. Kierowanie długimi drągami nie było takie łatwe. Dopiero na płytszej wodzie po litewskiej stronie, opierając się o dno rzeki zwolnili i dobili do brzegu w polizu wioski. Wciągnęli tratwę na miękki piasek i przymocowali łańcuchami do rosnącego z boku krzaka.

Zadowolony ojciec poklepał Janka po ramieniu.

-Ty lepiej tu zostań. Pilnuj żeby nam nikt nie ukradł tratwy a ja pójde po Klaudje i Sławka. Mniej więcej wiem w której chacie czekają.-

Janek potrząsna tylko głowa. Rozumiał, że ktoś się musi zostać. A tak by chciał zobaczyć z bliska tą litewską wioskę.

Stefan pół-biegiem dostał się do wioski. Ludzie musieli jeszcze pracować na roli, bo na głównej ulicy nie widać było ani jednego człowieka tylko jakiś mały chłopiec bawił się biegając dookoła chałupy.

Zatrzymany potrząsnał przecząco głowa, myśląc, że ten jegomość zacznie wypytywać się cos po polsku. Usłyszawszy zapytania w litewskim języku, ze zdumienia otworzył usta.

Stefan mówił płynnie po litewsku. Urodzony w Rydze skończył szkołę gimnazjalna w Kownie.

Po krótkiej rozmowie, roztrzepując po przyjacielsku gęste włosy chłopca, Stefan skierował się prosto w kierunku wskazanej mu chałupy. Zastukał w grube drewniane drzwi i czekał. Jakaś starsza kobieta wpuściła go do środka. W szarym półmroku trudno było mu coś zauważyć.

Naraz poczał jak ktoś obejmuje go za nogi.

-Sławek!- zawołał z radością, i nie mogąc wypowiedzieć ani słowa przytulił go do siebie.

Powoli oczy jego przyzwyczały się do ciemności. W rogu pokoju zobaczył siedzące kobiety. Jedna z nich biegła do niego. Z bliska zobaczył bladą jak śmierć, z wielkimi załzawionymi oczyma twarz Klaudji.

-Stefan! Stefan!- Usłyszał zdławiony jej głos.

-Ja myślałam, że już ciebie więcej nie zobaczę- Szeptala obejmując go ramionami.

Stefan przytulił ich do siebie. Obsypany pocałunkami był tak przejęty, że nie mógł mówić.

-Ja już jestem tu! Wszystko będzie dobrze! Zobaczycie, że będzie dobrze. Janek czeka z tratwą. Wszystko będzie dobrze!- wykszusił cichutko, i powoli zwrócił się do kobiet.

-Co się stało?- zapytał po litewsku.

Kobiety jedna przez drugą starały się wytłumaczyć, że Rosjanie zabronili Litwie przyjmować uciekinierów z Polski. Kazali odwozić ich na suchą granicę. Jedna furamanka z ludzmi jest w drodze do granicy, a Klaudja i Sławek mają być następni. Już są pilnowani.

Mówiąc to zerkały raz po raz w stronę ciemnego kąta. W którym Stefan zobaczył siedzącego policjanta.

-Tak! Tak!- pisnęła jedna z kobiet.

-Niektorzy to i samemu diabłu zgodzą się służyć!.

-Za ruble! Bo polskie pieniądze to dla nich guziki- zawołała głośno druga.

Oczy Stefana i policjanta spotkały się razem. Patrzył śmiało z wyrzutami. Zauważyć można było, że policjant go zrozumiał.

Spuścił głowę na dół, i z oczyma wbitymi w podłogę namyślał się nad czemś. Po chwili, podrapał się w głowę i uderzając dłonią w kolano, uniósł ją do góry. Mrugnął figlarnie do Sławka.

-Ja muszę zobaczyć co się dzieje u Serykas! zaje się, że ma jakąś skargę. Nie wiem już sam co ważniejsze? Pilnować tu? Czy iść tam?- poprawił czapkę na głowie.

-Ja zresztą, za kilka minut wróce! Długo tam nie będę!- zaśmiał się wychodząc.

Widać było, że Litwini nie lubili bolszewików. Bali się ich więcej niż szanowali. Była to świetna okazja przeciwstawieniu się ich woli. Nic dziwnego, że po odejściu policjanta, kobiety same zaofiarowały się dopomóc Stefanowi w przeniesieniu rzeczy.

Pilnujący tratwy Janek, wspiął się na górę brzegu rzeki. W tym miejscu Litwini z wioski, porozsiadani w grupach, śpiewali ludowe piosenki.

Z podziwem przyglądał się Polskiej stronie. Tuż przed nim, po drugiej stronie rzeki widział polankę na której tyle razy z rodzicami słuchał śpiewających Litwinów. Otoczona pięknymi zielonymi świerkami, które klaniały się pod naporem wiatru

.Po bokach płaczące wieżby moczyły swoje gałęzie w bystrej wodzie Niemna. A dalej potężne kasztany, zakrywały miasteczko swoimi zielonymi liśćmi.

Po lewej stronie widać było mostek na Rotniczance, łączący Druskieniki z Poganką. Wysoki brzeg Poganki obsypany był gęstymi kszakami bzu, które zasłaniały stromą ścieżkę do góry, ukazując tylko rebrak trawnika, na którym stała malutka w odległości ławeczka Piłsudskiego. Na dole Rotniczanka, swoim mocnym prądem wody, kłębiła się wirami, tańczącymi po rzece, jakby pragnęła udowodnić że nie jest taka mała, a Niemen szeroki w tym miejscu, pienił się w złości że go zaczepiła. Trochę dalej gdzie spokojnie, w zgodzie już obie rzeki płynęły, delikatna, biała mgła rozścieliła się na wodzie i rosnąc powoli zasłaniała obydwie brzegi sosnowego lasu.

Tam daleko pomiędzy drzewami ujrzał maleńkie postacie żołnierzy. Szli wolno, jeden za drugim. Tym razem było ich sześciu.

-Straż pograniczna! Zupełnie o niej zapomniałem.-Zawołał półgłosem.
-Jakie to wielkie szczęście mieliśmy w drodze na Litwę!- wstrząsnął się na myśl co by to mogło się stać.

Tamtych sześciu było o wiele za daleko żeby się o nich martwić. Ale tu mogła być inna grupa. Od Bolka wiedział że rosjanie nie mają ustalonych godzin patrolowania.

Zaniepokojony sytuacją postanowił przeglądnać każdy kawałek polskiego wybrzeża. Na wodzie nie było nikogo. Niestety, wielkie drzewa i gęste krzaki zasłaniały ścieżkę po której chodzili rosyjscy żołnierze. Zwrócił więc całą swoją uwagę na odsłonięte przejścia. Czas się włókł powoli.

-Co się z nimi stało?- Denerwował się coraz to bardziej, patrząc co chwilę w stronę wioski.

-Jak oni nie zjawią się za pół godziny to będziemy musieli czekać aż tych szesciu przejdzie cały ten kawał drogi i zniknie na zakręcie do mostu na wyspę. To będzie ciemno!- zawołał półgłosem. Zbiegł na dół i usiadł na tratwie.

Zaczęło szarzeć, obawa że po ciemku mogą wpaść na wiry pogarszały sytuację. Starzy rybacy opowiadali jak ciężko się z nich wydostać. Słyszał o kilku śmiertelnych wypadkach. Sama myśl o wirach niepokoiła go i martwiła.

Z radością zobaczył nadchodzącego ojca. za nim matka otoczona kobietami niosącymi bagaż, a na samym końcu głośno sapiący ze swoimi dwoma małymi walizeczkami. Sławek.

Oddał walizeczki ojcu i zbliżył się do Janka. Patrząc na brata z wielką goryczą odezwał się cichotko

-Ty wiesz że ja ich wcale nie rozumiem. Papla, jakimś tam zwarjowane słowa i zrozum ich? Ja myślałem że wszyscy umieją po polsku!

Nawet Rosjanie i to co drugie słowo mówili po polsku!-

-Sławek! Sławek! oni mówią po litewsku, mają swój język, a Rosjanie należą do Słowian dlatego ich mowa podobna jest do naszej.-
wytłumaczył brat.

-Ale ja ich nie rozumiem!- Zawołał rozczarowanym głosem Sławek, usiadł na tratwie z boku matki i przyglądał się jak ojciec z Jankiem, walcząc z mocnym prądem wody, pchali palami tratwę.

Starali się dostać do lepszego miejsca, żeby łatwiej było przepłynąć na drugo stronę.

-Teraz!- Zawołał Stefan, i obydwaj pchneli tratwę na głęboką wodę.

Sterując zawzięcie zbliżyli się do polskiego brzegu. Naraz usłyszeli krzyki w rosyjskim języku.

Stefan szybko przerzucił drąg na drugą stronę.

-Klaudja! Sławek! siadajcie nisko za rzeczami! Janek! pomóż mi skrecić w lewo!- Zawołał rozkazującym głosem.

Wiosłując jak tylko mogli, starali się zmienić kierunek tratwy. Przez moment wydawało się że płyną spowrotem na Litwę.

Żołnierze Rosyjscy widząc tratwę płynącą spowrotem na litewską stronę wystrzelili kilka razy.

Odbijające się o wodę kule i głośny huk wystrzałów przestraszył uciekinierów. Przykucnели nisko. Starali się odsłonić od strzelających żołnierzy.

Mocny w tym miejscu prąd rzeki, porwał tratwę i rzucił ją prosto na wiry. Kręcąc ja dookoła jak korek pchnął ich w stronę Litewskiego brzegu.

Z daleka od strony wioski ujźeli pograniczną straż biegnącą im na spotkanie.

Znaleźli sie w pułapce. Niezależnie do ktorego brzegu dopłyną, dostana sie w sowieckie ręce.

Ochota do walki ustąpiła razem z energją. Zniechęceni siedzieli spokojnie czekając na beznadziejny los.

Widzieli jak sześciu żołnierzy dołączyło się do strzelających i znów kilka brzęczących jak osy kul przeleciało z boku tratwy. Odbijając się o wodę zakotłowały się w piasku tuż koło nóg litewskiej pogranicznej straży, wywołując popłoch.

Litwini pochowali się za wydumą piasku i wystrzelili kilka razy w stronę rosyjskich żołnierzy, zmuszając ich do ukrycia się za drzewami.

Zaskoczeni tą nagłą zmianą, Rosjanie przestali strzelać. Ukryli się i obserwowali tratwę, gotowi do aresztowania gwałcicieli granicy.

Korzystając z ciszy Stefan z Jankiem zaczęli walczyć z wirami. Wiosłowali drągami. Starali się odpłynąć jak najdalej od środka rzeki, gdzie Rotniczanka wpadała do Niemna, i dostać do najbliższego brzegu rzeki.

Teraz nie zależało do którego wybrzeża dopłyną, żeby tylko wydostać się z wirów, które mogły wywrócić tą niewielką, przeładowaną tratwę.

Tratwa gnana prądem wody, niezwracając uwagi na ich starania zatoczyła wielkie koło, zbliżając się raz do polskiej strony, a raz do litewskiej.

Zdawało się że następne koło o wiele większe wyrzuci ich na brzeg polski, gdy naraz mocno kręcący się wir, porwał ich, zakreślił dookoła i pchnął, daleko na sam środek bystrej rzeki, poza wirującą się wodą.

Zmrok i delikatnie napływająca mgła zasłoniła ich od zdumionych żołnierzy po obydwóch stronach Niemna.

Oszołomiony, wstrząśnięty tą nagłą zmianą, przerzucił drąg bliżej Janka i zanurzył głęboko w wodzie. Mocny wstrząs i zgrzyt tratwy oznajmił że znaleźli się na płytszej wodzie. Kilka mocniejszych pchnięć wyginającego się draga i dobili do polskiej małej plaży.

Obracając kilka razy, przenieśli cały bagaż do sosnowego lasu po drugiej stronie pogranicznej ścieżki. Waliśki razem z pakunkami ukryli w wielkim jałowcowym krzaku. Janek odepchnął tratwę od brzegu i dołączył się do czekających na niego rodziców.

Wielka tarcza księżycy wypłynęła z za drzew oświetlając okolicę. Posuwając się jeden za drugim dostali się do Rotniczanki. Nie widząc nikogo na mostku przebiegli szybko na drugą stronę. Wspieli się po stromych schodach na górę wysokiego w tym miejscu brzegu rzeki. Ulicą Józefa Piłsudskiego doszli do apteki.

Zmęczona długim czekaniem pani Bojakowska, nie miała siły, ani ochoty do narzekania. Zabrała gotowe lekarstwo i zadowolona opuściła aptekę.

Zaraz po jej odejściu Stefan zamknął frontowe drzwi sklepu, zgasił światło i udał się do stołowego pokoju. Z dumą spożywał na zajętych jedzeniem synów. Mrugnął do Klaudji, i krzątającej się dookoła nich Marji.

-Niema lepszego miejsca jak w swoim domu! Co masz do jedzenia? - zaśmiał się wesoło, szczęśliwie, jakby wielka troska spadła mu z serca.

Następnego dnia z samego rana Janek z Henkiem pchając mały dwókołowy wózek dojechali do sosnowego lasu. Pół godziny szukali zanim nie znaleźli ukryte w jałowcu walizki.

Przez następnych kilku dni, w miasteczku chodziły pogłoski o nieporozumieniu pomiędzy Litwinami i Rosjanami. Ludzie opowiadali o strzelaninie pomiędzy żołnierzami. O tratwie nikt nic nie mówił. Nikt nic nie wiedział.

V

Zaraz po nieudanej ucieczce do Litwy, Klaudja jak co roku zaczęła przygotowywać się do zimy. Spiżarnia do której wchodziło się z korytarzyka łączącego aptekę z prywatnym mieszkaniem, zapachniało świeżą cebulą, wiszącą na długich plecionych warkoczach. Obok stała duża beczka z kamieniem na denku, pod którym nęciła zapachem kwaszona kapusta.

Jarzyzny i owoce , kupowała na rynku od chłopów. Kilka furmanek drzewa na opał i do gotowania przywiózł Stary Bartosz z okolicznej wioski. Równy pocięte drzewo poukładał pod schodami na strych z boku drzwi do przedniego budynku.

Zajęty od rana do późna w nocy Stefan nie mógł jej w niczem dopomóc. Do chorych pacjentów, dołączyli się ranni po wojnie żołnierze i pobici przez milicjantów ludzie.

Zajęty przygotowaniem się do szkoły Janek, nie zauważył wjeżdżającego na podwórko wozu. Dopiero głośne wołanie Sławka oderwało go od książek.

Na podwórku zobaczył Bronkę Serykas. rozmawiającą z Klaudją. Młoda, przystojna brunetka latem pracowała w aptece, a zimy spędzała z rodzicami w Szandubrze.

-Janek! Ja przywiozłam ziemniaki, słyszałam że nie macie ich na rynku. Ten worek dla was- wskazała ręką.

-Poproś ojca żeby przyszedł do stołowego pokoju. Bardzo pilna sprawa!

Poprawiła koniowi worek z owsem, zarzuciła na jego grzbiet koc i podążyła za Klaudją.

Zaciekawiony Janek co za nowinę przywiozła Bronka, zostawił ziemniaki w korytarzu i wślizgnął się delikatnie do apteki.

W aptece kilku rosyjskich oficerów rozmawiało z ojcem. Zaciekawiony zatrzymał się przy drzwiach i słuchał.

Najmłodszy z wyglądu błędyn o wielkich szarych oczach, uderzając się dłonią o kolano, opowiadał o wspaniałym miasteczku w którym mieszkał.

Stojący w kącie pokoju staruszek ,podrażniony jego nadmiernym wychwalaniem się, zapytał cicho.

-Jak miałeś tak dobrze, to na djabła przyjechałeś tutaj ?-

To proste pytanie zaskoczyło młodzieńca. Spojrzał z wyrzutami na staruszkę. Szturchając łokciem siedzącego z boku, okrągłego na twarzy jak słońce towarzysza zaśmiał się głośno.

-My tu jesteśmy, żeby was oswobodzić!- Prawda Kryszka!- zawołał głośno.

-Tak! Tak!- przytaknął mu kolega.

-Oswobodzić? Od czego?- zdziwił się staruszek.

-Od jaźma! Od niewoli! Od burzuj!- krzyknął młodzieniec czerwieniąc się na twarzy.

-Towarzyszu! u nas niewolników nie ma.- przerwał mu staruszek, patrząc na oficera ze zdumieniem.

Okrągły na twarzy Kryszka spjrzał z niezadowoleniem na staruszkę.

-Co wy tam wiecie!- burkął głębokim basowym głosem.

Młody błędyn uniósł się z krzesła. Wolnym krokiem zbliżył się do staruszkę i patrząc zrozumiście w jego przestraszone oczy wycedził.

-Ty wiesz! My tu jesteśmy żeby was oswobodzić od faszystów!-

Dumny z wrażenia jakie wywarł na staruszkę, odwrócił się do swoich kolegów. Widząc ich niezadowolone twarze zamilkł. Duma i pewność świecąca się, przed chwilą na jego twarzy, zamieniła się na niechęć i obawę.

Patrząc niepewnie na swoich kolegów, nie odzywając się więcej do nikogo, z bolesną miną opuścił aptekę. Za nim bez towaru, podążyli jego koledzy.

Zaintrygowany tym Janek zapytał ojca co się stało, dlaczego oni w najciekawszym miejscu dyskusji opuścili aptekę.

-Widocznie w zapale ten młody oficer powiedział to, czego nie miał prawa mówić.- Wytłumaczył ojciec.

-U nich nie można wyrażać swojej opinii!- Potrząsnął głową staruszek.

-Młodzience! Wakacje skończone! Gimnazja w Grodnie otwarte. Tylko pamiętaj! Trzymaj język za zębami, uważaj co mówisz. Naprawdę uważaj! Mówiłem już ojcu. Pociągi chodzą normalnie. A teraz muszę jeszcze zawiadomić Zbyszka Witkowskiego- Uśmiechnął się smutnie, zabrał gotową receptę i wyszedł.

Bronka Serykas pochodziła z litewskiej rodziny, której większa część miała swoje posiadłości po drugiej stronie Niemna. Ona sama miała tam kilka hektarów ziemi z lasem, do którego kilka razy zapraszała Falowskich na grzyby.

Widząc wchodzącego Stefana a za nim Janka podniosła się z krzesła. -No nareszcie! Dzieńdobry panie Falkowski. Mam dla was bardzo ważną wiadomość.- uśmiechnęła się z zadowoleniem.

-Mój brat dostał odpowiedź z Kowna że wy jesteście przyjęci i możecie śmiało tam jechać. Przepraszają za nieporozumienie. Tylko z przedostaniem się to nie bardzo łatwa sprawa. Patrolują na całego! Pozatem jest trudno z Łódkami. Także, mój brat Waldek, co mieszka po litewskiej stronie, dał mi znać, że on będzie miał Łódkę w czwartek 12 października. Wieczorem może was przewieść. My też zostawiamy wszystko i jedziemy na tamtą stronę. Oni to coraz gorsi! Żołnierze zgwałcili dziewczynę co pracowała na polu. Ojciec do milicji ze skargą, a oni go wyśmieli i wyrzucili na dwór. W oczach kradną kartofle, cebulę, sasiadowi zabrali cielaka i mówią że konfiskują to w imieniu jakiegoś tam "batki". Ola Boga! Co tu się dzieje!.- otarła spocone czoło.

-Tak, Tak! Masz rację powinniśmy stąd wyjechać, Szumowina rządzi. Nasz bagaż jeszcze nie rozpakowany. Schowany u Stolarskiej.- Ucieszyła się Klaudja.

-Ale! 12! Czwartek? To jutro! - Stefan spojrzał ze zdziwieniem na Klaudję

-Tak to jutro. Jutro wieczorem to ja mogę dołożyć jeszcze kilka walizek no i kilka pakunków.- Zasmiała się radośnie.

-Poczekaj! Poczekaj!- powstrzymał Klaudję Stefan.

-Nie bądź w gorącej wodzie kąpana! Do jutra wieczoru sporo czasu. Musimy być bardzo ostrożni. Żeby nikt nic o tem nie wiedział. O której jutro nasz zabierzesz?- zwrócił się do Bronki.

-Ja będę z wozem o jakiejś ósmej albo i dziewiątej wieczorem. Waldek przewiezie was o drugiej w nocy. Mówił że to najlepsza godzina. A jak pani spakuje tych kilka rzeczy zanim ja nie wrócę to je dzisiaj zabiorę, żeby jutro, jak by nas zatrzymali w drodze, nie wyglądałoby podejrzanie. Mnie milicjanci zatrzymali niedaleko dworca kolejowego i pytali dla kogo wiozę kartofle. Powiedziałam że na rynek, no i musiałam oddać im jeden worek. Inaczej by mnie nie przepuscili. A te dwa to dla Markiewicza. Zaraz odwiozę i wróce spowrotem.- Założyła chustkę na głowę i zawiązując pod brodą spojrzała na Janka.

- Chcesz ze mną jechać? Pomożesz mi wyladować worki?. Markiewicz to stary człowiek, nie chcę żeby je podnosił.-

-Oczywiście! A jutro pomogę matce w domu. Nie pojedę do Grodna.- zgodził się Janek.

Stefan spojżał poważnie na syna.

-Janek! Pojedź również z Bronką do Stolarskich i pomóż załadować resztę rzeczy. A jutro z rana jedź do Grodna, do szkoły tak żeby nie zwracać na siebie uwagę. I nic nikomu nie mów, nawet najlepszemu koledze. Będziesz spowrotem o drugiej albo o trzeciej bo pociagi chodza z opóźnieniem. A potem jak zjesz obiad to zabierz kilka książek i idź do Stolarskich. Tam będzie czekała matka ze Sławkiem. A ja zjawię się trochę później. Róbmy wszystko tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Bronka! Zabierzesz nas z Poganki. To będzie o wiele bezpieczniej. Tam milicjanci nie chodzą i jest blisko lasu.

A teraz ja muszę iść do apteki.-

-O dzięki Bogu! O dzięki Bogu!- ucieszyła się Klaudja.

VI

Następnego dnia z samego rana na stacji kolejowej Janek kupił bilet do Grodna. Tak jak poprzedniego roku, przesiadł się w Porzeczu na pociąg do Grodna. Tym razem na linii Wilno - Białystok.

W podziale polskiego kraju, Warszawa dostała się w niemieckie ręce.

W gimnazjum zobaczył wielkie zmiany. Obecne władze zabroniły odmawiania modlitwy przed rozpoczęciem nauki.

Obrazy, prezydenta Polski Ignacego Moscickiego i Marszałka Józefa Piłsudskiego zamienili na Lenina i Stalina. Pośrodku obrazów, rzucał się w oczy jasny ślad po godle państwowym.

Studenci z kwaśnymi minami, malomówni chodzili po korytarzach jak cienie. Starsze klasy świeciły pustką. W wielkiej tajemnicy Janek dowiedział się, że niektórzy uczniowie brali udział w obronie Grodna. Niektórzy z nich są aresztowani. Na kilku pulpitych leżały czarne kokardy.

Jacyś rosyjscy oficerowie chodzili od klasy do klasy, notując coś w grubych zeszytach.

Zdezorjetowani profesorowie nie wiedzieli co i z czego mają uczyć. Po zapoznaniu się ze studentami, powrócili do starych książek.

Tak jak ojciec przepowiedział, pociąg się opóźnił, i o godzinie trzeciej Janek dojechał do Druskienik.

Trochę nerwowo wbiegł do apteki. Za ladą zobaczył niską postać Pana Henryka Kaca.

-O, o! Ojciec napewno prosił żeby go zastąpił.- mruknął pod nosem i delikatnie opuścił aptekę. Kilkoma długimi susami dobiegł do tylnego mieszkania.

W jadalni na kanapie siedziała płacząca matka. Przytulony mocno do niej Sławek ronił łzy wielkości grochu.

-Co się stało?-zapytał przerażony, patrząc szeroko otwartymi oczyma na stojącą koło drzwi kuchennych Stolarską.

-Mamo! Tak nie można się martwić! Nieudało się tym razem to uda się drugim razem.-zawołał nie czekając na odpowiedź.

Stolarska ocierając łzy na policzkach odezwała się cicho.

-Aresztowali twojego ojca.- i szybko wyszła do kuchni

-Co?- zawołał zdławionym głosem Janek, czując jak go coś scisnęło za gardło.

-Mamo! niech mama powie co się stało! Nalegał nie wierząc własnym uszom.

Klaudja powoli otarła łzy z twarzy i przerywanym głosem zaczęła mówić.

-Około dziesiątej rano przyszedł milicjant. zawołał ojca na posterunek. Niby to miał coś im wytłumaczyć. Odpowiedzieć na kilka pytań. Stefan zostawił wszystko i tak jak stał tak poszedł. Bez płaszcza i kapelusza. No! Niby to na chwilę! A ja czekam na niego i czekam.- Matka zaczęła znowu płakać.

Janek cierpliwie czekał. Zagryzł mocno wargi i patrzył na matkę. Po chwili mowiła dalej.

-Po południu poszłam tam. Niby to zanieść płaszcz. Powiedzieli mnie prosto w oczy za zaaresztowali ojca i zamkneli w więzieniu. Ma być jakaś inwestygacja.-

-Mamo! Skąd oni się dowiedzieli? Tylko ojciec, mama, Bronka i ja wiedzieliśmy o ucieczce. Nawet Stolarska nie wiedziała. Powiedziałem jej, że zabieramy rzeczy do domu. Ja tego nie rozumiem!-

-Nie! Nie! Nie! Janek! O naszej, znowu nieudanej ucieczce, nikt nic nie wie. To oni planowali to dawno temu! komuniści, polscy i rosyjscy

komunisty, razem. Zważali się i to co widzisz robią. Podobno dawno temu, zrobili listę kogo będą aresztować. Jak zaniósłam ojcu płaszcz, to przez drzwi widziałam doktora Trusewicza. Jego też aresztowali. Z ojcem to nie pozwolili się nawet zobaczyć. Przecież on nikomu nic złego nie uczynił!- Otarła łzy na policzku.

-Zabili moją matkę, rostrzelali ojca, zamordowali siostrę, a teraz zaaresztowali męża. Co oni od mnie jeszcze chcą?- płakała coraz to rzewniej.

Janek niewiedząc co ma zrobić zawołał do pomocy Stolarską, Razem starali się uspokoić Klaudję.

Późno w nocy Janek słyszał jak matka płakała. Serce mu się scisnęło w beznadziejnej słabości. Krzywdą wyrządzoną rodzinie ryła się głęboką raną w jego sercu.

Na drugi dzień pod wieczór zajechał na podwórko Stary Bartosz. Przywiązał konia do płotu i zaszedł prosto do kuchni, gdzie Stolarska zmywała naczynia.

-Mogę porozmawiać z gosposią?- Zapytał zdejmując czapkę.

-Oni są w jadalni.-

-Nu to mogę tam zajść?-

-Zaraz ! kobieta ma wielkie zmartwienie. Niech się zapytam.- Stolarska otworzyła drzwi.

-Pan Stary Bartosz chce z panią rozmawiać- Oznajmiła przybysza.

-Niech pani poprosi go do stołu. Przyjechał z daleka i napewno głodny, trzeba go nakarmić'- odpowiedziała cichym głosem Klaudja.

Bartosz usiadł na wskazanym mu krześle. Uniósł łyżkę do góry, i trzymając ją nad talerzem odezwał się cichym głosem.

-Pani męża aresztowano. To bardzo szkoda O! bardzo. U nas też aresztowali kilku ludzi z wójtem na czele. Złe czasy! Ciężkie czasy!-

-Niech pan je bo zupa ostygnie.- Przerwała mu Stolarska.

-Jem! Jem! Ale muszę najpierw coś powiedzieć- przełknął kilka łyków zupy i sojrzał na Klaudję.

-Pani mnie daruje, że cały bagaż zostawiłem na Pogance.-

-Panie Bartoszu Jaki bagaż? -

-Wasz! O! niech wytłumaczę- odłożył na bok łyżkę.

-Widzi pani Bronka kazała mi odwieść. Ona przyjechała wczoraj na Pogankę i jak tylko dowiedziała się, że aresztowano pani męża, to zawróciła ~~z~~ powrotem. Niedaleko stacji kolejowej zatrzymał ją milicjant. Słowo do słowa i ona jak pani sama wie, moja wnuczka, energiczna dziewczyna, jak go nie wyrznie w głowę batem i raz i dwa. Podobno przewrócił się, a ona w nogi. Zostawiła wszystko na moją głowie i pojechała na Litwę.- Dokończył jeść zupę i spojrzał na stojącą z boku Stolarką.

-Wasza matka kazała wnieść rzeczy do przedniego mieszkania. Stoi puste w drugim pokoju zasłoniłem firanki i tam zostawiłem. Bo jechać tu, to niebezpiecznie. Zatrzymują i pytają co wiesz. Po co! Dla kogo! Na co! Pani rozumie.-

-Bardzo panu dziękuję, ile sie panu należy.- Zapytała Klaudja.

-Pani mnie niech nie obraża! Tyle lekarstw za darmo, a ja mam liczyć za taki mały drobiazg. Przyjechałem równiesz dla Bronki, bo ją sumienie dręczy. Czy przypadkiem go nie zabiła! Ja to bym się cieszył, ale ona, to kobieta! Pani rozumie.

Klaudja spojrzała na śmiejących się Stolarką, Janka, i jedzącego kotlety Bartosza, usmiechnęła się smutnie.

-Panie Bartoszu, zima się zbliża, Potrzeba nam ziemniaków, Bronka za mało przywiozła. Pan wie dlaczego. - Zapytała smutnym głosem.

-Przywiozę ! Przywiozę i drogo nie policzę. Ale niech pani słucha.-

-Dowiedziałem się u Kurzelewkiego, że to był ten zawodowy pijak Stasiek Wróblewski. Nic poważnego mu się nie stało. Ale narzekał, że zamiast do

doktora, ktorego aresztował, to musiał iść do akuszerki, którą tak nie lubiał i zawsze wyzywał. Zabrał do więzienia pani męża, a teraz, jak mu potrzeba leków, to musi iść do jakiegoś tam Kaca. I to go boli! Kto to Kac? Może pani wie?-

-Panie Bartoszu Kac zastępuje męża, bo ja sama nie dam sobie radę. On ma skład apteczny i nauczył się robić recepty.- Wy tłumaczyła Klaudja.

VII

Minęło kilka dni, ale Stefana nie wypuszczono. Uwijająca się sprytnie, milicja aresztowała bardzo dużo ludzi. Jednych wypuścili a drugich odsyłali do więzienia w Grodnie. Pomiędzy nimi zabrali starego burmistrza miasta Kozłowskiego, wszystkich, przedwojennych policjantów, leśniczych, i kilku nieznanym Jankowi ludzi, którzy mieli prywatne interesa.

Aresztowania wstrząsnęły miasteczkiem jak straszna epidemia. Nabierające życia ulice na nowo opustoszały. Oprócz milicjantów i obładowanych rublami rosyjskich żołnierzy, tylko gdzie niegdzie zauważyć można było ze smutnymi twarzami spieszących się obywateli miasteczka.

Po długich godzinach szkoły, idący od stacji kolejowej do domu Janek, zauważył po drugiej stronie ulicy, swojego kolegę ze szkoły powszechnej, Władka Kucharskiego.

W starym polatanym ubraniu z mocno zniszczonymi butami, wyglądał bardzo biednie.

Jankowi zrobiło się nieprzyjemnie. Szkoda kolegi z którym tyle razy łapali ryby. Nie rozumiał tej nagłej zmiany w ubraniu. Przecież ojciec jego i matka byli w domu. Oboje pracowali. Powodziło się nie gorzej niż innym.

Władek również zobaczył Janka. Przebiegł ulicę i zbliżył się do niego.

-No co! zabrali twojego ojca. Skończyło się wasze panowanie!- Zawołał złośliwym głosem.

-Władek! Zastanów się! Co ty mówisz!- wstrząsnął się Janek.

-Tak! Tak! Teraz my będziemy rządzić! Zobaczysz! Komu nie będzie się podobało, temu w łeb, albo tak jak twojemu ojcu, do ciupy!- mówił prędko, śmiejąc się złośliwie.

Janek zupełnie bezwiednie złapał go za rękę, scisnął z całej siły i zamachnął się prawą, ale zatrzymał kułak w powietrzu. opanowując się powoli, spojżał prosto Władkowi w oczy.

-Dostał byś po nosie!- wycedził powoli.

-Ale ja ciebie nie dotknę! Ręk swoich nie zabrudzę. Ty sam wiesz, że mój ojciec nic wam złego nie zrobił. Polityką się nie zajmował! Pracował ciężko i jak mógł to pomagał innym! A wiesz co on mnie mówił! Że krzywda wyrządzona drugiemu, prędzej czy później będzie ukarana.- Odepchnął Władka od siebie. Zmierzył go wzrokiem od góry do dołu.

-Wiesz co Władek! ja bym się już tak bardzo nie poniżał. Udawać biednego! Pokrzywdzonego? Wy jesteście o wiele bogatsi od nas. A ja łachmanów nie noszę!- zaśmiał się kpiąco. Zostawił oniemiałego Władka, i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Jeszcze bardziej zasmucony, Zagłębiony w swoich kłopotach, nie zauważył mężczyzny, który zrównał się z nim i idąc z boku odezwał się cicho.

-Janek! Nie patrz w moją stronę, ale słuchaj.-

-Słucham- odpowiedział zaskoczony Janek.

-Ty trzymaj się z daleka od tego zdrajcy. Z czasem dużo gagatków odpowie za swoje zachowanie. Zobaczysz! Głowa do góry! Nie martw się o ojca. On jest w Grodnie i jakoś daje sobie radę, nawet drugich pociesza. A jak przyjdzie odowiedni moment to mu pomożemy uciec. Polacy w kłopotach umieją sobie radzić. Znasz to przysłowie. Oliwa

sprawiedliwa na wierzch wypływa! Prędzej czy później ludzie zrozumieją, że bez wolnej Polski nie będzie spokoju na świecie. Tak jest! Wola Boża! Wola Boża.

Zanim Janek mógł rozpoznać z kim rozmawiał, Mężczyzna przebiegł na drugą stronę ulicy i zniknął pomiędzy budynkami.

Pocieszony słowami nieznanego przyspieszył kroku.

Na werandzie natknął się na Józka Stolarskiego. Z boku, popłakojąc stała jego matka.

-Co się stało! co się znowu stało?- zawołał czując jak mu serce zaczyna walić z całej siły.

-Janek! Ty będziesz na mnie bardzo zły.- Zaczął tłumaczyć się Józek. Spuścił głowę na dół z ukosa spoglądając na bladą twarz Janka i wielkie jego oczy, Skwasił się na twarzy.

-Matka posłała mnie do sklepu. Na twoim rowerze.-

-No i co?-

-Ja pojechałem. Na drugiej ulicy zatrzymał mnie milicjant. Zarządził odemnie rachunku za rower. Oskarżył mnie, że go ukradłem. Z początku chciał zabrać mnie na posterunek, ale zmienił zdanie i posłał mnie po rachunek. Rower zabrał ze sobą. Czy ty masz rachunek za ten rower?- spojrzał niepewnie na Janka.

-Oczywiście, że mam! Poczekaj zaraz go dostanę. Zaśmiał się z ulgą Janek znikając w drzwiach korytarzyka.

Po chwili wrócił ze złożonym papierem w ręku.

-Chodź ze mną Józek! Ty wiesz który z nich zabrał rower. Prosto na policję! raczej na milicję- poprawił się.

Milicja zajmowała stary policyjny budynek, po drugiej stronie ulicy od apteki trochę z boku.

Chłopcy, na wycigi przebiegli na drugą stronę i z bijącymi mocno sercami, zasapani, weszli do niewielkiej poczekalni. Kilku cywilów

krzątało się tam, rozmawiając szeptem jeden do drugiego. Mieli oni na rękawach szerokie czerwone opaski.

Siedzący w kącie przy stole średniego wieku mężczyzna, przywołał ich do siebie.

-Co wy tu chcecie?- Zapytał ostrym głosem.

-Jeden z waszycch milicjantow skonfiskował mój rower. Tu jest rachunek o który on się pytał, czy mogę dostać rower ~~z~~powrotem?-

Zapytał Janek, podając milicjantowi rachunek.

-Towarzysz Gruzin! Towarzysz Gruzin! Co te duraki tu chcą? Co mam z nimi zrobić!- Zawołał milicjant nerwowym głosem w stronę stojących w grupie mężczyzn.

Szczupły na twarzy, lekko zgarbiony, w starym zniszczonym, wytartym do połysku na łokciach ubraniu, średniego wieku człowiek podszedł do stołu.

-To jest ten stary komunista, z którym policja miała zawsze tyle kłopotu.- Szepnął cicho Józek chowając się za Janka.

-Odeślij ich do towarzysza Gminy!- Zaśmiał się złośliwie Gruzin przyglądając ciekawie chłopcom.

-Poczekaj ja to sam załatwie.- Zatrzymał wstającego z krzesła milicjanta.

Zabrał od niego papier i przeczytał szybko. drapiąc się po nieogolonej brodzie, myślał co ma z nimi uczynić. Ostry błysk w jego małych szarych, przymrużonych oczach dał znać, że powziął decyzję.

-Chodźcie za mną! On wam wytłumaczy!- Burknął pod nosem kierując się w stronę korytarza. Minął kilka drzwi i zatrzymał się przy ostatnich. Delikatnie zastukał.

-Kto tam!- Usłyszeli gruby głos.

-To ja towarzyszu Gmina, to ja.- Zapiszczał śmiesznym głosem Gruzin.

Otworzył drzwi, wepchnął chłopców do środka, położył rachunek na

stole i szybko opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

Janek, uczuł się jakby był w niebezpieczeństwie. Rozejrzał się po pokoju. Z boku na ścianie wisiał wielki obraz Stalina otoczony dookoła czerwonymi flagami. Po środku stał duży dębowy stół, przy którym siedział Gmina na miękkim fotelu.

Dwa inne fotele stały z boku. Jeden z nich odkręcony trochę bokiem do Janka, ukazując częściowo starty napis, *Hot-1 War--a--*. zdradzał miejsce pochodzenia.

Gmina tęgi mężczyzna o wielkiej okrągłej głowie z dużym, garbatym nosem, Gładko ogolony z krótko obciętymi, ryżymi włosami flegmatycznie podniósł rachunek za rower. Trzymając go dwoma palcami u góry, spojrzał na chłopców.

-Co to jest? Gdzie go ukradłeś? Gdzie schowaliście rower?-

-Jeden z milicjantów go zabrał. A to jest dowód, że rower należy do mnie. Czy mogę go zabrać?- wykszusił cichym głosem Janek.

U Gruzina czarne jak węgle oczy zaświeciły się. Ostro swidrując nimi chłopców, zgniótł papier w rękę i rzucił go do stojącego z boku pudełka na smiecie.

-Takich swistków ja widziałem całą masę! Teraz one nie są nic warte! Tylko co komunistyczny rząd wam powierzy, to możecie trzymać. A teraz won stąd!- Krzyknął czerwieniąc się na twarzy jak burak.

-Słyszycie! Zastrzelę jak psów! Bandyti! Złodzieje! Oszukańcy! Won stąd! Won! - krzyczał tak głośno, że aż Gruzin wpadł do środka zobaczyć co się dzieje.

Widząc otwarte drzwi chłopcy jak strzały przesadzili korytarz, minęli pokój ze stojącymi z otwartymi ustami milicjantów i znaleźli się na schodach wejściowych do budynku.

Naraz zbiegającego po schodach Janka, złapał w ramiona wchodzący do budynku milicjant. Sprytnie przyłożył usta do jego ucha.

-Ja widziałem się z twoim ojcem. Jest zdrow i dobrze się trzyma. Prosi żeby się o niego nie martwić. Powieć matce żeby przygotowała paczkę z jedzeniem. Nie zapomnijcie papierosów. Zanieś paczkę do Witkowskich a ja w sobotę, jadę do Grodna, to ją dostarczę.- Szepnął cicho.

Odepchnął Janka od siebie.

-Co tak lecisz jak oszalały! Drogi nie widzisz!- Krzyknął głośno za oddalającym się Jankem.

Sapiąc ciężko ze zmęczenia i nerwów Janek wbiegł na podwórko.

-On nas chciał zastrzelić! Swinia!- Usłyszał ciężko sapiący głos, siedzącego na schodkach Józka.

-Ja nie myślę żeby on zrobił nam jakąś krzywdę! Tak poprostu chciał nas nastraszyć i szybko się pozbyć.-

-No to dlaczego tak szybko uciekałeś?- Zdziwił się Józek.

-Bo niemogłem za tobą nadążyć.- Odpalił Janek.

-No i co! Prze zemnie straciłeś rower.- Otarł spocone czoło Józek.

Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Usiadł z boku na schodkach i zamyślił się. Nie było do kogo zwrócić się o pomoc. Rosjanie sami kradli co tylko się dało. U nich sprawiedliwosci nie znajdują. Dali oni władzę milicji, i w wielkiej współpracy, krzywdzą ludzi jak się tylko im podoba.

-Zapomnij o rowerze. Jak nie tobie, toby mnie zabrali. Ale! Jak mnie się uda, to może odkupię go na czarnym rynku- starał się pocieszyć zasmuconego Józka.

-Odebraliście rower?- Usłyszeli głos Stolarskiej.

-Nie!- wykrztusił Józek. I widząc niezadowoloną twarz matki, opowiedział co się stało.

Stolarska, nerwowo poprawiła chustkę na głowie. Odesłała Józka do domu i spojżała smutnie na Janka.

-To moja wina! Spieszyło mi się! Musiałam go posłać na rowerze.

Co to za czasy! Nie wiadomo jak żyć! co to za czasy!- tłumaczyła się bezradnie.

- To nic! Niech się pani nie martwi. To nic. Ja rower odkupię na czarnym rynku, zobaczy pani. Nie jest to jeszcze taka straszna strata.- Tłumaczył Janek starając się ją uspokoić.

-Ja ze zmartwienia o rowerze zapomniałam ci powiedzieć dobrą nowinę. Twoja siostra Nadzia przyjechała ze Lwowa. Rozmawia teraz z twoją matką, w gościnnym pokoju. Idź tam, bo ja muszę biec do piekarni po chleb i bulki.-

Po kilku pocałunkach i mocnych usciskach powitania ze starszą siostrą, Janek umiescił się obok Sławka na kanapie i słuchał co opowiada Nadzia.

Przystojna, smukła brunetka o niebieskich oczach Nadzia była zamężna za polskim oficerem Kobielskim, który podczas bitwy na pruskiej granicy dostał się do niemieckiej niewoli.

Zaraz po zajęciu Lwowa, Rosjanie wyrzucili ją z mieszkania, które znajdowało się w budynku wojskowym. Skonfiskowali resztę mebli których nie zdążyła ukryć u sąsiadów. Jeden z milicjantów, podczas konfiskacji mebli w złości wygadał się, że za kilka dni będzie aresztowana. Nadzia z tym co miała na sobie, złapała pierwszy pociąg w stronę Duszki. Chciała zobaczyć się z rodziną, potem jak się uda uciec do wujka do Rygi, a stamtąd do Francji. Od przyjaciół słyszała że Francja walczy z Niemcami i tam organizuje się Polskie wojsko.
-Czy wy wiecie że oni już wprowadzają swój głupi system.- mówiła popijając gorącą herbatę.

-We Lwowie polikwidowali prywatne fryzjernie i wsadzili wszystkich fryzjerów do jednego lokalu. Przy wejściu, płacisz dziewczynie za numer, który decyduje kto będzie praktykował na twojej głowie. Jak trafisz na patałacha, to twoje nieszczęście.

Bo nie można już wybierać fryzjera do którego masz zaufanie, albo ci kolerzanka poradziła, bo dobry i tobie się podoba. Zniszczyli konkurencję, zrównali zarobki, dlatego żaden z nich się nie spieszy ani stara.- Zasmiała się dotykając Sławka włosy.

-A szewcy wszyscy razem, w jednym budynku, reperują buty. Obijają się jak tylko mogą. Dostają jednakową zapłatę pod koniec tygodnia, to po co mają się spieszyć? Ja musiałam czekać dwa tygodnie na podbicie tych pantofli.- Uniosła nogę do góry, pokazując dobrze znoszone już pantofle.

-Stare ale bardzo wygodne w podróży. Przed wojną, zreperowali tą samą parę w jeden dzień. Wyglądały jak nowe. A teraz to nawet nie wyczyszcili. A w sklepach pustki nie do pomyslenia. Nic nie można kupić. A na czernym rynku za bajeczne ceny, to można jeszcze coś niecoś dostać. Czy u was tutaj, mają czarny rynek?- Zapytała z zagatkowym uśmiechem.

-Oczywiście Nadziu! One są przecież popierane przez milicję.- odezwał się Janek.

-Ty bujasz! Ja ci nie wierzę. Naprawdę? Przez milicję?-

-Wierz mu! Wierz!- dołączyła się do rozmowy Stolarska. Postawiła na stole koszyk, pełny świeżych pachnących jeszcze kajzerek.

-A gdzie oni mogli by kupować przemycone z Warszawy albo z Litwy produkty. A gdzie mogli by sprzedawać pokradzione, och przepraszam, pokonfiskowane rzeczy.- Potrząsneła głową Stolarska.

-Janek opowiedz co się stało z rowerem!- Dodała wychodząc do kuchni.

-No nic, prosto skonfiskowali na ulicy. Ja myślę że za kilka dni znajdę go na czarnym rynku. Oooo! zapomniałem!- Podniósł głowę do góry i spoglądając na zasmuconą twarz matki powtórzył co mu powiedział milicjant.

Wiadomość o ojcu ucieszyła wszystkich. Po raz pierwszy po aresztowaniu ojca, zobaczył Janek uśmiech u matki na twarzy.

Z nadzwyczajną energją zabrała się do robienia żywnościowej paczki. Stolarska dołączyła się z pomocą.

Na drugi dzień rano Nadzia pojechała do Grodna. Chciała zobaczyć się z ojcem, ale jej nie pozwolono. Po całodziennym chodzeniu dookoła więzienia z czeronymi, zapłakanyimi oczyma powróciła do Druskienik.

Dopiero podczas kolacji, wrócił jej coś nie coś humor. Janek starał się ją pocieszyć. Opowiadał o swoich kolegach w szkole. O Profesorach, którzy nie wiedzieli co mają ich uczyć. Co wolno a co niewolno pakować studentom do głowy. Widząc delikatny uśmiech na jej twarzy zaczął opowiadać o ciekawych zajściach z Rosjanami.

-Czy ty wiesz że jeden z moich kolegów sprzedaje rosyjskim żołnierzom chrabąszcze!- zasmiał się.

-Co ty! Co ty mówisz!- Przerwała mu uśmiechając się.

-Tak to prawda. Ty wiesz jak rosyjscy żołnierze szaleją za zegarkami! Kupują je z zamkniętymi oczyma. A placą ile im policzysz. No to on pokazuje takiemu żołnierzowi ręczny, przyzwoity zegarek, zabiera od niego dwiescie rubli, co jest szalenie tanio, wkłada zegarek do pudełka i zawija w papier. Odwracając na sekundę uwagę żołnierza w inną stronę, zamienia pudełko z zegarkiem na pudełko z chrabąszczem.-

-Zaraz zaraz ale poco chrabąszcz?- Przerwał mu Sławek, siadając z boku Nadzi.

-Widzisz Rosjanie nikomu nie wierzą. I taki żołnierz zaraz przykładając pudełko do ucha i jak słyszy szelest, myśląc że to zegarek cyka, chowa pudełko do kieszeni i zadowolony że kupili tak tanio odchodzi z chrabąszczem.-

-I jemu się to tak udaje?- zdziwiła się Nadzia.

-O tak! on sprzedaje na stacji kolejowej odjeżdżającym żołnierzom.

Ma rubli po uszy. Szkoda tylko że one są tak mało warte.-

-Ci żołnierze są tacy niemądrzy.- kiwnęła głową Nadzia. -

-We Lwowie, to mówiła moja znajoma że kupowała naftelinę. Ona kupiła mały kawaleczek a żołnierz obserwojąc ją z boku kupił cały kilogram, a potem dogonił ją na ulicy i pyta, jak długo się ją gotuje! Nafteline! Gotuje!- Zasmiała się głośno.

-Ale czy ty wiesz że w Grodnie żony oficerów poszły do teatru w nocnych koszulach! One myślały że to wieczorowe suknie. A w jednym hotelu który zajęli, to mieli pretensje że pogubili koszule podczas prania. Właściciel hotelu zapytuje co się stało, a oni mu mówią że włożyli koszule do klosza i tak jak myśleli, prawidłowo spuscili wodę. Kilka koszul woda wciągnęła do środka no i zatkała ustemp. W końcu mówią że nie rozumieją do czego to właściwie służy, bo próbowali tam się myć ale woda za szybko leciała.- Roześmieli się wszyscy razem.

-To ja ci coś powiem o ich kulturze.- odezwała się Stolarska. Dolała Nadzi herbatę i usiadła z boku.

-Teresa Wnuk co mieszka na drugiej ulicy, razem z koleżankami poszła do sklepu, tam myszkowało już kilka Rosjanek. Oglądały majtki. " No i do czego to" zasmiała się jedna z nich. To podenerwowało Irkę, Teresy koleżankę, podeszła do nich, podniosła sukienkę do góry i pokazując majtki z koronkami zawołała " Ha! Z waszą kultórá, widzicie! do czego one są! Tak się u nas nosi majtki! Kulturalnie! a teraz pokażcie co wy macie pod spódnicami." A Rosjanki czerwone jak buraki uciekły ze sklepu.- z zadowoleniem spojżała na śmiejących się.

-Tak! Kultura! Czyś ty słyszała co oni opowiadają o wielkiej kulturze i Rosji.- Zapytał zaciekawiony Janek.

-Oczywiście! Wielka wyrafinowana propaganda. Każdy to widzi. Gdyby tam tak dobrze było, jak oni mówią, to by nie oczyszczali sklepików,

płacąc bajeczne sumy za byle co. A kulturę to można zauważyć w ich zachowaniu się, i rozmowie- Odpowiedziała poważnie Nadzia.

-Wiecie co. Ja myślę że oni zacofani są najmniej pięćdziesiąt lat do tyłu, a może i więcej. Nierozumiem tylko dlaczego! Granica z Rosją przed wojną była szczelnie zamknięta i nikt nie wie naprawdę jak oni tam żyją. Żołnierze, to tylko, wychwalają się o tej kulturze, jakby ich ktoś nakrecił. Te same słowa, te same zdania. Nierozumiem tego.-

-Ale! Czy ty wiesz że ja widziałem Niemców w Grodnie!-

-Nie możliwe! No i co się stało?- Spojrzała z zaciekawioną miną na Janka.

Przyjechali na motocyklu z przyczepką do Brystolu w Grodnie. Otoczeni kłaniającymi się rosyjskimi oficerami, weszli do środka.-

-No i co? No i co?- Niecierpliwiła się Nadzia.

-Wyszedł jeden z nich z papierami w ręku, wsiadł do przyczepki i czeka. A zebrani ludzie dookoła, zaczęli syczeć i gwizdać. Rosyjscy żołnierze rozgonili tłum, bijąc kolbami kto znalazł się im na drodze.-

-Ty musisz uważać! Nie chodź tam gdzie niebezpiecznie, Nie narażaj się niepotrzebnie.- Starła się pouczyć młodszego brata, ale Janek zmienił temat, pytając ją o przygodach i zamiarach na przyszłość. Rozmawiali tak do późna w nocy.

Następnego dnia Nadzia wyjechała do Wilna. Kilka dni potem, po opróżnieniu sklepów i wielu aresztowaniach Wilno zostało dołączone do Litwy.

Pod koniec tygodnia, Klaudja dowiedziała się od znajomych którzy mieli kontakt z ludźmi, którzy przynosili towary z Łotwy do Wilna i Grodna, że Nadzia razem z koleżanką i innymi ludźmi, złapani zostali przez Rosjan na granicy Łotewskiej. W drodze do posterunku, udało im się uciec od straży pogranicznej. Tej samej nocy przeszły na nowo granice. Obie są zdrowe i całe w Rydze u wujka.

Tego samego dnia do apteki przyszedł Gruzin. Zaczął wypytywać się u Klaudji o Nadzie,

-Ona tu u was mieszka? Bo ja bym chciał z nią porozmawiać!-

-Panie szanowny! Ona tu była, z wizytą i pojechała do Wilna. Szuka męża. Myślała że on przyjechał do Druskienik. Ale tu go też nie ma. Zginął gdzieś podczas wojny, niewiadomo gdzie. Szkoda że nie było pana tutaj tydzień temu, to by mógł pan z nią porozmawiać.

-Wy nie mówcie na mnie Pan!-

-A jak?-

-Mówi się towarzysz! Macie jej adres?-

-Nie. we Lwowie wyrzucili ją z domu, to mieszka po koleżankach. Ja sama nie wiem u której.-

-Pod jakim ona nazwiskiem?-

-Nadzia Kobielska.-

Klaudja mówiła prawdę, bo wiedziała że milicja wszystko wywącha. Nadzia była w bezpiecznym miejscu, i nie trzeba było się o nią martwić.

Niezadowolony Gruzin przez dłuższą chwilę spoglądał z ukosa na Klaudje. Zapisał coś w swoim wielkim zeszycie i uniósł go do góry.

-Wy dajcie mnie natychmiast znać! Jak ona tu przyjedzie. Rozumiecie Natychmiast!-

-Natychmiast! Natychmiast!- odpowiedziała Klauja, patrząc z ulgą za wychodzącym z apteki milicjanem.

Kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia do apteki wpadła pani Wanda Liszkowa. Poddenerwowana czekała aż kilku żołnierzy opuściło aptekę. Po ich odejściu usiadła na krześle i patrząc na Klaudję szeroko otwartymi oczyma potrząsnęła smutnie głową.

-Pani Falkowska! Z kim my mamy doczynienia? Z jakim djabłem? Co się dzieje na tym świecie?-

-Niech pani sie uspokoi, my wszyscy przeżywamy złe czasy.-

Odpowiedziała Klaudja zdławionym głosem.

-Tak! Tak! Czy pani wie że ja niedosyć że mam na głowie kilku rannych z wojny, a tu wołają do Zawickich! Pobili Bolka! Ja z bandażami, woda utleniona, jodyna, biegnę tam. Pobili! Ale jak pobili! Boże święty, oni połamali mu żebra! Odbili nerkę! Nie mówiąc o zębach i podbitych oczach.- Złapała się rękoma za głowę.

- Doktorów aresztowali, ja jestem tylko akuszerka. Sama nie daję sobie radę! Nie wiem co będzie? Poprostu nie wiem! Czy pani wie co mówił Bolek? Że wprowadzili go do małego pokoju w którym czekało na niego trzech chłopów z gumowymi pałkami! Walili gdzie popadło, pchając jeden do drugiego. Bili go tak kilka razy. Pierwsze dwa bicia wytrzymał i nie chciał podpisać podsunietego mu papieru, bo mówi że to nieprawda co tam napisane. Ale po ostatnim razie to mówił, że on podpisał co tylko pod rękę mu podsuneli, nie pamięta co i kiedy podpisał. Oni z początku biją a potem zadają pytania. Biedny Bolek mówił mi, że dużo innych przechodzi takie same katowania. Załamują człowieka, a potem robią z nim co im się podoba. No i pani wie, zaczęli konfiskować prywatne interesa. Własności prywatnej więcej już nie będzie! Ola Boga! Ola Boga! Co się na tym świecie dzieje!- Z rozpaczoną twarzą zabrała lekarsta i opuściła aptekę.

Po jej odejściu Klaudja, zostawiła aptekę Kacowi a sama zamknęła się w pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. Dopiero pod wieczór wyszła z czerwonymi zapłakanymi oczyma.

Nadeszło smutne Boże Narodzenie. Klaudja dowiedziała się od wypuszczonych z więzienia ludzi, że Stefan znajduje się jeszcze w więzieniu, w Godnie. Ucieszona, że go nie odesłano tak jak innych do Rosji, zawiozła mu paczkę żywnościową. Zobaczyć się z mężem nie pozwolono.

VIII

Pomimo największych starań pani Stolarskiej i kilku zaproszonych gości na wigilię, odczuwało się wielki brak ojca i siostry.

W jadalnym pokoju przy małej choince z kilkoma prezentami, tak jak co roku, podzielili się opłatkami, życząc sobie zdrowia i siły do przetrwania tych ciężkich chwil życia, i tak jak co roku wszyscy poszli do wypełnionego po same brzegi kościoła, na pasterkę.

Znając komunistów i pamiętając co mówiła Liszkowa, Klaudja zdecydowała przenieść się na Pogankę.

Wynajęła od Viktorji Kozłowskiej frontowe mieszkanie na Pogance. Na drugi dzień swięt posłała Janka do Szandubry po Starego Bartosza z wozem.

Stary Bartosz, przeziębiony, przyjechał z młodszym synem tego samego dnia pod wieczór. Starał się nie zwrócić niczyjej uwagi, bocznymi ulicami, obrocił dwa razy. Zabrał jarzyny, ziemniaki, i więkrzą część mebli z przedniego budynku.

Wstawił meble do środka i solidnie kichający, obiecał że przyjedzie, jak tylko poczuje się lepiej.

Ciężkie chmury kłębiły się na niebie, jakby nie wiedziały czem mają obdarzyć miasteczko i okolice, zimnym, ostrym deszczem czy białym pulchnym śniegiem. Na dworze było zimno, szaro, ponuro, tylko maleńkie sople na gołych gałązkach drzew, świeciły matowym blaskiem.

Klaudja weszła do apteki, Przełożyła z kasy do torebki pieniądze i podała ją, idącemu za nią, zaspanemu Sławkowi.

-Zabierz ją do stołowego pokoju. Powiedz Stolarskiej żeby kupiła chleb i bułki, bo nie mamy nic na śniadanie, i poproś ją, żeby po drodze zaniósła to lekarstwo do Pani Liszkowej. Powiedz jej, że ja jak tylko skończę tą receptę, przyjdę na siadanie. - podała Sławkowi spory zawinięty sznurkiem pokunek.

Otworzyła drzwi do apteki i wpuszcila czekającą na ulicy Henię Kurzelewską. Starsza ta kobieta podała Klaudji małą kartkę.

-Pani Falkowska! To lekarstwo dla mojego męża, on też w więzieniu, w Druskienikach. Czy pani posłała swojemu mężowi paczkę?-

-Tak posłałam. Jego imieniny były 26 grudnia, dwa dni temu. Posłałam jedzenie i ciepłą bieliznę bo coraz to zimniej.

-Pani Pani ten 39 rok to bardzo ciężki dla mnie, bardzo. A co to! czorty idą! Wskazała ręką na kilku milicjantów przechodzących ulicę.

-Oni tędy zawsze chodzą i zawsze w grupie.- Odpowiedziała Klaudja.

-Ola Boga! Oni tutaj idą!- Zawołała prestraszonym głosem staruszka, patrząc się na wchodzących milicjantów do apteki. Za milicjantami wslizgnął się delikatnie właściciel zakładu aptecznego Robert Kac.

Milicjanci ustawili się dookoła. Towarzysz Gruzin przeczytał głośno jakiś dokument, napisany w języku rosyjskim i odwrócił się do Klaudji.

-Od tej pory apteka należy do Związku Radzieckiego. Oddaj mi klucze!-

Odebrawszy klucze, podał je Kacowi i rozkazał Klaudji, nie dotykając niczego opuścić aptekę.

Blada na twarzy, niemogąc wypowiedzieć ani słowa, Klaudja podała Zawickiej lekarstwo i wyszła przez korytarzyk do swojego mieszkania.

-Korytarz i piwnica należą do apteki!- Zawołał za nią Gruzin.

-Niewolno wam nic stamtąd zabrać!- krzyknął za odchodzącą Klaudją.

Po kilku minutach, Jeden z milicjantów, wielkimi gwoździami przybił drzwi do ramy, z korytarza do prywatnego ich mieszkania.

Wszystko co się zostało w korytarzyku i aptecznym pokoju, niewyłączając beczki z kiszoną kapustą, której Klaudja nie zdążyła zabrać z piwnicy, należało teraz do komunistów.

Przerażona Zawicka, ominęła z tyłu jednego z milicjantów, przez szeroko otwarte drzwi wyszła na ulicę.

Wiadomość o konfiskacji apteki rozeszła się błyskawicznie po miasteczku i okolicy. Stary Bartosz przysłał swoich synów z dwoma wielkimi furmankami. Zabrali oni na Pogankę resztę mebli z mieszkania przy aptece.

-Jak tylko Stolarska zrobi miejsce na resztę mebli to ja zawołam was do pomocy, dobrze?- zapytała Klaudjz podając im pieniądze.

-Dobrze ! Dobrze! Pani Falkowska, oczywiście, że przyjedziemy, i pomożemy, ale pieniędzy ojciec zabronił brać.- zawołał młodszy syn uchylając czapkę.

-Dla nas to wielka frajda, spłatać figla komunistom. Szkoda że pół apteki nie schowaliśmy gdzieś w lesie. Nasi by korzystali z niej, a nie Rusek.- Zaśmiał się starszy.

-Pani Falkowska! prosimy na herbatę i coś do przegryzienia. Pani od rana nic nie jadła!- Usłyszeli głos Stolarskiej.

-Może i wy napijecie się herbaty?- Zaprosiła Bartoszków Klaudja.

-O nie ! Dziękujemy! Niestety ale my nie mamy czasu, musimy objechać Druskieniki dookoła, żeby nie spotkać się z milicją. Pani to rozumie!- Wy tłumaczył się młodszy. Pociągnął za lejce i wyjechał z podwórka.

Mieszkanie Matki Stolarskiej, Viktorji Kozłowskiej było o wiele większe od mieszkania które ona wynajmowała. Niewielki gościnny pokój, kuchnia i dwie sypialnie, były skromnie umeblowane.

Na sporym stole w gościnnym pokoju, stała wielka waza zupy. Przyjemny jej zapach wypełniał całe pomieszczenie. Klaudja, Sławek i Janek jedli w wielkiej ciszy. Marja Stolarska mieszała swoją zupę, przyglądając się jak Viktorja uwijała się, starając dogodzić gościom.

-Co zamierza pani robić z meblami w tylnym domku?- Zapytała Marja.
-Ja mówię do czasu, jak się na nie zrobi miejsce.- Spożyła na Klaudję.

Klaudja uniosła głowę do góry i spożyła na Marję Stolarską.

-Tak Pani Marjo. Do tego czasu. Ja nawet o tem nie pomyślałam. Ale ktoś będzie musiał tam zamieszkać. Bo jak by się oni dowiedzieli że nikogo tam nie ma, toby wszystko znikło jak kamfora.-

-Mamo! Ja mogę tam zostać- odezwał się Janek.

-Przeniosę to małe łóżko z kuchni do pierwszej sypialni, napalę sobie piec, i będzie ciepło. Nikt nie będzie przeszkadzał w czytaniu książek.- Spojżał figlarnie na Sławka.

-A co z jedzeniem?- Zapytał Sławek

-Nie martw się! tam zostało sporo jedzenia. Będę tam jadł śniadanie a na obiad przyjdę tu, dobrze?- Spojżał na matkę.

Klaudja przez długi czas namyslała się. Wreszcie zdecydowała.

-Dobrze Janek ale musisz mnie obiecać że będziesz bardzo uważał, A w razie czego biegnij do Markiewicza na pomoc. Dobrze?-

-Dobrze!- Odpowiedział Janek, zadowolony że może w czemś dopomóc.

Pod wieczór Janek zabrał ze sobą kilka książek i wrócił do mieszkania przy aptece. Naładował kaflowy piec drzewem, zapalił drobne patyczki i tak jak robiła matka przymknął drzwiczki. Wolno palące się drzewo grzało pokój do rana. Zajęty czytaniem, zdumiony był jak szybko mijał czas.

Z dnia na dzień robiło się coraz to zimniej. Ciemne chmury kłębiły się na niebie przesuając się powoli po niebie, zasłaniając niebo coraz to grubszą warstwą. Jezioro Druskonie pokryło się gróbym lodem. Kusiło do jazdy na łyżwach. Nawet sniegu nie trzeba było odgarniać. Ale nikt nie miał odwagi. I tak jak dawniej, wypełnione gwarą ludzi i krzykami studentów ganiających się na łyżwach, podczas wakacji Bożego Narodzenia, w tym roku jezioro spoczywało w ciszy. Rzeka Niemen, za bystra żeby zamarznąć, pokryła się małymi i wielkimi kawałami kry. Ale śnieg jeszcze nie padał.

Ostatni dzień w roku 1939 wypadł w niedzielę. Ceglany kościół na wielkim placu, otoczony wielkimi kasztanowymi drzewami, przepełniony był ludźmi. Niektórzy, z braku miejsca w środku, niezwracając uwagi na mróz, tak kobiety, jak i mężczyźni, stali przy wejściu do kościoła.

Nie tylko katolicki kościół ale i cerkiew, przy końcu ulicy Józefa Poksudzińskiego, po prawej stronie budynku milicji, zapchana była ludźmi. Tego dnia, nawet i w żydowskiej synagodze słychać było żalosne śpiewy.

W tych ciężkich chwilach życia każdy przynosił jakąś skargę do Pana Boga. i prosił o zmiłowanie.

Sylwestra nikt nie wyprawiał. Tylko kilku milicjantów upiło się w knajpie u Jośki. Awanturowali się do późna w nocy. Niestety, nie było policjantów żeby ich uciszyć.

Dla mieszkańców, niedziela minęła smutnie, Przygnębieni zaraz po Mszy Świętej pochowali się po domach. Ulice opustoszały.

Nikt nie chciał pożegnać się z tym starym morderczym rokiem, ani witać nowego, który nie wyglądał za dobrze.

Zaraz po kolacji, Janek wrócił do sypialni we frontowym budynku. Zmarznięty, rozgrzał się przy kaflowym piecu, dołożył do niego drzewa, przymknął drzwiczki i schował się pod kołdrę.

Tego wieczora, puste mieszkanie, i cisza, raziły, denerwowały. Długo krecił się i wiercił w łóżku, aż nie zasnął.

Głośne walenie w drzwi, zgrzyt wyciąganych gwoździ poderwał go na nogi. Nie zdążył jeszcze naciągnąć spodni, jak szczupła, bruzdowata, nieogolona twarz z małymi szarymi, biegającymi po całym pokoju, oczyma ukazała się w otwartych drzwiach. Lekko zgarbiony Gruzin wszedł do pokoju. Rozzejmiał się z wielkim rozczarowaniem na twarzy.

-Ósma godzina rano! A ty jeszcze w łóżku!- zawołał i skrzywił się boleśnie na twarzy. Powoli wyciągnął z kieszeni jakiś dokument. Rozwinął go powoli i zaczął czytać.

-W imieniu Związku Radzieckiego to mieszkanie należy do apteki.-

Złożył papier i spoj~~niał~~ na Janka.

-Masz piętnascie minut do zabrania swoich osobistych rzeczy. Nie wolno ci ruszac co wisi, albo jest przybite do sciany. Ani mebli!- Zbliżył się do siedzącego na łożku Janka.

-Gdzie fotele i olejne obrazy?- Syknął cicho, ze złością.

Do tego czasu Janek zdążył się ubrać i zasznurować buty. Szalona złość zakipiała w nim. Z trudem opanowując się, spoj~~niał~~ Gruzinowi prosto w oczy.

-Po co one szanownemu Panu? Sprzedać pan je chce na czarnym rynku!-

Gruzin odskoczył do tyłu. Złapał się jedną ręką za głowę a drugą machając śmiesznie w powietrzu uciszył Janka, i ksztusząc się co drugie słowo, szepnął złosliwym tonem.

-Ja nie jestem Pan! Pańskie czasy się skończyły! Ja ciebie nauczę rozumu! Ty! Ty wstrętny Polaku.- Janek przerwał mu.

-Jak to? Pan nie jest Polakiem? No to kim Pan jest?-

Gruzin zmieszał się. Wyglądał jakby nie wiedział co ma odpowiedzieć.

-Widziałeś mie na rynku?

-Ooo!! Tak! Z krzesłami pani Maliszewskiej. Czy Pan Gmina o tem wie?-

-To nie twoja rzecz! Och jak mnie głowa boli po wczoraszym picciu. Żeby nie to, to bym cię nauczył respektu do milicji! Och, a teraz śpiesz się szczeniaku! zostało tylko dziesięc minut. To łożko możesz zabrać.- Uniósł zegarek do góry i odszedł do końca pokoju.

Janek otworzył szybko drzwi do korytarz~~ka~~ pomiędzy sypialniami i podwórkiem. Zdjął z łożka pościel, zawiązał końce przescieradła i szybko wyniósł cały tan bandel na podwórko. Zostawił go na trawniku i wrócił ~~z~~ powrotem. Złożył nogi łożka i wyniósł je na zewnątrz. Mały materac wyjechał za łożkiem.

Pragnąc sprawdzić czy nic nie zapomniałe. Wrócił do korytarzyka i zbliżył się do drzwi drugiej sypialni. Wodzący za nim oczyma Gruzin, zastąpił mu drogę.

-O nie! Ja to sam otworzę! Ty masz tylko pięć minut i won stąd! Jedną ręką odsunął Janka na bok, a drugą otworzył szeroko drzwi.

Zdumienie jego było nie do opisania. Szeroko otwarte usta i wytrzeszczone maleńkie jego oczy, biegły ze zdumieniem po zupełnie pustym pokoju, zatrzymały się na obrazku Świętego Jerzego na koniu, zabijającego, długą włócznią smoka.

Gruzin zaklął z cicha. Odwrócił się do Janka. Tym razem odezwał się o wiele ciszej.

-To, to możesz zabrać. Rozumiesz! Możesz zabrać.-

Janek spojżał na Gruzina. Uśmiechnął się zagadkowo.

-Boi się go Pan? Może on swoją włócznię skieruje w innym kierunku?-

Gruzin poczerwieniał, aż bruzdy na twarzy zaczęły mu dziwnie drgać.

-Ty smarkaczu! Ja nie pan! Rozumiesz! Ty lepiej milcz, jak jeszcze ci dobrze!- Wołał biegnąc za Jankem do łazienki.

W łazience nie znaleźli nic, oprócz małej drewnianej półeczki na mydło. Janek starał się ją zabrać, ale Gruzin zatrzymał go ręką.

-Ja ci mówiłem, że nie wolno zabierać co wisi na ścianie.-

-Jak to! Pan mnie pozwolił zdjąć ten obrazek. Zresztą to jest moja pierwsza szkolna robota. Ona nie należy do apteki! To należy do mnie osobiscie! Ja jestem z niej bardzo dumny.-

Ale Gruzin nie ustępował. Położył rękę na Janka ramieniu i powtórzył jeszcze raz swój rozkaz. Widząc że nie pomaga, odezwał się cichym ale pełnym złości głosem.

-Jak ty nie rozumiesz po polsku to ci powiem po rusku!-

Plątając białoruskie słowa z rosyjskimi, wciekły że mu się nie udaje pchnął Janka na bok. Głośny trzask łamiącej się półeczki

sparaliżował Gruzina. Wytrzeszczonymi oczyma patrzył, jak połamane kawałki leciały na podłogę.

Postać rozgniewanego, z zaciśniętymi kułakami milicjanta przestraszyła Janka. Zwinnie wyslizgnął się bokiem z łazienki. Dopiero w otwartych drzwiach na podwórko nabrał coś nie coś odwagi. Odwrócił się i zawołał.

-Widzi pan! Co pan narobił! Ja! Ja tylko chciałem ją zdjąć i coś panu pokazać. Ach! Zresztą! Niech pan weźmie kogutka na ból głowy, zanim Kac nie schowa je do chandlowania na czarnym rynku. Dowidzenia panu-zamknął za sobą drzwi.

-O rany! Gdzie są moje graty?- zawoła głośno nie widząc wyniesionych rzeczy. Na szukanie nie było czasu. W kilku susach przeskoczył podwórko i wbiegł do stołowego pokoju.

Niedomykając za sobą drzwi, obserwował przez szparę jak Gruzin wybiegł za nim. Nie widząc Janka ani rzeczy, zatrzymał się. Z głupią miną na twarzy rorzejżał się dookoła. Nie widząc nikogo na podwórku uniósł zwinięte w kułak ręce i pogroził w stronę nieba.

Z boku apteki wyjechała mała furmanka. Siedzacy na koźle mężczyzna zawrócił i stanął z boku. Gruzin dziko patrząc na niego, rozłożył bezradnie ręce. Na ten znak mężczyzna zaciął konia i szybko wyjechał na ulicę. Błady na twarzy Gruzin złapał się obydwoма rękoma za głowę, wszedł do korytarza i nogą zatrzasnął za sobą drzwi.

W tym momencie Janek poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Odwrócił się nerwowo. Za nim stał pan Markiewicz.

Starszy poważny człowiek, lekko czerwony na twarzy z sapiącym ze zmęczenia głosem odezwał się cicho:-Janek! To nie jest dobry czas gniewać tych złodzieji. Specjalnie Gruzina. On może się zemścić. Dużo ludzi on skrzywdził. Muisz opanować się, nie denerwować, Tylko spokojem i rozsądkiem można ich

trzymać w linii. No ale ja muszę jusz iść.- Wyjął na podwórko. Nie widząc nikogo odwrócił się do Janka.

-Wesołego Nowego Roku!- zaśmiał się smutnie zamykając za sobą drzwi.

Janek został sam. Łzy napłynęły mu do oczu. Nie z obawy, ale z tej bezradności. W dodatku, w tym pośpiechu zapomniał podziękować Markiewiczowi za wniesienie łóżka i rzeczy.

Usiadł na kanapie, smutny, przygnębiony. Nie mógł zrozumieć dlaczego tak szybko ludzie pozmieniali się. Okradali jeden drugiego, krzywdzili, oszukiwali! Dlaczego! Dlaczego! Dlaczego? Pulsowało mu w głowie. Głośne stukanie wyrwało go z zamyślenia.

- O! O nie!- poderwał się na nogi.

-Znowu oni? Milicja?- nie wiedział o co ma się teraz martwić. O siebie, czy o pozostałe rzeczy.

Z mocno bijącym sercem, cichutko na palcach, zbliżył się do okna. Odsunął trochę firankę i wyjrzał na zewnątrz.

Postać otulonego w ciepły płaszcz Henryka uspokoiła go. Odetchnął głęboko i otworzył drzwi.

-Zimno! Och jak zimno! Wesołego Nowego Roku!- zawołał Heniek. Spojął na Janka bladą twarz.

-Co się stało? Janek! Co się stało?-

-Wyrzucili mnie z mieszkania. Chcieli konfiskować meble ale ich tam nie było. Obawiam się że niedługo i tu przyjdą, no i co ja będę robił. Teraz to czekam na Bartosza, Och! Żeby on się pospieszył!-

-Janek! Bertosz nie może przyjechać bo jest chory, a jego synowie są w kłopotach z milicją. i niewolno opuścić im wioski.-

-Z milicją? no to co ja będę robił?-

-O nie martw się, ja przywiozłem ręczny wózek. Część rzeczy zabierzemy ze sobą. a ciężkie, tak jak kanapę, kredes, i łóżko zostawimy na potem, Na furmankę. Dobrze!-

-Dobrze, dobrze- zgodził się niechętnie Janek.

Kładąc wielki stołowy stół do góry nogami powiękrzyli pojemność wózka. Załadowali co się tylko udało załadować.

Ciągnąc i pchając na zmianę, bocznymi uliczkami dojechali do mostu na Rotniczance. Na moście zatrzymali się żeby nabrać siły do pchania pod górę. Po krótkim odpoczynku, Heniek wyciągnął z wózka dwa kawalki drzewa, i spojżał na zdziwionego Janka.

-W razie czego, jakby wózek zaczął uciekać do tyłu to podłóż ten kawalek drzewa pod prawe kolo, a ja pod lewe. Rozumiesz?- Zmierzył okiem pnącą się w górę drogę.

Nie zdążyli jeszcze ruszyć, jak dwóch mężczyzn z czerwonymi opaskami na rękawach, grubymi pasami na płaszczach, do których przyczepione były rewolwery, zastąpili im drogę.

-A wy gdzie to wieziecie? Złodzieje! Gdzieście to ukradli?- zawołał jeden z nich wyciągając rewolwer z pochwy.

Przerażony Heniek gotów był do ucieczki, ale Janek zatrzymał go ręką.

-Ukradli! Jak pan tak może mówić!- zawołał gniewnie.-

-Ukradli! Nas Gruzin wyrzucił z mieszkania to są moje rzeczy!-

Widać było jak imię Guzina wywarło na nich wielkie wrażenie. Spojźeli jeden na drugiego.

-Gruzin? Pozwolił wam to zabrac?- z niedowierzeniem w głosie zapytał się grubszy milicjant.

-Dali mnie piętnascie minut do zabrania rzeczy, a co zostało to skonfiskowali. Gruzin wyglądał bardzo chory. odpowiedział spokojnie Janek.

-Witał wczoraj Nowy Rok!- zasmiał się chudy milicjant.

Kolega jego uderzył go w bok, złapał za rękaw i odciągnął na stronę. Przez kilka sekundach odwrócił się do chłopców.

-Macie przepustkę, no! Pozwolenie?- Zapytał gruby.

-Pozwolenie? Ja myślę że Gruzin nie miał czasu na pozwolenie.-

Odpowiedział stanowczym głosem Janke.

-No dobrze. Idźcie! Ale na drugi raz to my was nie przepuścimy bez pozwolenia- zdecydował chudy milicjant.

Ani Jankowi, ani Henkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zanim milicjant skończył mówić, ciągnąc razem wózek, znaleźli się w połowie góry. I zanim milicjanci zniknęli na ścieżce wzdłuż Rotniczanki, spoceni, zasapani, zatrzymali się na płaskiej drodze Poganki.

-Janek! Co Gruzin tobie skonfiskował?- zapytał Heniek.

-Połamaną półeczkę i śmiecie, których nie zdążyłem wynieść- otarł rękawem spoczone czoło.

Po krótkim odpoczynku, Janek z Henkiem wnieśli przywiezione rzeczy. W małym tym pomieszczeniu nie było za dużo miejsca. W pierwszym pokoju stała już komoda i kufer. Z boku przy szafie z gazetami, książkami i magazynami, przy dwóch oknach, postawili stół i łóżko dla Janka. W drugim wilkie podwójne łóżko zajmowało jedną stronę pokoiku. Z boku stała toaleta z lustrem. Pozostałe krzesła postawili po obydwóch stronach, małej żelaznej kuchenki, którą używało się do ogrzewania i do gotowania

Zanim Janek rozłożył drobniejsze rzeczy, Klaudia ugotowała obiad, i postawiła jedzenie, na tylko co przywiezionym stole.

- Nareszcie będziemy jedli jak się należy a nie na łożku. To było tak bardzo nie wygodnie.- ucieszył się Sławek.

Janek z zadowoleniem spojrział na brata. W tych kilku ostatnich miesiącach Sławek nie tylko że schudł, bladszy był na twarz, ale również zauważyć można było jak bardzo spoważniał. On też, dziewięcioletni chłopczyk, zacisnął zęby i z gową do góry, znosił bolesne zmiany życia.

Podczas obiadu, Janek zgodził się przespać jeszcze kilka nocy w stołowym pokoju na kanapie, zanim nie przyjedzie z furmanką Stary Bartosz. Pozostałe ^{rz}żeczy miały wielką wartość. Co najważniejsze, że można było zamienić je u wiesniaków na żywność.

Zabrał ze sobą koszyk z jedzeniem i wyszedł na ulicę. Kręcące się ciemne chmury na niebie zdecydowały co mają robić. Zanim Janek doszedł do mostu na Rotniczance zaczął padać śnieg.

Białe jego płatki tańczące w swoim locie na ziemi, z początku leciały rzadko, to tu, to tam, zatrzymywały się na dachach domów, gałęziach nagich drzew, i drodze, i coraz to więcej z krokiem idącego szybko Janka, jakby niebo otwierało się powolutku wysypując z workowych chmur, coraz to więkrzą ilość śniegu.

W stołowym pokoju było bardzo zimno. Połączony z pokojem gościnnym potrzebował dużo drzewa żeby go ogrzać. Mała kuchenka z dużym żelaznym łóżkiem przy scianie, była najprzytulniejszym kątem.

Znalazł pościel z kilkoma kocami, zamknął drzwi do stołowego pokoju i zabrał się do pieca. Pomieszczenie na drzewo świeciło pustką.

Nie marnując czasu wybiegł na dwór. Zagarnął na rękę kilka kawałków drzewa. Zimne jak lód polana zmusiły go do pośpiechu.

Wypełnił polanami pomieszczenie na drzewo i kilka z nich włożył do pieca. Zapalił drzewo ale ^{rz}dwiczek nie zamykał, tylko usiadł na krześle przy kuchennym stole, wygodnie wyciągnął nogi i do późna w nocy obserwował tańczące płomyki palącego się drzewa.

Poranek był tak zimny że nie chciało się wykazać z ciepłego łóżka. Jasne promienie słońca przebijające się przez firanki zalały pokój złoto jasnym kolorem. Spojął na zegarek.

-Ósma godzina!- Zawołał zrywając się z łóżka. Spiesząc się jak tylko mógł, ubrał się i pobiegł do okna w stołowym pokoju.

Z okna tego, można było zobaczyć całe podwórko przy aptece i kawałek milicjnego posterunku po drogiej stronie ulicy. Ani na ulicy, ani na podwórku nie było widać żywej duszy. Uspokojony coś nie coś wroczył do kuchni. Nałożył drzewa do pieca i przygotował dla siebie śniadanie. W kuchni zrobiło się ciepło, przyjemnie.

Podczas jedzenia zauważył brak drzewa. Nie wiedząc dokładnie ile nocy będzie musiał tu spędzić, postanowił przynieść trochę więcej opału.

Założył korzuszek i wyszedł na dwór. Poranek był piękny. Pokryte śniegiem podwórko błyszczało tak mocno że musiał zmrużyć oczy.

Odrzucił z górnych polan śnieg i zaczął układać je na ręku. Głośny krzyk zatrzymał go. Zdumiony odwrócił się.

-Ty złodzieju! Co ty tu robisz! Kradniesz drzewo! Ja ciebie zaraz zaaresztuję!-

Janek uniósł głowę do góry.

-Co? Czy pan mówi do mnie?- zapytał spokojnie.

-Tak do ciebie złodzieju! To drzewo nie należy do ciebie.! Ty! Ty!-

Nie zdążył skończyć jak Janek rzucił polana na ziemie i patrząc prosto w oczy milicjanta zaczął krzyczeć.

-Kto kradnie ! Kto jest złodziej! My to drzewo kupiliśmy u Starego Bartosza za zapracowane ciężko pieniądze, tak jak i aptekę! Nam nikt za darmo nic nie dał. Złodzieje! My nikomu nic nie ukradliśmy! Złodzieje! Kto kradnie!-

Milicjant zaklął głośno. Czerwony na twarzy jak burak z trzęsącym się podbródkiem, wyciągnął z pochwy rewolwer i skierował go w stronę Janka.

-Ręce do góry pyskaczu! Ja cię nauczę rozumu! Ty! Ty nie będziesz tak więcej gadał! Ty ! Ty kapitalisto.-

Głośny śmiech i ostry głos za płotem zatrzymał go.

-Kuzyn ty Jucho! Złodzieju zawodowy! My się tobą zajmiemy! I Bolszewicy ci nie pomogą! Twój czas nadchodzi.-

Milicjant zbladł, Kilkoma susami dostał się na apteczną werandę.
-Słyszycie! Słyszycie, towarzyszu Gruzin! Słyszycie?- Zapiszczał do wychodzącego z budynku milicjanta.

Gruzin wyciągnął rewolwer, odepchnął na bok Kuzyna i podbiegł do płotu. Uważnie odsunął kilka desek, przeszedł na drugą stronę.

Przez długi czas nie było go ani słychać, ani widać. Powrócił bardzo nie zadowolony. Spojrzał złośliwie na Kuzyna trzymającego rewolwer skierowany w stronę stojącego z podniesionymi rękoma Janka. Zaklął głośno kilka razy i ostro patrząc na Kuzyna krzyknął.

-Schowaj ten rewolwer! Znalazł się, z kim zadawać!-

-Ale towarzyszu Gruzin on kradł drzewo.-

-Ja wiem!- odpowiedział Gruzin spokojniejszym głosem.

-Opuść ręce! Czy ty wiesz kto to był?-

-Nie!- wyksztusił Janek.

-A co ty tu robisz?-

-Wygnaliscie mnie z sypialni to mieszkam w kuchni.- odpowiedział Janek wskazując na tylny budynek.

Przez chwilę wyglądało jakby Gruzin nie mógł powziąć decyzji co ma z nim robić. W końcu odezwał się.

-Ty teraz idź, ale jak ja ciebie jeszcze raz złapię, to pójdiesz za twoim ojcem do ciupy! Rozumiesz! Pamiętaj, co nie twoje toooo...- Nie kończąc zdania, zaklął głośno, machnął niedbale ręką i oddalił się w stronę ulicy.

Patrząc się na Janka, z szeroko otwartymi oczyma, pół otwartymi ustami, z niedowiarą wrytą na nieogolonej twarzy, Kuzyn, Drapiąc się w głowę, wolno podreptał za Gruzinem

Janek nie wierzył co się stało. Skamieniały patrzył za oddalającymi się milicjantami. Zimny powiew wiatru wyrwał go z oszałamienia.

Uderzył kilka razy but o but, pozbierał rozrzucone polana i zniósł je do kuchni. Zamknął mieszkanie na klucz, podniósł kołnierz korzuszka do góry i z rękoma w kieszeni, ruszył w stronę Poganki.

Pani Marja z matką gotowały u babki obiad. Słyszac co się stało, posłali Józka do Szandubry po furmankę.

Na zapytanie, dlaczego Gruzin tak dziwnie się zachował, żadna z kobiet nie wiedziała co ma odpowiedzieć.

-Może sumienie go ruszyło- szepnęła Klaudja.

-Sumienie? Oni nie mają żadnego sumnienia- nie zgodziła się Marja dolewając wody do gotującej się zupy. Przyjemny jej zapach wypełnił pokój. Ślinka napłynęła Jankowi do ust. Stolarska sławna była z gotowania zup.

-Ja, ja myślę, że ich bieda dogania.- Przykryła pokrywką garnek i mówiła dalej.

-Ja słyszałam od Heni Kurzelewskiej że w Grodnie N.K.W.D. kilku z niech aresztowało. A Jozska to twierdzi że bolszewicy im nie wierzą. Jakiś oficer mówił mu że jak potrafili zdradzić własną ojczyznę, ta co ich wykarmiła i wyniańczyła, to napewno zdradzą obcą im Rosję. On też mówił że pod Białymstokiem roztrzelali kilku milicjantów. Złapali ich podobno w jakiejs fabryce którą Rosjanie konfiskowali, a oni kradli. Kazali podpisać zeznanie i roztrzelali.- Westchnęła głęboko siadając przy stole.

-W dzisiejszych czasach wystarczy nagadać jeden na drugiego, oskarżyć i już jesteś w kłopotcie. Dla pozycji i stanowiska to oni sami siebie wyniszczą. Zobaczycie! Zobaczycie!- Zawołała siedząca na mekim fotelu, w drugim końcu pokoju stara babka.

-Dobrze tak zdrajcom, żeby nie oni to by mojego ojca zostawili w spokoju.-mruknął Janek.

-Widzisz Janek, to nie tylko oni ale system komunistyczny niszczy inteligencję, ażeby nie mieć oporu w pomiataniu ludzi.- Klaudja postawiła głębokie talerze na stole. i usiadła kolo Sławka.

-Tak! Tak! Twoja matka ma racje. Jeszcze dużo ludzi zginie z nim komuniści będą zadowoleni. O ja o tym wiem. Słyszałam co oni robią w Rosji. Nie wierzyłam, bo kto mógłby uwierzyć. Trzeba na własnej skórze to odczuć aby zrozumieć jaki to system. Dopiero teraz otwierają się oczy. Może trochę późno ale otwierają. A jak jeszcze nie zupełnie, to się z bólem otworzą.- wołała satruszka drżącym głosem.

-Ja o tem mówiłam Stefanowi, Och! Żeby on się mnie usłuchał.- westchnęła Klaudja.

Stolarska zdjęła garnek z ognia, przyniosła do stołu, naląła każdemu do talerza zupy, pomogła babce Viktorji usiąść przy stole i sama dołączyła się do jedzących.

Pod wieczór ukazał się Józek. Otrzepał się ze sniegu i wszedł do mieszkania babki.

-Stary Bartosz nie może dzisiaj przyjechać. Ale napewno przyjedzie jutro.- oznajmił zmęczonym głosem. Zbliżył się do trzaskającego jasnym ogniem kominka, i zaczął rozcierać zmarznięte ręce.

-Zatrzymał mnie po drodze Stasiek. no ten syn Kuzyna, milicjanta. Babka ich zna. Śmiejąc się wygadał że jutro rano o o dziesiątej milicja skonfiskuje tylne mieszkanie za apteką. i wszystko co w środku. Niby że to, należy do apteki.-

-Oh! Ja się spóźniłam. Zapóźno. Zabiorą wszystko. Napewno zabiorą. Oni tam będą wcześniej rano. zobaczycie.- zmartwiła się Klaudja.

-A może nie przyjdą!- zapiszczał Sławek.

-O! Oni napewno przyjdą Sławku. Jak zabierali mieszkanie przy aptece.

nic dobrego nie wpadło w ich drapieżne łapy, to napewno się połapali że meble są w jadalnym pokoju. Myszkowali, myszkowali no i widzieli Janka. I to dziwne zachowanie Gruzina. Teraz rozumiecie.- westchnęła głęboko.

-Najgorsze to to, że po zabraniu apteki, nie mamy dochodu. Zanim ja znajdę prace nie będzie nam tak łatwo. Te pozostałe meble to nasz bardzo ważny kapitał.- zmartwiła się Klaudja.

Marja podała zupę Józkowi. Jadł cicho i tylko trzask polącego się drzewa słychać było w pokoju.

Wszyscy wiedzieli jak cenne są meble. Ile pieniędzy można za nie dostać na czarnym rynku.

-Najlepiej było by, żeby Janek przespał się tam, a ja z Henrykiem z samego rana przyjedziemy z wózkiem i zabierzemy co tylko się da.- przerwał ciszę Józek.

Wszystkie oczy spoczęły na Janku.

-Dlaczego nie. Jeszcze jedną noc mogę się tam przespać, na to jestem przygotowany. Ale przewieść te ciężkie meble wózkiem, to nie damy rady. Najlepiej schować je tymczasowo u pana Markiewicza.-

-To świetna myśl ! Dlaczego ja o tem nie pomyślałam.- ucieszyła się Klaudja.

-Czy moglibyście przenieść je dzisiaj. Popatrzcie już jest ciemno.- Zapytała babka.

-O nie do dwunastej w nocy oni tam chodzą bez przerwy. Zauważą i jeszcze ich do ciupy za złodziejstwo wsadzą.- Wytłumaczyła jej Marja.

-Janek! Ty tylko nie kłóć się z milicjantami. Jak się nie uda i przyjdą konfiskować to zostaw wszystko i bez słowa wracaj na Pogankę. Rozumiesz! Tam już, tak dużo się nie zostało. A nam, Pan Bog dopomoże i damy sobie radę.- Odezwała się stanowczym głosem Klaudja.

Po drodze Janek zatrzymał się u Markiewicza. Opowiedział mu na co

sie zbiera i poprosił o pomoc. Staruszek zgodził się bez zastrzeżenia. Narzekał tylko że nie może nosić ciężkich rzeczy, ale na meble miejsce znajdzie. Zadowolony z pomocy Janek wrócił do do domku przy aptece.

W kuchni było zimno. Janek wypełnił piec pozostałym drzewem, zapalił i prędko schował się pod koc. Późno w nocy obudził się z zimna. Piec zupełnie wygasł. Zapomniał zamknąć drzwiczki. Zły na siebie zapalił światło. Spojrzał na zegarek. Była druga rano. Woda którą zostawił w szklance zamieniła się w lód. Spał w ubraniu przykryty lekkim kocem. Trzęsąc się z zimna wyskoczył z łóżka, przeszukał obydwa pokoje, ale nie znalazł nic, coby posłużyło mu jako przykrycie. Nie było innej rady, założył korzuszek, zgasił światło i cichutko otworzył drzwi na zewnątrz.

Sięg sypał wielkimi płatami. Janek rozej^{dz}zał się uważnie dookoła. Powolutku zbliżył się do schodów. Na dworze była kompletna cisza. Można było słyszeć ocierające się o siebie w locie płatki sniegu.

W sypialni, po drugiej stronie ściany, paliło się światło. Ktoś tam był, Kac albo jego przyjaciele.

Janek wyciągnął rękę, namacał polano, uniósł je delikatnie i położył na drugą rękę. Za każdym razem słuchał czy nikt go nie usłyszał.

Pierwszy raz przyniósł tylko kilka polan. drugim razem polana wydawały się zinne jak kawałki lodu. Wracając zauważył głębokie odciski stop w świeżym śniegu. Musiał wrócić z miotłą w rękę. Rozrzucił śnieg na wszystkie strony i zadowolony zabrał się do pieca.

Zabrało sporo czasu i nafty zanim zmarznięte drzewo zaczęło się palić. Zostawiając otwarte drzwiczki pieca Janek w korzuszku schował się pod koc, położył głowę wysoko na poduszkę i obserwował wybuchy i syczące języki ognia.

Zamyślony, planował przeniesienie mebli do Markiewicza. Mieszkał on na drugiej ulicy, i żeby dostać się do niego musieli by wyrwać deski z dwóch plotów i przejść przez ogród Maliszewskiej, która uciekła do Warszawy, a dom jej okradziony ze wszystkiego stał pusty, albo, objechać dookoła ulicami co nie było praktyczne ze względu posterunku milicji na przeciwko apteki.

"Przejdziemy ogrodem Maliszewskiej." Zdecydował.

"Na początku zabierzemy fotele, każdy poniesie po jednym a potem łóżko. Z komodą, we dwójkę dadzą sobie radę, a z kredensem to dwa razy trzeba brędzie obrócić. Czy tylko zdążymy do switu?"

W pokoju zrobiło się ciepło i przyjemnie. Zmęczony nerwowym dniem zamknął oczy. Nagle głośnie drapanie w drzwi poderwało go na nogi.

-Niemożliwe! Złapali mnie!- zawołał wyskakując z łóżka. Zapalił światło i spojżał na zegarek

-Trzecia w nocy? Józek? Heniek? To niemożliwe!- Powoli otworzył drzwi.

-Rety! Niedźwiedź!- krzyknął odskakując do tyłu. Nachylił się i złapał za polano i uniósł do góry. Cichy śmiech powstrzymał go od uderzenia.

Otrzepując się od sniegu, wcisnął się do środka, zakryty po uszy niedźwiedzim futrem, Stary Bartosz.

Przez chwilę przypatrywał się przestraszonemu i zdziwionemu Jankowi. Z uśmiechem na twarzy przyłożył palec do ust i odezwał się cicho.

-Tsss! Dostyc narobilismy chałasu.-

-Ja pana tak wczesnie się nie spodziewałem.- Ucieszył się Janek.

-Widzisz komunisci są bardzo leniwi. Czym wczesniej tym lepiej.

Janek przyznał mu rację. Otworzył drzwi ze stołowego pokoju na podwórko. Z boku budynku czekały na nich sanie. W wielkiej ciszy załadowali meble, okryli je kocem i przescieradkami od sniegu.

Ocierając spocone czoło Janek sprawdził czy nic się nie zostało. Zadowolony z tryumfalnym uśmiechem na twarzy, dołożył ostatnie polano

do pieca. Na bocznej ścianie powiesił obrazek Świętego Jerzego zabijającego smoka. Na zewnątrz z boku drzwi na dużym gwoździu, zawiesił klucze do mieszkania.

Sary Bartosz, trzymając krótko za lejce konia, wyjechał na ulicę. Idący z boku sań Janek, obejrzał się do tyłu. Pozostawiali za sobą zarysy budynków w których przeżył tyle lat. Coś ścisnęło mu w gardle. Szalony ból tęsknoty rył bruzdę w jego sercu.

Wilkie płaty gęsto padającego sniegu zasłoniły domy, drzewa, płoty. Przykrył świeże ślady. Otulili ich całkowicie, chowając od wrogich oczu patrolującego w pobliżu posterunku milicjanta.

Stary Bartosz jechał bocznymi uliczkami, objechał kocioł bokiem i zamiast wiać most na Rotniczance, przedostał się na drugą stronę wąskiej, starej kładce niedaleko młynu.

-Może dalej, ale bezpieczniej- zaśmiał się zadowolony, zatrzymując się przy ostatnim domku na Pogance.

Heniek i Józek zadowoleni że nie potrzebują łamacz plotów i nosić mebli, dopomogli rozładować sanie.

Pani Marja i Klaudja przygotowały śniadanie. Stary Bartosz jadł i rozmawiał wesoło.

-Och! Chciałbym zobaczyć twarze tych złodziei, jak znajdą puste pokoje. Ha! Ha! I ten obrazek Świętego Jerzego na ścianie.-

Słyszac opowiadanie Janka jak musiał kraść swoje własne drzewo, zakłynał cicho. Wyciągnął wielką chusteczkę wytarł nos i mruknął.

-Ty się nie przejmuj. Niema co się martwić. Przyjdzie i na nich czas. Zapłacą za krzywdy wyrządzone ludziom. Zobaczycie że zapłacą. Ale o mało co że nie zapomniałem. Bronka przysłała wam pozdrowienia i mówiła że jak potrzeba to u niej jest sporo miejsca. i jedzenia nie brakuje.

Na dworze zrobiło się widno. Śnieg przestał padać. Stary Bartosz na pożegnanie podał każdemu rękę, wtulił się w swoje niedźwiedzie

futro i odjechał.

W godzinę po jego odjeździe, do Stolarskich wpadł Markiewicz. Błyszczące jego oczy i wielki entuzjazm z jakim się przywitał, zdradzał że przyniósł z sobą ciekawe wiadomości.

-A to się wam udało!- Zaśmiał się siadając na krześle. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Nawet Ignacy, mąż Stolarskiej narzekając że się źle czuje, ale jutro pójdzie do roboty, przysiadł się na kanapie.

-Ja całą noc nie mogłem spać. Wczoraj wieczorem po Janka odwiedzinach zabrałem się do robienia przejścia w płotach. Mój to, taki stary że nie było kłopotu, więc zbliżam się do waszego płotu, a tam widzę dwóch milicjantów zaglądają do waszych okien. Widocznie szron im przeszkadzał bo chuchali w okna. Poczekalem aż pojdą, podważyłem kilka desek i spowrotem do domu. Śnieg walił! Och tej nocy to walił na całego. Zimno było to wlażłem do łóżka w ubraniu i nie mogłem zasnąć. Kręcę się. kręcę i nic. Nad ranem słyszę szelest. Myślałem że to chłopacy przenoszą meble, wyskoczyłem z łóżka i pędzę pokazać im przejścia w płotach, ale jak dobiegłem to zobaczyłem tylko obładowane sanie opuszczające podwórko.- zaśmiał się i po kilku łykach ciepłej cherbaty mówił dalej.

-Jak tylko zaczęło szarzeć, może była szósta, słyszę głosy i skrzyp sniegu. Pędzę na dwór do waszego płotu. Dobrze że niema Maliszewskiej, Ona to by się ze mnie naśmiała. No przewrociłem się kilka razy zanim ni dopadłem waszego płotu. Patrzą przez szparę a przy waszych drzwiach stoi Gruzin i kilku milicjantów. On spoczątku delikatnie zastukał do drzwi. a potem to kułakami tak mocno że aż klucze co wisiały z boku spadły na schodek. On je podniósł, spojrzął na milicjantów, pokiwał głową i otworzył. Przez dobre pięć minut panowała kompletna cisza. A po niej! Atak przekleństw takich jakich ja w życiu nie słyszałem. Darli się na cały głos. Stukali, kopali nogami. Musieli się pobiec, bo jeden

z nich wybiegł na podwórko z czerwoną od krwi twarzą, nabrał siegu i przykładał go sobie do nosa.-

-Musieli się oni dobrze tam pobić!- zasmiała się stara babka.

-Wybiegli potem na dwór. obejrzeli płoty i znaleli luźne deski.

Przeszli do ogrodu Maliszewskiej, Zaj^{rz}żeli do jej domu. Ale nic nie znaleźli.- odetchnął głęboko.

-Ale teraz to dobry miesiąc nie radzę wam ukazywać się w miasteczku.- Spoj^żzał poważnie na Janka.

-Dlaczego! Ja przecież im nic zego nie zrobiłem- starał usprawiedliwić się Janek ale widząc srogie oczy matki i Pani Marji spuścił głowę do dołu.

-Pana nie zobaczyli?- Zdziwił się Sławek.

No nie, bo ja byłem za tym wielkim krzakiem bzu. Ale co zmarzłem to zmarzłem.- zaśmiał się cicho.

IX

Pomimo ostrej zimy Falkowska nie mogła narzekac. Małe mieszkanko było przytulne i ciepłe. Nie trzeba było martwić się o drzewo. Suche, równo porąbane, gotowe do palenia, leżało w si^{ow}cie. Janek z Henkiem na zmianę donosili je z dużego zapasu za stodołą.

Jedynym kłopotem było gotowanie. Małeńka, żelazna kuchenka z jedną fajerką nie nadawała się do gotowania. Nalepszym wyjściem z sytuacji było dołączyć się do rodziny Stolarskich i gotować u babki.

Ostra zima zaczęła swoje panowanie. Nie dosyć że śniegu napadało o wiele więcej niż co roku, ale i mróz trzaskał po płotach głośniej i z większą zaciętością.

Niestety ani śnieg, ani mróz nie zatrzymał czerwonych Towarzyszów od wprowadzania niekończących się zmian.

W srodku stycznia, wladze komunistyczne naznaczyły wielkie kary za posiadanie odbiorników radiowych. Do wyznaczonego dnia, ludzie musieli oddać swoje aparaty radiowe.

Odnosząc swoje radio na milicję Klaudja wstąpiła do apteki po syrop od kaszlu. Z za lady wyleciał do niej Henryk Kac. Odesłał usługającą Klaudji dziewczynę do drugiego pokoju. Odebrał pieniądze za lekarstwo i wydając resztę, zaczął się żalić.

-Och pani szanowna! Mnie też zabrali skład apteczny, dołączyli do apteki. Wyznaczyli mi okropnie małą pesję. Pani tylko za pomoc pfaciła mnie dwa razy tyle. W dodatku dali mnie tu do pomocy tą głupią dziewczynę. Ona nic nie potrafi! Tylko szpieguje i pilnuje co ja robię!.- Mówił rozczarowanym głosem.

-Ja, droga pani zostałem zagłuszony fałszywą propagandą. A teraz ponoszę bolesne konsekwencje. Tak dużo oni obiecali, a teraz głód.- skrzywił się jakby do płaczu.

-Pani wie że w dodatku ukradli nam cały zapas drzewa. Nawet nie zatarli po sobie śladów. Gruzin przyszedł, znalazł ślady wojskowych butów w śniegu i wielką dziurę w płocie. Po drugiej stronie w szkolnym budynku mieszkają jeszcze żołnierze. Gruzin dalej nie chciał iść. Wyobraża pani sobie do czego dochodzi!-

Klaudja słuchała nie wierząc własnym uszom. Nie wiedziała co ma na to odpowiedzieć. Była na niego zła, że nie uprzedził ją o konfiskacji apteki i prywatnych własności. Przynajmniej mógł by podzielić się drzewem, a nie wołać milicję. Ale również szkoda jej się zrobiło tego zabłąkanego człowieka.

-Panie Kac- odezwała się spokojnym głosem.

-Pamięta pan to stare przysłowie, "Nie rób drugiemu co tobie nie miło." Żeby ludzie pamiętali to stare, mądre przysłowie, toby było lepiej na tym świecie. Prawda?-

Tak! Tak, mądry człowiek po szkodzie.- odpowiedział ponuro Kac.

-Panie Kac. Co się stało z Gruzinem? Nie widziałam go dzisiaj ani w kancelarni ani pomiędzy milicjantami. A miałam go o coś się zapytać.-
Zapytała z ciekawością Klaudja.

-Oh pani! Pani o tem nie wie? Tydzień temu, jego i Kuzyna jacyś ludzie złapali w lesie. Podobno tak ich zbili że leżą teraz w szpitalu, w Grodnie. Wie Pani!- Rozejżał się dookoła czy go nikt nie słyszy.

-Wie pani, Ja myślę że to im się należało.-

-Głowa do góry panie Kac, Wojna jeszcze nie skończona. może będzie lepiej.- pocieszyła go Klaudja wychodząc z apteki.

Zamiast lepiej było coraz to gorzej. Czternastego lutego wiadomość o aresztowaniu rodzin mężczyzn którzy byli w więzieniach, wstrząsnęła całym polskim krajem.

Tym razem rosyjskie wojsko brało udział w aresztowaniu i dostarczeniu kobiet i dzieci na stacje kolejowe.

• Aresztowali rodziny lesniczych, właścicieli majątków i ludzi z wiosek.

Brutalnie wepchnęli ich do zimnych wagonów towarowych i odesłali do Grodna. W Grodnie przez kilka dni musieli czekać w nieogrzewanych wagonach, na wagony z ^P polakami z innych okolic. Otaczający żołnierze z bagnetami na karabinach, nie dopuszczali nikogo do wagonów. Straszne mrozy dały się we znaki.

Zanim ten olbrzymi transport ruszył w nieznaną stronę, żołnierze rosyjscy, wśród płaczu i strasznej rozpaczki rodzin, powyrzucali z wagonów zmarznięte zwłoki dzieci.

Po Świątach Bożego Narodzenia, Janek dołączył się do studentów jadących do Grodna. Budynek państwowego gimnazjum zajęty został przez rosyjskie wojsko. Studentów którzy tam się uczyli odesłano do szkoły fachowej, po drugiej stronie miasta.

Profesorowie w dalszym ciągu nie mieli ustalonego programu. Po aresztowaniu kilku z nich za używanie zabronionych książek, wprowadzania uczni^{ów} w błąd, ograniczali się do powtórki obcych języków, matematyki, fizyki, geografji, przyrody, unikając wszelkich dyskusji.

W pierwszych dniach lutego Rosyjskie wojska opuściły budynek szkoły powszechnej, i tego samego dnia uczniowie z Druskienik, którzy jeździli do Grodna, otrzymali zawiadomienie o zebraniu w szóstej klasie, budynku powszechnej szkoły w Druskienikach.

Piątego lutego w poniedziałek, spotkał ich nowy dyrektor szkoły Tadeusz Szwalb. Był on przez długie lata nauczycielem w Druskienikach. Prawie, że wszyscy zebrani studenci, byli jego starymi uczniami.

Okrągły na twarzy, z małym kartoflanym noskiem, ciemno brązowych oczach i zaczynającej się łysince, trochę za gruby na swój, średni wzrost, mocno czerwony na policzkach, zachowywał się o wiele poważniej niż normalnie.

Po przywitaniu uczniów, stanął z boku tablicy i patrząc na otwarte drzwi do drugiego pokoju, cierpliwie czekał.

Po kilku minutach do klasy wszedł rosyjski oficer. Ubrany był on w szaro zielony żakiet, ściągnięty pasem, na którym wisiał wielki rewolwer. Czarne spodnie wcisnięte były w świecące do połysku buty z cholewami. Okrągła twarz z czarną czupryną i małym zadartym do góry noskiem, pełna była życia. ~~X~~Spod gęstych brwi, dwoje szarych, ostro świecących się oczu, starało się przesyć studentów, przeskakując z jednego na drugiego. W klasie nastąpiła nieprzyjemna cisza.

Przerwał ją Szwalb przedstawiając oficera.

-Towarzysz Wasil Kryszka Wasili^owicz, Oficer Sowieckiego Sojusza.-

Oficer usmiechnął się ukazując białe jak ^{śnieg} ~~sinę~~ zęby.

-Ja będę uczył was konstytucji.- Oznajmił mocnym głosem.

-Ja zrobię z was dobrych komunistów! Ale musicie mnie się słuchać, no i nauczycieli.- Spojrzał z ukosa na Szalba.

-Ale najważniejszą rzeczą to dużo się nie pytać, tylko słuchać i zapamiętać co się wam mówi.- Nabrał powietrza do płuc.

-My jesteśmy bardzo kulturalni ludzie. U nas w Rosji jest bardzo dobrze. Nasz батьka Stalin widząc Polskę w nieszczęściu przyszedł z pomocą. Jesteśmy tutaj żeby was oswobodzić.-

-Od kogo? Od czego?- zapytał jeden z uczni.

Wasilewicz poczerwieniał lekko na twarzy. Udając, że nie słyszy pytania mówił dalej.

-Teraz może jest trochę ciężko. No, nic dziwnego, byliście w wojnie. Ale to się zmieni. Zobaczycie, że pracujący człowiek będzie bardzo zadowolony. Oswobodzimy was od burżuazji i będzie równość!- zawołał głośno.

-Oczywiście musicie to zawdzięczać naszej komunistycznej idei i naszemu przywódcy-Stalinowi.

Po tych słowach odwrócił się szybko do Szwalba. Powiedział coś do niego, machnął lekceważąco ręką i opuścił klasę.

Po odejściu Wasilowicza dyrektor Szwalb otworzył grubą książkę. Przbiegł oczyma po jednej ze stron, spojrzał ponuro na uczni.

-Nasza szkoła została obdarzona zaszczytem. Od dzisiaj będzie dziesięciolatką. Jeżdżenie do Grodna bez pozwolenia jest zabronione. Ja mam was wszystkich zarejestrowanych- przeczytał nazwiska uczni, otarł chusteczką spoczone czoło i mówił dalej.

-Niestety z braku miejsca i z braku studentów, będziemy mieli tylko

osiem klas.

-Ależ panie dyrektorze, tu nas jest pięciu z trzeciej klasy gimnazjalnej, a Zbyszek chodzi do czwartej- przerwał mu Michał Wiśniewski.

-Nasza czwarta klasa, równa się ich dziesiątej, ale nie ósmej- dokończył zniechęconym głosem.

-Ja to rozumiem! Rozumiem, rozumiem, ale niestety muszę słuchać się swoich przełożonych. Ich decyzją jest umieścić was w ósmej klasie i na tym koniec- otarł czoło chusteczką.

-A teraz chodźcie za mną- rozkazał wychodząc na korytarz.

Na końcu korytarza Szwalb, zatrzymał się przy otwartych drzwiach do pokoju po prawej stronie. Spojrzał na zegarek.

-To będzie wasza klasa. Macie dwadzieścia minut na dekorację i zajęcie miejsc- oznajmił głośno.

Zamiast normalnego ghałasu i szamotania się, studenci cicho ze smutnymi twarzami pozajmowali miejsca. W klasie nastała ponura cisza.

Janek ulokował się przy oknie wychodzącym na szkolne podwórko. Dookoła siebie widział ponure twarze kolegów. Sam niezadowolony był ze straty roku szkolnego. Ciężko było pogodzić się z losem. Kilka miesięcy temu spokojne życie, dzisiaj zmieniło się w koszmar beznadziejnej przyszłości. Te bolesne zmiany przygnebiały, przerażały. Mocny głos Zbyszka Witkowskiego ocknął go z zamyślenia.

-Co wy tak poddajecie się! Mamy dekorować klasę, a nie płakać! Do roboty! Pokażemy im co o nich myślimy- wskazał ręką powyciągane półki ze stojącej z boku szafy.

Andrzej Zabłocki, najlepszy kolega Zbyszka zgadując jego myśli złapał jedną z desek. Z artystyczną powagą wypisał na niej kredą, wielkimi literami szyldowy napis. Reszta studentów dołączyła się do niego. Pisali krótkie nazwy określające obecną sytuację.

Zbyszek poustawiał je w różnych miejscach na widoku. Ostrzeżeni o zbliżającym się dyrektorze szkoły, studenci powrócili na swoje miejsca i w wielkiej ciszy czekali na jego wejście.

Dyrektor Szwalb wszedł do klasy bardzo zamyślony. Dopiero w połowie pokoju zauważył napisy. Bezwiednie czytał je na głos. 'RESTEURACJA GŁODOWKA', 'BRAKOWICA', 'OPROZNIONA SPIZARNIA', 'GWRANTOWANY NIEDOSTATEK'.

Przez chwile panowała martwa cisza. Pomimo humoru, widząc przerażoną twarz dyrektora, uczniowie nie śmieli wydać najmniejszego dźwięku.

-Dzieci! Moje dzieci! Co wy robicie!- zawołał zdławionym głosem Szwalb. Spojrzał z wyrzutem na studentów. Pozbierał deski, wytarł je szmatką od tablicy i włożył do szafy. Otarł spocone czoło i odezwał się cicho.

-No a teraz niech ktoś z was pójdzie za mna po obrazy.

Ciszę przerwała Saja, przystojna żydóweczka. Odsunęła głośno krzesło i podążyła za Szwalbem. Po pewnym czasie wróciła z obrazami Stalina i Lenina. Z pomocą jej koleżanki Kazi zawiesiła je zakrywając jasne ślady po obrazach polskiego orła i prezydenta Mościckiego.

W klasie panowała martwa cisza. Uczniowie w napięciu obserwowali każdy ich ruch. Naraz Andrzej Zabłodzki wstał i zaczął śpiewać.

"Boże coś Polskę." Studenci poderwali się z krzeseł.

"Przez tak liczne wieki." Dołączyli się do Witka.

"Otaczał Polskę potęgą i chwałą." Śpiewali coraz to głośniej.

"Przed twe ołtarze zanosim błaganie." Śpiewali wszyscy, nie wyłączając niewielkiej grupy Żydów.

"Ojczyzno wolną racz nam wrócić Panie."

Saja Samuel, swoimi czarnymi, szeroko otwartymi oczyma patrzyła na studentów. Wielkie krople łez zalsniły w jej oczach. Powoli potoczyły

sie po policzkach i zaczęły rześście spadać na białą bluzkę. Kazia podbiegła z chusteczką. Wytarła jej zmoczone policzki i pomogła usiąść na krześle. Głośny dzwonek oznajmił rozpoczęcie nauki.

Do klasy wszedł wysoki, gładko ogolony, z orlym nosem blondyn. Szarymi oczyma obrzucił studentów, jakby kogoś szukał. Poprawił wytarty coś nie coś na łokciu bazyliak.

-Profesor Janusz Konaszuk do waszych usług- uśmiechnął się przyjemnie.
-Ja będę wykladał, uczył was języka Białoruskiego. No i może będziemy przerabiali geografje Rosji.

Zadając pytania starał sie dowiedzieć coś nie coś o swoich uczniach. Spędził z nimi więcej niż godzinę. Wejście Szwalba przerwało pogadankę.

Z powznaną twarzą dyrektor szkoły zawiadomił ich o wyborach delegacji. Profesor Konaszuk ustawił studentów w rzędzie i zaprowadził do sali teatralnej, w której były już wszystkie klasy niewyłączając pierwszej powszechej.

Na scenie siedzieli nauczycielowie. Po prawej stronie oparty o poręcz krzesła, Wasil Wasilowicz rozmawiał z dwoma milicjantami. Na znak Konaszuka nastąpiła cisza.

Pierwszy głos zabrał dyrektor Szwalb. Wytłumaczył on uczniom, że każda dziesięciolatka w Rosji ma swoją delegację wybrana przez uczni. Zadaniem ich jest utrzymywanie porządku, organizowanie marszów i pochodów. Uczniowie muszą słuchać się ich tak jak nauczycieli.

-Dzisiaj wybieriecie z pośród was głównego przedstawiciela, który potem wybierze po dwóch pomocników z każdej klasy. Szwalb odпочął chwilkę, wytarł chusteczką mokre czoło, i patrząc sie gdzieś w dal mówił dalej.

-My tutaj mamy bardzo dobrego kandydata. Na scenę wszedł Władek Kucharski. Podeszedł do Szwalba i stanął z boku.

-No a teraz głosowanie. Czy nie mamy więcej kandydatów?- zdziwił się Szwalb patrząc na Konaszuka.

Na sali powstał bałagan. Każda klasa chciała wysłać swojego kandydata.

Czerwony jak burak na twarzy Wasil Wasilewicz poderwał się z krzesła na nogi. Odsunął na bok Szwalba, i patrząc na ucni zaryczał z całej siły.

-Porządek! Cisza! Ja wam mówię-cisza!

Na widok podnoszących się z krzeseł milicjantów i na ten jego głos, nasąpiła cisza. Wasilewicz starał się opanować. Zagryzł zęby i powoli twarz jego straciła buraczkowy kolor.

-Co to jest! Co to są za wybory? Ja was nauczę jak to się robi! Kuchareki chodź tu! Prędko!- zawołał ostrym głosem.

Położył rękę na Władka ramieniu, i spojrzał na ucni.

-To jest kandydat! Kandydat na waszego przedstawiciela- wycedził cicho.

-Komunista! dobry uczeń, wszyscy nauczyciele ~~wie~~ go lubią. A teraz kto głosuje przeciw niemu?- poklepał Kucharskiego po ramieniu. Zmieniając głos na miękki uśmiechnął się pobłaźliwie.

-Kto go nie chce niech podniesie rękę do góry!

Więcej niż połowa ucni uniosła rękę do góry. Pozostałych kilkunastu widząc przewagę w głosowaniu dołączyła się do reszty podnosząc swoje ręce.

Wasilewicz podskoczył do góry. Przez chwilę dusił się, czerwieniąc na twarzy coraz to bardziej, wydawało się, że zaraz zakipi. Powoli opanował się, wskazał palcem na milicjantów.

- Zapisuj!- rozkazał. Odwrócił się i uderzył Kucharskiego po ramieniu.

-Kto jest przeciwko temu kandydatowi niech wstanie!-

Tym razem mniej niż połowa studentów wstała, ale widząc

zapisujących nazwiska milicjantów, stopniała powoli do kilku, którzy pod ostrym wzrokiem Wasilowicza i ostrzegawczymi gestami Szwalba z niechęcią usiedli.

Wasilewicza twarz rozjaśniła się jak słońce. Zdjął rękę z ramienia Kucharskiego, który prostując się z bolesną miną odsunął delikatnie do tyłu, spojrzał na studentów z tryumfalnym uśmiechem.

-No jesteście wybrani. Gratuluje.- wyciągnął rękę do Władka i zaśmiał się jak dziecko.

-Wybrani jesteście z małą opozycją, która w końcu zrozumiała na kogo ma głosować. U nas w Rosji wybrani byłbyście przez wszystkich, bez żadnej opozycji. Ale oni jeszcze się uczą, zobaczysz ze nau---- Mocny głos Witkowskiego nie dał mu skończyć. Wasil spojrzał z ukosa na stojącego Zbyszka.

-Co chcesz?- zapytał niechętnie.

-Chciałbym wiedzieć po co my tu jesteśmy? To nie było głosowanie! Do głosowania potrzeba najmniej dwóch kandydatów, a nie jednego. A tu co? Wybraliście kogo chcieliście wybrać, krzyżąc na nas i zmuszając do siedzenia jak mysz pod miotłą. Czy to nazywacie kulturalną wolnością której tak dużo mówicie?- zapytał śmiało Zbyszek.

Wasilewicz, czerwony na twarzy, zignorował Zbyszka, jakby go nie widział ani słyszał. Uniósł rękę do góry.

-Gratuluje wam, Macie dobrego przedstawiciela. Pamiętajcie tylko! Partja wie co dla was jest najlepsze. Musicie uczyć się konstytucji, i walki z burżujami.- ostro spojrzał na Szwalba. Podszedł do milicjantów. Po krótkiej z nimi rozmowie, pełnej ostrych gestów, zniknął za kurtyną.

Miejsce jego zajął dyrektor szkoły Szwalb. Mruczac coś pod nosem, przyczepił Kucharskiemu oznakę z czerwoną gwiazdą. Szerokim gestem ręki odesłał uczniów do klas i z głową pochyloną niesko opuszczył

scenę teatralną.

Po kilku dniach nieobecności Witkowskiego w klasie, Janek postanowił go odwiedzić. Zapłakana matka zaprowadziła go do sypialni, wskazując ręką leżącego w łóżku Zbyszka, odezwała się cicho, bolesnym głosem. -No i p^oco było jemu zadawać pytania? Teraz ojciec boi się o robotę. Jak straci to z czego będziemy żyli! Janek, ty też uważaj, bo nigdy nie wiadomo z kim mamy do^oczynienia. - zapłakała cichutko i wyszła z pokoju.

Od Zbyszka do^oiedział się, że na drugi dzień po wyborach jeden z milicjantów czekał na niego n^odaleko domu. Zaprowadził go na posterunek milicji. Widocznie wyrok był już wydany, bo nie pytając się o nic w^epchneli go do pokoju w którym czekało trzech milicjantów z gumowymi pałkami. Na początku dopóki osłaniał się rękoma pchali go jeden do drugiego. Bili gdzie się dało aż stracił przytomność. Sam nie wiedział kiedy i jak znalazł się w domu.

Jedyna akuszerka w miasteczku, Liszkowa, złożyła mu złamaną rękę, owinęła nadwyrężone żebra, wysmarowała jakąś swojej roboty ma^scią, sińce, opuchlizny, i kazała mu leżeć w łóżku.

-Ale powiedziałem im prawdę. - Pożegnał Janka z bolesnym u^smiechem na twarzy.

Nowa dziesięciolatka w Druskienikach, tylko w przedmiotach jak, fizyka i matematyka przypominały pr^zedwojenną Polskę. Najbardziej nieprzyjemnym przedmiotem okazał się język Polski. Musieli bowiem czytać o uciskach jednostek w kraju. W wi^ekszości opowiadania nie miały sensu, morału, i denerwowały swoją naiwnością.

Pijacy, oszuści, złodzieje, nawet bandyci stawali się boh^ohaterami, n^odwrót, poniżano charaktery ludzi z wykształceniem na stanowiskach.

Pomiędzy bogatymi, nie było ani jednego uczciwego człowieka. Nazywano ich burżujami. Każde przestę^pstwo przeciwko burżujom uważane

było za dobry czyn.

Najciekawsza z lekcji, była lekcja konstytucji. Co prawda z Wasielowiczem nie było tak łatwo, ale dwadzieścia łebków zawsze było więcej niż jeden.

X

Wasil Wasilowicz, był synem robotnika w Kijowie. Młody pełen energii i zapału dostał się do szkoły wojskowej. Po zajęciu polskich terenów, rosyjskie władze wysłały młodych oficerów propagandy z zadaniem przerobienia polskiej młodzieży na komunistów.

Wasil Wasilowicz miał nad sobą dziesięciolatkę w Druskienikach. Spodziewał on się, że uczniowie tak jak i w szkołach rosyjskich, łatwo połączą ideę komunizmu. Ci co za dużo będą zadawać niewłaściwych pytań, odeśle się w ręce miejscowej milicji.

Widząc siedzących cicho studentów ósmej klasy, podniecony na duchu zaczął mówić.

-Komunizm jest ideą, którą my w Rosji wprowadziliśmy w życie. Po wyrzuceniu cara i zlikwidowaniu burżuazji nastąpiło równouprawnienie-
chrząknął cicho i mówił dalej.

-To znaczy, że wszyscy ludzie pod komunizmem są równi sobie. Wszyscy muszą pracować i dzielić się plonem pracy. U nas w Rosji wioski zostały zamienione na kołchozy. Nie ma więcej prywatnej ziemi należącej do jakiegoś tam burżuja. Wszystko należy do ludzi. Tak samo w miastach fabryki, sklepy, warsztaty, domy, należą do państwa. Nie ma nic coby należało do burżuji. Wszyscy robotnicy dostają zapłacone jednakową trudodniówkę. To znaczy za dzień pracy dostają jednakową ilość pieniędzy. U nas w Rosji nie ma nikogo bez roboty. U nas wszyscy

muszą, pracować.-

-Panie Wasilowicz!- Przerwała mu z bardzo poważną miną Sonia.

-Pan mówi że wszyscy ludzie w Rosji zarabiają jednakowo. Przecież nie można płacić stolarzowi na równo z doktorem!- doktor musi długo uczyć się zanim zacznie leczyć. A jego odpowiedzialność jest o wiele większa od stolarza. Czy on nie powinien zarabiać więcej niż stolarz?-

-O! Tak, doktorzy mają stawkę uchwaloną przez związki. Oni są takimi samymi robotnikami jak i inni. My im dajemy jedzenie, mieszkanie i naukę, a ich zadaniem jest leczenie. O jeszcze jedno! Nie nazywaj mnie panem. My tu jesteśmy, żeby was oswobodzić od panów! rozumiesz?-

-Ale towarzyszu Wasilowicz my tu wszystkich nazywamy panami, tak jak u was towarzyszami- wytłumaczyła Sonia czerwieniąc się po uszy.

Zanim Sonia usiadła Józek Wierzba odezwał się bardzo poważnie.

-Towarzyszu Wasilowicz u was napewno brakuje doktorów! Bo przecież łatwiej jest nauczyć się jakiegoś rzemiosła, niż kuć na doktora.

Wasil poczerwieniał na twarzy. Nie wolno było mówić, że pod komunizmem są jakieś braki.

-U nas jest więcej doktorów niż na całym świecie!- krzyknął głośno. Rozumiesz! Więcej niż w całej Europie!- zmienił zdanie patrząc nerwowo na Józka. Uniósł rękę do góry i potrząsając nią wołał dalej.

-To nic nie znaczy! U nas jest równość! Burżuji nam nie potrzeba. I wszystkiego więcej mamy niż wy!- poczerwieniał lekko na twarzy jakby nie zgadzał się z samym sobą.

Wasil był oszołomionym tą różnicą, między tym co mówili im w Rosji, a tą wolnością opinii i bogatym życiem Polaków.

Argumenty dostawał bez względu na wiek. Specjalnie od ósmo klasistów, którzy starali się krytykować Rosję i ich system.

W ostrych wybuchach i zachowaniu się Wasielowicza zauważyć można było jak on walczył z wpojona mu od dzieciństwa propagandą.

Dotychczas wierzył on świącie w komunistyczne dogmaty. Był on zupełnie przekonany, że w Rosji było najlepsze życie. Dopiero tu w Polsce zarzucony pytaniami, których nie osmielił by się zadać żaden Rosjanin, Wasil zaczął myśleć.

Ci młodzi, niewinni uczniowie poderwali jego ślepa, wiarę w komunizm.

Z początku myślał, że oni są tak naumyślnie nastawieni, może nawet agenci. Ale pytania ich wskazywały, że oni byli wychowani w innych warunkach życia. U nich osobista wolność, znaczyła o wiele więcej niż obietnki komunizmu, z którymi nie mogli się pogodzić.

Szukając odpowiedzi na drażniące go pytania, postanowił wyszukać wady polskiego demokratycznego systemu, w którym oni żyli i rzucić je w oczy studentów.

W drodze do koszar postanowił zobaczyć jeden z ostatnich, prywatnie prowadzonych sklepów.

Zdziwił się widząc na półkach produkta których w upaństwowionych sklepach nie było. Zaciekawiony tym bardzo zapytał.

-Dlaczego wy macie o wiele więcej rzeczy do sprzedania niż sklep państwowy?-

Sklepikarz się zmieszał. Przez chwilę patrzył na Wasila z dziwnym pół-uśmiechem na twarzy.

-Czem mogę wam służyć?- zapytał niewinnie.

-Przyrzekam ci, że nic tobie nie zrobię jak powiesz mnie dlaczego?-

Joszka zbladł na twarzy. Jak on miał wytłumaczyć temu Ruskowi jak on prowadzi interes. Powie mu, to jeszcze zabiora mu sklep, tak jak innym, i wsadzą do więzienia. A może on wszystko wie? Nie powie mu, to potem pałkami wycisną wszystkie sekrety.

-Ja mówię ci, przyrzekam. Nikomu nie powiem. Nie bój się!

Joszka, spojrzał niepewnie na Wasila. Nasypał mu laskowych

orzeszkow do zwiniętej w lejek gazety, i uśmiechnął się smutnie.

-Nu, widzi towarzysz oficer u nas jest bardzo stare przysłowie. "

Pańskie oko konia tuczy"- odetchnął głęboko.

-Nu, to znaczy że właściciel musi ciężko pracować. Szukać gdzie może kupić towar, po małej cenie, żeby zarobić. Nu, musi być grzeczny do ludzi, żeby u niego kupowali. I, i trzymać tylko, to co się sprzedaje. Nu, żeby nie zamrażać kapitału- otarł spoczone czoło.

-No tak, Ale my mamy mądrych i ciężko pracujących sklepikarzy w upaństwowionych sklepach. Ale oni nie mają tych orzechów?-

-Nu, oni sprzedają tylko te produkta, które dostają z państwowych magazynów, o więcej nie potrzebują się martwić. Swoje godziny, trudodniowke odwalą i nie potrzebują, martwić się o sklep. Nu, wejdiesz tam to od drzwi krzycza "Nie!ma"- Joszka nabrał odwagi.

-Nu, moja żona mówiła, że jeden z nich co u mnie pracował to śmiał się jej w oczy. Mówi do niej, że ma lepiej niż u mnie. Płaca im jednakowo. Nu, mówi, że czy on pracuje czy nie to mu płacą. A on leniuch i nie chce mu się pracować, to mu tam lepiej. Nu taki interes! Nu jak tak! To dlatego nic w sklepie nie mają.

-A co powiesz o tem jak u was wyzyskiwali robotników, tak jak ty.-
Mruknał niezadowolony z tego co usłyszał Wasil.

-Nu, Ja nigdy nikogo nie wykorzystałem. Płaciłem na co było mnie stac. A komu sie nie podobało to mógł szukać innej pracy.- odburknał Joszka.

-Powiedz o tych, co wykorzystywali robotników!- nalegał coraz to mocniej Wasil.

-Ny, robotnikow? Ny, byli i tacy. Byli ! Sa! I będą! Na całym świecie. Bo to jest natura ludzka. Ny, najlepiej porozmawiaj o tem z milicjantami oni ci wytłumacza o wyzysku, ucisku i sprawiedliwości. Ny, ja nie jestem taki wykształcony, żeby o tym mówić. Ja musze obsługiwać ludzi.- wykręcił się Joszka. Delikatnie odwrócił się do

czekającego z boku Michała Zagórskiego.

Zaintrygowany tym Wasil, udał się prosto na posterunek milicji. Rozmawiając z komendantem milicji Gmina, dowiedział się że, polscy milicjanci, w których rękach znajdowała się administracja należeli do wyrzutków polskiego społeczeństwa.

Zagebiając się coraz to bardziej w ich przeszłość, pytaniami denerwującymi coraz to bardziej Gmine, odkrył, że żaden z nich nie skończył szkoły powszechnej. Wielu z nich siedziało w więzieniu za pijaństwo, kradzież i oszustwa. Sam Gmina miał dużo na sumieniu.

Raportując to swojemu przełożonemu Kapitanowi Iwanowi Gorodziejowi otrzymał ostrą odpowiedź, że to nie jego ineres. N.K.W.D całkowicie popiera ich pomoc w niszczeniu burżuazji. Klepiąc po przyjaciółku Wasila po ramieniu Gorodziej usmiechnął się.

-To nie znaczy, że my im ufamy. Jak tylko wszystko się ustabilizuje to i oni zostaną polikwidowani.- zaśmiał się cicho.

Kapitan Gorodziej, bardzo się omylił. Zamiast likwidowania milicji, nastąpiła likwidacja rosyjskich żołnierzy. Tych którzy pierwsi przekroczyli Polsko-Rosyjską granicę.

Rosyjskie władze, uważając ich za zarażonych kapitalizmem odesłali na Finlandzki front.

Ostra zima i dobrze wyposażone w broń i ubranie, wojska Finlandzkie, zmasakrowały dywizje po dywizji, atakujących rosyjskich żołnierzy.

Zapytny o przyczynę niepowodzenia wojny z Finlandją, Wasil tłumaczył że tylko jedna rosyjska republika walczy z Finlandją. Na zapytnie dlaczego rosyjskie wojska okupujące Polskę, wysyłane są na front. Wasil nie miał odpowiedzi. Starał się zmienić temat, ale widząc że to się jemu nie udaje, z ponurą miną opuszczał klasę.

Następnego dnia po długiej pogadance z Donajowiczem, Wasil wszedł

do klasy z wielkim uśmiechem na twarzy. Zawiadomił studentów, że dostał odpowiedź na pytania o żołnierzach rosyjskich, opuszczających Polskę. -Widzicie u nas, bohaterzy co oswobodzili was od burżuazji w nagrodę dostali pozwolenie na powrót do Rosji. Do swoich rodzin. A nowe wojska sowieckie zajmą ich miejsce.

-Towarzyszu Wasil! to dlaczego tyłu z nich przynosi pieniądze do kościoła z prośbą o modlitwę, bo jadą na front- zapytał Andrzej.

-Co! Co! co ty mówisz?- zdziwił się Wasil.- Rosyjscy żołnierze! Do kościoła! Prosić o modlitwę? Po co? Na co?- krzyczał tak głośno, że aż profesor Konaszuk wbiegł do klasy zobaczyć co się stało.

Uspokoiwszy się zostawił klasę z Konaszukiem i skierował się prosto w kierunku kościoła. W otwartych drzwiach natknął się na wychodzącego z kościoła mężczyznę. Nie wiedząc dlaczego złapał go za ramiona i patrzac mu prosto w oczy zawołał.

-Dlaczego! Nikt was nie zmusza! Nawet zabraniamy, a wy chodzicie do kościoła?-

Przestraszony człowiek delikatnie wysunął się z rąk Wasila. Spojrzał na niego szeroko otwartymi oczyma.

-Jak trwoga to do Boga!- odpowiedział i zanim Wasil zdążył zadać mu drugie pytanie zniknął pomiędzy kasztanowymi drzewami.

Więcej urażony, bardziej zaciekawiony przekroczył próg. Głębką cisza, tego wielkiego pokoju z rzeźbionymi ścianami, pięknie malowanym sufitem, wywarły na nim wielkie wrażenie. Wolno idąc środkową nawą, zbliżył się do ołtarza. Wielki krzyż z figura Pana Jezusa zatrzymał go w miejscu.

Wasil starał się przypomnieć co słyszał od matki o tym człowieku wiszącym na krzyżu. Niestety, to było tak dawno temu, zanim zaczął chodzić do szkoły. W obawie żeby w szkole nic nie powiedział, matka mu więcej nic o tem nie mówiła.

Ciche kroki przerwały mu skupienie. W bocznym wejściu do zakrystji, zobaczył lekko zgarbioną postać księdza Gibulskiego.

Przez chwilę, w wielkiej ciszy patrzyli jeden na drugiego. Ksiądz Gibulski myślał, że to przyszła kolejka na nego. Ksiądz Wolejko milicja aresztowała miesiąc temu. Staruszek nie obawiał się więzienia. Zmartwił się, nie wiedząc, kto będzie odprawiał nabożeństwa, kto obejmie obowiązki kościelne. Spokojnie obserwował Wasila. Cierpliwie czekał co będzie dalej.

Wasil starał się ukryć zaambarasowanie. Chrząknął kilka razy, zakaszłał, wytarał nos, na koniec odezwał się cichym głosem.

-Jak tobie staremu mężczyźnie nie wstyd naciągać ludzi kłamstwem o życiu po śmierci?

Zaskoczony tym pytaniem Ksiądz Gibulski spojrzał na Wasila z niedowierzaniem. "Chłystek! przyszedł mnie aresztować i jeszcze ze mnie kpi". pomyślał niezadowolony.

-On nam to powiedział- wskazał Pana Jezusa na krzyżu.

Wasil zaśmiał się sztucznie.

-Ty jemu wierzysz?- zapytał przyglądając się figurze.

-Jak ja nie mam wierzyć, dokumenta, notatki, pisane przez przyjaciół i wrogów kościoła, przetłumaczone z wielu języków udawadniają prawdę. Nie mówiąc o momentach w naszym życiu. Na przykład! Ile to razy, jak o coś prosimy, to otrzymujemy wbrew wszelkich przeszkód.

-To nie możliwe! To nieprawda! Kłamstwa! Oszukujecie i uczycie oszukiwać!- wzdrygnął się Wasil rozgadając uważnie dookoła.

-Oszukiwać? To dziwne. Nasz kościół uczy miłości bliźniego! Szacunku! Uczciwości, a nie kłamstwa, kradzieży i zbrodni. Powiedz mnie! W jakiej u was szkole to uczą? Gdzie młodzież może się o tem dowiedzieć? Jakie państwo może istnieć i jak długo w spokoju i harmonii życia bez tych praw?

-A co ty myślisz! U nas też mamy prawa co zabraniają kradzieży, oszustwa i wyzysku człowieka. U nas za przekroczenie tych praw, są wielkie kary.- zawołał Wasil.

-Tak masz racje. W każdym państwie są prawa za które karzą. Ale temu co nie wierzy w Boga, one są tylko przeszkodą w życiu. No i jak uda mu coś ukraść, czy kogoś oszukać, czy coś złego zrobić, to robi nie rozumiejąc dlaczego ma wyrzuty sumienia.-

Wasil zachnął się. Wiedział sam, że jak się uda coś ukraść, to robi bez namysłu, a potem to dziwne uczucie wewnętrzne, którego nigdy nie rozumiał, a które ten dziwny pop nazywa sumieniem.

Pragnąc przynajmniej przechylic ten argument na swoją stronę, zapytał złośliwie.

-No to powiedz mnie! Dlaczego tak wielu ludzi atakuje twoją religję.?

Przez chwile panowała cisza. Ksiądz Gibulski spochmurniał. Spojrzał z wielkim szacunkiem na ołtarz i spokojnym głosem odpowiedział.

-To są ludzie, którzy nieznają prawdy, albo nie chcą jej poznać. Dla swojej wygody łamią prawa Boże. Starając się znaleźć jakieś usprawiedliwienie, krytykują jak najgłośniej to co stoi im na drodze, to co im przeszkadza. Atakują naszą religję, myśląc, że zagłusza swoje sumienia. Niestety ale my wszyscy mamy słabe charaktery. Trochę lepiej, zapominamy o Bogu, trochę gorzej, szukamy Jego pomocy.-

Widząc, że Wasil nie ma zamiaru aresztować go, spojrział na jego zmartioną twarz i zapytał cicho.

-Czy ty masz jeszcze jakieś pytanie? Czy mogę odejść? Bo muszę iść i przygotować jedną staruszkę do dalekiej drogi.

Wasil Wasilowicz opuścił kościół jeszcze bardziej rozczarowany. Gdzie jest prawda. Dlaczego komunizm niszczy kościół, religję.

Dlaczego oni okłamują ludzi o wielkim dobrobycie w Rosji? Dlaczego człowiek nie może żyć tak jak jemu się podoba.

Pytania jedno po drugim cisnęły się niemiłosiernie do głowy. Pragnąc uspokoić się i rozweselić, poszedł do willi zajętej przez oficerów. W jadalnym pokoju zastał kilku swoich kolegów przy butelce polskiej żubrowki. Z radością dołączył się do nich. Ten płyn w butelce najlepiej odsuwał niezrozumiałe wewnętrzne uczucia niepokoju. Po kilku dobrych łykach wódki podszedł do kapitana Iwana Gorodzieja. Kapitan Iwan Gorodziej- zapytał- dlaczego komuniści przesladują wiarę w Boga? zamykają kościoły i niszczą popów? Przecież oni nam nic złego nie robia.

Zdumiony kapitan jednym łykiem dokonczył swój kubek. Otarł usta i uchwycił Wasila pod ramie.

-Dlatego że nam tak karzą! A ja tobie rozkazuje iść spać za piec. Upiłeś się i nie wiesz co mówisz.

XI

W ostatnich dniach marca, ciepłe promienie słońca roztopiły śnieg. Susząc mokrą ziemię obudziły kwiaty i drzewa do życia.

Brzegi Niemna i Rotniczanki obsypane śnieżkami i skropione bujnie pękami baziek, pachniały wiosną. Dookoła ćwierkały wróble, wygrzewając się na ciepłym słońcu.

Z nadzwyczajnie piękną pogodą, nadzieja i otucha wstąpiły w serca ludzkie. Z otuchą, powróciła polska zaciętość w walce o byt, który z każdym dniem stawał się coraz to trudniejszy.

Coraz to więcej zaczęto odczuwać brak pożywienia. Obficie obładowane przed wojną spożywcze sklepy, upaństwowione przez komunistów nie miały nawet mąki, a po mięso trzeba było stać w długiej kolejce. Sklepy z ubraniami i materiałami, oczyszczone przez rosyjskich żołnierzy z towaru, napełniły się drewninymi zabawkami z Rosji.

Tylko w sklepie Joszki, można było jeszcze kupic robione na szydełkach swerty, grube pończochy, szaliki.

Zacięta walka o byt, zmieniała ludzkie charaktery. Uśmiech zginęły na twarzach. Na ulicach, omijali jeden drugiego, żeby nie wciągnąć się w jakąś dyskusję. Najszybszą drogą załatwili swoje interesy i wracali do domów, w których czuli się najbezpieczniej.

Na końcu ulicy Poniatowskiego po drugiej stronie buźnicy ukazały się stragany, z boku na pozbijanych niedbale deskach i stołach ludzie zaczęli sprzedawać ziemniaki, owoce, jarzyny, mąkę. Po bardzo wysokiej cenie można było kupić cukier i sacharynę szmuglowaną z Warszawy.

Skonfiskowane kilka miesięcy temu przedmioty znalazły miejsce obok kradzionych rzeczy.

Dziwiło to ludzi, że sowieckie władze nie zwracały żadnej uwagi na ten "czarny rynek". Sami milicjanci sprzedawali i kupowali w zależności od potrzeby. Obecność ich denerwowała ludzi. Milicjanta cena nigdy nie spadała do dołu. Dla świętego spokoju handlarze woleli stracić niż znaleźć wroga z czerwoną opaską na ramieniu.

Najlepszymi klientami byli żołnierze Rosyjscy. Po oczyszczeniu sklepów rzucili się oni na rynek. Placąc bajeczne sumy, kupowali przeważnie ubrania i szukali zegarki. Nawet zepsute budziki można było sprzedać za bardzo wysoką cenę.

Po wielu staraniach i prośbach, władze miejscowe pozwoliły ludziom łowić w rzece ryby. Kto tylko miał czas i wędke, zajął miejsce nad brzegiem rzeczki Rotniczanki.

Przechodzący od czasu do czasu żołnierze straży pogranicznej, pragnąc popisać się znajomością łapania ryb, wrzucali do rzeki granaty. Niestety tylko część ogłuszonych ryb udawało się złapać. Większość porwana prądem wody ginęła pomiędzy płatami kry Niemna.

W pierwszych dniach kwietnia w dziesięciolatce w Druskienikach zaszła wielka zmiana. Nowy oficer Sowieckiego Sojuza, kapitan Iwan Gorodziej zastąpił Wasila Wasilewicza.

Nowy nauczyciel konstytucji zabronił w klasach zadawać pytania. Nie było więcej dyskusji. Uczniowie musieli słuchać Iwana krytykującego religię, polskie prawa, przedwojenne życie w Polsce i burżuazję. Zapytani, odpowiadali zdaniem, które musieli uczyć się na pamięć.

W pierwszych dniach kwietnia, po aresztowaniu męża, byłego polskiego policjanta, Helena Hutnikowa ze swoimi córeczkami Kasią i Stasią przeniosła się na Poganę do swojej matki, Viktorji Kozłowskiej.

U babki Kozłowskiej, po drugiej stronie sionki od Falkowskich, w ciepłym pokoju przy kominku co wieczor zbierali się wszyscy razem nie wyłączając Marji, Klaudji, Sławka i Janka.

Dzielili się sukcesami, kłopotami i wiadomościami o aresztowanych o które było tak trudno. Dodawali sobie otuchy i planowali co mają robić.

Podczas gdy starsi, zajęci byli poważnymi sprawami życia, stara babka Viktorja, rozkoszowała się opowiadaniem starych polskich legend, swoim wnuczkom Kasi, Stasi i Sławkowi, którzy słuchali z otwartymi ustami.

XII

Tak jak co wieczor Klaudja ze Sławkiem udali się do babki Viktorji, która w tych ostatnich dniach cieszyła się pełnym domem gości. Tego wieczora Janek zajął się książką, którą kilka dni temu kupił od jednego studenta z młodszej kalsy.

Z zadowoleniem ułożył się na łóżku i otworzył "Quo Vadis". Tylko co dotarł do miejsca gdzie Winicjusz płaci Chilonowi za wskazanie miejsca chowającej się Ligij, gdy głośnie stukanie do drzwi od podwórka oderwało go od czytania.

-Kto tam?- zawołał niezadowolony.

Zeskoczył z łóżka i wyszedł do korytarza. W drzwiach mieszkania babki ukazała się głowa Stolarskiej.

-Ktoś tam przy drzwiach Janek! Ale nie otwieraj zanim nie zobaczysz kto tam jest- ostrzegła go.

Głos Andrzeja Zabłodzkiego zdziwił go. Wpuścił go do środka. Andrzej krótko przywitał się ze Stolarską i wszedł do mieszkania. Dopiero w pokoju przy świetle ujrzał Janek jego bladą twarz.

-Andrzej! Co sie stało- zapytał zaniepokojony.

Andrzej usiadł na krzesle. Przez chwilę wycierał chusteczką, spocone czoło. Widząc niecierpliwą, minę Janka, powstrzymał go gestem ręki.

-Moja matka,- odezwał się cicho. -Moja matka dowiedziała się, że milicjanci zawoławali wieśniaków z furmankami.-

-No to co?

-Pamiętasz jak wywozili rodziny leśniczych! Wtedy również zawołali ich, tylko z saniami zamiast furmanek. Ja ci mówię, że oni nas zabiorą i gdzieś wywiozą. Co robic? Gdzie uciekać?- Złapał się za głowę.

-Obszukałem cały brzeg Niemna! Ani jednej łódki. Janek co robić? Gdzie uciekać?- wielkie zmartwienie wryło się na jego twarzy.

-Andrzej! Co ty byś robił na Litwie- zdziwił się Janek.

-Nieznasz ich języka. No i wiesz, że oni odsyłają Polaków z powrotem, prosto w ręce rosyjskich żołnierzy. Po otrzymaniu Wilna od Ruska, oni są w najlepszej przyjaźni. Uciekać w lasy? Partyzanci przyjmują tylko mężczyzn i to bardzo zdrowych. Może jak tak niepewnie się czujesz to zabierz rodzinę i uciekaj do Wilna, tam sami Polacy i mówią po polsku. Albo ukryj się na wiosce i przeczekaj ten moment aresztowań.-

Andrzej spojrzał na Janka z spod oka.

-Janek! Janek! Ty wiesz jak komuniści kontrolują ludzi. To przecież nie tak jak przed wojną w wolnej Polsce, Mogłeś jechać gdzie tobie się podobało i nikt na ciebie nie zwracał uwagi. U nich milicjanci muszą znać każdego, gdzie mieszka, co robi, gdzie pracuje. Podróżować bez pozwolenia nie wolno. A w wiosce zaraz ciebie zauważą i tylko będzie kłopot dla ludzi u których zamieszkas. Nawet w dużych miastach. W Grodnie, w Białymstoku, oni kontrolują każdą ulicę, każdy dom!- mówił nerwowo uderzając się ręką po nodze.

Rozmowę ich przerwało wejście Klaudji z Heleną Hutnikową, za nimi wślizgnął się cichutko Salwek. Po wysłuchaniu jeszcze raz Andrzeja, przez dłuższy czas siedzieli wszyscy w wielkiej ciszy.

-Może najlepiej byłoby uciekać na tereny zajęte przez Niemców? Z Warszawą szmugiel idzie na całego. To dlaczego my, nie moglibyśmy przejść granicy?- zapytał cicho Janek.

-To bardzo niebezpieczne. Rosjanie na granicy mają kilka dywizji wojska. Kogo złapią, zaarrestują na miejscu i wyślą na Syberję. A po niemieckiej stronie to rostrzelają- ostrzegła poważnym głosem Helena.

Klaudja westchnęła głęboko, patrząc smutnie na Helenę odezwała się cicho.

-Co komu sądzone. Co ma się stać, to się stanie, nic na to nie poradzimy, pani Helena ma racje, Przez granice przejść czy na Litwę czy do Warszawy samemu, to niebezpiecznie, a przemytnicy chcą sporo pieniędzy. Ja jeszcze tyła nie uzbierałam.-

-Mamo!- przerwał jej Janek.

-Przecież mamy meble i trochę wartościowych rzeczy. Powinniśmy coś zrobić, a nie czekać, aż oni nas skrzywdzą.-

Klaudja machnęła ręką. Podeszła do Janka.

-Tak, ja się z tobą zgadzam. Niestety nasza sytuacja jest trochę inna. My teraz żyjemy z gotówki, którą odłożyłam na bok. Do tego czasu nie było jak sprzedawać mebli. Milicja miała nas na oku. A teraz zima minęła, więcej straganów na czarnym rynku, powinniśmy po cichutku sprzedać meble i niektóre rzeczy. Ruble wymienić na pieniądze litewskie, i uciekać przez Wilno do Rygi. Tam mieszka twój wujek, on na pewno pomoże znaleźć dla mnie jakąś pracę. I damy sobie radę, tylko trochę cierpliwości.-

-Ma pani rację!- odezwała się Helena.- My zresztą nie wiemy po kogo i na co oni zwołali furmanki. Może znowu będą okradać chłopów, jak to już kilka razy robili.-

-Moja matka także chce sprzedać co się da i uciekać do Warszawy. Ale pani ma rację, niewiadomo po co im te furmanki. I niewiadomo kto u nich na liście- zgodził się niechętnym głosem Andrzej.

Helena spojrzała na Andrzeja, potrząsnęła głową.

-Panie Andrzeju! My nie jesteśmy tacy ważni dla nich ludzie. Zabrali nam mężów, którzy nie byli ani ważni ani bogaci. Na pewno niedługo ich wypuszczą. A o nas! To już zapomnieli. Jak by mieli nas wywieźć to by już dawno to zrobili. Wywieźli rodziny bogatych ludzi. Ale ja tego nie mogę zrozumieć dlaczego rodziny leśniczych?-

-Kto ich rozumie! Kto ich rozumie.- przytaknęła głową, Klaudja.

Andrzej słuchoł, potakiwał głową, na końcu coś nie coś pokrępowiony na duchu, pożegnał się.

Zaraz po odejściu Andrzeja, Sławek złapał Janka za rękaw.
-Nareszcie będziemy uciekali od komunistów. Ale ty będziesz musiał nosić tę ciężką walizę. Dobrze Janek! Dobrze?- Zaśmiał się głośno i zaczął wyciągać z różnych kątów swoje zabawki.

Z trudem powstrzymała go Klaudja. Wytłumaczyła mu, że przygotowanie do drogi zajmie przynajmniej kilka tygodni. Musi ojca o tem zawiadomić, no i przez ten czas wszyscy będą musieli trzymać język za zębami.

Sama zadowolona z powziętej decyzji, pomogła Jankowi przynieść ze stodoły stary kufer, do którego planowała włożyć rzeczy do sprzedania.

Ostatni Janek zgasił światło. Przez dłuższy czas nie mógł zasnąć. Myślał w którym miejscu, najlepiej byłoby przepłynąć Niemen.

XIII

Późno w nocy mocne uderzenia w drzwi ocknęły ze snu Janka. Spojrzał na zegarek.

- Dwunasta godzina? To niemożliwe- mruknął odwracając się na drugi bok.
-Otwieraj! Otwieraj!- usłyszał głos na zewnątrz.

Głośna rozmowa w języku rosyjskim, Zapytania po których nowe uderzenia czemś twardym w drzwi do ich mieszkania obudziły go zupełnie. Widział jak matka, w szlafroku wybiegła z drugiego pokoju, zapaliła światło i otworzyła drzwi.

Do środka wszedł rosyjski oficer. Rozejrzał się po pokoju i zapytał.

-Wasze imie Klaudia Falkowska?-

-Tak.- odpowiedziała przestraszonym głosem.

-Dobrze! Stancie tu przy scianie i czekajcie!- rozkazał ostrym głosem.

Do Klaudji podbiegł w nocnej koszuli Sławek.

Przytulił się do matki z boku, i patrząc z wyrzutem w oczach na oficera, uniósł do góry nogę, jak by chciał go kopnąć.

Na rozkaz oficera kilku żołnierzy wbiegło do mieszkania. Bez słowa zaczęli wyciągać z szuflad i półek rzeczy. Przerzucali je jakby coś szukali. Rewidowali pokoje od góry do dołu. Zajrzeli nawet pod łóżko na którym, z szeroko otwartymi oczyma siedział Janek.

Nie znajdując żadnych zabronionych przez sowiecki rząd przedmiotów opuścili mieszkanie.

Po krótkiej rozmowie i ostrych rozkazach w korytarzu z jakimś dokumentem w reku, oficer wrócił ~~z~~ powrotem do pokoju. Ostro spojrzął na Klaudie i zaczął czytać.

-Klaudia Falkowska z synami Janem i Mieczysławem, z rozkazu sowieckiego sadu, skazani jesteście na przeniesienie!-

W głębokiej ciszy powoli schował papiery do teczki. Uniósł głowę do góry. Odciągnął rękaw. Wskazując trzy zegarki na ręku zawołał.

-Macie piętnaście minut do pakowania. Co zostawicie, zostanie sprzedane na licytacji. Pieniądze po odliczeniu kosztów i podatków odesłane będą do waszego nowego miejsca pobytu.-

Janek jak błyskawica wyskoczył z łóżka. Ubrał się i zaczął wrzucać co tylko wpadło mu pod rękę do kufra, z boku dołączył się Sławek. Zagarnął rękoma swoje zabawki i wrzucił je do środka.

Błada jak śmierć na twarzy Klaudja wyszła do sypialni. Po chwili wróciła ubrana. Rozejrzała się uważnie po pokoju. Widząc wielki balagan w kufrze, kazala Sławkowi ubrać się a sama zaczęła wyciągać z kufra rzeczy. Naraz zatrzymała się i spojrzała na Janka.

-Uspokuj się Ja to zrobię! A ty przynieś ze strychu walizki.-

Jankowi nie trzeba było powtarzać. Wybiegł do sionki, ale tu zatrzymało go dwóch żołnierzy, krzyżując długie bagnety tuż przed jego nosem.

-Ja idę tylko po walizki!- zawołał zaskoczony.

- "Nie!"- usłyszał w odpowiedzi.

Rozejrzał się za oficerem. Nie było go ani w ich mieszkaniu ani w korytarzu. Spojrzał przez szeroko otwarte na zewnątrz, ale zamiast oficera zobaczył Henka. Na pół-ubrany, patrzył szeroko otwartymi, przestraszonymi oczyma nie rozumiejąc co się dzieje.

-Heniek! Heniek! Przynieś nasze walizki ze strychu! Prędko! Prędko!- zawołał, spoglądając niepewnie na żołnierzy.

Po kilku minutach, Heniek powrócił z czterema walizkami. Doszedł do drzwi i ustawiając jedną za drugą, popchnął je pomiędzy stojących żołnierzy. Ostatnia walizkę wepchnął wyłamaną z płotu żerdką.

Zaskoczeni żołnierze przez chwilę nie wiedzieli co mają robić. Nie widząc oficera, kazali je otworzyć. Nie znajdując nic w środku, pozwolili Jankowi je wnieść do środka.

Klaudja zdążyła, bielizną i ubraniami wypełnić kufer. Z pomocą Janka i Sławka, spakowali kilka walizek. Pościel z poduszkami związali w przykrycie na łóżka, robiąc wielkie dwa bandle. Błady na twarzy Sławek, dopychając zabawkami małą walizeczkę, odwrócił się do Janka.

-Ja nie rozumiem co się dzieje z tymi żołnierzami, pokazują się i znikają nie wiadomo gdzie?-

-Tak to dziwne? Dwóch stoi w korytarzu, Ja wiem że dwóch jest na podworku, bo zabronili Henkowi i Józkowi podchodzić do drzwi. A oficer i tych dwóch co przeszukiwali mieszkanie, to nie wiem co się z nimi stało.- zastanowił się Janek.

-Ola Boga reta! Oni są u Kozłowskiej! Napewno aresztują Helenę z dziećmi. O Boże co się dzieje! Dlaczego ich! Dlaczego?- usłyszeli załamany głos Klaudji.

Do pokoju wpadł oficer. Można było zauważyć, że zapomniał, na którym zegarku obliczał czas.

-Dosyć mieliście czasu!- krzyknął głośno. Spojrzał złowrogo na Janka
-Wynosić! Wynosić!- rozkazał. Janek wyciągnął do korytarza kufer.

Przez szeroko otwarte drzwi zobaczyli pakującą się Helene. Z boku przy ścianie siedziała babka. Objęła rękoma kolana, złożyła na nich głowę i głośno płakała.

W kładaniu rzeczy na furmankę dopomógł im, lekko przygarbiony, w długim do samych kostek deszczowym płaszczu, okragłej czapce na głowie nieznanym Jankowi wieśniak.

Pociągając od czasu do czasu nosem, układał podany mu bagaż. W momencie jak uniosł jedną z walizek do góry, w świetle padającego z okna, Janek zauważył krople łez, spływające po jego policzkach.

-Czy pan nas zna?- zapytał zdziwiony.-

-Ty mnie nie pamiętasz. Ale ja znam twojego ojca. Ja go dobrze znam.-
przerwał widząc nadchodzącego żołnierza.

-Hej! Ty młodzik! Chodź tu prędko!- Zawołał rozkazującym głosem żołnierz. Wskazując ręką mieszkanie, popchnął Janka w stronę otwartych drzwi do sionki. U nich w mieszkaniu zauważył rewidujących jeszcze żołnierzy.

-Co za lichy ! Co oni jeszcze tam robią. Zdziwił się.

Nagle nieprzyjemne uczucie ogarnęło Janka. Serce zaczęło walić jak młot. Zimny dreszcz wstrzasnął jego ciało. " Maszynowy karabin!" Przeraził się. " Żeby tylko Matki i Sławka nie ruszyli, bo on to już zginął. Nie ma rady. Zginęli!" Myśli kłębiły się jak czarne chmury z błyskawiczną szybkością.

Zmusił ciężkie, ołowiane nogi do posłuszeństwa i wolnym krokiem wszedł do środka.

W pokoju przy ścianie stał oficer. W ręku trzymał, połowę starego grubo zakurzonego radja z wielkimi lampami sterczącymi do góry.

Ucieszony, że to nie karabin, nabrał powietrza do płuc i odetchnął

z wielką ulgą.

Masa rozrzuconych książek, gazet i starych rzeczy wskazywała, że żołnierze dobrali się do zagwożdżonej dotychczas wielkiej szafy przy wejściowych drzwiach do pokoju.

"Napewno w niej znaleźli te radio." pomyślał parząc na chodzącego po pokoju oficera. Naraz oficer uniósł radio do góry ostro spojrzął na Janka.

-Twoje studenckie wymysły!- zawołał głośno.

-Nie.- odpowiedział Janek spokojnym głosem.

Oficer udał, że nie słyszy. Przeszedł po pokoju i zatrzymał się przed Jankiem.

-Czy ty wiesz jakie wielkie kary sa za ukrywanie odbiorników radjowych?-

-Wiem! Myśmy oddali nasze radio dawno temu. A ten stary grat. On do nas nie należy. Ta szafa nie należy do nas. Dlatego była zabita gwoździami.

-Wszystko co znaduje sie w pokoju w którym mieszkasz, jest pod twoja odpowiedzialnością. Rozumiesz! Ty za to odpowiadasz!- potrząsnął radiem. Przeszedł się znowu po pokoju i zatrzymał przy oknie.

Po jego twarzy widac było, że nad czems się zastanawia.

" O nie " przestraszył się Janek, Patrząc jak on podniósł najmniejszą doniczkę do góry. Niewiedząc jak ma odwrócić uwagę oficera od doniczek, z całą emocją zaśmiał się sztucznie.

-Kto zna sie na radiach to powie, że ten stary grat jest już do niczego. Napewno nie pracuje. A lampy takiej wielkosc, to nikt nie robi, za stare. Do kogo należy napewno zapomniał o nim.-

Oficer zaprzeczył głową. Uparcie patrzył na doniczkę.

-Tylko ziemia?- spojrzął na Janka.

-Mieliśmy za mało opału. Kwiaty pomarzęły.- Starał się mówić jak

najspokojniej.

Oficer postawił doniczkę na oknie i wskazał ręką drzwi. - Idź do wozu, ale na tym nie koniec. My o tym radiu porozmawiamy na stacji. Mnie nie oszukasz! Tak łatwo tobie nie ujdzie. Kapitan zadecyduje. - zawołał za szybko znikającym Jankiem.

W korytarzu natknął się na Helenę z walizkami. Za nią biegły dziewczynki. Dopomógł im w załadowaniu na furmankę resztę rzeczy.

Po załadowaniu bagażu na wóz, otoczeni żołnierzami w głębokiej ciszy czekali na dalsze rozkazy.

Rozpacz, bezradność, żal opuszczonego domu, krewnych, przyjaciół. Strach przed nieznaną przyszłością. Gdzie ich wiozą? Po co? Dlaczego?

Przez załamane oczy, patrzyli na kulących się żołnierzy, nie odczuwając zimna nocy.

Po chwili z mieszkania wyszedł oficer z radiem w ręku. Położył radio na jedną z waliz i dał rozkaz do odjazdu.

Furman zaciął konia. Ruszając powoli wyjechali na ulice w stronę Rotniczanki. Na przód wysunęło się dwóch żołnierzy za nimi jechał wóz z boku którego kulal furman. Za wozem szli Klaudia ze Sławkiem i Jankem. Z boku Helena niosła jedną dziewczynkę, druga dreptała pomału trzymając matkę za rękę. Pochód ten zamykał oficer z czterema żołnierzami. Trzymając nisko karabiny, posuwali się oni uważnie po obydwóch stronach drogi.

Niedaleko Rotniczanki, na końcu piaszczystej drogi wjechali w delikatna mgłę drobnego deszczu, który zasłonił ich od rodziny Stolarskich, stojących w grupie wyrwanych ze snu sąsiadów.

Końskie podkowy uderzyły ostro w kamienie drogowe gwałcąc głęboką ciszę nocy.

Zjeżdżając na most furman musiał powstrzymać konia. Skaczący po kamieniach, obciążony bagażem wóz, pchał coraz to mocniej.

Ostatnie kilkanaście metrów, koń nie mógł utrzymać ciężaru i zaczął biec, zostawiając idących ludzi daleko w tyle. Zwolnił dopiero na moście.

W mizernym świetle przydrożnej lampy, widać było jak woźnica trzasnął konia z taką siłą, że aż ten szarpnął wozem.

Głośny huk rozległ się dookoła. Powtórzony echem odbitym o brzegi rzeczki sparaliżował idących. Żołnierze rozbiegli się obniżając gotowe do strzału karabiny. Oficer wyciągnął z pochwy rewolwer. Rozejrzał się uważnie dookoła.

-Oooo! To nic takiego.- usłyszali głos furmana.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Ze zumieniem partrzyli jak on zatrzymał konia, zawiązał lejce. Kulejąc, powoli wrócił kilka kroków do tyłu, nachylił się i podniósł rozbite radio. Okręcił je wolno w rękę. Splunął na bok i zawołał.

-Oooo! Ot ktoś je źle położył. Teraz nic nie jest warte.- potrząsnął głową i widkim zamachem ręki odrzucił je za poręcz mostu. Głośny plusk wody otrzeźwił oficera.

Z wściekłością wymachując rewolwerem, podbiegł do furmana. Kopiając resztki rozsypanego szkła, krzyknął zdławionym głosem.

Coś ty narobił! Glupiec! Jedź! Jedź dalej głupiec!-

Furman potrząsnął głową. Spokojnie odwiązał lejce i cmoknął głośno na konia.

Sapiać ze zmęczenia Helena posadziła obie dziewczynki na wozie. Otarła chusteczką spoczone czoło i oddychając ciężko szła ze spuszczoną nisko głową.

Gluchą ciszę nocy przerywało tylko głośne uderzenia końskich kopyt o kamienistą drogę i ciężkie westchnienia ludzi.

Po prawej stronie ukazały się zarysy kościoła. Furman skręcił w lewo i po chwili, po prawej stronie zobaczyli jezioro Druskonie.

W matowej jego wodzie odbijały się słabiutkie światła miasteczka.

Poganiający konia furman oglądał się do tyłu. W świetle przydrożnej lampy zobaczył jak deszczowe krople, łącząc się ze łzami kobiet, spływały po bladych pomęczonych twarzach.

Ze złością w głosie krzyknął coś po litewsku, Trzasnął batem i sprytnie podtrzymując go lejcami zjechał na prawą stronę szosy, gdzie wielkie rozłożyste drzewa osłoniły ich od deszczu.

Na peronie stacji kolejowej zobaczyli zbitą grupę ludzi. Większość z nich siedziała na bagażach. Dookoła kolejowego dworca widać było chodzące sylwetki rosyjskich żołnierzy.

Furman zatrzymał konia. Założył mu worek z owsem na głowę i zaczął zdejmować walizki.

Oficer wskazał reka ludzi na peronie.

-Zrózcie tam swój bagaż i czekajcie na wagony.- rozkazał krótko. Zabrał swoich żołnierzy i zniknął za budynkiem stacji.

Do pomocy w przenoszeniu rzeczy, dołączyli się Janka koledzy, Jerzy Gęgotek i Franek Lindner.

Na ich widok, Julja, matka Franka wybuchła głośnym płaczem. Otulona w ciepły płaszcz, końcem grubego wełnianego szala, owiniętego dookoła szyji, ocierała raz po raz swoje mokre policzki. Zabrało sporo czasu, zanim Klaudja z Helena uspokoiły ją.

Z boku, z nisko pochyloną głową do dołu siedziała Zofja, matka Jerzego. Mąż jej, przedwojenny policjant aresztowany był razem z Janka ojcem.

Długie czekanie dawało się we znaki. Janek nie mógł usiedzieć na jednym miejscu. Trochę nerwowo wstał i zaczął chodzić dookoła siedzących ludzi.

Po kilku minutach, dołączył się do niego Franek.

A za nim blady na twarzy Jerzy.

-Mówiłem ci, że nas zabiorą.- odezwał się zdławionym głosem.

-Niestety i mojej matki plany dostały po głowie. Ona też czekała na odpowiedni moment, żeby sprzedać meble i uciekać. Niestety nie udało się. Widocznie tak było sądzone.- opuszczył głowę.

-Co będzie to będzie. Żeby nas tylko nie rozdzielili. Razem to wszędzie damy sobie radę.- przerwał mu Franek, zatrzymał się i wskazał ręką na furmanke.

-Zabłocki Andrzej z matką. Chodźcie pomożemy im z rzeczami.-

Z nadchodzącym szarym porankiem, coraz więcej rodzin przywozili rosyjscy żołnierze na dworzec.

Pomagając z walizkami, Janek z Frankiem znaleźli się przy oknie kolejowej poczekalni. Ze zdumieniem widzieli jak do poczekalni wbiegł naczelnik stacji. Nieogolony, na wpół ubrany, zapalił światło.

Do żelaznego pieca przy ścianie nałożył chrustu i kilka kawałków drzewa. Podpalił chrust i szybkim krokiem, podszedł do drzwi. Otworzył je na całą szerokość i patrząc na ludzi ze łzami w oczach, zrobił rękoma gęst, zraszający ich do środka.

W tej samej chwili, gdzieś z boku wysunął się rosyjski oficer. Zastąpił ludziom drogę. Podszedł do naczelnika stacji i po krótkiej, ostrej wymianie słów, naczelnik stacji zamknął drzwi, usiadł na ławie i podpierając rękoma głowę, patrzył bezradnie na tańczące płomyki ognia. Z boku na ścianie Franek zauważył kalendarz.

-Wiesz co! Dzisiaj jest trzynastego kwietnia, Aresztowano nas o dwunastej w nocy. Najgorsze jest to, że ja nie wiem dlaczego?-

-Bo jesteśmy im w drodze!- usłyszeli głos Zagórskiego.

-i was też?- zdziwił się Franek, patrząc na zbliżającego się kolege.

-A co to, Jestem gorszy od was?- bezradnie rozłożył ręce Michał.

- Widzisz to nie pierwszy raz, i nie ostatni, ludzie wykorzystują,

przewagę nad innymi, krzywdząc, poniżając, mordując, rabując co się tylko uda, żeby samemu mieć wygodniej i rzadzić, jak im się podoba. -
Dodał siadając na długiej ławie przy ścianie budynku.

Do samego rana, furmanki jedna za druga, przywoziły ludzi, O ósmej rano żołnierze odsunęli drzwi dwóch towarowych wagonów, stojących na bocznym torze.

Na rozkaz oficera żołnierze, otoczyli dwoma rzędami ładujących się do wagonów skazańców.

Wrogo nastawiając ostre, matowo świecące się bagnety, odgradzili aresztowanych od zbiegających się ze wszystkich stron miasteczka krewnych i znajomych.

Wagony były już dla nich przygotowane. Po obydwóch stronach na całą szerokość miały zbite z desek dwie półki. Cztery wycięte w ścianach okienka, za małe, żeby się przez nie przecisnąć, dawały bardzo mało światła.

Coraz to więcej osób wpychano do środka. Ci których przywieźli na końcu, musieli zająć miejsce na podłodze i przy szerokich drzwiach, Zabitych gwoździami, po drugiej stronie towarowego wagonu.

Po załadowaniu ludzi i długich prośbach, rosyjski oficer pozwolił czekającym krewnym w małych grupkach podchodzić do wagonów.

Wykorzystując ten moment, Marja podała stojacej przy otwartych drzwiach Klaudii dwa wielkie koszyki jedzenia.

-Jeden dla pani a drugi dla Heleny!- tłumaczyła powstrzymując się od płaczu.

-Ale wy nie macie ani widelcy, ani łyżek do jedzenia! No i garnków. Potrzebujecie więcej jedzenia na drogę. Ola Boga! Ja zaraz przyniosę!- odwróciła się i pobiegła z powrotem na Pogankę.

Ze smutną miną, pociągając raz po raz nosem Heniek, nie wiedział jak się ma zachować. Mamrotał coś pod nosem.

Widać było, że starał się pocieszyć siedzącego na platformie wagonu, ze spuszczonej nogami Janka. Na koniec patrząc na niego zażwawionymi oczyma, zapytał.

-Janek czy ty znasz tego mężczyźne? stojącego tam, z boku stacji kolejowej? On powiedzia, że ty znasz jakiegos tam Ślimaka. Znasz go?

Janek spojżał na mężczyźnę i poruszył przecząco głową.

-Ja! Ja myślę, że muszę pomóc matce. Może zdążyimy przynieść jeszcze kilka potrzebnych wam rzeczy.- pociągnął nosem. Uścisnął mocno Janka rękę i poleciał za matką.

Niewyspany, zmęczony Janek wdrapał się na górną półkę, wąskie miejsce, po lewej stronie wagonu, które sobie zajął. Rozłożył koce i ułożył się na plecach.

Ostre, nieprzyjemne myśli, tłoczyły się w głowie i powracały bezustannie pomimo, że starał się odsunąć je od siebie jak nadalej.

Wbił oczy w dach wagonu i starał się uspokoić nerwy. Beznadziejne rozmowy kobiet, płacz dzieci, przygnębiało coraz to więcej. Jakas kobieta, słowo w słowo, głośno, odczytywała jego myśli.

-Co sie z nami stanie? Gdzie oni nas wiozą? Dlaczego nas prześladują? Napewno chcą nas zniszczyć w jakiś potworny sposób!-

Zimny dreszcz przebiegł po całym jego ciele. Wzdrygnął się i zatkał sobie palcami uszy.

"Och gdyby tak ukazało sie kilka dobrze uzbrojonych polskich dywizji. Dobrze uzbrojonych polaków w maszynowe karabiny! Toby ich pogonili gdzie im sie należy! Maszynowe karabiny? Ślimak! Stanisław Ślimak!" Szepnął głośno podrywając się z miejsca.

-Janek co ty robisz? Nie pchaj sie!- odezwał się zaspanym głosem, leżący z boku Jerzy, patrząc sie jak Janek szybko zsunął sie na dół.

Przy drzwiach wagonu nie bylo nikogo. Z daleka widac było grupy ludzi, którym zabroniono podejść do wagonu.

Z boku za torami, pomiędzy sosnowymi drzewami zobaczył tego samego mężczyznę, którego wskazał mu Heniek. Starając nie zwrócić na siebie uwagi, Janek machnął na niego reka. Mężczyzna odpowiedział gestem, że żołnierze nie chcą dopuścić go do wagonu.

Nie widząc innego wyjścia, Janek zeskoczył z wagonu i podszedł do stojącego z boku żołnierza.

-Towarzyszu! U mnie jest zepsuty żołądek. Czy mogę pójść do tego ustępu? Tylko na jedna sekundę! Można?- Zapytał proszącym głosem.

Zdumiony jego odwagą, i zaskoczony potrzebą żołnierz skrzywił się niezdecydowanie. Odwrócił się w stronę dworca kolejowego. Nie widząc nikogo, spojrzał na patrzące błagalnie oczy Janka.

-Tylko na minutkę!- kiwnął niepewnie głową.

Wykorzystując moment niepewnej decyzji, Janek zbiegł z nasypu. W kilku sekundach dostał się do latryny. Po kilku minutach do środka wszedł mężczyzna. Rozglądając się uważnie dookoła zapytał.

-Gdzieś go schował?-

-Gdzie jest pan Ślimak?- przerwał mu Janek.

-Ooo! Stasiek z partyzantką w lasach. Bardzo zajęty! Mnie posłał. A hasło "Wolna Warszawa". Ja byłem w waszym domu na ulicy Piłsudskiego. Ktoś inny w nim mieszka.- zaklął głośno.

-Jeden z milicjantów, znajomy, no wiesz, powiedział mi, że was mają na liście do wywozu, ale adresu sukin syn nie chciał dać! Nie wiedziałem jak mam was uprzedzić, a teraz za późno.- Zaklął mocno.

Zadowolony Janek, że może dopomóc partyzantce, podał mężczyźnie adres na Pogance. Wytłumaczył gdzie schował karabin.

-Niech pan porozumie się z Henkiem, on mieszka w drugim budynku na strychu. On ma zapasowy klucz do mieszkania, i wie o karabinie.- spojrzał smutnie na mężczyznę.

-Uważajcie na babkę. ona ma dosyć kłopotów. Nie powinna nic wiedzieć.

No i nie zapomnijcie o kulach, schowane są w doniczkach. Lepiej byłoby zabrać dzisiaj bo jutro to napewno przyjdą po meble. Pan rozumie! Milicjanci. Po meble na licytacje!- Zaśmiał się ironicznie.

Mężczyzna uścisnął Jankowi rękę. Uśmiechnął się smutnie.

-Zobaczymy się jeszcze! Zobacysz, że zobaczymy.- odezwał się cichym, stanowczym głosem. Przy drzwiach do latryny zatrzymał się.

-Oooo! o mały włos bym zapomniał.- odwrócił się do Janka.

-Kapral Ślimak zasyła pozdrowienia. Mówił mnie, że ma miejsce dla młodego partyzanta. Takiego jak ty.- mrugnął do Janka.

-Ale ty jesteś w niezadobrej sytuacji. Ja to rozumiem. Zaraportuję kapralowi.-

Janek powolnym krokiem ruszył w stronę wagonu. Niedaleko nasypu odwrócił się do tyłu. Smutnie spojrzął za znikającym pomiędzy drzewami mężczyzną.

"Do partyzantki? Tak! Żeby tylko matka ze Sławkiem byli w bezpiecznym miejscu, a nie w koszmarnej drodze nie wiadomo gdzie." Spojrzał na ponure sylwetki wagonów.

-Moim zadaniem jest zastąpić ojca.- odezwał się półgłosem. Wbiegł na nasyp i oglądając się co chwilę do tyłu doszedł do wagonu.

-A ty! Gdzie idziesz?- zatrzymał go ostry głos wartownika.

-Też nie wolno nikomu podchodzić do wagonów! Rozumiesz!- burknął obniżając karabin.

-To nie ten sam żołnierz co pozwolił mnie iść do ustępu. Musieli się zamienić.- mruknął sam do siebie niezadowolony z sytuacji Janek.

Spojrzął ostro na wartownika.

-Ja należę do tego wagonu! Byłem w latrynie! Twój kolega mnie puścił!- zawołał głośno, odsunął na bok ostry, świecący się złowrogo bagnet.

Zdumiony żołnierz odstąpił na bok. Opuścił karabin i patrzył za Jankiem jak on doszedł do otwartych drzwi wagonu, wdrapał się na

platformę i zniknął wewnątrz.

Na rozkaz oficera, żołnierz zasuneli drzwi wagonów. Na zewnątrz zamknęli je na wielkie kłódki.

Do wagonów zbliżyła się lokomotywa. Mocne uderzenie buforów, syk pary, skrzyp hamulców, Mocne szarpnięcie i pociąg powoli ruszył.

W wagonie nastąpiła kompletna cisza, która naraz zamieniła się w głośny wybuch płaczu, zagłuszony wahałsem ludzi pchających się do okien.

Każdy pragnął, po raz ostatni, zobaczyć twarze krewnych i znajomych.

-Do widzenia! Z Bogiem!- pożegnania cichły w miarę jak pociąg nabierał szybkości, pozostawiając za sobą pomęczonych biegiem przyjaciół.

Na koniec Janek dostał się do swojego okna. Z daleka widział biegnących jeszcze po bocznym torze kolejowym ludzi. Z tyłu za nimi biegła Stolarska. Widząc oddalający się pociąg, stanęła. Opuściła wielki koszyk na ziemię i ukryła twarz w dłoniach.

Bujno rosnące po obydwóch stronach toru kolejowego sosny, zasłoniły ludzi, stacje, i to maleńkie miasteczko Druskieniki.

W Porzeczu dołączyli kilka wagonów z ludźmi. W Grodnie nie dopuszczono nikogo do wagonów. Przyjaciołom, którzy starali się podać paczki z jedzeniem, żołnierze grozili kolbami karabinów.

Zamkniętym w wagonach ludziom, zabroniono wychodzić za własna potrzeba. Zaradne kobiety, zasłoniły kocami nocnik, którego zawartość wylewano przez najbliższe okno.

Po południu smród potu i kału zaczął dawać się we znaki. Janek tak jak i inni stracił humor. Leżał nieruchomo na kocu.

Słyszał jak do bocznego wagonu żołnierze dopakowali kilka rodzin. Ktoś krzyczał, że mają więcej niż czterdziestu ludzi i nie ma miejsca.

Pod wieczór pociąg ruszył. Wolno z trudem, uderzając buforami

dawał znać, że jest długi, ciężko obciążony.

Świeże powietrze zaczęło napływać do środka, orzeźwiając oszołomionych brakiem tlenu ludzi.

Rozpędzony, olbrzymi transport, krzywdzonych ludzi, otuliła ciemna noc.

XIV

Pomimo zmęczenia, niewyspanej nocy i ciężkim dniem, nikt nie mógł zamknąć oczu. Nawet małe dzieci, zrywały się co chwilę, rozglądając bojaźliwie po wagonie. Jakaś mała dziewczynka, narzekała, że jest spragniona. Ale wody nie było. Kobiety pogasiły świece, jedyne światło w wagonie, i w ponurej ciemności starały się odpocząć, choć na chwilę zasnąć.

Pociąg gnał całą noc i dzień, nie zatrzymując się. Dopiero pod wieczór zwolnił i stanął na bocznym torze małej stacyjki.

Żołnierze tak jak i w Grodnie, nie dopuszczali nikogo do uwięzionych.

Starsi ludzie, krępując się w używaniu nocników, zaczęli narzekać na ból żołądka. Jakaś kobieta lamentowała głośno.

Młodszy chłopcy, usłyszeli jej narzekania nie myśląc o niebezpieczeństwie, postanowili wykonać jej życzenie. Uważnie żeby ich nikt nie zauważył zabrali się do roboty.

Naładowany po same brzozy nocnik, znalazł miejsce przy jednym oknie. Patrząc przez swoje wycięcie w ścianie wagonu Janek, spokojnie obserwował co się dzieje na zewnątrz.

Dwóch żołnierzy przeszło koło wagonu, ale byli trochę za daleko. Minęło pół godziny nerwowego czekania. Trzymający nocnik Franek, zasłonił go walizką. Spojrzał na siedzącego z boku Michała.

-Ach! Żeby jak najprędzej, ja już nie mogę wytrzymać!- odezwał się cicho.

Michał spojrział na siedzącego po środku wagonu Jerzego. Widząc jego nerwowa rękę, pocieszył Franka.

-Ja myślę, że na coś się zbiera. Cierpliwości! Och, żeby tylko nie za późno.-

Od strony brzoźowego lasu wysunął się starszy człowiek. Patrolujący żołnierz, przeklinając i krzycząc głośno ostrzeżenia, przestraszył staruszka, który schował się, ~~s~~powrotem pomiędzy drzewa. Zadowolony z rezultatu żołnierz wolnym krokiem ruszył w stronę ostatniego wagonu. Na to czekał Janek.

Uważnie obserwując nadchodzącego żołnierza unióśł rękę do góry. Jerzy zaczął drapać się w głowę. Michał, który ze swojego miejsca widział tylko Jerzego, zbladł na twarzy. Nerwowym ruchem reki szturchnął Franka.

-Przygotuj się!-

W odpowiednim momencie Janek opuścił rękę do dołu. Jerzy przestał drapać się w głowę i unióśł rękę do góry.

-Teraz!- wyksztusił drżącym głosem Michał.

Franek szybko wysunął przez okno nocnik, przekręcił go i wylał całą jego zawartość.

Obydwaj, błyskawicznie zsunęli się na dół i zajęli miejsce z boku niewinnie siedzącego Jerzego.

Janek nie mógł oderwać oczu od okna. Patrzył jak cała zawartość nocnika spadła prosto na głowę patrolującego żołnierza, rozpryskując się dookoła.

Żołnierzowi z reki wypadł karabin. Przez moment stał sparalizowany, bez ruchu. Po chwili straszny krzyk wyrwał się z jego piersi. Na początku niezrozumiały, zamienił się na cały stek

najgorszych rosyjskich przekleństw.

W wagonie zapanowała martwa cisza. Z kilku stron przybiegli, zaalarmowani krzykiem żołnierze. Z bagnetami na karabinach otoczyli krzyczącego kolegę nie wiedząc co mają robić.

Z boku, zapinając po drodze pas z rewolwerem nadbiegł oficer. -Co się stało! Co się stało!- wołał rozglądając się na wszystkie strony. Oczy jego zatrzymały się na oblanym, krzyczącym jeszcze żołnierzu. Sciskając dłonie w kulaki, lekko przysiadł i krzyknął. -Milcz!-

Żołnierz umilkł. Wolno ociągając się podniósł karabin i stanął na baczność. Oficer dziko błyszczącymi oczyma, rozejrzał się dookoła, jakby coś szukał. Czerwony jak burak na twarzy, rozkazał otworzyć drzwi do wagonu.

Świeże powietrze wypełniło wagon, orzeźwiając zdumionych tym zajściem ludzi.

Julja Lindnerowa siedząca na walizkach po środku wagonu, znalazła się oko w oko z rozwścieczonym oficerem. Nie wiedząc co się stało, w obawie że dopchną do wagonu jeszcze kilka rodzin i z powrotem zamkną drzwi, zaczęła szybko mówić.

-Towarzyszu oficer. Wy jesteście kulturalni ludzie. Zawsze myślałam, że jesteście bardzo kulturalni. Nas tu bardzo dużo, to dlaczego nie pozwolicie nam załatwić nasze potrzeby na zewnątrz wagonu?- nabrała szybko powietrza i mówiła dalej. Zmieniająca się twarz oficera z wściekłej na zdumioną i powoli na zaciekawioną dodała jej otuchy. -Wy jesteście inteligentni, to powinniscie wiedzieć, że nawet zwierzęta muszą się załatwiać, a wy nas tu trzymacie tak długo, bez żadnej możliwości załatwienia własnych potrzeb! To nie jest po ludzku! To jest brutalne! Przyniesie wam wielka hańba!- naraz zobaczyła oblanego żołnierza.

-A co to się stało?- zdziwienie wryło się na jej twarzy. Zrozumiała co się stało. Podenerwowana nie mogła dalej mówić i wybuchła głośnym płaczem.

Z boku wysunęła się pani Bojakowska. Ubrana w starą, ciemno-bonzową, długą do samych kostek suknię. Z szalem na głowie, wyglądała bardzo biednie. Podeszła do drzwi i zaczęła przeproszać po Białorusku.

-Ja jestem stara grażdanka. Okno wysoko. Nie widziałam żadnego człowieka na dole. Mało co, że na siebie nie wylałam!- mówiła spokojnie parząc na stojącego na baczność żołnierza.

-Ot! Ot dostał duraczok, ot i dostał. Dlaczego podsunął swoją głowę! Dlaczego!- zakończyła kiwając poważnie głową.

Stojący dookoła żołnierze wybuchli głośnym śmiechem. Zaskoczony tak prostym tłumaczeniem kobiety oficer, starał się zachować jak najpoważniej, odesłał oblanego żołnierza do wagonu i dał rozkaz zasunąć drzwi.

W wagonie ponownie nastąpiła cisza. Nie wiadomo było co Rosjanie mają na myśli. Co z nimi robią. Jak ich za to ukarza.

Bojakowska odwróciła się do chłopców. Pogroziła palcem.

-To było po studentcku! Szybki kawał bez głowy. Musicie mnie przyrzec, że takiego głupstwa więcej nie zrobicie! Ja zgadzam się, że to im się należało, dlatego za was się wstawiłam. Mnie to nic nie zrobią. Was to mogliby skrzywdzić. Ale im to się należało. Tylko jeszcze raz proszę was---- głośny zgrzyt odsuwanych drzwi w przednich wagonach, zatrzymała ją w połowie zdania.

Z daleka usłyszeli głosy ludzi. Wagon za wagonem, coraz to bliżej. Nareszcie odsunęły się drzwi ich wagonu.

Lekko uśmiechnięty oficer, oznajmił, że mają tylko kilka minut czasu na załatwienie swoich potrzeb.

Jeden ze staruszków, oraz Franek, Janek i Jerzy zaskoczyli z wagonu. Stojąc po obydwóch stronach drzwi, zabrali się pomagać spieszącym się kobietom i dzieciom zejść z wysokiej platformy na kamienisty grunt toru kolejowego. Nie wiedząc gdzie mają się załatwić, zgrupowali się przy drzwiach wagonu.

Ostre bagnety na karabinach rosyjskich żołnierzy, wskazały miejsce pod wagonem. O wstydzie trzeba było zapomnieć.

Uwijając się jak tylko mogli, mężczyźni po jednej stronie, kobiety z dziećmi po drugiej, zasłaniając się jeden od drugiego, mężczyźni od kobiet, kobiety od mężczyzn i ciekawskich oczu otaczających wagon żołnierzy, załatwiali swoje potrzeby w wielkim pośpiechu.

Daleko na polu, Janek zauważył kilka młodych dziewcząt z koszami w ręku. Przez pewien czas obserwowały one żołnierzy, zajętych pilnowaniem załatwiających swoje potrzeby ludzi.

Korzystając z tej okazji, wbiegły na nasyp kolejowy. Sprytnie unikając starającego się zagrozić im drogę oficera, powrzucały małe zawiniątka przez okna do środka wagonów, i z powrotem zbiegały na dół.

Dopiero daleko na polu w bezpiecznej odległości odwracały się i machały rękoma na pożegnanie.

Kilka paczek wpadło do wagonu z Druskienik. Świeżo upieczone, pachnące, bocheneczki chleba i kiełbasa. Żeby starczyło każdemu, sprawiedliwie pokrojone na malutkie kanapki, smakowały świetnie.

Z zachodem słońca pociąg ruszył w dalszą drogę. Miarowe uderzenia kół, uspiły pomęczonych, zrezygnowanych ludzi.

Głośna kłótnia, po drugiej stronie wagonu obudziła Janka. Pociąg stał. Przez okno gęsta mgła wciskała się do środka. Na zewnątrz kłębiła się powoli zasłaniając wszystko w odległości kilku metrów.

Zaciekawieni co się tam dzieje, Jurek z Frankiem zsunęli się na dół. Janek podążył za nimi.

Przy słabym świetle naftowej lampy, dwie kobiety kłóciły się z mężczyzną. Chłopcy dowiedzieli się, że jest to Michał Kuciński, który pracował na leśniczówce, niedaleko Szandubry. Okrągły na twarzy z małym, kartoflanym noskiem siedział skulony na małym kuferku. strzelając błyskiem swoich czarnych oczu, nie dawał za wygraną kobietom. Będąc komunistą przez długie lata, wierzył święcie w ich ideje i cieszył się, że jedzie do komunistycznego raju.

-Wy zobaczycie jak tam jest dobrze, nie ma wyzysku! Każdy ma pracę! Oooo! Zobaczycie jak powinni ludzie żyć na tym świecie! Zobaczycie!- powtarzał nie ustępując.

Słyszając najrozmaitsze dowody, atakujących go kobiet, zatkał palcami uszy i głośno zawołał.

-Jedziemy do raju, gdzie jest wielka kultura! Zobaczycie! Niedługo już, zobaczycie.-

Głośne szarpnięcie odsuwanych drzwi, przerwało sprzeczkę.

-Pora do załatwienia osobistych potrzeb.- zaśmiał się Franek.

-Tak rano to dziwne?- zmartwił się Jerzy.

Zimne, przepełnione wilgocią powietrze wypełniło wagon. Ku wielkiemu zdumieniu ludzi, żołnierze zostawili otwarte drzwi i idąc dalej pootwierali resztę wagonów.

-Co się dzieje!- zapytał się przestraszonym głosem Jerzy.

-Patrz! Patrz! tam na drugie tory!- zawołał głośno Franek.

Wszystkie oczy skierowały się w stronę torów po drugiej stronie nasypu kolejowego. Powoli unosząca się do góry mgła odsłoniła olbrzymie towarowe wagony. Wielki sierp z młotem i napisy w rosyjskim języku, przygnębiły patrzących.

-Widzicie! Widzicie! Nawet wagony mają dwa razy większe od waszych!- przerwał cisze stojący z tyłu Kuciński. Nikt mu nie odpowiedział. Kobiety zabrały się do pokowania rzeczy.

Franek z Jankem usiedli w drzwiach na podłodze wagonu, i huśtając nerwowo nogami przyglądali się tym wielkim kolosom. Z boku dosiadł się Andrzej.

-Wy wiecie, że ja tego nie rozumiem! Dlaczego oni muszą wszystko mieć pokręcone. Popatrzcie na ich pisownię? Powsadzali jakieś tam dziwolągi, pozmieniali dźwięk liter i to ma być alfabet? A tu tory kolejowe! Muszą one być szersze niż na całym świecie? I te olbrzymie wagony.- machnął zniechęcony ręką. Przyjemny zapach świeżo zaparzonej herbaty ocknął ich. Obudził zapomniany apetyt.

-Nabierzcie siły, bo będziemy mieli dużo do roboty.- usłyszeli głos Heleny. Kromka chleba posmarowana szmalcem i kubek gorącej herbaty, ^upaniosły ich na duchu.

Jak na zawołanie spod wagonu wysunął się Andrzej. Złapał kubek, ulokował się z boku i popijając wolno herbatę, zaczął mówić.

-Ach! Czy wy wiecie! Ja starałem się uciec. Jak tylko żołnierze otworzyli wagon, to ja wyliznąłem się. Pod wagonami doszedłem do końca peronu.-

-No i co?- zaciekawikł się Franek.

-Ach!- westchnął ciężko- stacja kolejowa obstawiona jest więcej niż dywizją. Ani jednego cywila! Po drugiej stronie żołnierze spacerują po pięknej łące parami, jak by się umówili.-

-Andrzej! Jak by ci się udało, to myślisz, że byś uciekł? Zostawił byś siostrę i matkę na łasce losu?- zapytał cichym głosem Janek.

Andrzej opuszczył głowę. Przez chwilę patrzył na szyny, uniosł głowę do góry spojżał na rosyjskie wagony, i znowu opuszczył ją na dół.

-Kiedy my ją znowu zobaczymy?- odezwał się złamanym głosem.

Niesłyszając odpowiedzi, Spojżał na Franka.

-Ja się tylko pytam! Kiedy my znowu zobaczymy tę kochaną polską ziemię?- ukrątkiem otarł łzy spływające mu po policzku.

Janek zagryzł mocno zęby, żeby tylko nie wybuchnąć tą straszną wściekłością i nie uczynić jakiegoś głupstwa.

Głośne krzyki żołnierzy, zwróciły ich uwagę. Przestali huśtać nerwowo nogami. Patrzyli tylko złowrogo z nienawiścią w oczach na zbliżających się bolszewików.

Grupa oficerów sprawdzała wagony. Jeden z nich odczytywał nazwiska. Kilku innych przeglądało bagaż w środku wagonów..

Po krótkiej rewizji kapitan wskazał reka, rosyjskie wagony.
-Wasz wagon, numer piętnasty. Czekaście na swoją kolejkę. Zobaczymy! Może część z was pójdzie do czternastki. Wagony otworzą za chwilę.-
zapisał coś w notesie i zeskoczył z wagonu.

Starszy wiekiem, udekorowany medalami oficer zbliżył się do wagonu. Oficerowie stanęli na baczność, kapitan zasalutował mu i złożył raport.

Zdumione tym szacunkiem kobiety podeszły do drzwi.
-Towarzyszu komendancie! Czy możecie nam powiedzieć gdzie nas wieziecie?- zapytała śmiało Klaudia.

Oficer spojzał na nią. Uśmiechnął się pobłażliwie.
-Jedziecie w piękne strony. Tam wysoka kultura.- odpowiedział cedząc każde słowo. Odwrócił się w stronę oddalających się oficerów do następnego wagonu.

-Wysoka kultura?- zdziwił się Janek.

-Czy macie tam elektrykę? Wodę w kranie a nie na podwór..-

-Elektrykę!- nie dał mu dokończyć oficer.

-My tam mamy najnowocześniejsze domy na świecie! Ze wszystkimi wygodami. Rozumiesz ze wszystkimi!- machnął ręką, odchodząc dalej.

-Ale panie komendancie!- zawołała Julia Lindnerowa.

-Wy nam nie powiedzieliście gdzie nas wieziecie? Do którego miasta w Rosji?-

Generał zatrzymał się. Spojrzał poważnie na kobiety. Przez chwile myślał. Potrząsnął wolno głową.

-NA ZIELONY BRZEG BIALEG0 KRYMU.- odwrócił się i szybkim krokiem odszedł.

-Widzicie! Widzicie! A wy mie nie wierzyliście! Ha! Nie mówiłem wam!- zawołał ze swojego kąta Michał.

Sledzące z boku kobiety, poderwały się z miejsca.

-Ach ty durniu! Polska cię wykarmiła, ubrała, wyszkoliła, a ty cieszysz się, że ja opuszczasz! Ty zdrajco!- krzychały jedna za drugą.

Sprzeczkę ich przerwał jeden z oficerów. Podbiegł do wagonu i grożąc kułakiem, szkaradnie przeklinając krzyknął.

-Milczcie wy stare baby! Milczcie burżuje! Bo ja wam pokażę gdzie raki zimują! Milczcie!-

Siedzący na przodzie Janek nie wytrzymał.

-Oficer! Z taką brudną gębą! I to ma być kultura?- odezwał się twardo.

Oficer oniemiał. Poczzerwieniał jak burak na twarzy.

-Ach ty! Zajadły polaczok! Co życie ci nie miłe? Acha!- syknął ostro patrząc na Janka.

-Czy wy też i w Rosji starsze kobiety przeklinacie?- zapytał wolnym poważnym głosem.

-Ooooo! To ty masz wielką gębę! Oooo! Za wielką! Może ci ją zatkać!- wycedził powoli słowo po słowie. Wolnym ruchem ręki, wyciągnął rewolwer i przyłożył go do Janka głowy.

Zimny metal wcisnął się mocno w czoło. Nieprzyjemne uczucie dreszczu przeleciało po całym Janka ciele. Przez moment nie mógł przełknąć napływającej nagle do ust śliny.

Naraz niesamowity gniew, nie wytłumaczona siła ocknęła go. Jedną ręką, energicznie odsunął rewolwer na bok, i patrząc prosto w oczy oficerowi zaczął głośno krzyczeć.

-Coś ty za oficer! Wyciągasz rewolwer na nieuzbrojonego chłopca! Gdzie twój honor! Gdzie ta kultura! Nie dosyć, że wywozicie kobiety i dzieci, jeszcze znęcasie się nad słabszymi. Poczekaj! Poczekaj! Jak spotkasz się oko w oko z równym z sobą, to zobaczymy!- Głos mu się załamał.

-Towarzyszu to przeciesz jest dziecko! Straszyc go rewolwerem, to wstyd.- odezwala sie stojąca z tyłu Janka Bojackowska.

-Wiecia! Wiecia! Chodź tutaj! Natychmiast!- uslyszeli rozkazujacy głos z daleka.

Oficer zdębiał. Przez chwilę nie wiedział jak się ma zachować. Wciekły, czerwony na twarzy, schował rewolwer do pochwy, pogroził Jankowi kułakiem i szybko pobiegł w stronę wołającego komendanta.

Blady na twarzy Janek, wdrapał się prędko na półkę. Ułożył się na plecach i wodząc oczyma po ścianach wagonu starał się uspokoić. Widząc drapiącego się Sławka na górze, podłożył drżące jeszcze ręce pod głowę.

-Janek, ja cię proszę, nie kłóć się z nimi.- uslyszal sapiący głos brata.

-Ty wszystkich bardzo przestraszyłeś, Oni sa tacy dzicy, tacy niebezpieczni.- Mówił drżącym głosem, patrząc zażwawionymi oczyma na Janka.

Janek objął ręką brata i uśmiechnął się smutnie.

-Masz rację Sławku, masz racje.- Szepnął bratu do ucha.

Głośne wołania i krzyki połączyły się, ze zgrzytem otwieranych rosyjskich wagonów. Nadeszła chwila przeniesienia bagażu.

Z dwóch polskich wagonów, ładowano ludzi do jednego rosyjskiego. Wagon był o wiele dłuższy, szerszy i wyższy. Zamiast dwóch miał trzy półki. Tak jak i poprzednio, ciężki bagaż znalazł się pod pierwszą półką. Ludzie poukładali miękkie rzeczy, poduszki i koce na drugiej i trzeciej polce. Niektorzy z nich musieli zostać na dole. Rozłożyli swoje rzeczy na podłodze wagonu. Półleżąc, siedząc czekali w martwej

ciszy na wyrok losu.

Jankowi udało się dostać miejsce na trzeciej półce przy oknie, po stronie otwartych drzwi. Okno wiele większe od okien w polskim wagonie, zakratowane było grubymi prętami.

Janek ułożył się na kocu i wbił oczy w ślepiony sufit wagonu. Uszczypnął się mocno w nogę nie wierząc, że to wszystko co przeżywa jest prawdą, a nie koszmarnym snem.

Nerwowy żołądek zaczął dawać się we znaki. Ześlizgnął się na dół i podszedł do drzwi. Z boku wagonu stał młody rosyjski żołnierz. Janek z litoscia spojrział na niego. Gestykułując prawą ręką zapytał.

-Towarzyszu! Ja mam zepsuty żołądek, czy mogę iść pod wagon?-

Żołnierz ocknął się z zamyśleniem. Ze zdziwieniem na twarzy spojrział na Janka.

-To ty przecież jesteś w rosyjskim wagonie ze wszystkimi wygodami, tylko pieca nie macie, nooo, bo jest za ciepło. Tylko u was musielismy wypuszczać ludzi pod wagony, ale nie u nas!- potrząsnął głową i odszedł na bok.

-Janek! ty chcesz się załatwić? - Zapytał stojący z boku Jerzy.

-To idź tam, na drugą stronę. Tam, przy zagwożdżonych drzwiach stań grzecznie w kolejce. Kultura! Rozumiesz? - zaśmiał się głośno.

Tak jak wytkumaczył Jerzy Kilka kobiet czekało przy wysoko ustawionych pudełkach i walizkach, na które zarzucony był koc. W środku wycięta w podłodze okragła dziura.

-Wysoka kultura! tylko ustęp za niski.- Usłyszał za sobą czyjś głos.

Okolo południa żołnierze zasunęli wielkie drzwi i zamknęli je z zewnątrz hakami. Kilka mocnych szarpnięć i uderzenia buforów jak głośne klekotanie bocianów, przeleciały od końca do końca długiego sznura wagonów. Pociąg ruszył w dalszą drogę.

Po kilku minutach jazdy usłyszeli głośny śpiew, zbliżający się od

przednich wagonow. Coraz to mocniejszy, coraz to wyraźniejszy. Po chwili usłyszeli słowa.

"Nie rzucim ziemi skąd nasz ród." Piesń jak żywa przenosiła się z wagonu do wagonu.

"Polski my naród polski lud." Naraz wszyscy w wagonie podchwycili piosenkę, Kobiety poprostu krzyczały.

"Polskiej ojczystej nam mowy." Nawet małe dzieci. uniosły główki do góry i otworzyły usta do śpiewu.

"Nie wydrze żaden wróg." Wagony z tyłu dołączyły się w śpiewie.

"Tak nam dopomóż Bóg." Cały pociąg drżał od głosu pieśni.

"Tak nam dopomóż Bóg."

Z boku mineli małe białe słupek na którym orzeł z koroną, jeszcze nie zniszczony, lśnił w promieniach słońca. i trochę dalej drugi słupek z czerwoną gwiazdą, sierpem i młotem. oznajmił, że minęli polsko-rosyjską granicę. Śpiew zamienił się w głośne szlochanie.

Jankowi serce biło mocno. Przez załzawione oczy patrzył na nowy krajobraz.

Odrazu widać było wielką różnicę. Po polskiej stronie, zaorane pola dochodziły prawie do samej granicy. Po rosyjskiej, nie widać było żadnego znaku życia, tylko brzoźowe laski i dzikie łąki tańczyły w koło mijanego terenu.

XV

Po godzinie jazdy pociąg zwolnił i powoli wjechał na małą stacyjkę.

Z boku starego drewnianego budynku, barwnie poubierane w czerwone bluzki i długie kloszowe, czarne spódnice, stała grupa młodych dziewcząt. Widząc głowy ludzi w zakratowanych oknach, zgrupowały się, stając tyłem do wagonow. Jednakże zaciekawione, z szeroko otwartymi

oczyma zerkały jedna przez drugą na pociąg.

Ktoś w jednym wagonie odsunął niezaryglowane drzwi i zanim patrolujący żołnierz dobiegł do nich i zamknął je, dziewczyny ujrzały w środku wagonu blade pomęczone twarze kobiet i dzieci.

To mają być ich wrogowie? Dzieci, kobiety, staruszkowie? Nieróżniących się niczem od ich matek, sióstr i braci?

Złowrogi wyraz na ich twarzach zamienił się na rozczarowany, zdumiony, przygnębiony.

Z głośnym sapaniem pociąg ruszył dalej, zostawiając za sobą kłęby pary i oszołomione okrutnością wyroku, kłamstwem porpagandy, młode dziewczęta czekające na powitanie powracających z zwycięskiej wojny z Polska, rosyjskich żołnierzay.

Pociąg mknął. Mijał delikatnie falującą pola, czekające na pług. To tu to tam brzozowe laski wciskały się w młodą jasno zieloną trawę łąk, skropiona barwnymi kwiatami. Raz po raz wydeptana miedza, rozcinała ziemię łącząc się z polną drogą, porvta kołami wozów.

Pomimo spokojnego, zielonego krajobrazu, coś brakowało. Minęli szmat ziemi zanim Janek nie zauważył daleko na horyzacie słomiane strzechy domów.

Szare pomalowane wapnem ściany chałup wychyliły się delikatnie i schowały pomiędzy drzewami, jakby się chowały od ludzkich oczu. Dalej pola, laski, i dzikie łąki. Brakowało ludzi. Zmęczony monotonnym krajobrazem zwrócił uwagę na środek wagonu.

W większości ludzie leżeli na swoich tobołkach i kocach. Niektórzy czytali książki a inni z szeroko otwartymi oczyma, siedzieli głęboko zahipnotyzowani w swoich myślach.

Na dole Helena przygotowywała jedzenie dla swoich córek. Jerzy z Frankiem łączyli grubą linią, na mapie, mijane miasta. Klaudja siedziała w grupie kobiet. Rozmawiały o ostatnich przeżyciach.

Sławek z kilkoma rówieśnikami, ustawiali ołowiane żołnierzyki, które co chwila przewracały się od mocniejszych podrygów wagonu.

Co pewien czas słychać było uderzenia buforów. Zaczynające się gdzieś daleko z przodu leciały do końca pociągu, jak by ktos palcem jechał po klawiszach fortepianu. I znowu mocne szarpanie, jakby maszynista nie mógł utrzymać jednakowej szybkości.

Rosyjskie szyny musiały być dłuższe od Polskich bo miarowy rytm uderzeń kół zmienił się na wolniejszy.

W ciemnym kącie po lewej stronie wagonu zauważył Janek Michała. Odwrócony tyłem do wszystkich, siedział cichutko, wpatrzony gdzieś w dal zamyslenia.

-Szkoda mnie go.- mruknął cicho Janek.-napojony bajkami komunistycznej propagandy, stracił orientacje rzeczywistości. Może się jeszcze obudzi?-

Po drugiej stronie wagonu ludzie przeważnie leżeli. Starali się przespać tą drogę, Jak chorobę, która napadła ich z nienacka.

Biorąc z nich przykład, Janek ułożył się na kocach i wbił oczy w sufit wagonu. Starał się myśleć o czemś przyjemnym. O dobrych czasach, na które nieraz narzekał, niezdając sobie sprawy jaki był szczęśliwy.

Mocniejsze szarpnięcie wagonu ocknęło go. Odwrócił się do okna. Na dworze było szaro. Długie cienkie liściaste drzewa tańczyły zmieniając krztałty. Odsłaniały raz po raz czerwoną tarczę, otoczonego purpurowym niebem słońca.

Maszynista hamował. Klekot buforów nie zdążył dolecieć do końca pociągu, a już nowy leciał od lokomotywy. Syk pary, zgrzyt kół, zagłuszył wołania przestraszonych kobiet.

Dwoje dzieci klapnęło na podłogę. Krzywiąc z bólu twarzyczki nie wiedziały czy mają się śmiać czy płakać. Helena wylała na siebie resztki mleka, które starała się podgrzać na naftowej lampie.

Czyjaś walizka potoczyła się po podłodze wagonu, pomiędzy ciasno ułożonym bagażem z jednej strony na drugą, gdzie kilka kobiet stojących w grupie upadło na podłogę. Z przerażonymi oczyma biegającymi dookoła wagonu, kołysały się raz do przodu a raz do tyłu, w takt hamowanego pociągu.

Głośne gwizdki lokomotywy dołączyły się do zgrzytu hamowanych kół, uderzeń buforów i skrzypu drewnianych półek. Przez moment wydawało się, że wagon rozleci się na kawałki.

Przestraszony Janek znalazł się przy oknie. Przy nowym mocnym szarpnięciu uderzył się głową o żelazny pręt.

Roztarł bolące miejsce i uderzył dłonią w jeden ze środkowych prętów. Pod uderzeniem reki pręt poruszał się. Złapał go ręką i z trudem poruszył. Nienamyslając się więcej, odwrócił się nogami do okna i z całej siły kopnął w pręt nogą.

Cichy zgrzyt metalu i pręt był luźny. Ucieszony, z wielką ostrożnością uniósł do góry i wyciągnął z dziury. Podwarżając nim pozostałe pręty, wciągnął do środka i szybko wysunął przez okno głowę.

Daleko na przodzie widać było zarysy miasteczka. Ostre, czerwone światło, tuż przed nimi z boku toru zamieniło się na zielone. Pociąg zaczął zwalniać.

Półokrągły objazd odsłonił tą masę wagonów z dwoma lokomotywami na przodzie. Ich wagon znajdował się w środku.

Szturchany łokciem Franka, który chciał zobaczyć co się dzieje na zewnątrz, odwrócił się do tyłu.

-Zbliżamy się do jakiegoś małego miasteczka!- Zawołał do przestraszonych kobiet na dole.

Jurek z Andrzejem na wyścigi wdrapali się na górę. Dołączyli się do Franka. Na zmianę wysuwali głowy na zewnątrz, żeby coś zobaczyć.

Naraz, ostry zapach nafty wypełnił wagon. Julja Lindnerowa

zaskoczyła z półki. Uważnie rozejrzała się dookoła.

-Ktoś rozlał naftę! Uwaga! Uwaga! Ja czuję naftę! Może być pożar! Gdzieś jest rozlana nafta.- Wołała głośno szukając skąd wychodzi ten zapach. Kilka innych kobiet dołączyła się do szukania rozlanej nafty. -To ich dworzec kolejowy tak śmierdzi!- usłyszeli głos, siedzącego przy oknie Franka.

-Oni używają naftę z trocinami do zamiatania, Jak to robili ludzie pięćdziesiąt lat temu.- zakomentował głośno Andrzej.

-Ale ona śmierdzi!- złapał się Franek za nos odsuwając od okna.

W wagonie zrobiło się cicho. Denerwująca niepewność co teraz się stanie, co z nimi będą robić paraliżowała ruchy. Kłębiła się boleśnie w głowie. Słyszeli jak żołnierze otwierali drzwi wagonów, coraz to bliżej i bliżej.

Głośny zryt, pisk kółek i wielkie drzwi odjechały na bok. Chłodne powietrze przepełnione zapachem nafty wypełniło wagon.

Jeden z żołnierzy postawił na podłodze wagonu cztery wiadra. Wskazał ręką budynek stacyjny.

-Tam czeka na was jedzenie. Tylko dwoje ludzi pójdzie ze mną. Ja zostawiam drzwi otwarte, ale na peron nie wolno wychodzić. Rozumiecie! Nie wolno opuszczać wagonu!- wskazał ręką żołnierzy z bagnietami na karabinach, chodzących dookoła budynku stacji kolejowej.

-Oni was dopilnują- zaśmiał się cicho.

Janek pierwszy znalazł się przy drzwiach. Złapał za stojące wiadra i zeskoczył z wagonu na drewnianą podłogę peronu. Za nim podążył Franek.

Grupa kobiet z dziećmi zbliżyła się do otwartych drzwi. Z wielką ciekawością rozglądali się po stacji. Stary drewniany budynek z małymi oknami i wieżyczką na górze, miał kilka długich dobudówek.

Wagon ich znajdował się przy samym końcu drewnianego peronu.

Dalej, od strony lokomotyw, po szerokim nasypie żwirastego piasku szły kobiety. Po dwie z wiadrami w rękach, poważne na twarzach, starały się nadażyć za prowadzącymi ich żołnierzami. Po drugiej stronie jeden z żołnierzy otwierał zamknięte jeszcze wagony.

Franek z Jankiem ledwo nadażyć mogli za spieszącym się żołnierzem. Weszli do pustej poczekalni. Czując przyjemny zapach jedzenia Janek wyprzedził żołnierza i skierował się prosto w drzwi po prawej stronie pokoju.

-O nie! To nie dla was!- zatrzymał go ostry głos żołnierza.

-Dla was te drzwi!- wskazał ręką.

Z poczekalni weszli do drugiego pomieszczenia połączonego krótkim daszkiem ze starym budynkiem stacyjnym. W długim pokoju na samym środku stał długi ceglany piec. Na nim, wmurowane do połowy, okrągłe kotły przykryte były drewnianymi pokrywami, które co chwile jednakowo ubrani w szare ubrania mężczyźni unosili do góry. Gęsta para unosząca się z kotłów zasłaniała ich od czekających w kolejce ludzi.

-Po odebraniu jedzenia musicie natychmiast powrócić do wagonu!

Rozumiecie!- oznajmił grubym głosem żołnierz. Zostawił ich w kolejce i oddalił się w stronę pociągu.

Po niedługim czekaniu, jakiś młody mężczyzna wyrwał Franowi z ręki wiadra. Śmiejąc się dziwnym głosem postawił je z boku kotłów. W szarym ubraniu mężczyzna uniósł drewniane przykrycie do góry. Otoczony gęstą parą, wielką drewnianą chochlą napełnił wiadra parującym jedzeniem.

Gapiącemu się Jankowi, ubrana w takie same jak i mężczyźni, szare ubranie kobieta, wskazała ręką drugą stronę kuchni. Widząc, że on nie wie co ma robić, zabrała wiadra, podeszła kilka kroków dalej i podstawiła je pod kran wypukłego brzucha wielkiego samowaru.

Śmiejąc się lekceważąco, podniosła leżącą z boku szmatę, położyła ją na rączkę kranu. Wolnym ruchem przekreśliła rączkę do przodu.

Gęste kłęby pary zasłoniły wiadro, samowar, otoczyły kobietę i uniosły się wysoko do góry osiadając na mokrych belkach drewnianego sufitu. Gorąca, bulgotająca woda wypełniła wiadro. Kobieta nie zamykając kranu przesunęła wiadro na bok i podtawiła drugie. Figlarnie spojrzała na patrzącego się z wielkim zainteresowaniem Janka.

-No i co? Polaczok! U was takich samowarów nie ma, Co?- uniosła dumnie głowę do góry, zakręciła kran i odrzuciła szmatę na bok.

Janek nic nie odpowiedział. Podziękował za pomoc i uniosł wiadra do góry. Tuż przy drzwiach jakaś inna kobieta wsunęła mu pod ramiona dwa wielkie bochenki chleba.

Niesienie wiader nie było wygodne. Gotowna woda mało co go nie oparzyła. Starał się trzymać wiadra jak najdalej od nóg, jednocześnie martwił się o chleb, który w obawie, że mu się wyslizgnie z spod rąk, ścisnął coraz to mocniej.

Na całe szczęście Jerzy i Andrzej przyszedli z pomocą. Zeskoczyli z wagonu podbiegli do wolno idącego Janka i wyciągnęli mu chleb z spod rąk.

Kobiety zgrupowały się dookoła. Na początku rozdzielili chleb, którego każdy w wagonie otrzymał po kromce.

Jaglana kasza, mocno przepalona, bez soli, polana gorzkim olejem, smakowała okropnie. W dodatku ludzie potracili apetyt.

Niektórzy zmuszali się do jedzenia. Jeden drugiego straszył, że nie wiadomo jak długo będą musieli czekać na następny posiłek.

Pomimo tłumaczenia i zachęty, więcej niż połowa kaszy pozostała w wiadrze.

Najszybciej zniknęła gorąca woda, która zabarwiona z herbatą smakowała wysmienicie. Spragnieni ludzie, dmuchając dla ochłodzenia, pili ją szybko jak tylko mogli.

Korzystając z szeroko otwartych drzwi, Janek usiadł na podłodze

wagonu, spuścił nogi na dół, i wolno jedząc swoją kromkę chleba z ciekawością przyglądał się tej małej stacyjce.

Kolankowicze.- przeczytał powoli. Cały peron i budynek stacyjny zbudowany był z okrągłych kłód drzewa. Budynek był bardzo stary. Ostro zakończony słomiany dach i maleńkie okna dworca wzbudzały uczucie przygnębienia. Smutny, zamyślony nie zauważył jak ktoś usiadł z boku.

Głośne chrząknięcie Kocińskiego ocknęło go. Spojrzał na bok bardziej zdziwony niż zaskoczony. Michał rozglądał się przez chwilę dookoła.

-Mała, licha stacyjka, Co?- odezwał się cicho.

-Na lepszej to nas nie zatrzymają, to chyba każdy zrozumie. Ale zobaczysz potem. Oni wszyscy zobaczą- wskazał ręką środek wagonu.

-Co my mamy zobaczyć? Panie Michale- odpowiedział Janek przyglądając się jak kolejarz zapala na peronie naftowe lampy. Naraz spojrzął na Kocińskiego.

-Co ja mam zobaczyć panie Michale! Niech pan otworzy oczy, i zobaczy co się dzieje dookoła pana? Osobodzili pana ze wszystkiego, a teraz wiozą nie wiadomo gdzie! Niech się pan rozejrzy dookoła! Kobiety, dzieci, kilku starszych mężczyzn jak pan i kilku chłopców jak ja! W wagonie prawie stu ludzi z bagażem. I to ma być kultura?- Janek nabrał powietrza do płuc.

-Co my im złego zrobiliśmy? Jak bardzo oni muszą być podli, żeby nas tak traktować. Chwałę się głupim samowarem a karmią zepsutą kaszą. i to ma być kultura?-

-Ach ty to tego nie rozumiesz!- przerwał ostro Kociński.

-Czasami trzeba ludzi popchnąć! Zmusić do lepszego!-

-Do lepszego? Jak to pan sobie tłumaczy?-

-No widzisz my jedziemy do wiosek, do nowoczesnych wiosek- zapalił się Michał. Spojrzał na Janka tryumfalnie.

-Rozumiesz? Gdzie wszyscy pracują, i dzielą się plonami pracy. Oni nazywają je kołchozami. Zobaczysz jak tam ludzie dobrze żyją! Tam nic nie brakuje. Tak jak powiedział ten generał. Każdy ma elektryczność, wodę w kranach, i jedzenie w garnku.-

Rozmowę ich przerwał widok dwóch sylwetek wysuwających się z pod wagonu. Ostrożnie zbliżyli się do nich. Watowane żakiety błyszczały na wytartych łokciach. Kilka żat z innego materiału na spodniach rzucały się w oczy. Czarna chusta zakrywała połowę starej pomarszczonej twarzy kobiety. Szczupły młodzieniec w długich watowanych spodniach, tego samego koloru żakiecie, i okrągłej z futerkiem na przodzie czapce, chował się za nią, oglądając co chwilę do tyłu.

Kobieta zatrzymała się na kilka kroków od nich. Nieśmiało spojrzała na osłupiałego, z szeroko otwartymi oczyma Michała.

Janek uczył jak nieprzyjemny dreszcz przeszedł po jego ciele.

-Czy macie coś do jedzenia?- usłyszał drżący głos kobiety.

-My jesteśmy bardzo głodni- szepnął stojący za nią młodzieniec.

Janek uczył wielki żal. Szkoda mu się zrobiło tej tak biednie wyglądającej kobiety i tego chudego młodzieńca. Spojrzał na siedzącego jak mysz pod miotłą Michała. Szybko odwrócił się do tyłu i przyciągnął do siebie wiadro z kaszą.

-Nam została się kasza. Nie bardzo smaczna ale jak macie do czego nabrać to wam damy- a widząc wystawione rondelki, napelnił je kaszą.

-Co to, u was głód?- zapytał zdumiony Kociński.

-Głód! Nie dla wszystkich głód- odpowiedziała kobieta połykając prędko kaszę. Po otrzymaniu jeszcze jednej porcji, odwróciła się do tyłu. Upewniona, że w pobliżu jeszcze nikogo nie ma, odezwała się o wiele śmielej.

-Ciężko to jest, specjalnie dla starszych. Młodszy to potrafią ukraść, nogi mają mocniejsze do ucieczki- zaśmiała się cicho.

-Zobaczcie na tego. Uciekł z Kijowa do ciotki na wioskę. Mówili mu w mieście, że na kołchozach lepiej się żyje. Więcej jedzenia! Ale kto im tam uwierzy, chyba taki duraczok jak on- potrząsnęła głową.

-Przecież nam mówili, że w kołchozach dobrobyt! Ludzie wszystko dziela pomiędzy sobą! Tak jak napisane w książeczce!- przerwał jej ostro Michał.

-Równo? Tak wam mówili? Napisane? Ha, ha, ha,- zaśmiała się, dziwnie.-

-Tak! Oni to pisza, Oooo! Wszędzie piszą. Durze kolorowe napisy i muzyke przez głośniki grają. Pracować karzą na tudon^owke! Ale rok temu mieliśmy taki urodzaj, że po oddaniu wyznaczonej kwoty przez rząd dla backi, rozdzieleniu pomiędzy kierownikami, mało co zostało do sadzenia. A jeszcze mniej do podziału- potrząsnęła głową.

-U nas się mówi. "Kto nie pracuje ten nie je" Ale jak pracujesz i nie masz co włożyć do gęby to musisz okradać kołchoz, albo żebrac tak jak my. Piszą w książkach? Zaśmiała się patrząc na Michała.

-Wiera! Wiera!- Przerwał jej młodzieniec.

-Wiera, żołnierze skończyli, skończyli zakurke- szarpnął ją za rękaw.

Kobieta obejzała się, podziękowała za jedzenie i szybko schowała się pod wagon. Za nią z zadowolonym uśmiechem na twarzy młodzieniec.

Ukryli się w sam czas, bo żołnierze porzucali papierosy .
Zadeptali je butami i zabrali się do zamykania wagonów.

Janek z niechęcią spojżał na Kocińskiego.

-Dobranoc panie Michale. No, jest pan w komunistycznym rajku! Co i jak będzie-to zobaczymy. Ach!- machnął niedbale ręką.

-Jeśli masz powiedzieć coś niedobrego to lepiej milcz- mruknął sam do siebie i powoli wdrapał się na górną półkę.

XVI

Dzień mijał za dniem. Jedzenie, które zabrali ze sobą i otrzymali w drodze od Polaków pozostało tylko dla dzieci. Na rosyjskich terenach nikt im nic nie zaofiarował. O kupnie chleba, nie było mowy. Dzienna racja jaglanej kaszy, czarny chleb i gorąca woda nie wytarczyło na zaspokojenie coraz to głodniejszych żołądków. Z dnia na dzień było coraz to gorzej. Jedzenie otrzymywali na małych bezludnych stacyjkach wieczorami, albo późno w nocy.

Zaznaczając na mapie mijane miasta, nie było wątpliwości, że jadą na Syberję. Nierozumieli tylko dlaczego robią takie wielkie półkole. Czarna linja na mapie zaczynająca się w Druskienikach, szła przez Grodno, Gomel, Kursk, Penza, Zielenodolsk, omijając daleko w górze mapy Moskwę. Wszystkie te wielkie miasta pociąg omijał bocznymi torami, daleko od centralnej stacji kolejowej. Jednego dnia po południu, pociąg zwolnił i powoli wjechał na długi most. Słychać było trzask i skrzypienie wiązań. Wolno z wielką ostrożnością przejechali szeroką rzekę Wołgę. Leżący po drugiej stronie Kazan objechali dookoła i po kilku dniach wijącej się drodze, długich i krótkich tunelach dojechali do Swerdłowska.

Piękna Europa i kochana Polska pozostały daleko za nimi. Nie zatrzymując się w Swerdłowsku pociąg pędził dalej jakby go ktoś gonił.

Ludzie potracili chęć do rozmowy. Zatroskani z pochmurnymi twarzami siedzieli zagubieni w głębokim zamyśleniu.

Szesnastego dnia pod wieczór pociąg zatrzymał się na małej azjatyckiej stacyjce. Kolejarze zastąpili żołnierzy. W czasie gdy lokomotywy nabierały wodę, poustawiali oni ludzi z wiadrami w kolejce po jedzenie.

Daleko na horyzoncie, widać było dużo wysokich kominów z których unosiły się kłęby dymu. Od jednego z kolejarzy Janek dowiedział się, że

to był Kurgan. Wielkie przemysłowe miasto. Tak jak i inne miasta, pociąg objechał dookoła. Z boku torów biegnących we wszystkie strony wyjechali na pojedynczy, prosty jak strzała tor kolejowy ginący gdzieś daleko, daleko na horyzoncie.

Krajobraz zmienił się na płaski. Zarosły wysoką trawą step. Jak okiem sięgnąć nie widac było ani jednego drzewka. Od czasu do czasu, daleko na horyzoncie zauważyć można było cieniutkie tasiemki dymu, wznoszące się wysoko do nieba. Czasami zarysy budynków z wysokimi dachami ukazywały się na moment i zataczając szerokie koło ginęły gdzieś daleko z tyłu.

Minęła jeszcze jedna długa noc po której nie było żadnej zmiany. Step, step, jak okiem sięgnąć jechali po morzu nie kończącej się płaszczyny pokrytej zieloną trawą.

Sapanie pędzących lokomotyw zagłuszył świst wiatru wciskającego się wszystkimi dziurami do środka wagonu. Przez całą drogę narzekano na brak powietrza, teraz mieli go aż za dużo.

Zniechęcony monotonnym krajobrazem Janek, odsunął się od okna. Zajęty zaznaczaniem dni w kalendarzu, Franek uniósł głowę do góry.

-Czy ty wiesz którego jest dzisiaj?-

-Zdaje się, że pierwszego- odpowiedział Janek.

-Tak dzisiaj jest pierwszego maja, ale to nie wszystko. Czy ty wiesz, że dzisiaj jest największe komunistyczne święto.

-Nie święto, ale uroczystość. Dzień konstytucji- poprawił go leżący z boku Jurek. Odłożył na bok książkę, oparł się rękoma o sufit wagonu jakby chciał go odsunąć do góry.

-Ale teraz najwyższy czas na naszą konstytucję- dodał. Pełznąć uważnie na kolanach, żeby nie uderzyć się głową o sufit. zsunął się na dół.

Franek z Jankiem, bez słowa podążyli za nim.

Kilka razy dziennie schodzili na dół. Spacerowali dookoła

siedzacych po środku wagonu ludzi. Unosząc do góry nogi i machając rękoma rozluźniali pokurczone mięśnie.

Tym razem udało się im dostać do drugiego końca wagonu. Na dolnej półce zauważyli skulonego we dwoje Michała Kocińskiego.

Wskazując go ręką Franek, chciał skierować się w jego stronę, ale siedząca z boku kobieta zatrzymała go.

-Zostawcie Michała w spokoju. On prawie wariuje- odezwała się poważnie.

-Kilka dni temu zaczął krzycheć, że go oszukali. Okłamali. "Jaki ja głupi" zaczął krzycheć. Z ledwością udało się nam go uspokoić. No a teraz siedzi jak mumia i coś tam sobie tłumaczy.

-Tak! Tak! Gdzies po drodze spadła piękna maska i odsłoniła twarz prawdy- szepnęła siedząca z boku staruszka.

Drugą stroną, omijając tu i tam wystające nogi, przeciskając się pomiędzy bagażem wrócili z powrotem. Wdrapali się na górną półkę. Jurek zagłębił się na nowo w książce, Franek rozłożył mapę i zaczął zaznaczać najbliższe miasta na liniach kolejowych strzelających od Kurganu w głąb Syberji. Janek nie chcąc błąkać się po niekończącej się trawie, wbił oczy w dach wagonu. Myślał o minionych dniach w pozostawionym daleko kraju. Na drugiej półce Klaudja rozmawiała z Julja. Z boku na pół leżąca Helena zmuszała swoje córki do jedzenia jaglanej kaszy, do której dla smaku dodała trochę powideł. Na dolnej półce Sławek bawił się z dwoma rówieśnikami z Grodna.

Około godziny piątej po południu, pociąg zatrzymał się. Dużo razy przedtem stawali na bocznych torach przepuszczając inne pociągi, albo czekali na wieczór żeby w ciemności ominąć większe miasta. Tym razem zatrzymali się na głównym torze. Dookoła nie widać było ani stacji ani domów, tylko gęsta trawa kołysała się pod naporem wiatru.

Naraz głośny skrzyp otwieranych drzwi zwrócił ogólną uwagę.

Na dole wysokiego kolejowego nasypu czekało kilka ciężarówek.

W mocnym świetle zachodzącego słońca ujęli głowy kolejarzy.
-Prędko! Prędko wyładowujcie swoje rzeczy. Samochody zabiorą was do wiosek! Prędko, tu nie ma bocznych torów! Śpieszcie się! Prędko!-
Wołali jeden przez drugiego.

W wagonie nastąpił popłoch. Kobiety biegały pakując porozkładane rzeczy. Zwijali pościel, chowali naczynia kuchenne w pudła. Dostanie się do ciężarówek nie było łatwe. Po zeskoczeniu z wysokiej platformy wagonu, bardzo wysoki, spadzisty w tym miejscu nasyp kolejowy przerażał swoją stromością.

Musieli się zorganizować. W trzech grupach zabrali się do roboty. Pierwsi z wagonu zeskoczyli chłopcy. Pomogli starszym kobietom i dzieciom zjechać na walizkach z nasypu na dół. Kilkanaście kobiet pozostało na nasypie. Odbierały one bagaż z wagonu i zsuwali go na dół. Na dole chłopcy i mocniejsze kobiety ładowały rzeczy na ciężarówkę.

Jurek, powrzucał swoje rzeczy i kilku innych rodzin z Druskienik na jedną z ciężarówek. Hutnikowej, Lidnerów i Falkowskich rzeczy ułożył na drugą ciężarówkę stojącą zaraz z bokku. W niecałe pół godziny dwa otwarte wagony były opróżnione. Kolejarze, zamknęli wagony i dali sygnał do odjazdu.

Ciężko oddychający ze zmęczenia Franek spojzał w stronę odchodzącego pociągu.

-Popatrzcie! Popatrzcie! Ile wagonów zgubiliśmy po drodze!-

-Ooo. Tak i ja nawet nie zauważyłam kiedy je odczepiono- zdziwiła się Helena. -Musieli to zrobić późno w nocy albo bardzo wcześnie z rana, bo ja długi czas nie mogłam zasnąć. Słyszałam jak pociąg pędził i to tak szybko, że aż ogarniał mnie strach.- pomogła Stasi ułożyć się wygodniej na zwiazanej pościeli i przez długi czas głaskała jej złote włosy.

patrzyła się za odalającym się pociągiem.

Załadowane bagażem i ludźmi ciężarowki, jedna za drugą wyjechały na wąską polną drogę. Podskakując co pewien czas na głębokich koleinach, oddalili się od wysokiego nasypu kolejowego i po kilku minutach jazdy, otoczeni zostali, wysoką, ciemno zieloną, falującą się pod naporem wiatru trawą, niekończącego się stepu.

Zachodzące słońce oblało ich złotoczerwonymi promieniami, które naraz z dotknięciem słonecznej tarczy horyzontu, zmieniły się na purpurowy kolor i z niesamowitą szybkością ustąpiły miejsce gwiazdom.

Po chwili całe niebo pokryło się wielkimi jasno-srebrnymi gwiazdami. Otoczeni od horyzontu do horyzontu, wydawało się, że są przykryci wielkim świecącym się kloszem.

Oczarowany tą masą gwiazd Janek, nie mógł oderwać oczu od nieba. Tak jak i inni stracił rachubę czasu.

Mocne szarpnięcia samochodu i ostre zakręty ocknęły go. Ciężarówka zatrzymała się.

Pijany szofer, odrzucił na bok pustą butelkę. Rozkazał im rozładować wóz i zostawiając ich z bagażem na środku jakiejś drogi, odjechał.

Mocne światło gwiazd oślepiło Janka tak mocno, że przez pewien czas nie mógł nic zauważyć. Dopiero po długiej chwili, zobaczył zarysy budynków. Wioska pogrążona była w całkowitej ciemności. Ani na ulicy ani w oknach domów nie widac było promyka światła.

Z boku usłyszeli głosy błąkających się w ciemności Polaków. -Muszą nam ktoś powiedzieć co mamy robić!- zawołał głośno jakiś starszy jegomość.

-Franek i Janek idźcie z nimi do tego budynku! Tam ktoś musi być.- odezwała się Julia wskazując na drewniany budynek po drugiej stronie drogi.

Janek skiwnął tylko głową, i dołączył się do idących w tym samym kierunku ludzi. Minęli przydrożny rów i znaleźli się przy budynku.

Starszy jegomość uderzył nerwowo kulakiem w drzwi. Gruby głos ze środka pozwolił im wejść. Ostrożnie otworzyli drzwi.

Spory pokój podobny był do biura. Kilka ławek przy ścianie i wielki stół po środku, na którym przy słabym świetle naftowej lampy ujęli kilka pustych butelek wódki i poprzewracane metalowy kubki.

-Musieli mieć jakąś pijatykę!- Mruknął cicho starszy jegomość.

-Co wy tu chcecie?- usłyszeli głos z drugiego końca stołu. Na krótkiej ławie oparty o ścianę siedział w starszym wieku mężczyzna. Przez pewien czas obserwował ich z ciekawością.

-Co chcecie?- powtórzył ostro.

-Co my mamy teraz robić? Siedzimy na ulicy!- zapytała stojąca z boku Janka kobieta.

Mężczyzna czerwieniąc się na twarzy, zatoczył ręką wielkie koło i uderzając dłonią w stół zawołał upitym głosem.

-Urząd jest zamknięty! Oficjalna uroczystość! Musicie sobie sami poradzić! To jest wasza rzecz! A teraz won! Biuro zamknięte! Won!-

Zdumieni tym przyjęciem opuszcili budynek. Janek wrócił na ulicę. Z daleka zauważył Franka ładującego swoje rzeczy na mały ręczny wózek.

Z boku jakiś biednie ubrany człowiek układał Heleny pakunki na trochę większy wózek. Posadził zaspiane dziewczynki na górę podniósł dyszel. Helena popychając z tyłu pomogła mu ruszyć.

-Zobaczymy się jutro! Jutro!- Zawołała oddalając się w ciemną noc.

Z drugiej strony ulicy ukazał się wysoki z bardzo obrośniętą twarzą, i długą, ostro zakończoną brodą, mężczyzna.

-Moje imie Pietun Pietrow. Mieszkam na samym końcu wioski, mam jeden pokój który mogę wam na pewien czas wynająć.- oznajmił grubym głosem.

i nie czekając na odpowiedź zaczął ładować ich rzeczy na dwa kołowy

wozek. Klaudja i Janek bez słowa dołączyli się do pomocy.

Powoli krok za krokiem pchający z tyłu Janek, nie mógł doczekać się końca drogi. Z tyłu za wózkiem Klaudja pomagała zaspanemu Sławkowi utrzymać równowagę na pociętej koleinami ulicy. Po bokach przesuwały się najrozmaitsze kształty wiejskich chałup.

Naraz mężczyzna zwolnił. Janek ciężko oddychając ze zmęczenia myślał, że to odpoczynek, ale mężczyzna splunął tylko na ręce i skręcił w prawo. Przedostając się przez płytki row, zatrzymał się pomiędzy niską kwadratową ścianą i tej samej wysokości usypaną z czegoś piramida.

-Gdzie ten dom?- zapytła cicho Sławek patrząc na matkę.

-Miej cierpliwość, miej cierpliwość.- odpowiedziała zmęczona Klaudja.

Pietun zdjął dwie walizki i ruszył wzdłuż ściany. Janek z Klaudja podążyli za nim. Z końcem ściany skręcili w lewo. Na końcu drugiej krótszej ściany, przez wąskie drzwi weszli do środka słabo oświetlonego sporego pokoju. Idąc po prawej stronie, wzdłuż ściany doszli do zbitych z grubych belek drzwi. Pietun popchnął je mocno i weszli do niedużego pokoju.

Naprzeciwko wejścia, przy ścianie stało stare żelazne łóżko, z deskami w środku. Poza tym w pokoju nie było ani jednego mebla.

-Jak my się tu pomieścimy? Gdzie będziemy spali?- zapytał rozczarowany Janek wchodzącą do pokoju matkę.

Klaudja rozgladnęła się uważnie po pokoju. Delikatny uśmiech ukazał się u niej na twarzy. Położyła na łóżku zwinięty bandel pościeli i wskazała Jankowi pomiędzy piecem a ścianą na wysokości łóżka poukładane deski.

-Pieczka! Rozumiesz? Po polsku to znaczy piec, za którym spią ludzie. Widzisz te wycięcie na którym leżą deski? To jest stare historyczne łóżko. Dla nas powinno to wystarczyć. Ty zajmij łóżko a ja

ze Sławkiem pieczką.-

Nie zdążyli jeszcze ustawić wniesionego bagażu, jak w drzwiach ukazał się chłopiec w Janka wieku z wypchanym słomą siennikiem.

-Moje imię Toni! A jak tobie na imię?- spojzał z ciekawością, na Janka. i nie czekając na odpowiedź pociągnął go za rękaw.

-Chodź! Przyniesiemy sienniki dla twojej matki i brata.-

Sienniki ułożone jeden obok drugiego zajęły całą szerokość miejsca za piecem.

-Pasują dobrze!- Zaśmiał się zadowolony Toni.

-Ojciec znalazł je w kołchozie, A ja wypchałem słomą. U nas był wielki urodzaj i słomy mamy po uszy.- Zaśmiał się i przez chwilę patrzył z wielką ciekawością na leżący przy ścianie bagaż. Zauważyć można było, że pragnie o coś się zapytać, ale mocny głos z drugiego pokoju zatrzymał go.

-Toni! Toni! Chodź tu! Daj im odpocząć. Oni tylko co przyjechali. Muszą być bardzo pomęczeni.-

-Toni!- Zatrzymał go dyskretnie Janek.

-Powiedzmi gdzie wy macie łazienkę?-

Toni spojzał ze zdziwieniem na Janka. Podrapał się po głowie.

-Łazienkę? Ty myślisz "banije". My tu jej nie mamy, ale jedna jest koło kolejowej stacji. Daleko stad.-

-No nie Toni! Ja mówię o ustepie, gdzie można się umyć przed spaniem no i wyczyścić zęby?-

Toni otworzył szeroko oczy. Wielkie zdumienie objawiło się na jego twarzy.

-Ty chcesz się myć? Teraz? Tak późno? Ciepłej wody nie ma, zresztą dzisiaj nie jest sobota. Ale jak chcesz się załatwić to chodź za mną- odpowiedział wychodząc z pokoju. Minęli duży pokój i wyszli na podwórko. Minęli długą ścianę łączącą się z domem. Za ścianą ukazało

sie zaorane pole ginące daleko w ciemności nocy. Toni wskazując je szerokim gestem ręki odezwał się poważnie.

-Tu możesz się załatwiać ile tylko chcesz. No dobranoc!- zawołał, i zanim Janek zdążył mu podziękować zniknął za ścianą.

Janek wrócił do pokoju zachmurzony. Usiadł na łóżku i spojrzał na walczącą za piecem matkę z wysoko naładowanym słomą siennikiem..

-Wpadliśmy jak śliwka w kompot- mruknął głośno.

-Cicho bo bo ciebie usłyszą! Co teraz masz za kłopoty?- zapytała Klaudja.

-Kłopoty! Mamo! My tu nie damy sobie rady! Taka bieda, Oni oświetlają domy naftowymi lampami! Nie ma łazienki, nie ma gdzie się umyć.

Załatwiają się na polu. Co to za kraj? Mamo! Gdzie my jesteśmy?-

-Ach! Nie marw się. Dzisiaj umyj się szmatką tak jak w wagonie. Pietun przyniósł wodę. A jutro to zobaczymy.-

Skonczyła sianie łóżka na które niecierpliwie czekał Sławek. Widząc zasłana pościel, szybko wskoczył na łóżko i przykrył się z głową. Po chwili wysunął głowę z pod kołdry i patrząc na Matkę i Janka westchnął głęboko.

-Oooo! Jak tu dobrze! Jak tu bardzo dobrze!- zapiszczał i schował się z powrotem pod koce. Klaudja zgasila naftową lampę.

Janek po ciemku namacał wiadro z wodą. Zamoczył szmatkę. Wdrgnął się. Woda była zimna, bardzo zimna. W wagonie myli się pozostałą w wiadrze gotowaną wodą, która wiele razy była za gorąca. Wytarł się szybko ręcznikiem i wlażł do łóżka. W duszy przyznał rację Sławowi. Kilka kocy na twardych deskach wagonu, nie równały się z miękkim siennikiem wypchanym słomą. Pomimo wygody długo nie mógł zasnąć. Coś brakowało. Odczuwał brak miarowych uderzeń kół.

-Ach! Brakuje kołysanki.- Mruknął przekrecając się na drugi bok.

XVII

Głósne pianie koguta ocknęło Janka. Przez chwilę leżał z zamkniętymi oczyma. - Co sie stało? - myślał. - Dlaczego stoimy? I tak cicho? Nie słychać płaczu dzieci ani żadnych rozmów? -

Nowe głośne pianie tuż nad jego głowa obudziło go zupełnie. Powoli otworzył oczy. Zamiast desek wagonu, ujrzał szaro-brudną nierówną ścianę. Przez chwilę przyglądał się, zdziwiony. Powoli przekręcił się na plecy i spojrzał na sufit. Wyglądał jak by znajdował się w szałasie. Grube drągi poukładane gęsto, przykryte były wiązkami różek. Szpary pomiędzy różgami wypełniała wciskająca się do pokoju brązowa glina.

Usiadł na łóżku i rozglądał się dalej. Po prawej stronie grubo ciosnych drzwi, dwa małe okienka z trudem przepuszczały światło przez szyby poklejone z wielu kawałków szkła. Pokój był mały. Jedna trzecia miejsca zajmował wielki piec. Wysoki od podłogi do sufitu. Zaczynał się od ściany naprzeciwko Janka i dochodził prawie do połowy pokoju zostawiając wąskie przejście do drzwi. Z drugiej strony, gruba jego ściana kończyła się wycięciem, w którym spali matka i Sławek.

-Rosyjska pieczka- pomyślał przyglądając się piecu.

Głósne pianie koguta przerwało ciszę. Musiał on siedzieć na dachu, tuż nad nimi, bo słychać było trzepotanie skrzydeł.

-Cicho! Cicho! Bo ci łeb ukręcę i zupe z ciebie zrobię!- usłyszał zaspany Sławka głos.

Janek zaśmiał się. Spuścił na dół nogi. Naraz poderwał je do góry.

-Brrrrr.- zatrzęsł się i spojżał ze zdumieniem na podłogę.

-Ubita zimna ziemia?- zdziwił się rozglądając się gdzie ma stanąć. Niestety tylko w jednym miejscu zbite razem deski zasłaniały wykopaną w równym kwadracie jamę.

Opierając się jedną ręką o podłogę, drugą przyciągnął do siebie buciki.- Musiałem być bardzo zmęczony, żeby je tak daleko zostawić.- myślał zakładając ubranie.

Zapinając koszule podszedł do okna. Przez zamazane klejem kawałki szkła nie widać było co się dzieje na dworze.

Cichutko, starając się nie obudzić śpiących otworzył drzwi do drugiego pokoju.

Był on o wiele większy, od pokoju w który zajmowali. Po lewej stronie pomieszczenie za piecem zasłane było grubą puchową pierzyną. Z boku półokrągłymi drzwiami do pieca dobudowany był mniejszy piec z dwoma wycieczami.

Na jednym stał przykryty garnek. Do drugiej odsłoniętej dziury, niskiego wzrostu kobieta dorzucała co chwilę kawałeczki połamanych badyli. Co chwilę jasny ogień buchał oświetlając zieloną chustę na jej głowie.

Długa do samej ziemi Ciemno-brazowa spódnica do której wciśnięta była biała z ciemnymi łatami na łokciach bluzka, przypominała Jankowi biedną, cyganek, handlującą, na czarnym rynku w Druskienikach.

-Dzień dobry!- odezwał się nieśmiało.

-Dzień dobry.- odpowiedziała kobieta odwracając się do niego.

Błada pomarszczona trudem życia twarz z maleńkim jak kartofelek noskiem, ozdobiona była wilekimi, brązowymi, łagodnymi oczyma.

Przez chwilę przyglądała się Jankowi z wielką ciekawością. -Idziesz na dwór?- zapytała. -Toni tam czeka na ciebie- dodała wracając z powrotem do swojego zajęcia.

Trochę zdziwiony tym krótkim przywitaniem, natknął się na dwoje

drzwi. Jedne z boku Pieca, a drugie po lewej stronie pokoju.

Zatrzymał się. Starł się przypomnieć którymi wchodził poprzedniego wieczora.

-Te prosto!- zdecydował. Jasny, piękny poranek przywitał go na progu. Chłodne, świeże powietrze oszołomiło. Z ciekawością rozejrzał się dookoła. Z boku ściany na okrągłym pieńku, oblany promieniami słońca siedział Toni. Widząc Janka uśmiechnął się.

-Dobrze spałeś?- i nie czekając na Janka odpowiedź mówił dalej.

-Chodź pokażę ci nasz dom. A pojutrze w sobotę nie mam szkoły to pojedziemy w step po paliwo dobrze?-

-Dobrze- odpowiedział Janek przyglądając się z ukosa Toniemu.

Ciemne, prawie że czarne bujne włosy, spadały mu co chwile na wielkie brązowe oczy, które ną pewno odziedziczył po matce. Okrągły na twarzy, średniego wzrostu, w Janka wieku, ubrany był w białą, luźno zwisającą koszulę, która zasłaniała połowę czarnych spodni uszytych z grubego materiału.

Janek zdziwił się jeszcze bardziej widząc, że Toni miał koszulę przepasaną grubym sznurem i był bosy. Wyglądał on bardziej na biednego chłopca z dalekiej, zapomnianej wioski, niż żyjącego w dobrobycie obywatela sowieckiego raj.

-Okrutni oszukańcy!- mruknął cicho idąc za Tonim.

-To jest nasza stodoła- wskazał ręką ścianę przy której siedział.

-Jeszcze nie jest skończona, Ale już mamy studnie w środku. przy wejściu do mieszkania. Żeby matka miała wodę w lecie i zimie. A to!- Wskazał ręką, wysoki mur zakręcony na końcu, z krótkim daszkiem na rogu.

-To ojciec wybudował jako ochronę od wiatru, i żeby śnieg nas nie zasypał. Nie wszyscy w wiosce mają tak mądrze zbudowaną ścianę! No a przy niej trzymamy topłi^o na zimę; unióś dumnie głowę do góry.

-Ostatniego roku mieliśmy bardzo dobry urodzaj. Na pszenicę nie mamy dosyć miejsca, dlatego tam ona leży- wskazał słonecznikowym badylem który trzymał w ręku. na równa z dachem domu piramidę pszenicy, dookoła której uwijały się kury rozgrzebując ją na wszystkie strony.

Jak i dom, stodoła i mur zbudowane były z wielkich cegieł, zrobionych z gliny wymieszanej ze słomą i wysuszonej na słońcu. Zlepione były do kupy jaśniejsza mieszanka podobna do cementu. Ściany domu miały na sobie warstwę, opadającą tu i tam, wymieszanej z czemś gliny.

-Toni! Czem wy smarujecie te ściany? O! I dlaczego nie macie całych szyb w oknach?- zapytał niewinnie Janek.

Toni spoważniał. Z niezadowoleniem odrzucił na bok słonecznikowy badyl i spojrzał na Janka.

-My mieszamy glinę z końskim nawozem. przykleja się lepiej do cegieł i odporna jest na deszcz. Raz na rok nakładamy warstwę na dach i ściany. A okna? Z powodu wojny mamy braki. Z tym trzeba się pogodzić. Ale!- pociągnął Janka za rękaw.

-Chodź pokażę ci mojego ojca wielki skarb!

Minęli drewnianym daszkiem pokrytą studnię i przez wielkie drzwi weszli do obory. Niewielkie to pomieszczenie wyglądało nadzwyczajnie czyste. Po prawej stronie na wysoko ustawionych drągach leżała słoma. niewielka jej ilość rozsypała była po twardo ubitej glinianej podłodze. Przy ścianie stał koń a z boku, po pozostawionych śladach, domysleć się można było, że to opuszczone miejsce zajmowała krowa.

-Gdzie ten skarb?- zapytał z ciekawością Janek. Toni lekko poczerwieniał na twarzy. Wskazał palcem na konia.

-Myslałem, że zauważyłeś. U nas w wiosce tylko ojciec ma konia.-

-Jeden koń na całą wioskę?- Zawołał zdumiony Janek.

- O nie! my mamy dużo koni! Ale ten jest własnością mojego ojca. Nie rozumiesz? Mój Ojciec ma pozwolenie i musi płacić za niego podatek. -

Rozmowę ich przerwała Klaudja. Zawoła Janka do pokoju i nerwowo chodząc od drzwi do ściany i z powrotem wskazała ręką, na piec.

-Ten piec jest tylko do pieczenia chleba, nie ma miejsca na garnki. Nie można nawet zagotować wody! No i co ja mam robić? -

-A ten piec w ich pokoju? Czy my możemy używać? - przerwał jej Janek.
-Oni mają wolny kominek, ale my nie mamy wiszących garnków. Na piecu stoi wielki garnek, w którym coś się gotuje. Ja naprawdę nie wiem co mam robić! - denerwowała się chodząc dalej po pokoju.

-Pietuna nie ma. Pojechał do roboty. A żona! zanim zdołałam zauważyć brak pieca poszła gdzieś z wiadrem mleka. Wołałam za nią, ale nie słyszała. Ach co my będziemy robić? Na czym mam gotować? -

-Mamo ja zapytam się Toniego, on nam powie- pocieszył ją Janek.

Toni na dworze rozmawiał z młodą kobietą. Smukła o głowę wyższa od Toniego, miała na sobie długą po kostki czarną spódnicę i lnianą szarego koloru, zapiętą wysoko pod szyją bluzkę.

Obrzuciła wzrokiem Janka od góry do dołu.

-Z Polski? - zapytała.

-Tak- odpowiedział krótko nie chcąc rozciągać rozmowy.

-Czy mogę porozmawiać z twoją matką? - Zapytała mocnym głosem, kierując się prosto w stronę drzwi.

-Oczywiście.- wykształcił ustępując jej z drogi.

-Toni! Moja matka chce ugotować śniadanie. Ale w pokoju nie ma jak! -

-Oooo! Tak! Tak, ojciec miał dobudować kuchnię ale nie zdażył. Matka dzisiaj pierze.- Pokiwał z zambarasowaniem głową.

-My gotujemy często na dworze, tam, wspaniale palenisko zbudowane z kamieni.- wskazał palcem

-Ja bym tobie pomógł. ale muszę iść do szkoły.- Zarzucił na plecy związane sznurem książki, przeskoczył rów, oddzielający podwórko od ulicy i pobiegł w stronę szkoły.

Nie wiedząc co ma robic, Janek wrócił z powrotem do mieszkania. Z głosu matki wywnioskował że była z czegoś zadowolona. Oznajmiła Jankowi, że Nadzia Rubanow, z domu Zawickich, jest ich sąsiadką. Polka z pochodzenia, mieszkała z rodzicami na Ukrainie. Po rewolucji z mężem przesiedlona została do Obuchowki.

-Tak! Tak!- przytaknęła ruszając ramionami.

-Ja mieszkam zaraz tutaj z boku. O! O malo co bym zapomniała. Ja wczoraj pieklam chleb no i jak chcecie to wam mogę odsprzedać bochenek albo dwa. Albo zamienić na coś!- z wielkim zaciekawieniem spojrzała w stronę walizek.

Naraz zwrok jej spoczął na podpince, w której Klaudja trzymała brudną bieliznę. Nachyliła się i dotknęła ją palcami.

-No! No. Za to! Za to, to nie tylko bochenek.- rozgladnęła się czy są sami.

-Gdzie Chaziajka?- zapytała cicho.

-Poszła gdzieś z mlekiem. Ja nie wiem gdzie- odpowiedziała Klauja.

-O! Ona zanosła do biura podatek za krowę.- wytłumaczyła Nadzia uśmiechając się krzywo.

-Ale ja to wam dam nie jeden ale dwa bochenki chleba, tuzin jajek, i kawał masła.- Głos jej wydawał się bardziej proszący niż handlujący.

Klaudja bez słowa wysypłała brudną bieliznę i podała Nadzi podpinke. Myśl o swierzym kawałku chleba z masłem i jajecznicy po długiej głodnej drodze, budził apetyt równajacy sie wilczemu.

Zadowolona z zamiany Klaudja, wyciągnęła z kufra patelnie, Zagoniła Janka do rozpalenia ogniska i zabrała się do roboty.

Pomimo niewygód, ciągłego przysiadania przy niskim z kamieni

ułożonym piecu, unikaniu dymu za każdym dołożeniem szybko palących się kawałków słonecznikowych badyli, Zapach smażonej na maśle jajecznicy, oszołamiał, pozwalał zapomnieć o niewygodach.

Zaraz po jedzeniu, które trwało dziesięć razy szybciej niż gotowanie. Klauja wysłała Janka szukać innego mieszkania.

-Pamiętaj musi mieć piec z kuchnią, kuchnia do gotowania, i piec bo bez niego, zimową porą pomarzniemy na śmierć.

-Dobrze! Dobrze mam, na pewno coś się znajdzie. A jak nie dzisiaj to jutro na pewno. Tylko niech mama się nie martwi.- pocieszał Janek.

Na ulicy spotkał się z Frankiem. On szukał znajomych z Druskienik. Wysłuchał o Janka kłopotach i zaśmiał się głośno.

-Ale wpadliśmy to wpadliśmy! Ale się nie martw. Wioska wygląda na spora. Na pewno coś się znajdzie. Chodź ja tobie pomogę!-

-Świecie! Franek. Z początku trzeba zaznajomić się z wioską. No i musimy znaleźć Jurka, Andrzeja i Michała!-

-Tego komunistę?- zażartował Franek.

-No nie! Michała Zagórskiego.- zaśmiał się Janek.

Szeroka na dwie furmanki ulica, po której szli pokryta była żwirem. Po obydwóch jej stronach za rowem w linii, na równo odmierzonych działkach stały chałupy.

Dom Pietuna zajmował czwarte miejsce od końca wioski. Ulica w tym miejscu zamieniała się na polną drogę i wijąc pomiędzy trawą, ginęła daleko gdzieś na choryzacie.

Wioska była długa z dwoma równoległymi ulicami. Większość chałup zbudowana była z glinianych mieszanych ze słomą cegieł. Niektóre z nich pokryte były mieszanką jak u Pietuna i pomalowane szaro-białym wapnem. Na spiczastych dachach pokrytych słomą, widać było grubą warstwę takiej samej mieszanki, w wielu miejscach uszkodzonej pogodą ostatniej zimy.

W środku wioski na niewielkim placu po lewej stronie zobaczyli wiatrak. Olbrzymie jego skrzydła obracały się powoli, majestycznie.

Dwóch mężczyzn uginając się pod ciężarem worków ładowali furmankę. Ujrzawszy chłopców, otrzepali się z białej mąki i obserwując ich z ciekawością pomachali do nich rękoma.

Grupa solidnie zbudowanych z kłód drzewa budynków zainteresowała Franka.

-W takim domu to by się opłacało zamieszkać!- Odezwał się zatrzymując.

Z jednego budynku wybiegł szczupły chłopiec. Przeskoczył przydrożny rów i znalazł się z boku na ulicy.

-Czy te domy są do wynajęcia?- zatrzymał go Janek.

-Do wynajęcia!- zaśmiał się chłopiec. Spojrzał z niedowierzaniem na Franka.

-Ten po lewej stronie to nasze biuro a te dwa po prawej stronie przy drodze są bardzo ważne.- Wskazał ręką dwa budynki stojące tuż przy skrzyżowaniu ulicy.

-Ten pierwszy to poczta a drugi to sklep, a za nimi z tyłu kasa chorych. Tam jest bardzo dobra lekarka, która wszystkie choroby leczy rycyną.- Zaśmiał się i pobiegł dalej w kierunku krzyżującej się ulicy.

-Ja myślę że to jest środek wioski. Chodźmy po tej drodze za nim, na drugą ulicę- zaproponował Franek. Janek tylko skinął głową.

Niedochodząc do drugiej ulicy po lewej stronie ujrzeli wielki budynek stajni. Za stajnią budynki szkoły, za którymi widać było kopułę cerkwi z krzywo obciętym końcem krzyża. I znowu mizerne domy na równo odmierzonych działkach.

-Gdzie są ludzie?- zapytał zdumiony Franek.

-Napewno pracują gdzieś na polu- odpowiedział nie mniej rozczarowany tą pustką Janek.

-Ale żeby ani duszy nie było na ulicach, tego się nie spodziewałem.

chodz zastukamy do jednej z chałup. Może nam ktoś odpowie. Poradzi jak i gdzie mamy szukać mieszkania- zaproponował Franek. Podeszedł do jednej z chałup. Kilka mocnych uderzeń w drzwi odbiły się głuchym echem od środka. Niestety nikt nie odpowiedział. Po kilku minutach czekania dołączył się do wolno idącego Janka.

-Nooo nic! Teraz twoja kolejka.- Minęli kilka chałup stukając na zmianę, ale nikt im nie odpowiadał.

Zniechęceni gotowi byli zaniechać dalszego szukania, Naraz po długich uderzeniach Franka stara bardzo pomarszczone na twarzy kobieta wysunęła na zewnątrz głowę.

-Co chcecie?- odezwała się drżącym głosem.

-My szukamy mieszkania. Czy moglibyście nam wynająć pokój?- zapytał Franek.

-Może być nie-wielki, tylko żeby miał piec do gotowania- dodał prędko Janek.

-Oooo! Szkoda trudu. Wszystkie pomieszczenia we wsi pozajmowane. Co wy nie wiecie? Burżuje i kułaki przyjechali z Polski. Zabrali wszystkie wolne pokoje- spojzała łagodnie na Franka i uniosła chudy pomarszczony palec do góry.

-Nie ma ani jednego miejsca, ale teraz będzie nam lepiej! Tak jak za cara. Ot! Przyjechali burżuje to i biednemu będzie lepiej. Zobaczysz bo ja pamiętam!- zaśmiała się ukazując dziąsła ozdobione kilkoma brązowymi zębami.

-Tu u nas miejsca nia ma. Za mały dom nawet dla rodziny. Ale! Dlaczego wy nie pracujecie? Leniuchy! Jeść to chcecie, a pracować to nie! Lepiej idźcie do roboty bo was ukarzą- zatrzasnęła drzwi tuż przed ich nosami.

Zarzuceni tyłoma słowami, oniemiałi z wrażenia, patrząc jeden na drugiego wydostali się z powrotem na ulicę. Franek wybuchnął głośnym

śmiechem.

-Ha! Ty burżuju! Zabrałeś komuś mieszkanie i jeszcze narzekasz!-

Janek ponuro spojżał na niego.

-Tobie to dobrze się tak śmiać, Nie potrzebujesz gotować na kamieniach. -

-Czego się martwisz. Janek, ludzie powróca z pracy to tak jak i wszędzie plotki się rozleczą i mieszkanie się znajdzie- pocieszył go.

Doszli do drugiej krzyżującej się ulicy która łączyła dwie długie ulice. Na końcu po lewej stronie rozpoznali płaski dach Pietuna chałupy.

Na podwórku Klaudja z Julją siedzieli w towarzystwie jakiejś kobiety. Od Julji dowiedzieli się, że znajoma jest jedną z pozostałej rosyjskiej inteligencji.

Podczas rewolucji rodzice wysłali ją do krewnych w Akmolińsku. Zaraz po zajęciu miasta przez bolszewików, bojąc się aresztowania, uciekli razem z kuzynką do Obuchowki. Przeżyli biedę, głód, no a teraz jako tako dają sobie radę.

W obecności Chłopców kobieta spoważniała. O rodzicach wogóle nie chciała rozmawiać. Po chwili pożegnała się i odeszła.

-To dziwne ! Ulice puste nikogo nie ma w domach. Ludzie chowają się od ludzi, Małomówni! Gdzie my jesteśmy?- odezwał się smutnym głosem Franek.

-Nie słyszałeś o Obuchowce! Komunistycznej wiosce! Robotniczym raj!- odpowiedział mu cicho Janek.

-Mamo! Ja jestem głodny!- Usłyszeli głos Sławka.

-Ja sama jestem głodna! Popatrzcie już dawno po pierwszej- zawołała Julja zrywając się z pieńka.

XVIII

Gotowanie na kamieniach nie było takie łatwe. Zapalić ogień nie było trudno, ale utrzymać go równo palącym było poprostu niemożliwe. Słonecznikowe badyle i wysuszony piołun, spalały się z błyskawiczną szybkością.

Tak jak i rano Klaudja zagotowała wodę na herbatę i usmażyła jajka. Brakowało naczyń do jedzenia, garków do gotowania. Musieli tak jak w wagonie czekać jeden na drugiego, i dzielić się jednym talerzem, jednym widelcem, jedną łyżką i jednym nożem. Sławek, jak i rano jadł z patelni, która jakimś cudem, razem z małym czajnikiem, matka włożyła do kufra.

Zaraz po jedzeniu Klaudja postanowiła kupić potrzebne kuchenne rzeczy i żywność w sklepie.

-Jesteś pewien, że to sklep, a nie jakiś tam kołchoźny budynek?- pytała niedowierzającym tonem.

-To mówię co nam powiedział ten chłopiec. Nawet wskazał nam ręką. A za sklepem poczta. Zresztą, na taką dużą wioskę powinien być sklep.-

-Dobrze, dobrze przynajmniej kupimy najważniejsze rzeczy- zgodziła się

-Sławek! Sławek!- pośpieszyła wycierającego chlebem patelnię Sławka.

We trójce doszli do pierwszego budynku. Z grubymi prętami w oknach, okutymi żelazem drzwiami, podobny był więcej do więzienia niż do sklepu.

Niewielki napis "SKLEP" upewnił ich, że są na dobrej drodze. Z piskliwym skrzypem otworzyli drzwi i weszli do środka.

Wewnątrz, dwa pokoje przedzielone były długą ladą. W drugim pokoju, sięgające do sufitu półki, załadowane były po same brzegi drewnianymi, barwnie malowanymi zabawkami.

Jedna cała półka zajęta była typowo rosyjską zabawką "BABA". Z boku

wisiałły muzyczne instrumenty. Gitary, skrzypce, a najwięcej wisiało bałakajek. i

-Co chcecie?- usłyszeli gruby głos.

Na końcu lady siedział mężczyzna z długą siwą brodą. Nie odrywając się od książki, w której zapisywał coś ołówkiem, śliniąc od czasu do czasu jego koniec, zapytał jeszcze raz co chcą.

Klaudja wyjęła z torby kawałek papieru i zaczęła czytać.

-My potrzebujemy sól, pieprz, kawę albo herbatę, cukier. dziesięć kilo ziemniaków, no i może macie kaszę gryczaną, albo owsianą.-

Sklepikarzowi złamał się ołówek. Wielkimi zdumionymi oczyma patrzył na Klaudję, jak by nie wierzył własnym uszom.

-Cukier! Cukier! - wyksztusił z trudem.

-U nas cukru ja nie widziałem od zeszłego roku. Ani kartofli ani kaszy tu się nie sprzedaje! Skąd wyście przyjechali?- zawołał głośno.

-Myśmy nie przyjechali! Nas tu przywieźli z Polski!- odezwał się Sławek.

-Ha! I u was w Polsce byście to w sklepie kupili?- zaciekawił się sklepikarz.

-Oczywiście!- odpowiedziała Klaudja.

Sklepikarz wstał. Uważnie rozejrzał się dookoła. Niewidząc nikogo uśmiechnął się smutnie.

-Tak! Tak. Ja pamiętam. Oh! jak jeszcze pamiętam Carskie czasy! W moim sklepie, to jest w mojego ojca w sklepie, moglibyście to wszystko kupić. I do tego jeszcze chałwe! Oh! jak ja lubiłem chałwę. Ale to tak bardzo, bardzo dawno temu- westchnął głęboko i podrapał się pod brodę.

-No co, ja mam trochę marmelady, no i wódkę. Niewiele butelek pozostało po wczorajszej uroczystości. Za kilka tygodni będziecie mogli zamienić wódkę na ziemniaki u ludzi, nie w sklepie. Rozumiesz?- mrugnął do Klaudji.

Po krótkim wahaniu, Klaudja kupiła pięć butelek wódki, dwa kilo mamiłgi, kilka drewnianych talerzy, barwnie malowanych łyżek, cztery widelce i ostatnie w sklepie, dwa blaszane noże.

Sklepikarz włożył wszystkie kupione rzeczy do worka od ziemniaków, za który policzył im pięćdziesiąt kopiejek, z wielkim uśmiechem na twarzy podał go Jankowi.

-On chciał sto dwadzieścia rubli za gitarę!- odezwał się w drodze do domu Janek.

-Tak, tu wszystko bardzo drogie- zauważyła Klaudja.

-Za marną miskę do zupy policzył trzy ruble- westchnęła ciężko Klaudja.

-Czy ty naprawdę szukałeś mieszkania? Czy tylko tak łaziliscie?- zapytała smutnie.

-Szukałem razem z Frankiem. Stukaliśmy do drzwi, ale w chałupach nikogo nie było. Widocznie ludzie jeszcze pracują, albo się przed nami chowają. Ja tego nie rozumiem- odpowiedział cichym głosem.

-No nic! Ty zanieś to do domu, a ja spróbuje kupić coś do jedzenia. My nie mamy nic oprócz chleba na kolacje. Może mnie się poszczęści- zdecydowała. Przeszła na drugą stronę ulicy a za nią podążył Sławek.

W mieszkaniu przywitał Janka Toni. Nie pytając się o nic, zaczął maszerować od końca do końca pokoju.

-Co mu sie stalo? Może dowiedział sie e szukamy innego mieszkania- pomyślał Janek przyglądając sie jego dziwacznym ruchom. Naraz Toni zatrzymał się przed nim.

-U nas w Rosji pod komunizmem jest najlepiej! Rozumiesz! Najlepiej!- powtórzył patrząc uważnie na Janka.

-Popatrz na naszą wioskę! Każda zapisana rodzina ma kawałek ziemi na której może wybudować dom, może chodować kury, krowe, no i jak mój ojciec, może mieć konia! Poza tym wszyscy pracują w kołchozie, który

należy do wszystkich. Po zbiorach otrzymują swoją część wynagrodzenia za pracę w pszenicy, ziemniakach, no i oczywiście w rublach!-

Wracając z powrotem do mierzenia kroka^m pokoju, podrapał się w głowę, jakby starał się coś przypomnieć.

-No powiedz sam! Czy to nie jest wspaniałe życie! U nas jest wielka równość! Nikt nie może być bogaczem i wyzyskiwać biednego robotnika. Nie ma burżuji, kułaków. Zobaczysz, że my komuniści zawładniemy całym światem. Wszędzie będzie równość i wolność tak jak u nas. Wszyscy będą pracowali i sprawiedliwie dzielili plonem pracy!- zakończył i nabierając do płuc powietrza spojrzał z boku na Janka.

Janek czuł jak wszystko się w nim gotuje. Nie dosyć, że ich przywieźli do tej zakichanej wioski. Nic nie można kupić w sklepie. Nie mógł znaleźć marnego pomieszczenia. Dookoła widać straszną biedę. A ten fircyk dogaduje i stara się w niego wmówić takie bzdury.

Czerwony lekko na twarzy, ponuro patrząc na Toniego, zapominając co mu matka mówiła, zapytał się niskim chłodnym głosem.

-No tak Toni! Dlaczego wam nie wolno mieć więcej niż jedną krowę? A nie dwie, cztery albo więcej? Dlaczego ograniczają wam ilość kur? Nie wolno hodować świń?-

-Kto ci to mówił? Zresztą te ograniczenia są, że by nie było kułaków! Żeby jeden nie był bogatszy od drugiego. Rozumiesz!-

-Toni! My mamy oczy, przejechaliśmy smat drogi. Ludzie mówili po drodze. Niedaleko Penzy pociąg zabił krowę. Rozpacz ludzi była ogromna. Mówili nam, że tu ma być najlepiej. O ile to jest prawda, dlaczego was równają z biedną a nie przynajmniej ze średnią klasą ludzi?-

-O tak! Przedstawiciel wioski Ivan Szorowoj mówił dzisiaj w szkole, że wy umiecie siać propagandę! Że nie można wam wierzyć! Że wy wyzyskiwaliście robotników! Że wy jesteście burżuje! Co?-

Janek spuścił głowę do dołu i patrząc na ubitą, ziemię podłogi odezwał się wolno.

-My nie byliśmy bogatymi . Ojciec mój był aptekarzem. Miał swoją aptekę w małym miasteczku. Pracował sam, a matka pomagała mu w interesie i zajmowała się domem. Letnią porą jak było dużo roboty ojciec brał pomoc, za którą musiał płacić. Ale ja nigdy nie słyszałem żeby ktoś na niego narzekał. Sam widziałem jak niektórym za lekarswa nic nie policzyli.-

-Ach! To znaczy, że u was była bieda! Mielicie biednych ludzi- przerwał mu Toni.

-Toni! Toni! Biedni ludzie są wszędzie! Na całym świecie. Niektórzy mają pecha w życiu, inni piją, a jeszcze inni poprostu nie chcą pracować. Nie chcą polepszyć swojego bytu. Nie mają ambicji. A co do wyzyskania, to u nas jak ci się nie podoba to możesz zmienić pracę. U nas można głośno narzekać. Nawet były strajki, za które nie karzą ludzi. A tu u was, myślisz, że jak ja wyjdę na ulicę i będę narzekał, to nic mnie nie zrobią?- zaśmiał się głośno.

-Toni! Ty nie powinienesz wszystkim wierzyć. Co ci mówią w szkole! Masz przecież swoje własne oczy, i swój własny rozum. Otwórz szeroko oczy, zmusz swój rozum do roboty, a zobaczysz kto kogo wyzyskuje!-

-Janek ty tak nie mów!- zawołał Toni czerwieniąc się na twarzy.

Niezadowolony chciał powtórzyć co słyszał w szkole, ale gruby głos ojca przerwał ich dyskusję.

Stary Pietun zawołał Toniego i posłał go, na drugą stronę wioski, do kuzyna po sól. I jak tylko on opuścił dom zawołał Janka.

-Siadaj zacięty młodzieńcze! Siadaj!- Wskazał Jankowi ławę.

Niezdążyli jeszcze usiąść, gdy do pokoju weszła Klaudja. Na jej twarzy odczytać można było że i jej się nie powiodło.

-O jak to dobrze, że wy wróciliście!- przywitał ją Pietun.

-Porozmawiamy- wskazał jej miejsce przy stole. Z niechecia spojzał na idącego za Klauja Sławka. Podrapał się po głowie.

-Ty gołąbku pobaw się na dworze! Dobrze?- zaśmiał się wypychając Sławka z powrotem za drzwi.

-Lepiej żeby młode uszy nie słyszały co ja mam do powiedzenia.- wytłumaczył poważnie. Spojzał na Janka i podszedł do rogu w pokoju. Delikatnie odsłonił wisząca na wysokości głowy małą firankę, za którą na trójkątnej półce stało kilka obrazków.

Były one bardzo stare, zniszczone, ale jeszcze wyraźnie można było odróżnić wymalowany krzyż z Panem Jezusem. Po jego jednej stronie obrazek Matki Boskiej, a po drugiej twarz jakiegoś starego Popa.

Pietun przeżegnał się trzy razy i zajął miejsce przy stole. Stara gospodyni podeszła do obrazów, przeżegnał się i zasłoniła firankę.

Pietun chrząknął kilka razy i patrząc prosto na Janka odezwał się swoim grubym głosem.

-My w Boga wierzymy. Mocno wierzymy. Nam tego nie wolno. Musimy się ukrywać z wiarą. Cerkwie pozamykali, pozamieniali na kina, spichlerze i inne pomieszczenia. Aż serce boli! Rozumiesz! Nie jest tak jak być powinno- podrapał się bezradnie po głowie.

-Ty młody gołąbku, Maszka mnie mówiła żeś ty gadał o naszym życiu z Tonim. Ty więcej z nim o tem nie rozmawiaj. On może nie rozpowie, ale u nas nauczyciele umieją nawet wyciągnąć informację o rodzicach od dzieci. Trzymaj język za zębami to będziesz dłużej żył- spojzał z ukosa na Klaudje.

-Studenci! Mają za dużo energii do politykowania. Sami nie mają pojęcia o czym mówią. Chcieli zmiany! To zmienili. Głupcy! Co teraz maja! Ubrani? Nie! Głodni? Tak! A narzekać nie wolno. Ot! Narobili!- Rozejrzał się po pokoju i przyłożył palec do ust.

-Tss! Tssss! Ale tego nie wolno mówić! Nie wolno gołąbku. Nie wolno nikomu mówić- odwrócił się do swojej żony, cicho siedzącej przy końcu stołu

-Masza! Daj nam wódki! Pogadamy sobie o dobrych starych czasach!-

Gospodyni bez słowa podeszła do stojącego przy ścianie kufra i wyciągnęła z niego butelkę wódki. Z bocznej półki zdjęła kilka blaszanych kubków. Postawiła je na stole i zaczęła nalewać do nich wódkę.

-O nie ja nie będę pić- odezwał się Janek odsuwając delikatnie kubek. Masz rację za młody! Daj jemy^u zupę!- zgodził się Pietun. Zabrał kubek z wódką i postawił z boku swojego.

Masha wypić jednym chlystem wódkę, otarła dłonią usta i wolno z lekkim sapaniem podeszła do dużego kotła w którym coś się gotowało. Zdjęła z niego pokrywę i długą drewnianą chochlą zamieszała.

Z kłębam^u pary przyjemny zapach zupy wypełnił pokój, drażniąc głodne żołądki.

Na skinienie jej reki, Janek jak błyskawica znalazł się z boku. Gospodyni napełniła drewnianą miseczkę po same brzegi zupą. Podąka ją Jankowi. Ukroiła sporą kromkę chleba, i odezwała się cichym głosem, że ledwie ją można było usłyszeć.

-Zanieś to dla brata, bo on też głodny. Zanieś dla brata, podaj matce a potem dla ciebie.- Jej pomarszczona twarz, wyjaśniła się uśmiechem.

Sławek siedział na pieńku. Patrzał gdzieś daleko, daleko w niekonczące się stepy. Skrzypiące drzwi ocknęły go. Odwrócił głowę i na widok Janka z miską zupy, unosił obie ręce do góry.

-Jedzenie! Nareszcie jedzenie!- zawołał zadowolony.

Złapał z rąk Janka miskę z chlebem i nie podnosząc drewnianej łyżki, która mu spadła na ziemię, zaczął popijać zupę prosto z miski, zagryzając ją co chwilę chlebem.

Pietun zabrał się do trzeciego kubka wódki. Popatrzał na siedzącego z boku Janka, i położył dłoń na jego rękę w której trzymał łyżkę, gotową do zaczerpania zupy. Uśmiechnął się.

-Ty to przypominasz mnie stare dobre czasy, kiedy ja byłem taki sam jak ty. Kłóciłem się, mówiłem, ale mnie nikt nie słuchał.- Odwrócił się do Klaudji. Kozystając z tego Janek połknął kila łyków zupy.

-U nas teraz nie ma nic! Nie ma butów, nie ma materiału, mebli. No niby to się robi dla narodu! Tylko jakoś dla ludzi nic się nie zostaje. Nawet solidnego ubrania człowiek nie ma, tylko łata i łata to co kupił dawno dawno temu- położył znowu dłoń na ręce Janka, zatrzymując szybkie ładowanie głodnego żołądka.

-Ej! może wy przywieźliście coś z Polski? Coś, co wam nie potrzebne. To my! My możemy na coś się zamienić.- Odwrócił się z powrotem do Klaudji.

-Bo u nas to nie ma nic. Ale zato mamy dużo ludzi w więzieniach. O! Tych to mamy bardzo dużo! Aż za dużo- poważnie potrząsna głową.

Słuchając uważnie co on mówi Klaudja poderwała się z miejsca. Tłumacząc że zaraz wróci opuściła kuchnię. Przez pewien czas szukała coś w drugim pokoju. Po chwili wróciła trzymając w ręku ojca ubranie.

-Sprobojcie czy to dla was będzie pasowało?- podała Pietunowi garnitur.

Tak jak Maszy tak i Pietunowi o mało co oczy nie wypadły z podziwu. Obracali ubranie w ręku, podziwiając materiał z którego było zrobione.

- Tak jak za carskich czasów. O, ja pamiętam!- nie mógł się nadziwić. Szybko naciągnął spodnie na swoje stare. Powoli z wielką ceremonią wsunął ręce w rękawy żakieta.

Przez chwile obydwójce przyglądali się kamizelce nie wiedząc co

mają z nią zrobić. Dopiero jak Klaudja wytłumaczyła im jak się ją nosi, Pietun delikatnie zdjął zakiet i nałożył najpierw kamizelkę.

Ubranie pasowało jakby było dla niego uszyte. Masza nie mogła się powstrzymać od ukazania radości. Zawołała Sławka. Napełniła jego miskę zupą po same brzegi. Podała Jankowi i Klaudji po kromce chleba.

Zachwycony Pietun uważnie zdjął ubranie, pieszczotliwie złożył je i podał Klaudji. Spojrzył na nią niepewnie.

-Co wy ^{za} to ubranie chcecie?- zapytał drżącym głosem.

-A co wy za nie nam dacie?- odpowiedziała niemniej wzruszona tym targiem Klaudja.

Pietun odciągnął Masze na bok. Dostyc długo szeptali tam jeden do drugiego. Od czasu do czasu słychać było głębokie westchnienie. Po poradzie powrócili do stołu. Pietun podrapał się nerwowo pod broda.

-Ja wam dam pięćdziesiąt pudów pszenicy i trzy miesiące mieszkania.

Dobrze?- zapytał miękko głosem. Klaudja pokręciła przecząco głową.

-Pietun! Nam tak dużo pszenicy nie potrzeba. Nie mamy nawet miejsca gdzie ją schować. A pokój nie ma pieca. Nie ma na czym gotować!

-Aaa! Z wami to ciężko targować! Prawda w pokoju nie ma na czym gotować. Ale ja pieniędzy nie mam. Ja nic nie mam tylko tą pszenicę.- zasmucił się.

Tym razem Masza pociągnęła go za rękaw. Narada była o wiele krótsza. Obydwoje wrócili zadowoleni. Przez chwilę przyglądali się Sławkowi i Jankowi.

-Smakuje wam ta zupa? Prawie, że codziennie Masza ją robi. Na kości, kapusta, ziemniaki i woda. My ją nazywamy zupa "s^zczy" Chleba nie brakuje na rano południe i wieczór!

-Smakuje! Bardzo smakuje- odpowiedział Janek.

-Ooo, to dobrze!- ucieszył się Pietun. Spojrzył na Klaudję.

-A wam się podoba?

-Podoba- odpowiedziała zdziwiona Klaudja.

-No to my wam damy trzydzieści pudów pszenicy i mieszkanie razem z jedzeniem na trzy miesiące. Bo ja was oszukać nie chcę. Za dobry towar to trzeba dobrze zapłacić. A u nas nic nie ma oprócz pszenicy- zakończył smutnym głosem.

-Dobrze Pietun- zgodziła się Klaudja. Podała Maszy ubranie i gotowa była opuścić pokój, ale Pietun ją zatrzymał.

-U nas to się oblewa taki handel. Siadajcie i opowiadajcie nam o Polsce. Dla nas to ciekawe jak tam żyją ludzie.

Masza napełniła mężowi kubek, dołała wódki dla Klaudji a sama usiadła na końcu ławy. Objęła ubranie jakby trzymała coś bardzo cennego i nie zwracając na nikogo uwagi, głęboko zatopiła się w swoich myślach.

Klaudja opowiedziała o ostatnich miesiącach w Polsce. Pietun słuchał. Pokiwał głową. Wypił jeszcze jeden kubek. Widocznie wódka zaczęła na niego działać, bo przerwał Klaudji i sam zaczął opowiadać o różnych kłopotach w wiosce.

Nie zwracał nawet uwagi na Sławka, który najedzony, nudząc się monotonnym głosem Pietuna, dyskretnie wysunął się za stołu i cichutko uciekł do drugiego pokoju.

-No! Jak należysz do kolchozu i masz działkę to musisz płacić podatek, nie tylko za pokoje! Ale musisz mieć krowę. Czy chcesz czy nie chcesz. Bo musisz zanieść im do biura naznaczoną na ten rok ilość mleka no i raz do roku mięso. Za to oni zabierają codziennie latem twoją krowę na pastwisko. A w zimie musisz ją karmić sianem, które dostaniesz jako część zapłaty za pracę w kolchozie. Na wiosnę musisz im dostarczyć naznaczoną na ten rok ilość jajek i kurczaków czy je odchujesz czy nie. Ale niewolno mieć więcej niż ograniczoną przez nich ilość kur i jedną krowę. I co to za życie. Pozwolili mi mieć konia, bo u nich

sie do niczego nie nadawał. Chcieli go zabić ale ja uprosiłem. Dałem łapówkę, to dali. Podatek za niego muszę płacić. A tu nie lasy, ani jeziora ani rzeki! Zwierzyny ani ryb nie ma. Nie ma jak polepszyć życia. Trzeba cierpieć a narzekac nie wolno ,bo jak powiesz im prawdę, to nazwą cię wrogiem narodu! I do ciupy.- otarł spływające po policzkach łzy.

-Tak samo jak opuszczasz kilka dni pracy a nie masz zwolnienia od doktorki, to płacisz karę. Zresztą zobaczycie sami! Dużo wody w rzece nie upłynie, jak zrobią z was kołchoźników. Słabi pomrą, tylko mocni zostaną. Sami zobaczycie bo ja nie kłamię.

Chciał mówić dalej ale wejście Toniego zatrzymało go. Uniósł się z ławy i z pomocą Maszy schował się pod wielką pierzynę za piecem.

XIX

Następnego dnia z samego rana, po kromce chleba z goracą herbata, przygnębiony Pietuna rozmowa, Janek, postanowił dowiedzieć się jakie plany mają przywiezieni do Obuchowki Polacy. Podziękował Maszy za śniadanie i wyszedł na dwór. Piękna słoneczna pogoda dodała mu otuchy.

Po długim szukaniu dowiedział się że z Druskienik tylko Hutnikowa z dziewczynkami, Lindnerowa z Frankiem i oni znaleźli się w Obuchowce.

Na ulicy Stalina, na której poprzedniego dnia szukali z Frankiem pokoju, zapoznał Zbyszka Zawickiego, syna kapitana piechoty, który wywieziony został z matką i starszą puciołowatą siostrą Zosią.

Od niego dowiedział się, że około dwadzieścia rodzin z Grodna przywieziono do Obuchowki. Polacy, których Zbyszek mu przedstawił, zajęci byli organizowaniem nowego życia.

Poważne twarze, zacięte usta, wskazywały, że pomimo ciężkich warunków życia, dadzą sobie radę. Nie poddadzą się i będą walczyli z codziennymi trudnościami życia, aż do dnia w którym opuszczą ten komunistyczny raj.

Wracając do domu wspominał co mu powiedział pan Pruski, staruszek z Grodna, wywieziony razem z żoną Martą i synową. Syn jego był sierżantem w wojsku. Aresztowany został przed Bożym Narodzeniem. -Ty sie nie martw, my dlugo tu nie będziemy. Najwyżej dwa, trzy lata. Świat jest wielki, Inne państwa wiedzą, co sie stało! Zmuszą Ruska odesłać nas z powrotem do Polski. Zobaczysz! I przypomnisz sobie moje słowa. -

Było już po południu jak wrócił do domu. W kuchni zastał krzątającą się dookoła pieca gospodynię.

Skinęła głową na powitanie. Nakarmiła go zupą z kawałkiem chleba i jak tylko skończył jesc, podała mu stary worek od kartofli.

-Idź tam- wskazała ręką na południe.

-Tam jest dobre miejsce! Tam na stepie, gdzie pasą sie krowy Sławek zbiera kiziaki. Ty mu pomóż. On ci pokaże jak to sie robi. Ja go nauczyłam wytłumaczyła cichym bezbarwnym głosem i powróciła do swojej roboty.

Chcąc nie chcąc, Janek zarzucił sobie worek na plecy i opuścił dom. Minął kilka chałup, za którymi ukazał się step. Jak okiem sięgnąć widać było wysoką trawę. Delikatny południowy wiatr kołysając nią, malował najrozmaitsze odcienia zielonego koloru.

Daleko od wioski, po lewej stronie pasły się krowy. Z boku jakaś maleńka kropka, powiększała się i malała, przesuając się w niedużej odległości od stada.

Skierował się prosto w stronę paszących się krów. Po chwili zauważył ja niewygodnie idzie sie po wysokiej, plątej się

dookoła nóg trawie.

W miarę zbliżania się do trzody, mała kropka rosnąc w oczach zamieniła się na ruchliwą postać Sławka.

-Pomoc! Pomoc! Jak ja się cieszę Janek!- przywitał go Sławek.

Z zadowoleniem usiadł na trawie, wyciągnął daleko, jak tylko mógł przed siebie nogi i patrząc na Janka westchnął głęboko.

-Te słońce tu tak przyjemnie grzeje, i wszystko pachnie trawą. Może to robi mnie głodnego. Czy ty też jesteś stale głodny tak jak ja?

-Tak Sławek! My wszyscy jesteśmy głodni. Świeże powietrze no i ta rozwodniona zupa szczy z chlebem to na długo nie wystarcza. Ale jak my nie przyniesimy dla Maszy tych kiziaków po które ona nas posłała to i tego nie dostaniemy. Powiedz co mamy zbierać. Szczaw? Jakies' zioła? Co to sa kiziaki? Zaciekawil się Janek.

Sławek uniósł głowę do góry. Spojrzył figlarnie na brata i szybko uklęknął na jedno kolano.

-Ty naprawdę przyszedłes mnie pomagać? Gospodyni ciebie przysłała? Naprawdę?- ucieszył się Sławek.

-Naprawde! Naprawde. Ale co zbieramy?

-Zaraz zobaczysz, ale czy masz jakis' badył albo kawałek piołuna?- rozejrzył się uważnie po trawie.

-Ten pastuch pokazał mnie jak sie robi. Znalazłem kilka badyli ale te dwa sa najlepsze- podał Jankowi badył.

-No chodź nauczę ciebie jak to sie robi! Mówiąc to podszedł kawalek dalej na oczyszczony przez krowy step. Tu zatrzymał się. Spojrzył poważnie na brata.

-Tu na tej plaszczyźnie nie ma drzewa do opalu. Ludzie muszą palic' badyłami, suchym piołunem no i...

-Sławek!- zatrzymał go Janek.

dookoła nóg trawie.

W miarę zbliżania się do trzody, mała kropka rosnąc w oczach zamieniła się na ruchliwą postać Sławka.

-Pomoc! Pomoc! Jak ja się cieszę Janek!- przywitał go Sławek.

Z zadowoleniem usiadł na trawie, wyciągnął daleko, jak tylko mógł przed siebie nogi i patrząc na Janka westchnął głęboko.

-Te słońce tu tak przyjemnie grzeje, i wszystko pachnie trawą. Może to robi mnie głodnego. Czy ty też jesteś stale głodny tak jak ja?

-Tak Sławek! My wszyscy jesteśmy głodni. Świeże powietrze no i ta rozwodniona zupa szczy z chlebem to na długo nie wystarcza. Ale jak my nie przyniesimy dla Maszy tych kiziaków po które ona nas posłała to i tego nie dostaniemy. Powiedz co mamy zbierać. Szczaw? Jakies' zioła? Co to sa kiziaki? Zaciekawil się Janek.

Sławek uniósł głowę do góry. Spojrzył figlarnie na brata i szybko uklęknął na jedno kolano.

-Ty naprawdę przyszedłeś mnie pomagać? Gospodyni ciebie przysłała? Naprawdę?- ucieszył się Sławek.

-Naprawdę! Naprawdę. Ale co zbieramy?

-Zaraz zobaczysz, ale czy masz jakiś badył albo kawałek piołuna?- rozejrzył się uważnie po trawie.

-Ten pastuch pokazał mnie jak sie robi. Znalazłem kilka badyli ale te dwa sa najlepsze- podał Jankowi badył.

-No chodź nauczę ciebie jak to sie robi! Mówiąc to podszedł kawalek dalej na oczyszczony przez krowy step. Tu zatrzymał się. Spojrzył poważnie na brata.

-Tu na tej płaszczynie nie ma drzewa do opalu. Ludzie muszą palić badyłami, suchym piołunem no i...

-Sławek!- zatrzymał go Janek.

dookoła nóg trawie.

W miarę zbliżania się do trzody, mała kropka rosnać w oczach zamieniła się na ruchliwą postać Sławka.

-Pomoc! Pomoc! Jak ja się cieszę Janek!- przywitał go Sławek.

Z zadowoleniem usiadł na trawie, wyciągnął daleko, jak tylko mógł przed siebie nogi i patrząc na Janka westchnął głęboko.

-Te słońce tu tak przyjemnie grzeje, i wszystko pachnie trawą. Może to robi mnie głodnego. Czy ty też jesteś stale głodny tak jak ja?

-Tak Sławek! My wszyscy jesteśmy głodni. Świeże powietrze no i ta rozwodniona zupa szczy z chlebem to na długo nie wystarcza. Ale jak my nie przyniesimy dla Maszy tych kiziaków po które ona nas posłała to i tego nie dostaniemy. Powiedz co mamy zbierać. Szczaw? Jakies' ziółka? Co to sa kiziaki? Zaciekawiał się Janek.

Sławek uniósł głowę do góry. Spojrzał figlarnie na brata i szybko uklęknął na jedno kolano.

-Ty naprawdę przyszedłes mnie pomagać? Gospodyni ciebie przysłała? Naprawdę?- ucieszył się Sławek.

-Naprawde! Naprawde. Ale co zbieramy?

-Zaraz zobaczysz, ale czy masz jakiś badył albo kawałek piołuna?- rozejrzał się uważnie po trawie.

-Ten pastuch pokazał mnie jak sie robi. Znalazłem kilka badyli ale te dwa sa najlepsze- podał Jankowi badył.

-No chodź nauczę ciebie jak to sie robi! Mówiąc to podszedł kawalek dalej na oczyszczony przez krowy step. Tu zatrzymał się. Spojrzał poważnie na brata.

-Tu na tej plaszczyźnie nie ma drzewa do opalu. Ludzie muszą palić badyłami, suchym piołunem no i...

-Sławek!- zatrzymał go Janek.

-Nie gadaj tak dużo ! Pokaż mi co mamy zbierać?

-Ja staram się powtórzyć co mówiła mi Masza! A ty mnie przeszkadzasz- zawołał niezadowolony Sławek. Zatrzymał się i nagle przewrócił na drugą stronę krowie łajno.

Janek złapał go za rękę i spojrzał ostro w oczy.

-Co ty robisz zamiast powiedzieć mi jakie zioła zbieramy to grzebiesz się w tym, w tym... Nie mógł skończyć bo Sławek wybuchnął głośnym śmiechem. Dopiero po chwili, ocierając oczy z łez, śmiejąc się co drugie słowo, zaczął tłumaczyć.

-Janek! Janek! To, to właśnie jest nasze zadanie! Zbierać wysuszone krowie placki. A które nie są wyschnięte to je trzeba przewrócić na drugą stronę i jak będziemy wracali to je zabierzemy- uśmiechnął się.

-O widzisz ten tu!- nachylił się i uniósł do góry wyschnięty kawałek krowiego kału. Pokazując go, z szeroko otwartymi oczyma i ustami Jankowi, uważnie włożył go do worka.

-Wspaniałe wysuszony kiziak!- Zaśmiał się figlarnie.

-Ty wiesz, mi mówiła Masza że te kiziaki bardzo dobrze się palą A zimną są cenione na wagę złota- zakończył i zabierał się do zbierania.

Janek przez chwilę stał nie wiedząc co ma robić. Przypomniał sobie że Haziarka mówiła coś o kiziakach, ale on myślał że to są jakieś zioła czy rośliny które oni gotują. Nigdy nie spodziewał się że będzie musiał zbierać suche krowie łajno. Zaśmiał się cicho.

-Z czego się śmiesz?- zdziwił się Sławek.

-Widzisz u nas jest takie powiedzenie. "^{sacdes}Weszies między wrony to rób to co i one." Ale dlaczego tu z nami nikt inny nie zbiera?- podniósł kiziak do góry.

Szaro-brazowego koloru, był szorstki i bardzo lekki.

-Masza mówiła że oni zbierają je po pracy i w dniach wolnych od pracy. A że my dzisiaj jesteśmy pierwsi, to możemy powybierać najlepsze-

zasłmiał się i naraz spowaźniał.

-Janek! Tu dookoła taka bardzo wielka pustka. Ani drzewa ani góry poprostu przerażająca pustka. W dodatku ja jestem głodny!

-Ja też!- odpowiedział Janek. Zarzucił sobie worek na plecy.

-Chodź, może za te wartościowe kiziaki, Masha da nam coś do zgryzienia.

Następnego dnia zaraz po południowym zbierniu kiziaków, Na podwórku czekał na Janka Toni.

- Dzisiaj sobota i ja dostałem wóz na kilka godzin. Musimy się spiesyc- zabrał od Janka worek z kiziakami i odrzucił bok.

-Siadaj jedziemy po badyle.- zawołał z wielkim entuzjazmem.

Janek jeszcze nie zdążył ulokować się na koźle jak znleźli się na stepowej drodze zostawiając wioskę daleko z tyłu.

Oszołomiony pospiechem, zdumiony szybkością, spojrział w kierunku tej szalonej siły ciągnącej wóz.

-Koń Pietuna?- wykrztusił, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

-Ten zapadnięty w połowie jakby miał wielbąda za kuzyna koń. Taki mocny?- nie mógł się nadziwić.

-Dobre stworzenie, co?- usłyszał jakby w odpowiedzi głos Toniego.

-Chcieli go zabrać na klej. Ale ojciec uprosił u naczelnika wioski żeby go nie zabił. Wyśmieli go i kazali sobie zapłacić, Zapłacił to zapłacił! Jeszcze podatek płaci. Ale ojciec wiedział co kupuje. Wydmuchał, wykarmił, no i mamy konia.

Minęli wielkie zaorane pole, za którym skręcili w lewo i po kilku minutach skaczącej jazdy po wąskiej miedzy, wjechali pomiędzy wysokie słonecznikowe badyle.

-Zeszłego roku pomagałem obcinać słoneczniki, dlatego wiem gdzie pozostały badyle.- Wytlumaczył Toni zeskakując z wozu

Badyle łamały się łatwo, specjalnie, że na dole śnieg i wilgoć

przegryzły ich łądygi.

Toni nie śpieszył się. Łamał badyl za badylem układając je równo na wozie. W niedługim czasie załadowali wóz do samej góry.

Z powrotem szli z boku woza. Długi kawał przeszli w milczeniu. Dopiero, kiedy zobaczyli na choryzanie wioskę Janek odezwał się, pierwszy.

-Toni! Dlaczego słoneczniki sadzone są tak daleko od wioski?

Toni przez chwilę milczał. Dopiero po chwili odpowiedział zapytaniem na zapytanie.

-Czy u was w Polsce nie ma złodziei?

-Oczywiście, że mamy! Teraz ich jest najwięcej. Ach! Zreszta złodzieje są na całym świecie.- starał się nie urazić Toniego.

-No widzisz, dlatego u nas słoneczniki sadzimy daleko od wioski. Ty wiesz jednego roku, ktoś kosał ściał duży kawał pszenicy. Podobno przyjechał w nocy z innej wioski. Może dlatego u nas nie można mieć koni. Nawet ten woz musiałem pożyczyć od kołchozu, i wytłumaczyć po co. Ale powiedz, Czy u was każdy może kupić ubranie, takie jak kupił od was ojciec?

-Oczywiście. Przed wojna sklepikarze mieli tyle towaru, że musieli namawiać ludzi do kupna.

-To, to już propaganda. Ja w to nie wierzę. Zreszta u nas wszyscy chodzą w jednakowych ubraniach! A nie każdy inaczej. Musi być równość. Ja nie wiem po co ojciec to kupił?- odpowiedział ze złością Toni.

-A u was możecie mieć swoje konie?

-Oczywiście Toni. Tyle koni na ile ciębie stac- odpowiedział Janek i widząc niezadowoloną minę u Toniego stracił ochotę do rozmowy.

Resztę drogi przejechali w głębokiej ciszy. Janek dopomógł wyładować z woza badyle i wszedł do mieszkania.

W środku było ciemno. Masha oszczędzała naftę. W półmroku zjadł

miszkę zupy z kawałkiem chleba i zmęczony dniem pracy zasnął zanim ułożył głowę na poduszczce.

XX

Po kilku tygodniach, wcześnie z rana, Masza poderwała wszystkich na nogi. Niezadowolony Sławek zaczął głośno narzekać.

-Przecież nazbieraliśmy dla niej kiziaków! Cała kupe! Ty dwa razy byłeś z Tonim po słonecznikowe badyle. Mają pełno paliwa. Co ona treraz chce! W dodatku dzisiaj jest niedziela. Co oni i w niedziele pracują? Janek oni nawet w Boga nie wierzą.-

Janek nic nie odpowiedział, Ubrał się i wyszedł do drugiego pokoju. Mocny zapach świeżo pieczonego chleba zakręcił w nosie. Uczuł szalony głód. Wybiegł na dwór, nalał do miedwicy trochę wody. Umył twarz i szybko wytarł się ręcznikiem.

Matka dawno już ubrana, spacerowała z Julja. Zajęta rozmową, nie zauważyła spieszącego się Janka ze Sławkiem, który wyrwał od Janka ręcznik i mocząc sobie tylko nos wytarł się ręcznikiem.

-Brrr! ale to zimna woda!- oddał Jankowi ręcznik.

-Czy Masza tobie coś mówiła?- zapytał Janek.

-Nie!- odpowiedział zdziwiony Sławek.

-O ile nic ci nie mówiła to chodźmy do środka. Może dostaniemy coś nie coś do jedzenia.- otworzył drzwi przed pędzącym Sławkiem.

Masza zajęta była pakowaniem koszyka. Śpieszyła się jak tylko mogła, delikatnie zasłaniając swoją robotę.

-Tam macie gorącą wodę. Chleb na stole. Świeżo upieczony. Ale pośpieszcie się z jedzeniem. Tam w kącie leżą dwa worki. Zabieźcie je ze sobą! No! Spotkamy się na cmentarzu.

Zasłoniła szmatką zawartość koszyka i opuściła pokój.

-Co ona oszalała! Na cmentarz? Co ona tam chce zbierać? Janek! Ja tracę apetyt!- zawołał głośno Sławek. Odsunął na bok chleb i z ukosa spojżał na brata.

Janek spokojnie ugryzł kawałek świeżego pachnącego chleba, popił go gorącą, herbata, zabarwioną wodą.

-Może oni tam zabierają drzewo do palenia? Stare trumny? Ty sam wiesz że do pieczenia chleba piec musi być bardzo gorący. Badyłami nie nagrzejesz. A oni mówią, że u nich nic się nie marnuje. czy ty wiesz! Masha kazała mnie załatwiać się na ich działce i to każdy raz w innym miejscu- zaśmiał się głośno.

Sławek nic nie mówiąc złapał swoją kromkę chleba, i wybiegł na dwór. Nabrał świeżego powietrza do płuc. Rozejrzył się dookoła.

Widząc Matkę rozmawiającą z Julja podbiegł do niej.

-Mamo! Czy my mamy zawsze słuchać się tej! Tej! Maszy?- przerwał im rozmowę.

-Ona dzisiaj każe nam iść na cmentarz! I tam mamy coś zbierać! Czy ona nie zwarjowała! Czy co! Kto to zbiera paliwo na cmentarzu!- wzdrygnęła się.

Klaudja z Julja wybuchły głośnym śmiechem. Sławek spojżał na nie ze zdumieniem. Dlaczego one się śmieją. Co w tym śmiesznego?

-Sławek! Sławek! Co ty nie wiesz. Dzisiaj jest świętego Fama.

Wyjaśniła i z poważną miną na twarzy matka.

-Widzisz komunisci pozamykali wszystkie kościoły i cerkwie. Zabronili ludziom się modlic. Tydzień temu była niedziela wielkanocna. Obchodzili ją w wielkiej tajemnicy. Nawet i ty nic nie zauważyłeś. Przypomnij sobie! Pytałeś się dlaczego jemy na białej serwecie. I miałeś jajecznicę z dwóch jajek. Przypominasz sobie? No a dzisiaj jest Sw. Famy. Tak jak za dawnych czasów, ludzie zbierają się na cmentarzach, gdzie spędzają cały dzień. Niby to upiększają stare groby. Ale właściwie to się modlą.

-Tak! Tak! Sławek. Matka twoja ma racje. Cmentarzy nie mogli pozamykać. A na cmentarzu, ludzie mogą się modlić i zbliżyć do Pana Boga. Twoja matka ma rację.

Julja usmiechnęła się smutnie i pogłaskała Sławka po głowie.

-Czy Masza dała wam worki?- zapytała Klaudja zbliżającego się Janka.

-Po co?- zapiszczał Sławek.

-Po to, że według starej tradycji na Św Fama gospodynie częstowały znajomych pieczywem, malowanymi jajkami, bułeczkami- wytłumaczyła Klaudja.

-Ja słyszałam, że nadal utrzymują tę tradycję. Jak chcecie najeść się dobrych smakołyków to zabierzcie worki i róbcie co wam mówiła Masza. A ja zaraz za wami pošle Franka.- Poradziła im Julja.

Cmentarz leżał niecałe pół kilometra od wioski. Podzielony wąskimi dróżkami, po jednej stronie stare zaniedbane groby ozdobione były kamiennymi nagrobkami. Na niektórych stały jeszcze bardzo poniszczone figury świętych. Po drugiej stronie drewniane krzyże, ciemnego koloru stały gęsto ustawione, zdradzały miejsce śmierci, pochowanych w tym samym czasie dużej ilości ludzi.

Po drugiej stronie stały słupki z pięciorannymi gwiazdami. Trochę dalej Gwiazdy miały sześć ramion i napisy były w hebrajskim języku.

Tylko po tych znakach można było rozpoznać kto był tam pochowany. Polacy, Starzy Rosjanie, żydzi i komuniści leżeli w wiecznym spokoju.

Dopiero tu widać było, że pomiędzy nimi co do ciała to nie było różnicy, a co do duszy to tylko Pan Bog wie na co zasłużyli.

Przy grobach krzątało się dość sporo ludzi. Przeważnie kobiety, poubierane w ciemne, długie do samej ziemi spódnice. Pozawijały sobie głowy szalami tak, że trudno było odróżnić jedną od drugiej.

Chodziły dookoła grobów, czyszcząc je i dekorując kwiatami. Niektóre z nich klękały, modliły się z nisko opuszczonymi głowami i co pewien czas zęgnaly się trzykrotnie.

Janek ze Sławkiem podeszli do jednej kobiety zajętej wrywaniem trawy. Kobieta przerwała robotę, tłumacząc im kogo pochowała, ze słowami "Pan Bog Zmartwychwstał" dyskretnie włożyła im coś do worków.

Niedaleko końca jednej z dróżek, zauważyli Masze. Klęczała ona przy grobie swojego młodszego syna, którego straciła podczas wielkiego głodu.

Zmęczeni długim chodzeniem. Pełni smutnych opowiadań, w głębokiej ciszy wrócili do domu. Na podwórku Sławek pociągnął Janka za rękę.
-Wiesz co.- odezwał się cicho.

-Ja nawet nie mam apetytu na te przysmki- Zostawił naładowany worek na pieńku i wbiegł do mieszkania.

Zaskoczony Janek nie wiedział co ma zrobić. Był głodny, bardzo głodny. Do tego szkoda mu się zrobiło brata. Wiedział, że tak jak i on, Sławek musiał być głodny.

Zabrał obydwie worki i usiadł na łóżku. Odwiązał swój worek i powoli wyciągnął z niego pieczone podpłomyki, małe bułeczki i malowane jajka. Poukładał je na kocu i ukradkiem patrząc w stronę leżącego Sławka podniósł jedną z bułeczek do góry.

-Słuchaj! Tym jedzeniem nie można gardzić. Specjalnie tymi wspaniałymi

bułeczkami. A że je rozdawali na cmentarzu, no to co! Mają taki obyczaj. Ja nie będę sprzeciwiał się obyczajowi! Bardzo mądry obyczaj!- uśmiechną się i ugryzł bułeczkę.

-Ależ to smaczne. Musieli piec na drożdżach i to z cukrem.- zabrał się do drugiej bułeczki.

Sławek usiadł i przez pewien czas przyglądał się Jankowi. Naraz zeskoczył z piezki. Zabrał swój worek. Wysypał całą jego zawartość na koc. Poukładał smakołyki osobno tak jak brat i złapał za jedną z bułeczek.

Przez długi czas w pokoju panowała cisza, przerywana od czasu do czasu głośnym mlaskaniem i zadowolonym westchnieniem zajętych jedzeniem młodzieńców.

XXI

Powoli dzień mijał za dniem. Coraz to więcej ukazywała się różnica pomiędzy jaskrawymi obietnicami komunizmu, a coraz to ciemniejszą rzeczywistością. Trudno było dostosować się do ciężkich warunków życia z bez nadziejną przyszłością. Przywieziny Polakom zabroniono pracować w kołchozie.

Klaudja zajęła się domowymi obowiązkami i pomagała gospodyni w gotowaniu. W wolnych chwilach chodziła na spacer z mieszkającą zaraz obok Julją.

We dwójkę, jakby ciągnięte magnesem, szły w kierunku zachodniego horyzontu. Głęboko w stepach otoczone niekończącą się płaszczyną terenu, morzem kołyszących się fal trawy, wspominały dobre czasy i modliły się do Boga. Szukały powodu, dlaczego zostały wyrwane z domów rodzinnych i rzucone w tą okrutną biedę.

Z nadzieją, że to nieszczęście długo nie potrwa, zmęczone, ale pokrzepione na duchu wracały z powrotem z nową energią do walki z codziennymi kłopotami.

Sławek został oficjalnym zbieraczem kiziaków. W grupie rówieśników z Grodna chodził po stepie szukając opału.

Zauważyć można było jak ostatnie przeżycia wpłynęły na ich charaktery. Zamieniły pełną dzikiej energii młodość, w szczypte rozsądku, umiarkowania i spokoju. Co pewien czas wesola gonitwa i krzyki przerywane były poważną rozmową o sytuacji w której się znaleźli.

Janek szukał pracy. starał się zarobić na życie. Powstrzymać rozstawanie się z niewielką ilością przywiezionych rzeczy, które topniały, powoli wymieniane na potrzebne przedmioty w przygotowaniu się do zimy, którą miejscowi ludzie tak bardzo straszili.

Pierwszą robotę dostał u sąsiadów po drugiej stronie ulicy. Przez cały dzień pomagał w kręceniu maszyny do przewiewania pszenicy. Następny cały tydzień bolały go mięśnie, nawet te o których nie wiedział, że ma.

Pod koniec czerwca od sąsiada z boku dowiedział się, że jest wielkie zapotrzebowanie do pracy przy budowie stacji kolejowej.

Budowano ją około sześćdziesięciu kilometrów od Obuchowki. Ze zgodą matki zabrał ze sobą cieplejszy żakiet, kromkę chleba, kilka rubli i z samego rana opuścił dom w kierunku sąsiedniej wioski Iwan-Gorod, skąd samochody zabierały ludzi na robotę.

Iwan-Gorod, oddalony piętnaście kilometrów od Obuchowki, połączony był polną wyjeżdżoną furmankami drogą. Idąc nią około południa zobaczył pierwsze zarysy chałup.

Zadowolony, usiadł na trawie, wyciągnął zmęczone nogi i grzejąc się na słońcu postanowił posilić się chlebem. Zdziwony w woreczku na jedzenie znalazł tylko okruszyny.

Po raz pierwszy w życiu, znajdując się sam na pustym stepie, nerwowo skubiąc chleb nie pamiętał sam, kiedy go zjadł.

Śmiejąc się z samego siebie resztkę drogi przeszedł szybkim marszem. Pomimo że wioska wyglądała pusta, pomiędzy budynkami uczuł się o wiele bezpieczniej. Od starej kobiety krzatającej się w ogrodzie dowiedział się w której chałupie mieszkają Polacy.

Zastukał do pierwszej wskazanej mu chałupy. Ze zdumieniem, w otwartych drzwiach zobaczył Zofię Gęgotkową. Po rozmowie z wieloma pytaniami i miseczką smacznej zupy, dowiedział się, że jej Jurek pracuje z kołchoznikami na stepach.

-Nam powiedzieli, że Polakom w kołchozie pracować nie wolno- zdziwił się Janek.

-Nie wolno to i u nas, ale wolno jak im potrzeba. A teraz zabrali ludzi na budowę stacji kolejowej, no to im potrzeba ludzi w kołchozie. Rozumiesz?- zasmiała się.

-A ja zabrałem się do szydeł i latania. Mam igłałki i nici z Polski. Oni tego nie mają. Za to ja mam robotę.

-Czy tu dużo jest Polaków z Druskienik- zaciekawiał się Janek.

-Tylko kilka rodzin. większość jest z Grodna. I nie jest tu tak łatwo, bo wioska mała i niewiele mieszkań. Musimy sciskać się po kilka rodzin, o tak żeby tylko było gdzie się przespac- zakończyła rozmowę.

Pokazała Jankowi jak się dostać do miejsca, gdzie zabierają ludzi do pracy a sama wroczyła do łatania spodni.

Najedzony, w lepszym humorze minął kilka ulic i wyszedł na niewielki plac, na którym stała ciężarówka z kilkoma ludźmi siedzącymi z tyłu.

Z budynku na koncu placu wybiegł niskiego wzrostu mężczyzna. Zatrzymał się i obrzucił Janka wzrokiem.

-Na robote? Siadaj nie ma czasu!- Zawołał wsiadając do ciężarówki.

Janek niezdążył jeszcze usiąść, jak ciężarówka ruszyła, ominęła kilka domów, i chowając wioskę w tumanach kurzu wyjechała na polną drogę.

Po trzydziestu minutach, szarpań i kołysaniu, zatrzymali się z boku długiego wąskiego z wysokim słomianym dachem, baraku.

-Wyłazcie!- Zawołał szofer nie wyłączając motoru. Jak tylko mężczyźni wyskoczyli z ciężarówki, zakręcił i odjechał w stronę polnej drogi.

Na końcu budynku kilka metrów od ściany, widać było wmurowane w piec kotły. Z kilku wysokich blaszanych okrągłych rur buchały kłęby czarnego dymu. Po drugiej stronie leżała wysoka kupa węgla z której mężczyzna w kufajce dorzucił kilka kawałków do pieca.

Wytarł ręce, w tego samego szarego koloru, watowane spodnie i zwrócił się do przywiezionych ludzi. Poprawił czapkę i mierząc ich z góry do dołu splunął na bok.

-Tylko czterech i jeden chłopiec? To stanowczo za mało!- odezwał się chrypiącym głosem.

-Chodźcie za mną!- rozkazał kierując się w stronę budynku.

W środku było ciemno i duszno. Małe okienka po obydwu stronach pokoju były szczelnie zamknięte. Wzdłuż jednej ściany, na podłodze, oddzieloną grubą deską od przejścia, wznosiła się wysoko w górę rozesłana słoma. Po drugiej stronie przez pół przymknięte drzwi, widać było kilka łóżek z wysoko napchanymi siennikami, na których leżały koce.

-Wy tu będziecie spali!- wskazał ręką słome. Widząc Janka patrzącego się na Łozka, zaśmiał się głośno.

-Te Łozka są tylko dla majstra, kucharza i dla mnie.- dumnie uniósł głowę do góry i wyszedł z pokoju.

Na słomie koło ściany zauważył Janek kilka walizek, kuferków i zwiazana bielizną. Nasladując towarzyszy podróży, położył się na jednym z wolnych miejsc. Podłożył zakiet pod głowę i cierpliwie czekał.

W drzwiach ukazała się sylwetka kucharza. Popatrzył na leżących ludzi, poprawił spadającą luźno na spodnie białą koszulę i odezwał się chrapliwym głosem.

-Niedługo będą wracać z roboty. Dołączcie się do nich, to dostaniecie jedzenie. Jutro zameldujcie się u majstra, Fieci Wasilowicza, On wam przydzieli robote. Ja musze przygotowac miski do jedzenia. A ty! Wskazał palcem na siedącego na słomie starszego brodatego mężczyznę.
-A ty chodz ze mna! Pomożesz w rozdawniu jedzenia.

Mężczyzna bez słowa zostawił na swoim miejscu zawinięte do kupy rzeczy i wyszedł za kucharzem.

Z boku Janka leżał ten sam człowiek, który pomógł mu wleść na ciężarówkę. Mocno zbudowany, o okrągłej nie ogolonej twarzy, ozdobionej jasno brązowymi oczyma. Pod głową miał stary wypłowiały zakiet. Gruba wełniana koszula wisiała luźno na watowanych szarego koloru spodniach. Powyginane długim noszeniem buciki, prosiły się o naprawę.

Widocznie zauważył, że Janek mu się przygląda, bo uśmiechnął się i zapytał.

-Jak twoje imie?- odwrócił się do Janka.

-Jan Falkowski!

-Moje imie jest Ivan Kniszka. Ale twoje tez jest Ivan. Moze po polsku jest Jan ale po naszymu to lvan! Prawda?- zasmiał sie.

Janek skiwnał tylko głową. Ivan spoj^zwał na Janka z ukosa. Pokiwał głowa i kładąc sie ^zspowrotem na plecy wbił oczy w sufit.

-Popadłeś gołębku! Oooo! Popadłeś. Ode^zwał sie cicho, że go z trudnośc^{ia} można było usłyszeć.

-Mnie tak jak i ciebie przywiezli na Syberje. Tylko dawno, dawno temu. Z rodzicami, tak jak i ty byłem wtedy młodym chłopcem. Ale czas swoje robi. Przyzwyczaiłem się. Nauczyłem.- podrapał sie po głowie.

-No a teraz mam młoda piękną żonke! Chałupę! No i się żyje.-

-To dlaczego zostawiłeś młoda żonke? Przecież w kołchozie macie dużo roboty- wtrącił się leżący po jego drugiej stronie mężczyzna.

-Dlaczego! Dlaczego! Ty sam wiesz dlacego. Nie jesteś głupi- oburzył sie lvan.

-Kołchoz musi dostarczyć ludzi czy chce czy nie chce. A dla mnie na rę^ę. Żona oczekuje. No to mówię sobie, że lepiej będzie, jak będę z daleka. Jak odrobię teraz to mnie potem nie ruszą- zasmiał się sztucznie.

-A ty co! Na ochotnika?

-No nie, ja to samotny. Nie mam nikogo, no i nie miałem wykrętu! Odpowiedział niezadowolonym głosem mezczyzna.

Jakies głosy na zewnatrz przerwały ich rozmowę. Mężczyzni poderwali sie na nogi. Przez otwarte drzwi Janek zobaczył ustawiającą sie kolej^ę po jedzenie. Pomimo wielkiego po^{sp}iechu znaleźli sie na samym końcu kolejki.

Kucharz ze swoim pomocnikiem cierpliwie czekali, aż kilku, w nowych watowanych kufajkach i spodniach mężczyzn, omijając kolej^ę podeszł do kotł^ow. Pomocnik kucharza podał im chleb, a kucharz nalał do drewnianych misek zupy.

-Patrzcie! Patrzcie! Ile oni im daja mięsa!- Ode^zwał sie ktoś z boku.

-Ty lepiej bądź cicho, jak chcesz dzisiaj jeść.- odpowiedział ktoś inny.

Po otrzymaniu kromki chleba i misce parującej zupy, Janek znalazł miejsce na długiej drewnianej kłodzie. Usiadł wygodnie i przysłuchiwał się rozmowie ludzi.

Jeden z nich siedzący niedaleko młody mężczyzna, chwalił się kawałkiem mięsa, który znalazł w zupie.

Z rozmowy dowiedział się, że znalezienie mięsa w zupie, uważane było za wielkie szczęście. Przed każdym zaczerpnięciem chochli, kucharz kilka razy mieszał zupę, a pokrojonego na drobniutkie kawałki mięsa było bardzo mało.

Janek, pomiędzy posiekaną kapustą znalazł kilka kawałeczków ziemniaka. Zaczerpnął jeden na łyżkę i przez chwilę dmuchał.

-Lepszy rydz niż nic! Ja nawet tego nie dostałem. Zupa syczy! Kapusta z kartoflami na kościach i mięsie. Ha! Sama woda! Nazwa zbliżona do prawdy!- odezwał się po polsku wysoki blondyn.

-Pan z Polski?- ucieszył się Janek.

-Tak, mnie tu przywiezli w transporcie. Wyładowali nas pierwszego maja.

-To napewno ten sam transport w którym ja jechałem! Czy pan długo tu pracuje?- zaciekawił się Janek.

-Drugi tydzień. Ale moje imię Henry Czarniecki.- przedstawił się i powtarzając imię i nazwisko Janka uścisnął mu rękę.

-Nas tu jest kilku. Niezła paczka. Mieszkamy w drugim baraku po prawej stronie. A gdzie tyś się ulokował?-

-Ja mam miejsce w tym baraku zaraz niedaleko kuchni.- Wskazał reka.

-Panie Henryku czy robota jest ciężka? Czy dobrze płacą?

-Ile zrobisz tyle zarobisz!- zasmiał się Henryk.

-Mnie płacą dwadzieścia kopiejek za dwa wiadra cementu, wniesionego na górę. No! Jak czuję się mocno to przez dzień mogę zarobić od

dziesięciu do dwunastu rubli. Najlepiej zarabiają murarze. Bo około czternastu rubli dziennie. Ci co mieszają cement dostają po dziesięć rubli. Natrudniejsza robota w moim pojęciu to mają ci co wnoszą cegły na górę. Cegły są luźne i naprawdę trzeba wiedzieć jak je się balansuje na plecach. Pomimo to, oni z trudem dociągają do dwunastu rubli na dzień. Pamiętaj, że za jedzenie i mieszkanie oni na końcu ci odliczą. -Odliczą? Ile?- zdziwił się Janek.

-Ile to ja jeszcze nie wiem, no ale teraz ja muszę uciekać. Dobranoc panie Janie!- Zrobił kilka kroków i odwrócił się do tyłu.

-Aha! Zapomniałem ci powiedzieć. Nie zostawiaj w barakach nic luźnego. Oni kradną! Strasznie kradną! Mojemu koledze ukradli buty. Zdjął je przed spaniem i postawił obok siebie. Rano już ich nie było. Musiał na bosaka wracać do wioski, bo bez butów nie mógł pracować.

Nie marnując czasu, Janek oddał miskę z kawy pomocnikowi kucharza i biegiem wleciał do środka budynku.

Ze zdumieniem zauważył że koło jego zakietu klęczał jakiś nieznany mu mężczyzna.

Janek podszedł szybko do swojego miejsca. Głośno sapiąc położył się z boku i podsunął zakiet pod głowę.

Obcy człowiek zmieszał się. Bełkocząc coś niezrozumiałego pod nosem, podniósł się i szybko opuścił barak.

Za chwilę powrócili Janka znajomi. Iwan wyciągnął stary, koc ze swojego bandla.

-Ty lepiej śpij Polaczku, bo jutro wstajemy razem ze świtem- odezwał się cichym głosem. Podłożył buty z bandlem pod głowę, przykrył się kocem i po kilku minutach zaczął chrapać.

Mężczyźni poprzykrywali się przeważnie płaszczami kilku z nich leżało w ubraniach bez żadnego przykrycia.

Pomimo zmęczenia Janek nie mógł zasnąć. w dodatku nie był

przyzwyczajony spać w butach. A bał się je zdjąć.

Dookoła słychać było głośne chrapanie, przerywane tu i tam cichym gwizdaniem.

Wewnątrz nie mieli żadnego światła. Po ostatnich promieniach słońca z trudem przedostających się przez małe, brudne szyby zrobiło się tak ciemno, że nie można było widzieć ręki zbliżonej do nosa.

Zmęczony bezsennością, zdecydował zdjąć buty. Podłożył je sobie pod głowę i przykrywając się lepiej żakietem, skulił się we dwoje.

Zdawało mu się, że tylko co się ułożył do snu, a tu ktoś go budzi. -Wstawaj ty mały Polak! Wstawaj robota na ciebie czeka- usłyszał głos Iwana.

Na wpół śpiący naciągnął szybko buty, założył żakiet na siebie i wyszedł za Iwanem na dwór. Niebo obsypane jeszcze gwiazdami, zaczęło różowić się na horyzoncie.

Od strony kuchni widać było strzelające w różnych kierunkach błyski ognia i sylwetkę kucharza.

-Och! Tu to można solidnie się umyć- ucieszył się Ivan. Podniósł kawałeczek szarego mydła z półeczki przybitej do ściany baraku. Ze stojącego z boku wiadra zaczerpnął kubek wody. Nabrał ją do ust, nachylił się i lejąc powoli wodę z ust na ręce, namydlił je prędko. Odkładając mydło na bok. Nabrał więcej wody do ust i namydlił sobie twarz. Nabierając jeszcze kilka razy wodę do ust obmył się z mydła.

-Och! jak to przyjemnie i świeżo się czuję!- Odezwał się wycierając twarz w koniec luźno wiszącej koszuli.

-No twoja kolejka Polak!- podał Jankowi kubek.

Woda była strasznie zimna. Janek połknął kilka łyków zanim się nie umył i wytarł tak samo jak i Ivan w koszule. Z zimnomokrym uczuciem na brzuchu powędrował za Iwanem, zostawiając za sobą długą kolejkę ludzi czekających na kubek.

Z promieniami porannego słońca, ukazywało się na placu coraz to więcej maszerujących we wszystkich kierunkach ludzi.

Długa kolejka ukazała się przed parującymi kotłami. Po zaspokojeniu głodu kawałkiem chleba z gorącą herbatą, Janek uczuł w sobie jakieś nieokreślone uczucie zadowolenia. Nareszcie będzie zarabiał. Przyniesie do domu pieniądze.

Na głośne wołanie od strony budynku, ludzie w grupach opuscili podwórko. Niecałe pół kilometra dalej budowano dworzec kolejowy.

Wielki ceglany budynek wykonczony był do połowy. Kilka metrów dalej na bocznym torze kolejowym stały dwie długie platformy naładowane cegłami.

Do wagonów podchodzili ludzie z deseczkami przymocowanymi poniżej pasa na plecach. Dwoch robotników na gorze układało cegły w dwóch rzędach na tych deseczkach do wysokości głowy. Przechwytując luźno wiszące sznury przez ramiona, podawali je niosącemu.

Tymi dwoma sznurami przytrzymywał on cały ten ciężar na plecach. Najtrudniejszą rzeczą było balansowanie się na wąskiej drabinie po której wspinali się do góry. Trzymając sznurami cegły jedną ręką, drugą przesuwali po szczeblach drabiny.

Po drugiej stronie przy stosie równo poukładanych desek, wysokiej kupie piasku i worków z cementem, leżało długie drewniane koryto w którym długimi motykami mieszały robotnicy cement. Z boku czekali w kolejce na gotową zaprawę ludzie z wiadrami przyczepionymi po obydwu stronach do długich drągów.

Na drewnianym rusztowniu przy szczerbatej ścianie, równo rozstawieni murarze, zatapiali cegły w rozmarowanej zaprawie.

Przy drabinach stało kilku w lepszych kufajkach ludzi z notesami w ręku. Zapisywali oni wniesiony na górę materiał.

W środku budynku słychać było uderzenia młotków i skrzyp pił

wykarczających pierwsze piętro stolarzy.

Cała ta budowa zarządzana przez majstra Fiedia Wasilewicz. Wysoki gładko ogolony brunet. Okrągła jego twarz z lekko przypłaszczonego nosem pokryta była zmarszczkami trudu i czasu. Czarne jak węgiel oczy spokojnie obserwowały nowo przybyłych ludzi.

Miał na sobie nową watowaną szaro-niebieską kufajkę, tego samego koloru spodnie wcisnięte w cholewy skorzanych butów. Na głowie okrągła czapka z nausznikami zawiązanymi u góry i małym jasno brązowym futerkien na przodzie.

Fiedia jak go tu nazywali, podobno za carskich czasów był inżynierem. Podczas rewolucji uciekł na Syberję. Zmienił imię i nazwisko i nigdy nie chciał mówić o sobie. Nawet po pijanemu, jego przeszłość była szczelnie zamknięta.

Znajomość jego w budownictwie, stworzyła wielki szacunek nie tylko pomiędzy robotnikami ale i u komunistów.

Odesłał nowo dostarczonych ludzi do mieszania cementu i zatrzymał się na Janku. Przez chwilę przyglądał się jemu uważnie.

-Ty jesteś trochę za młody, może i za słaby.- potarł dłoń po swojej szyi.

-Ale to nic! Ja mam dla ciebie świetną robotę. Uśmiechnął się przyjemnie.

-Chodź za mną!

Na końcu placu nie daleko ściany budynku, stały małe okrągłe pierricki. Z boku leżała siekiera, jakieś wygięte żelazo i okrągłe blaszane pudełko. Fiedia zatrzymał się przed pierrickiem i patrząc na Janka zapytał.

-Umiesz prostować gwoździe?

-Oczywiście!- odpowiedział zdziwony Janek.

-No to dobrze. Tu są narzędzia, a tam!- wskazał szerokim gestem reki

stacje kolejowa.

-A tam są gwoździe- uśmiechnął się znowu.

-U nas są braki i musimy używać stare gwoździe. Do wyciągania masz ten łom, a do prostowania używaj siekierkę. Dobrze!

Widząc w oczach Janka wielki entuzjazm zostawił go i zniknął w środku budynku.

Janek odłożył na bok swój żakiet, podniósł do góry łom. Przyjął mu się uważnie. Podniósł blaszane pudełko i ruszył w poszukiwaniu za gwoździami.

Robota okazała się o wiele trudniejsza niż się spodziewał. Z braku gwoździ, używano je bardzo skąpo. Przerzucił prawie wszystkie deski leżące z boku budynku. Wyciągnął z nich niewielką ilość, tak porzewiałych gwoździ ze przy prostowaniu co drugi się łamał.

Po kilku godzinach zapytał się Fieci czy nie ma coś innego do roboty, zamiast marnować czas na te kilka porzewiałych gwoździ.

Fecia zasmiał się wesoło.

-Janek ty się nie martw o marnowanie czasu. Po prostu szukaj, a co znajdziesz to my na pewno użyjemy. Tylko staraj się prostować równiutko jak tylko można. Rozumiesz? A na końcu dnia wpisze cię do książki. Za prostowanie gwoździ dostaniesz jedną trudodniówkę!

Przykucnął więc Janek koło pieńka i prostował jak tylko umiał. Wyprostowane powrzucał do pudełka.

Niedaleko na drodze, otoczony kurzem ukazał się wóz. Zaprzężony w dwa konie, które pędziły jakby chciały wyskoczyć ze skóry.

Zgrzyt i pisk hamowanego wozu zmieszał się z głosem tupotu konskich kopyt i chmurą pyłu. Robiąc wielkie koło na placu zatrzymali się tuż przy scianie budynku.

Na koźle siedziało dwoje ludzi. Woznica zeskoczył pierwszy. Obiegł wóz i dopomógł drugiemu towarzyszowi zejść. O głowę wyższy od woznicy,

szeroki w pasie mężczyzna, wyglądał na trochę spasionego olbrzyma.

Miał na sobie tak samo jak i Fiecia zupełnie nowy watowany żakiet i wcisnięte spodnie w cholewy butów.

Bujne kasztanowe włosy spadały mu aż do ramion. Pełna gładko ogolona twarz z szerokim nosem i błyszczącymi oczyma, ostrzegała ze należy do ważnych osobistości.

Nie zdążył on jeszcze otrzepać się z kurzu, a głos jego lekko zachrypnięty odbił się echem o ściany kolejowej stacji.

-Co tu się dzieje! Co się dzieje! Dlaczego ci ludzie nie pracują? - wołał biegnąc w stronę robotników czekających na świeżą zaprawę.

Nie dobiegł jeszcze do nich, gdy naraz zauważył jak robotnikowi niosącemu cegły, jedna z nich spadła na ziemię.

Podbiegł do drabiny, unosił do góry połwę rozbitej cegły, zakrecił nad głową jakby chciał wycisnąć ją w stronę przestraszonego robotnika.

Z pomocą przybiegł Fiecia. Złapał go za reke.

-Towarzyszu Glinkow! Towarzyszu Glinkow! Boris! co wy robicie! To nie jego wina! Mamy liche trzymałki, No! No zobacz! Drabiny są za wąskie! Szerokich nie mamy- zatrzymał go.

Glinkow ze złością odrzucił na bok cegły. Głośno przeklinając splunął na bok i wskazał na czekających po cement w kolejce ludzi.

-A ci to co! Mają jakieś przywileje! Dlaczego oni nie pracują?

-Towarzyszu Glinkow! oni mają "zakurke"! Czekają na zaprawę! Zresztą oni pracuje na ilość. Dobrzy robotnicy. Zarabiają więcej niż norma! - odpowiedział ostro Fiecia.

Stanowczy głos Fiedi ochłodził Borisa od dalszych wybuchów.

Niezadowolony na twarzy krzyknął coś na woźnicę. Wyrwał z ręki podaną mu teczkę i skręcił w kierunku budynku.

Po drodze natknął się na siedzącego w kucki z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma Janka. Podszedł bliżej. Wydymając usta, czerwieniąc

sie na grubych policzkach krzyknal z calej sily.

-A ty! Co tu robisz!

-Prostuję gwozdzie.- Zapiszczał przestraszony Janek.

-Czy on też pracuje na ilosc? Zawołał do nadchodzącego Fiecia.

-Nie! To jest trudodniowka! Niedostarczyłeś gwozdzi! Chcesz zeby robota stanęła! Nie mamy nowych to stare musimy prostowac-
odpowiedział nerwowo Fiecia. Zaklął kilka razy i odszedł w kierunku drzwi do budynku.

Przez krotki moment Boris milczał. Nie widzac w pobliżu Fieci, odwrócił sie do Janka.

-Trudodniowka, ha! Słyszales! Gwozdzi potrzeba! A cos ty nazbierał! Trudodnowka! Jak ty mnie nie nazbierasz tego pudelka zanim ja nie odjadę! To! To! To! nie dostaniesz żryć! U nas kto nie pracuje to nie je! Rozumiesz!- przeklął kilka razy, kopna noga stojace mu na drodze wiadro i odszedł w strone budynku.

Na placu zrobiło sie cicho, tylko od czasu do czasu słychac było głośne przklenstwo i krzyk kierujacych budową ludzi.

Zmieszany, zaniepokojony zajściem Janek, zauwazył czekającego na cemēt Henryka. Podbiegł do niego i zapytał.

-Kto to jest? Czy pan go zna?

-Ty na niego uwazaj. Unikaj jak możesz. On należy do partii. Prawdziwy komunista. Podobno duzo ludzi skrzywdził. Głupi, bo nawet powszechnej szkoły nie skonczył. Ale komunista, rozumiesz? Dostarcza materiały i rządzi się ze nawet Fiecia go nie znosi. Podniosł do gory napełnione cementem wiadra.

-Zaraz! Zaraz panie Henryku, czy pan nie wie gdzie jest ubikacja?

-Ubikacja? No nie!- zasmiał sie bladyn.

-Latryna. Widzisz ten mostek.- wskazał głowa pozbijane do kupy drągi i deski nad głębokim rowem.

-Te trzy sciany co widzisz za rowem to latryna!- Zawołał wspinając się po drabinie do góry.

Janek zwawym krokiem przeszedł mostek. Wydeptana scieżka obszedł dookoła sciany i dostał się do środka.

Latryna, szeroka co najmniej na pięciu ludzi, zbita była z trzech ścian od strony stacji kolejowej. bez dachu, z grubym drewnianym drągiem od ściany do ściany nad głęboką jamą. Olbrzymia chmura much brzęczała dookoła.

-Tych to ja bym jemu nałapał, i to całe wiadro a nie pudełko.- odezwał się półgłosem sam do siebie.

Odganiając muchy od siebie, machnął ręką za blisko ściany i uderzył się o coś ostrego.

-Gwóźdź! Wystajacy gwóźdź.- zasyczał z bólu.

-Całe szczęście że nie rozciąłem sobie ręki.- szepnął oglądając uważnie dłoń.

-Dlaczego on tak wystaje?- zdziwił się przyglądając gwoździowi.

Naraz świetna myśl przyszła mu do głowy. Szybko pobiegł do pienka. Złapał wiadro, łom i w kilku sekundach znalazł się z powrotem w latrynie.

Uważnie powyciągał wszystkie wystające gwoździe. Pozostawił tylko kilka do trzymania ścian.

Z triumfalnym uśmiechem na twarzy zatrzymał się na mostku. Pozbawił go również kilkunastu gwoździ. Zadowolony z wyniku, przykucnął z boku pienka i zaczął je prostować.

-No! To, to lepiej- usłyszał głos Glikowa tuż nad swoją głową.

-Widzę, że znalazłeś trochę więcej gwoździ.- Cmoknął ustami i oblizując sobie wargi pokiwał głową.

-Ot! Zarobisz na miszkę zupy. Tak, tak, może zarobisz na jedzenie? Pamiętaj u nas kto nie pracuje ten nie je!

Głosne wołanie kucharza przerwało monolog. Janek widząc rosnącą kolejkę, wystrzelił jak z procy, pozostawiając za sobą zdumionego Borisa. Po chwili wszyscy robotnicy siedzieli w wielkiej ciszy zjadając chleb i popijając gorącą zupę szczy.

Głośny trzask przerwał ciszę. Trzy ściany latryny poleciały każda w inną stronę. Po lewej stronie z wyciągniętą ręką do góry balansowała się wielka postać Borisa, który przerażonymi oczyma patrzył za spadającym do jamy drakiem. Olbrzymie jego posiadki świeciły prosto w stronę kolejowej stacji.

Głośny wybuch śmiechu rozległ się dookoła. Powoli ginął w miarę jak Boris czerwieniał na twarzy. Naraz on szybko odskoczył od jamy. Naciągnął spodnie i wielkimi krokami ruszył w stronę mostku.

Z grupy jedzących ludzi wybiegł furman. Spotkał Borysa w środku mostka. Glinkow ze złością odepchnął go na bok. Słaby mostek tego nie wytrzymał i głośnym trzaskiem załamał się pod nimi.

Wśród nowego głośnego śmiechu robotników oboje znaleźli się w rowie pełnym brudnej wody z cementem.

Boris, machając z furjną rękoma jak wiatrakami, przeklinając głośno wdrapał się do połowy ostro wznoszącej się ściany rowu. Mokre ubranie, zabłocone ręce i śliska trawa zamieniły sytuację na gorszą. Z początku powoli a potem coraz to szybciej zjechał z powrotem do błota.

Głośne przekleństwa przerywane słowami "Ja go zabiję". "Ja go zabiję" uciszyły śmiechy. Ludzie powoli powrócili do swoich zajęć.

Do przestraszonego Janka podszedł Fiecia. ~~X~~ Spod zakietu wyciągnął pół bochenka chleba. Podał go Jankowi i uśmiechnął się.

-Uscisnął bym ciebie, No ale rozumiesz. Ta droga idzie na wschód. Kilka kilometrów dalej rozdziela się. Ta co idzie w prawo doprowadzi cie do Ivan Gorod. Z Bogiem!- szepnął cicho odwracając się do rowu.

Na rozkaz Fieci kilku ludzi pomogło Borysowi i furmanowi wydostać

sie z rowu.

Czerwony jak burak na twarzy Borys obiegł dookoła stacje. Szukał Janka. Nie widząc go nigdzie zatrzymał sie koło pieńka. Spożył na pudełko pełne gwozdzi. Przeklinając głośno kopnął pudełko, rozsypując gwozdzie po całym podworku.

Z początku Janek biegł nie ogladając sie do tyłu. Dopiero za rozchodzącymi sie drogami zwolnił. Zmęczony usiadł na trawie. Długo nie odpoczywał, zaledwie odsapnął, wstał i ruszył dalej.

Szedł, szedł i szedł. Monotonny krajobraz nie zmieniał sie zupełnie. Dookoła, od horyzontu do horyzontu nie widac było ani jednego drzewa, ani jednego domu. Widzał tylko jak wiatr tanczył z trawa. Kołysał nią, i falował po niej zielonymi odcieniami.

Kilka zajęcy wyskoczyło mu prosto spod nóg. Zmieniając co chwile kierunek pochowały sie w głębokiej trawie.

-Jak one potrafią sie schowac to i ja!- Odezwał sie półgłosem.

Odwrocił sie do tyłu. Budynki stacji kolejowej musiały pozostac daleko, daleko z tyłu. Nie widział już nic oprócz falujacej sie trawy.

Błękitne niebo nie miało na sobie ani jednej chmurki. Delikatny wiatr ochładzał swoim powiewem. Olbrzymia tarcza słońca dotknęła rąbka trawy na horyzacie, i jak w zaklętym bajce niebo pokryło sie tysiacami zloto czerwonych promieni.

W miare jak zanurzało sie w lśnaca trawie, kolory na niebie zmieniały sie na coraz to ciemniejsze, winne. A na koncu fioletowe i naraz zrobiło sie zupełnie ciemno.

Janek rozejrzal sie bojazliwie. Gdzieś z boku wypłynął jasny księżyc, i zajął miejsce wśród mrowia gwiazd.

Zmęczony, postanowił odpocząć. Dopiero teraz przypomniał sobie o chlebie. Wydostał go z kieszeni zakietu i podziwiając gwiazdziste niebo zabrał sie do jedzenia.

-Och! ten chleb smakuje o wiele lepiej niż najsmaczniejszy tort.-
pomyślał zadowolony. Na koncu uważnie językiem pozbierał najmniejsze
okruszynki pozostałe na dłoni i zakończywszy tak wspaniałą ucztę
ruszył w dalszą drogę.

Nagle znalazł się na ulicy pomiędzy budynkami Ivan Gorodu. Wioska
wyglądała jakby w niej nikt nie mieszkał. Mijał ciemne kontury chałup
nie widząc ani jednego promyka światła.

-Pomęczeni ludzie idą spać z kurami- mruknął sam do siebie.

Świecący, prawie nad jego głową księżyc szczerze oświecał
drogę, ułatwiając omijanie głębszych kolein.

Było bardzo późno, kiedy doszedł do pierwszych domów Obuchowki. Po
lewej stronie rozpoznał sklepowy budynek a po prawej minał wysoko
sterczące skrzydła wiatraka. Na koncu ulicy z radością doszedł do
płaskiego budynku Pietunów.

Cichutko otworzył drzwi, minał głośno chrapiących gospodarzy i
wslizgnął się do swojego pokoju.

XXII

Głośne narzekania Maszy obudziły Janka. W pokoju nie było nikogo.
Z myślą o jedzeniu ubrał się szybko.

-Napewno gniewa się, że zasnęłam- pomyślał wchodząc do kuchni.

-Przepraszam, że zasnęłam- usprawiedliwił się i usiadł cicho przy
stole. Poddenerwowana Masza nie usłyszała co Janek mówi. Ostro
obrzuciła go wzrokiem. Po chwili zatrzymała się przed nim i machając
rękoma, odezwała się swoim słabym głosem.

-Ach te złodzieje! Wczoraj zaniósłam dla nich jajka. Zapomniałam przy nich policzyć. Spieszyło mnie się. Rozumiesz! Spieszyło. A dzisiaj przysiali Wykiwajło z pretensją, że im za mało dostarczyłam!- westchnęła ciężko.

-Rozumiesz! Cały tuzin za mało! Cały tuzin brak. A ja wiem, że im zaniósłam całą kwotę! Bo i dla siebie nic nie zostawiłam. Więcej jajek nie mam! Kury jeszcze nie zdążyły znieść. One nie wiedzą że znoszą dla partii. Mówię, niech Wykiwajło powie kurom, że za mało znoszą. A on zasmiał się tylko. Dał mi czas do wieczora a potem kara. Ja im jajek nie zniosę! I co mam robić?- opuszcza ręce i usiadła ciężko na ławie.

-U nich to wszystko wyliczone. To daj! Tamo daj! Jak tu człowiek może żyć. A oni to tylko obiecują, że będzie lepiej. To wina kułaków że jeszcze nie tak dobrze! Ot i co! A gdzie są te kułaki? Narzekać nie wolno. Ja ci mówię że to oni sami tak chytrze człowieka kontrolują, że każdy z nas jest w strachu i głodzie. Bo nie wie co jutro przyniesie i co włoży do garnka. A kradną! Och jak oni potrafią krąść! i oszukiwać. A ty wiesz że oszukiwać i okradać biednego człowieka to straszne przekleństwo- złapała się rekoma za głowę.

-Masza! Dlaczego nie zapłacicie im za ten tuzin rublami? Zapytał Janek.

-Rublami nie wolno! Pieniądze są tylko na podatek. Dziesięć rubli od pokoju. Nam liczą za dwa, bo u nich kuchnia to też pokój. Zabierają od Pietuna zarobku dwadzieścia rubli rocznie, no i o wiele więcej na inne podatki. Ale tak jak mleko, czy jaja to za nie pieniędzy nie przyjmą. Czasami jak zabraknie to musimy porzyczać od innych.-

-Masza! to dlaczego nie kupicie do kogoś innego ten tuzin jajek?-
Zdziwił się Janek.

Gospodyni zerwała się z ławy. Przez chwilę patrzyła na Janka szeroko otwartymi oczyma. Przyjemny uśmiech ukazał się na jej twarzy.

-Janek! Ja ciebie bardzo proszę. Pojdz i kup dla mnie półtora tuzina

jajek. Ja wiem kto choduje wiecej kur niz mozna. Tylko nie mow ze ja ciebie poszalam. Dobrze?

Nie czekajac na Janka zgrade wyciagnęła z kufra małe pudełko. Odwrocila sie do niego tyłem i przez krotki czas mruczac cos pod nosem, szperała w pudełku.

-Po drugiej stronie ulicy, trzeci dom od mojego kuzyna, Pamietasz? U ktorego ty pracowales? Tak trzeci dom. Tam mieszka kobieta, ktora napewno sprzedac ci jaja. Ale targuj sie dobrze- podala Jankowi pięć rubli i szmaciany woreczek.

Po drodze przypomniał sobie Janek ze nie jadł sniadania. Słuchajac lamentowanie Maszy, zupełnie zapomniat o jedzeniu.

-Ach ten wstretny brzuch. Stale upomina sie o jedzenie i to tak nachalnie- odezwal sie słyszac jak cos zabulgotało w żołądku.

Odliczył trzeci dom od Maszy kuzyna chałupy i zastukał w drzwi. Starsza kobieta wysunęła głowe. Patrzac na niego uważnie zapytała co on chce.

-Mogła by pani sprzedac kilka jajek?- zapytal grzecznie.

Przez chwile stali w milczeniu. Kobieta rozejrzała sie po ulicy. Nie widzac nikogo wpuscila Janka do srodka

-Ty jestes Polakiem?

-Tak- odpowiedzial krotko.

-Ja moge sprzedac tobie tylko dwa tuziny. To wszystko co mam.-

Uśmiechnęła sie.

-Tobie policze tylko cztery ruble za tuzin! To bardzo tanio, Co?

-Tak to tanio. Tylko ze ja mam piec rubli, a to za malo na dwa tuziny.

Czy mogła by pani sprzedac osiemnascie za piec rubli?- zapytał

nieśmiało patrzac na kobiete, ktorej twarz zamienila sie na bardzo powazną.

Przez moment wazyła sobie cos w głowie. Naraz machnęła ręką.

Wyciągnęła z szafki na scianie pleciony koszyk pełen jaj.

-Masz do czego włożyć?- zapytała krótko.

-Mam- odpowiedział Janek podając jej woreczek.

Kobieta szybko odliczyła jajka włożyła je do worka i podała go Jankowi.

-Musisz to być twój szczęśliwy dzień. Tak tanio to nigdzie nie dostaniesz.

Schowała pieniądze do kieszeni ukrytąj w gęstych fałdach spodnicy. Sprawdziła czy nikogo nie ma na ulicy i wypuściła Janka.

Zadowolony z targu, pogwizdując wesoło wbiegł do mieszkania. Z dumą patrzac na Maszę podał woreczek.

-Równo pięć rubli!- Zawołał przyglądając się jak ona odwiązała worek.

-Osiemnastie za pięć rubli? Osiemnastie? Jęknęła Masza.

-Tak to bardzo tanio. Prawda? Ona chciała po cztery ruble za tuzin- odpowiedział Janek myśląc że go chwali.

-Janek! to prawie po trzydziści pięć kopiejek za jajko! Tydzień temu mój kuzyn kupował po dwadziści pięć kopiejek za jajko. Ola Boga! Co to będzie za miesiąc?- zapiszczała odkładając tuzin jajek z powrotem do worka.

Podała Jankowi kromkę chleba z kubkiem herbaty, a gdy zapytał się gdzie jest jego matka. Masza nie odpowiedziała. Przez dłuższy czas cnotziła nerwowo po kuchni jak by coś szukała i jak tylko Janek skoczył jesc, założyła chustkę na głowę, złapała za worek z jajkami i odwróciła się do Janka.

-Twoja matka u Julji. A ty słuchaj! Po całym dniu pracy wracasz z wywieszonym językiem do domu, i musisz być zadowolony że zarobiles na dwa tuziny jajek. I to ma być lepiej niż za cara! Ha!

Zdziwiony zachowaniem się Maszy, Janek wyszedł na dwór. Od sąsiada Pietrowa Gorodoj u którego mieszkali Julja z Frankiem, dowiedział się

ze Klaudja z Julją poszły do znajomych na drugi koniec wioski, a Sławek bawi się u nowego kolegi z Grodna.

-Ciesz się zanim ciebie nie zapiszą do kołchozu i zagonia do pracy-
zawołał Pietrov oddalając się prędko w stronę stajni.

Zamyslony o wszystkim co zobaczył i usłyszał, nie zauważył nadchodzącego Franka. Dopiero jego głos, ocknął go z zamyslenia.

-Janek! Janek! Ja ciebie szukam i szukam! Gdzie ty się chowasz? Ja znalazłem dla nas robote! A tu ciebie nie mogę znaleźć!-

-Prace! Ja mam pracy po same uszy! Czy ty wiesz że jak nas zapiszą do kołchozu to wpadniemy jak śliwka w kompot!- odpowiedział nerwowo Janek.

-Ja tobie do kolchozu zapisywać się nie radzę- zdziwił się Franek.

-Kilka dni temu Łapałeś co się tylko dało. a teraz nie chcesz pracować? Zresztą, ta robota o której mówię, jest bardzo Łatwa, i z dobrą zapłatą. tylko musimy trzymać język za zębami!

-Łatwa robota? Dobra zapłata?- zainteresował się Janek.

-Tak! ale musisz mnie przyrzec że nikomu o tym nie powiesz! Zgoda!

-Zgoda! Zgoda! Przyrzekam że nikomu nie powiem- zgodził się Janek.

Zadowolony Franek, upewnił się że są sami i nikt ich nie usłyszy. Usiadł na pienku i poważnie spożył na Janka.

-Tu jedna kobieta utuczyła prosiaka. w wielkiej tajemnicy! Prosiła mnie żeby znaleźć kogoś do pomocy i zabić prosiaka. Dobrze zapłaci rublówkami.

-Franek! Dlaczego jej mąż tego nie robi? Ja muszę pilnować dom. Pietun, Masza i Toni mają gdzieś jechać- starał się wykreć.

-On za stary! potrzebuje pomocy. On mnie mówił jak to się robi. Ty i on będziecie trzymali swiniaka a ja wymacam gdzie jest serce, przyłożę nóż i z całej siły rąbnę kułakiem w rączkę noża. Robota skończona!- poklepał Janka po ramieniu.

-No, no dobrze, a kiedy mamy to robic?

-Teraz! zaraz! Zanim ludzie nie wroca z pracy. Dlatego ciebie tak
wskazywam.

-Czy mozemy to zrobic jutro?- odezwał sie z niechecia Janek.

-Janek! Nie odkładaj do jutra co mozna zrobic dzisiaj! Zresztą! Oni na nas czekają. O nikim innym nie chcą słyszec. Ty i ja, Stary tylko nam wierzy.- starał sie go namowic.

-No dobrze.-zgodził sie Janek i podążył za Frankiem. Po kilku minutach doszli do mizernej chałupki na ulicy Stalina. Starsza kobieta wpuszcila ich do srodka, i zaprowadzila do małego pokoiku pomiedzy sionką a stodołą.

Na srodku pokoju stał malenki stół, z boku pod sciana dwie ławy, nad ktorymi wisialy dwie drewniane półki, załadowane pustymi butelkami od wodka. W kącie przy wyczyszczonej do połysku beczce, leżało kilka worków od kartofli a na nich błyszczal ostro zakończony nóż.

Przygarbiony wiekiem mężczyzna z nieźniew starą fajką w ustach siedzial na jednej z ław. Z nieukrytą ciekawością przyjął się chłopcom. Pokiwal głowa, wyjął z ust fajke napełnił ją tabaką z czarnego worka. Zawiazal uważnie worek i schował go do kieszeni.

Kobieta zaslonila szmatą okno od strony sasiada i dala reka Jankowi znak, zeby poszedł za nia. Na samym koncu stodoły odrzucila kilka wiązek suchego piołunu.

-Ty pilnuj tego wejścia. Nie wypuść go na dwor!- wskazała niewielkie wycięcie w scianie. I jak tylko Janek stanął przy wycięciu, kobieta otworzyła malenkie drzwiczki i wypuszcila sporego wieprzaka.

-Uważaj! Uważaj!- zawołała podsuwajac wieprzakowi garnek z jedzeniem pod nos.

-Kuji! Kuji! Kuji! Chodz tutaj, Chodz za mna- mowiła pieszczotliwie i uważnie zaczęła cofac sie do tyłu. Powoli krok za krokiem weszli do

przygotowanego pokoju.

Janek predko zamknął za sobą drzwi i przygladając się z nie smakiem temu pochodowi, cichutko usiadł na ławie.

Starszemu mężczyźnie zabłyśły oczy. Z wielkim entuzjazmem zaczął opowiadać jak to on w młodym wieku zabijał wieprze.

Kobieta zostawiając garnek przy drzwiach usiadła z boku. Otarła spocone czoło i poklepała męża po ramieniu.

-Tak to były dobre czasy, bardzo dobre czasy- westchnęła głęboko.

Według wskazówek gospodarza Franek z Jankiem ostrożnie zbliżyli się do swini. Zarzucili jej worek na głowę i po krótkiej walce, udało im się przewrócić ją na bok.

Janek umieścił się na szynce i złapał mocno obydwoma rękoma za tylne nogi. Franek wymacał palcami miejsce i przyłożył nóż do boku prosiaka i spojrzał na staruszkę. Kiwniecie jego głowy z delikatnym uśmiechem dodały odwagi.

Franek uniosł prawa reke do góry i otwartą dłoń uderzył z całej siły w drewnianą rączkę noża.

Przerażliwy pisk wypełnił pokój. Raptownie odrzucony Janek wywindował przy drzwiach. Oszołomiony Franek znalazł się pod stołem. Zraniony prosiak zrzucił przykrycie z głowy i przyskajac kwią zaczął biegać dookoła stołu. Stary gospodarz podstawiając co chwilę do boku biegnącego prosiaka kubek, starał się złapać trochę tryskającej krwi.

Kobieta złapała się obydwoma rękoma za głowę i głośno lametując wzięła na ławę. Przerażone jej oczy wodziły za biegającym prosiakiem.

Otrzeźwiony coś nie coś Janek zauważył stojącą w kącie siekierę. Prędko złapał za nią i odwracając płaską stroną uniosł do góry. Zamachnął się i rąbnął w głowę nadbiegającej swini.

W pokoju nastąpiła smiertelna cisza. Pierwszy przerwał ją staruszek. Dobiegł do swini, i narzekając że zgubiła dużo krwi dopchnął nóż do

konca. Po chwili go wyciągnął i napełnił kubek krwia. Wyprostował się i cmokając głośno wypił cała jego zawartość. Ocierając rekawem usta zapytał, czy który z chłopców pragnie się napić. Usłyszawszy odmowę, zdziwił się.

-Za moich młodych czasów nikt by tego nie odmówił. To! To jest najzdrowsza rzecz!- pokiwał głową i zabrał się do drugiego kubka.

Podenerwowana jeszcze kobieta zeskoczyła z ławki i objęła komendę.

-Ty tak dużo nie pij! Zostaw coś nie coś na smarzenie.- krzyknęła głośno na męża.

-A wy podnieście prosiaka za nogi do góry!- pogoniła chłopców do roboty. Sama wzięła do ręki gruby patyk z okreconymi szmatami na koncu. Zamoczyła szmaty w nafcie i podpaliła.

Palące się łuczywo podłożyła pod podniesionego do góry prosiaka. Śmierdzący dym spalonej sierści wypełnił pokój. Kilka razy staruszek musiał otwierać drzwi, żeby można było oddychać.

Dobrze opalonego swiniaka położyli na stole. Dalszą robotą zajęła się gospodyni. Staruszek zaprowadził chłopców do studni, gdzie umyli się i oczyszcili z krwi. Po oczyszczeniu wrócili z powrotem do kuchni.

Przyjemny zapach zakreślił im w nosach wywołując potężny ból głodnego żołądka. Na wielkiej patelni smażyły się kawałki słoniny.

Widząc wchodzących chłopców, kobieta wylała na zarumienione skwarki cały kubek krwi.

-To dla was! Zaspokoic wasze głodne brzuchy- zamieszała i postawiła parującą patelnię na koncu stołu. Mężczyzna przynosił bochenek chleba. Odciął kilka kromek i usiadł na ławie. Gospodyni nałożyła na każdą kromkę chleba zapiekana ze skwarkami krew i podała je uważnie, każdemu z osobna.

Jak i Frankowi tak i Jankowi smazona krew na skwarkach smakowała wysmienicie. Po kilku kromkach chleba, najedzeni po same uszy,

z podziwem przygladali sie jak stary gospodarz jeszcze jadł, jadł i jadł. Na koncu ostatnim kawałkiem chleba czysciutko wytarł patelnie i spożył na chłopców.

-Trzy lata temu mielismy taka uczte. W tym roku nawet gorzałki nie mogłem dostac. Człowiek robi sie starszy to i trudniej zyc na tym świecie.

-Skad wycie dostali takiego prosiaka?- zapytał Janek.

-Skad! Kupilismy od jednego goscia co pracuje przy swiniach. Oni to tobie sprzedadza. Ale tylko malego i to w wielkiej tajemnicy. Ten to był taki malenki ze musielismy karmic go butelka. A oni w kolchozie zameldowali ze porwały go wilki.

-Wilki! Wilki! Wy tu macie wilki?- zawołał Janek.

-O tak! I to wielkie bestie. Kilka razy porwały cielaka. Rok temu, pilnujacy chlopak zasnął, a one pogoniły cielaka w stepy. I tam go wykonczyły. Widzisz! Nam nie wolno miec zadnej broni, no to one mnozą się i kradną co im na drodze. W nocy kury jak ich, nie zamkniesz.

-A ludzi?- zapytał Janek z mysla o ostatniej nocy na stepach. Nie miał nawet patyka do obrony, wzdrygnął sie.

- Ludzi to jeszcze nie słyszałem zeby ruszyli. Moze w zimie jak niepaja co jesc to zaatakują, Ale latem to nie słyszałem.-

Rozmowe przerwała kobieta wołając do pomocy. Beczulke w której grubo obsypane solą, ciasno ułożone kawałki mięsa i słoniny wstawili do głębokiej jamy w rogu przy drzwiach. Z boku beczki poustawiali kilka garnkow z porąbanymi kośćmi. Zasłonili denkiem beczkę i szmatami ródle. Na górę jamy położyli zbite do kupy deski, wyniesli stół do kuchni i zamietli pokoj. Piaskiem i kawałkami ziemi zasypali deski zakrywajace jame i robota była zakonczona.

Zadowoleni staruszkowie, dali im po piec rubli i obiecali ze jak tylko wychodują następnego swiniaka, to napewno zawołają ich do pomocy.

Zaraz za drzwiami wesolo mruzcac cos pod nosem Franek szturchnal Janka.

-Nie mowiłem ci. Łatwa była robota, co? Ale oni chowaja sie ze wszystkim! Czy ty wiesz, że nawet jakby ktoś obcy znalazł sie w tym pokoju, to niewiedziałyby gdzie jest schowana beczka.

-Tak, dobrze schowana- zgodził sie Janek.

-Ale dlaczego jej nie ogłuszyłeś przed zabiciem?

-No bo tak chcial stary! Podobno krew lepiej smakuje. Widziałeś jak ją dudził! Mówił mi, że to bardzo zdrowo.

-Zdrowo, czy nie, ja bym nie mógł jej przełknac. Ale smażona to nie wiedziałem ze jest taka smaczna.

Pożegnał Franka i skręcił na Pietuna działkę. W domu zastał wielki popłoch. Przestraszona matka przywitała go zapytaniem czy nie widział Sławka.

-Mówił mnie Pietrov Gorodoj ze Sławek bawi sie z nowym kolega z Grodna- zdziwił sie Janek.

-Tak bawił sie z synem pani Witkowskiej. Nie wiemy tylko gdzie! Przeszukalismy wszedzie i nigdzie ich nie ma. Znikneli jak kamfora.- mowila poddenerwowana.

-Moze wpadli do studni! Albo wilki ich porwały!- lamentowała prawie płaczac.

-Najpewno bawia sie z kolegami gdzies po długiej stronie wioski, albo dołączyli sie do robotnikow pracujacych na polu. Niech mama sie tak nie denerwuje. Ja pojde razem z Frankiem i prześzukamy drugo strone wioski- staral sie ja uspokoic.

Razem z Frankiem oblecieli obie ulice. Zaglądali do wszystkich znanych im Polakow. Przeszukali budynek szkolny, zajęeli do stajni i zamienionej na sale publiczna, cerkwi. Pytali sie sklepikarza i sanitariusza, ale Sławka z Gienkiem nikt nie widział.

Po szóstej wieczorem kolchoznicy zaczęli wracać do domów. Ale ani pomiędzy idącymi, ani jadącymi na furmankach chłopców nie było.

Zmęczony Janek usiadł na pienku. Nieprzyjemne myśli cisnęły się do głowy.

-Może zabłądzili na stepach? Może matka ma rację i przez nieuwagę wpadli do studni. Mówiłem mu tyle razy trzymać się z daleka od studni! - denerwował się coraz bardziej. Przyjście Julji oderwało go od nieprzyjemnych myśli.

-Ja byłem u naczelnika wioski - odezwała się złamanym głosem.

-Widocznie był pijany? Bo skoczył na mnie.

-Co! ludzie są po pracy, pomeczeni i nie będą szukali polskich burżujów dzieci! Tak jak ich wychowałeś takich masz! Może uciekli z domu!

Kazał mnie wynosić się z biura. No co miałam robić - załamała ręce.

-Uciekac to nie uciekli - zachnęła się Klaudja.

-Na tyle to już go znam - dodała cicho.

Janek wstał z pienia i doszedł do końca zaoranego pola i znowu różne myśli zaczęły cisnąć mu się do głowy.

-Musiało się im wydarzyć coś bardzo poważnego. Stracili orientację i zabłądzili. Do szukania na stepach potrzeba dużej grupy ludzi no i przypuszczalny kierunek. Niestety żaden z sąsiadów nie widział w którą stronę oni poszli. Co tu robić? - rozmyślał.

Pietun z żoną i Tonim, zostawili im bochenek chleba, zupę w garku i wyjechali do drugiej wioski. Mieli wrócić późno wieczorem.

-Ah! Teraz to tak by się oni przydali, specjalnie ten strasznie wyglądający kon. Na koniu można było objechać kawał stepu - szepnął cicho.

Na dworze zrobiło się zupełnie ciemno. Księżyc jeszcze nie było tylko gwiazdy mrugały coraz to mocniejszym światłem.

Z daleka na północy zauważył jakieś nowe błyski. Zdziwił się.

-Dlażego poprzedniej nocy księżyc wypłynął po drugiej stronie i nie był taki mocny.

-Widzisz to światło?- usłyszał za sobą głos matki.

-Tak! Co to jest?- zapytał cicho.

-Zorza polarna- odpowiedziała podchodząc bliżej.

Janek uczył jak coś dusi go za gardło. Czuł się poprostu bezradny. Nie wiedział jak na matce dopomóc.

-Co zrobić? Gdzie jest Sławek. Co się z nim mogło stać?

Starał się opanować. Zaczął chodzić w koło zagłębiając się coraz bardziej w gęsta trawę stepu. Co pewien czas zatrzymywał się i przyglądał coraz to jasniejszym, promieniom zorzy polarnej.

Wychodziły one z jednego miejsca i pulsowały jasnosrebrnymi kolorami, Podobne czasami do dalekich, nieprzerwanych na niebie błyskawic.

Zimny dreszcz przeszedł po jego ciele. Na tle zorzy polarnej zauważył jakieś cienie. Zatrzymał się. Cienie rosły malały zmieniając swój kształt. Po chwili zmieniły się wyraźnie na trzy kształty rosnące w oczach.

-Wilki!- zawołał cicho i wytężył, jak tylko mógł swoje oczy, starając się przebić ciemność nocy. Tajemnicze cienie powoli przybrały kształt ludzki.

-Tam ktoś idzie! Daleko na stepie Ktoś idzie!- zawołał głośno do tyłu.

-Tak! Tak!- usłyszał głos nadbiegającej Matki.

Za Klaudją ukazała się nieznana Jankowi kobieta.

-Troje ludzi jeden duży a dwóch małych- odezwała się z niedowiarą.

-Panie Janie nich pan zapali lampę naftową żeby wiedzieli gdzie mają iść. Żeby nie omineli wioski!- podała Jankowi lampę i zasłaniając od wiatru pomogła ją zapalić.

Janek zakrecił lampą kilka razy. Jak na komedę postacie ^kśreśliły

prosto w kierunku światła. Nadzieja wypełniła wszystkie serca i zamieniła się w szaloną radość^{na} (widok Sławka, Gienka i jakiegoś starszego mężczyznę).

Kobiety z płaczem wybiegły na spotkanie. Obejmując dzieci, pociągając nosami i wycierając zażwawione oczy, pytały się na przemian gdzie oni byli i co oni robili tak późno na stepie?

Na podwórku Kobieta zabrała od Janka lampe. Przy jej świetle zerknęła na mężczyznę. Wielkie zdumienie wyryło się na jej twarzy. -Pan Wrublewski? A co pan tu robi?- zawołała głośno.

-Pani Witkowska! Niech pani się nie martwi. Nic się nie stało! Wszyscy zdrowi i cali- odezwał się mężczyzna, ciężko oddychając ze zmęczenia.

Dopiero w mieszkaniu, przy kawałku chleba z herbatą, Sławek z Gienkiem na zmianę, zaczęli opowiadać co się stało.

-Mysmy szukali królowej komarów! Zawołał Gieniek.

-Tak! Tak! Jak byśmy ją znaleźli i zabili, toby na świecie zrobiło się o wiele lepiej i napewno moglibyśmy wrócić do Polski- przerwał mu Sławek.

-Zabilismy kilku jej wartowników. No! Wiecie, takich olbrzymich komarów. Takich jak dwie pięści złożone razem- Gieniek złożył kułaki razem. Siedzacy z boku Sławek potrząsnął przecząco głową.

-Gieniek! One były o wiele większe.

-No tak! Może trochę większe, ale Gryszka mówił nam, że ta królowa mieszka nie daleko na stepie. Musielismy być bardzo blisko tej królowej bo tak się przestraszyła że zasłoniła nam wioskę.

-Tak! Tak! Patrzymy i patrzymy a tu dookoła tylko trawa. trawa i trawa jak okiem sięgnąć trawa!- Sławek zrobił reka wielkie koło.

-Ja chciałem iść w lewo, Ale Sławek postanowił iść w prawo.

-Poczekaj! Niech ja dokonczę- zatrzymał go Sławek.

-No tak w prawo bo prawa reka się żegna. Idziemy, idziemy ale wioski

nie widac. Chcielibyśmy zakręcić jeszcze raz w prawo, ale Gieniek zauważył na horyz^{on}cie dym. A potem zobaczyliśmy wioske.

-Tak! Ale ona nie była podobna do naszej!- zaśmiał się Gieniek.

-No tak!- dołączył się do rozmowy coś nie coś wypoczęty Zygmunt.

-Ja zbierałem kiziaki. Patrzę i oczom nie wierze ze stepu wyłażą dwa takie szkraby! Po prostu z trawy. Pytam się skąd przyszli? A oni nic tylko proszą o wskazanie drogi do Obuchówki. Z początku chciałem ich zabrac do domu, nakarmić, żeby odpoczęli a na drugi dzień odprowadzić. Ale! gdzie tam!- otarł spocone czoło.

-Specjalnie pani syn!- wskazał reka Sławka.

-Nie chciałem ustąpić. Mówi, że tu nie mają telefonów, i nie ma jak zawiadomić rodziców że są w Ian Gorodzie i będą się martwić o nas. Powtarzał w kółko, że musiałem zostawić kiziaki, znaleźć drogę i ruszyliśmy w stronę waszej wioski. Idiemy! Idziemy, a droga nie ma końca! Myślałem że przez pomyłkę, wziąłem drogę do Kiriskiej wioski. Niby to trzy dni wołami. A tu robi się ciemno. Zorza polarna i gwiazdy oświeciły drogę. Naraz zauważyłem że ktos machał światłem. No to zeszlismy z drogi, i przez step prosto w tą stronę. No i jesteśmy tutaj- odetchnął z zadowoleniem.

Pani Witkowska cieszyła się i płakała. Co chwile przytulała Gienka szaptając coś pod nosem. Klaudja z Julja zarzuciły Zygmunta pytaniami o wspólnych znajomych. Gdzie są? Co robią? Jak im się powodzi?

Dowiedziały się, że jest bardzo ciężko, ale Polacy dają sobie radę. Wymieniają przywiezione z Polski rzeczy na jedzenie. A pracują tak jak i w Obuchowce przeważnie dla kołchozników, bo dostać robotę w kołchozie jest bardzo trudno. Iwan Gorod nie jest wielką wioską. Ale, największy kłopot to mamy z mieszkaniami.

-Och! Z mieszkaniami!- przerwała mu Klaudja.

-Janek! Sławek! Hutnikowa i ja znaleźliśmy pokój, z piecem i z kuchnią

co ma fajerki. Słyszycie: Ma fajerki!

-Pani Klaudja szuka pokoju już od trzech miesięcy! wytłumaczyła Julja.

-Umowa z gospodarzami konczy się i nie mają gdzie się przenieść. U nas też kłopoty z mieszkaniami pani Zygmuncie-odezwała się Witkowska- Ale my musimy już iść. Pan Zygmunt i dzieci są bardzo pomęczeni. U naszego gospodarza jest miejsce do przespania. Ja go poproszę. Na pewno się zgodzi- pomogła Gienkowi podnieść się z ławy i podążyła za Julją.

XXIII

-Pokój z kuchnią z fajerkami? Gdzie mama go znalazła?- Ucieszył się Janek.

-Tak! Tak! Będziemy gotować na zmianę z Heleną. Ona potrafi gotować. No i z jedzeniem będzie łatwiej- tłumaczyła Klaudja.

-No nareszcie będziemy mieli coś innego do jedzenia zamiast tej zupy szczy.- Odezwał się zmęczonym głosem Sławek.

-To prawda, żeby to jeszcze ona gotowała co trzeci dzień a nie raz w tygodniu. Pod koniec tygodnia to ja myślałem że jem jakąś kwasotę, a nie zupę szczy- zaśmiał się Janek.

-Mamo? Gdzie my się przenosimy?- zapytał głośno ziewając Sławek.

-Niedaleko stąd. U Soni Gierka. Dom z drewnianą podłogą. Będziemy mieszkali razem z Hutnikową. Pokój niewielki, ale razem będzie nam łatwiej przetrwać zimą. Czy wy wiecie jak to się stało?- zapytała. Pomogła Sławkowi wleść za piec i mówiła dalej.

-Tęgo samego dnia co nas przywiezli. Pierwszego maja maż jej, to jest Soni upił się i podczas sprzeczki z kuzynem wymusnęło mu się coś na temat partii. Ktoś z boku usłyszał i na drugi dzień zawołali go do

do kancelarii, stamtąd prosto do więzienia. Niby to, że za pijanstwo. Dostał dwa lata więzienia. -

-Az dwa lata! Za pijanstwo?- zdziwił się Janek.

-Tak dwa lata. Helena poznała Sonie u Nadzi Rubanow. kupowała tam chleb. No i słowo do słowa dogadały się.

-W sam czas, Mama wie! Umowa konczy się za tydzień- odezwał się Janek.

-A skąd ty to wiesz?- spojrzała na Janka.

-Pietun mi powiedział. Dzisiaj z rana, Jak oznajmiłem mu że nie dostałem pracy przy budowie stacji kolejowej. I to z niezadowoleniem powiedział do mnie że jak nie znajdziemy innego pokoju, to będzie nam liczył po dwadzieścia pięć rubli miesięcznie i nie pozwoli nam używać kuchni.

-No widzisz! A tu Sonia z dwójg~~iem~~ dziećmi, bez męża nie daje sobie rady. Musi wynająć ten pokój. ona potrzebuje dwadzieścia pięć rubli miesięcznie na machorkę dla męża w więzieniu no i inne wydatki. Dla Heleny to jest za drogo. Wiedząc że i my szukamy innego miejsca zaproponowała podzielić się z nami. Z jedzeniem i mieszkaniem. Razem będzie nam o wiele łatwiej. Helena za siebie i za dziewczynki zapłaci dziesięć rubli a my piętnaście. Pięć rubli od osoby- westchnęła ciężko.

-Hej Sławek, ty jesteś wliczony do dorosłych!- zasmiał się Janek. Słyszac ciche chrapanie w odpowiedzi przykręcił knot naftowej lampy i przykładając dłoń do szkła, zdmuchnął płomień.

Następnego dnia z samego rana Sławek z Jankem pobiegli zobaczyć pokój w którym mieli spędzić zimę. Dom zbudowany był z takich samych cegieł jak i u Pietuna, które widac było w kilku miejscach, na samym dole stodoły połączonej z domem. Reszta ścian pokryta była warstwą gliny zmieszanej z jakimś nawozem. Wysoki, spiczasty słomiany dach pokryty był grubą warstwą gliny mieszanej z konńskim nawozem.

Do srodka wchodziło sie przez sionke do kuchni. Duzy ten pokoj z wielkim piecem do pieczenia chleba, zajmowała Sonia z dziecmi. Na przeciwko wejścia do kuchni szerokie drzwi prowadziły do wynajetego przez nich pokoju.

Był on troche mniejszy od kuchennego. Po lewej stronie zaraz przy wejściu ponizej wielkiego otworu pieca do pieczenia chleba, przykrytego blaszanym półkolem, dołączona do pieca, malenka kuchenka, miała wyciete dwie dziury przykryte fajerkami i ponizej dwiczkami do paleniska.

Za piecem pomieszczenie wielkosc podwojnego łóżka. Naprzeciwko przy scianie stały dwa żelazne łóżka, Jedno podwojne a drugie wąskie pojedyncze. Po prawej stronie przy dwóch niewielkich oknach stał mały, drewniany stół z ławami po obydwu stronach.

-Janek! Drewniana podłoga!- ucieszył sie Sławek.

-Nareszcie nie bede potrzebował stawać z rana na zimną i mokrą ziemie- wzdrygnął sie i wybiegł do kuchni, gdzie matka rozmawiała z Sonia.

Do pokoju weszła Helena. a za nia dziewczynki. Przywitała Janka i zaczęła rozkładać swoje rzeczy. Ułożyła posciel na dobrze wypchanych słomą siennikach i posadziła na niej dziewczynki.

-Jak ci sie podoba to nowe mieszkanie?- zapytała Janka

-O, bardzo! tu to przynajmniej mamy dobry dach i sufit, a u Pietuna to były patyki jak w szałasie. Podczas burzy to nie mogłem znaleźć suchego miejsca. Wszedzie kapało. A jak nie kapało to lało! Podłoga zamieniała sie w błoto- zasmiał sie wesoło.

-My tez mieszkaliśmy pod takim sufitem. Dobrze ze miałam dwie parasolki. Zamiast podłogi to ubita twardo ziemia! W dodatku było nas dwanastie w pokoju. To było stanowczo za ciasno. O! Słyszysz głos twojej matki!. Napewno rozmawia z Sonia. Musze o cos sie ich zapytać!

Zostawiła bawiące się dziewczynki i wyszła do drugiego pokoju. Janek podążył za nią.

Klaudja płaciła Soni za pierwszy miesiąc. Postanowiła natychmiast przenieść się na nowe miejsce. Do pomocy dołączył się Franek. Wesoły z natury zaczął śpiewać.

"Góralu czy ci nie żal, opuszczać ten pokój cienisty." Janek ze Sławkiem wybuchł^{ns} śmiechem. Pakując swoje manatki dołączyli się do kołomyjki, którą Franek najlepiej lubił się popisywać.

"Podkóweczki dajcie ognia, bo dziewczyna tego godna." Z boku dopomagał Sławek. "Dzis, dzis, dzis." Powtarzał jak najgrubszym głosem.

-Hej!- przerywa Franek.

-Ja nauczyłem się kilka piosenek rosyjskich.

-Ja też! Ja też!- chwali się Sławek.

-A jaka ty umiesz?- zdziwił się Janek.

-Tę co śpiewał Toni! "Try tankisty" Zapiszczał Sławek.

-Propaganda! Mruknął Franek.

-Ale ja lubię tę co śpiewała Nadia. Nie dawał za wygrane Sławek.

-Jaluszko! Zaczęj śpiewać. Widząc przygladających mu się Frankowi i Jankowi, poczerwieniał na twarzy i schował się za łóżko.

-Dlaczego to łóżko stoi tak daleko od ściany?- zdziwił się Franek.

-Pamiętasz tą burzę kilka dni temu! To tu wszędzie kapało. Nie mogłem znaleźć suchego miejsca. Jak nie na nos, to na nogi. I to żeby kapało, ale tam pod ścianą to lało ciurkiem- spojrzał z niechęcią na dziurawy sufit.

-Mysmy spali pod parasolką!- zawołał siedzący za łóżkiem Sławek.

-Pod parasolka?- zdziwił się Franek.

-Franek! Przecież pieca nie przesuniesz!- zaśmiał się Janek.

Sławek wyszedł z za łóżka i zaczął wkładać swoje zabawki do

walizki.

-Czy ty znasz inne jeszcze piosenki?- Zapytał cichym głosem.

-O tak! szkoda że nie przyniosłem z sobą bałałajki.

-Ty umiesz grać na bałałajce?- zapytali równocześnie.

-No trochę! Gospodarz Pietrov nauczył mnie brzdąkać kilka piosenek. Chwalił się, zadowolony że wywarł na nich tak wielkie wrażenie.

-Ja myślę że to wszystko. Janek zamknął walizkę i odstawił na bok.

-Świetnie!- odpowiedział Franek. Klasnął głośno w dłonie i zaczął śpiewać.

"Ruki wymyju i bierzu knie mu." Nie zdążył skonczyć słowa jak w otwartych drzwiach ukazała się blada twarz Toniego.

-Janek! Franek! U nas tego nie wolno śpiewać. Jak was ktoś usłyszy to pojdziecie do więzienia.-

-Toni! Ty chyba zartujesz. Co to! Nie wolno nawet śpiewać?- przerwał mu Janek.

-Toni! U nas wszystkie piosenki można było śpiewać, z wyjątkiem może tylko plugawych! Ale za to nie karali, tylko kobiety by ciebie zakrakały. Ale w tej nie ma żadnego brudnego słowa!- zdziwił się Franek

Ale Toni nie zartował. Patrząc na Janka odezwał się twardym tonem głośno.

-Ja jestem konsomolcem. Musiał bym to donieść. Janek nie pytaj się za dużo. Może w Polsce mogliście śpiewać co się wam podoba, ale tutaj dla dobrej partii i pracującej klasy niektóre piosenki są zabronione. Rozumiesz! Tej piosenkę śpiewać nie wolno. I nie pytaj dlaczego! Nie czekając na Janka odpowiedź opuścił pokój.

Za nim drobnymi podskokami garbiąc się i zatykając uszy podążył Sławek. Franek spojrzał figlarnie na Janka, zarzucił na plecy zawiniętą w koc pościel i małpując Sławka opuścił mieszkanie.

Z głębokim westchnieniem, Janek podniósł ostatnie walizki. Dla pewności czy nic nie zapomniał rozejrzał się uważnie po pokoju i wszedł

do kuchni. Na koncu Ławy zobaczył siedzącego ze smutną miną Toniego. Janek zatrzymał się. Postawił na ziemię walizki.

-Toni nie gniewaj się na nas. My nic złego nie chcemy zrobić. Prawde mówiąc to jeszcze nie wiemy co można, a co nie można. Zreszta to nie ważne. Ja muszę podziękować tobie za tyle pomocy. Daleko nie odchodzimy, tylko na drugą stronę ulicy. Bedziemy się jeszcze nie raz widzieli. No! do zobaczenia!- wyciągnął rękę.

Zdumiony Toni spojrzał na Janka. Bezwiednie podał mu rękę. Nie wiedząc co ma odpowiedzieć mruknął coś niezrozumiałego pod nosem i patrzył jak ten młody pełen energii i zaciętości Polak z uśmiechem na twarzy opuścił ich dom.

XXIV

Na warunki, w których się znajdowali, pokój był luksusem. Miał dwa okna z całymi szybami. Pomalowany wapnem sufit i ściany, przypominały mieszkania pozostawione daleko w przeszłości niknącego czasu.

Pomimo trzech dorosłych i trojga dzieci w pokoju nie odczuwało się braku miejsca. Niestety, ale nowe kłopoty spadły na ich ramiona.

Tak bardzo pożądany piec zaczął dawać się we znaki. Łakomy pożerał wszystko, co się tylko do niego włożyło.

Przerażone oczy Sławka, wodziły znikające w piecu kiziki.
-One jeszcze nie wyschły! A on już je pożarł- wołał rozpaczony.
-Nie martw się Sławku, nie martw, jeszcze kilka kiziaków i zupa będzie gotowa- pocieszała go Helena, sama nie wiedząc jak ma powstrzymać ten piec od takiej żarłoczności.

Po kilka razy dziennie zarzucał sobie worek na plecy i kierował się w stronę opuszczonego przez krowy pastwiska.

Po poważnej dyskusji podczas jedzenia, wszyscy razem nie wyłączając córek Heleny, Kasi i Stasi, poszli zbierać kiziaki. Dziewczynki za każdym podniesionym kiziakiem pytały się dlaczego te krowy gubią takie mizerne placki.

Po kilku dniach wspólnego wysiłku, spora kupa kiziaków leżała przy scianie domu.

Wracający z workiem na plecach Janek, skrocił sobie drogę do domu idąc miedzą pomiędzy działkami kołchozników. Na działce Soni niedaleko obory natknął się na głęboką jamę wypełnioną słomą i gesto pokrytą wielkimi palckami tak bardzo pożądanego paliwa.

Wiedząc jak bardzo urodzajna jest tu ziemia, nie mógł się pogodzić z myślą że użyją te wspaniałe kiziki na nawóz.

Wysypał swoją mizerotę pod scianę i spożył na stojącą przy studni gospodynię domu Sonie Gierka.

Mocno zbudowana, średniego wzrostu kobieta o bardzo zniszczonej troskami i kłopotami twarzy. Skromnie ubrana w długą szarą do kostek spódnice i tego samego koloru bluzkę, tak jak i reszta kobiet w wiosce, miała włosy przykryte ciemno-kolorową chustą. Z ciekawością w swoich brązowych oczach przyglądała się co robi Janek.

-Sonia czy ten nawóz wystarczy ci na ten duży kawał ziemi?- zapytał dyplomatycznie.

-Wystarczy? Co?- zdziwiła się patrząc na niego.

-No ta słoma! W tej jamie, do której dokładasz takie piękne kiziaki.

-Na ziemi? O nie! To nie jest na rolę- odpowiedziała szorstko. Widząc zdziwoną minę u Janka zasmiała się wesoło.

-Chodź pokażę ci co się z tego robi. Nalała do wiadra wodę i skierowała się w stronę domu.

W ciemnym rogu sionki przy scianie pokazała Jankowi równo ułożone, dziwnie wyglądające cegły.

-Widzisz! One wystarczyły mi na całą zimę i tyle jeszcze zostało. Odezwała się dumnym tonem głosu. Podała jedną cegiełkę Jankowi. Była bardzo szorstka i lekka. Tu i tam widac było sprasowaną słomę.

-Widzisz u nas drzewa nie ma to musimy palić czym się tylko da.

Z/początku zbieramy do tej jamy co krowa przez noc zostawi, razem ze słomą. Jak się wystarczająco tego nabiera dodajemy wodę i mieszamy aż zrobi się taka masa, którą wciskamy do formy i suszymy na słońcu.

-To ty nimi palisz tak jak my kiziakami!

-Tak ale one są większe przez to dłużej się palą.

-Ja myślę że to o wiele łatwiej niż zbieranie kizików. Specjalnie że te kiziki tak strasznie szybko się spalają- oddała cegiełkę Soni.

-Dlaczego tak mówisz? Kiziki palą się o wiele wolniej niż piołun! Zdziwiła się Sonia.

-Może wolniej ale u nas wórek nie wystarcza na zagotowanie zupy! Ja myślę że ten piec ma za szeroko otwarty szyber. Szukałem gdzie go można przymknąć, ale nic nie znalazłem.-

-Szyber! Oczywiście że Szyber, chodź pokażę ci gdzie go można nastawić- zaśmiała się Sonia.

W pokoju zastali krzątającą się przy piecu Helene. Sonia delikatnie zajrzała przez fajerkę na prędko palące się kiziki i złapała się za głowę.

-Ludzie! toż to można całą wioskę spalić i nic nie ugotować! Janek ty idź do naszej kuchni i zaraz na ścianie przy suficie, powoli posuń do góry żelazną rączkę. Ja ci powiem kiedy masz się zatrzymać.

Po kilku minutach walki z szybrem / zarłoczny piec zamienił się na wolno palący, ukazując wysoką wartość ciepła kiziaków.

-Mój mąż zapomniał go nastawić- wytłumaczyła cichym głosem Sonia.

Zadowolony z rezultatu Janek, podziękował Soni za pomoc, usiadł na ławie i zamyslił się głęboko. Dopiero głos matki ocknął go.

-Janek nad czym tak myslisz?- zapytała zdziwiona.

-Myślę! Myślę jak tu by można było narobic takich kiziakowych cegieł. Tylko nie wiem czy sucha trawa zastąpiła by słome?

-Janek! Ty tam coś kombinujesz i nie słuchasz co mówi Helena.

-Pani Helena? Co?

-Ach! Ty nigdy mnie nie słyszysz!- zachnęła się Helena.

-Ja byłam u pani Plotkiewiczowej i czytałam list z Polski! Oni pisali że Amerykanie wiedzą o nas i mają zabrać nas do Kanady. Tam nie bedziesz potrzebował zbierać kiziaki-

-To dlaczego nie zabiora nas teraz, zanim zima nas nie wymrozi?- przerwał jej Janek.

-Nie martw się! Nie martw! Do zimy sporo jeszcze czasu. Może nas wkrótce zabiorą- pocieszała go matka nie bardzo wierząc tym pogłoskom.

-Ja wam powiem- odezwała się poważnym głosem Helena.

-Pani Plotkiewiczowa wie co mówi. Wiadomosci ma prosto z Polski. Mowiła mi że w Kanadzie duzo miejsca i podbno potrzebuja ludzi do pracy. To nie sa zarty. Jak Ameryka powie to Kusek usłucha!- starała się przekonać Janka.

-Tak ale tym pogłoskom to nie można wierzyć- upierał się Janek.

-Dlaczego! No powiedz dlaczego? nie dawała za wygrane Helena.

-Ach dlatego że nam brakuje kiziaków. A co dopiero jak przyjdzie zima?- Wykreślił się. Zarzucił worek na plecy i opuścił pokój.

Po drodze rozważał jak to duzo plotek chodziło wśród Polaków. Niektore dodawały otuchy. Ale niektore przygnębiały. Najgorzej nie lubił tych co powstrzymywały ludzi od przygotowania się na zime, o ktorej tak duzo słyszał od Rosjan.

Widac było jak oni przygotowują się do niej od wczesnej wiosny. Z jakim wielkim uszanowaniem opowiadali o przeżytych dniach panowania króla Mroza.

Rozmyślając tak natknął się na całą kupę wysuszonych, wielkich kiziaków. W kilka minut wypełnił nimi worek. Wracając z powrotem minął Pietuna chałupę.

Po drugiej stronie ulicy młode małżeństwo budowało sobie dom. Dookoła wielkiej prostokątnej, na metr głębokiej jamy, układali równo pocięta darnie, przybijając ją ostro zakoczonymi patykami.

Mieli już ustawione dwie ściany. W ścianie od ulicy drzwi i dwa małe okienka miały ramy ze zbitych desek.

Janek zatrzymał się i udając że odpoczywa, obserwował przez chwilę jak oni równo układali darnie, zamykając trzecią i czwartą ścianę.

Nie rozumiał jak ci ludzie mogą tak żyć! Tak cierpieć. I to jeszcze do tego słuchać propagandy, że oni! mają najlepsze warunki życia na całym świecie.

Złapał za worek, pociągnął kilka razy nosem i ruszył dalej. W mieszkaniu czekała na niego nowa nowina. Tym razem przyniosła ją Sonia. Widząc wchodzącego do pokoju Janka zaczęła mówić od nowa. -Z powodu wielkiego zapotrzebowania ludzi do pracy Polacy, którym poprzednio nie wolno było pracować w kolchozie, teraz będą mogli pracować. Ale zapłatę otrzymają po zbiorach w rublach. Spojrzała na Janka i zaśmiała się wesoło.

-Jutro rano zabiorą cię do pracy! Musisz poczekać na Wasila. Wykiwajło, jutro o siódmej z rana!- klasnęła w ręce z uciechą.

-Skąd ty o tym wiesz?- przerwała jej Helena.

-Dwie godziny temu zawołał mnie Iwan Szorowoj, przedstawiciel wioski.

Pytał się kto u mnie mieszka i powiedział, że i ja mogę iść do pracy. Dzieci mam zaprowadzić na cały dzień do szkoły, i do roboty! Będzie pracowała niedaleko stąd na roli. Tam to dobrze płacą- uniosła dumnie głowę do góry.

-Co ty będziesz tam robiła?- zaciekawiała się Klaudja.

-Nasza grupa ma wyrywać chwasty i jak tylko zbiorą pszenicę to my będziemy ją wiali i ładowali na wozy. W tym roku oni orali nowe kawałki ziemi. Będzie dużo chwastów.- Zadowolona prawie tancząc wybiegła do swojego pokoju.

Helena złapała za pudełko z igłami i niciami, nawlekła igłę i śpiewając cicho coś pod nosem zabrała się do łatania spodni, gospodarza z sąsiedniej ulicy.

Klaudjia pogłaskała po głowie z bardzo smutną miną Sławka.
-Ty nie martw się, ja ci pomogę zbierać kiziki. Teraz one palą się o wiele wolniej. Nie będzie nam ich tak dużo potrzebować.

XXV

Z samego rana Janek gotowy był do roboty. Zjadł szybko kawałek chleba i usiadł na trawie, przy rowie dzielącym działkę od ulicy i cierpliwie czekał.

Na furmance, którą podjechała siedziało kilku ludzi. Z tyłu przywiązane były konie. Starszy mężczyzna w szarej zniszczonej kufajce tego samego koloru spodniach i okrągłej czapce na głowie, w małym notesie zapisał Janka imię, nazwisko i przedstawił się.

-Moje imię Vasil Wykivajło. Słuchaj się mnie to dobrze na tem wyjdiesz. Rozumiesz! Janek. Acha! Tak! Janek!- upewnił się czy dobrze nazwał nowego pracownika.

Zaciął konia i zakręcił na drugą ulicę. Po drodze zabrał jeszcze jednego robotnika i po kilkunastu minutach skaczącej po wertepach jazdy zatrzymał się przy wielkim polu ściętej koniczyny.

Zeskoczył z wozu, odwiązał jednego z koni i zwrócił się do Janka.
-Chodź i patrz się co ja będę robił!

Dopiero teraz zauważył Janek wielkie dwu-kołowe grabie. Vasil pokazał Jankowi jak się do nich zaprzęga konia i jakby bardzo mu się spieszyło zaczął tłumaczyć. -

-Widzisz to konieczne! To co się zostało po ostatnim zbieraniu. Ja myślę że za dużo się niszczy. Twoją robotą będzie zgraść resztę konieczny. Tylko musisz ją tak zgraść żeby łatwo było ładować ją na wóz. Uważaj! Jak będziesz miał pełne grabie to nacisnij na tą rączkę. No a ja wrócę za godzinę i powiem ci co dalej masz robić.

Przez pewien czas Janek stał z lejcami w reku patrzeć się za znikającym na horyzoncie wozem. Przez chwilę kombinował w jaki sposób ma się dostać na to wysokie żelazne siedzenie. Zdziwiony czekaniem konia, odwrócił głowę i obserwował nowego furmana.

Siedzenie nie było wygodne. Umieszczone wysoko w gorze nie miało żadnego oparcia. Długie ramie na które musiał stanąć przy wejściu na górę, było również oparciem na nogi i osią wielkich kół. Do osi przyczepiony był długi dyszel, do którego po prawej stronie zaprzeczony był konie.

Zniecierpliwiony długim czekaniem konia, szarpnął głową, wyrwał lejce z Janka rąk i ruszył. Przez długi czas Janek walczył z równowagą, aż wielkie półokrągłe zęby zagrabiły dużą ilość konieczny zatrzymując jej ciężarem konia.

Przypomniał sobie co powiedział Vasil. Uchwycił lejce i pociągnął do siebie długie żelazne ramie. Półokrągłe zęby uniosły się do góry, i jak tylko zwolnił ramie zęby spadły z powrotem na zgarnięte siano.

-Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z takim wynalazkiem! No i co mamy robić?

Nie wiedząc jak się ma oswobodzić, przyjął się uważnie grabkom.

-Acha!- mruknął półgłosem. Na nowo pociągnął ramie do siebie i cmoknął na konia.

-Świetnie!- zawołał, patrząc się jak koń wyciąga go z nagromadzonej konieczyny.

-Muszę mieć jakiś plan- pomyślał przygladając się kawałowi pola.

-Z/początku zaczęę grabić od miedzy do drogi w równej linii. Zostawię zebraną konieczynę przy drodze, a potem zgrabie ją na jedna wielką kupę- zdecydował i skierował konia w stronę rogu kwadrata.

Robota podobała mu się coraz bardziej. Po kilku obrotach przyzwyczał się do siedzenia i zaczął rozglądać się za spłoszonymi zajęcami.

Od czasu do czasu małe chomiki przeskakiwały leżącą na ich drodze konieczynę i chowały się gdzieś w głębokich norach.

Słyszał w wiosce że za ich skórki można było dostać kilka rubli. Ale kto by je chciał zabijać. Takie piękne małe zwierzątka.

Upłynęło sporo czasu. Musiało być południe, ponieważ słońce świeciło nad głową, a żołądek upominał się o jedzenie.

Janek zatrzymał się przy drodze. Zeskoczył z grabek. Nie wyprzegając konia pozwolił mu paść się na trawie z boku, a sam wyciągnął spod koszuli niewielkie zawiniatko, które przed wyjściem z domu otrzymał od matki. W szmatce znalazł kromkę chleba i świeży ogórek. Zapach ogorka był tak mocny że aż koń zbliżył się do niego i ku wielkiej Janka radości delikatnie uszczypnął go za koszulę, prosząc o kawałek tego pachnącego smakołyku.

Janek odgryzł kawałek ogorka, położył go na otwartej dłoni i podał koniowi. Głośne chrupanie zatrzymało w biegu małego chomika, który unosił do góry głowę i przez chwilę ruszając noskiem obserwował ich z bardzo komiczną miną.

Zaraz po posiłku wrócił z/powrotem do roboty. Jeżdżąc od jednej strony pola do drugiej, nie zauważył jak słońce robiąc wielkie koło na niebie zawisło nad brzegiem zachodniego horyzontu.

Na drodze ukazał się wóz a na nim Vasil. Ostro zatrzymał konie. Stał na wozie i drapiąc się w głowę patrzył na pole.

Jankowi zabiło serce.

-Za mało zrobiłem, zgarnąłem konieczyne na zła stronę!

Vasil wyciągnął z kieszeni notes. Poważnie spojrzał na Janka i odezwał się grubym głosem.

-To! To! Ty zrobiłeś o wiele, wiele więcej niż Gorkoj! I to tak zaraz koło drogi! To jest dobra robota. A ten durak chwali się że jest najlepszym pracownikiem w kolchozie. Janek! ja tobie daję 110 procent trudodniówki. Ja chcę widzieć ciebie tu aż nie oczyszczysz tego pola!

-Dobrze!- ucieszył się Janek.

-Acha! A tyś coś jadł?- zapytał Vasil.

-Tak. Matka mi dała coś nie coś do przegryzienia.

-To dobrze. A jutro jedź koniem do domu na obiad. Rozumiesz! A teraz odstaw konia do stajni. A jutro go zabierz. Rano! Rozumiesz, bo ja muszę rozwozić innych ludzi- i zanim Janek zdążył zapytać się jak odprzeżać konia, Vasil hojnie trzaskając batem zniknął na drodze.

Janek nie wiedział czy ma cieszyć się czy płakać. Dopiero teraz uprzytomnił sobie że nigdy w życiu nie siedział na koniu. A tu w dodatku musiał jechać na oklep, bez siodła.

-Czego ja się będę trzymał?- zawołał niezadowolony.

Zeskoczył z grabek. Powoli odwiązał każdy rzemyk, żeby zapamiętać gdzie i jak się zawiązuje. odprzeżnął konie i odprowadził na bok. Musiał zdecydować czy jechać na koniu, czy go prowadzić za lejce.

Wspominając co widział w cyrku, jak to mężczyźni wskakiwali i zeskakiwali z koni, postanowił spróbować.

Trzymając w jednej ręce lejce, złapał drugą ręką za grzywe i skoczył do góry. Ale koń cofnął się na bok zostawiając Janka na ziemi.

Przez pewien czas tanczyli tak beznadziejnie dookoła.

Na koncu udało się Jankowi dostać na grzbiet, ale z taką mocą że zjechał po drugiej stronie konia na dół.

Zasapany, zawiedziony niepowodzeniem przywiązał konia do koła grabek i usiadł na dyszlu. Spojrzał na konia, który również przyglądał się musie z ciekawością w oczach.

-Ja tego nie rozumiem. Przecież widziałem, na własne oczy jak mężczyźni wskakiwali na konie! I to bez żadnego trudu. Dlaczego mnie się to nie udaje?- rozważał się beznadziejnie dookoła.

-Zaraz! zaraz! Zobaczymy! Jak nie kijem to pałką!- zawołał radosnie patrzac na grabki.

Ostrożnie podprowadził konia do grabek. Stając jedna noga na osi, druga bez trudu przerzucił na drugą stronę i znalazł się na konia.

Dumny z sukcesu głośno cmoknął. Koń jak na komendę poderwał się do biegu. Janek czując, że leci do tyłu zgubił lejce i złapał się obydwoma rekoma za grzywe.

-Prrrrr! Prrrrr!- zawołał ledwie utrzymując równowagę. Na całe szczęście kon zwolecił i słysząc ponownie prrr, stanął.

Janek wyprostował się. Nabrał powietrza do płuc i otarł spoczone czoło.

-Do licha gdzie są lejce?- zawołał głośno. Widząc je luźno wiszące nachylił się szybko opierając rękę o głowę nachylającego się w tym samym czasie po szczypte trawy konia, stracił równowagę i koziokując się znalazł się na ziemi.

-Ja przez ciebie nie będę jadł kolacji!- krzyknął tak głośno że aż przestraszone zwierzę odskoczyło na bok.

-Tego jeszcze brakowało!- zawołał podrywając się na nogi. Podbiegł do konia, ale ten odbiegł dalej, zatrzymał się w bezpiecznej odległości i przyglądał się co robi ten niedoswiadczony jeździec.

-Jak ja go teraz złapie? W jakim języku mam do niego wołać?

Powoli podszedł do konia. Widząc, że on od niego ucieka, usiadł na trawie.

Obserwując jak kon spokojnie skubie sobie trawę, przypomniał sobie jak Bronka Serykas z Szandubry wołała swojego rumaka.

-Oczywiście!- mruknął pod nosem. Urwał trochę trawy i wystawiając ją do przodu piesztotliwie zawołał.

-Chodź tu chodź do mnie to ci dam coś smacznego- powolutku podszedł i podając koniowi trawę złapał za lejce. Głaszcząc go po szyi doprowadził z powrotem do grabek. Stał na osi i po raz drugi wsiadł na konia.

Trzymając mocno lejce, cichutko cmoknął, Przytrzymując lejcami zmusił go do wolnego marszu. Po kilku minutach, nabierając większego zaufania przyspieszył.

Przez pewien czas trząsł się jak galareta, zanim pochylając się trochę do przodu uchwycił rytm.

Niedaleko od wioski zwolnił. Wstydząc się swojej niezgrabności, skierował konia na miedze pomiędzy działkami.

Misza Samoj, zarządzający stajnią przytrzymał konia. Patrzac jak Janek zeslizgał się, i nie mogąc ustać na nogach, usiadł na leżącym z boku piętku, zaśmiał się wesoło.

-Pierwszy raz na koniu, aaa!- poklepał konia po boku, i przyglądając się z ukosa Jankowi, podrapał się pod długą czarną brodą.

-Tys go za mocno sciskał nogami!- chichotał cicho.

-Czy ty jutro wezmiesz go do pracy?- spojrzał na Janka.

-O tak! Vasil kazał mnie zgrabic całe pole- odpowiedział masując sobie nogi.

-No to dobrze! To ty przyjdź tu trochę wcześniej. To ja nauczę cię kilka sztuczek. Dobrze!

-Och Misza! Dobrze! Bardzo dobrze, i dziękuje ci- ucieszył się Janek.

-To zajmie dobre pół godziny- pokiwał głową Misza. Pogłaskał konia po szyi i odprowadził do stajni.

W domu dowiedział się, że kierownik wioski, Ivan Szorowoj z pomocnikami przeszukiwali chałupy, zapisywali i zabierali ludzi do pracy. Helena w tym samym czasie z dziećmi i ze Sławkiem zbierali kiziaki. A matkę, która za dużo zgubiła wagi, zostawili uważając, że do pracy się nie nadaje.

Następnego dnia z samego rana Misza nauczył Janka, z której strony wsiada się na konia. Jak się siedzi żeby utrzymać równowagę.

-Pamiętaj, najlepiej jeździ się na oklep, bez siodła- zaśmiał się serdecznie, i widząc jak ten Polak świetnie daje sobie radę skierował konia na miedze.

-Z powodzeniem!- klepnął konia z całej siły.

Przestraszone zwierzę rzuciło się do galopu. Dopiero daleko na stepie Janek powstrzymał go i dumny z siebie skierował w stronę pola.

XXVI

Po kilku dniach pracy na rozkaz Vasila Janek zostawił nieskonńczoną pracę na polu i dołączył się do grupy ludzi mierzących pole do orania.

Nie zdarzyli odmierzyc północnego odcinaka, jak nadjechał z ponurą miną Vasil.

Skrzyczał ludzi że za wolno pracują, I patrzac prosto Jankowi w oczy odezwał się ostro.

-Ja słyszałem, że ty chcesz pracować na stepie. Lepszy zarobek. Co?- poprawił sobie czapkę- daleko od tych leniuchow!- zawołał głośno.

-Jurto rano bądź gotow. O! Zabierz z sobą jakies przykrycie. Dobre przykrycie. Na stepie noce są zimne. Bardzo zimne- dodał odchodząc.

Po odejściu Vasila Janek nie wiedział czy ma się cieszyć czy martwić.

-Skąd on wie, że ja chciałem pracować na stepie?- mruknął zdziwiony.

-Przecież ja tylko jeden raz wspomniałem przy Soni o stepach. W tym samym czasie co i Franek. W domu trzy inne opinie przygnębiły go.

Zmartwiona matka narzekała że to tak ^dbarzo daleko w stepach.

-A jak się coś stanie! Czy ty dasz sobie radę?- pytała co chwilę. Helena wesołym głosem starała się pocieszyć Klaudje.

-Niech pani się nie martwi! Nie jedź na stałe! Zarobki tam są wspaniałe. On będzie miał jedzenia do syta, a my tu zaoszczędzimy na prowiancie. Czy pani tego nie widzi? Żeby nie dziewczynki to ja bym sama tam pojechała!

Najbardziej nie zadowolony był Sławek. Nie dosyć że sam chciałby pojechać na step, ale do tego na jego małe barki spadał kłopot zbierania kiziaków.

Usiadł na łożku i patrząc na Janka potrząsał z niezadowoleniem głową. Rozmowę ich przerwało wejście Pietrowa Gorodoj, u którego mieszkali Lindnerowie.

-Ja dowiedziałem się że ty jedziesz na step!- Uśmiechnął się do Janka.

-Ja tu mam bieliznę. Dla Franka!- położył na stole wypchany worek.

-Prosiłem Vasila żeby to zawiózł, ale on odmówił. Niby to za dużo ma na swojej głowie. Ba! On to taki, że nikomu nie pomoże nawet za kopiejkę! No ale pozdrów Franka i powiedz mu że matka o wiele lepiej się czuje- uściskał Jankowi rękę, ukłonił się kobietom i wyszedł.

-Mamo! Pani Lindnerowa jest chora?- zdziwił się Janek.

-Och! Nerwy. Co ty chcesz. Mąż ze starszym synem w Warszawie.

Komunisty ogołocili ją ze wszystkiego i wywiezli na drugi koniec świata.-

-Nas też ogołocili, i w dodatku nie wiemy gdzie ojciec!- przerwał jej

Janek.

-No tak. Ale ludzie sa różni. Reagują rozmaicie.- odezwał się Helena.

-Ona jest bardzo tym przejeta, potrzebuje pomocy, pomocy Doktora. Nawlekła igłę i przyłożyła łątę do spodni.

-Mamo! Niech tylko mama się nie martwi. My musimy dać sobie radę.- Zaniepokoił się Janek.

-Na stepie pracuje sporo ludzi i nie jest, tak strasznie daleko. Podobno kilka godzin na koniu. Mama się nie denerwowała jak ja poszedłem pracować na stację kolejową. To po co się teraz martwić- spojował z niepokojem na matkę.

-No dobrze ja już nie będę się martwiła. Tylko tak jakos nieprzyjemnie jak który z was musi iść czy jechać gdzieś daleko.

-Ach co tam dużo gadać! Napewno długo nie pobędzie. Ostatni tydzień Janek zmienił dwie prace. Widocznie Vasil nie lubi trzymać ludzi na jednej robocie- pocieszała ją Helena.

Ciche pukanie do drzwi przerwało rozmowę. Do pokoju wsunęła się Sonia. Widząc zmartwione twarze zasmiała się głośno. Szturchnęła Janka łokciem, usiadła z boku na ławie, i odezwała się poważnym głosem.

-Oni cię bardzo lubią! Martwia się ze zabraknie kiziaków.- mrugnęła do Sławka.

-Wy się nie martwcie! Musicie się zorganizować! Palić mniej a więcej gotować. Ja was nauczę. A jak Janek popracuje w kolchozie to będziecie mieli przywileje.

-Jakie przywileje?- zaciekawiła się Helena.

-Będziecie mogli mleć pszenicę w młynie. Za pracę otrzymacie część w zbiorach, która będzie zależała od zapracowanych dni, po odliczeniu podatku- tłumaczyła z wielką powagą na twarzy.

-Ale kto pomoże mnie w zbieraniu kiziaków? Jest ich tak mało i tak bardzo porozrzucane. Jak ja sobie dam radę?- żalił się Sławek.

-Ty sie marwisz o kiziaki? A ja sama nie wiem jak mam zaradzic ze swoim kłopotem. O kiziaki sie nie mart! Idz zawsze za pasącymi sie krowami, a znajdziesz ich po same uszy.-

-Sonia! Jakie ty masz kłopoty?- Zapytała Klaudja nie rozumiejąc, dlaczego ta stale wesoła kobieta mowi o kłopotach.

Sonia potrzaskała głowa.

-Widzicie! Nadchodzi podatek w mięsie. Moja kuzynka poganie mnie żebym zdecydowała czy jałowkę czy krowę mam zabić. Ja nie wiem. Mój mąż zawsze decydował. Teraz bez niego nie wiem co mam robic.-

-Sonia! Co twoja kuzynka ma do gadania?- zdziwiła sie Helena.

-Ach! Wy jeszcze nic nie wiecie- zachnęła sie.

-W wiosce musimy płacic podatek. No niby za to ze pastuchy zabieraja krowy na pasze. My płacimy w mleku i mięsie. Z mlekiem to nie jest tak źle. Zaniesie sie wyznaczona kwote, A jak krowa nie da wystarczajaco mleka to doleje sie troche wody i załatwione. Ale z mięsem to inna sprawa- westchnęła głęboko.

-Dla rodziny nie wolno miec wiecej jak jedna krowe. Dlatego zanim pastuchy oficjalnie uznaja cielaka za krowe, ja musze poznac czy młoda bedzie dojna. Stara jest bardzo dobra. Szkoda ja ruszac. Ale jest stara. A dwóch krowy mieć nie wolno. Widzicie jaki kłopot.-

-Ale co twoja kuzynka chce?- zaciekawiła sie Helena.

-Jej krowa w tym roku odpoczywa. Ale mieso do kołchozu musi zaniesc. Wiec czeka na moja decyzje. Ubiegłego roku ona dzieliła sie miesem, a w tym roku jest moja kolejka.

-Jak duzo miesa musiecie oddac?- zapytala Klaudja.

-Ja sama nie wiem. Zaprowadze krowe do kołchozu, a oni sami zabiora co im sie nalezy, a cielę i od kuzynki, no i skóra nalezy do panstwa. A reszte po podzieleniu sie z kuzynką zasolę zeby na dłuzej wystarczyło. Ale! Ale, ja mam do was wielka prośbę. Dostałam pozwolenie

aby,

(odwiedzić meza. Czy moglibyście jutro zwrócić uwagę na dzieci? Ja wieczorem będę z powrotem- spojrzała na Klau^dje.

-Oczywiście!- zgodziły się Klaudia z Heleną.

U Soni ukazało się na twarzy przygnębienie i zakłopotanie.

-Ja muszę zanieść mężowi trochę jedzenia, machorki, zmianę bielizny. Och żeby oni jego już wypuscili. On jest dobry człowiek! Dobry ojciec. A że trochę za dużo napił się? Czasami trzeba zaliczyć biedę. Ale on jest dobry człowiek.

Nie chcąc pokazać spływających po policzkach łez opuściła pokój.

XXVII

Minęły dobre dwie godziny, zanim Janek zdecydował zapytać się u furmana jak daleko jadą. Ostrożnie żeby nie obudzić śpiącego Vasila wdrapał się na przód wozu. Usiadł na koźle z boku woźnicy. Zwiesił wygodnie nogi na dół.

-daleko jeszcze?- zapytał.

-Jak dojedziesz to zobaczysz!- otrzymał ostrą odpowiedź.

Nie pytając się o nic więcej rozejmował się po leniwie falującej trawie. Nie mogąc znaleźć nic, na czym mógłby zatrzymać wzrok. Zwrócił uwagę na kopyta końskie & spod których co pewien czas wyskakiwały malenkie zajęczki, i chowały się w bujnej trawie. Na końcu stąpił poczucie czasu.

Naraz delikatny, przyjemny zapach nadleciał z wiatrem. Natychmiast żołądek odpowiedział grubym grzmotem i ściskając się z bólu, dał znać że gotów jest do jedzenia.

-Zapach gotującego się jedzenia? Skąd? Gdzie?- ocknął się Janek.

Nie widząc nic oprócz trawy dookoła. pokiwał tylko głową.

-Głodny człowiek stale myśli o jedzeniu,- Mruknał z niechęcią.

Drugi powiew aromatycznego wiatru ocknął furmana, który rozejrzał się leniwie, spojrzal na wysoko znajdujące się słońce i splunął na bok. -Czas!- odezwał się grubym głosem. Wyciągnął spod cholewy bat, swisnął nim nad głową konia i podrywając go do galopu skreślił z polnej drogi prosto w kierunku pachnacego jedzeniem wiatru.

Przez chwile jechali po wysokiej trawie, uginającej się pod kołami wozu. Zapach jedzenia zmieszał się z ostrym zapachem dymu. Daleko na horyz^{on}cie chmura dymu kłębiła się tuż nad trawą.

Janek uczył jak włosy unoszą mu się do góry. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł po ciele z myślą pożaru na stepie.

Tyle razy słyszał od Rosjan, jak to szybko przesuwa się ogień palącej trawy, zamieniając w popiół wszystko co się znajdzie na jego drodze.

Zeby uratować się od takiego pożaru, trzeba stanąć plecami do wiatru, popalic trawę przed sobą i dostać się na wypalony miejsce.

Jeden ze starszych mężczyzn pokazał Jankowi blizny oparzenia. Ostrzegł go, zeby na stepie nigdy nie lekceważył odległości ognia, i zeby zawsze przy sobie nosił zapaliki.

Spojrzał niepewnie na obudzonego Vasila.

-Na co on czeka! do licha! Na co?- mruknał pod nosem. Widząc jego spokojny uśmiech na nieogolonej twarzy uspokoił się.

Dla pewności wsadził rękę do kieszeni, objął dłońią pudełko z zapalnikami i mocno je sciskając wytężył wzrok w kierunku dymu.

Tan^oczący wiatr, pogonił dym w innym kierunku, odsłaniając wielki towarowy wagon.

Z boku wagonu na wysokich kołach połowa kuchnia dymiła na wszystkie strony. Krzatający się dookoła kotłowi mężczyźni wybiegli na spotkanie. Jeden z nich wysoki z długimi czarnymi włosami,

opadającymi poniżej ramion, krótko obcięta broda z wasami, zawołał wesołym głosem.

-No nareszcie! Cały prowiant nam się wyczerpał. Myślałem że będę musiał łapać zajace!- śmiał się machając rękoma.

-Wkładaj do kotła mniej mięsa to ci nie zabraknie!- odpowiedział ostro Vasil.

-Hej Sima ! A co ty tam takiego gotujesz? Cały stęp zasmrodziłeś!- Zapytał furman zatrzymując konia tuż z boku wagonu.

-Gotujesz!- wstrząsnął się Sima i odwrócił się do stojącego z boku chłopaka.

-Boris! Co ty robisz! Prędko do kuchni zanim ogień nie zgasnie! Och jaki on głupi! Muszę wszystko pilnować- pogroził kułakiem za biecym z powrotem do kuchni chłopakiem.

-Co gotuje! Popatrz na słońce jak późno. Ja zaczynam gotować kolację. Stara krowa, twarde mięso. Potrzebuje długiego gotowania! Gotuje! Mocze i gotuje, a oni ciągle narzekają że mięso twarde. Ty dostaniesz to sam zobaczysz. Ale! Głodni jesteście? Kawałek chleba i kipyatki to mam. O nie! O nie!- zatrzymał idącego w stronę kuchni Vasil.

-Najpierw rozładujemy prowiant! A co to za młódzik?- wskazał palcem na Janka.

-Potrzebujesz ludzi do pracy! To ci przywiozłem- odpowiedział Vasil.

-Vasil! Vasil! Ja potrzebuję mężczyzn nie dzieci- westchnął głęboko Sima i szybko z nadzwyczajną energią wdrapał się na platformę.

We czwórce robota poszła bardzo szybko. Cały zapas jedzenia, oprócz dużego bochenka chleba wnieśli do niewielkiego pomieszczenia z przodu wagonu. Sima zamknął drzwi na kłódke i zeskoczył z wagonu.

Spojrzał na Janka jakby go chciał ocenić. Pokiwał głową i odezwał się spokojnym grubym głosem.

-Ty będziesz pomagał Frankowi. On dzisiaj pilnuje konie, a jutro

bedzięcie sciągali trawę. A teraz idź i pomóż Borisowi przy kotłach. Acha! Poczekaj. Ty jeszcze nic nie jadłeś. Ja znam Vasila, pracować to każe! Ale karmić, to inna sprawa- zasmiał się wesoło spoglądając z ukosa na Vasila.

Vasil odciągnął Simę na bok. Przez pewien czas rozmawiali z sobą giestykulując rękoma. Na koniec z pośmiechem na twarzy Vasil odwiązał konia, zabrał kromkę chleba i nie czekając na herbatę, odjechał.

Furman z małym zawinątkiem zniknął w środku wagonu. Janek zostawił swoje rzeczy w głębokiej trawie z boku schodów do wagonu. Zajadając kromkę chleba powoli doszedł do polowej kuchni, przy której, co chwilę ocierając rękawem spocone czoło, kręcił się Boris.

Zadowolony z niespodziewanej pomocy, Boris nauczył Janka jak z siana skręca się sznur, który zawiązuje się na kilka grubych węzłów. Mocno związany podrzyuca się do paleniska po kotłami.

-Tylko w ten sposób można suchą trawę powstrzymać od szybkiego spalania się- objasnił Jankowi.

Nęcący zapach, połączony z ciekawością, co się w kotłach gotuje nie dawał Jankowi spokoju. Jak tylko Sima podniósł pokrywę do góry i dołożył do gotującego się mięsa ziemniaki i posiekaną kapustę, zaspokojona ciekawość zamieniła się w uczucie głodu, wzrastającego z każdą minutą.

Z zachodem słońca zaczęli wracać robotnicy. Jedni konno, inni na furmankach. Przywiązali konie do długiego dyszla wagonu i otrzepując się z kurzu, Jeden za drugim stanęli w kolejce przed kuchnią.

Janek dorzucił węzeł siana do paleniska i dołączył się do kolejki.

Z przyjemnym uśmiechem na twarzy Sima podał mu kromkę chleba, łyżkę i drewnianą miseczkę do której Boris nalał pachnącą zupę.

-Jak skończysz to przyjdź po więcej. Ja wiem jaki apetyt dostaje się

w pierwszych dniach na stepie- spojżał^{dz} żeby nikt go nie usłyszał.

Pomęczeni pracą mężczyźni, usiedli na okrągłych, drewnianych kłodach, poukładanych dookoła wykopanej jamy na ognisko.

Przez pół godziny panowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu głośnym siorpaniem gorącej zupy z głębokim oddechem zadowolenia.

Janek nie dziwił się że ci ludzie przykładali tyle powagi do jedzenia. On sam starał się jak najdłużej rozkoszować smakiem zupy. Wytarł chlebem ostatnie krople i pobiegł po repetę. Po zaspokojeniu głodu zaczął przyglądać się tej interesującej grupie rosyjskich cowboysi.

Większość z nich była w starszym wieku. Nie wyłączając kucharza z pomocnikiem Borisem, poubierani byli w szare, stare wutowane kufajki. z pod których wyglądały ciemno-szare koszule wypuszczone luźno na tego samego koloru spodnie. U niektórych spodnie wcisnięte były w cholewy bardzo zniszczonych butów. U innych obwiązane były grubym sznurem, tuż nad bucikami. Okrągłe z nausznikami czapki różniły się tylko kolorem i wielkością futerka na przodzie czapki.

-Och!- westchnął- oni wyglądają tak samo jak reszta obywateli sowieckiego raj- szepnął sam do siebie.

Ta beznadziejna monotoność w ubraniu przygnębiała. Janek nie mógł się pogodzić z myślą że i on w przyszłości będzie musiał nosić takie ubranie.

Jeden z mężczyzn wyciągnął z kieszeni harmonijkę. Przez pewien czas jakaś nieznaną Jankowi melodia tańczyła z wiatrem stepu.

Do drugiej piosenki dołączyli się tu i tam, gróbym pomrukiem mężczyźni.

Był to znak dla Borysa. Podpalił równo ułożone po środku koła węży siana i podał każdemu blaszany kubek do którego Sasza nalał

lekko zabarwioną herbatę.

Głośne siurpanie zagłuszyło gracza, który wytarł harmonijkę o rękaw i schował do kieszeni. Podany mu kubek z herbatą objął dłońmi i przez dłuższy czas grzał sobie ręce. Kilku innych odstawiło kubki na bok, powyciągali z kieszeni małe woreczki z tabaką i zawijając ją w równo pociętą gazetę, moczając delikatnie językami zakleiali. Grubsze kawałki siana zastąpiły zapałki.

Boris dorzucił kilka węzłów do ognia i usiadł na kłodzie i z otwartymi ustami słuchał opowiadania starszych ludzi.

Czując czyjąś rękę na ramieniu Janek odwrócił się.

-Franek!- ucieszył się widząc usmiechniętą twarz kolegi.

-Co się z tobą stało? spóźniłeś się i nie dostałeś kolacji.

-Moja zmiana musiała zjeść kolację, dlatego jestem trochę później. Ale nic na tem się nie traci. Nawet lepiej! Bo czem mniej zupy w kotle to znajdziesz więcej mięsa, zaraz będę spowrotem.

Po kilku minutach z michą zupy i kramką chleba usiadł z boku. Zadowoleni ze spotkania, nie zwracając na nikogo uwagi dzielili się ostatnimi przygodami życia. Naraz Franek szturchnął Janka.

-Czy ty widzisz tego zgarbionego człowieka po drugiej stronie?

-Widzę- odpowiedział Janek czując na sobie ostry wzrok.

-Czy ty go znasz?

-Nie! Ale co on odemnie chce?- zapytał cichym głosem

-On obserwuje każdego nowego człowieka. Dlaczego? Nie wiem.

Naraz mężczyzna zaczął nerwowo wycierać ręce w swoją koszulę, jak by na nich coś było, i znowu spojrzał w kierunku Janka.

-Franek chodźmy stąd- szepnął cicho Janek.

-Już ! Już, daj mnie napić się herbaty- wytarł chlebem dno miski i nastawił kubek.

Dolewający herbatę Sima zbliżył się do tajemniczego mężczyzny i

zaslonił go od Janka.

Widocznie to nie spodobało się mężczyźnie. Odsunął Simę na bok, wytarł końcem koszuli dłoń, uniósł ją do góry i wskazując palcem Janka, zawołał mocnym głosem.

-Baciuszka! Baciuszka!

Dookoła ogniska nastała smiertelna cisza, a on tym razem lekko drżącym, pytającym się głosem zapytał.

-Bbbaciuuuszkaa?

Zaskoczony tym wybuchem Sima, położył rękę na mężczyzny ramieniu i odezwał się bardzo spokojnym głosem.

-Wołodziej! Wołodziej! Wołodziej Zagorszy. Co ty nie widzisz że on jest za młody na Baciuszke. To to jeszcze dziecko, młodzieniec!-

Mężczyzna z niechęcią opuścił rękę na dół. Oczy jego straciły blask.

-Już tak późno! Tak bardzo późno a ja nie mogę znaleźć Baciuszki! Zniżył nisko głowę.

-Co ja będę robił? Sumienie gryzie coraz to mocniej. Oj gryzie! Co ja będę robił?- odwrócił się i wolnym krokiem odszedł w stronę wagonu.

Oszołomiony Janek złapał Franka za rękę.

-Chyba z nim coś nie w porządku!

Franek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Siedział z szeroko otwartymi ustami i patrzył się za ciemną sylwetkę oddalającego się Wołodzieja.

Do chłopców zbliżył się Sima i odezwał się cicho.

-Najlepiej o tym zapomnijcie. On jest stary, bardzo stary.

Może trochę za stary do pracy. Ale krewny Szorowoja. No i co robic?

-Sima! Ja już przedtem zauważyłem że coś z nim nie w porządku i dlaczego on szuka baciuszki?- zdziwił się Franek.

Sima rozejrzał się dookoła. Mężczyźni porozchodzili się, z daleka

widać było Borisa na schodach do wagonu. Byli sami.

-Wy wiecie!- zaczął mówić z niechęcią Sima.

-Podczas rewolucji wielu z nas potraciło głowy- spojrzął na pokryte milionami gwiazd niebo.

-On należał do Czarki. Do milicji. Co więcej mam mówić! Mieli rozkaz to strzelali ludzi jak bydło- tłumaczył smutnym głosem.

-Jednego razu prowadzili popa na śmierć. Tak jak on nam opowiadał, Pop wcale się nie bronił, z uśmiechem na twarzy kopał grób. A przed egzekucją wyprostował się i spokojnym głosem powiedział że ich bardzo żałuje. Oni zapytali się dlaczego? A on im odpowiedział że nie będą mieli nikogo, ktoby dopomógł im oczyścić sumienie. Kilka lat potem była czystka. On i ci co rozstrzelali popa znaleźli się na liście. Winny czy nie winny, kilku rozstrzelali, kilku posłali do lagru, A jego wysłali na Sibir. No i teraz unika ludzi a szuka Baciuszki.

Sima odszedł kilka kroków w stronę wagonu, odwrócił się do tyłu i zawołał cichym głosem.

-Jak człowiek robi się starszym, to ma więcej czasu do myślenia. Do zastanowienia się nad życiem i jego tajemnicami. Tylko wy nie mówcie nikomy o tem co ja powiedziałem. Na stare lata nie zróbcie mu krzywdy. Pamiętajcie że on jest krewny Ivana Szorowoj.-

Chłopcy, nic nie mówiac zabrali ukryte w trawie worki i weszli do wagonu. W środku było bardzo ciemno. Na szczęście Sima zapalił lampę. Przy słabym jej świetle Janek znalazł wolne miejsce z siennikiem wypchanym sianem. Rozłożył koce i zanim Sima zgasił lampę dołączyli się swoim chrapaniem do reszty chrapiących ludzi.

Pierwsze poranne promienie słoneczne, przebiły się przez grubo pokryte grubo kurzem okienka wagonu. Razem z promieniami ostry głos Simy obudził ludzi.

Franek z Jankem pierwsi wybiegli na zewnątrz. Mrużąc oczy od

ostrzych promieni słońca, pobiegli do wiadra z wodą.

Zanim zdążyli się umyć i wytrzeć w koszule, przy kotle stała długa kolejka.

-U nich jedzenie ważniejsze od czystości!- mruknął niezadowolony Franek.

Kromka chleba z gorącą herbatą i piękny poranek, przywróciły humor. Do jedzących chłopców zbliżył się Sima. Polkepał Franka po ramieniu.

-Kilometr na zachód, czeka na was dobrze wysuszone siano. Franek! Zabierz Kasztankę, Dobry koń! A tam leżą sznury i chomąt- wskazał ręką w stronę wagonu.

Franek doczepił do sznura długi drewniany drąg, z hakami po obydwóch jego końcach. Założył koniowi chomąt, i przyczepił do niego koniec sznura.

We dwójkę na oklep dojechali do okerszonego miejsca. Jak okiem sięgnąć na ziemi leżało ścięte, wysuszone na słońcu siano. Janek złapał się za głowę.

-Z jednym drągiem na tyle siana?- zawołał przerażony ilością ściętej trawy. Franek rozesmiał się.

-Ty siedź na koniu, i pilnuj go żeby się nie ruszał a ja pokażę ci jak to się robi.

Zeskoczył na ziemię. Pzesunął przyczepiony po lewej stronie chomātu drąg tak, żeby srodek jego był w równej linii z koniem.

Przyczepił do drugiego końca drąga inny sznur tej samej długości i przywiązał go po prawej stronie do chomātu.

-Janek! Te dwa sznury co trzymają drąg muszą być bardzo równe i długie, żeby drąg był daleko od konia- sprawdził odległość.

Po chwili rozwinął długi, gładki sznur, przyczepił jeden koniec po

jednej a drugi po drugiej stronie chomatu, i dociągnął go prawie że do drąga. Uchwycił środek gładkiego sznura, i szeroko roztawiając nogi stanął na drągu..

-Wyciągnij nogi spod sznurów!- zawołał do Janka.

-Bardzo ważną rzeczą jest żeby gładki sznór oddalony był na metr od drąga, bo za niego bedziesz się trzymał. A teraz jedź, tykło wolno!

Zgarnięte drągiem siano, rolując się oparło o Franka nogi i zaczęło rosnać do góry. W chwili, kiedy zrównało się z rękoma, Franek pusił sznór i zeskoczył z dągu.

-Teraz twoja kolejka- zawołał zasapanym głosem.

-Wydaje się że to takie łatwe, stanąc na drąg i jechać. Ale ja ci powiem że cała sztuka polegała na ustawianiu nóg w taki sposób żeby nie ześlizgnęły się pod naporem siana- wskoczył na konia

Po kilku próbach, Janek nauczył się ustawiać nogi. Teraz tylko zależało, jak długo mógł utrzymać w ręku sznór. O tem decydowała siła i wytrzymałość bólu naciągniętych miesni.

Z krótka przerwą na obiad pracowali na zmianę odpoczywając na koniu. Pod koniec dnia byli tak pomęczeni, że zaraz po kolacji poszli spać.

Późno w nocy Sima obudził Janka.

-Twoja kolejka pilnować konie. Zabierz koc i chodź za mna- usłyszał jego głos.

Na dworze stały dwa osiodłane konie. Czarny rumak czekał na Janka. Był on używany tylko do pilnowania stada.

Przez dłuższy czas jechali kłusem. W pewnym momencie Sima zwolnił. Zrównał się z Jankiem.

-Ty uważaj na źrebaki. One potrafią oddalić się od matki, no i kłopot. Najlepiej trzymać młode z matkami w środku i uważaj na wi...- Nie zdążył dokończyć jak przed nimi naraz ukazał się owinięty w koc mężczyzna.

-No nareszcie! Co tak późno?- zawołał głośno. Podał Jankowi długi bat. Nie czekając na odpowiedź odwrócił konia i odjechał w stronę wagonu. Za nim podqżył Sima.

Przez pewien czas Janek patrzył za znikającymi w ciemności postaciami.

-Jak oni potrafią dojechać do takiego miejsca i to w nocy- nie mógł tego zrozumieć.

Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Znowu znalazł się sam, daleko na nieznanym mu stepie.

Bojaźliwie rozejrzał się dookoła. Cmoknął cichutko na konia i podjechał do stada. Konie stały spokojnie.

-Śpią- pomyślał. Ziewnął kilka razy i zatrzymał konia.

Czas włókił się powoli. Chłodny wiaterek zaczął swoje tańce z trawą, która w promieniach księżyca zmieniała tajemniczo ciemne kolory, obsypane mrugającymi światełkami odbitego księżyca w delikatnej rosie.

Koń jego stał w miejscu bez ruchu. Zarżał tylko jak Janek drzemiąc o mało co nie strcił równowagi.

-Napewno mówi, siedź spokojnie i daj mnie spać!- zasmiał się .

-Ach żebym to umiał spać na koniu tak jak Tatarzy- mruknął zawijając się szczelnie kocem.

Zadowolony z ciepła, żeby nie zasnąć zaczął wspominać stare czasy.

-Och jak by to dobrze było wrócić spowrotem do pięknej Polski. Do lasów, jezior, łąk! Ach co ja tu robię? Tak daleko! Na końcu świata wstchnął głęboko.

Głośne rżenie i nagły ruch koni, ocknął go. Serce zabiło mocno.

-Co się stało? Co się dzieje?- zawołał patrząc ze zdziwieniem jak konie otoczyły źrebaki i ustawiły się głowami do środka.

-Wilki!- zimny dreszcz wstrząsnął nim. Rozejrzał się dookoła.

Nie daleko z boku zauważył kilka cieni ze świecącymi się jak

malenkie gwiazdki oczyma. konie nerwowo zaczęły kopać nogami do tyłu.

Janek uniósł bat do góry. Swisnął kilka razy w powietrzu starając się nim strzelić. Ale nic z tego nie wyszło. Dopiero za trzecim razem bat wydał taki cichy trzask, że jeden z wilków usiadł czekając co dalej nastąpi.

To Janka zezłościło. Cmoknął mocno na konia, керując go prosto w stronę wilków. Swisnął batem i głośno krzyknął.

-Ach wy syberyjskie psy. Ja was nauczę rozumu. Won stąd! Won!
W tym pędzie udało mu się kilka razy trzasnąć batem.

Wilki odwróciły się i znikły w ciemności nocy. Janek odetchnął. Zatrzymał konia, gdy nowa myśł przeszła go jak strzała.

-Przecież one atakują z kilku stron!- zakrecił konia i rąbnął go tak mocno batem, że ten aż podskoczył do góry. Janek nie wiedząc kiedy i jak znalazł się na ziemi.

Powoli uniósł się na kolana. Spojrzał za znikającym w ciemności koniem i bezradnie usiadł.

-A to sobie narobiłem! No i co teraz?- mruknął przez zęby.

Niewielka odległość od dzikich bestii paraliżowały ruchy. Kilka kroków od siebie zauważył bat, a dalej koc.

-Przynajmniej mam się czym bronić- złapał za rączkę bata. Naraz uczył jak ktoś go uderzył w plecy. Przerazony odwrócił się nastawiając pięści gotowe do obrony.

Wielka głowa konia popchnęła go na bok. Czarny rumak stał nad nim, przyglądając mu się ciekawie.

Zdumiony powrotem konia, zerwał się na nogi. Pogłaskał konia pomiędzy uszami, wyciągnął z kieszeni ostatni kawałek skórki od chleba która schował dla kasztanki i oddał rumakowi. Głodne wilki stanęły znowu przed oczyma.

-Napewno rozproszyły konie, porwały źrebaka i ja będę za to

odpowiadał!- złapał bat, koc i szybko wskoczył na siodło.

Konia nie trzeba było poganiać. Jakby wyczuł o co chodzi pełnym klusem skierował się w stronę stada.

Z daleka widać było stojące spokojnie konie. Janek zwolnił rumaka i dla pewności objechał kilka razy dookoła koni.

Chłodny wiatr zaczął dawać się we znaki. Janek ponownie owinał się w koc i siedząc spokojnie na siodle starał się powrócić do swoich marzeń. Niestety nie mógł się skupić, a czas włókł się okropnie wolno.

Z pierwszymi promieniami słońca zrobiło się ciepło, przyjemnie i naraz cały step zaczął budzić się do życia. Poranna rosa mieniająca się kolorem tęczy tu i tam zamieniała się w mgłę. Delikatny wiatr unosił ją, jak długi welon w wolnym majestatycznym tańcu do góry i wysoko na niebie, rwał na kawalki, które rozplywały się w oczach.

Gdzieś z boku wyskoczył zajac. Błyskawicznie zmieniając kierunek, zniknął w głębokiej trawie. Obudzone źrebaki zaczęły skakać dookoła matek. Oczarowany porankiem nie zauważył nadjeżdżającego Simę.

-Hej! Hej! Młodzik! Obudź się czas jechać do pracy!- zawołał z daleka.

-Do pracy?- zdziwił się Janek.

-No tak Polak! Wczoraj bawiliscie się, a dzisiaj trzeba pracować!

-Wczoraj nagrabalismy całą masę trawy! A kto tutaj zostanie z końmi?- zdziwił się Janek.

Sima spojżał na Janka z niechęcią.

-Ty jeszcze musisz się dużo nauczyć! U nas jak przewodniczący mówi mało to znaczy mało! Rozumiesz? O konie się nie martw ktoś inny tu przyjedzie- odpowiedział ostro.

Sima niemiłosiernie poganiał wszystkich robotników. Pilnowanie koni w nocy nie zaliczał do pracy. Zmęczeni, niewyspani musieli pracować od świtu do zachodu słońca.

Około południa Sima przywoził im po kromce chleba i w butelkach

po wódce herbatę. Rozglądał się po stepie i narzekał.

-Wy lepiej zastawiajcie siano w równym rzędzie! Furmanki nie będą zygzakować dla waszej przyjemności! Rozumiecie!

Franek z Jankiem uwijali się jak tylko mogli nie mogąc dogodzić Simie.

Pod koniec tygodnia Sima spóźnił się z kolacją. Pomęczeni chłopcy usiedli na kłodach i z nieciepliwością obserwowali biegającego dookoła kotków Borisa.

-Wiesz jak my nie zwolnimy, to ja będę najdłuższym człowiekiem na świecie!- odezwał się posępnym głosem Janek.

-A ty myślisz że ja to nie?- zaśmiał się Franek.

-Tak! Tak, ale ty za szybko ciągniesz.

-Dobrze, dobrze, ale jak ty za wolno jedziesz to ja się dłużej rozciągam!- odpowiedział cicho Franek.

Nieznany im jegomość w połatanym ubraniu zbliżył się do nich i usiadł z boku. Odwrócił bogato obrosniętą głowę w stronę Franka, potrząsnął nią i sycząc lekko po każdym słowie odezwał się.

-Wy! Najmłodssze duraki. Jak będziecie sssie tak ssspieszyć to on będzie wasss więcej poganiał! Sssami sssiebie pomordujecie! Innym zassszkodzicie!- zauważył tworzącą się kolejke przy kotłach. Machnął ręką i zostawił zdumionych chłopców.

Franek odwrócił się do Janka.

-Sssss, on ma rację! Zabijać się dla Russska! Chodź jedzenie gotowe!-

Po chwili siedzieli z wielką powagą, powoli siurpiąc zupę szczy i zagryzając ją kawałkiem chleba.

Przez następne kilka dni Sima podwoił się. Wszędzie słychać było jego burkliwy głos przesiany masą przekleństw. Czym więcej poganiał ludzi, tym wolniej oni pracowali. Zakorka następowała za zakorką. Ludzie pracowali tylko wtedy jak Sima patrzył się na nich.

Pomimo powolności i niechęci w pracy, wielka sterta siana rosła w oczach. Wysoka i szeroka na dwie chałupy, długa na cztery, wśród głośniejszej owacji została zakończona. Niedaleko z boku zaczęto układać siano na drugiego kolosa.

Chłopcom ze zmęczenia opadały ręce. Nigdy w życiu tak nie pracowali. Dla Janka najprzyjemniejszą chwilą był moment kiedy znalazł się pod kocem. Zasnął natychmiast, dziwiąc się następnego poranka że tak szybko przeszła noc.

Chcąc nie chcąc nauczył się spać na spokojnie stojącym czarnym rumaku, który stał się jego drugim, po Kasztance przyjacielem. Zawsze dla nich miał schowane w kieszeni skórki od chleba.

Nie zdążyli jeszcze ułożyć drugiej sterty, jak Sima rozbił grupy i przydzielił ludziom inne zadania.

Rozkazał Frankowi jechać do wioski po prowiant, a furmanowi kazał zająć miejsce Franka, dając mu do pomocy syczącego mężczyznę.

Janek i Fiecia Bolejow mieli przesunąć stado koni na nowe miejsce. Długo czas jechali w ciszy. Janek z boku obserwował nowego partnera. Mocno zbudowany, w starszym wieku mężczyzna tak jak i reszta kołchoźników, zakrytą miał twarz wąsami i brodą, tylko duży czerwony nos i lekko zamdlone oczy mówiły, że za dużo zagląda do butelki. Siwo-ciemne włosy, u góry przykryte starą świecą się ze starości czapką, spadały na ramiona.

On też obserwował Janka. Pierwszy zaczął rozmowę, pytając się o Polskę. Słuchał uważnie co mówił Janek. Kiwał tylko głową.
-Da, da, da, odezwał się na koniec. Wyciągnął z pod kufajki butelkę wódki.

-Napijemy się na zdrowie! Za dobre stare czasy!- Zatrzymał konia, przyłożył butelkę do ust i po kilku długich łykach, otarł rękawem usta.

-A teraz twoja kolejka- skrzywił się podając butelkę.

Zaskoczony Janek nie wiedział co ma zrobić. Bezwiednie wziął butelkę od Fieci. Wiedział że powinien się napić, bo u nich jest taki zwyczaj.

-Ale jak się upiję to co będzie?- pomyślał- bez wódki ledwo trzymam się na koniu, a co dopiero po kilku łykach- zmartwił się.

Nie widząc innego wyjścia z sytuacji, przyłożył butelkę do ust i zatykając językiem szyjkę butelki udał że pije.

Kilka kropel dostało się do gardła. Zaszczypało tak mocno że szybko odsunął butelkę od ust i niemógl powstrzymać się od kaszlu. Fiecia roześmiał się na całego.

-To ci młodzik! Nie umie jeszcze pić. Ja w twoim wieku to mogłem wydudnić całą butelkę! A mój ojciec! Acha!

Z daleka ujrzeli stado pasących się koni. Jak na komendę podnosiły głowy do góry. Uspokojone widokiem ludzi wracały do skubania trawy.

Na swist Fieci bata, ruszyły z miejsca. Na początku kierując konie w wyznaczonym kierunku Janek i Fiecia jechali z daleka od siebie.

Fiecia co pewien czas zaglądał do butelki. Na koniec wyssał ostatnie krople. Oblizał szyjkę i odrzucił butelkę daleko od siebie.

-Hej Polak! Nie masz przypadkiem gorzałki?- podjechał usmiechając się figlarnie.

-No, jak nie! To nie! Gorąco tu Co? Oooo gorąco!- uniósł głowę do góry i wysokim głosem zaczął śpiewać.

-Maruszka moja Maruszka.-

-Towarzyszu Fiecia!- powstrzymał go Janek w obawie że przestraszy konie. Niezadowolony Fiecia że mu przeszkodził w śpiewaniu, spojżał na Janka.

-Co chcesz Polaczok?-

Przez chwilę jechali w ciszy. Janek szukał o co by się jego

zapytać nieobrazając podnieconego alkoholem temperamentu.

-No co chcesz?- zapytał po raz drugi.

-Mnie ciekawi jak wyście dostali się do Obuchowki?- zapytał niesmiało.

Nastała ponowna cisza, przerywana rżeniem koni i głuchym grzmotem końskich kopyt. Fiecia splunął kilka razy na bok i zaklął głośno.

-Ty wiesz Polaczok. Mnie tu przywieźli! Ale do dzisiaj nie wiem dlaczego. Po licho oni mnie tu przywieźli?- zdziwił się sam. Odwrócił głowę do Janka i w kapryśnym bezradnym uśmiechu ukazał czarne zepsute zęby.

-Zapakowali mnie z innymi do ciepluszki i przywieźli tutaj. Czy ty wiesz- spojrzał zdziwionymi oczyma na Janka.- Czy ty wiesz że ja do dzisiaj nie wiem za co mnie tu przywieźli- podrapał się z tyłu głowy, podsuwając czapkę pod sam nos.

-Widzisz po tylu latach człowiek się przyzwyczaił. Zapił tęsknotę gorzałką i jako tako pcha tą biedę. A żalić się nie można. Odjechał w stronę wlecących się wolno koni.

Do końca tygodnia Janek ładował siano na fure. Pracujący z boku Fiecia z dnia na dzień zmieniał się nie do poznania. Z nisko opuszczoną głową, pracował nie odpowiadając na żadne pytania. Janek widział jak przy zwijaniu papierosa trzęsły mu się ręce.

Po zakończeniu drugiej sterty siana, Sima zdecydował odesłać kilku ludzi spowrotem do wioski.

Z pierwszymi promieniami słońca Janek zabrał swoje rzeczy i usiadł przy koźle gotowej do drogi furmanki. Naraz z boku ukazała się głowa Fieci. Scisnął Jankowi rękę i odezwał półgłosem.

-Ho! Ho! Polaczok! Szkoda że tak krótko. Z tobą to się jakos dobrze pracuje. No do zobaczenia!

Mocny zapach alkoholu uderzył Janka w nos. Fiecia uśmiechnął się, odwiązał konia i prowadząc go z boku furmanki unióśł głowę do góry

i zaczął śpiewać:

-Hej naplewć! Vot naplewać!

Wstrętny komunizm nie daje nam spać!

Hej naplewć! Vot naplewać!

Zabrali nam wszystko i karzą się śmiać!

Beszczelność ich przewyższa głupota!

Widać jak wszędzie rządzi hołota!

Wolności nie dają, sami nic nie mają!

Tylko biedny naród, bardzo poniżają!

Hej naplewać! Vot naplewać!

Przygnębiony człowiek ,wódkę musi chlać!

Pozbawiony honoru, pozbawiony wolności!

Butelka na stole-aż do starości!

Zapili kraj i zniszą świat!

Bo głupi człowiek ma za dużo wad!

Zgrzytanie zębów, nie ma co się śmiać!

Hej naplewać! Vot naplewać!

Janek słuchał i nie wierzył własnym uszom. Rozejrzał się dookoła, czy nikt inny nie słyszał śpiewającego Fieci.

Od strony kuchni zauważył idącego w ich stronę Sime. Chciał w jakiś sposób uprzedzić Fiecie, ale on jakby na znak wskoczył na konia i wolno jadąc zaczął śpiewać inną piosenkę.

-Jabłuszko, jabłuszko kuda ty kocisz się, popadziosz w ciurmu, nie warocisz się- mrugnął do Janka i uderzył obcasami konia.

Głośny krzyk Simy ocknął Janka.

-Furmanka na was nie będzie czekała! W wiosce pełno roboty a wy grzebiecie się jak na kułackie wesele!- huknął na wychodzących z wagonu ludzi.

Po kilku minutach sapania i przekleństw, trzech ludzi usiadło na

wozie, furman złapał za bat. Ostry swist i furmanka podskakując na nierównym stepie zanurzyła się w wysoką trawę i po kilku minutach wjechali w koleiny drogi do wioski. Słoneczne promienie otoczyły ich, pieszcząc delikatnym cipkiem, jakby chciały załagodzić złe humory głodnych ludzi.

Sniadania nie dostali. Boris nie zdążył zagotować na czas wodę. A Sima w wielkim pośpiechu zapomniał dać im po kromce chleba.

Jankowi zrobiło się smutno. Nie pożegnał się z Frankiem. -Napewno daleko na stepach pilnuje konie- myślał przyglądając się jak wielki wagon kolejowy powoli schował się na horyzacie.

XXIX

Z pierwszymi promieniami słońca Janek zerwał się z łóżka. Ubrał się prędko, obmył twarz i cichutko nie budząc nikogo opuścił dom. Szybkim krokiem doszedł do stajni, gdzie już grupa ludzi pod nazorem Vasila Wykiwajly uwijała się zaprzegając po dwa woły do wozów.

Kołchoz musiał dostarczyć dwunastu ludzi, do pracy w lesie. Zadaniem ich było pościnać naznaczone drzewa, oczyścić je z gałęzi i dostarczyć do leśniczówki. W zamian za to kołchoz miał otrzymać materiał na ramy do drzwi i okien.

Szukającego pracę Janka, Vasil dołączył do grupy jadących na kilka tygodni do lasu ludzi.

Od stojącego z boku starego Miszy dowiedzieli się, że sam Vasil będzie zarządzał ludzmi.

-Jedzie! Odrazu widać że coś nie tak. Wybrał sobie Sime Lisowa za kucharza. Napewno coś zwąchali! Tamten dwa dni temu przyjechał ze stepu. Ale co tam mnie! Dobrze bo nie będę widział Vasila przez całe

trzy albo i więcej tygodni. No trzymaj się!- poklepał Janka po ramieniu i dyskretnie schował się za ścianą stajni.

Wozy wyjechały na ulicę Stalina i skreśliły w kierunku południa, minęły chałupy, duże zaorane pole, topograficzna wieżyczka po lewej stronie drogi i dostali się na bardzo mało używaną polną drogę, która ginęła gdzieś daleko, daleko na horyzacie. Jechali trzema wozami, po czterech ludzi na wozie.

Złotowłosey młodzieniec z Jankem zajęli miejsce na koźle. Zwiesił nogi na dół i huśtał nimi, w miarę kołysania się wozu.

-Ja ciebie znam! Twoje imię Janek. Prawda?- odezwał się i nie czekając na Janka odpowiedź mówił dalej.

-Ja urodziłem się w Obuchowce i wszystkich znam. Nawet Polaków co tu przyjechali razem z tobą.- Uśmiechnął się i widząc zdumioną minę Janka uniósł głowę do góry.

-Ja pracowałem z Frankiem na stepie. Od niego dowiedziałem się o tobie. Ja tam pracowałem niedługo. Vasil potrzebował kogoś do obliczania.

Zdziwiony Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Po chwili zastanowienia zapytał się.

-Jak twoje imię?-

-Grysha Lubow- odpowiedział waląc patykami wola po lewej stronie.

-Cob! Cob! Cob!- wołał zmuszając stworzenie do wyrownania się z drogą.

-Franek mówił mi że twój ojciec był aptekarzem. Czy to prawda?

Spojrzał z ciekawością na Janka.

-Prawda- odpowiedział Janek.

-Dlaczego go aresztowali? Dlaczego?-

Janek spojrzał do tyłu. Mężczyźni rozwaleni na sianie głośno chrapali. Upewniony że ich nikt nie słyszy odwrócił się do Gryszy.

-Grysha, powiedz mi co się stało z twoim ojcem?-

trzy albo i więcej tygodni. No trzymaj się!- poklepał Janka po ramieniu i dyskretnie schował się za ścianą stajni.

Wozy wyjechały na ulicę Stalina i skreśliły w kierunku południa, minęły chałupy, duże zaorane pole, topograficzna wieżyczka po lewej stronie drogi i dostali się na bardzo mało używaną polną drogę, która ginęła gdzieś daleko, daleko na horyzacie. Jechali trzema wozami, po czterech ludzi na wozie.

Złotowłosey młodzieniec z Jankem zajęli miejsce na koźle. Zwiesił nogi na dół i huśtał nimi, w miarę kołysania się wozu.

-Ja ciebie znam! Twoje imię Janek. Prawda?- odezwał się i nie czekając na Janka odpowiedź mówił dalej.

-Ja urodziłem się w Obuchowce i wszystkich znam. Nawet Polaków co tu przyjechali razem z tobą.- Uśmiechnął się i widząc zdumioną minę Janka uniósł głowę do góry.

-Ja pracowałem z Frankiem na stepie. Od niego dowiedziałem się o tobie. Ja tam pracowałem niedługo. Vasil potrzebował kogoś do obliczania.

Zdziwiony Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Po chwili zastanowienia zapytał się.

-Jak twoje imię?-

-Grysha Lubow- odpowiedział waląc patykami wola po lewej stronie.

-Cob! Cob! Cob!- wołał zmuszając stworzenie do wyrownania się z drogą.

-Franek mówił mi że twój ojciec był aptekarzem. Czy to prawda?

Spojrzał z ciekawością na Janka.

-Prawda- odpowiedział Janek.

-Dlaczego go aresztowali? Dlaczego?-

Janek spojrzał do tyłu. Mężczyźni rozwaleni na sianie głośno chrapali. Upewniony że ich nikt nie słyszy odwrócił się do Gryshy.

-Grysha, powiedz mi co się stało z twoim ojcem?-

trzy albo i więcej tygodni. No trzymaj się!- poklepał Janka po ramieniu i dyskretnie schował się za ścianą stajni.

Wozy wyjechały na ulicę Stalina i skreśliły w kierunku południa, minęły chałupy, duże zaorane pole, topograficzna wieżyczka po lewej stronie drogi i dostali się na bardzo mało używaną polną drogę, która ginęła gdzieś daleko, daleko na horyzacie. Jechali trzema wozami, po czterech ludzi na wozie.

Złotowłosey młodzieniec z Jankem zajęli miejsce na koźle. Zwiesił nogi na dół i huśtał nimi, w miarę kołysania się wozu.

-Ja ciebie znam! Twoje imię Janek. Prawda?- odezwał się i nie czekając na Janka odpowiedź mówił dalej.

-Ja urodziłem się w Obuchowce i wszystkich znam. Nawet Polaków co tu przyjechali razem z tobą.- Uśmiechnął się i widząc zdumioną minę Janka uniósł głowę do góry.

-Ja pracowałem z Frankiem na stepie. Od niego dowiedziałem się o tobie. Ja tam pracowałem niedługo. Vasil potrzebował kogoś do obliczania.

Zdziwiony Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Po chwili zastanowienia zapytał się.

-Jak twoje imię?-

-Gryśza Lubow- odpowiedział waląc patykami wola po lewej stronie.

-Cob! Cob! Cob!- wołał zmuszając stworzenie do wyrownania się z drogą.

-Franek mówił mi że twój ojciec był aptekarzem. Czy to prawda?

Spojrzał z ciekawością na Janka.

-Prawda- odpowiedział Janek.

-Dlaczego go aresztowali? Dlaczego?-

Janek spojrzał do tyłu. Mężczyźni rozwaleni na sianie głośno chrapali. Upewniony że ich nikt nie słyszy odwrócił się do Gryśzy.

-Gryśza, powiedz mi co się stało z twoim ojcem?-

To nagłe zapytanie zaskoczyło młodego blondyna. Patrząc bokiem na Janka zapytał sciszonym głosem.

-A co ty o nim wiesz?

-No nie, ja o nim nic nie wiem. Dlaczego?

Zmieszany trochę i zdziwony Grysza z niechęcią spojrział na Janka. -Zginął podczas rewolucji. Ja nie wiem co się z nim stało. Tylko moja matka i ja żyjemy. Ojciec i starszy brat jednego dnia poszli do roboty i nie wrocili do domu. Ostrzeżona przez ludzi matka, przyjechała tu do ciotki. No i tu mieszkamy. Ale ja się pytam o twojego ojca?-

Janek długo patrzył się na step, starając się zatrzymać wzrok na jakimś stałym punkcie. Nie wiedział co ma powiedzieć. Znudzony czekaniem Grysza uderzył go po przyjacielsku po ramieniu.

-Nie martw się, my jesteśmy dobrzy ludzie, napewno zaszła jakaś pomyłka. Może ktos coś nagadał? No wiesz jacy to są ludzie.-

-Pomyłka?- przerwał mu Janek.

-Grysza ty mówisz o tysiącach ludzi. Tysiącach polskich rodzin. To nie pomyłka, to jest świadome niszczenie narodu.-

Zaambarasowany Grysza podrapał się po głowie. Uderzył kilka razy byka po lewej stronie, obejrzał się i szturchnął Janka.

-Ale musisz przyznać mi rację że tu u nas jest o wiele lepiej niż w innych państwach. Widzisz sam jaką mamy wysoką kulturę.

-Och Grysza! Czy ty nie słyszałeś o starych carskich czasach? Nie czytałeś książek, starych gazet, żurnali? Czy ty nie wiesz jak ludzie żyją zagranicą?

-Nie- odpowiedział krótko Grysza.

-Ty tak samo jak i Toni, Wiecie tylko to co wam w szkole nagadają i nie wiecie co się dzieje na świecie. Dlaczego?

-Ja jestem za młody. Nie wiem jak dawniej było. Matka nie chce nic mówić. Książki? podrapał się w głowę.

-My starych ksiązek ani starych gazet nie mamy. Podobno w nich było tyle kłamstwa że je ludzie popalili.

-Komunistci! nie ludzie- poprawił go Janek.

-No nie, to właściwie konsomolcy- kiwnął głową.

-No to ty powiedz mnie jak to u was było- zaciekawiał się Grysza.

-Ty musisz wiedzieć że Polska odzyskała wolność dwadzieścia lat temu. Zniszczona wojną musiała się odbudować. Ludzie byli bogaci i biedni. Ale u nas była wolność, mogłeś chodź do takiego kościoła jaką sobie religię wybrałeś, mogłeś kupować, sprzedawać, jeździć gdzie tylko chciałeś, pracować gdzie ci się podobało, bez żadnych pozwoleń od rządu. No i jak kto był pracowity i oszczędny to miał więcej niż potrzeba.

-O! Zapomniałeś o tych co wyzyskiwali biednych. O burżujach! W szkole nam mówili że burżuje wyzyskiwali ludzi. W Ameryce zaganiają murzynów do pługów zamiast koni czy byków. Mówili nam że ludzie z głodu umierają na ulicach, a burżuje bawią się i jeżdżą samochodami- upierał się Grysza.

-Tak Grysza ja widziałem ten olbrzymi, barwny plakat niedaleko młynu na którym murzyn zaprzężony jest do pługu a wujek Sam, jak to go Amerykanie nazywają, stoi nad nim z batem. Ale to propaganda.

Tak samo jak ten plakat po drugiej stronie sklepu! Japończyk z ręką wystawioną spoza muru, a rosyjski żołnierz kłuje ją bagnetem. Wy nie macie wojny z Japonją, Po co ta propaganda? U nas plakaty są jako ogłoszenia. Oglaszają co grają w kinach albo co sprzedają w sklepach. Ty wiesz z kim by się u was nie rozmawiało, zawsze słyszy się o burżujach. Takich jak ty określasz burżuji można było policzyć na palcach, a tu cały naród za nich pokutuje.-

-Wiesz co Janek, ty to sobie mów co chcesz, ale nasz nauczyciel tłumaczył nam, że u nas to tak jak w wielkiej rodzinie, rząd zastępuje

rodziców a my wszyscy jesteśmy dziećmi!- spojrzał dumnie na Janka.

Przez pewien czas jechali nic nie mówiąc. Od czasu do czasu słychać było świst tańczącego wiatru i miarowe uderzenia kopyt wołów.

-Mam rację! Mam rację!- zaśmiał się Grysza.

-Tak! Tak Grysza masz rację. Tak jak u dzieci w rodzinie. Ale wiesz co! Ty nie będziesz zawsze dzieckiem. Praca, jedzenie, i jakaś zabawka to nie wszystko. Najważniejszą rzeczą to jest osobista wolność!-

-Janek! Ty teraz mówisz tak jak moja matka. Ja tego nie mogę zrozumieć! O jakiej wolności ty mówisz?

-O wolności mowy, religji. Człowiek powinien pracować gdzie mu się podoba, albo mieć swój interes, tak jak twój ojciec, a nie gdzie mu karzą. Ubierać się tak jak chce! Jeździć gdzie chce bez pozwolenia od rządu. I żeby nikt nie zaglądał do jego kieszeni, ile ma pieniędzy. To jego interes, a nie państwa.-

-Fiu! Fiu! Fiu! Ty to za dużo sobie życzysz. Tak nigdzie nie ma! Człowiek musi być kontrolowany i to cały czas. Żeby jeden drugiego nie wyzyskiwał. Fiu! Fiu!- zaśmiał się Grysza.

-Grysza u was nie wolno nawet iść do kościoła! Pomodlić się do Pana Boga!- denerwował się Janek.

-Cicho!- przerwał mu Grysza. Wskazał palcem, jak jeden ze śpiących przekręcił się na bok i przestał chrapać.

Przygnębiony sprzeczką Janek, odwrócił się do tyłu. Wioska dawno zniknęła za horyzontem. Nie było już widać unoszącego się dymu z kominów. Wysoka bujna trawa otaczała ich dookoła wciskając się tu i tam w polną drogę po której jechali.

Pomimo że tyle razy był na stepach, nie mógł się przyzwycząić do tego niekończącego się morza trawy.

krzykliwy głos z furmanki na przodzie ocknął jadących w ciszy chłopców.

-Wasza kolejka! Wasza kolejka!- wołał ktoś grubym głosem. Grysza uniósł głowę do góry. Podniósł kij i uderzył woła po lewej stronie.

-Cob! Cob! Cob! Zawołał głośno. Woły skręciły w prawo, ominęły furmanki i zajęły pierwsze miejsce.

-Teraz my będziemy prowadzili- odezwał się Grysza poganiając zwierzęta.

-Pierwsze woły trzeba stałe pilnować, bo mogą zawrócić spowrotem do wioski. Te z tyłu będą szły za nami bez kłopotu. Coba! Coba!- zawołał bijąc woła po prawej stronie.

-A może ty spróbujesz je prowadzić?- podał kij Jankowi.

-Pamiętaj jak skrecasz w lewo, to bij woła po prawej stronie i wołaj "coba", a jak chcesz skrecić w prawo to bij woła po lewej stronie i wołaj "cob". No ale żeby szły równo to uderz raz jednego a drugi raz drugiego. Mocniej tego co wolniej idzie.- założył czapkę na głowę.

-Pamiętaj to nie konie. Kierujesz i poganasz jednym patykiem.-

Patrząc się jak Janek stara się je przyspieszyć, zaśmiał się głośno.

-One już mają swoje wrodzone tempo. Uważaj tylko żeby nie stanęły. No! dasz sobie radę?

-Dam- odpowiedział krótko Janek.

-No jak dasz sobie radę to ja trochę się prześpię- ziewając na całego zsunął się z kozła, zwinął w kłębek na miękkim sienie. Chwila nie minęła jak dołączył się do chrapiących mężczyzn.

Ciepłe słońce powolutku przesunęło się na niebie grzejąc coraz mocniej. Ciepło jego i monotoność terenu męczyły niesamowicie. Ciężkie powieki jak żelazne zaslony spadały co pewien czas kiwającemu się na kozle Jankowi. Mocny podskok wozu ocknął go.

-Jeszcze zlecę z wozu!- wzdrygnął się, i rozejrzał dookoła.

-Trawa! Trawa! Trawa! Ale co to?- mruknął zdziwiony. Tu i tam zielona

trawa zaczęła zamieniać się na jasno brązową. Ocknął się zupełnie.

Powoli wjechali na wysuszony step. Sucha trawa otaczała ich ze wszystkich stron. Obejrzał się do tyłu. On tylko jeden siedział na koźle. Reszta ludzi spała na wozach. Prowadził całą kolumnę i nie wiedział gdzie. Uśmiechnął się. Uderzył lekko woła po prawej stronie.
-Coba! Coba!- zawołał.

-Cob! Cob!- poprawił cicho.

-Tu napewno nie było deszczu. Najmniejsza iskierka spowodować może pożar.

Włożył rękę do kieszeni, scisnął mocno pudełko z zapalnikami. Długo myślał co by on zrobił w razie pożaru. Słońce znalazło się tuż nad jego głową.

-Nie śpisz?- usłyszał głos za sobą.

Janek nic nie odpowiedział. Zrobił miejsce dla grabiącego się na kozioł Gryszy.

-Jak nie śpisz to dlaczego nas nie obudzisz? Popatrz na słońce. Południe! Czas do jedzenia!

-Do jedzenia? powiedz, gdzie i jak mam zatrzymać te woly?

-O nie! Nie zatrzymuj je- zaśmiał się Grysza.

-Hej! Sima! Sima! Dwunasta godzina! Południe!- zawołał głośno do tyłu.

Z ostatniego wozu zeskoczył znany Jankowi Sima Lisow. Z workien na plecach, żwawym krokiem wyprzedził wozy. Nie mówiąc ani słowa, zaczynając od Gryszy podał każdemu po kromce chleba.

-Grysza ! On nie dał nam nic do picia!- zdziwił się Janek widząc jak Sima wskoczył spowrotem na wóz i zabrał się do jedzenia.

-Nie martw się! Na wozie trudno pić. Napewno byś ją rozlał. Gorącą zupę dostaniemy jak tylko dojedziemy do wioski. No ale teraz ty idź spać. Moja kolejka kiwania się na koźle.

Ale Janek nie mógł zasnąć. Ułożył się wygodnie na sianie i

zmęczonymi oczyma wodził po dalekim horyzoncie.

Słońce powoli zatoczyło wielkie koło na niebie, i zbliżyło się do zachodniego horyzontu.

-Popatrz Janek! Popatrz!- usłyszał głos Gryszy.

Daleko na stepie zobaczyli cieniutkie niteczki unoszącego się do góry dymu. Pod nimi delikatne zarysy wioski, która w miarę zbliżania się zmieniając kształty rosła jak w zaczarowanej bajce.

Nawet woły odczuły jej obecność i przyspieszyły kroku.

-Janek pomóż mi. Kieruj wołami, a ja dowiem się gdzie mamy skręcać- zawołał podniecony Grysza.

Z zachodzącym słońcem wjechali pomiędzy gliniane domki. Ani w wielkości, ani w budowie nie różniły się one od domów w Obuchowce.

Z jednego domu wybiegła kobieta z dzieckiem na ręku. Wokając coś niezrozumiałego przebiegła na drugą stronę ulicy.

Chuda jej postać ledwie utrzymywała szare zużyte ubranie. Dwie inne kobiety dogoniły ją i trzymając pod ramionami wciągnęły do chałupy. Kobieta nie opierała się, tylko głośno rzewnie płakała.

Chałas ten obudził jadących. Mężczyźni unieśli głowy do góry. Zaspianymi oczyma patrzyli i pytali jeden drugiego co się stało.

Na końcu wioski wjechali na wielkie podwórko na końcu którego stał duży ceglany budynek. Z boku przy jednej ścianie, zlepią z glinianych cegieł kuchnia zwróciła wszystkich uwagę.

Sima ustawił na niej okrągły kocioł. Grysza i Janek czerpiąc z pobliskiej studni, naleli do niego wodę. Sima ułożył pod kotłem porąbane drzewo i podpalił je. Zanim woda się zagotowała wrzucił pokrajaną kapustę, kartofle i dołożył małe kawałeczki mięsa. Przyjemny zapach gotującej się zupy wypełnił podwórko.

Mężczyźni usiedli na długiej kłodzie, i tak znana Jankowi cisza nastąpiła podczas jedzenia.

Wielki księżyc ukazał się na niebie. Mocne jego światło oblało domy ulice i jedzących ludzi.

Z za budynku po drugiej stronie podwórka wysunęła się smukła postać kobiety. Wolno jakby wahając się w swojej decyzji zbliżyła się do siedzącego na samym końcu mężczyzny. Cichym drżącym głosem poprosiła o kawałek chleba.

Vasil zeskoczył z wozu. i szybko podszedł do kobiety.

-Co ty chcesz?- zapytał ostro.

-Kawałeczek chleba. Coś do zjedzenia- odpowiedziała cicho.

-U nas kto nie pracuje to nie je!- huknął głośno Vasil.

Kobieta odwróciła się do Vasila. Patrząc prosto mu w oczy odezwała się niskim spokojnym głosem.

-Co ty chcesz? Towarzyszu! Tu jest Kirgizka wioska. Roboty dla nas nie ma. Jedzenia jak nie zamienisz na jakąś szmatę czy odzież to nie dostaniesz. Nawet za ruble. Oni nie umieją się gospodarzyć, sami przymierają głodem. Kilka Polskich kobiet co tu przywiezli, wszystko im oddały i jedna po drugiej poumierały. One nie pierwsze i nie ostatnie. Widziałas tą kobietę na ulicy? Ostatnie dziecko jej umarło. Zwariowała i nie chce je pochować. Jej siostra uciekła do innej wioski to ją spowrotem tu przywieźli. Przesiedlili nas tu, to musimy tu siedzieć. Powoli umierać z głodu. Nie ma nawet do kogo udać się na skargę. I za co? Co ja komu złego zrobiłam?- wielkie jak groch łzy potoczyły się po jej pomarszczonych policzkach. Vasil machnął bezradnie ręką, splunął na bok i odszedł.

Zimny dreszcz wstrząsnął Jankem. Okropny obraz beznadziejnej przyszłości stanął mu przed oczyma. Oni też zamieniali przywiezione z Polski rzeczy na jedzenie. Na jak długo ich im wystarczy? A potem co? głód.

Tak strasznie urodzajna ziemia, która mogła by wykarmić cały świat!

Zignorowana, nie wykorzystana, przez głupotę i sadyzm egoistycznych fanatyków, chowa tylko ciała pomordowanych głodem ludzi. Spojrzył na kawałek chleba, który nie zdążył jeszcze zjeść.

-Tu macie- wyksztusił podając kobiecie chleb. Kilku innych mężczyzn oddało jej swoją porcję chleba, który ona szybko schowała do małego worka. Podziękowała i zniknęła pomiędzy chłupami.

Janek nigdy nie wiedział tak bardzo spieszących się kołchoźników. W kilku minutach byli gotowi do drogi. W wielkim pośpiechu nie zauważyli jak Vasil z workiem pod pachą zniknął za ścianą domu. Wrócił z zadowolonym uśmiechem na twarzy.

Meżczyzni zajęli miejsca na wozach, i w świetle księżyca i gwiazd opuscili wioskę. Późno w nocy zatrzymali się żeby nakarmić i napić woły. Meżczyzni którzy spali cały dzień, zajęli ich miejsce na koźle.

Zmęczony dniem Janek położył się wygodnie na sianie. Nie wiedział kiedy zasnął. Ostre promienie poranego słońca obudziły go. Furmanki stały w półkolu. Odprężone woły pasły się na ciemnozielonej trawie. W środku półkola na wykopanej w ziemi jamie stał kocioł. Przyjemny zapach herbaty mieszał się z dymem palącego drzewa.

Leżący z boku Grysza wyciągnął się na całego. Głośno ziewnął i wciągnął kilka razy nosem powietrze.

-Herbata! Dobrze pachnie. Chodź napijemy się i coś przegryziemy bo ja strasznie jestem głodny.-

Janek zeskoczył z wozu zadowolony że nie tylko on czuje się zawsze głodnym.

-Widocznie to epidemia narodu- postawił blaszany kubek z gorącą herbatą na trawie.

-Grysza? Dlaczego tu wszyscy lubią parzyć się herbatą?

-Nie wiem. Ale mówią że czym gorętsza tym lepsza. Trzeba umieć pić gorącą herbatę tak żeby się nie poparzyć- zaśmiał się wesoło.

Po porannym posiłku długo jechali po niekończącej się płaszczyźnie. Godzina wlokła się za godziną. Drewniany koziół na którym siedzieli wydawał się coraz to twardszy.

Od rana zajmowali pierwsze miejsce. Wołów nie trzeba było poganiać. Ciągnęły wozy równo po drodze jakby wiedziały gdzie idą. Co pewien czas Janek kapał się na drzemaniu.

Musiało być południe, bo ujrzał wesołą twarz Gryszy trzymającego dwa wielkie kawały chleba. Bez słowa wtopił zęby w kromkę razowca.

Po zaspokojeniu głodnego żołądka rozejrzał się. Jak okiem sięgnąć, otoczeni byli bujną ciemnozieloną trawą.

Gdzieś daleko na przodzie zauważył cieniutkie niteczki dymu. Powoli dojechali do miejsca z którego można było odróżnić zarysy budynków otoczonych drzewami.

Jankowi serce забиło mocno. Coś scisnęło za gardło. Tęsknota za drzewami odezwała się z niesamowitą mocą. Patrzył na zbliżające klony, buki, dęby i białą jak śnieg korę brzozy. czuł jak łzy napływają mu do oczu.

Budynek okazał się o wiele większym niż wyglądał z daleka. Jeden z mężczyzn usiadł na koźle kolo Janka. Szturchnął go lekko łokciem.

-To miejsce należało do burżuja- odezwał się głębokim basem.

-Widzisz tam! Tam- wskazał ręką kilka grobów otoczonych drewnianym płotem.

-Tam są oni wszyscy pochowani.

-Tak! Tak!- potwierdził jego przyjaciel Usiadł na sianie z boku koźła.

-Tak! Razem z dziećmi wyprowadzili ich za stodołę i roztrzelali. Ktoś inny ich pochował. Ale do dzisiaj nie wiedzą kto tam sadzi kwiaty.

Poprawił się żeby lepiej widział.

-I za co?- zapytał cicho Janek.

-Och!- Skrzywił się mężczyzna siedzący z boku.

-Niby za to że byli burżujami!- spuścił głowę dodołu.

-Tak! Tak! Nikt nie wie- odezwał się cichym głosem zagrzebany po same uszy w sianie Grysza.

Tylko jeden wóz z Vasilem wjechał na podwórko. Vasil dał ludziom znak żeby poczekali na wozie. Sam zeskoczył i szybko wbiegł po schodach na werandę. Po kilku minutach wrócił w towarzystwie dwóch mężczyzn.

-Acha! Vasil dostał pomoc- mruknął siedzący z boku Janka mężczyzna.

Wozy ruszyły w dalszą drogę. Przed nimi ukazała się linja strzelających w górę drzew.

Jankowi na nowo scisnęło się coś w gardle, a oczy napełniły łzami. Powoli zagłębili się w coraz to gęstszy las. Nie był on taki wspaniały jak iglasty w Druskienikach, ale liściasty taki sam, jaki widział niedaleko Grodna.

Patrzył się z szeroko otwartymi oczyma starając się nie przepuścić ani jednego drzewka. Cieszył się pięknoscią natury.

Srebrzysty strumyk błysnął pomiędzy drzewami. Zniknął i ukazał się znowu, jakby bawił się w chowanego. Po chwili rozlał się szeroko po piaskiej polanie dając wozom możliwość przedostania się na jego drugą stronę. Na znak jednego z przybyłych mężczyzn, wozy skręciły z drogi i po kilku podskokach na wystających korzeniach wyjechali na polanę.

Furmanki zatrzymały się jedna przy drugiej i przez chwilę zapanował wielki bałagan. Ludzie szukali miejsca gdzie by położyć rzeczy do spania.

Vasil wyznaczył kilku ludzi do pomocy Simie. Ustawili kotły na kamieniach i podkopali rów na ognisko. Kilku innych nalało wodę do kotłów.

Suchego drzewa nie trzeba było szukać. Na najbliższym pniu porąbali leżące dookoła gałęzie na krótkie kawałki. Sima ułożył je pod

kotiami i wielkim zadowoleniem wyciągnął z kieszeni zapałki. Kilka dmuchnięć i suche patyki paliły się trzeszcząc i co pewien czas strzelając niebieskimi płomykami.

Janek pomagał Gryszy przy wołach. Trzymając za okrągłe koła w wypalonych dziurach nosa Jeden po drugim zaprowadzili do płynącego z boku strumyka Po napojeniu przywiązali je na długim sznurze do gałęzi drzewa, dookoła którego rosła wysoka, bujna trawa.

Głośne przeklinanie Vasila rozległo się po całym lesie. Zaskoczeni tym ludzie zbiegli się na polanę. Przy wozie z prowiantem stał Vasil. Czerwony na twarzy jak burak, trzymał się za nos. Przeklinając bez przerwy wskazał ręką worek z mięsem.

Sima powoli odwiązał sznurek. Nieprzyjemny zapach zepsutego mięsa wypełniło powietrze. Mężczyźni odstąpili do tyłu. Nastąpiła nieprzyjemna cisza. To mięso miało wystarczyć na trzy tygodnie.

-Dali nam stare mięso- odezwał się jeden z grupy.

-Stare! Smierdzące!- wrzasnął nerwowo Vasil.

-Będziemy głodować- zapiszczał ktoś inny.

-Głodować to nie! Mamy ziemniaki kapustę i chleb. A z miesem to ja wiem co zrobimy. Nie jest tak złe!- zawołał Sima. Rzucił worek z mięsem pod wagonem i wrócił spowrotem do kotłów. Przygnębieni ludzie, mrużąc coś pod nosami powrócili do swoich zajęć.

Do Janka zbliżył się Grysza. Mrugnął okiem i odezwał się cicho.

-Chodź za mną. Nic nie mów! Chodź!

Idąc za Gryszą Janek, nie mógł zrozumieć jak ci ludzie swoją niedbałością szkodzą jeden drugiemu.

Grysza zatrzymał się przy strumyku. Zaczął uważnie przyglądać się drzewom. Z uśmiechem zadowolenia wskazał Jankowi, po drugiej stronie strumyka mała brzozę. Przeskakując z kamienia na kamień dostali się na drugą stronę.

Gryśza z bliska obejrzał drzewko. Wyciągnął z pod cholewy ostry nóż. Nadciął korę w kilku miejscach i sciągnął długi kawał.

Janek przyglądał się tej operacji z wielkim zainteresowaniem. z podaną mu korą nie wiedział co ma robić.

Widząc jego zażenowanie, Gryśza zaśmiał się. Podeszedł do strumyku wypłukał korę i włożył ją do ust. Przez pewien czas żuł. Po chwili usiadł na skarpie i patrząc na bystrą wodę strumyka odezwał.

-Nas to w szkole nauczyli. Nie matrw się z głodu nie umrzemy.-

-Wisz co Gryśza! Ja taką korę probowałem bardzo dawno temu. U nas na wsi. Smakowała, bo była gotowana z cukrem.

Gryśza przestał żuć. Spojrzał na Janka z ukosa.

-Co ty! W cukrze. Ja cukru nie widziałem cale sześć miesięcy. Zresztą z cukrem czy bez cukru, nie mamy w wczem gotować.

Z boku wyskaczył zajac. Janek złapał leżący z boku kij i rzucił nim jak dzida w stronę zajaca. Przestaszony zajac odskoczył na bok i schował się w krzaku.

-Och! Żebym miał fuzję!- zawołał rozczarowany.

-Fuzję? Fuzję! Co ty mówisz! U nas nie wolno mieć broni. Nawet nie wszyscy partyjni mają pozwolenie na fuzję. A co dopiero ty!- na Gryśzy twarzy ukazało się wielkie zdumienie.

Nie znajdując słów pociechy, Janek podniósł większy kij. Ostrożnie zbliżył się do krzaków. Uniósł kij do góry i zniknął pomiędzy krzakami. Wrócił z uśmiechem na twarzy.

-Hej Gryśza! Skakać za zajacem to nie potrafię, ale zbierać grzyby i jagody to umiem. Widziałem kilka maślaków, Ale znalazłem coś innego. Pokazał całą garść jagód.

Przestraszony Gryśza zerwał się na nogi.

-O! Nie! Nie! Janek! Nie jedz! One mogą być trujące! Tu ludzie poumierali! Jedli jagody, grzyby i potruli się na śmierć!

-Grysza! To są jadalne jagody. My zbieraliśmy je w Polsce. Trujące jagody mają inne listki i ptaki je nie jedzą. A grzyby to trzeba się na nich znać! Wiedzieć który jadalny a który trujący. Jak nie jesteś pewny to zagotój je z cebulą. Jak cebula zrobi się czarna to lepiej ich nie jedz. Czy was w szkole tego nie uczyli? Te jagody smakują o wiele lepiej niż kora z zadrami- włożył kilka jagód do ust.

-No dobrze, dobrze, Jak ty nie umrzesz to ja je sprubuję. Ale teraz musimy wracać do wozów. Robi się ciemno.- Mruknął Grysza z powagą patrząc na Janka.

Janek widział jak Grysza walczył z obawą i pokusą. Z dziwną miną na twarzy patrzył się jak jagody, szybko poznikaly z Janka ręki.

Przy kotłach stała kolejka. Dołączyli się do niej. Dostali po misce postnej zupy szczy, kromce chleba i kubku zagotawanej wody.

-A co się stało z herbatą?- zapytał jeden z mężczyzn.

Siedzący z boku Vasil uniósł głowę do góry. Otarł spocone czoło i spojżał ostro na ludzi.

-Kto się pyta! kto się pyta!- zawołał złośliwie.

Nie dostając odpowiedzi wstał.

-Herbatę ktoś źle zawiązał i rozsypała się po drodze. Jutro Sima oczyści mięso, pokroi i wysuszy na słońcu. Zajmie to kilka dni. Tymczasem mamy kapustę kartofle i chleb. Przyjechalismy tu do pracy a nie na odpoczynek. O jedzeniu nie chcę więcej słyszeć.

Wyciągnął woreczek z tytoniem. Nerwowo rozsypując część tutoniu skręcił papierosa. Sima prędko wyciągnął spod kotła palący się kawałek patyka i podał Vasilowi.

Vasil zapalił papierosa, zdmucnął ogień palącego się patyka i odrzucił w stronę kotłów. Spojżał na siedzących w ciszy ludzi.

-Mamy mało czasu a dużo roboty. Jutro rano zaczynamy pracować.- Podszedł do wozu, zciągnął zawinięte koce i zniknął w ciemności nocy.

Ostry nieprzyjemny zapach obudził Janka. Powoli otworzył oczy, i uniósł głowę do góry.

Słońce tylko co ukazało się na niebie. Ciepłe jego promienie suszyły pokryte bogatą rosą, liście drzew i krzaków.

Janek spał pod wozem. Widocznie w nocy padał deszcz, bo inni mężczyźni wcisnęli się pod wóz po obydwu jego stronach.

Ostrożnie, starając się nikogo nie obudzić, wyczołgał się spod wozu.

Poranny wiatr przyniósł nową falę smierzącego powietrza. Spojął w kierunku kuchni.

Za kuchnią, po drugiej stronie strumyka z grubą szmatą na nosie Sima, krajał mięso i nawlekał je na sznur. Widocznie robota była zakończona. Sima wypłukał mięso w strumyku, przyczepił jeden koniec sznura do wystającej gałęzi, rozwinął sznór z mięsem i przywiązał drugi jego koniec do smukłej brzozy. W kilku długich susach przeskoczył strumyk, zarwał z nosa szmatę, i plując co kilka kroków pobiegł a stronę kuchni.

Głośnie ziewanie ocknęło, z ciekawością przygladającemu się tej robocie, Janka.

-Smierdzi! Co? Ale ja wiem że ty jeszcze żyjesz!- ułyszał Grysę.

-No to jak ty jeszcze żyjesz, to teraz mamy czas na zbieranie jagód. Vasil lubi długo spać, a Sima nie zapalił jeszcze ognia pod kotłami. Podał Jankowi wielki blaszany kubek.

-Do niego nazbieraj jagody na kolację. Po pracy będziemy za zmęczeni żeby je zbierać.

Przeskoczyli strumyk i zagłębili się w obsypane jagodami krzaki.

Grysa raz po raz wkładał sobie całą garść jagód do ust. Mlaskając głośno z zadowoleniem śmiał się do Janka.

-Dlaczego wczoraj nie przekonałeś mnie że one są takie dobre.

Ja widzę że my nie zginiemy z głodu.

-Grysza! Grysza! Ja myślę że jest czas wracać. Jak się spuzimy to nie dostaniemy chleba.-

Grysza z niechęcią przytaknął mu głowa.

-Chodźmy- burknął pod nosem.

Wrocili w samą porę. Sima podał im po kromce chleba i nalał gorącej wody do kubków. Po krótkim śniadaniu Vasil pogonił ludzi do roboty.

Janek z kilkoma innymi mężczyznami miał oczyszczać ścięte drzewa z gałęzi. Dostał ostrą siekierę i a wielkim zapałem podążył za innymi do lasu. Niedaleko od miejsca gdzie nocowali, pierwsza grupa zaczęła scinać zaznaczone kredą drzewa. Druga grupa czekała z boku na swoją kolejkę.

Do siedzącego Janka zbilżył się mężczyzna który jechał z nim na koźle. Usiadł z boku, zakrecił papierosa i spojrzał na Janka.

-Czy mogę ci cos powiedzieć?- zapytał grubym głosem.

-Oczywiscie.

-Ty lepiej za dużo nie narzekaj do tego młodego Gryszy.

-Ja nic złego nie mówiłem i nie myślę żeby on na mnie coś powiedział!

-On to nie! Ale nauczycielowie potrafią wszystko z niego wyciągnąć.

-No to dowiedzą się o starym mięsie, co nam dali w kołchozie.

-To nie kołchoz. To Vasil i Sima, spółka. Ja wiedziałem że to się stanie. To nie pierwszy raz.

Skręcił i zapalił papierosa.

-Ja słyszałem od ludzi, że do lasu jedzie się żeby dobrze zarobić i najeść się zupy z mięsem.

-Widzisz Vasil oddał herbatę i mięso Kirgizom za drzewo. Zepsutego mięsa co zabrali ze soba nie wystarczyło by nawet na kilka dni.

Dlatego takie ceregiele. Niby to zepsute, Ile zepsutego wyrzucili,

nikt nie sprawdzi. A to, co suszą na słońcu, wrzucają do zupy tak żeby wystarczyło do końca pracy. Mądre to co?

-Dlaczego ludzie nie donoszą to do wyższych władz? Do milicji? Jak drzewo będą wieźli do domu to ich mogą złapać- zdziwił się Janek.

-O, nie tak prędko! Vasil należy do partji a jego siostrzeniec jest nauczycielem i należy do uprzywilejowanych w partji. Im wszystko wolno. A drzewo Kirgizi dostarczają podczas mrozów. W czasie kiedy nikt nie wysunie nosa na dwór. O tak! A ludzie nic nie powiedzą bo ich się boją. A oni sobie krzywdy nie zrobią. Napewno mają schowane gdzieś dla siebie jedzenie. Podczas pracy napychają sobie żołądki. Tylko to co ci powiedziałem nie mów Gryszy! Rozumiesz!

Janek spojrzał na zamkniętą jego minę.

-Oczywiście że nie powiem- uspokoił go

-No! Ale czas dla nas do roboty- mężczyzna wskazał ręką leżące na ziemi ścięte drzewo.

Czas mijał szybko. W południe tak jak i rano otrzymali herbatę i kawałek chleba. Pracowali do samego zmroku. Na polance czekało na nich ognisko przy którym w ciszy zjedli postną zupę szczy z chlebem. Pomęczeni ludzie zaraz po kolacji udali się na spoczynek. Grysza rozłożył swój koc z boku Janka. Wyciągnęli czekające na nich jagody i dopełnili swoje pół głodne żołądki.

Na drugi dzień z samego rana, Grysza obudził Janka. Widząc że ten się ociąga, wskazał ręką kuchnię.

-Popatrz Sima rozpala pod kotłami. Zanim się woda nie zagotuje musimy być spowrotem- denerwował się Janka powolnością.

-Ja musiałem spać na kamieniu- mruknął Janek.

-Dlaczego?- zdziwił się Grysza.

-Całe ramie mnie boli i prawy bok.

-Ooo! To nie kamień!- zaśmiał się Grysza.

-Za dużo obciółeś gałęzi. Dzisiaj zwolnij i pracuj lewą ręką.

-Lewa ręka? Ja nigdy lewą ręką nie pracowałem.

-No to się naucz. Dla swojego dobra. Przy Vasilu pracuj prawą a jak on odejdzie to lewą- Grysza umilkł.

Przykucnął przy krzaku i zaczął zrywać jagody. Zachwycony ich wielkością ładował je raz do kubka a raz do ust.

Tego dnia Janek na zmianę, rąbał prawą i lewą ręką. Z początku było niewygodnie, ale po kilku dniach wraz ze znikającym bólem mięśni, z dumą popisywał się zrecznością kierowania siekiery jak i prawą tak i lewą ręką.

Zajęci pracą i zbieraniem jagód nie zauważyli jak minął pierwszy tydzień. O odpoczynku nie było mowy. Niedziela dołączyła się do powszechnych dni pracy.

Pod koniec drugiego tygodnia zauważyć można było brak prowiantu. Kapusciana zupa, miała w sobie co raz to mniej ziemniaków. Twardszy z każdym dniem chleb, stawał się głównym pożywieniem.

Trzeciego tygodnia, Sima zdecydował ugotować wysuszone mięso. Cały dzień gotował je, zanim dodał kapustę i pozostałe ziemniaki.

Ciemno było na dworze jak ludzie zebrali się na polanie. Usiedli na kłodach dookoła ogniska i cierpliwie czekali.

-No to jest koniec naszego pokarmu- szepnął cicho Grysza.

-No to czem oni będą nas karmili?- zaniepokoił się Janek.

-Widzisz sam! Zupa z miesem wystarczy do końca tygodnia. Będą ją co wieczór podgrzewać i ja myślę że wystarczy.- Szturchnął Janka.

-Całe szczęście że ty znasz się na jagodach. Ale i te się kończą. Ktoś inny pomaga nam je zbierać- machnął niedbale ręką i dołączył się do kolejki.

Janek przez chwilę się wahał. Zepsute mięso chodźby najlepiej wysuszone i najdłużej gotowane, nie budziło w nim apetytu.

Cicho stanął w kolejce za Gryszą. Tym razem dostał połowę kromki chleba i miskę dziwnie pachnącej zupy.

-Czy ty wiesz co się stanie po zjedzeniu takiej zupy!- Grysza wskazał głową trzęsącą się w dłoni miskę.

Co? Co?- zapytał Janak i zanurzył łyżkę w zupie.

-Możesz dostać skrętu kiszek, albo jakiejś choroby. Ja jej jeść nie będę.

Janak przypomniał sobie roje much krążących dookoła suszącego się mięsa. Naraz poczuł na sobie ostry wzrok Vasila.

Przestraszony uniósł łyżkę i dotknął ustami. Ostro słony smak wypełnił usta. Odsunął łyżkę do dołu.

Vasil siedział po drugiej stronie ogniska. Szeroko otwartymi oczyma obserwował ludzi. W jego obecności wszyscy jedli zupę. Nawet Grysza unosił co chwilę łyżkę do ust i robił takie miny, jakby zupa mu bardzo smakowała.

Zdumiony tym ślepym posłuszeństwem n niechęcią zamieszał łyżką w misecce. Spod oka rzucił pełne wyrzutu spojrzenie w stronę Gryszy. W tym momencie zauważył jak jego łyżka w drodze do ust przechyliła się zgrabnie na bok i zgubiła całą jej zawartość.

Usmiechnięta twarz Gryszy z zapałem zagryzającego chlebem zupę, spodobała się Jankowi. Za jego przykładem zaczął gubić ją po drodze do ust. Ostatnie dwa kawałki mięsa pozbył się przechylając miskę na bok.

Uspokojony zachowaniem się ludzi Vasil napełnił sobie kubek gotowaną wodą, nalal do miseczki zupę i zniknął pomiędzy wozami.

Janak odniósł Simie miskę nabrał do kubka gotowaną wodę i spowrotem usiadł na kłódzie.

-Chodź podsuniemy tą kłodę troszeczkę do przodu- odezwał się cicho.

-Dlaczego?- zdziwił się Grysza.

-Tu trochę za mokro. Nie chcesz żeby Vasil nakrzyczał na nas za

niezgrabne jedzenie?

Niezdążyli jeszcze poprawić kłodę ja glosny krzyk Vasila przerwał ciszę.

-Złodzieje! Złodzieje! My mamy tu złodzieja- wyskoczył z za wozu.

W blasku polącego się ognia, czerwony na twarzy ze świecącymi się oczyma jak u wilka, wyglądał jak dziki Tatar szukający niewinnej ofiary.

-Ja! Ja! Ja znajde kto to zrobil! Ja go wsadzę do więzienia!- krzyczał grożąc kułakiem.

-Co się stało towarzyszu Vasil? Co sie stało?- zapytał jeden z ludzi. Co! Co! Co, Nie bój się ja znajde co zginęło i złodzieja. Ja znajde! Zaklął głośno kilka razy, obrzucił ludzi ostrym wzrokiem i odszedł spowrotem pomiędzy wozy. Drapiąc się nerwowo w głowe Sima, pobiegł za Vasilem.

-Co sie stalo?- zdziwil się Janek. Grysza rozejżał się uważnie.

-Janek ty nikomu tego nie powiesz?- zapytał cicho.

-Oczywiscie że nie!- odpowiedział jeszcze bardziej zdziwiony Janek.

-Ktos jemu podwędził jedzenie. Będzie musiał jeść zupe tak jak i my- zaśmiał się cicho. Widząc zdumioną Janka minę, wskazał ręką na kotły.

-On i jego przyjaciel kuchcik, jak myśmy pracowali to oni ucztowali. Kilka dni temu Fiecia skaleczył się i poszedł po szmatę. Zobaczył jak oni wcinali stoninę z chlebem. Rozgadał to, no i ktoś im ją ukradł. Bedą musieli razem z nami wcinać zupe- zaśmiał się wesoło.

-Skąd ty to wiesz? Mnie nikt nic o tem nie powiedział.

-Widzisz ty jestes jeszcze nowy, obcy. Oni ciebie jeszcze nie znają. Rozumiesz? Nawet mnie nie chcieli powiedzieć, ale ich podsłuchałem.

Janek wiedział że pomiędzy Rosjanami nie ma zaufania. Zauważył to tyle razy. Specjalnie jak rozmawiał z kimś sam na sam. W momencie zbliżenia się trzeciej osoby, rozmawiająca z nim osoba milka.

Nawet Grysza jak byli sami, wypytywał się o Polasce ale nigdy przy innych.

Na drugi dzień rano pomimo starannego szukania wrocili z małą ilością jagód. Na śniadanie dostali pół kromki chleba i zagotowaną wodę. Jeden z mężczyzn zapytał się dlaczego obcieli im na chlebie. Vasila krótka odpowiedź "brakuje" niespodobala się ludziom. Widać było że on to odczuł. Odesłał wszystkich do roboty, i sam podążył za nimi.

Pomimo skaczącego dookoła Vasila, mężczyźni zwolnili w pracy. Co kilka minut narzekając głośno na zupę biegali w krzaki.

W powietrzu zrobiło się parno tak jak przed burzą. Na niebie ukazały się chmury. Krótki przelotny deszcz zmoczył ich niemilosierdzie. Słychać było pomruki niezadowolenia.

Najbardziej odczuła to grupa ściągająca wołami drzewo. Ktoś z nich głośno przeklinał na ześlizgujące się z mokrego drzewa łańcuchy. Jankowi kilka razy siekierka zjechała po gałęzi.

W południe Sima przywiózł pożywienie. Rozdał tylko chleb.

Po bardzo krótkim odpoczynku Vasil odepchnął narzekającego na mokre jeszcze drzewo Fiecie Kiszkin. Zakrecił łańcuch dookoła ściętego i oczyszczonego z gałęzi drzewa. Trzasnął batem woły. Głośny trzask pękającego łańcucha złączył się ze swistem lecącego nad głową Vasila jego końcem.

Wszystkie głowy pracujących w pobliżu mężczyzn odwróciły się w jego stronę. Błady jak śmierć Vasil, odskoczył na bok.

-Zmień ten łańcuch i wracaj do pracy!- krzyknął złośliwie do Fieci. Spojrzał spod oka na patrzących się ludzi.

-A wy co! Na co czekacie!- przeklął i oddalił się w stronę polany.

-A ja mówiłem że drzewo mokre! O mały włos byłoby po nim- zawołał głośno Fiecia. Wyciągnął z kieszeni butelkę wódki i długo piżanim otarł rękawem usta i powrócił do pracy.

Korzystając z zamieszania Janek z Gryszą postanowili szukać jagód. Idąc brzegiem strumyku, uważnie rodoglądali się dookoła, aż doszli do miejsca gdzie brzeg rzeki unosił się do góry.

-Ja tu już byłem wczoraj. Dalej nie ma nic. Gęsty las w którym można zabłądzić- Grysza podszedł do strumyka, przykucnął i nabierając wodę do rąk siurpnął kilka razy.

Janek za jego przykładem nachylił się. Napił się trochę wody i spożył w stronę lasu. Naraz uniósł głowę do góry.

-Grysza! Patrz! Patrz w tamtym kierunku. Tam nisko pomiędzy tymi brzożami. ! Wskazał ręką gęsto rosnące krzaki.

-Co? gdzie? Ja nic nie widzę- zawołał biegnąc za Jankiem.

Przeskoczyli po kamieniach na drugą stronę, i zagłębili się w gęste krzaki.

-Nie zauważyłeś przy ziemi małe jasno-zielone listki?- zdziwił się Janek i uważnie odchylił gałęzie krzaka.

-Patrz!- zawołał uradowany. Gryszy o mało co oczy nie wyskoczyły z podziwu.

-Jjjjagody! Zapiszczał głośno.

-Jak ich dużo! i jakie wielkie!- Dziwił się patrzac na małe, bogato obsypane jagodami krzaczki.

-Jak ty je zauważyłeś? Ja tedy przechodziłem kilka razy, i to tak blisko. I nic nie widziałem- nie mógł zrozumieć Grysza.

-Bo ja patrzyłem od dołu a ty z góry- śmiał się zadowolony Janek.

Oczyszcili jeden krzak po drugim. Największe jagody chowali do woreczków, które miał przy sobie Grysza. Pochłonięci zbieraniem nie zauważyli jak szybko przeleciał czas.

Na polanie przywitał ich Vasil. Obserwując ich uważnie, wskazał ręką wypchane jagodami woreczki.

-A to co! Co w nich macie?- zapytał ostrym tonem głosu.

-Nazbieralismy po drodze trochę jagód.- Wytłumaczył spokojnie Janek.

Vasil zajrzał do środka. Głupi uśmiech ukazał się na jego twarzy. Machnął lekcewarząco ręką i wskazał im kolejkę po jedzenie.

Późno w nocy zaczął padać deszcz. Padał do samego rana. Ludzie pochowali się pod wozy. Scisnięty ze wszystkich stron Janek z trudnością przepchał się na zewnątrz. Usiadł z boku dyszla i cierpliwie czekał na śniadanie.

Dookoła słychać było niezadowolone głosy pomruków. Kilku ludzi narzekało na ból żołądka. Kilku odważniejszych starało się nakłonić Vasila do powrotu do wioski.

Jedzenie równiesz kończyło się. Skwaszoną zupę z mięsem, na która tak liczył, musieli wylać.

Zły, przeklinając głośno, kazał rozdać po kromce chleba i zaprzęgać woły do wozów.

W niecałe pół godziny znaleźli się w drodze do wioski. Tym razem ominęli leśniczówkę. Nie zatrzymali się dla dwóch pomocników, którzy zaskoczyli z wozu i przeskakując kałuże, wbiegli na werandę.

Na płaskim stepie nie mieli żadnej osłony od wiatru z deszczem. Janek ułożył się na deskach wozu tuż przy koźle i przykrył się kocem.

Deszcz siekał niemilosierne. Na całe szczęście nie trzeba było poganiać wołów. Spieszyły się jakby chciały uciec od tej wstretnej pogody. Późno w nocy minęli Kirgiską wioskę.

Bezradnie osłaniając się od coraz to mocniejszego deszczu, Janek mokry do ostatniej nitki, skulił się pod koźlem przy bocznych deskach wozu.

W południe wiatr zmienił kierunek. Pchnął chmury ze wschodu na zachód. Na niebie ukazało się słońce.

Ze zmianą pogody powrócił humor. Na wozach ukazały się długie patyki, które mężczyźni pozabierali z sobą. Na nich suszyły się koce i

ubrania. Jankowi wydawało się że jedzie z grupą cyganskich nudystów.

W wysuszonym ubraniu poczuł się o wiele lepiej, tylko chłodny wiatr przebijał pomiędzy deskami wozu szpilkując jego ciało.

Przed zachodem słońca, zatrzymali się na krótki odpoczynek. Sima podzielił ostatni bochenek chleba. Jeden z mężczyzn zbliżył się do Janka.

-To dla ciebie. Uważaj żeby ciebie nikt z tym nie zobaczył- podał mu małe zawiniątko i za nim Janek zdążył mu podziękować zniknął pomiędzy wozami.

Jak tylko ruszyły wozy, Janek rozwinął gazetę. W środku znalazł kawałek boczku.

-Muszę szybko zlikwidować ten niebezpieczny dowód strasznej kradzieży- szepnął sam do siebie.

Głodna twarz Gryszy stanęła mu przed oczyma. Odwrócił się na drugą stronę. Wysunął z pod koca rękę i szturchnął go.

-Hej Grysza! obudź się! Mam coś dla ciebie, tylko podaj mnie nóż.

Grysza sciągnął z głowy koc. Spojrzał na boczek i usmiechnął się.

-Ty jeszcze go nie zjadłeś? Ja już zapomniałem o swojej porcji. Nie pamiętam nawet jak smakuje. Pospiesz się, zanim Vasil nie zwali na ciebie całej winy.

Naraz spowaźniał. Przytrzymał Janka ręką i patrząc mu prosto w oczy, odezwał się zdławionym głosem.

-Wiesz co! Żeby nie te kłamcy, głupie oszukańcy co okradają ludzi z osobistej wolności i prywatnych własności, a wprowadzili terror i głód, to my byli byśmy najszczęśliwszym i najbogatszym narodem na świecie. Wiesz co? Ja po długim zastanowieniu się widzę że moja matka i ty macie racje- puścić Janka rękę i ukryć się pod kocem.

Zaskoczony tym wybuchem Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Schował się pod koc i zabrał do jedzenia.

Jeszcze nigdy w życiu nie smakował mu tak chleb z boczkiem. Jadł wolno rozkoszując się ich smakiem.

Z samego rana zatrzymali się na krótki odczynek. Napoili i nakarmili woły. Jedzenia dla ludzi nie było.

Późno po południu dojechali do pierwszych budynków Obuchowki. Janek zwinął koc i zeskoczył z wozu.

-Z Bogiem!- pożegnał skulonego na deskach Gruszę.

-Z Bogiem!- usłyszał za sobą kilka innych głosów. Przez chwilę stał i patrzył za wozami.

-Takie tu życie- mruknął półgłosem i szybkim krokiem doszedł do domu.

XXIX

Cichutki śmiech bawiących się dziewczynek obudził Janka. Powoli otworzył oczy. Promienie słoneczne zalały pokój.

-Już tak późno?- szepnął sam do siebie. Szybko ubrał się, przywitał z matką i usiadł do stołu.

Kawał świeżego razowca z kawą smakowały wysmienicie. Dwa smażone jajka były wielką niespodzianką.

-Skąd je mama wzięła?- zapytał.

-Skąd? Kupiłam! A teraz jedz prędko zanim ktoś ci nie zabierze.

Żartowała, zadowolona z niespodzianki jaka zrobiła synowi.

-Dziedobry Janku! Jak się czujesz?- usłyszał z za pieca głos Heleny.

-A mówiłam im żeby cicho się bawiły.

-Całe szczęście że mnie obudziły. We śnie o mały włos że nie umarłem z głodu- zaśmiał się.

-Co was tak źle karmili?- zapytała Matka.

-Nie nadzwyczajnie. Wczoraj nie mieliśmy nic do jedzenia.

-Czy matka mówiła ci o pieniądzach z Polski?

-Pieniąde z Polski?- uniósł głowę do góry.

Klaudja podeszła do kufra. Wyciągnęła z niego pudełko od cygar. Otworzyła je i pokazała Jankowi całą kupę czewienców.

-Trzystapiedziesiąt rubli- westchnęła głęboko.

-Złodzieje! Jedna stołowa noga, ręcznie rzeźbiona wiecej była warta niż to! Komoda z dębowego drzewa, też ręcznie rzeźbiona mogła iść do muzeum. Co lepsze to napewno ukradli, a za resztę rzeczy, niby to na licytacji dostali grosze. Do tego odliczyli jeszcze za koszta sprzedarzy i podatek.-

-Niech pani nie narzeka. Niepotrzeba! Szkoda zdrowia. Mnie przysłali tylko dwieście rubli. I to ile miałam kłopotu z podatkiem!

Widząc w oczach matki żzy, Jankek przerwał dyskusję.

-Dobrze! Dobrze! Ale skąd dostaliscie jajka?- zapytał głośno.

-Twoja matka, zamieniła za poduszkę. Pieniędzy nie chcieli brać. Teraz przez cały miesiąc będziemy dostawali po dwa jajka dziennie. Dzisiaj ty dostałeś, jutro Krysia i ja po jednym. potem Stasia i Skawek, i znowu Twoja matka i ty.

-Dobrze! Dobrze! Ale dlaczego ja dostalem dwa? a nie jedno!

-Tobie się należy. Pracowałeś w lesie i przegapiłeś swoją kolejkę- wytkumaczyła Klaudja.

-Kilka dni temu otrzymaliśmy z Polski list- oznajmiła Helena.

-No i co ciekawego piszą?

-Mają też dużo kłopotu. Piszą że są wielkie trudności z zapasami na zimę. W sklepach oprócz drewnianych zabawek dla dzieci, przywiezionych z Rosji nie ma nic. Żeby nie czarny rynek, to by nie dali sobie rady.

Tam to jeszcze można kupić szmuglowaną z Warszawy sacharynę, a czasami kielbasę z litwy. Dowiedzieli się że do Rosji można wysyłać paczki. To wysłali dwie, jedna dla was a jedna dla mnie.-

Klaudja usiadła z boku Janka.

-W moim liście pytają się co nam wysłać, ale nam tak dużo rzeczy brakuje że sami nie wiemy o co prosić- usmiechnęła się smutnie.

-To powinniście zapisać co nam potrzeba, i wybierać najważniejsze rzeczy- poradził im Janek.

-A dokąd ty idziesz?- zapytała matka widząc jak Janek zakłada żakiet.

-Do stajni. Mówił mnie jeden z mężczyzn w lesie że będą potrzebowali ludzi do wożenia przenicy na stację kolejową. Haracz państwowy.

-Poczekaj Janek, Ja mam świeże wiadomości od Wici. No wiesz pani Plotkiewiczowej. Ona dostała list przeschmuglowany z Warszawy. Możesz mi wierzyć! Sama go oglądałam- zatrzymała go Helena.

-Podobno Niemcy zajęli prawie że całą Europę. Połączyli się z Mussolinim i teraz wojują z Anglią. A o Ameryce mówią że nie chce się wtrącać w Europejskie sprawy- potrząsnęła smutnie głową.

-Tak! Tak! Wiecie jak Ameryka nie pomoże, to Niemcy nie tylko zajmą Anglię i Rosję. a my, dostaniemy się z deszczu pod rynnę- machnęła ręką Klaudja.

-Ach! Niech pani nie traci nadziei. Nie można wszystkiemu wierzyć. Przerwała Helena.

-Pani wie! Ja również słyszałam od jednej pani z Grodna, że Amerykanie pomagają Anglikom i razem walczą przeciw Niemcom w Afryce. O nas też wiedzą. Podobno robili zdjęcia ludzi w wagonach otoczonych rosyjskimi żołnierzami. No i te zdjęcia przeschmuglowali do Ameryki.

Janek potrząsnęła głową.

-Tu tak dużo plotek krąży dookoła że nie wiadomo komu wierzyć. Niewolno mieć radja, w gazetach tylko propaganda. Żadnej wiadomości z zagranicy u nich się nie dowiesz.

-Janek, ty nam nic nie mówiłeś jak tobie poszło w lesie!- zapytała Helena.

-Musiałem żywić się jagodami!- zaśmiał się.

-O la Boga reta! Janek! Ty mogłeś się zatruć!- Wstrząsnęła się Klaudja.

-Mamo! Przecież ja się znam na grzybach i jagodach. Byłem harcerzem. Grzybów nie jadłem bo miały w sobie za dużo robaków. A trzeba było coś robić- opowiedział o Wasilu i jego pomocniku Simie.

-Mamo jak żyli Kirgizi przed rewolucją?- zapytał.

-Z nimi zawsze było dużo kłopotu. Dzicy ludzie! Za carskich czasów, żyli w grupach i przenosili się z miejsca na miejsce z konmi. Żywili się koniną i pili kumys. Skiszone kobyle mleko.-

-Skąd to pani wie?- zapytała się Helena.

-Ja o nich czytałam jak oni robili wycigi na koniach. A za nagrodę dostawali domowe wyposażenie z żoną.

-Z żoną?- odezwali się jednocześnie Helena z Jankiem.

-No tak. Mieli w namiocie ukrytą kobietę i który z młodych chłopców wygrał dostawał ją w nagrodę. Tylko cała niespodzianka było to że przed wycigami nie widzieli jak ta dziewczyna wygląda. Młoda czy stara, ładna czy brzydka, decydowali o tem starsi ludzie.-

-Dobrze ! Dobrze! Ale kto brał udział w tych wycigach- zaciekał się Janek.

-Wszyscy młodzi. To był u nich taki zwyczaj. Zbierali się ze wszystkich stron i robili takie wycigi. Chłopacy starali się podglądać jakie panny są w namiotach i czasami powstrzymywali konie. Zasmiała się.

-A teraz komunisci zabrali im konie i zmusili do roli- odezwał się Janek.

-Tak! Dlatego oni są tacy okrutni. Nie mogą przenosić się z miejsca na miejsce. Nie mogą utrzymywać swojej tradycji. No to się mszcza na kim popadnie- wstrząsnęła się Helena.

Janke westchnał głęboko. Spojrzał na matkę.

-Tu przyjemnie rozmawiać, Ale ja muszę iść do stajni. Wożenie pszenicy to dobra robota i podobno dobrze za nią placą- usmiechnął się.

W stajni zastał starego Miszę Samoj. Na widok Janka oparł się o grabie i obserwując go odezwał się cicho.

-Panoczok! Na konia siodło chciał by zakładać. Ha!- pokiwał głową.

-Co chcesz? Kogo szukasz?

-Vasila Wykiwajło! Słyszałem że potrzebują ludzi do wożenia pszenicy. W lesie o tem mówili.

-Ty byłeś w lesie? Co wyście zrobili Vasilowi? Jaki kawał mu zrobiliście?- miszy oczy zabłyśły radośnie.

-On wszystkich ludzi z lasu odesłał w pole. Tylko Simę zabrał ze sobą i sami powieźli pszenice. Co zrobiliście im w lesie?- spojżał na zdziwioną twarz Janka.

-Ach ty napewno nie wiesz o co chodzi!- zabrał się do grabania porozrzucanej dookoła słomy.

Zdziwony zachowaniem się Miszy, Janek wyszedł na ulicę z nadzieją że spotka powracające wozy. Skręcił na wschodnią, dobrze ubitą kołami wozów drogę do stacji kolejowej.

Idąc z boku koleiny myślał co mu Pietun opowiadał o Miszy . Nie ma żony ani domu. Całe swoje życie mieszkał w stajni z koniami. Kilka lat temu wybrani ludzie dostali pozwolenie na wycieczkę do Moskwy. Umieścili ich w szkonym budynku. Po odwiedzeniu maizoleum Lenina. Pomęczeni ludzie rozłożyli się na przygotowanej dla nich słomie. Późno w nocy, śpiący Misza wstał, przeszedł parę kroków prosto. Skreślił w lewo i po następnych kilku krokach, zatrzymał się i zaczął sikac prosto na śpiącego Vasila.

Dużo czasu zabrało przekonać Vasila, że żyjący tyle lat w stajni Misza zrobił to z przyzwyczajenia.

Podbite oko Miszy i czerwony nos Vasila zakorzenił głęboką niechęć jeden do drugiego.

Janek spojrzał na drogę. Musiał iść w dobrym kierunku, bo co pewien czas pomiędzy koleinami widział rozsypaną pszenicę. W miejscach gdzie droga była nierówna, większa jej ilość rzucała się w oczy. Zdumiony zatrzymał się i usmiechnął.

-Ja potrzebuję tylko worek i jakąś małą łopatkę- zawołał radośnie.

Spieszac się jak tylko mógł, wrócił spowrotem do domu. Znalazł dwa stare worki i dziurawy rondel.

Pomimo że ziemia była mocno ubita, robota szła bardzo wolno. Zbieranie rozszypanej pszenicy nie było takie łatwe. Ziarenka zmieszane z piaskiem były o wiele cięższe niż przypuszczał.

Z boku drogi w głębokiej trawie zostawił pierwszy do połowy naładowany worek. Obcasem buta zaznaczył pomiędzy koleinami miejsce i zabrał się do drugiego worka.

Po kilku godzinach, zmęczony, usiadł na trawie.

-Co za gospodarka!- zaśmiał się w duchu - na takim krótkim odcinku zebrałem prawie cały worek. Napewno więcej niż pięć pudów- ucieszył się sukcesem.

Po dopoczynku, postanowił odnieść pszenicę do domu. Znalazł schowany w trawie worek. Związał oba razem i zarzucił przez ramię. Większy worek na plecy a mniejszy z przodu. Po długim marszu na horyzacie ujrzał wioskę.

Z wysokiego terenu na którym się znajdował, widział jak wycięte w zielonej trawie, ciemno-brunatne koleiny dróg, wpadały na dwie długie ulice, równo oddzielonych od siebie chałup, i znikały daleko na horyzacie po drugiej stronie wioski.

Droga po której szedł przecinała wioskę po środku. Po jej prawej stronie widać było cerkiew ze złamanym krzyżem, otoczona budynkami

Podbite oko Miszy i czerwony nos Vasila zakorzenił głęboką niechęć jeden do drugiego.

Janek spojrzał na drogę. Musiał iść w dobrym kierunku, bo co pewien czas pomiędzy koleinami widział rozsypaną pszenicę. W miejscach gdzie droga była nierówna, większa jej ilość rzucała się w oczy. Zdumiony zatrzymał się i usmiechnął.

-Ja potrzebuję tylko worek i jakąś małą łopatkę- zawołał radośnie.

Spieszac się jak tylko mógł, wrócił spowrotem do domu. Znalazł dwa stare worki i dziurawy rondel.

Pomimo że ziemia była mocno ubita, robota szła bardzo wolno. Zbieranie rozszypanej pszenicy nie było takie łatwe. Ziarenka zmieszane z piaskiem były o wiele cięższe niż przypuszczał.

Z boku drogi w głębokiej trawie zostawił pierwszy do połowy naładowany worek. Obcasem buta zaznaczył pomiędzy koleinami miejsce i zabrał się do drugiego worka.

Po kilku godzinach, zmęczony, usiadł na trawie.

-Co za gospodarka!- zaśmiał się w duchu - na takim krótkim odcinku zebrałem prawie cały worek. Napewno więcej niż pięć pudów- ucieszył się sukcesem.

Po dopoczynku, postanowił odnieść pszenicę do domu. Znalazł schowany w trawie worek. Związał oba razem i zarzucił przez ramię. Większy worek na plecy a mniejszy z przodu. Po długim marszu na horyzacie ujrzał wioskę.

Z wysokiego terenu na którym się znajdował, widział jak wycięte w zielonej trawie, ciemno-brunatne koleiny dróg, wpadały na dwie długie ulice, równo oddzielonych od siebie chałup, i znikwały daleko na horyzacie po drugiej stronie wioski.

Droga po której szedł przecinała wioskę po środku. Po jej prawej stronie widać było cerkiew ze złamanym krzyżem, otoczona budynkami

szkoły. Po lewej stajnia. Na drugiej ulicy, niedaleko z boku widać było wielkie obracające się skrzydła młynu. Po prawej, kilka większych budynków sklepu, poczty. Dalej, droga ginęła w morzu trawy. W tamtej stronie był Iwan Gorod. Dom Soni znajdował się na drugiej ulicy przy końcu wioski.

Dla zaoszczędzenia czasu, Janek postanowił przeciąć step w prostej linii. W miarę zbliżania się do wioski, worki wydawały się coraz to cieńsze.

przed sobą w naturalnym zagłębieniu terenu zauważył wielkie wydeptane koło.

-Świetne miejsce na odpoczynek- zdecydował.

Zdziwienie jego zamieniło się w wielką radość. Okrągły kawał wydeptanej trawy, pokryty był wielkimi, grubymi, wysuszonymi kiziakami.

-One są o wiele większe od tych co z rana zbiera Sonia.- zawołał nie mogąc oderwać oczu od tego wspaniałego widoku.

Zapominając o zmęczeniu przyspieszył kroku i jak tylko znalazł się na wydeptanym kole przesypał pszenicę do jednego worka. W kilku minutach wypełnił opróżniony worek kiziakami.

Mocno oddychając ze zmęczenia, usiadł na worku z pszenicą. Przez chwilę oglądał wydeptane pole.

-Ktoś tu musiał karmić krowę.- zdecydował. Tak ale pastwisko znajduje się po drugiej stronie- podrapał się po głowie.

-Napewno, ktoś tu w tajemnicy, pasł nie rejestrowaną w kołchozie krowę, albo byka. Ukrył ją w lepszym miejscu, i to nie tak dawno- wywnioskował patrząc się na nie wyschnięte jeszcze kiziaki.

O zabraniu dwóch worków nie było mowy. Przez chwilę wahał się co ma ze sobą zabrać. Zmęczony niesieniem pszenicy, postanowił zabrać worek z kiziakami, który był lżejszy. Chciał pokazać kiziaki Sławkowi

i Helenie z myślą, że oni pomogą mu zabrać pozostałe placki.

Kilka kroków od wydeptanego pola w wysokiej trawie zostawił worek z pszenicą. Zabrał kiziaki i ruszył w stronę domu.

Na ulicy Stalina zauważył dwóch mężczyzn. Starał się ich ominąć, ale oni zastąpili mu drogę.

-Dokąd idziesz?- zapytał jeden z nich.

-Co niesiesz?- odezwał się ostrym głosem drugi.

Z szeroko otwartymi oczyma Janek zatrzymał się. Z pomocą wyższego mężczyzny zdjął worek z ramienia i postawił go tuż przy zabłoconych butach niższego mężczyzny.

-To ~~n~~apewno była ich krowa. Schowali ją gdzieś indziej, a teraz zabiorą ~~o~~dejmnie kiziaki. Jaka szkoda, że nie zabrałem ze sobą pszenicy- mruknął pod nosem. Wysoki mężczyzna odwiązał worek i zajrzał do środka.

-Kiziaki!- oznajmił krótko.

Na twarzy niższego ukazało się wielkie rozczarowanie. Uniósł rękę do góry, poprawił sobie czapkę i patrząc na Janka złośliwie, krzyknął.

-Gówno! Dlaczego ty nie pracujesz? U nas brakuje rąk do pracy, a ty zbierasz gówno!

-Ja wczoraj wrociłem z pracy w lesie. U nas w domu nie ma czem palić. Kołchoz paliwa nie daje. A my nie mamy na czem gotować. Ja zmuszony jestem zbierać kiziaki- odpowiedział nerwowym głosem Janek.

Niższy mężczyzna machnął niedbale ręką, i odwrócił się do swojego towarzysza.

-Chodź sprawdzimy tamtą stronę- odezwał się rozkazującym tonem.

Przez chwilę Janek patrzył za nimi. Otarł spocone czoło i dopiero jak mężczyźni zniknęli pomiędzy chałupami, zarzucił worek na plecy.

Widok tak wielkich kiziaków zdziwił Helene. Najbardziej ucieszył się Sławek. Bez słowa pozabierali swoje worki i podążyli za Jankiem.

Późno pod wieczór, z ostatnim obrotem Janek zabrał pszenicę.

Klaudja z Heleną nie mogły nacieszyć się tym sukcesem. Miejsce na paliwo wypełnione było kiziakami na dobre kilka miesięcy palenia.

Janek głowił się nad pszenicą. Nie wiedział jak ma oczyścić ją z piaku. Z pomocą przyszła Sonia.

-Tam na otwartym polu, gdzie wieje stale wiatr, wykop małe dwa rowy, jeden przy drugim. Zakryj je workami. Syp pszenicę z góry tak żeby piasek zleciał do pierwszego rowu a pszenica poleciała z wiatrem do drugiego. Rozumiesz?- zatrzymała się przy drzwiach i odwróciła do Janka.

-Ty się bardzo naraziłeś zbierając tą pszenicę! Dobrze, że ciebie nikt nie złapał.

-Przecież ja jej nie ukradłem- Janek poczerwieniał na twarzy.

-Zebrałem ją na drodze do stacji kolejowej. Jak bym jej nie zabrał to chomiki miałyby ucztę.

-Tak! ja to wiem. Mój mąż był też taki odważny. Ale zanim byś im to wytłumaczył, to byś umarł w ciupie z głodu. Tak jak mój mąż tam powoli zdycha- zamknęła za sobą drzwi.

Vasil Wykivajko musiał być w bardzo złym humorze. Krzyczał na ludzi, poganiając ich jak tylko mógł. Co pewien czas spoglądał na dwóch mężczyzn stojących z boku budynku.

Byli to ci sami mężczyźni, którzy zatrzymali Janka poprzedniego dnia. Janek z niechęcią spojrział na nich i podszedł do Vasila. Ale on machając rękoma jak wiatrakami, kazał mu czekać a sam pobiegł w stronę ostatniego wagonu.

-Janek! Co tu robisz?- usłyszał głos Gryszy.

-Ja czekam na Vasila. Ale co ty tu robisz?

-Jedziemy po pszenicę. Mamy zawieść ją na stację kolejową.

-Ja słyszałem, że pracowałeś na polu.-

-Tylko wczoraj. Tam za dużo ludzi.-

-Gryśza co tu się dzieje? Dlaczego Vasil tak się denerwuje?-

Gryśza zaśmiał się cichutko i wskazał palcem dwóch mężczyzn.

-Oni przeszkadzają jemu.

-Ach ty chyba żartujesz.

-O nie! Popatrz na ostatni wóz pod kozłem. Widzisz wystający tam worek? On ma ich tam kilka. W drodze do stacji napełni je pszenicą i zostawi w trawie. Wracając ~~z~~ powrotem zabierze do domu.

-Gryśza ty żartujesz. W biały dzień kraść?

-A dlaczego ty myślisz, on jedzie ostatnim wozem. Dobrze że ci goście nie stoją z tej strony. Zauważyli by worki i Vasil znalazł-----

-Gryśza co ty tam robisz? Twój wóz już na ulicy!- usłyszeli ostry głos Vasil. I zanim Janek zdążył się obejrzeć, Gryśza zniknął za stajnią.

Ostatni wóz z Simą na koźle zbliżył się do wyjazdu na ulicę. Vasil zbliżył się do Janka. Zmierzył go wzrokiem od góry do dołu, i odezwał się spokojniejszym głosem.

-Ja tu więcej roboty dla ciebie nie mam. Ale zgłoś się do kantoru. może oni coś dla ciebie znajdą- wruszył ramionami i wskoczył na wóz.

Wyjeżdżający na ulicę wóz, odsłonił stojącego przy wielkich drzwiach zgarbionego Misze. Szkliste jego oczy wodziły przez chwilę za Vasil. Głośno przeklinając plunął za nim i zniknął w otwartych drzwiach stajni.

Janek znalazł się sam, na wielkim pustym placu. Spojrzał w kierunku ściany budynku gdzie stali nieznani mężczyźni, ale ich tam nie było.

XXXI

W pokoju panowała cisza. Matka siedziała na ławie. Objęła rękoma Sławka. W oczach miała łzy. Helena ze Stasią i Kasią na kolanach smutnie patrzyła się gdzieś w dal.

-Co się stało? Co się znowu stało!- zawołał przestraszony Janek.

Klaudja podeszła do kufra wyjęła z niego jakiś papier.

-W tym czasie jak ty byłeś w lesie, dla wszystkich Polaków porobili.

- Nawet nie mówili po co- westchnęła głęboko Helena.

Przed chwilą przynieśli nam ten dokument- mówiła dalej matka.

-Oni nas chcą zniszczyć- podała Jankowi złożony papier.

Janek otworzył dokument. Po lewej stronie fotografia matki zamazana do połowy wielką pieczęcią. Oznaka narodowa sierp i młot rzucały się mocno w oczy. Pod spodem imię, nazwisko, data urodzenia i krótkie określenie osoby z podpisem jakiegoś urzędnika na dole.

Po prawej stronie informacja. Janek przeczytał półgłosem.

-Co oni chcą! To jest wyrok śmierci! zapiszczała Helena.

Klaudja kiwnęła tylko głową. Podenerwowany Janek zaczął tłumaczyć co im wolno i niewolno na polski język.

-Nie wolno oddalić się od miejsca zamieszkania nie więcej niż sto kilometrów.

-No to jak w więzieniu- przerwała mu Helena.

Janek spojrzał znowu na dokument. Pod spodem mniejsza pieczęć z adresem zamieszkania.

-Sibir Kazachstanski, Pietropawłosk, Kelerowski Rej, Sil Obuchowka.

Podał matce dokument i spojrzał na jej zmartwioną twarz.

-Szkoda, że ja nie dostałem takiego dokumentu. Miałbym świetną pamiątkę. Ja w ogóle u nich nie widzę żadnego sensu. Niby to nie wolno nam pracować a wołają do roboty- starał się ją pocieszyć.

-Zresztą, wy szyciem i reperowaniem ubrań więcej zarabiacie niż Sonia wiejąc pszenicę. Nie ma co sie martwić. Daliśmy sobie radę do dzisiaj to i damy sobie radę jutro. Nie możemy sie byle czym przejmować, bo się załamamy i zginiemy.-

-Tak! Tak! Zobaczycie, Ameryka nam pomoże! Zabiorą nas stąd. Podobno do Kanady. Zobaczycie!- wtrąciła, już nie takim pewnym głosem, swój ulubiony temat Helena.

Janek spojrzał na nią z niechęcią.

-Poza tym nie jest tak źle Mamo!- mówił dalej.

-Mamy dach nad głową, Mieszkamy na drewnianej podłodze. Mamy co jeść, pełno opału, Nawet codziennie rano smażone jajko, Żyjemy tak jak burżuje- zaśmiał się.

Klaudja nic nie odpowiedziała, podała mu miseczkę z jedzeniem.

-Kasza gryczana- zdziwił się.

-Na pewno przyszła w paczce z Polski- pomyślał i włożył trochę do ust. Przez długą chwilę gryzł, gryzł i gryzł.

-Mamo co to jest za kasza? Podobna do gryczanej, ale ja nie mogę jej pogryźć.

Sławek wybuchnął śmiechem.

-Ja też nie mogłem jej rozgryźć. Ja to ją połykałem- śmiał się patrząc na Janka mine.

-Widzisz! Jak my tu żyjemy. Burżuje! Mamy jajka a chleba nam brakuje. Mamy pełno pszenicy a mąki ani szczypty w domu. Rozumiesz! Pszenicy nie ma gdzie zmielić. W młynie mielią tylko ci co mają pozwolenie od kołchozu. I jak tu się człowiek nie ma martwić?

-Myśmy próbowali ubić ją w garnku. Ale nic z tego nie wyszło, Wałkiem też się nie udało, Za twarda. No to twoja matka ubiła trochę w móżdżerzu. No i dzięki Bogu mamy kaszę- wytłumaczyła Helena.

Janek nic nie odpowiedział. Każdego dnia pobytu w Rosji mieli

jakieś trudności do pokonania i to takie o których w Polsce nikt by nawet nie pomyślał.

-Zapytajmy się Soni, co by ona zrobiła w takiej sytuacji. Ona tu mieszka od urodzenia i jakoś daje sobie radę- mruknął pod nosem.

-Dlaczego ja o tym nie pomyślałam!- cieszyła się Klaudja.

Zmęczona pracą, Sonia, zapaliła naftową lampę i usiadła na ławie. Zanim zaczęła gotować kolację postanowiła odpocząć. Oczy jej się szeroko otworzyły na widok otaczających ją osób. Klaudja, Sławek, Janek, Helena z córkami i dwoje jej dzieci stało dookoła zarzucając ją pytaniami.

-Powoli! Powoli! U nas nie wolno tak się zbierać. Jak złapią więcej niż dziesięciu ludzi razem to kara! Nie wiem tylko czy liczą małe dziewczynki- zaśmiała się wesoło.

-Powiedz nam gdzie można zmielić pszenicę?- zapytał Janek.

-Oh Mąka! Szkoda, że mnie o tem nie powiedzieliście kilka dni temu. Ja bym dała pszenicę kuzynowi. On kilka dni temu wysłany był do innej wioski. Zabrał ze sobą kilka worków. Po kryjomu dał w młynie łapówkę i mamy mąkę.

-Sonia ty nie wiesz gdzie można kupić kilka bochenków chleba?- pytała proszącym głosem Helena.

-Dlaczego sami nie upieczecie? Macie piec i kiziaki. Ach mąka! Zupełnie zapomniałam- uderzyła się dłonią po czole.

-Wicie żeby to nie te głupki, to byśmy nie mieli tego kłopotu.-

-Kto? Jakie głupki? Dlaczego?- zdziwił się Janek.

-No oni. Zaraz jak tylko odebrali od właścicieli młyn i odesłali ich do obozu pracy, obiecali że korzystanie z młyna dla wszystkich będzie za darmo. Zrobili wielką uroczystość, palenie żarn- westchnęła.

-Dlatego mówię głupcy. Ci co im uwierzyli tak jak mój mąż to spalili.

A potem co rok to gorzej. Duża kolejka do młyna, a młyn się psuje.

Nie wolno było mieć tym co za mało pracowali. A teraz to ile trudności wyrobięś, to mniej więcej tyle pudów ci można zemleć, i do tego musisz im płacić w pszenicy.

-Sonia! Czy ty nie znasz nikogo co ma żarna?- zapytała Klaudja.

-Mam kuzyna co ma żarna. Bardzo ciężka robota. I nie wolno nikomu o tem mówić. Ja go się zapytam- spojrzała na niecierpliwe twarze.

-Zaraz po kolacji pójdę. Ty Janek przygotuj pół puda pszenicy, to jutro rano zaprowadzę ciebie do niego. A wieczorem nauczę was jak się piecze chleb!-

Ciemno było na dworze jak Sonia wróciła z dobrą wiadomością, za kilka rubli i trzymanie języka za zębami mogą używać żarna. Pokazała kobietom jak się robi zakwaske.

Do resztki co mieli mąki dołała ciepłej wody. Zamieszała i postawiła nad piecem. Przeżegnała trzy razy i przykryła szmatką.

Na drugi dzień z samego rana Janek zarzucił na plecy worek z pszenicą i podążył za Sonią. Kuzyna Soni nie było w domu. Żona jego po wielu przysięgach że nikomy nie powie i pięciu rublach zaprowadziła go do obory.

W ciemnym kącie ukryte za wiązką topłiwa stały żarna. Dwa wielkie okrągłe kamienie, jeden na drugim wmontowane w drewnianą ramę. Dolne większe koło przymocowane na stałe, dookoła miało rowek z drzewa. Górne z zębatym żelazem dookoła obracało się na centralnie umieszczonej osi. Wielka kołba do kręcenia łączyła się kilkoma zębatymi kółkami z górnym zębatym żelazem.

Gospodyni domu, po krótkim objaśnieniu gdzie się sypie ziarno, jak się kręci i skąd zgarnia się mąkę, zostawiła go samego.

Żmudna ta robota wydawała się najgorszą z jaką się do-tychczas spotkał. Co pewien czas musiał zmieniać zmęczoną kręceniem rękę.

Od ilości wsypanej pszenicy do dziury z boku osi, zależała

grubość zmielonej mąki, która gromadziła się na bokach więkrzego koła i w drewnianym rowku. Musiał zbierać ją co pewien czas żeby nie spadła na ziemię.

Późno po południu, zmęczony ale dumny z siebie, z workiem mąki na ramieniu opuścił dom Soni kuzyna.

W domu czekał już na niego załadowany kiziakami wielki piec do pieczenia chleba.

Sonia otrzymała pozwolenie odwiedzenia swojego męża. Opuściła wcześniej pracę. Nucąc pod nosem jakąś piosenkę przygotowywała paczkę dla męża. Co pewien czas wpadała do pokoju i tłumaczyła co dalej mają robić.

Poprawiała palące się kiziaki, tłumacząc jak najlepiej je ułożyć żeby otrzymać jednakową temperaturę w piecu.

Do pieniającej się zakwaski dosypali soli i Janek zabrał się do mieszania ciasta.

-Musisz mieszać aż siódmy pot wystąpi ci na czole- śmiała się Klaujia.

Pod czujnym okiem Soni wymieszane ciasto podzielił na czternascie małych okrągłych bochenków. Z pozostałej niewielkiej ilości ciasta Sonia ulepiła małe placuszki. Zamoczyła ich wierzch wodą i poukładała przy drzwiach palącego się pieca.

-To są płomyki! Nagroda za robotę. Dla każdego po jednym- uśmiechnęła się i postawiła z boku czajnik z wodą.

Przyjemny zapach wypełnił pokój. Każdemu z nich ślinka napłynęła do ust. Stasia i Kryśia niecierpliwie czekały na pachnące płomyki.

-Poczekajcie! Poczekajcie, zaraz będą gotowe- pocieszała je Helena.

XXXI

Minuty dłużyły się. Zapach pieczonego ciasta dręczył, świdrował w żołądku. Nareszcie płomyki dostały się w ręce głodnych. Głośne dmuchania i ciche ciamkania z westchnieniami wypełniło pokój.

Do wymiecionego z popiołu pieca, długą drewnianą łopatą, Janek poukładał okrągłe bochenki.

Tuż przy otworze pieca Sonia rzuciła garść soli. Jak tylko sól zaczęła się palić ciemnym dymem, przeżegnała bochenki i zasłoniła otwór grubą drewnianą przykrywą.

-Sonia? Dlaczego ten otwór do pieca jest taki mały? Tak niewygodnie układać w nim kiziaki, czyścić i wkładać ciasto.

Janek otarł spocone czoło.

-Otwór mały żeby ciepło nie uciekło z pieca. A teraz musicie poczekać dwie godziny zanim nie otworzycie piec. On dobry! Nie pali. No a ja muszę uciekać.

Po dwóch godzinach, poukładali wyciągnięte bochenki na stole i przykryli serwetą.

-Widzi mama! Czternaście bochenków chleba! Po jednym na dzień! To mamy jedzenie na dwa tygodnie. A potem upieczemy na nowo. Pszenicę mamy. Z głodu nie umrzemy.

Ucieszony Janek objął rękoma matkę.

-Tylko niech mama się nie martwi- prosił patrząc na jej twarz pokrytą bruzdami zmartwienia.

Klaudja dumnie spojrzała na syna.

-Ja myślę że damy sobie radę- szepnęła mu do ucha.

-A kto mówi o umieraniu?- zachnęła się Helena.

-Ja wam mówię, że nas stąd zabiorą! A wy nie wierzycie

Mocny głos w sianie przerwał rozmowę. Janke podbiegł do okna. Przy

drzwiach do sionki stała starsza kobieta w szarej długiej po same kostki spódnicy, tego samego koloru bluzce. Chustka na głowie zakrywająca połowę jej twarzy, spadała nisko, poniżej pasa.

Rozmawiała głośno z Sonią. Po jej ostrych ruchach widać było, że jest bardzo czymś podenerwowana. Machając rękoma oddaliła się pomiędzy chałupy.

Błada na twarzy Sonia wpadła do pokoju.

-Wiera mówiła mnie, że milicja aresztowała Polkę z Grodna. Ta co do niej przyjechał krewny z Moskwy i miał ja stąd zabrać.-

-Pani Wojkowska z dwojga dziećmi!- zawołała Helena odkładając na bok igłę z nitką.

-Tak! Z dwojga małymi, tak jak twoje dziećmi- przytaknęła Sonia.

-Temu krewnemu milicjant coś powiedział i ten pierwszym pociągami odjechał do Moskwy. A ta kobieta! Ona pracowała przy wianiu pszenicy. Za bardzo narzekała na komunistów i to głośno. Starali się ją ostrzec, ale baba jak to baba nie dała sobie nic powiedzieć. No! I narobiła sobie. Zabrali ją i dzieci.

-Może pojechała do Moskwy. Za swoim kuzynem?- zapytał Janek.

-O nie! Do Moskwy NKWD nie zabiera. Ją zabrali do jednego auta a dzieci do drugiego. Pojechali w innym kierunku- poprawiła nerwowo chustkę.

-Jeden z milicjantów uderzył ja w twarz, to zaczęła płakać. Wszystko zostawiła. Zabrali ją tak jak stała.-

-Co oni z nią zrobią? Przecież już jesteśmy na Syberii!- zawołał przestraszony Sławek.

-Co! Wsadzą do więzienia tak jak mojego męża. A dzieci zabiorą do sierocińca i porobią z nich komsomolcow.

U Soni na twarzy widać było przestrasz.

Na drugi dzień do złej przygnębiającej nowiny dołączył się deszcz.

Zmusił wszystkich do siedzenia w domu. Janka nie interesowała nawet książka, którą pożyczył od pani Plotkiewiczowej. Odłożył ją na bok i myślał jak by to można było zamienić ten okrutny terror i dać ludziom prawdziwą wolność.

Dzień mijał za dniem. Praca i obowiązki stały się dziennym ciężarem życia. Braki w sowieckim odczuwało się na każdym kroku.

W sklepie nie można było znaleźć ani jednej igły do szycia. Nie mówiąc o materiale, który ukazał się tylko jeden raz od ich przyjazdu do Obuchowki. Czekaający w kolejce ludzie kupowali wyznaczoną im ilość nie zwracając uwagi na kolor, czy jakość materiału.

Przysłane z Polski igły do szycia, stały się cennym narzędziem pracy. Klaudja z Heleną tak jak i dużo innych kobiet z Polski, zajęły się reperacją kufajek, spodni i bluzek.

Zapłatę otrzymywały w pszenicy, chlebie, jarzynach, a czasami w kawałku mięsa.

Klaudji udało się kupić pół działki ziemniaków. Należała ona do młodej pary, która zaraz po ślubie otrzymała od kołchozu działkę. Z braku materiału do budowy domu, obsiali działkę ziemniakami. Pieniądze poszły na podatek za niewybudowany jeszcze dom.

Klaudja, Helena, Sławek i Janek przekopali ten mały kawałek ziemi kilka razy. Niestety rzadko sadzone kartofle wypełniły tylko dwa worki.

Na początku jesieni w wiosce zapanował wielki ruch. Kołchoz po zapłaceniu wyznaczonego podatku dla państwa, zaczął dzielić pozostałe zbiory pomiędzy kołchoźnikami.

Naczelnik kołchozu Ivan Szorowej rozdawał ludziom kartki, które w kilku budynkach zamieniali na pszenicę, ziemniaki i kapustę.

Pod koniec tygodnia Janek został wezwany do biura. Szybkim krokiem minął wiatraki i dostał się do budynku administracji wioskowej.

Zastukał w drzwi i wszedł do środka. Przy drewnianym stole zarzuconym papierami siedział naczelnik kołchozu Iwan Szorowoję. Długo musiał stać przed stołem zanim on nie znalazł w grubej zniszczonej książce jego nazwiska

-No tak!- odezwał się grubym basowym głosem.

-Ty! Pracowałeś u nas. Tak! Dobrze. Ale nie należysz do kołchozu! Ci co nie należą do kołchozu, zapłatę otrzymują tylko w rublach.

Śliniac palec z powagą przerzucił kartkę.

-Tak! Ty masz zapisane że pracowałeś czterdzieści trudodni.

Unióś głowę do góry i spojrzaj na Janka.

-Tak! Za dobrą pracę dostałeś po sto dwadzieścia pięć procent za dzien. To znaczy że masz pięćdziesiąt trudodni- sprawdził w książce.

-Pięćdziesiąt po dziesięć rubli, to znaczy że należy się dla ciebie pięćset rubli.

Z głębokiej szuflady w stole, wyciągnął pieniądze. Odliczył pięćset rubli i położył na stole. Schował resztę pieniędzy, poprawił się na fotelu i spojrzaj uważnie na Janka.

Janek wyciągnął rękę po pieniądze, ale naczelnik zatrzymał go.

-Poczekaj! Poczekaj gołąbku. U nas płaci się podatek od zarobku. Dla Sowieckiej Republiki należy się dwadzieścia pięć procent rozumiesz!

Odliczył sto dwadzieścia pięć rubli i schował je do metalowego pudełka stojącego na samym końcu stołu. Sprawdził czy pudełko jest zamknięte i odwrócił się do Janka.

-No tak ale teraz musimy dać coś nie-coś dla kołchozu. Jak by nikt nic nie dał to byśmy nic nie mieli. Prawda?

-Szkoda- westchnął Janek.

-Co? Co ty mówisz?- naczelnik nastawił ucho.

-Prawda! Prawda- odpowiedział głośno Janek.

-To dobrze, że ty to rozumiesz. Dla kołchozu należy się pięć procent.

Obliczał przez chwile na kawałku papieru.

-Pięć procent to równa się osiemnaście rubli i siedemdziesiąt pięć kopiejek.

Odliczone pieniądze schował do innej szuflady po prawej stronie stołu.

-No tak! To są wszystkie podatki- uśmiechnął się widząc wystawioną Janka dłoń.

-Poczekaj! Poczekaj! Ja tu widzę żeś ty jadłeś na stepach no i w lesie. Na stepach siedem dni a w lesie czternaście. Jak ci się nasze piękne lasy podobały?- zapytał zaznaczając coś w książce. Janek szeroko otworzył oczy.

-No tak razem dwadzieścia jeden dni. My liczymy po siedem rubli za dzień, to jest razem sto czterdzieści siedem rubli. Prawda?

-Towarzyszu Ivan! Jak wy możecie liczyć po siedem rubli za jedzenie jak tylko płacicie dziesięć rubli za trudodniówkę?- oburzył się Janek.

-No co! Nie widzisz gołąbku jakie są wysokie ceny? Dzisiaj pszenica kosztuje sto pięćdziesiąt rubli za pud! A ty wiesz jakie drogie jest mięso!- odpowiedział złośliwym tonem.

-Zaraz! Zaraz ! Ale jak ja pracowałem w lesie to pszenica kosztowała dwadzieścia rubli za pud!- przerwał mu Janek.

-To nie moja sprawa. Ja obliczam dzisiaj i muszę brać dzisiejsze ceny pod uwagę!- poprawił się na fotelu.

-Towarzyszu Ivan, ale w lesie nie mieliśmy mięsa.

-Jak to! Ja tu mam zapisane. Otrzymaliście mięso i to większą ilość niż posłałem na stepy!

-Stare, zepsuło się po drodze- Janek nie dawał za wygrane.

Naczelnik uniósł się w fotelu. Odliczył pieniądze i czerwieniąc się na twarzy mruknął.

-Ja twój mięsa nie pilnowałem gołąbku. Tu zapisane mam, że dostajesz.

to znaczy że dostales. A co z nim zrobiles to nie moja sprawa. Rozumiesz.! Ty lepiej zabieraj te pieniądze zanim ja nie znajdę jeszcze innych wydatków. Rozumiesz gołąbku!

Janek zkał pieniądze i zanim naczelnik skonczył mowić wybiegl z pokoju. Cały zziębły wpadł do domu. Podał matce pieniądze i usiadł na łóżku.

-Pracując dla nich to można umrzeć z głodu, a oni to na mogiłę będą czekać na resztę podatku- otarł spoconą twarz.

-Z pięciuset rubli co zarobiłem, po odliczeniu podatków i jedzenia na rękę dostałem dwieście dziewięć rubli i dwadzieścia pięć kopiejek. Dzisiaj jeden pud pszenicy kosztuje sto pięćdziesiąt rubli. To ja pracowałem u nich półtora miesiąca za niecałe dwa pudy pszenicy- zachnął się.

-Ja u Papowa za jeden dzień wiania pszenicy zarobiłem cały pud i dostałem jedzenie. A tu tylko dwieście dziewięć rubli i dwadzieścia pięć kopiejek! I to ma być sprawiedliwość? Sowiecki raj!

Klaudja trzymając w ręku pieniądze rozglądała się bezradnie po pokoju. Z pomocą przyszła Helena. Odłożyła na bok z wieką łatą spodnie i odezwała się cichym głosem.

-Nic nie stracone. Na pszenice i tak nie mamy miejsca, ale musisz być zadowolony, że przynajmniej u nich miałeś jedzenie.

Janek spojrzał na nią.

-Ach pani nie rozumie!- mruknął pod nosem.

-Zaraz! Zaraz! Janek, ty zawsze chciałeś kupić gitarę. To są twoje zarobione pieniądze. Jak widzisz teraz nie jest czas kupować pszenice. Pieniądze i tak nie mają wartości. Kup sobie gitarę to przynajmniej będziemy mieli weselej w domu. Nie mamy gramofonu, nie wolno mieć radia, to przynajmniej gitara uprzyjemni nam życie. Podała Jankowi pieniądze i zabrała się do gotowania.

Niechętnie, ociągając się, Janek wziął pieniądze. Po godzinie wrócił z gitarą w ręku.

-Tego to mieli wielki wybór. Kosztowała sto pięćdziesiąt rubli. zaśmiał się wesoło. Oddał resztę pieniędzy matce i usiadł na łóżku.

-Świetnie Janek! Świetnie! A teraz zagraj coś skocznego- zawołała Helena.

Dziewczynki przestały się bawić czekając na coś nowego. Sławek usiadł z boku Janka.

-Niestety ale ja nie mogę- odpowiedział Janek smutnym głosem.

-No nie! Nie potrzebujesz zaraz grać. Ja wiem, że ty jeszcze nie umiesz. Ale tak po prostu pobrzękaj, to już będzie weselej- prosiła błagalnym głosem Helena.

-No tak ja bym wam pobrzękał z wielką przyjemnością. Ale niestety w całym sklepie nie mieli ani jednej struny.

XXXII

Dzień za dniem o tej samej porze, daleko na stepie otoczona wysoką trawą widać było sylwetkę szybko idącej kobiety.

Wioska ukryła się daleko za horyzontem, a kobieta szła dalej, aż zmęczona, wyczerpana siadała na trawie. Wielkie łzy spływały po bruzdach wrytych troską twarzy.

Ostatnie przeżycia, aresztowanie, podróż oddalająca ją od swoich ukochanych, męża i syna rozrywały serce szalonym bólem nie dającym się opisać. Tęsknota gnała ją tam, w tym zachodnim kierunku skąd brutalna siła wyrwana była z domu rodzinnego.

Julja Lindnerowa była żona komendanta policji w Druskienikach. Mąż jej w zamieszczeniu wojny znalazł się w Warszawie. Przez znajomego przekazał wiadomość, że żyje i stara się ją i dzieci sciągnąć do

Warszawy. Po Bożym Narodzeniu ze Lwowa przyjechał starszy syn Jan, i po kilku miesiącach przekroczył nową Niemiecko-Rosyjską granicę. W drugim liście mąż zawiadomił, że są zdrowi i czekają na nią i Franka.

Tego samego dnia późno w nocy rosyjscy żołnierze otoczyli ich dom. Aresztowali ich i wywieźli na Syberję.

Julia nie mogła otrząsnąć się z ostatek przeżyć. Czoła się skrzywdzona, oszukana. Do tego nie było nikogo komu mogła by się pożalić.

Wiedziała, że i inni znajdowali się w takich samych warunkach, Ale to nie usprawiedliwało jej nieszczęścia. Julia nie mogła pogodzić się z losem.

Tak jak i codziennie powróciła późno wieczorem do domu. Gospodyni domu Viera, Przywitała ją wesoło.

-Barysznia Julja! Ja mam dla ciebie miłą niespodziankę- podała Julji grubą kopertę i z wielkim zainteresowaniem przyglądała się jak Julja otworzyła list.

Na podłogę posypały się czerwonce. Julia złapała się za głowę. -Tyle pieniędzy! Tyle pieniędzy!- powtarzała oszołomiona. Podała kopertę Frankowi, pomogła Vierze pozbierać pieniądze i usiadła ciężko na ławie.

-Co się stało? Kto to przysłał? Na pewno mój mąż z Warszawy. Stara się o nas- oczy jej zabłysły nową nadzieją.

-Zaraz, Zaraz mam- przerwał jej Franek.

-Oni piszą, że to są pieniądze za nasze meble.

Julia pobladła. Delikatny uśmiech, który pierwszy raz od kilku miesięcy ukazał się na jej buzi, zamienił się w smutną rozpaczoną twarz.

-No widzicie! Widzicie! Za moje meble, na które pracowaliśmy z mężem tyle lat! Tyle ciężkich, ciężkich lat!- złapała się rekoma za głowę.

-Ja myślałam, że oni ich nie ruszą! mój mąż miał je zabrać do Warszawy. A oni sprzedali je za trzysta rubli! Trzysta rubli! Głos się jej załamiał.

-Mamo! Mamo! Niech mama się uspokoi! Nie warto się przejmować! Te meble to nie wszystko! Nie warto!- Franek przytulił ją do siebie.

-Niemcy z Rosją w najlepszej zgodzie. Ojciec po tamtej stronie na pewno stara się o nas. Tylko musimy poczekać. Cierpliwie poczekać. Mama wie, że dużo Polaków legalnie wyjechało do Warszawy. Pozwolili im to i pozwolą nam.

-Dziecko, oni z Polski wyjechali a nie z Syberji. Dla nas już zapóźno- wielkie krople łez potoczyły się po jej policzkach spadając na koszule bezradnego Franka,

Viera zdjęła z głowy chustkę. Podała ją Frankowi i cichutko opuściła pokój.

Z tygodnia na tydzień Julia czuła się coraz to gorzej. Długie spacerki zamieniły się na siedzenie w pustym pokoju. Nie chciała się z nikim widzieć.

Po powrocie Franka ze stepu, skarżyła się, że źle się czuje i coś ją dręczy, ale nie mogła wytłumaczyć co i dlaczego.

Pod koniec tygodnia zaczęła narzekać na ból w nogach. Ciepłe okłady i nacierania nic nie pomogły.

W następnych kilku dniach, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Julia nie mogła chodzić.

Przestraszona Viera zawołała sanitariuszkę, która nie wiedząc co ma zrobić, wypisała papiery do szpitala.

Na samym końcu ceglanego budynku długi pokój, z równo ustawionymi łózkami po każdej stronie. Wąskimi oknami po drugiej, wywierał przygnębiające wrażenie.

Na pierwszym łóżku przy drzwiach siedziała Julia. Oczy jej biegały

z okien, za którymi widać było gołe podwórko, na stare pordzewiałe kaloryfery. Pomiedzy oknami na ławie stało wiadro z wodą. Z boku mały żelazny kubek przyczepiony łańcuszkiem do ławy.

Z boku, przykryte po same nosy kocami, leżały cicho, zagłębione w swoich kłopotach cztery kobiety. Ostatnie dwa łóżka przykryte były brezentem tak jak w wojskowym baraku.

Około południa, do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Wzięli Julię pod ramiona i zanieśli do małego pokoiku w którym przy drewnianym stole siedziała starsza kobieta. Sanitarjusze posadzili Julię na krzesle i usiedli z boku na ławie.

Kobieta ostrym wzrokiem zmierzyła Julię od góry do dołu. Wolnym krokiem podeszła do niej i zaczęła badanie.

Martwa jej twarz nie okazywała żadnego wrażenia. Krótkie pytania padały jedno po drugim. Na końcu zapisała coś w notesie i odezwała się ostrym głosem.

-Słuchaj Polka! Słuchaj uważnie. Tobie nic nie jest. Zdrowa mocna kobieta, potrzebna jest w kołchozie, do roboty, a nie tu w szpitalu.

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi zagryzła wargi.

-Ja myślę, że Gieroj ciebie z tego nonsesu wyleczy- dała znak sanitarjuszom. Usiadła przy stole i długo patrzyła przez okno na zasłane chmurami niebo.

Sanitariusze spojrzeli jeden na drugiego. Bez słowa z wielką ostrożnością odnieśli Julię, z powrotem do długiego pokoju.

Pod wieczór do Julii przyszedł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna. Czarne długie jego włosy, spadały po-niżej ramion.

Czarna broda łączyła się z szerokimi bokobrodami, ukazując tylko górę buraczkowych policzków. Ostro zakończony nos dzielił dziko błyszczące oczy. Czerwony jego kolor zdradzał częste zaglądnienie do butelki.

Wolnym krokiem zbliżył się do Julii. Przez chwilę stał i patrzył na nią. Kobiety z boku zakryły się z głowami pod koce.

-Moje imie Igor Gieroj. Ja mam nauczyć ciebie chodzić!

Gruby jego głos wstrząsnął Julię i kobiety, które zaczęły trząść się jak liście na drzewie podczas wiatru.

-Wstawaj!- rozkazał głośno. Widząc, że ona nie daje sobie rady zawołał sanitariuszy.

Sanitariusze zanieśli ją do pokoju, w którym oprócz drewnianej ławy nie było ani jednego mebla. Posadzili Julię na ławie i wyszli z pokoju.

Igor zatrzymał się pośrodku pokoju. Odwrócił do Julii i spojrzał na nią spod oka.

-Wstań i podejdź do mnie- krzyknął ostrym głosem. Niezdarność Julii denerwowała go coraz to bardziej.

-Wstawaj! To wszystko jest w twojej głowie! Wstawaj! Rozumiesz!- krzyczał coraz głośniej.

-Jak nie wstaniesz to cię naucze po naszymu! Rozumiesz!

Przerażone oczy Julii biegały po pokoju szukając pomocy. Widziała jak ten brutalny człowiek wyciągnął z zapasa gumową pałkę. Głos jego zamienił się w ryk. Z przerażenia nie wiedziała co ma robić.

-Ja nikomu nic złego nie zrobiłam. Zostaw mnie w spokoju!- wołała błagalnym głosem.

Gieroj nie chciał słuchać. Uniósł pałkę do góry. Jego brutalny krzyk zmieszał się z płaczem bólu.

Julia poczuła kilka ostrych uderzeń. Cały pokój zawirował dookoła, zmieniając kształty malał i naraz zrobiło się zupełnie ciemno.

Ocknęła się na łóżku. Jedna z kobiet, wycierała jej twarz mokrą szmatką i coś mówiła. Głos jej wydawał się daleki,

słabiutki, zagłuszony biciem serca. Powoli zbliżył się z szalonym pragnieniem.

-Wody! Wody- poprosiła cicho.

-Po wodę musisz iść sama. Kubek przyczepiony łańcuchem- wytłumaczyła kobieta. Okropne pragnienie zagłuszyło ból ciała. Powoli usiadła na łóżku i zsunęła nogi na podłogę.

Przez chwile czekała niezdecydowana. Bezradnie rozejrzała się dookoła pokoju z nadzieją o pomoc. W drzwiach ukazał się Gieroj.

Kobiety schowały się pod koce. Zimny dreszcz przeszedł po Julii ciele. Nogi jej ugięły się i poczuła jak leci na podłogę.

Gieroj podbiegł, uchwycił ją, podniósł do góry i posadził jak dziecko na łóżku. Podeszedł do ławy, oderwał łańcuszek od kubka i kazał kobietom podać jej wodę. Spłynął prosto na podłogę i głośno przeklinając opuścił pokój.

Bolesna kuracja Gieroja powtarzała się co kilka dni pozostawiając po sobie coraz to więcej bolesnych śladów.

Julia błagała, prosiła o powrot do wioski. Pragnęła zobaczyć się z Frankiem. Odpowiedz otrzymywała, że w kołchozie są zbiory. Franek pracuje daleko na stepach i nie mogą się z nim skomunikować.

Rozpaczona nie wiedziała do kogo ma się udać o pomoc. Czuła, że gubi poczucie czasu. Ze strachu przed Igorem zmuszała się do chodzenia.

W czasie gdy nogi powracały do życia, zaczęła tracić pamięć. Pod koniec miesiąca Julia zapomniała o całym świecie. Nie pamiętała już skąd przyjechała. Zapomniała o mężu, synach. Cała przeszłość zamieniła się w zamglony obraz jakiegoś pięknego, przerwane raptownie snu.

Zycie jej stało się, chowaniem pod kocem od strasznej postaci Igora Gieroja.

Na dworze zrobiło się zimno. Liście na kilku topolach nie zdążyły jeszcze zmienić koloru jak mocny wiatr zerwał je i ponosił daleko w

stepy. Tańcząc z trawą przesunął chmury, zakrywając niebo. Wcisnął się w każdą szczelinę domów.

Widząc pół otwarte drzwi budynku wdarł się do środka pokoju przestraszając kobiety swoim świstem.

Zimny jego powiew ocknął Julie. Usiadła na łóżku.

-Gdzie ja jestem? Co ja tu robie?- zapytała głośno. Nie otrzymując żadnej odpowiedzi skupiła się w sobie. Ostry ból ciała wstrząsnął ją.

-Franek! Mój syn Franek! Gdzie on jest?- złapała się za głowę.

Powoli zaczęła się budzić, jakby ze straszego snu. Franek w Obuchowce, a ona w szpitalu. Gieroja twarz stanęła jej przed oczyma.

-Bandyci! Podłe bestie! Leczą ludzi biciem- odezwała się znowu.

-Ja muszę się stąd wydostać. Uciec do Franka- ogladnęła się czy ja nikt nie usłyszał.

-Tylko dostać się do Obuchowki to ja już dam sobie radę- starała się odsunąć natarczywy strach w postaci Gieroja.

-Muszę stąd uciec! Koniecznie uciec- zdecydowała.

Spuściła nogi na dół i wolniutko, chwiejąc się wyszła na korytarz. Złapała stojącą z boku miotkę i opierając się na niej wyszła na podwórko.

-Och! Ja pamiętam ten budynek. Za nim jest droga do Obuchowki.-

Ucieszyła się widokiem wielkiej stodoły na końcu placu.

Spieszyła się jak tylko mogła. Nie czuła ani wiatru ani kropel padającego deszczu. Ta niewielka odległość pochłonęła sporo czasu.

-Jeszcze kilka kroków i będę za budynkiem na drodze do Franka- dodała sobie otuchy.

Ostrożnie ominęła wielkie drzwi i ukryła się za stodołą. Zmęczona ale szczęśliwa odwróciła się gotowa iść dalej.

Naraz jakaś wielka postać zasłoniła jej drogę. Uniosła głowę do góry.

Bolesny krzyk wydarł jej się z piersi. Przed nią stał trzęsący się w złości Igor. Julia cofnęła się do tyłu. Starła się go ominąć.

-Zostaw mnie ! Zostaw! Ja ci nic złego nie zrobiłam!- zawołała z całej siły.

Gieroj pchnął ją do tyłu i patrząc na nią dziko świecącymi się jak u wilka oczyma, syknął złośliwie.

-Ty Polka ! Co ty myślisz, że ja taki głupi! Będę za tobą gonił po deszczu! Co ty sobie myślisz- zakwztusił się w złości i machnął gumowa pałką w nastawioną rękę.

Gumowa pałka wypadła mu z reki. Przeklinając głośno złapał za gruby drewniany patyk leżący z boku.

-Nauczyłaś się chodzić to już uciekasz!- zamachnął się poraz drugi.

-Ja ciebie nauczę posłuszeństwa!- I nie znajdując więcej słów, zaczął strasznie przeklinać, uderzając za każdym razem.

Julja osłoniła się kilka razy przed uderzeniami. Rece w piekącym bólu opadły na dół. Nogi zachwiały się i poleciała do tyłu.

-O Boże zmiłuj się. Zmiłuj się na demna!- zawołała głośno.

-Co! Jeszcze Boga wołasz do pomocy! Co! Co!- warknął Igor i uniósł patyk do góry.

Nagły ostry ból wstrząsnął jej całym ciałem. Spływające po policzkach łzy połączyły się z kroplami deszczu, do nich dołączyły się cieniutkie niteczki czerwonej krwi. Zabarwiły jej lewą stronę białej koszuli amarantowym kolorem.

Nie rozumiała dlaczego nie czuje więcej bólu. Widziała jak Gieroj uderzał ją po ramionach i głowie. Ale nic nie czuła. Straszna twarz Igora i jego wielka postać topniały, oddalały się coraz to dalej, dalej, dalej. przed sobą zobaczyła zielony obsypany kwiatami step.

Daleko na horyzoncie ujrzała światło, które oblało ją błogimi, ciepłymi promieniami. Była wolna. Już nikt ją nie zatrzyma.

Tam na zachodnim horyz^{on}cie Polska jej dom i jej rodzina. Zaczęła iść w stronę światła, pomiędzy kwiatami. I poszła w nieskonczoność.

Gieroj zatrzymał patyk w powietrzu. Popatrzył na leżącą w kałuży krwi kobietę. Ze złością odrzucił patyk na bok.

-Znowu zemdlą!- zawołał zlosliwie. Uniósł ją i odwrócił się w stronę szpitala. Mocny wiatr zakręcił się dookoła z taką furją że o mało co nie przewrócił Gieroja. Ostry deszcz zaczął siekać bez litości. Obmył Julii twarz i głowę z krwi.

Przerażony potęgą natury Igor zatrzymał się. Zimny dreszcz przeszedł po jego ciele.

Spojrzał na Julii twarz. Nie widząc w niej życia, półbiegiem zaniósł ją do pokoju, położył na łóżku i przykrył kocem.

Siedzące na łózkach z przestraszonymi oczyma kobiety, śledziły jego każdy ruch. Gieroj uniósł głowę do góry.

-Znalazłem Ją na dworze, musiała się przewrócić. A jak która z was coś innego powie to!- przejechał się palcem po gardle i wybiegł z pokoju.

Przerażone kobiety pochowały się pod koce. W pokoju zapanowała smiertelna cisza.

Ciężkie uderzenia kilofa odbiły się głuchym echem o otaczające kamienne pomniki i drewniane krzyże.

Czterech ludzi kopało pierwszymi mrozami zamarznątą ziemię. Sapiąc głośno pracowali na zmianę.

Janek co chwile unosił kilof do góry. Odbijał po małym kawałku twardą ziemię. Za nim Zbyszek Zawicki szeroką lopatą zgarniał kawałki i wyrzucał je na zewnątrz. Na gorze z bardzo zasmucona mina Tadeusz Witkowski brat Sławka kolegi Gienka odsuwał ziemię na bok.

Błądy na twarzy Franek, wyznaczył kierunek mogiły tak, żeby głowa jego matki zwrócona była w stronę Polski. Usiadł na mogile z boku i z nisko opuszczoną głową, na dół zatopił się głęboko w swoich myślach.

Naraz poderwał się, Zabrak od Janka kilof i walił z czej siły w ziemię. Zmęczony zpowrotem usiadł na mogile, objął rękoma głowę i z rozpaczą w oczach patrzył gdzieś daleko, daleko w dal.

Czas mijal wolno i wolno pogłębiała się grobowa jama. Pracowali nie zamieniając ze sobą ani jednego słowa. Po długim kopaniu pierwszy odezwał się Tadeusz.

-Ja myślę, że to będzie wystarczająco głęboko- odezwał się Tadeusz.

Zbyszek wyciągnął z kieszeni miarę. Zaczepiając ją na końcu łopaty zmierzył głębokość.

-Tak to dosyć- odpowiedział krótko.

-Podaj mnie rękę- poprosił Tadeusz wyciągając rękę do Janka. Ostatni z jamy, opierając się o łopate, wyskoczył Zbyszek. Bez słowa pozabierali narzędzia i ruszyli w stronę wioski.

Idący na końcu Janek nie mógł się pogodzić z śmiercią Julii.

-Jak to się stało? Tak nie dawno, pełna humoru i nadziei i naraz umarła? Od nog się nie umiera!- mówił sam do siebie nie mogąc znaleźć wytłumaczenia.

Dwa dni temu wpadł do nich rozpaczony Franek. Szpital zawiadomił go o śmierci matki. Franek sam nie mógł uwierzyć co się stało.

-Napewno jakas pomyłka!- powtarzał co drugie zdanie.

Gospodarz jego Pietrov Gorodoj, dostał gdzieś deski na trumnę. Po zwłoki wyjechali we czwórke.

Franek, bez litości poganiał konie, jakby chciał natychmiast tam się dostać. Pietrov starał się go powstrzymać. Helena, przestraszona zegnała się przy każdym większym podskokiem wozu. Janek z mocno zacisniętymi zębami trzymał zbitą na przódce trumnę, żeby nie wypadła.

W szpitalu posłali ich do małego domku, gdzie znajdowały się Julji zwłoki. Janek pozostał przy koniach. Jakies dwie kobiety zbliżyły się do niego. Jedna przez drugą, opowiedziały co się stało i błagając, żeby

nic nikomu nie powiedział, ukryły się w drzwiach ceglanego budynku.

Franek, Pietrow i Helena włożyli zwłoki Julii do trumny, wynieśli trumne i umieścili ją na wozie.

Z głównego budynku wyszedł sanitariusz. Podeszedł do wozu i podał Pietrovi do podpisania papiery. Siedząca z boku Helena nie wytrzymała. Spojrzała prosto w oczy sanitariuszowi.

-Co wyście jej robili! Dlaczego ona jest tak strasznie pobita?

Sanitariusz poczerwieniał. Spuścił na dół głowę.

-Towarzystwo ona często się przewracała. Miała coś złego z nogami. U nas mało pomocy nie ma kto pilnować. Upadła udeżyła się i kaput.

-Towarzystwo! Te bruzy nie są od padania. To poprostu nie-możliwe! My nie tacy naiwni!- odpowiedziała ostro.

Sanitariusz odebrał papiery. Chciał coś powiedzieć, ale Pietrow zaciął konie i wyjechał na drogę do wioski.

Do samej Obuchówki Franek siedział z boku trumny. Objął ją jedną ręką a druga co chwile wycierał, niedajace się powstrzymać krople łez.

Dźwięk stawianych narzędzi ocknął Janka. Znajdowali się na Pietrowa Gorodoj podworku.

Staro Rosyjskim zwyczajem w kuchennym pokoju krzątała się Helena. Gościła jedzeniem siedzących przy stole ludzi. Na dworze Pietrow częstował wodka mężczyzn.

W drugim pokoju stała trumna. Z boku na ławie siedziało kilka płaczących kobiet.

Z mieszkania wyszła Viera podeszła do Pietrowa i szepnęła mu coś do ucha.

-Tak! Tak! Już czas- odezwał się głośno. Dał znak i po chwili mężczyźni z Frankiem na końcu wynieśli trumnę, umieścili ją na wozie.

Trzymając krótko lejce Pietrow ruszył w stronę cmentarza. Za trumną z nisko spuszczoną głową szedł Franek, za nim wywiezieni na Syberje

Polacy. Niektórzy już poubierani w szare połatane kufajki i spora grupa rosyjskich płaczących kobiet w długich bezbarwnych spódnicach, chustami zakrywającymi ich twarze. Za kobietami kilku kołchoźników, w połatanych kolorowo kufajkach.

Krótką przemową Pietrowa zastąpiła kapłana. Na jego znak opuszcili trumnę na dół. Pierwszy Franek a za nim reszta ludzi rzuciła garską ziemi na trumne. Tadek ze Zbyszkiem wypełnili ziemią dół, Janek umieścił drewniany krzyż i głośno odczytał napis na tabliczce.
-Tu spoczywa Julia Lindnerowa. Umarła szóstego października 1940 roku-

Janek wolnym krokiem powrócił do mieszkania Pietrowa. Pragnął złożyć Frankowi kondolencje. Może jakoś pocieszyć. Dopomóc.

W kuchennym pokoju, przy stole siedziało jeszcze kilku. Zastukał do pokoju, w którym mieszkał Franek i wszedł do środka.

Na łóżku siedział Franek. Z boku Pietrow z butelką wódki.
-Pij! Pij. robaczku- mówił cicho podając Frankowi kubek.
-Zapij ta boleść, zapij. Będzie ci o wiele łatwiej na sercu. Pij robaczku.

Frankowi kubek wysunął się z reki. Wyciągnął się na łóżku i zaczął głośno chrapać.

Pietrow przykrył go kocem i chwiejącym krokiem zbliżył do Janka.
-Ciii! Cit!- odezwał się cicho przykładając palec do ust. Mocno oparł się na Janka ramieniu i wyszedł z pokoju. Ostrożnie zamknął drzwi.

XXXIII

Tak jak i codzien od rozpoczęcia nauki, tak i tego rana Sławek wyruszył do szkoły. Osmiolatka znajdowała się na ulicy Stalina po drugiej stronie stajni.

Ciężko było z nauka. Mało zaawansowany w języku rosyjskim, dostał się do niższej klasy. W matematyce stał o wiele wyżej niż jego koledzy. Historia z geografiami, nie zgadzały się z tą, którą uczył się w Polsce. w Historji rosyjskiej nie było ani jednego cara coby zrobił coś dobrego dla ludzi. W ich książkach, wszyscy oni byli tyranami i mordercami. Lekcja konstytucji nieraz wydawała się śmiesznie naiwna.

Nie rozumiał rosyjskich dzieci. Nie można było im wierzyć. Musiał bardzo uważać co mówi, żeby nie donieśli nauczycielowi.

Sławka denerwowała ich fantazja. Naiwne wychwalanie się wielką kulturą.

Kilka razy nauczyciel wypytywał się o matkę i Janka. Co robią, o czym rozmawiają, jak im się podoba sowiecki system. Nieotrzymując odpowiedzi jakiej pragnęli od niego usłyszeć, zostawili go w spokoju.

Ostatnie przeżycia zrobiły Sławkę o wiele poważniejszym na swój wiek. Miał dziesięć lat a już pracował. Zbierał kiziaki, i potrafił z głębokiej studni na dworze przynieść wodę do domu.

Wolny czas spędzał z kolegami z Polski na stepie. Leżąc na zielonej trawie przypominali sobie piękne przeżycia w dalekiej ojczyźnie.

Bardzo odczywał brak ojca. Za to, że go aresztowali nienawidził komunistów. Ale nie tracił nadziei, że zobaczy się z ojcem.

Zazdrościł Jankowi, że on nie potrzebuje chodzić do szkoły, słuchać te bzdury i bardzo uważać, żeby coś niepotrzebnego nie wymknęło się z ust.

Tego zimnego poranka spóźnił się do szkoły. Narzekając na Helenę ze sniadaniem, wbiegł do szkolnego budynku. W połowie korytarza zatrzymał się.

Przez półotwarte drzwi do młodszej klasy zobaczył zawieszony na ścianie krzyż z Panem Jezusem. Ukrył się za drzwiami.

Ze zdumieniem patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak nauczyciel poustawiał dzieci w dwóch grupach. Jedna przed krzyżem a druga przed obrazem Stalina.

-Ja chcę żebyście poprosili Pana Boga o cukierki. Dobrze?- odezwał się nauczyciel.

Na jego znak dzieci stojące przed krzyżem zaczęły głośno prosić o cukierki. Nastąpiła cisza. Nauczyciel podszedł do grupy.

-Widocznie wy nie prosicie tak jak trzeba! Musicie prosić głośno! Krzyknął na uczni.

Po nowej prośbie, machnął ręką i zwrócił się do drugiej grupy.

-No a teraz wy, poproście naszego backie Stalina- zawołał wesoło.

Zanim dzieci skończyły swoją prośbę, nauczyciel delikatnie cofnął się do tyłu. Zgrabnie wyciągnął z kieszeni całą garść cukierków i rzucił je w górę.

Przez chwilę zawrzało jak e ulu. Dzieci popychając jedon drugie pozbierały wszystkie cukierki. Jak tylko się uspokoiło, nauczyciel zapytał poważnym głosem.

-No a teraz powiedźcie mi która grupa dostała cukierki?

Slyszac ror dzieci zapytał ponownie.

-Do kogo modliła się grupa, która dostała cukierki?

-Do Stalina! Do Stalina! wołały obie grupy.

-No to sami widzicie kogo trzeba prosić o cukierki! i jak wam ktoś będzie chciał mówić o Bogu, ktorego nie ma! To mu nie wiercie! Bo! jakby Bóg był to by dał dla was cukierki! No, ale dla pewności zamienmy się grupami.

Jak tylko dzieci ustawiły się, cała ceremonia powtórzyła się na nowo. Dzieci proszące Stalina o cukierki otrzymały całe dwie garście.

Rzuciły się na nie z taka łapczywoscia, że aż dwa cukierki odbijając się o ich nogi potoczyły się prosto w otwarte drzwi.

Korzystając z okazji Sławek złapał cukierki i szybko na palcach doszedł do swojej klasy. Cichutko wszedł do środka. Widząc nauczyciela zajętego pisaniem na tablicy, zajął swoje miejsce.

Nauczyciel młodszej klasy, zauważył jak dwa cukierki poleciały na korytarz. Prędko podszedł do otwartych drzwi. Nie widząc ich na podłodze, poważnie spojrzał w jedną i drugą stronę korytarza.

Nie widząc nikogo cofnął się do tyłu. Cukierki znikły jak kamfora. Nie mogąc sobie tego wytłumaczyć z bardzo posępna miną wrócił z powrotem do klasy.

XXXIV

Ostre światło błyskawicy i głuchy wstrząsający trzask grzmotu obudził śpiących.

-Burza! Burza!- zapiszczały dziewczynki chowając się pod koce. Sławek delikatnie nasunął koc aż do samego nosa.

Przez chwilę panowała cisza i znowu błyskawica wypełniła pokój światłem. Po kilku dalszych grzmotach lunął deszcz.

Przez cały tydzień zmusił on ludzi do przebywania w domu. Po deszczu zerwał się tak mocny wiatr, że zerwał kilka dachów i zasypał wioskę kłującymi chwastami. Miejscowi ludzie nazywali je perekocipole.

Niestety nie nadawały się one do palenia. Ostro kolczaste, trudne były do zbierania, a zgniecione, paliły się o wiele szybciej od słomy.

Janek wykorzystując przerwę pomiędzy chmurami, z workiem na plecach udał się w stronę Soni kuzyna.

Po drodze, na poprzecznej ulicy nie daleko między, zauważył grupę rosyjskich chłopców. Przyglądali się czemuś na stepie. Pomiędzy nimi z bardzo poważną miną stał Grysza.

Janek podbiegł do niego. Szturchając po przyjacielsku w bok, zapytał co się stało. Jeden z chłopców wskazał ręką szare, chmury pomiędzy ziemią a ciemną warstwą deszczowych chmur u góry.

Pchane wschodnim wiatrem kłębiły się prędko przesuając w zachodnią stronę horyzontu. Z początku wyglądały jak szybko płynąca rzeka, pomiędzy ziemią a czarnymi chmurami, które porywane od czasu do czasu mieszały się z szarym ich kolorem.

-Bedzie burza. Wielka burza. Może i śnieg, bo za zimno na dreszcz.

Nie otrzymując odpowiedzi uważniej spojrział na chmury. Zimy dreszcz przeszedł po jego ciele. Mieszające się chmury, układały się w kształty.

Wyraźnie widać było wozy, konie, czołgi. Janek przetarł sobie oczy.

-To nie możliwe. Fantazja- mruknął sam do siebie.

W pewnym momencie wyraźnie wyłoniły się postacie żołnierzy z karabinami i znowu wozy, konie...

Gryśza przyglądał się temu zjawisku z owartymi ustami. Nieprzyjemne uczucie ogarnęło Janka.

-Wojna! Bedzie wielka wojna. Jakaś potężna siła zapowiada wielki kataklizm- odezwał się cicho.

Zapominając o mieleniu pszenicy wrócił z powrotem do domu. Nie zdążył jeszcze opowiedzieć co widział, jak głośny krzyk Krysi przerwał im rozmowę.

-Śnieg! Śnieg! Śnieg!- wołała biegnąc do okna za którym wielkie płatki śniegu tańczyły z wiatrem.

Przez kilka dni nie mogli wyjść na dwór. Zdawało się że śnieżna zawierucha nie ma końca. Cała wioska znalazła się pod śniegiem.

Janek z Sonia musieli wykopać przejście z domu na ulicę. Teraz zrozumiał Janek dlaczego z domu wychodziło się do sionki,

a drzwi w siatce otwierały się do środka.

Dużą ilość sniegu musieli wciągnąć do sioni, zanim wydostali się na zewnątrz. Chałupa po dach zasypana była śniegiem.

Pod ciepłymi promieniami słońca, śnieg osiadł i życie w wiosce powróciło do normy.

Sławek w ciepłych walonkach wsuniętych w ojca kalosze poczłapał do szkoły. Janek założył narciarskie buty, które jakimś cudem wrzucił do kufra i przywieźli z sobą.

Założył krótki zakopiański kożuszek, zabrał pszenicę i poszedł do Soni kuzyna.

Klaudja musiała zostać w domu. Jedyne walonki, które udało jej się kupić w wiosce zabrał Sławek, a pantofle w których przyjechała nie nadawały się na śnieg.

Tym razem Helena mająca ciepłe ubranie i obuwia z Polski, obciążona została handlowaniem. Zabrała podpinkę na poduszkę i poszła szukać kupca. Nie łatwa to była robota, specjalnie że zaplata musiała być w szybko topniejącym się u nich prowiancie.

Późno po południu wróciła zmęczona ale pełna humoru. Udało jej się zamienić podpinke na kaszę jaglana, trochę maki i niewielki kawałek mięsa.

Piękny słoneczny poranek wskrzesił ochotę do życia. Jasne promienia słońca odbite od lśniącego się śniegu, przebiły bez trudu małe okienka zalewając pokój mieniącym się kolorem tęczy.

Pierwszy ubrał się Janek. Wybiegł na dwór i umył się śniegiem. Wytarł prędko ręcznikiem i złapał za wiadro.

-Poczekaj! Poczekaj! Zatrzymała go Sonia.

-Studnia zamarznięta! Rozbijesz mnie wiadro. Poczekaj! Poczekaj!

Zaspana jeszcze zabrała Jankowi drewniane wiadro i podeszła do studni. Wolno odkręciła sznur. Głuche uderzenie w lód odbiło się

echem o ściany studni.

-Widzisz lód!- oznajmiła krótko.

-To skąd my weźmiemy wodę?- zapytał Janek.

-O to się nie martw. Śniegu pełno- zaśmiała się podając mu wiadro.

-Tak! Tak. Ale zanim śnieg się roztopi, będzie potrzeba więcej paliwa- Janek złapał się za głowę.

Przez te kilka tygodni złej pogody, nie przyniósł nic do palenia, a zapas topliwa znikał coraz to szybciej.

Zaraz po śniadaniu, złapał sznury. Teraz musiał szukać topliwo, które nie było przykryte śniegiem. Pamiętał w którą stronę jechali z Tonim. Wyszedł na drogę i skierował się w południowo-zachodnim kierunku. Tam gdzieś na horyzoncie leżało słonecznikowe pole.

Jeszcze nie zdążył zrobić kilka kroków, po płaskiej warstwie śniegu jak głośny krzyk, przerywany przekleństwami usłyszał tuż pod swoimi nogami. W kilku susach dostał się na ulicę.

-Do licha! Tu nie można rozpoznać gdzie droga się kończy a gdzie zaczyna! Całe szczęście, że dach pode mną się nie załamał- zawołał nerwowo.

-To napewno ziemianka znalazła się na drodze, O! A tu ulica- uspokoił się widząc koleiny sanek i głębokie ślady końskich kopyt.

-Hej! Ta droga prowadzi do słonecznikowego pola. Czyżby oni? Nie! Napewno pojechali do sterty po siano. Jaka szkoda, że te sterty nie są bliżej wioski- zaśmiał się sam do siebie.

Jak okiem sięgnąć, biały śnieg mienił się w blasku słońca. Tu i tam wielkie jego fale łamały się jak na zaczarowanym, nieruchomym morzu. Odwrócił się i spojrzał w stronę wioski.

Z daleka, widać było tylko kreski ścian, pomiędzy zasypianymi dachami i śniegiem na dole.

-Żeby nie te cieniutkie wstążki unoszącego się do góry dymu, z tej

odległości można byłoby ominąć wioskę, nie zdając sobie sprawy, że pod tym śniegiem żyją ludzie- wzdrygnął się na myśl, że tu można tak łatwo zabłądzić.

-Dlatego oni budują sionki z wyjściem na wschód. Wiedzą, z której strony będą zasypani- tłumaczył sobie zagłębiając coraz to dalej w pokryty białą szatą step.

Droga w większej części była łatwa. W niektórych miejscach położonych niżej musiał brnąć w głębszym śniegu.

Zadyszany dostał się do miejsca charakterystycznie ułożonych kilku wzniesień. Po prawej stronie leżało słonecznikowe pole.

Przez pewien czas rozglądał się dookoła. Tam gdzie było tyle słonecznikowych badyli, tylko tu i tam sterczały pojedyncze łodygi.

-Szkoda było drogi i czasu!- zawołał głośno.

Zbieranie szło powoli. W jednym miejscu zapadł się po szyję w śniegu. Minęło sporo czasu zanim się wygrzebał.

Nauczyło go to trzymać się z daleka od wydm, które można było poznać po wysokości sterczących badyli.

Po długiej, mozolnej pracy zebrał dosyć sobie sporą wiązkę. Ułożył ją na sznurach z pętlami na końcu, przeciągnął sznurki przez pętle i ściągnął.

Nie było nikogo, kto by pomógł mu zarzucić ten ciężar na plecy. Po długim namysle, stanął twarzą do wiatru. Uniósł słonecznikowe badyle na wysokość głowy i korzystając z pchającego bandel wiatru, okręcił się szybko. Ciężka wiązka leżała na plecach. Przerzucił prędko sznury pod łokcie i podrzucając kilka razy wiązkę do góry wyrównał ciężar.

Wiejący tak jak codziennie wiatr w zachodnim kierunku, popychał go od tyłu, zmuszając do szybszego marszu.

W domu czekała na niego niespodzianka.

-Gotów jesteś do roboty? Mamy świetne zajęcie- przywitał go Franek i nie czekając na odpowiedź mówił dalej.

-Ty znasz pana Pruskiego z Grodna? On jest stolarzem. Czy ty wiesz, że on zabrał ze sobą prawie wszystkie narzędzia? Dowiedział się o tem Szorowej i zaproponował mu prace. Pruski potrzebuje dwóch takich jak my do pomocy! Rozumiesz?

-Franek! czy ty dowiedziałeś się jaka to robota?- zapytał Janek.

-Tak! W kołchozie wielki brak domów. A domy potrzebują drzwi i okien. Vasil dostarczył mu drzewo. Od jutra ja i ty zaczniemy pomagać mu, a kołchoz zapłaci.

-Świetnie! Ale powiedz nam Franek, ile ci kołchoz zapłacił za pracę na stepach?- zapytała siedząca z boku Helena.

Franek zaczął się śmiać.

-Ja o mało co, że nie dopłaciłem im za pracę. Byłem o wiele dłużej od ciebie na stepach. A ja dłem za dwóch. Ale Wykivajko omylił się i nie wpisał całego miesiąca. Ja im nic nie powiedziałem. Oni nawet liczyć nie potrafią- zaśmiał się wesoło.

-O! O mało co nie zapomniałem. Vasil dał mnie ten papier żebym tobie doręczył- podał Jankowi kartkę z notesu.

-Co nowy podatek?- Skrzywił się Janek. Podniósł kartkę do światła.

-Mamo! To jest pozwolenie na zmielenie pięciu pudów pszenicy w młynie!- zawołał niedowierzającym głosem.

-Hej! Franek, w piątek nie będę mógł pracować. To mój dzień mielenia. Och aby tylko wiatr wiał w dobrym kierunku- ucieszył się.

-Pamiętaj bądź jutro gotów. Pierwszy dzień musimy być na czas- uprzedził Janka Franek.

Omijając w drzwiach Franka, do pokoju wsunęła się Sonia. Usiadła na ławie i uśmiechnęła się do Janka.

-Słyszałam, że dostałeś pozwolenie do młyna? Pokaż je!- wzięła papier

do ręki. Przez chwile przyglądała się z zagatkowa mina.

-Wiesz co? Ty weź wózek, Połóż na nim trzy worki. Dwa po pięć pudów a jeden z jedna czwartą puda. O! Zabierz tą pszenicę, co uzbierałeś na drodze do stacji kolejowej.

-Ale ja mam pozwolenie tylko na pięć pudów- Janek smutnie opuścił głowę na dół.

-Jak masz pozwolenie na pięć to i dziesięć zmielesz. Rozumiesz? im łatwiej obliczac. Widzisz za dziesięć pudów musisz im dać jedną czwartą puda, a za pięć jedna ósmą. To za mało. Nie ma co się fatygować. Dodaj im pięć rubli na boku. Wszyscy tak robią! Dlaczego ty masz być gorszy od innych.

-Ja tego nie rozumie? Za mielenie się płaci i to tak drogo? Ja myślałam, że to jemu się należy! Za prace! Gdzie są te przywileje?- zapytała zdumiona Helena.

-Przywileje? Co to jest?- zaśmiała się Sonia.

-Cieszcie się że was wpuszczają do młyna. U nas nic nie ma za darmo. I za wszystko co się płaci trzeba mieć pozwolenie! Wózek znajdziesz po prawej stronie sionki- oddała Jankowi papier.

XXXV

Robota u Pruskiego podzielona była na kilka części. Janek ciosał siekierką długie kawałki drzewa do oznaczonej linii. Franek wygładzał je małym strugiem. Na końcu Pruski wygładzał powierzchnię, i powycinał wgłębienia na szyby.

Żona jego Marta krzątała się dookoła. Zamiatała każdy kawałeczek drzewa i chowała je za piecem. W niecały tydzień zużyli dostarczone im drzewo. Po dokładnym wymierzeniu Pan Adam poobcinał belki pod kątem,

złożył je razem i wywiercił w nich dziury. Franek z Jankem zamoczyli przygotowane kołki w kleju i powbijali w dziury. Po wygładzeniu płaskim raszplem powierzchni, poustawiali gotowe ramy okienne przy ścianie.

W końcu tygodnia po południu do pokoju wszedł przedstawiciel wioski Ivan Szorowoj. Z szeroko otwartymi oczyma, cmokając co pewien czas, głąaskał ramy potrząsając z niedowiarą od czasu do czasu głową.

Widać było po nim, że nie mógł powstrzymać się od podziwu. -Jakie wyście używali narzędzia? Ale to robota. Ja nie widzę w nich ani jednego gwoźdźdźia, a takie są mocne. No taka robota to musimy oblać. No i oczywiście zapisać ciebie do kołchozu- poklepał przyjaźnie Adama po ramieniu i cmokając jeszcze kilka razy opuścił mieszkanie.

Po jego odejściu w chałupie zawrzało jak w ulu. Pod nadzorem Marty chłopcy zamietli pokój i ustawili po środku długi stół, który używali podczas pracy. Wynieśli wszystkie ramy do sionki i przynieśli dwie długie drewniane ławy.

W czasie gdy Franek rozpalał piec Janek wypełnił śniegiem kocioł. Jak tylko woda zaczęła się gotować, Marta nasypała do niej grubo mieloną makę. Dodała garść soli i mieszając doprowadziła do gęstości.

Na wielkiej patelni roztopiła drobniutko pokrajaną słoninę. Dodała do niej kilka główek posiekanej cebuli i jak tylko cebula się zarumieniła, wylała całą zawartość patelni na mieszankę. Odstawiła saduche w ciepłe miejsce przy ogniu.

Przyjemny zapach wypełnił pokój. Nawet pan Antoni zatrzymał się i przez chwile wciągał przepelnione aromatem powietrze.

Chłopcom ślinka napłynęła do ust. Nie mogli doczekać się na rozpoczęcie tej uczy.

Ze zmrokiem ukazał się Ivan Szorowoj z Vasilem Wykivajło. Za nimi wsunął się Sima Lisov z butelką wódki w rękę.

Z szerokim uśmiechem na twarzy Marta podała cynkowe kubeczki, do których Sima nalal wódkę. Franek z Jankiem postawili kocioł parującej saduchy po środku i usiedli na przeciwko siebie na kocu stoła.

W drzwiach ukazał się Fiecia Kiszkin, Pruskiego sąsiad. Postawił butelkę z wódką na stole i usiadł z boku Simy.

Ivan Szorowoj podał Adamowi kartkę papieru z pieczętą i podpisami.

-No teraz jesteś oficjalnie członkiem kołchozu w funkcji stolarza. Ogłosił poważnym głosem. Widząc u starego żyty w oczach głośno zawołał.

-A teraz na zdrowie!

-Na zdrowie!- powtórzyli mężczyźni unosząc kubki do góry. Ciche gulgotanie, głębokie oddechy zagłuszyły rumor ław siedzących na nich ludzi.

Teraz każdy z nich zagłębił drewnianą łyżkę w parującej saduchce. Widocznie smakowała. Widać było po dokładnym oblizaniu łyżek i powtórnym zanurzeniu.

Marta wypełniła wysunięte w jej stronę kubki i nowe gulgotanie z głośnym oddechem wypełniły pokój. Po trzecim kubku Vasil zaczął tłumaczyć jak ważne jest dla kraju wykonywać prace szybko i solidnie.

Narzekał, że ludzie w kochozie nie mają ochoty do pracy.

-Za każdym ja chodzić nie mogę! A jak tylko się obrócę to zakurka za zakurka.

-Tak! Tak! Takich solidnych robotników jak ty nam potrzeba, a nie takich co kręcą coraz to dłuższe papierosy- zgodził się z nim Ivan.

-Niedługo gazety im zabraknie. Nie potrafią podzielić prawdy tak jak nakazano- poklepał siedzącego z boku Adama po ramieniu i duszkiem opróżnił kubek.

-O tak to prawda! Wielka prawda. Ludziom się nie chce pracować.

Przytaknął Sima, kiwając głową z góry do dołu.

Siedzący z boku Janka, Vasil zauważył pełen jego kubek.

-Co nie możesz pić! Taka okazja. Musimy ją oblać! Pij na zdrowie Stalina!- rozkazał głośno.

-Na zdrowie! Na zdrowie!- powtórzyli mężczyźni.

Głośny kaszel Janka ocknął Sime. Przez chwile wodził oczyma szybko zanurzając się reke Janka w kotle i zaśmiał się wesoło.

-Vasil! Te smarkacze nie wiedzą jak się pije. Popatrz!- odezwał się do siedzącego z boku Franka.

-Z początku nabierasz powietrza, a potem pij! Szybko pij! Rozumiesz? Widząc jak Franek po wypiciu rozkaszlał się na całego, zaśmiał się.

-Trochę praktyki! Bez niej nic- poklepał Franka po plecach.

-Tak! Tak! Ale ty jemy źle radzisz. Trzeba nabrać tylko trochę powietrza i wtedy szybko pić- poprawił go Vasil.

-Jak komu wygodniej- mruknął Sime i opróżnił swój kubek.

-Ale i ty nie masz racji! Bo jak nie ma za mało powietrza w płucach to się ukrztusisz- odezwał się poważnie Ivan.

Korzystając z okazji zajętych tłumaczeniem mężczyzn jak się pije, Janek dolał swoją wódkę Vasilowi, i nabrał ze stojącego z boku dzbanak wody. Delikatnie szturchnął go w bok.

-To tak się pije?- nabrał powietrza do płuc wypił całą zawartość kubka. Udając, że trochę się krztusi wyprzedził wszystkich w zanurzeniu łyżki w kotle.

Do biesiadników dołączyła się Zosia, synowa Pruskiego. Usiadła na samym końcu ławy i ciekawie przyglądała się grupie.

-Dla młodszych może zamieszać wódkę pół na pół z wodą?- odezwała się nieśmiało.

-Eee! Barysznia! Co zepsuć wódkę? To nie po naszymu. Co się z tym światem robi? Nie umieją pracować i nie umieją pić!- krzyknął czerwieniąc się na twarzy Vasil i stuknął pięścią w stół.

-Ja ich nauczę jak się pracuje! Jak nie wykonają zadania na czas!

To ja nauczę ich rozumu. Nie pracujesz to nie jesz!

-Tak! Tak! Vasil kartki do młynu. Wolniej robisz mniej maki bedziesz miał!- denerwował się na nowo Ivan.

-Słyszysz Vasil! Słyszysz! Ja ci każę poobcinac na procencie. Dłuższy papieros! Mniejsza zapłata. Rozumiesz!

-Trochę więcej wódki towarzyszku Ivan?- uspokoiła go spokojnym głosem Marta. Dolała wódki do samej góry i z uśmiechem podała Ivanowi

Nowa kolejka picia z głośnym na zdrowie, głębokie oddechy i kaszel chłopców wypełnił pokój. Zosia chowając się za Martą opuściła pokój.

-Macie racje przedstawicielu! Macie racje. Obciąć! Obciąć! I to w tym roku, bo na przyszły rok to ja nie wiem co będzie można obciąć.

Wszystko poobcinane! No ale jak trzeba to trzeba!- mamrotał kiwając głową Sima.

Vasil podrapał się w głowę.

-Co się ze mną dzieje? Znowu nie wypilem do końca- mruknął opróżniając dyskretnie swój kubek, i na nowo zaczął narzekać na kołchoźników. Trochę podпиты Sima potakiwał mu kiwając głową.

-Tak! Tak! Otrzymali plony, pieniądze, i jeszcze nie chce im się pracować! Może dlatego, że za pieniądze nie mogą nic kupić? W sklepie oprócz drewnianych zabawek nie ma nic- spuścił głowę na dół.

Ivan spojrzał na niego złośliwie.

-Dostawa do sklepu nie należy do nas. To nie moja wina, że spóźnili się z dostawą cukru. Ja temu nie winien. Ale po co ludzie zaraz rozkupują wszystko, zamiast zostawic na drugi dzien. To nie moja wina. Ja musze sie martwic jak tu zapłacić podatek dla pańswa- burknął.

-Towarzyszku Ivan! Co tam w sklepie! Nie ma co sie martwic! My tu mamy wódkę na stole!- zaśmiał się głośno Vasil, spojrzał na kubek i szybko wypić dolaną przez Janka wódkę.

Po trzech butelkach wódki, mężczyźni poczuli się o wiele

swobodniej. Sima wywijając kubkiem zaczął śpiewać.

"Try tankisty"..... reszta grupy dołączyła się do niego.

Janek zajął się saduchą. Nie mogąc odmówić wódki, przy każdej okazji dolewał ją Vasilowi. Kilka łyków które wypił rozgrzały go i dodały humoru.

Pan Adam nie bardzo pewny na nogach, kiwając się lekko, wyszedł do drugiego pokoju i wrócił z butelką polskiej wódki. Dla Rosjanów wydawała się ona za słaba, ale musiała się im podobać bo, przytakując głowami opróżnili butelkę i prosili o więcej.

Tym razem Vasil zaczął śpiewać, popularną piosenkę "Jabłus¹⁰⁰²zko" Za nim dołączyli inni. Śpiewali na głosy tak ładnie, że aż Janek przestał jeść i przez długi czas przysłuchiwał się z podziwem.

Naraz Fiecia ze łzami w oczach zerwał się z ławy. Chwiejąc się na nogach doszedł do drzwi używanych tylko latem i otworzył je na całą szerokość.

Zimne powietrze wypełniło pokój. Naftowa lampa przygasła. Światło miliona gwiazd zasianych na niebie, odbitych w białym śniegu oświetliło pokój jasno srebrzystym kolorem.

Oczarowany blaskiem Fiecia, z trudem utrzymując się na nogach oparł się reka, o drzwi.

-Matuszka! Kochana Matuszka! Jakas ty piękna- zawołał głośno- Och! Jacy my strasznie podli ludzie, katujemy jeden drugiego w imieniu jakiejś tam bajecznej idei, która nas powoli niszczy.

Zataczając się zniknął w promieniach srebrzystego światła.

Marta szybko zamknęła za nim drzwi. Dołożyła kilka kiziaków do ognia i dołała mężczyznom do nastawianych kubków wódki.

-Dla was pora do domu- podała Frankowi i Jankowi kozuszeki. Janek polknął ostatnia łyżkę saduchy, pomógł Frankowi założyć kozuszek.

Na dworze było tak jasno, że musieli przymrużyć oczy zanim nie

oswoili się z tym gwiazdzistym światłem.

Franek złapał Janka pod rękę, i opierając się całym ciężarem narzekał na plątające się nogi. Janek nie był w lepszym stanie. Nie rozumiał dlaczego jego nogi zamieniły się na gumowe.

-Całe szczęście, że ta ulica taka szeroka- mruknął.

-Co? Co ty mówisz?- zapiszczał ciągnąc Janka do tyłu.

-Nic! Nic! Ja tylko nie rozumiem dlaczego tak długo idziemy i coraz to cieplej! Poczekaj ja muszę odpiąć kilka guzików. To dziwne ja przecież prawie, że nic nie piłem?

-Tak! Ja też nic nie piłem. No może kilka kubków. Tak! Tylko kilka. Oj Oj! Janek trzymaj mnie, Jakoś cały świat kręci się w głowie.

Powoli cofając się i krecąc po ulicy, doszli do domu Gorodoja i jak tylko Franek zamknął za sobą drzwi. Janek skierował się w stronę swojego domu.

Pomimo plątających się nóg i śliskiej drogi czuł się wesoło. Wszystkie troski, kłopoty i zmartwienia zniknęły gdzieś daleko. Chciało mu się śpiewać, tańczyć, skakać.

-Żeby nie te plątające się nogi- śmiał się wesoło.

Następnego dnia do Adama przyszedł Vasil. Cichym słabym głosem wytłumaczył, że wielkie śniegi i zawieja zatrzymały transport z materiałem do pracy. On osobiście zawiadomi jak tylko przywiążą belki na drzwi.

Spojrzał podejzanie na zamiatającego podłogę Janka.

-Twoja wódka musiała być o wiele słabsza od mojej. Nie wiem dlaczego moja głowa pęka a ty pracujesz jak byś nic nie pił!

-Oni pili pół na pół z wodą!- odezwał się cicho Adam. Usiadł ciężko na ławie i poprawił sobie mokrą szmatę na głowie.

-Marnowanie alkoholu!- szepnął Vasil.

-Czy tobie to pomaga?- objął rękoma swoją głowę.

Następnego dnia z samego rana do pokoju wpadła Sonia. Błada na twarzy usiadła nerwowo na ławie.

-Czy wy wiecie! Aresztowali Fiecie Kiszkina. W nocy przyjechali policjanci NKWD i zabrali go z sobą. Niby to na pytania. Rozumiecie Na pytania! Tak jak mojego męża. Janek wyście nic o polityce nie mówili, co? Gorodoj mówił, że Franek nic nie pamięta. Czy ty coś pamiętasz?

-Ja nie byłem pijany. Nie piłem tylko jadłem. I wiem, że nikt nic nie mówił o polityce. Tylko Sima narzekał na braki w sklepie.

-Oni jemu to nic nie zrobią. Wy wiecie!- zatrzymała się w środku zdania i rozejrzała po pokoju. Uspokojona ze oprócz Klaudji i Janka nie było nikogo, mówiła dalej.

-Wy wiecie, że oni należą do partii. Kogo nie lubią to do ciupy. Widocznie on powiedział co im się nie podobało. Tak jak mój mąż. Tu nie wiadomo jak człowiek ma się zachować. O czym rozmawiać, co chwalić, bo ganić to nie wolno. On napewno dostanie kilka lat więzienia. Nawet nie będzie wiedział za co. Zobaczycie! Ja ich dobrze znam- otarła napływające do oczu łzy. Klaudja przytuliła ją do siebie.

-Sonia! Sonia. Nie płacz Pan Bóg ich skarże. Prędzej czy później, noga im się podwinie- starała ja się, uspokoić.

XXXVII

Dzień po dniu robił się coraz to zimniejszy. W nieogrzanym podczas nocy pokoju temperatura spadała poniżej zera. W dodatku brakowało przykrycia.

Janek nauczył się ogrzewać własnym oddechem. Przykryty po sam nos dwoma kocami, obrusem i korzuszkim, który często spadał na podłogę. Wciągał powietrze nosem a ustami wypuszczał pod koce.

Najgorzej było wstawać z rana zanim niogrzało coś nie coś pokój. Trudniejszym zadaniem było kroić zmarznięty chleb i pilnować go żeby się nie spalił na szybko rozgrzewającej się blasze pieca.

Każde gotowanie kosztowało kilka kiziaków i kilka garści badyli, które topniały w miare jak "Backa Maroz" Jak tu go nazywali, obniżał temperature.

Daleka odległość do słonecznikowego pola i porozrzucane na wielkiej odległości badyle, skłoniły Janka do szukanie topliwa w innym miejscu.

przypomniał sobie jak w drodze do lasu, widział po obydwóch stronach drogi krzaki. Przygotował sobie gruby sznur, ubrał ciepło i wyszedł na ulice Stalina. Po drodze zatrzymał go Zbyszek Zawicki.

-Janek! Jak to dobrze, że ciebie spotkałem- zawołał z daleka.

-Ja mam wielkie kłopoty. Coraz to zimniej, a tu brak paliwa. Kiziaki zasypane śniegiem, nie wiadomo czem palic. A u nas to zimniej, niż w eskimoskiej psiarni! Czemu wy palicie. Poradź mi co robić!

Janek zaśmiał się.

-My mamy te same kłopoty. Ja zbierałem słonecznikowe badyle, ale ich zostało bardzo mało, no i daleko. W drodze do lasu widziałem krzaki, nie długie ale krzaki. Jak chcesz to chodź. Może coś znajdziemy.-

Zadowolony Zbyszek zabrał z domu sznury. Powiedział siostrze gdzie idzie i dołączył się do Janka.

Minęli zasypane śniegiem chałupy i znaleźli się na drodze do lasu. Na niebie ukazało się słońce.

-Jak tu pięknie- zawołał Zbyszek przyglądając się jak biała szata śniegu daleko, daleko na horyz^{on}cie łączyła się z błękitnym niebem.

-Zima ma swój urok. Tylko żeby nie było tak strasznie zimno. Ale!

Janek dlaczego ty szukasz topliwo z tej strony wioski? Bo ja słyszałem że po drugiej stronie też są krzaki.

-To prawda ale ja nie chcę nieść je pod wiatr. Jak tu nic nie znajdziemy to będziemy musieli walczyć z wiatrem. Czy ty nie zauważyłeś, że on zawsze wieje z południa na północ.?

Zbyszek skiwnął głową. Po chwili zaczął narzekać na swojego gospodarza.

-On stale nam wszystkiego zabrania. Ale straszyć to potrafi. My lubimy grać w karty i jak ktoś przyjdzie do nas, to on podsłuchuje. O ja zapomniałem. Do Zosi przychodzą dwie panienki z Grodna, no i gramy w karty. Jedna z nich przeziębila się. Czy byś mógł ją dzisiaj zastąpić? Gramy w tysiąca. Ty wiesz jak to się gra! zatrzymał się.

-Ale! Ale jak ty daleko chcesz iść? Popatrz wioska już się chowa. Nie boisz się wilków?- zapytał cicho rozglądając się dookoła.

-O wilkach ja nie myślę. Zresztą one w dzień chowają się. Nie bój się. Dojdziemy do topograficznej wieżyczki. Ja na nią wejdem i zobaczę czy opłaca się iść dalej.

-Zgoda! Zgoda!- odpowiedział sapiący ze zmęczenia Zbyszek.

Wieżyczka stała nie daleko drogi. Zbita była z czterech grubych dragów szeroko roztawionych na dole. U góry zakończona kwadratową platformą z góry grubym, wysokim patykiem. Do platformy można było dostać się po szczeblach przybitych do jednego drąga.

Mijając ją w drodze do lasu, Grysza mówił mu, że to jest geograficzny punkt, z którego wszystko się mierzy.

Janek oglądał ją ze wszystkich stron. Nie mógł powstrzymać się od myśli ile to bochenków chleba można byłoby upiec na tym wspaniałym wysuszonym drzewie.

Zmęczony Zbyszek usiadł na śniegu. Oparł się plecami o jedną nogę wieżyczki i rozkoszował się ciepłymi promieniami słońca.

-Poczekaj! Poczekaj! Wejdiesz na nią, trochę później. Teraz odpoczni. - zawołał, widząc jak Janek przygląda się drabinie.

-Ja myślę, że te szczeble są trochę za gęsto przybite- mruknął cicho Janek.

-Co?! Co? Co ty mówisz?- zapytał Zbyszek.

-O nic. Tylko nęci mnie to suche drzewo. Świetne polana, co?

-O Janek!- Zbyszek poderwał się na nogi.

-Ty wiesz dlaczego ta wierzytzka tu tak długo stoi? Wiesz dlaczego?- podenerwował się- bo ja wszyscy pilnują. Za kawałek tego polana można stracić życie. Zapomnij o drzewie! Myśl, że ona jest zbudowana z żelaza- spojrzał poważnie na Janka. Widząc jak ten rozgląda się dookoła, zawołał.

-Ty nie myślisz poważnie! Bo jak tak to ja stąd uciekam.

-Nie bój się. Ja muszę upewnić się, żeby ktoś mnie nie zobaczył- zaśmiał się Janek i szybko wspinał się do góry.

W połowie wysokości zatrzymał się. Otarł zakławione od wiatru oczy i przez dłuższą chwilę patrzył w jednym kierunku.

-Co ty tam widzisz? Co ty tam widzisz?- niecierpliwił się Zbyszek

Janek nie odpowiadając zsunął się szybko na dół. Wskazał ręką lewą stronę drogi i pociągnął Zbyszka za rękaw.

Chodź! Prędko chodź!- zawołał głośno.

Przebiegli kawałek drogi i zatrzymali się na wzniesieniu w terenie. Przed nimi leżało pole, gęsto pokryte wysokim piołunem.

Położone wyżej od drogi, nie były zasypane śniegiem.

-Tego to nam wystarczy na całą zimę i jeszcze zostanie się na lato!- ucieszył się Janek.

-Tak! Żeby tylko nikt inny o tym się nie dowiedział. Bo przyjadą wozami i oczyszczą- Zbyszek spojrzał na Janka.

-Nie mart się! Za daleko od drogi, a piołun wszędzie rośnie, może nie tak gęsto ale rośnie- pocieszył go Janek.

W bardzo krótkim czasie nazbierali tak wielkie bandle, że musieli

jeden drugiemu pomagać w załadowaniu na plecy.

Przed samą wioską ciężko sapiąc Zbyszek zatrzymał Janka.

-Teraz wiem dlaczego szukasz topłiwo w tych stronach. Bez pomocy wiatru nie wiem czy bym to doniósł. Janek! przyjdiesz dzisiaj na karty? Pamiętaj o szóstej. Będziemy na ciebie czekać.

-Dobrze- odpowiedział Janek i skręcił w stronę swojego domu.

Spieszył się jak tylko mógł. Piołun z każdą sekunda robił się coraz to cięższy. Wszedł na podwórko i zrzucił bandel na ziemię.

-Och!- odetchnął z zadowoleniem rozcierając zbolale ramiona.

U Zbyszka zjawił się punktualnie o szóstej. Zastał go w ciemnym pokoju mocującego się z naftową lampą.

-Ja nie mogę przyzwyczać się do tego kulturalnego instrumentu- żalił się. Nareszcie zapalił knot i zaczepił go na wygiętym gwoździu.

W pokoju zrobiło się widniej. Janek usłyszał oddech zadowolenia. Spojrzał w tamtą stronę i oczy jego spotkały się ze świecącymi się jak węgielki, oczyma pięknej brunetki. Serce mu mocno zabiło. Przez chwile patrzył zaskoczony, zdumiony, oczarowany.

Głos Zbyszka przerwał tę piękną chwilę uczucia.

-Janek to jest moja siostra Zosia, wyście się już widzieli- wskazał siedzącą przy stole blondynkę.

-A to Rena Zagórska. Też z Grodna.

Janek uczył delikatną jej dłoń. Błogie ciepło wstrząsnęło nim. Chciał by przytrzymać trochę dłużej, ale nie wiedząc dlaczego, zawstydzony usiadł w najciemniejszym kącie.

-Rena dostała się tutaj z ojcem i matką, Jedynaczka. Rosjanom nie podobało się jej wujka stanowisko. Jego aresztowali, a ich dołączyli do transportu na Syberie- mówił Zbyszek tasując karty.

Janek słuchał, ale ciekawsze było obserwowanie Reny. Średniego wzrostu. Szczupła. Jej kasztanowe włosy spadały poniżej ramion.

Ładnie ułożone odsłaniały okrągła, twarzyczkę ze zgrabnym malenkim noskiem i wielkimi, pięknymi, brązowymi oczyma.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się bezradny. Jakby nigdy przedtem nie widział żadnych dziewcząt. Nie rozumiał tego. Dlaczego ona wywarła na nim takie nadzwyczajne wrażenie.

Zachowując się jak najgrzeczniej, odsunął starającego się zająć to samo miejsce Zbyszka i usiadł na przeciwko Reny.

Zaczęli grać w tysiąca. Zosia rozdała karty. Janek jeszcze nigdy w życiu nie narobił tyle pomyłek jak tego wieczora. Przegrywał nie czując zainteresowania ani do kart, ani do konwersacji. Tylko co pewien czas oczy ich spotykały się i błogie uczucie wypełniało jego serce.

-Ja nie myślałam żeś ty taki marny gracz- zaśmiał się Zbyszek.

Zosia przyniosła płomyk. Podzieliła go na cztery części i poczęstowała gości.

Janek był zdumiony. Po raz pierwszy na Sowieckiej ziemi nie czuł głodu. Nie złapał za swój kawałek, jak to zrobił Zbyszek. Nie rozkoszował się ja zwykle smakiem płomyka. Ale jadł ukradkiem obserwując nową znajomą. Ze zdumieniem zauważył, że nie wiedząc kiedy, zjadł płomyk. Zauważył jak ona raz po raz obserwowała go. Kiedy oczy ich spotykały się razem, wstydliwie spuszczał głowę.

Naftowa lampa zaczęła przygasać. Wyznaczona na ten wieczór nafta wypaliła się do końca. Czas było zakończyć grę.

Idąc w tym samym kierunku Janek zgodził się odprowadzić Renę do domu. Zadowolony Zbyszek, że go wyręcza z tego obowiązku, pomógł założyć Renie płaszcz i pożegnał ich w sionce.

Przez chwilę szli osobno. Naraz Rena poślizgnęła się na nierównej koleinie. Janek uchwycił ją pod reke. A ona przytuliła się do niego. Szli wolno wolniutko jakby starali się przedłużyć te chwile.

Rena opowiadała o jakimś przeżyciu z którego połowy Janek nie

słyszał. Rozkoszował się tylko jej głosem i dźwięcznym śmiechem.

-Janek ja mieszkam tutaj- zatrzymała go.

Rozczarowany tak krótkim spacerem, delikatnie wyciągnął rękę z spod jej ramienia. Ona uśmiechnęła się. Podąka mu rękę na pożegnanie.

-Dobranoc. Bedziesz u Zbyszka jutro?

-Będę- wyksztusił z trudem.

-Jak Irena bedzie sie lepiej czula to jutro przyjdzie- zawołała odchodząc.

Przez pewien czas Janek stał patrząc na wejście do sionki, w którym zniknęła Rena. Wracal do domu powoli. Czul sie jak w bajce.

Nie wiedzial jak i kiedy znalazł się w łóżku. Nie rozumial tylko, dlaczego nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, kurczył, wyciągał. Postanowil liczyc do stu, ale po dwudziestu, zgrabna sylwetka Reny i jej piękny uśmiech budzil go na nowo.

Następny wieczor powtórzyl się zupełnie tak jak i pierwszy. Irena byla jeszcze przeziębiona.

-Ach jej matka jest bardzo przewrażliwiona na punkcie chorbb-wytłumaczyła Zosia.

-Ale wiecie co? Z Ireną, Lisowska ma przyjść sympatia mojego brata Krysia Rogulska-spojrzała spod oka na Zbyszka.

-No to brakuje nam tylko kogos dla pięknej blondynki Ireny! i bedziemy mieli wspaniałą paczkę- dodała mrugając okiem do Janka.

-To ja postaram sie przyprowadzic Franka Lindnera z Druskienik. On zawsze mi mowil, że lubi blondynki- odezwal się Janek i spojrzal ukradkiem na Rene. Ona uniosła głowę i patrząc mu prosto w oczy uśmiechnęła się zalotnie.

Następnego dnie zebrali sie wszyscy u Zbyszka i Zosi. Karty poszly na bok. Rozmawiali o swoich kłopotach i wspominali stare czasy. Nareszcie znaleźli się w grupie, gdzie jeden drugiego rozumial.

XXXVII

Na dworze robiło się ciemno. Wygladający przez okno Franek niecierpliwił się.

-No kiedy one przyjdą? Już dawno po szostej. A co robi twoja siostra?-
zwrócił się do Zbyszka.

-Franek! Bądź cierpliwy przyjdą, niedługo tu będą- odpowiedział
spokojnym głosem Zbyszek.

-Przyznaj mi racje! Kilka godzin w takim otoczeniu daje otuchę i chęć
do dalszego życia! A ty na początku nawet nie chciałeś tu przyjść-
odezwał się Janek.

-Masz racje, ale wiesz co! My powinniśmy zamienić się, nie przylepic
się do jednej, tak jak ty- Franek spojrzał na Janka.

-Co ja poradzę, że Rena mi się podoba- zachnął się Janek.

-No tak! Ale to nie znaczy że masz zaniedbywać Irenę, albo Zosię!
Musimy razem się bawić!- uparł się Franek.

-Zawsze mówiłeś do mnie że lubisz blondynki. A ładniejszej jak Irena
to tu nie znajdziesz- zdziwił się Janek.

-Dobrze! Dobrze! To ty ja dzisiaj odprowadzisz do domu a ja Rene!

Milczący do tej pory Zbyszek zaśmiał się głośno.

-Wy znacie się z dziewczynami kilka dni, a już się o nie sprzeczcacie!
Janek! Franek! Co za różnica? Zbieramy się żeby było weselej. Niech
one zadecydują kto ma ja odprowadzić. Zgoda!

-Zgoda- odpowiedzieli razem. Rozmowę ich przerwało wejście dziewcząt.
Tego wieczora grali w karty. Godziny, jak co wieczor, mijały za
szybko. Z gaszaca się lampa Rena z Ireną porozumiały się ze sobą, i
Janek odprowadził tak jak co wieczor, Rene do domu.

Korzystając z pogody Janek złapał sznury i nie czekając na ciepłą

herbatę, schował kawałek chleba do kieszeni i wybiegł z domu.

Spieszył się jak tylko mógł. Postanowił przynieść' topliwo przed południem. Ostatniego wieczora obiecał Renie pomoc zamienić prześcieradło na artykuły spożywcze.

Sama myśl spotkania się z nią sam na sam cieszyła go. Nie mogąc wyciągnąć z domu Zbyszka popędził sam. Przed południem wrócił z wielkim bandlem piołunowych badyli.

W pokoju na ławie siedziała zmartwina matka. Helena siedziała cicho na ławie szyjąc coś' nerwowo. Nawet dziewczynki pełne energii, bawiły się bardzo cicho za piecem.

-No i co teraz się stało?- zapytał.

-Czy ktos chory?- rozejrzał się po pokoju.

-Gdzie jest Sławek?

-Sławek w szkole. Nikt nie jest chory- uspokoiła go matka.

-To dlaczego takie smętne miny?

Helena szybko wywijala igłą, jakby poza robotą, nic nie widziała. Klaudja usiadła u boku Janka. Położyła rękę na jego ramieniu i odezwała się cicho.

-Nie ma mąki.

-Jak to! Mieliliśmy dosyć na trzy miesiące, a tu jeszcze dwa nie minęły- zdziwił się Janek.

-No nie wiem co się stało, może za dużo używaliśmy. Musisz wiedzieć, że na tej mące tylko żyjemy.

-Może nam ktoś ją ukradł?- odezwała się nerwowo Helena.

-No nie! Kiedy jak? Przecież zawsze ktoś jest w domu- przerwał jej Janek.

-Ale po co się martwić! Ja zaraz pójde do Soni szwagra i będziemy mieli mąkę- poderwał się na nogi.

-Janek jego żarna popsute. Nie może znaleźć' jakiegos' tam koła, a bez

niego nie chcą pracować- szepnęła cicho Helena.

-No to ja zabiorę kilka pudów pszenicy, kilka rubli i pójdę do młyna. Może się tam jakoś wcisnę.

Nie czekając na odpowiedź wyciągnął spod łóżka worek, odsunął za piecem siennik, uniósł jedną z desek i zagłębił rądel w głębokim pomieszczeniu.

Matka pomogła mu trzymając worek, a Helena w lepszym już humorze, zabrała na bok, zaciekawione co się robi, dziewczynki i przytrzymała deskę.

W drodze do młyna, z daleka ujrzał obracające się skrzydła wiatraku.

-Pracuje!- odetchnął zadowolony i przyspieszył kroku. Na placu przed wiatrakiem, z bardzo obrosniętą twarzą, mężczyzna, ładował na małe saneczki worki.

W środku młyna, kilku ludzi biegało dookoła. Z boku stały dziesięć pudowe worki pszenicy, czekające na swoją kolejkę.

Zmartwił się. Wiedział, że to mielenie zajmie dużo czasu. Nie będzie mógł zobaczyć się sam na sam z Reną.

-Ach! Przecież zawsze jest jutro- mruknął i postawił worek na podłogę. Jeden z mężczyzn odwrócił się do Janka.

-Co ty tu chcesz?- spojrzał na małego worka.

-Do mielenia? Masz pozwolenie od Vasila?- zapytał złośliwie. Widząc niewinnie proszącą minę, zawołał ostro.

-My takich cwaniaków mamy dużo. Nie masz pozwolenia, to uciekaj zanim ja nie zabiorę tego worka!-

Rozczarowany Janek wyszedł na dwór. Brodatemu mężczyźnie saneczki zapadły się w głębokim śniegu.

Janek nie mówiąc nic położył swój worek na górę i popchnął sanki do przodu. Po kilku minutach szarpania, znaleźli się na ulicy.

-Dziękuję! Dziękuję- usłyszał zasapany głos.

Mężczyzna widząc jak Janek zabiera swój worek zatrzymał go.

-Nie chcieli ci zemleć? Acha! Tacy oni! Poczekaj! Ty idziesz w moim kierunku! To chodź! Ja tobie coś poradzę.-

Zniechęcony Janek, zostawił worek na sankach i podszedł do Papowa. Bezwiednie uchwycił za sznur. Przez długi czas szli w milczeniu. Mężczyzna kilka razy spojrzał z boku na Janka.

-Ty mnie nieznasz. Moje imie Karol Papow. Ja ciebie widziałem jak niosłeś ze stepu badyle. To ciężka praca. Ludzie myślą, że to tak łatwo nazbierać i przynieść- obejrzał się do tyłu.

-Ty wiesz gdzie ja mieszkam. Czwarty dom od końca, na ulicy Stalina. Ja mam żarna. Może nie takie wielkie ale dobre! Nie dałem się nabrać tym bujaczom! Schowałem no i mam- spojrzał na Janka smutną minę i usmiechnął się.

-Ja tobie coś powiem! Za to, że pomagasz mnie zawieść te worki do domu, możesz zemleć to co masz w worku. A w przyszłości za każde użycie żaren, podrzuc dla mnie taką jedną wiązkę co ty nosisz do domu. Zgoda?

-Oczywiście, że zgoda towarzyszu Papow!- ucieszył się Janek. Papow zatrzymał się. Spojrzał ponownie do tyłu i na Janka.

-Ty mnie nigdy nie nazywaj towarzyszem. Splunął na bok.

-Nazywaj mnie Karol, albo Papow ale nigdy towarzysz. Towarzysze oswobodzili mnie ze wszystkiego. Ale to druga sprawa. Ale nikomu o żarnach. To one nam na dłużej wystarczą. Rozumiesz?- usmiechnął się ukazując czarne od żucia tabaki zęby.

Żarna były o wiele mniejsze niż u Soni kuzyna. Miały tylko jedną rączkę do krecenia. Zmielił przyniesioną w worku pszenicę, Zarzucił worek z maka na plecy i pożegnał Papowa.

Papow przez chwile przyglądał się workowi. Podrapał się pod broda,

zmarszczył brwi, jakby o czymś bardzo ważnym myślał.

-Ty wiesz, że za twoja pomoc to jakoś za mało. Przynies' jeszcze jeden trochę większy worek. To będzie sprawiedliwie! Prawda?

Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Skinal tylko głowa, przykrył zarna i biegiem wrocil do domu.

W pokoju czekał na niego Franek.

-Jestes gotow? Musimy juz isc!- zawolal widzac Janka.

-Isc? Dokad? gdzie?- zdziwil sie Janek.

-No do Reny! Pomoc jej w sprzedazy przescieradla!

Jankowi zrobilo sie nieprzyjemnie. Przeciez on mial byc sam na sam z Rena. Tak sie umowili. A ona zaprosila Franka? Nie wiedzial co ma odpowiedziec. Podal maka Helenie.

-U nas nie ma chleba. Z mlyna mnie wyrzucili. Na cale szczescie znalazlem zarna. Dzisiaj bede mogl zemlec wystarczajaco na pieczenie.

Taka okazje musze wykorzystac. Rozumiesz?- wyszeptal cicho.

-Ja widze ze ty nie masz czasu. Ja wytlumacze to Renie. Ona to zrozumie!- zasmial sie Franek.

Janek przez chwile stal na srodku pokoju, nie wiedzac co ma robic. Po chwili podszedl do okna i patrzyl jak Franek zniknal za domami. Wejscie matki wyrwalo go z zamyslenia.

-Janek ty sie nie martw. Nie potrzebujesz sie spieszyc. Sonia pozyczy nam bochenek chleba- spojrzala na worek z maka.

- Ja myslalam ze zarna sa zepsute?

-Znalazlem inne miejsce- odpowiedzial cicho. Nie chcial zdradzic, ze mu sie scisnelo gardlo, a w zoladku poczul tak dobrze znany mu bol przygnebienia.

Mielenie szlo swietnie. Zarna chodzily lekko i nie potrzebowal zmienac tak czesto zmeczonych rak, w dodatku z pomoca przyszedl mu Papow. Zadowolony ze znalazl w Janku dobrego sluchacza, opowiadal

o swoich przeżyciach i starych dobrych czasach.

Janek potakiwał mu głową, ale myśli jego krążyły dookoła Reny. Szkoda było ją stracić, po takim pięknym, króciutkim romansie.

Z drugiej strony Franek, w oczach jego, miał pierwszeństwo. On miał matkę i brata. Prawda że ojciec i brat Franka byli w Warszawie. Ale kto na tym świecie może zastąpić matkę?

Rena piękna młoda panią, uprzyjemni te ciężkie chwile Frankowi.

-Do pioruna! Dlaczego on nie zainteresuje się Irka! Zosia! Albo Krysia. Czy to musi być Rena? Dlaczego Rena?- przyspieszył obroty koła.

-Co! Co ty mówisz? Widzisz przyznajesz mnie racje!- zaśmiał się Papow.

Janek starał się słuchać co on opowiadał, jak tylko skończył i wyszedł z obory Janek wpadł w większe przygnębienie. Pracował do wieczora. Zmielona mąkę przywiózł na małych saneczkach. Narzekając, że jest bardzo zmęczony, zjadł miskę zacierkowej zupy i schował się pod kocem.

Na drugi dzień zabrał ze sobą saneczki. Na stepie załadował na nie dwie wielkie wiązki pszenicy. Po drodze jedną wiązkę z saneczkami zostawił Papowi. Widząc jego zdziwioną twarz, zaśmiał się głośno.

-To będzie zapłata za następne używanie zaren. Zgoda!

-Ale dlaczego teraz?

-Bo pszenica zawsze jest gotowa do mielenia. Ale pszenicę to trzeba zbierać kiedy się tylko daje i jak jest możliwa pogoda. A teraz zima nic nie wiadomo.

W pokoju zastał Renę i Irkę. Po chwili zjawili się Franek. Postanowili u Janka w domu grać w karty. Czas zmienił się w błyskawice i zanim się obejrzeli, był już najwyższy czas odprowadzić panią do domu.

Na dworze ostra, zimne powietrze, dławilo oddech. Rena zaczęła

dreptac dookola, kulac sie z zimna. Irena stala nie wiedzac co ma robic.

-Poczekajcie chwile to ja przyniase koce!- zawolal Janek, i nie czekajac na odpowiedz wbiegl do mieszkania. Gdy wrocil zpowrotem, na dworze czekala Irena grzejac sie rekoma.

-Gdzie Rena i Franek?- podal jej koc.

-Oni pobiegli do przodu- odpowiedziala z niechecia.

-No to chodzmy zanim mroz nas nie wykonczy!

Irena skiwnela glowa i oboje skierowali sie w strone ulicy. Janek szedl z boku sluchajac jak snieg skrzypi pod jego nogami. Spojrzal na gwiazdy i na smutna twarz Ireny. Nie rozumial dlaczego zrobilo mu sie jej szkoda. Nie bylo watpliwosci ze Franek jej sie spodobal. Widocznie ona odczuwala to samo co on w stosunku do Reny.

Zblizyl sie i tlumaczac ze ulica jest sliska. wzial ja pod ramie. Irena nic nie mowiac, przytulila sie mocno i szli w ciszy przerywanej skrzypem sniegu pod ich nogami. Niedaleko domu Irena delikatnie oswobodzila sie z Janka reki. Oddala koc i pozegnala sie.

Przez nastepne kilka tygodni, od rana do nocy, Janek zajety byl zbieraniem piolunu. Postanowil nazbierac go nie tylko na gotowanie ale i na ogrzewanie domu. Jednego poranku zauwazyl za soba sanie z kolchozu. Jakis czlowiek jechal za nim. Powoli trzymal sie w dosc sporej odlegosci.

-On napewno jedzie za mna! Na pewno! Bo gdyby jechal dalej, to by mnie juz dawno wyprzedzil. Musze zmienic kierunek- zdecydowal polglosem.

Minal topograficzna wiezyczke i spory kawal drogi za nia skrecil w prawa strone. Po krotkim szukaniu natrafil na rzadko rosnacy piolun.

W niecale pol godziny uzbieral dosyc spora wiazke. Obserwujacy go z daleka furman, zacial konia i zawrocil w strone wioski.

-A to leniuchy! za rzadko dla nich rosnie! Nie chce im sie zbierac!

Zawolal glosno i zarzucil wiazke na plecy.

W pokoju czekal na niego Franek. Zasapany nie mniej zdziwony Janek usiadl z boku na lawie.

-Co nowego Franek?- spojrzal z ciekawoscia na kolege.

-Janek ty wyobraz sobie, ze rodzice Reny nie pozwalaja wychodzic jej samej na randke. A Irena nie chce isc bo jak zostwilismy ja sama, to teraz udaje ze jest chora. Ty tez ostatnio jestes taki zajety ze nie mozna ciebie zlapac. To ci kompania!

-Franek! Zawrociles obydwom dziewczynom w glowie, nic dziwnego ze sie na ciebie Irena gniewa- zasmial sie Janek.

-Nie! Nie! Irena mnie sie nie podoba! Wcale mnie sie nie podoba. Mnie szalenie spodobala sie Rena! Rozumiesz! Ja teraz jestem sam, dlatego tak bardzo mnie na niej zalezy.

Janek sponsepnial. Odwrocil sie do okna, zeby ukryc uczucie.

-Zajmij sie Irka. Ona ciebie lubi. Piekna blondynka. Ja im powiem ze ty chcesz sie z nia spotkac, a ja z Rena dobrze? Bedziemy oboje chodzic na randki. Irena ciebie lubi. Ja o tym wiem!- nie czekajac na Janka zgrade wybiegl na dwor.

Tego samego wieczora Irena zdrowa i wesola grala u Zbyszka w karty. Rena i szczesliwy Franek zgodzili sie kibicowac. Zajeci soba nie widzieli swiata.

Janek nie rozumial tej naglej zmiany u Ireny. Przystojna o niebieskich oczach blondynka, moze troche za szczupla. Ale to bylo w modzie. Piekny smiechem i zachowaniem czarowala chlopcow.

Nie rozumial dlaczego, pomimo zalet nie wywierala na nim takiego samego wrazenia jak Rena.

Ze zbliżeniem się Świąt Bożego Narodzenia, ludzie po kryjomu przygotowywali się do Świąt. Piekli, smazyli, gotowali na co kogo było stac.

Kilka dni przed Świątami Helena i Klaudja otrzymali po jednej paczce z Polski. Każdy z nich otrzymał jakiś podarunek. Oprócz strun do gitary, Janek dostał buteleczkę sacharyny.

Na samym spodzie schowana była w okrągłej tekturowej tubie z napisem "Z Poganki" malenka iglasta choinka.

Musieli delikatnie z nią się obchodzić. Długa droga i brak wilgoci wysuszyły ją zupełnie.

Pod wieczór zebrała się spora grupa znajomych. Usiadali dookoła, przykrytego białym obrusem stołu. Na środku stała prawdziwa choinka z Polski. Udekorowana była wata i kolorowymi sznureczkami.

Przez długą chwilę panowała cisza. Patrząc na drzewko, wracali wspomnieniami do obchodzonych Świąt Bożego Narodzenia w kraju.

Z narodzeniem Jezusa narodziła się nowa nadzieja przetrwania tego ciężkiego okresu życia.

-Cóż się musi zmienić. Pan Bóg nie opuści tych, co zachowują wiarę. odezwała się poważnie Klaudja. Ktoś zaczął śpiewać kolendy.

W kuchni Sonia pociągając nosem i ocierając zalzawione oczy pomagała Helenie przygotować prawdziwą kawę. Wspaniały jej zapach wypełnił pokój.

-Czym chata bogata, tym rada!- wolała Helena rozlewając ją do garnuszków.

-Czym chata bogata- powtarzała Klaudja rozdając plomyki.

Największą niespodzianką były cukierki z Polski. Sonia nie pamiętała ile lat temu sprzedawli je w sklepie.

Usiadła cichutko w kacie i z szeroko otwartymi oczyma śledziła co się dookoła dzieje. Ssając cukierek, popijała kawę i powtarzała.

-Wot ponimajesz! Wot ponimajesz! Wot.....

Nawiecej uczucia odczulo sie w koledzie " Przybierzeli do Betlejem Pasterze" Spiewli ja wszyscy tak glosno ze az slowa piosenki z melodia przebily sciany chalupy i polecialy daleko, daleko w step.

XXXVIII

Wieczor byl zimny. Slonce powoli tracilo swoja moc. Zaslониete warstwa zimnego powietrza, jak za zaslona zmienialo kolor ze zlotego na bardzo jasno zolty i zanurzyl sie w srebrzystej, zmrozonej mgle.

Zachod slonca wygladal ponuro zlowrogo.

Jak u ludzi tak i u zwierzat oddechy zamienialy sie w pare, ktora osiadala krysztalkami lodu na brwiach, wasach i brodzie. Krol Mroz zaczal swoje panowanie.

Na malej bezimiennej kolejowej stacyjce, nerwowym krokiem chodzil mezczyzna w srednim wieku. Ubrany w dlugi koloru khaki plaszcz, futrzana okragla z nausznikami czapka, udekorowana na przodzie futerkiem z wielka czerwona gwiazda.

Ciepłe skorkowe rekawice i skorzane buty z cholewami wskazywaly ze byl wazna osobistoscia. Z ruchow i z jego zachowania wywnioskowac mozna bylo ze zajmowal wysoka pozycje.

Mezczyzna odwrocil sie nerwowo i podszedl do odrzucajacego snieg kolejarza.

-Sanie gotowe?- zapytal ostro.

-Tak! Juz sa w drodze- odpowiedzial kolejarz starajac sie ukryc przestkach malujacy sie na jego twarzy.

-To ty mowisz, ze okolo czterech godzin trzeba jechac do Obuchowki?

-Tak towarzyszu! Ale lepiej byloby jechac w poludnie a nie na wieczor.

-Wot ponimajesz! Wot ponimajesz! Wot.....

Nawiecej uczucia odczulo sie w koledzie " Przybierzeli do Betlejem Pasterze" Spiewli ja wszyscy tak glosno ze az slowa piosenki z melodia przebily sciany chalupy i polecialy daleko, daleko w step.

XXXVIII

Wieczor byl zimny. Slonce powoli tracilo swoja moc. Zaslониete warstwa zimnego powietrza, jak za zaslona zmienialo kolor ze zlotego na bardzo jasno zolty i zanurzilo sie w srebrzystej, zmrozonej mgle.

Zachod slonca wygladal ponuro zlowrogo.

Jak u ludzi tak i u zwierzat oddechy zamienialy sie w pare, ktora osiadala krysztalkami lodu na brwiach, wasach i brodzie. Krol Mroz zaczal swoje panowanie.

Na malej bezimiennej kolejowej stacyjce, nerwowym krokiem chodzil mezczyzna w srednim wieku. Ubrany w dlugi koloru khaki plaszcz, futrzana okragla z nausznikami czapka, udekorowana na przodzie futerkiem z wielka czerwona gwiazda.

Cieple skorkowe rekawice i skorzane buty z cholewami wskazywaly ze byl wazna osobistoscia. Z ruchow i z jego zachowania wywnioskowac mozna bylo ze zajmowal wysoka pozycje.

Mezczyzna odwrocil sie nerwowo i podszedl do odrzucajacego snieg kolejjarza.

-Sanie gotowe?- zapytal ostro.

-Tak! Juz sa w drodze- odpowiedzial kolejjarz starajac sie ukryc przestkach malujacy sie na jego twarzy.

-To ty mowisz, ze okolo czterech godzin trzeba jechac do Obuchowki?

-Tak towarzyszu! Ale lepiej byloby jechac w poludnie a nie na wieczor.

-Ach ty to nie rozumiesz. Mnie zależy na tym żeby dostać się tam w odpowiednim czasie! Jak wyjadę teraz to na pewno będę tam w samą porę!-
zasmiał się złośliwie.

Z drugiej strony budynku ukazały się sanki zaprzężone w jednego konia. Z sanek wyskoczył młody chłopiec. Wyciągnął z pod kufajki zeszyt i podał go mężczyźnie.

-Towarzyszu Szarkow proszę podpisać- poprosił grzecznie.

-Towarzyszu Szarkow! Wy lepiej trzymacie się drogi! Dobrze wyjeżdżona, W nocy ja widac- zawołał kolejarz za odalającym się sankami.

Mineło sporo czasu zanim Król Mroź zauważył śmiałego człowieka jadącego po stepie.

Długim batem poganiany koni², powoli pokrywał się szronem. Człowiek był nerwowy. Znalazł się sam na stepie, otoczony dookoła jak okiem sięgnąć śniegiem. Pomimo że koni biegł, zdawało mu się że jest zawieszony w czasie.

Słońce znikło gdzieś na horyzacie oddając władzę gwiazdom i księżycowi. Noc była czysta, widna.

Oświecona promieniami księżycyca i niezliczona ilością gwiazd, odbijających się tu i tam kolorami teczki w śniegu, wydawała się jak by należała do zaczarowanej bajki.

Ale Szarkow tego nie widział. Skupiony w poganianiu konia pragnął jak najszybciej przeskoczyć to niekonczące się morze śniegu.

Widocznie to zachowanie nie podobało się Królowi Mroź. Bo nagle temperatura zaczęła spadać na dół. Szarkow położył bat na kolana, i bijąc się rekoma rozgrzewał się.

Nie widząc zadawalającego rezultatu Król Mroź wezwał wiatr do pomocy i tuż za niewielkim wzniesieniem, zakrecił dookoła śniegiem i rzucił nim z głośnym swistem śmiechu prosto w jadących, że aż koni opuszczając nisko głowy zwolnił.

Szarkow poderwal sie na nogi, ale ostre jak igielki kawalki sniegu zmusily go do zaslonienia twarzy.

-Zawieja!- zawolal glosno przeklinajac. To jeszcze bardziej niepodobalo sie Krolowi Mrozow. Zakrecil sie z wiatrem i druga chmura sniegu uderzyl w jadacych.

Mezyczyna usiadl. Zlapal bat i z krzykiem przeklensw zaczal bic konia. Biedne zwierze rzucilo sie w galop. Widocznie zjechali z drogi, bo co chwile kopyta konskie zapadaly sie w sniegu, a sanki podskakiwaly do gory.

Uderzenia bata sciagnely z konia koc. Szarkow nie zatrzymal sie. Walil konia batem az wyjechali na twardszy snieg.

Tu zwolnil i rorzejzal sie dookola. Byl zgubiony. Po gwiazdach wiedzial gdzie jest polnoc. Zdajac sobie sprawe ze moze ominac wioske z boku, oddal decyzje kierunku koniowi.

Natarczywe mysli przygnebily go. Nie potrzebowal przeciez jechac. Inni mogli wykonac to zadanie.

W raportach dowiedzial sie ze w Obuchowce sa ludzie ktorzy napewno beda obchodzic zakazane Swieto Bozego Narodzenia. Pragnal zlapac ich na goraco i ukarac. Ten moment nieograniczonej wladzy, tych przerazonych oczu ludzi ktorych los bedzie trzymal w reku, dawal mu niesamowita przyjemnosc, rozkosz, ktorej nie mogl odepchnac od siebie.

Widzac zwalnijacego konia, zacial batem zmuszajac go do pospiechu.

Mineli kilka mniejszych wzniesien i wyjechali na otwarta plaszczyzne.

Tym razem Krol Mrozow zabral sie z cala furia do roboty. Zmniejszyl temperature i zarzucil ich tanczacymi tumanami sniegu. Okryl konia szronem. Przebijajac sie przez ubranie, szpilkowal czlowieka cialo.

Falujace jak morskie fale ostre kawaleczki sniegu ciely konia po

nogach tak mocno ze ten zupełnie zwolnil.

Długi bat wyslizgnal sie z reki i polecial daleko do tyłu z klebiacym sie sniegiem. Glosnym krzykiem staral sie przyspieszyc konia.

-Madre stworzenie. Samo znajdzie droge- pocieszal sie rozgrzewajac rekoma. Zimno wstrzasnelo jego cialem.

-Moze pobiegne, rozgrzeje sie- uniosl sie do gory i czujac tysiace klujacych igielek w bezwladnych nogach usiadl.

Poraz pierwszy w zyciu Szarkow uczul sie bezsilny. Tak jak ci ludzie po ktorych deptal.

Widocznie Krol Mrozow zadowolony byl z rezultatu. Zatrzymal wiatr, odslonil gwiazdziste niebo i tylko raz po raz obnizal temperature na coraz to nizsza.

Szarkow widzial jak kon stanal. Pokryty calkowicie szronem wygladal jak marmurowa postac. Po chwili uklakl i polozyl sie na bok. Szarkow krzyczal, ale bylo juz za pozno. Z delikatnym powiewem wiatru przesuwajacy sie snieg okryl go biala szata.

Szarkow rorzejzal sie dookola. Moze kogos zobaczy. Zawola o pomoc. Zaczal glosno krzyczec. Zmeczony wolaniem skulil sie. Z boku porywane delikatnym wiatrem, wirowaly w tancu platki sniegu. Jak zaczarowane postacie, klebiac sie w sobie, przesuwały cicho raz blizej raz dalej.

Szarkow nie czul bolu, tylko wielkie pragnienie snu paralizowalo. Olowiane powieki spadaly co chwile na dol. Waczyl z nimi jak tylko mogli. Widzial ze jak zasnie to koniec. Musial jak najdluzej trzymac otwarte oczy i nie poddac sie kuszacemu snu.

W myslach przypomnial sobie jak wiezniowie podczas inwestygacji mowili, ze jak sie poprosi Pana Boga to on dopomoze. Ile razy wysmiewal sie z nich. Specjalnie z Popow.

-No prosicie Jego, prosicie moze was ocali?- wysmiewal sie. A oni? Co oni mowili? Ze Jego krolestwo nie na tym swiecie. Wzdrygnal sie.

Mysl o smierci przerazila go. Widzial jak inni umierali.

Sam bral udzial w egzekucjach, ale nigdy nie myslal o smierci tak jak w tej chwili.

Zawsze zwalczal wiare. Zadaniem jego bylo zamykac cerkwie. Zamieniac je na kluby, teatry, spichlerze. Nawet teraz byl w drodze niszczenia wiary. I naraz zostal zatrzymany.

-Moze oni mowili prawde?-" zimny dreszcz przeszedl po calym jego ciele. Rozkazy byly. On nalezal do partii. Musial je wykonywac. Partia niszczyła ludzi co nie chcieli zmienic zdania o Bogu.

Z daleka niewielki klab sniegu poderwany malenka trąbą powietrzną zblizył się w jego kierunku. Obsarwowal go przez chwile jak tanczył zmieniając kształty. Poczul jak delikatny jego kształt otoczył go głaszcząc po policzkach. W cichym szumie uslyszal glos.

-Valodka! Valodka!- z trudem uniosl reke do gory i przetarl oczy.

-Valodka!- uslyszal znowu. Wytezyl oczy. W sam srodek blekitnie mieniajacego sie sniegu, zobaczyl twarz matki. Obraz przeszlosci stanal mu przed oczyma.

-Valodka! Oni ciebie naucza zlych rzeczy. Wszystko przekreca. Och zeby tylko twoj ojciec byl, bo ja z toba nie daje sobie rade- zalamala rece.

- Matuszka- przerwal jej- oni sa dobrzy ludzie. Chca pomagac biednym takim jak my. To jest nowa idea. Zobaczycie ze bedzie u nas o wiele lepiej, zobaczysz!- Nie mogac zniesc jej placzu wybiegl na dwor. Na ulicy dolaczyl sie do najlepszego swojego kolegi Ivana i razem pobiegli do bydynku w ktorym odbywaly sie tajne zebrania partii komunistycznej.

Ocknal sie znowu. Delikatne platki tanczyly z wiatrem.

-Zarazi Zaraz! Co mowil Ivan.

Młode lata powrocily z fala tanczacego sniegu. Usmiechnieta twarz

Ivana ukazala zie w calej pelni.

Zadaniem ich bylo oczyszczanie Rosji z wrogow narodu. Lapali oni carskich zolnierzy i kazli kopac im doly. Na dany znak strzelali do nich z rewolwerow.

Po kilku takich egzekucjach Ivan zmienil sie zupełnie. Spowaznial i zaczal go unikac.

Kilka tygodni potem otrzymali rozkaz oczyszczania wiosek z burzui. Bylo chlodne jesienne popoludnie jak cala grupa wjechali do malej wioski. Przestraszeni ludzie pod naciskiem ich pytan wskazali dom wlasciciela malego majatku. Jeden ze starych wiesniakow staral sie ich bronie. Mowil ze sa dobrzy, sprawiedliwi ludzie. Nikomu nic zlego nie zrobili. Oburzony Szakow zlowrogo spojrzal na niego.

-Ty glupcu! Burzuja bedziesz bronil!- uderzyl kulakiem wiesniaka.

Nie tracac czasu otoczyli dom. Na werande wyszedl starszy czlowiek za nim kobieta z malym chlopcem chowajacym sie co chwila za rodzicami.

Mezczyzna grzecznym gestem reki przywital ich i zapytal co oni chca?

-Ten majatek nalezy do ciebie?- zapytal ostrym glosem Szarkow.

-Do mnie- odpowiedzial cicho.

-Mnie mowili zes ty ukrywal bialych! Czy to prawda?

-Bialych nie. Ale czy ty bys rannemu czlowiekowi odmowil pomocy?

-Ja nie potrzebuje udzielac pomocy. Ja naleze do partii! I spelniam ich rozkazy- zawolal glosno i rozkazal swoim ludziom wyprowadzic ich pod plot.

W tym momencie Ivan zblizyl sie do niego. Zlapal go za reke.

-Dlaczego? Dalczego ty to robisz?

-Szarkow wyrwal reke, dal znak i glosny huk karabinow zagluszył placz kobiet. Naraz Ivan zlapal go obydwoma rekoma za ramiona.

-Valodka! Czy ty nie widzisz co ty robisz? Osleples? Ty mordujesz

niewinnych ludzi! Mielismy pomagac biednym, a topimy sie w niewinnej krwi! Dlaczego?-

W tej chwili uslyszal wystrzal rewolweru. U Ivana na ustach ukazala sie krew. Przestal nim trzasc, Scisnal tylko mocno dlonie opuscil glowe do dolu i usunal sie na ziemie. Z boku malego wzrostu mezczyzna schowal do pochwy rewolwer. Oznaki i jego mundur mowil ze nalezal do ^{Czajki} Czajki.

-Wrogie slowa. Zarazil sie od innych! Mialem go juz na oku. Nam takich nie potrzeba! zawolal ostro. Schowal rewolwer i odszedl.

Szarkow przez chwile stal w miejscu oniemiały. Przed nim lezaly zwloki roztrzelanych, mezczyzny, kobiety i malego chlopca. A u nog jego najlepszy kolega.

Wtedy pierwszy raz w zyciu poczul pot na czole i zrobilo mu sie slabo. Grupa chlopow z lopatami przesuwala sie cicho z boku. Jakas kobieta w starym polatanym ubraniu podeszla do niego.

-Ty glupiec! Oni nikogo nie ukrywali. To stary Tomasz na koncu wioski schowal dwoch rannych mlodych chlopcow.

Szarkow odepchnal ja od siebie. Jakis mezczyzna podtrzymal kobiete i patrzac prosto mu w oczy odezwal sie ostrym glosem.

-Patrz jak ty zatapiasz w niewinnej krwi swoja wolnosc! Pamietaj ze i na ciebie przyjdzie kolej! Ty bydlaku!- Plunal mu prosto w twarz.

Oszolomiony jeszcze zlapal za rewolwer. Zanim go wyciagnal mezczyzna zniknal pomiedzy chalupami.

Wciekly obszukal cala wioske za smialkiem ktory go tak bardzo obrazil.

-Nigdy nie zapomne twarzy tego burzuja!- wołal wściekły.

Ale po zlosci nastapilo wielkie przygnebienie. Nie wiedzial na kogo ma zlozyc wine. U Ivana w ubraniu znalazl malenki krzyzyk. Przekonany ze religia wplynela na kolege skierowal cala swoja energie

w tepieniu wiary i szukaniu smialka ktory mu ublizyl.

Ocknal sie znowu. Unoszacy sie do gory oblok sniegu, odslonil ciemne zarzysy chalup. drgnal na czalym cieie. Moze przywola ich glosem. Tak nie daleko. Jeszcze czas na pomoc!

-Ratunku! Ratunku!- Zaczal wolac jak tylko mogl najglosniej.

Naraz uslyszal jakies glosy. Przychodzily z wiatrem coraz to glosniejsze.

-Pomoc! Uslyszeli mnie! Ratunku! Ratunku!- zawolal ucieszony.

Glosy wzmocnily sie. Kilka osob spiewalo nieznana mu piesn. Powoli ze zmieniajacym sie wiatrem wyraznie uslyszal slowa.

-Przybiezeli do Betlejem pasterze.

Zdumienie jego nie mialo granic. To Polacy spiewli kolendy. Przez chwile zdebial.

-Jak oni smieja! On tu potrzebuje pomocy a oni lamia prawo! Moze ktos inny mnie zobaczy! Zapale zapalniczke!- mruknal ze zloscia.

Pomimo wszelkich staran ,nie mogl wyciagnac z kieszeni rak. W beznadziejnej zlosci, wytrzeszczyl oczy w strone wioski i sluchal jak glosy powoli zaczely sie oddalac. Dookola niego robilo sie coraz to ciszej. Staral sie walczyc z natarczywym snem, ktory na koncu wygral. Dookola zrobilo sie szaro, ponuro, ciemno.

Krol Mroz przez chwilke przygladal sie mezczyznie. Zagwizdal ostrym zimnym wiatrem. -Nie bedziesz wiecej krzywdzil ludzi bo tu jest moje panowanie.

Przelecial po dachach chalup i slyszac kolendy uspokoil sie, zelzal.

Kilka dni po Swietach Bozego Narodzenia Janek zabral worek pszenicy i podazyl do domu Papowa. Zastal go w nadzwyczajnie dobrym humorze. Pomogl Jankowi wniesc worek z pszenica do sianki.

-Slyszales co sie stalo?- zawolal glosno.

-Co?- zciekawil sie Janek.

-Jeden kilometr od wioski, ludzie znaleźli zamarznietego Valodka Szarkowa- spojrzal na Janka. Nie widzac zadnego wrazenia zapytal.

-Co ty nic o tym nie slyszales?

-Tak! Szkoda, on i kon zamarzli na smierc.

-Ja teraz widze ze ty o nim nic nie wiesz- pokiwal glowa.

-Ja go znalem oko w oko! Acha! Dlaczego ty myslisz ze ja sie tak chowam. On w wiosce a ja w chalupie. Ja widzialem jak on oczyszczal wioski od kufakow, plunalem mu prosto w twarz. On by mnie zabil, ale udalo mi sie schowac, a potem z zona ucieklem do Obuchowki. Ja nie wiedzialem ze go przeznaczaja na te tereny.

Kilka razy przeszedl sie tam i spowrotem.

-Ja ci opowiem co ja slyszalem i widzialem na wlasne oczy.- usiadl na pienku i zaczal opowiadac, tak ciekawie ze Janek nie wiedzial kiedy skonczyli mielenie pszenicy.

Zadowolony Karol Papow wstal i podszedl do krowy. Poklepal ja po boku i usmiechnal sie smutnie.

-Czy ty wiesz, ze on umarl z otwartymi oczyma? On sie bardzo bal smierci- pomogl Jankowi zarzucic worek na plecy. Uderzajac lekko po worku zawolal ze smiechem.

-Dzisiaj mielenie za darmo. Celebracja! Nareszcie bede mogl spokojnie spac- zamknal za Jankem drzwi.

Na podworku zobaczyl Helene. Nabierala do miski snieg. Ponuro spojrzala na Janka i nic nie mowiac pobiegla do domu.

Z wewnatrz uslyszal glosny placz Slawka. Przestraszony wbiegl do srodka. Po srodku kuchni Sonia z matka rozcieraly sniegiem Slawkowi rece.

Wielkie jak groch lzy splywaly po jego policzkach. Widzac Janka przestal plakac, tylko twarz skurczyla mu sie z bolu. Nie mogac powstrzymac lez, schylil glowe do dolu.

-Co sie stalo? Jak to sie stalo?- zawolal Janek.

Matka polykajac lzy starala sie wytlumaczyc.

-Ja zobaczyłam go przez okno. Skakal z rekoma w gorze. Nie mogl otworzyc drzwi. Wracajac ze szkoly odmrozil sobie rece.

Mowil ze w drodze do domu chcial je rozgrzac. Tak jak to robil w Polsce. Zaczal nacierac sniegiem. Ale tu Syberia. Zimny wiatr zlapal go i ot!-- Nie mogla dokonczyć.

-Ja nie wiedzialem o wietrze!- zapiszczal Slawek.

-Nie placz! Nie placz! uspakajala go Sonia.

-Ja widze ze wszystko jest w porzadku i na czas. Kilka dni poboli, a potem beda jak nowe!- pocieszala rozcierajac rece sniegiem az para unosila sie do gory.

Widocznie bol minal. Slawek przestal plakac. Pociagajac nosem od czasu do czasu usmiechnal sie.

Sonia wytarla dlonie czysta scierka i obejrzala dokladnie czerwone jak burak palce.

-Dobrze! Nie ma wiecej bialych plam- poklepala Slawka po ramieniu.

-Ty badz zadowolony ze zyjesz. Wczoraj niedaleko wioski znalezi zwloki Szarkowa! Razem z koniem zamarzli na smierc.-

-Kto to byl?- zaciekawila sie Helena.

-Pamietacie tych dwoch milicnantow? Co przeszukali caly dom i pytali sie o mojego meza? To ten blondyn!

-O tak ja ich pamietam- kiwnela glowa Klaudja.

-Pytalam sie u niego kiedy bedziemy mogli stad wyjechac. a on pokazal mnie dlon i mowi, ze u niego na dloni predzej wyrosna wlosy zanim my stad wyjedziemy.

-A ja jemu mowilam ze sa inne panstwa na swiecie, ktore nie pozwola krzywdzic ludzi- zachnela sie Helena.

-No! A co on na to!- Janek spojrzal na Helene.

-Co on na to. Powiedzial ze maja najlepszych politykow, ktorzych powtykaja w odpowiednie miejsca. Bogatych burzujow, dopoki im sa potrzebni to beda glaskali a potem i na nich przyjdzie kreska. Mowil ze ich system jest jeden krok do tylu a dwa do przodu. Predzej czy pozniej w ich rekach znajdzie sie caly swiat.

-Ola Boga rety! Jeszcze tego by brakowalo- skrzywila sie Klaudja.

-Oni nie potrafia swoich ludzi wykarmic, a swiatem chca rzadzic?- zawolal zdumiony Janek.

Slawek uniosl rece do gory i spojral na matke.

-Moje rece takie strasznie gorace! Po prostu parza!

-To nic! To nic Slawku. Ale ty lepiej poloz sie i odpoczniej- pomogla Slawkowi wejsc na lozko.

-Janek! przynies moje szkolne ksiazki. Ja zostawilem je na drodze pomiedzy domami- poprosil Slawek.

Zachmurzony Janek wyszedl na dwor. Slowa komunistow bardzo go draznily. Widzial na wlasne oczy, ile to naiwnych ludzi bylo w Polsce co wierzylo w komunizm, a co dopiero na calym swiecie. Specjalnie ze komunisci kupowali kogo tylko chcieli, jak nie klamstwem to pieniedzmi.

W polowie drogi znalazl ksiazki, z boku lezaly rekawiczki. Podniosl je i mruknal.

-Biedny Slawek, one sa takie cieniotkie. Musialo mu byc bardzo zimno.

XXXIX

Przez następne kilka dni, nikt nie opuszczał domu. Na stepach panował "Smiertelnik". Był to mroz zmieszany z wiatrem, który porywał ostre kawaleczki sniegu i rzucił je w idącego smialka. Zasypywał twarz i mroził. Tylko w wielkiej potrzebie ludzie chodzili od chalupy do chalupy i to tyłem do wiatru.

Prawie co roku smiertelnik pozostawiał za sobą zalobę. W tym roku, oprócz Szarkowa, wysłany ze sklepu do stajni pomocnik sklepikarza oslepiony sniegiem minął stajnię i dopiero na drugi dzień znaleźli jego zmarznięte zwłoki nie daleko szkolnego budynku.

Miesiąc luty wydawał się zimniejszym od stycznia. Topliwo topniało szybciej niż się spodziewali.

Tego dnia około południa, Janek widząc jak wiatr odsunął chmury, ukazując wysoko, zanurzone w zimnej mgłę słońce, zabrał sznury i znalazł się na drodze do Kirgiskiej wioski.

Pogwizdując wesoło zebrał spora wiazkę. Z zarzuceniem na plecy nie było kłopotu. Wiatr był mocniejszy niż się spodziewał.

Na drodze zauważył kilka san. Jechali od strony Kirgiskiej wioski.
-Ach! Złapali mnie. Teraz na pewno znajdą gdzie zbieram piolun.
zmarzył się.

-Ale dlaczego trzy sanie?

Patrzył się jak oni szybko zbliżyli się do niego. Zdumienie jego nie miało granic.

-Skąd oni wiozą to drzewo?- oniemiał patrzeć na załadowane grubymi galeziami i suchym chrustem sanie.

Jeszcze bardziej zdziwił się widząc skosne oczy na gładko ogolonej twarzy człowieka w niedzwiedzim kozuchu.

Jeden koniec kozucha uszyty jak kaptur zakrywał czoło i uszy.

Skosnooki mężczyzna zatrzymał konia. Zmierzył Janka od góry do dołu.

-Obuchowka daleko?- zapytał krótko.

-Zaraz za tym wzniesieniem- wskazał ręką Janek.

-Kirgizi z lasu. Napewno kirgizi- mruknął do siebie.

-Ty nie wiesz kto potrzebuje drzewa?- Zapytał furman.

-My potrzebujemy. Ile rubli chcecie za to drzewo?- zaciekawil sie.

-Nie za ruble! Nie za ruble!- zawołał kirgiz z ostatnich sanek.

-Może moja matka zamieni się z wami na podpnie, przescieradło?

-Nie! Nie! To nam niepotrzebne! Ale za make, wodke albo herbate!

-Herbatę mamy z Polski. Ile chcecie za te trzy sanie?- ucieszył się.

-O nie! Tylko jedno do zamiany. Te dwa należą do Szorowej i Wykiwajły.

Ty daleko mieszkasz?- przerwał mu mężczyzna z pierwszych san.

-Nie kilka chalup po tej stronie wioski na ulicy Lenina- wytłumaczył przyglądając się jak oni zwinnie zrownali sanki w równą linię.

Przez chwilę bogato gietykulując rekoma rozmawiali ze sobą.

-To ja pojedę z toba. Kładz piolun na sanie i siadaj!- zawołał Kirgiz z ostatnich san.

Janek zarzucił wiazkę, przymocował sznurem do gałęzi i usiadł z boku. Kirgiz zaciął konia i po kilku minutach wjechali na Soni podworko.

Jak i Klaudja tak i Helena nie mogły ukryć radości na widok drzewa. Sonia zawołała ich w kuchni.

-Uspokujcie się! Z nimi musicie się targować. Nie można im pokazać że zależy wam tak bardzo na drzewie!

Kontrolując swoją emocje Klaudja, wyszła na dwór. Chodząc dookoła obejrzała drzewo i zapytała o cenę.

-Zamówione dla kogoś!- odpowiedział Kirgiz.

-Szkoda bo ja mam herbatę. Zieloną herbatę- uśmiechnęła się.

-Co! Zielona herbate?- zawołał Kirgiz podskakując ze zdumienia.

Po długim targowaniu stos galezi znalazł miejsce z boku ściany. Zadowolony Kirgiz opuścił podworko. Trzymając paczuski herbaty przy nosie zachwycał się ich aromatem.

-Skąd oni mają to drzewo?- zapytała Helena.

-Kradna- odpowiedziała spokojnie Sonia.

-Mieszkają niedaleko lasu to kradna. A wioza w czasie kiedy nawet diabeł nie wysunie nosa z domu. Popatrz! Już ich nie ma.

-A władze nic z tym nie robią?- pytała dalej Helena.

-Władze! Jakże tam władze. Oni podrzuca trochę drzewa naczelnikowi, formanowi, no to oni milczą. Wiedzą że ich nikt w taką pogodę nie złapie.-

Pod wieczór Janek zapalił naftową lampę i zabrał się do pisania listów. W pokoju było cicho. Klaudja z Helena i Sonia zajęte były szyciem w kuchennym pokoju.

Listy przychodziły bardzo rzadko. Po odklejonych rogach widac było że były cenzurowane. Musiał uważać co pisze. Nie było sensu narazac siebie i swoich znajomych.

Ktos delikatnie zastukał do drzwi.

-Proszę!- zawołał myśląc że to jedna z dziewczynek zapomniała zabawkę.

Spojrzał z pod oka. W drzwiach stała Rena. Szybko zebrał papiery. Poprosił ją żeby usiadła i spojrzał na drzwi oczekując Franka i Ireny.

-Ja ich wyprzedziłam. Pani Witkowska za szycie dostała pszenice.

Franek krecił zarna. Niedługo tu beda- zdjela palto.

-Janek!- zapytała miękko.

-Jak długo my się znamy?

-Nie pamiętam dokładnie może trzy albo cztery miesiące. Dlaczego?

-Poczekaj! A jak ty długo znasz Irene?-

-Ty wiesz! Poznałam ją kilka dni po tobie- zdziwił się jej pytaniem.

-Widzisz Irena mnie mówiła że ty ją nie lubisz i dlatego nie chce

wychodzic z domu. A ty wiesz ze mnie mama nie wypusci sama bez Ireny.

Janek sie zmieszal. Nie wiedzial co ma odpowiedziec. Zdziwiony spojzal z boku na Rene.

-Widzisz! Jezeli ona tobie sie podoba, a ty juz tyle razy odprowadzales ja do domu, to powinienes przynajmniej na dobranoc pocalowac ja.

-Moze masz racje, a moze nie- odpowiedzial cicho. Rena spojrzala mu prosto w oczy.

-Janek! Powiedz mi prawde. Czy ty ja lubisz czy nie?

Janek nie wiedzial co ma jej odpowiedziec.

-Rena czy ty wiesz ze pani Plotkiewiczowa otrzymala bardzo ciekawe wiadomosci z Polski. I to przyszly w nieczurowanym liscie!- starał sie zmienic temat.

-Janek! Irena ciebie lubi. Dlaczego nie chcesz ja pocalowac? czy to tak trudno?

-Bo ja widze ze Irenie podoba sie Franek- wykrecil sie czerwieniac po same uszy.

Glosna rozmowa w kuchni zatrzymala Rene od dalszych pytan. Nie bardzo zadowolona, zlapala karty i zaczela je tasowac.

-Pomowimy o tym potem!- zasmiala sie.

Do pokoju weszla Irena z Frankiem. Smiejac sie glosno zdjeli plaszczce i usiadli przy stole.

-Och musicie uslyszec ten kawal. On jest swietny! Wolal Franek.

-Cicho! Cicho! Ja opowiem!- nie dawala za wygrane Irena.

-No dobrze! Ty go mow, tylko nie zepsuj!- zgodzil sie Franek.

-To bylo w Wilnie. Jak tylko rosjanie wkroczyli do miasta i zaczeli oczyszczac nasze sklepy. Zdziwieni Polacy zaczeli wypytywac sie co oni maja w Rosji. A oni odpowiadaja wszystko! Mamy fabryki samochodow, ubran, wszystkiego w brud! Jakis gosc z boku zapytal. Czy macie

pomarańcze? A rusek odpowiada, O tak mamy fabrykę pomarańczy, jedna niedaleko Moskwy a druga budują w Leningradzie.- Zasmiała się głośno.
-Fabryki pomarańczy! Oni nie wiedzą co to są pomarańcze!- śmiało się Franek.

Co się z tobą dzieje Janek? Zapomniałeś jak się gra?- denerwowała się Irena, Janka partnerka.

On sam nie rozumiał dlaczego nic mu się nie udawało.

-Napewno jest zmęczony. Ale na nas czas do domu- przerwała jej Rena.

Franowi nie trzeba było powtarzać. Podał Renie płaszcz, odwrócił się i pomógł Irenie założyć koruszek. Rena powoli zapięła płaszcz.

-A może zamieniliśmy się partnerami? Jak to robiliśmy na początku! Zapytała głośno.

-Dlaczego nie!- odpowiedziała Irena.

-O nie!- zawołał Franek- ja mam dla Reny coś bardzo ważnego do powiedzenia- złapał ją pod rękę.

Irena mieszkała kilka domów dalej od Reny. Rozmawiając o ostatnich wyderzeniach zatrzymali się przed jej domem. Janek widząc jak nastawia buzię do pocałunku, pocałował ją w policzek.

Irena zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go prosto w usta.

-Tak się całuje!- zawołała biegnąc do domu.

Nic dziwnego że Eskimosi całują się nosami, żeby było trochę więcej wiatru to byśmy się skleili- zaśmiał się cicho.

Na ulicy nie widac było ani jednej duszy. Skrzyp śniegu pod jego nogami odbijał się głuchym echem o koszmarnie zarysy ścian chałup, zasypanych do połowy śniegiem. Księżyc otoczony wielkim kołem zmrożonej mgły, delikatnie oświecał drogę.

Po kilku tygodniach, pomimo mrozu Janek musiał iść po piolun. Drzewo i patyki spaliły się z przerażającą szybkością. W południe

powrocil z mala wiazka. Na stepie bylo zimno, a wysoki snieg utrudnial zbieranie. Zostawil piolun pod sciana i wszedl do chalupy.

Przy stole, z malenkim workiem pszenicy czekal na niego Zbyszek.

-Czy ty wiesz gdzie ja to moge zmlec? Mojego gospodarza zarna popsuly sie, a u nas nie ma ani troche maki.

-Moge zapytac Papowa- pomogl Zbyszkowi zarzucic worek na plecy.

Na dworze zatrzymal sie.

-Poczekaj niech ja schowam sznury do sionki. Wstyd mie ze tak malo dzisiaj zebralem, ale bylo strasznie zimno- spojrzal na Zbyszka.

-Zbyszek! Zbyszek! Chodz predko do srodka!- krzyknal glosno.

-Odmroziles sobie nos!- wepchnal go do srodka.

-Sonia! Mam! Predko! Potrzebujemy pomocy. Zbyszek odmrozil sobie nos!- kobiety zbiegly sie do kuchni. Obejrzaly Zbyszka bialy czubek nosa i zabraly sie do roboty.

-Za szybko wyszedles na dwor!- tłumaczyła Sonia szorujac sniegiem nos.

Po godzinie cierpienia, z grubym szalem na nosie, Zbyszek powedrowal do domu.

Kilka godzin zabralo Jankowi zmielic pszenice. Zbyszka zastal w domu z bardzo posepna mina.

-O Janek! Matka zabronila mi wytykac nosa na zewnatrz. Malo co go nie stacilem, to musze teraz bardzo uwazac.

Widzac jak Janek gotow jest do drogi, zatrzymal go.

-Dlaczego nie posiedzisz. Opowiem ci o popularnej rosyjskiej zabawie. Rozesmial sie na calego.

-Widzisz jeden z nich co go nazywaja ofiara staje tyłem do grupy, zaslania oczy i wypina swoj zadek. jeden z chlopakow wali go reka presto a de! No! A teraz ofiara musi odgadnac kto go uderzyl.

Jak zgadnie to sie zamieniaja. A jak nie! To cierpi dalej. Teraz rozumiesz? Bardzo kulturalna zabawa!- zakonczyl z tak bardzo powazna

mina ze Janek wybuchnal smiechem.

Z za pieca uslyszeli glos smiejacej sie Zosi.

-Ja slysałem ze pani stamtand nigdy nie wychodzi?- zasmial sie Janek.

-Oczywiscie ze wychodze!- zachnela sie Zosia- wczoraj stalam w kolejce po cukier!

-O tak po raz pierwszy widzialem jak duzo Polakow mieszka w tej wiosce. potrzasnal glowa Janek.

-No bo widzi pan, tak jak i Rosjanie, boja sie jeden drugiego i chowaja sie po chalupach. Ja sama nie rozumie dlaczego. Ale a propo cukru! slyszalam ze kolejka zaczela sie od czwartej rano. O dziesiattej otworzyli sklep- zeskoczyła z pieczki na podloge- jakas grupa chlopakow rozbila kolejke i zajeli blizsze miejsca. A potem widzialam na wlasne oczy jak dwoch ludzi z tylu budynku ladowalo worki na sanie i odjechali w strone Szorowej domu.

-Tak na poczatku sprzedawali po dwadziescia kilogramow na osobe. Jak ja tam doszedlem obcieli do dziesieciu- przerwal jej Zbyszek- a zanim moja matka weszla do sklepu to obcieli do dwoch kilogramow na osobe i to zdaje sie byl koniec cukru. Pozostali w kolejce dostali fige z makiem.

-Panie Janku! Prosze o nas niezapominac. My dalej gramy w karty. Tu w tym rajku nie mamy ani gramofonu ani radia. Zabronione! Tylko glod nedza i nudy. Ja jakos nie moge sie do tego przyzwyczaic. Machnela niedbale reka.

mina ze Janek wybuchnal smiechem.

Z za pieca uslyszeli glos smiejacej sie Zosi.

-Ja slysałem ze pani stamtand nigdy nie wychodzi?- zasmial sie Janek.

-Oczywiscie ze wychodze!- zachnela sie Zosia- wczoraj stalam w kolejce po cukier!

-O tak po raz pierwszy widzialem jak duzo Polakow mieszka w tej wiosce. potrzasnal glowa Janek.

-No bo widzi pan, tak jak i Rosjanie, boja sie jeden drugiego i chowaja sie po chalupach. Ja sama nie rozumie dlaczego. Ale a propo cukru! slyszalam ze kolejka zaczela sie od czwartej rano. O dziesiattej otworzyli sklep- zeskoczyła z pieczki na podloge- jakas grupa chlopakow rozbila kolejke i zajeli blizsze miejsca. A potem widzialam na wlasne oczy jak dwoch ludzi z tylu budynku ladowalo worki na sanie i odjechali w strone Szorowej domu.

-Tak na poczatku sprzedawali po dwadziescia kilogramow na osobe. Jak ja tam doszedlem obcieli do dziesieciu- przerwal jej Zbyszek- a zanim moja matka weszla do sklepu to obcieli do dwoch kilogramow na osobe i to zdaje sie byl koniec cukru. Pozostali w kolejce dostali fige z makiem.

-Panie Janku! Prosze o nas niezapominac. My dalej gramy w karty. Tu w tym rajku nie mamy ani gramofonu ani radia. Zabronione! Tylko glod nedza i nudy. Ja jakos nie moge sie do tego przyzwyczaic. Machnela niedbale reka.

mina ze Janek wybuchnal smiechem.

Z za pieca uslyszeli glos smiejacej sie Zosi.

-Ja slysalem ze pani stamtand nigdy nie wychodzi?- zasmial sie Janek.

-Oczywiscie ze wychodze!- zachnela sie Zosia- wczoraj stalam w kolejce po cukier!

-O tak po raz pierwszy widzialem jak duzo Polakow mieszka w tej wiosce. potrzasnal glowa Janek.

-No bo widzi pan, tak jak i Rosjanie, boja sie jeden drugiego i chowaja sie po chalupach. Ja sama nie rozumie dlaczego. Ale a propo cukru! slyszalam ze kolejka zaczela sie od czwartej rano. O dziesiattej otworzyli sklep- zeskoczyla z pieczki na podloge- jakas grupa chlopakow rozbila kolejke i zajeli blizsze miejsca. A potem widzialam na wlasne oczy jak dwoch ludzi z tylu budynku ladowalo worki na sanie i odjechali w strone Szorowej domu.

-Tak na poczatku sprzedawali po dwadziescia kilogramow na osobe. Jak ja tam doszedlem obcieli do dziesieciu- przerwal jej Zbyszek- a zanim moja matka weszla do sklepu to obcieli do dwoch kilogramow na osobe i to zdaje sie byl koniec cukru. Pozostali w kolejce dostali fige z makiem.

-Panie Janku! Prosze o nas niezapominac. My dalej gramy w karty. Tu w tym rajku nie mamy ani gramofonu ani radia. Zabronione! Tylko glod nedza i nudy. Ja jakos nie moge sie do tego przyzwyczaic. Machnela niedbale reka.

mina ze Janek wybuchnal smiechem.

Z za pieca uslyszeli glos smiejacej sie Zosi.

-Ja slysalem ze pani stamtand nigdy nie wychodzi?- zasmial sie Janek.

-Oczywiscie ze wychodze!- zachnela sie Zosia- wczoraj stalam w kolejce po cukier!

-O tak po raz pierwszy widzialem jak duzo Polakow mieszka w tej wiosce. potrzasnal glowa Janek.

-No bo widzi pan, tak jak i Rosjanie, boja sie jeden drugiego i chowaja sie po chalupach. Ja sama nie rozumie dlaczego. Ale a propo cukru! slyszalam ze kolejka zaczela sie od czwartej rano. O dziesiattej otworzyli sklep- zeskoczyła z pieczki na podloge- jakas grupa chlopakow rozbila kolejke i zajeli blizsze miejsca. A potem widzialam na wlasne oczy jak dwoch ludzi z tylu budynku ladowalo worki na sanie i odjechali w strone Szorowej domu.

-Tak na poczatku sprzedawali po dwadziescia kilogramow na osobe. Jak ja tam doszedlem obcieli do dziesieciu- przerwal jej Zbyszek- a zanim moja matka weszla do sklepu to obcieli do dwoch kilogramow na osobe i to zdaje sie byl koniec cukru. Pozostali w kolejce dostali fige z makiem.

-Panie Janku! Prosze o nas niezapominac. My dalej gramy w karty. Tu w tym raju nie mamy ani gramofonu ani radia. Zabronione! Tylko glod nedza i nudy. Ja jakos nie moze sie do tego przyzwyczaic. Machnela niedbale reka.

XL

Piekny sloneczny dzien poderwal Janka na nogi. Zlapal sznury i wybiegl na dwor. Ciepłe promienie sloneczne zaczely topic snieg. Skrecil na miedze. Ominal kilka chalup i skierowal sie prosto w strone topograficznej wiezyczki.

Niedaleko wiezyczki stanal oniemiały. Tuz przed nim widac bylo wioske. Drzewa po jonej stronie. Dziwne ksztalty domow po drugiej. -Ja musze byc chory!- zlapal sie za glowe. -Moze za daleko zaszedlem? Ale nie tam na lewo widze wierzyczke! Powoli odwrocil sie do tyłu. Obuchowka lezala daleko w tyle z cala masa cieniotkich jak serpentyny dymow, unoszacych sie do gory. Odwrocil sie spowrotem ale wioska nie znikla. Serce zabilo mu mocno. -Co sie dzieje? Cos sie dzieje?- zawolal glosno.

Naraz z ^k bou wioski w falujacych sie promieniach slonca zaczely ukazywac sie inne domy. Z inej strony powoli znikaly .

Janek uspokoil sie. Po raz pierwszy w zyciu zobaczyl fatemorgana. I to tak blisko. Zapatrzony minal piolunowe pole.

Przez dwa tygodnie nie bylo go na stepie. Zajety byl mieleniem pszenicy. Dopiero teraz zobaczyl jak szybko ciepłe promienia slonca topily snieg i odslanialy mase piolunowych badyli.

Tu i tam na zupełnie odkrytych od sniegu miejscach widac bylo zielone listeczki odwaznej trawy. W powietrzu czulo sie wiosne.

Janek zapomnial o wszystkich kłopotach. Z radoscia unosl glowe do gory i patrzac na blekitne niebo zawolal.

-Dzieki ci Panie Boze ze pozwoliles nam przetrwac syberyjska zime. W niecale pol godziny z wielka wiazka piolunowych badyli powrocil do wioski.

Z pierwszymi znakami wiosny w wiosce zawrzało jak w ulu. Ludzie starali się zabezpieczyć domy od wody, która ukazywała się w niespodziewanych miejscach. W drodze swojej kruszyła gliniane cegły pozostawiając w ścianach dziury.

Podenerwowana Sonia co kilka godzin z łopata w ręku reperowała uszkodzone miejsca nasypu otaczającego jej dom.

Pokryjomu, oglądając się żeby nikt ją nie widział zawiązywała kawaleczki materiału na patyczkach i stawiała je w najbardziej zagrożonych miejscach. Stary zabobon mówił, że tylko w ten sposób można odstraszyć wodę.

Wykorzystując mokra glinę kolchoznicy mieszała ją ze słomą i robili cegły. Zmieszana z konskim nawozem reperowali ściany i dachy.

W początkach lipca dowiedzieli się o wojnie. Niemcy zaatakowali Rosję, 22 czerwca.

-Niemcy zaatakowali nas, ale nasza czerwona armia bije się dzielnie. Przyniosła wiadomości Sonia, które otrzymała od naczelnika wioski.

Na początku nie można było zorientować się czy Niemcy byli na rosyjskich ziemiach, czy armia rosyjska wkroczyła do Warszawy.

Wiadomo było tylko że dwóch śmiertelnych wrogów Polski scierało się ze sobą. Zło niszczyło zło. Nastąpiła mobilizacja. Wybrani przez zarząd kolchozu mężczyźni opuścili wioskę.

Zaladowani na samochody nie mogli ukryć niezadowolenia. Twarze ich były pochmurne pełne obawy.

Patrzac na odjeżdżających, Janek przypominał sobie, jak to z Druskienik z uśmiechem na twarzy, na ochotnika wyjeżdżali mężczyźni walczyć o swoją ojczyznę.

-Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło- usłyszał głos Heleny.

-Chcieli nas mazać głodem, a teraz beda potrzebowali do pracy. Co nie mam racji?- zapytała głośno.

-Tak Pani ma racje. A czy ja wam nie mowilem ze bedzie wojna? Te znaki na niebie to nie byly moim wymyslem- odpowiedzial cicho Janek.

-Wojna i wojna! wiecie ile to nieszczescia i krzywdy dzieje sie podczas wojny- odezwała sie Klaudja- odlozyła na bok polatana bluzke- Czy wy wiecie zeby narody swiata byly madre, to by odebraly zagrabione przez Rosjan i Niemcow ziemie. Stwozyli by Polske od Odry do Dniepru i na swiecie byl by pokoj.

-Dlaczego pani to mowi?- zapytala zdziwiona Helena.

-Bo! Niech pani spojrzysz do historii. Polacy spokojny narod. Nigdy wojen nie zaczynali. A Niemcy i Rosja to stale sie bija. Jak nie z jednym to z drugim. A jak nie ma z kim, to pomiedzy soba! Zawsze wojuja! Zawsze im czegos brak! Dlatego Rosja i Niemcy musza byc odseparatowani.

-Mamo! Teraz to juz za pozno. Ale ja widze ze znowu brakuje maki.

Janek zlapal za worek, odsunal deski i zanuzyl garnek w pszenice.

Chopotliwy glos wstrzasnal nim. W zaglebieniu pieca garnek dotknal drewniana podłoge.

-Pszenica sie konczy! Co my bedziemy robic? Obejrzal sie do tyłu. Nie wiedzial jak to ma powiedziec matce. Zajrzal do srodka.

-Moze wystarczy na dwa albo trzy miesiace- ocenil ilosc- ale co potem? Ostatnio pszenica poszla strasznie wysoko w cenie, a za latanie Rosjanie placili coraz to mniej. Rzeczy na zamiane stopnialy do ilosci dla nich samych potrzebnej- Kirgiska wioska stanela mu przed oczyma.

-Moze dostanie jeszcze prace u Rosjan. Moze Helena ma racje. Moze wojna z Niemcami stworzy sytuacje ze bedzie praca. Jedyne wyjście i wyjście z sytuacji

Podenerwowany postanowil isc w step. Tam pomodli sie do Boga, uspokoil sie i pomysli co robic dalej, zlapal za sznury.

-Ja myśle że topłiwo ważniejsze niż mąka!- odezwał się głośno.

-Nie martw się Janek! Niedługo zaczniemy zbierać kiziaki!- zaśmiała się Helena.

-Ja się nie martwię. Ale wojna czy nie wojna, muszę iść po piolun.

Było po południu jak Janek wracał z wiazką na plecach. Na ulicy zobaczył czekającą na niego matkę.

-Co się stało?- zawołał widząc jej bladą twarz.

-Pospiesz się bo nie zdążymy. Zostaw to na boku i chodź!

Przestraszony zrzucił na bok wiazkę i podążył za matką. Jak tylko zrownał się z nią Klaudja zaczęła mówić.

-Na linii kolejowej, potrzebują ludzi do pracy. Zapisują w szkole. Prawie wszyscy Polacy jada. Mnie odrzucili. Powiedzieli że jestem za chuda. Ja chciałam zapisać ciebie, ale oni muszą ciebie zobaczyć- przerwała, ciężko oddychając ze zmęczenia i nabrała powietrza.

-Aby tylko stąd wyjechać! Blżej jakiejś granicy w inne miejsce!- przyspieszyła kroku.

Przy otwartych drzwiach budynku stał wysoki mężczyzna. Na widok Klaudji z Jankem odwrócił się do środka.

-Jeszcze jeden. odezwał się do siedzącego przy stoliku mężczyzny.

-To jest mój syn, o którym ja mówiłam- zawołała Klaudja z ulicy.

Mężczyzna zmierzył Janka z góry do dołu. Na jego gładko ogolonej twarzy ukazał się niebardzo zadawalający uśmiech. Podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie, wyciągnął chusteczkę do nosa. Zakrył swój mały nosek i głośno dmuchnął.

-Chudy młodzieńcze! Czy ty dasz sobie radę?- zapytał grubym głosem

-Dlaczego nie!- odpowiedział śmiało Janek.

-Pracowałem w lesie na stepach i w kolchozie! Dawalem sobie radę.

Zarabiałem po sto dwadzieścia pięć procent trudodniówki!-

Mężczyzna machnął nie dbając o reka. Zapisał imię i nazwisko do

ksiazki i spojrzal znowu na Janka.

-Bedziesz pracowal na linii kolejowej Kartaly-Akmolinsk. Pamietaj 22 lipca o dziesiatej rano, przyjada po was ciezarowki. Jak sie spoznisz to nie beda na ciebie czekaly. Rozumiesz?- i nie czekajac na odpowiedz zamknal ksiazke.

Klaudja usmiechnela sie. Nie chciala pozostac w wiosce. Ten wyjazd uwazala za pierwszy krok do wolnosci. Swiecie wierzyła ze predzej czy pozniej dostana sie blizej jakiejs granicy i uciekna z tego sowieckiego raj.

Z samego rana gromada ludzi zebrała sie na szkolnym placu. Wiecej bylo na nim zegnajacych niz odjezdzejacych.

Ludzie z wioski przyzwyczaili sie do tych polskich burzujow. Przypadli im do serca. Ciezkie zycie, glod i zmartwienia zrownaly ich razem. Przekonali sie ze Polacy pomimo brudnej propagandy byli dobrymi ludzmi, ktorzy potrafili nawet pomoc w potrzebie. Wielkie rozczarowanie i smutek ogarnal Klaudje kiedy dowiadziala sie ze Helena postanowila zostac w Obuchowce.

-Gdzie ja tam bede jechala! Z dwojgiem dziecmi! One sa jeszcze takie male. Zreszta tu pozostaje sporo Polakow. W Polsce wiedza gdzie ja jestem. Ja tu sobie dam rade. Wojna! Napewno wypuszcza ludzi z wiezien. To ja bede tu czekala na swojego meza. A jak pani maz tu przyjedzie to dam mu znac gdzie wy jestescie. Tylko nie zapominajcie pisac do mnie i podajcie adres- tłumaczyła ze lzami w oczach.

Zaladowane ciezarowki wyruszyly dokladnie o dziesiatej rano. Pedzily kolyszac sie w obydwie strony.

-To dziwne? Mielismy juz wystarczajaco duzo czasu zeby dostac sie do stacji kolejowej- odezwal sie Franek rozgladajac sie po plaskim terenie.

Popatrz na niebo. My jedziemy na polnocno zachod. Moze do stacji na

ktorej przepracowalem cala polowe dnia- zasmial sie Janek.

-Patrzcie! Patrzcie! po prawej stronie na horyzoncie. widzicie ten wielki nasyp kolejowy!- przerwala im Krysia.

Rzeczywiscie, po polgodzinnej jeździe przejechali tory kolejowe i wjechali na waska piaszczysta droga rownolegla do torow kolejowych.

Gdzies w dali zauwazyli budynki otoczone drzewami. Unoszacy sie kurz spod jadacych przed nimi ciezarowkami zaslonil widok. Dopiero jak zwolnili zobaczyli budynki malenkiej stacji z wielkim napisem "Wiera".

Mineli kilka budynkow i zatrzymali sie z boku niewykonzonych jeszcze scian drewnianych budynkow. Kilka metrow od drogi, dlugi drewniany plot, odzielal miejsce na nowe budynki. Pod plotem

krzatali sie dookola porozkladanych rzeczy, Polacy z innych wiosek.

Wesołe glosy witania, zmieszaly sie z krzykiem pospieszajacych szoferow.

Nie wiedzac jak dlugo tu beda czekac, Janek znalazl miejsce przy plocie. Zaczepil na nim koc i przywiazal druga strone do wbitych w ziemie desek. Zaraz po ulokowaniu rzeczy, razem z Frankiem postanowili zwiedzic stacje kolejowa.

Oprocz fryzjernie, na ktora natkneli sie po lewej stronie stacji nie znalezi nic ciekawego. Jeden rubel za obciecie wlosow nie mozna bylo odmowic, szczegolnie ze fryzjera nie widzieli od wyjazdu z Polski, a podcinanie nozyczkami nie rownalo sie z fachowa reka.

Hojnie oblani kolonska woda, drapiac sie po plecach opuscili lokal.

-Chodz zobaczmy co robi Rena i Irena- zaproponowal Franek przyglaszczajac swoje wlosy.

Rene, zauwazyli na samym koncu plotu. Razem z matka mocowaly sie z brezentowa plachta, ktora co chwile wiatr wyciagal spod kamieni.

Franek wylamal kilka sztachet z plotu, wbil je w ziemie i przymocowal do niech plachcie. Janek przyczepil druga strone do plotu. -No! Od deszczu jestesmy zabezpieczeni. Ale od wiatru! To co?- Reny matka rozlozyla bezradnie rece.

-Po jednej stronie walizki i koc na plocie zaslonia od wiatru. To co mysmy zrobili- zaproponowal Janek.

Po kilku minutach, ulozone rzeczy i koc na plocie zaslonily miejsce od wiatru. Zmeczona dniem matka Reny polozyla koc na trawie, usiadla na nim i opierajac glowe o jedna z walizek zapatrzyła sie w dal zielonego stepu.

-Ja was chce zapoznac z moja kolezana z Grodna!- odezwała sie Rena, widzac jak Franek przyglada sie, zbierajacej patyki do palenia panience.

-Danusia Opolska!- przedstawila blondynke.

-A tam siedzi jej matka z mlodsza siostrzyczka- wskazala starsza kobiete zajeta rozpaleniem ognia pomiedzy dwoma kamieniami.

-Franek! My musimy pomoc mamie. Trzeba przeciez cos ugotowac na kolacje- odezwal sie cicho Janek. Ale Franek zatrzymal go. Przylozyl reke do ucha i szepnal.

-Ty idz, a ja za chwile tam bede. Nie wypada naraz tak uciekac.

Nie bardzo zadowolony Janek pozegnal Rene i nie przerywajac zajetych rozmowa Danusi z Frankiem, podazyl w strone swojej palatki.

-Babiarz! Co sie z nim stalo? Tu czlowiek mysli jak sobie poradziec w tej biedzie a jemu tylko w glowie baby- mruccal pod nosem.

-Janek gdzieście byli? Co sie z wami stalo?- uslyszal glos matki.

-Ah! Franek zapoznal nowa dziewczyne. Niedlugo tu bedzie.

Widzac jak matka nie daje sobie rade z piecem, Przyniosl kilka wiekszych kamieni, podkopal pomiedzy nimi nieduze wglebienie i postawil na kamieniach garnek.

-Gdzie mama dostala te deski?- zdziwil sie rozpalajac ogien.

-Slawek przyniosl je- odpowiedziala dumnie.

-On spotkal kolege z Druskienik i razem pobiegli do piekarni po chleb. Widzisz ten budynek za stacja. Ten otoczony drzewami! Tam jest piekarnia.

-Skad mama ma tyle wiadomosci?

-Skad! Zofia Gegotek z Jurkiem siedza tu, niedaleko z boku. Wczoraj ich przywiezli. To juz wiedza gdzie co jest.

-Jurek tutaj? Gdzie?

-Ich rzeczy leza tu z boku, Zofia poszla za Slawkiem do piekarni, a Jurek szuka ciebie- zasmiala sie wesolo.

-Czy duzo znajomych z Druskienik jedzie z nami?

-Niestety nie. Duzo jak Helena boja sie wyjezdzac. Mowila Zofia ze ci co dostali sie do niemieckich wiosek maja prace. Maja co wlozyc do buzi i czekaja na lepsze mozliwosci do wyjazdu.-

-I to ma byc komunizm! Klasowa rownosc! Wszyscy sa rowni tylko ze w niektórych wioskach umieraja z glodu a w drugich maja jedzenia po uszy. A jak kogos nie potrzebuja to zabronia mu pracowac i czy chce czy nie chce, musi umierac z glodu. To ci raj!- poprawil drzewo pod garnkiem. Klaudja spojrzala powaznie na syna.

-Ty wiesz ze ty za duzo krytykujesz- odezwała sie spokojnie.

-Stracilismy ojca, a ja teraz nie chce strcic syna. Uwazaj specjalnie teraz co mowisz. Bo nie tylko siebie ale i nas mozesz narazic na niepotrzebne klopoty. Zofia mowila mnie ze pomiedzy nami sa Rosjanie co rozumieja po polsku. Trzymaj jezyk za zebami, bo teraz nie pora na krytyke.-

Janek spuscil glowe do dolu. W duchu przyznal matce racje. Musi trzymac jezyk za zebami. Tu rza za sie komunisci, u ktorych narzekanie jest przestempstwem. Przypomnial sobie co Sonia mowila do niego.

-Pamiętaj że u nas, to nawet sciany maja uszy.-

-Mamo! Niech mama sie nie martwi. Ja bede uwazal. Napewno nie powiem to przy innych, a specjalnie w budynku- staral sie ja pocieszyc.

-Janek! Janek!- uslyszal glos z ulicy. Odwrocil sie i zobaczyl Jurka.

-Janek! Zabierz kilka rubli i chodz. Tylko co otworzyli piekarnie. Sprzedaja swiezo upieczony chleb.

-Masz tu dziesiec rubli i lec!- pogonila go matka.

Niedaleko stacji kolejowej spotkali matke Jurka. Za nia dreptal Slawek ze swoim kolega. Z usmiechem na twarzy niesli po jednym dlugim bochenku chleba.

-Spieszcie sie bo kolejka rosnie!- zatrzymala ich Zofia.

-Ja bede czekala przy plocie- podala Jurkowi pieniadze.

Pomimo pospiechu znalezi sie w polowie podworka. Nie zdazyli jeszcze dojsc do drzwi piekarni jak uslyszeli glosny krzyk. Na plac wybiegl zawiadowca stacji. Przez chwile machal rekoma i niewyraźnie cos krzyczal. Nie widzac rezultatu podbiegl do piekarni. Zamknal drzwi, tuz przed Jurka nosem i rozkazal ludziom opuscic kolejke.

Zaskoczeni tym ludzie stali w grupach nie wiedzac co maja robic. Czekac na chleb? Czy wracac pod plot.

Na torach kolejowych ukazal sie pociag. Zblizal sie z wielka szybkościa. Niedaleko stacji zwolnil i jak tylko zawiadowca stacji zakrecil swoja latarnia wielkie kolo, zaczal przyspieszac.

Po torach przeleciala wielka lokomotywa. Ciagnela za soba kilka bardzo eleganckich pulmanów. Przez okna zauwazyl Janek kilku oficerow. Nie zdazyl sie jeszcze im przyjrzec jak z lokomotywy chmura pary zaslonila wagony.

Ktos otworzyl drzwi do piekarni i ludzie biegiem pozajmowali miejsca.

-Co to bylo?- zapytal glosno Jurek.

-Nie wiem. Ale jak jeszcze raz taki pociąg przejedzie, to się obawiam że dla nas nie starczy chleba!-

Jakas kobieta z tyłu zaśmiała się grubym basem.

-Wy nie wiecie co się stało?- zapytała kpiąco.

-To jechali dygnitarze! Albo obcokrajowcy. Nie wypadalo żeby oni zobaczyli ludzi stojących w ogonku po chleb.

-Cha! Cha! Cha! czy pani zna ten kawał o kolejce?- wtraciła się do rozmowy w średnim wieku brunetka o wielkich piwnych oczach.

-To Rosjanie chwalili się Amerykanom swoim bogactwem, obwoząc ich samolotem nad lasami. Naraz nad małym miasteczkiem zobaczyli kolejke do sklepu. Zaciekawieni Amerykanie pytają się po co oni tam stoja? Po krótkim zastanowieniu się Rosjanin, unosił dumnie głowę do góry i odpowiedział że to nasi obywatele niosą pieniądze na książeczki oszczędnościowe!

Głośny śmiech rozległ się dookoła.

-Kasa oszczędnościowa? Burżuazyjna instytucja w komunistycznym państwie?- zdziwił się Jurek. Brunetka spojrzała na niego z wyrzutem.

-Niech pan nie psuje kawału! Oni przecież muszą imponować delegatom.

Dalsza rozmowa przerywała kobieta siedząca przy kasie. Odebrała od nich po dwa ruble, a druga Rosjanka podawała chleb.

Było już późno. Zachodzące słońce załalo czerwonym kolorem horyzont, a oni siedzieli w grupkach, popijając lekko zabarwioną herbatę i rozkoszowali się ciepłym jeszcze, świeżo upieczonym chlebem.

XLI

Ciepłe słoneczne promienie obudziły Janka. Po tej świeżym powietrzem wypełnionej nocy, czuł się jak nowo narodzony.

-Hej! Hej! Obudz się!- usłyszał głos Jurka.

-Daj mi spokój. Ja bardzo późno poszedłem spać- mruknął Franek zakrywając się kocem. Czując zapach jedzenia odrzucił koc i głośno ziewając podążył za Jurkiem.

Janek wypelzwał na zewnątrz. Klaudja z Zofja przygotowywały śniadanie. Przyjemny zapach zakrecił w nosie.

-Co wy tam smazycie?- zaciekawił się Jurek.

-A czy ty umyjesz się?- zapytała Zofja.

Jurek rozejrzał się dookoła. Nie widząc w pobliżu żadnej wody, spojrzał na nią bezradnie.

-Woda ze studni jest tylko do picia i gotowania!- odezwał się niepewnym głosem.

-Tak! Ale zaraz za tym wzniesieniem płynie strumyk. Tam się można umyć!- wskazała reka Zofja.

Chłopcy złapali za ręczniki, kawałek szarego mydła i popędzili we wskazanym kierunku.

Cały brzeg strumyka zapelniony był myjącymi się dziećmi, kobietami i starszymi panami. Większość z nich poubierana była w poniszczone, polatane ale jeszcze kolorowe ubrania z Polski. Tu i tam rzucały się w oczy szare kufajki.

Wracając, przyspieszali co chwile kroku. Zapachy gotujących się dookoła śniadan, niemilosiernie drażnił żołądki.

-Co on ma jakieś przywileje?- wskazał Jurek jedzącego chleb z masłem Sławka.

-Nie! Ale on już dawno się ubrał, umył i czekał, dopiero jak zobaczył

was to zabral swoja porcje- wytlumaczyła Klaudja nakladajac im na drewniane talerze po smazonym jajku.

-Wyscie wybrali wspaniale miejsce- odezwal sie Jurek popijajac Herbata.

-Dlaczego to mowisz?- zapytal Janek.

-No bo stad wszystko widac. Stacje kolejowa, kolejke po chleb. Kolejke! Oni znowu sprzedaja chleb!- zawolal glosno.

Z chlebem w reku, dolaczyli sie do kolejki po chleb. Zaledwie wrocili z chlebem, a tu czekala na nich nowa kolejka.

Po srodku ulicy stal maly stolik , przy ktorym siedzial starszy mezczyzna. Na stoliku lezala ksiazka, z boku przymknieta walizka.

Stojacy w kolejce ludzie podchodzili i podpisywali sie w ksiazce. W zamian za podpis otrzymywali po jednym dziesieciorublowym papierku.

-To jest nasza zaplata za siedzenie pod plotem- wytlumaczyl Jurek i zaraz po otrzymaniu czerwienia, zlapal Janka za rekaw i pociagna go spowrotem na koniec kolejki.

-Czy to tak mozna brac po dwa razy?- zdziwil sie Janek.

-Dlaczego nie! On rozdaje je dla wszystkich, Jak kolejka sie skonczy to zamyka ksiazke, zabiera stolik i zobaczysz go jutro z nowa kupa pieniedzy.

-A gdzie jest Franek? Moze on nie wie o tej kolejce?

-Zapomnij o Franku on zabral pieniadze jak mysmy stali po chleb i polecial do tej nowej sympatji- zasmial sie Jurek.

-Pamietaj! ze stojac w kolejce przytrzymujesz jegomoscia, zeby inni zdazyli dostac pieniadze. Przedwczoraj kolejka byla krotka. Ludzie nie wiedzieli o tym jegomosciu. Polecieli nad rzeczke, lapac ryby. No a on jak tylko dostal ostatni podpis zabral swoje graty i ulotnil sie.

Dlatego musimy utrzymac jak nadluzej kolejke- zasmial sie.

Nastepny caly dzien spedzili pod kocami. Mocny wiatr co

pewien czas zmieniając kierunek przesuwiał ciężkie deszczowe chmury. O gotowaniu nie było mowy. Obfity deszcz zgasił ogień, zmoczył deski i wszystko dookoła.

Kolejka po chleb była o wiele krótsza. Stojący w niej śmiało zsiękani ostrym deszczem, wracali z polmokrym chlebem.

Pieniądze tego dnia, jegośność rozdawał w poczekalni na stacji kolejowej. Nowe banknoty były tak mocno posklejane że niektórzy otrzymali po dwa czerwienice w zamian za jednego.

Na trzeci dzień z samego rana kolejarz oznajmił o nadchodzącym pociągu, który miał ich zabrać do pracy.

Naczelnik stacji nie wierzył własnym oczom, jak szybko ta cała grupa ludzi z bagażem znalazła się na peronie.

Tym razem rozdajacemu pieniądzu jegośności zabrakło rubli. Zdumiony, długo grzebał w walizce. Nierozumiejąc dlaczego miał ich za mało, mrużąc coś pod nosem zamknął książkę z podpisami, włożył ją do walizki i zniknął za budynkiem stacji.

W południe ukazało się słońce. Na stację wjechała lokomotywa z kilkoma towarowymi wagonami. Natychmiast po załadowaniu ludzi pociąg ruszył.

Janek odsłonił na całą szerokość drzwi, usiadł na podłodze wagonu i zwiesił nogi na dół. Do niego dołączyli się Franek z Jurkiem.

Tym razem jechali bez warty. Nie było nikogo, kto by ich pilnował i zamykał na kludkę.

Patrzyli na przesuwające się morze trawy, marząc o zobaczeniu jakiegoś drzewka. Niestety nawet wiosek nie było widac w pobliżu, tylko cieniutkie smugi dymu na horyz^{on}ie, zdradzały ich istnienie.

Zmęczeni monotonnym krajobrazem zamknęli do połowy drzwi. Ułożyli się na rzeczach i przykryli się kocami. W wagonie panowała cisza.

Lekkie kołysanie i rytmiczne uderzenia kol uspiły zmęczonych

dniem ludzi.

Pozno w nocy dojechali do Akmolinska. Pociąg zatrzymał się. Kolejarze dołączyli kilka innych wagonów i cały ten transport znalazł się na linii Kartaly-Akmolinsk. Jechali na zachód w stronę Uralu, bliżej Polski.

Po trzech dniach podróży zatrzymali się na bocznych torach małej stacji Adyra. Kolejarze odłączyli kilka ostatnich wagonów. Pozostałe wagony z lokomotywą odesłali w dalszą drogę.

Jakiś mężczyzna wyszedł ze stacji. Zwołał z wagonów ludzi i zaczął tłumaczyć.

-Pomiędzy Tobolem i Akmolinskiem w kilku miejscach woda zerwała kolejowe tory. Waszym zadaniem będzie odbudować zmyty przez wodę nasyp. Teraz jest wojna i my potrzebujemy węgla. Transporty nie mogą być pod żadnym względem zatrzymane. Będziecie musieli pracować tak! Żeby nie stworzyć żadnego opóźnienia.-

Z drugiej strony stacji nadjechała furmanka naladowana narzędziami pracy. Z wysokiego kozła zeskoczył w średnim wieku mężczyzna. Miał na sobie kufajkę, ciemno-zielone wataowane spodnie, wcisnięte w cholewy skórzanych butów. Jego wygląd i krótko ostrzyżone włosy zdradzały że nie należał do sybiraków.

-To jest Towrzysz Wołodziej Zaradny- przedstawił go mężczyzna.

-On będzie waszym formanem. On przyjechał nie dawno z Kijowa- dodał złośliwie.

Na twarzy Wołodzieja ukazał się niesmak. Poczzerwieniał lekko i starając się odwrócić uwagę, wskazał na narzędzia.

-Zabierajcie! Każdy po łopacie i jeden łom na dziesięciu- odezwał się i podał łopate, stojące z boku Irenie.

-A co mamy zrobić z naszym bagażem?- zapytała Rena.

-Wy będziecie mieszkali w Rybiece. Furmanki zabiora was jak tylko

dojedziemy do wykopu- wytłumaczył rozdając łopaty.

Stara swiszczaca lokomotywa wpadła na stacje. Mocnym uderzeniem dołączyła się do wagonów. Po chwili jechali zpowrotem w stronę Akmolinska. Po godzinie drogi od stacji, tory schodziły z nasypu na płaski teren stepu.

Objechali zmyte woda tory i wjechali zpowrotem na nasyp. Kilka kilometrów dalej lokomotywa wjechała na boczne tory pomiędzy scianami wyciętej góry.

Kilka furmanek czekało z boku. Małe furmanki z ledwością pomieszczyły ich bagaż. Do wioski było około pięciu kilometrów.

Włodziej osobiście wyznaczył domy, w których mieli zamieszkać.

Klaudja ze Sławkiem, Jankiem, Zofią, Jurkiem, Frankiem i Tomaszem Słomskim. Średniego wieku aptekarzem z Grodna, otrzymali jeden wielki pokój z pieczą i piecem na którym mogli gotować.

Za pieczą zajęli miejsca Klaudja, Zofia i Sławek. Chłopcy rozłożyli swoje wypchane słomą sienniki po drugiej stronie drewnianego stołu z ławami.

Viera Kaszczenko, gospodyni tego domu zajęła małego kuchennego pokój z boku. Bezdzienna, pozbawiona meza, którego zabrali do wojska, zadowolona była z tego nowego towarzystwa.

Starala się jak tylko mogła dogodzić nowym gościom. Widziała że są pomęczeni i głodni. Ugotowała cały kocioł zupy szczy i cieszyła się widząc jak ona szybko zniknęła.

Następnego dnia z pierwszym pianiem koguta, Viera obudziła ich. Widząc jak im ciężko było wstawać, pokreśliła tylko głową. Wyszła do sionki wydoiła krowę i zostawiając ją wolno na ulicy, poniosła wiadro mleka do kolchozu.

Zaspani, nie zdążyli zjeść chleba jak do domu wpadł Włodziej.
-Predko! Predko! Do roboty. Zabierajcie narzędzia i do roboty!

Grzebiecie sie jak kury!- wolal podenerwowany.

Na drodze dolaczyli do dlugiej kolumny ziewajacych ludzi. Z lopatami na plecach szli narzekajac ze nie mieli wystarczajacego odpoczynku.

Po jednej stronie wawozu czekaly na nich wagony. Zadaniem ich bylo scinac boki wzniesienia, zaladowac ziemie na wagony i wyladowac na uszkodzonym kolejowym nasypie.

Wolodziej poganial ludzi. Biegal od wagonu do wagonu. Pokazywal jak sie trzyma lopate. W koncu zmeczony i zniechecony usiadl na brzegu wzniesienia i ciezko sapiac przygladal sie pracujacym kobietom. -Same kobiety! kilku mezczyzn raczej chlopcow, to maja byc robotnicy, do takiego waznego zadania? Nie wiedza nawet jak sie trzyma lopate- denerwowal sie.

Gwizd lokomotywy przerwal jego rozmyslania. Zbiegl z pagorka. wyciagnal tasme z kieszeni i zabral sie do mierzenia nasypanej ziemi do wagonow.

Wedlug komunistycznego zwyczaju, najwiecej zaladowany ziemia wagon otrzymal nagrode w postaci czerwonej kokardy z napisem "Gieroj".

Wyciagnal kokarde z kieszeni i przyczepil do wagonu. Tym razem wygraly kobiety z Grodna. Zdumione tym zaszczytem kobiety, usiadly w wagonie na piasku i niewiedzialy czy maja sie cieszyć czy plakac.

Pociag ruszyl w kierunku nasypu. Omijajac objazd wjechali na pozostala czesc kolejowego nasypu.

Kobiety wyladowaly ziemie po obydwu stronach, odrzucajac ja jak najdalej od szyn.

Wolodziej cierpliwie czekal rozmawiajac z maszynista. Stary ten czlowiek mial wielki szacunek dla Polakow, ktorego nie ukrywal przed Włodziejem. Podrazniony krytyka i zlosliwymi uwagami odezwal sie.

-Jak ty bys sie czul widzac twoja matke pracujaca tak ciezko?

Widzac Włodzieja zaambarasowanie zasmiał się pogardliwie.

-Ta linia kolejowa leży na pochylonej płaszczyźnie. Jak przyjdą rostopy to znowu będziemy ją naprawiać, tylko ludzie się zmieniają. Może i ty któregoś dnia znajdziesz się pomiędzy nimi z łopata w ręku. Sam wiesz że u nas to nigdy nic nie wiadomo.

Niezadowolony z dyskusji wrócił do wagonów. Sprawdził czy są wyladowane. Był najwyższy czas. Ze stacji kolejowej otrzymał sygnał że tory są wolne i mogą powrócić do wykopu. Odległość i rozkład jazdy uniemożliwiał obrotów z ziemią więcej niż dwa razy dziennie. Niezadowolony z tej powolności udał się do naczelnika pracy.

Zastal go pijącego wódkę z zawiadowcą stacji. Obydwoje obrzucili go odpychającym wzrokiem.

-Co chcesz towarzyszu Zaradny?- zapytał naczelnik wydymając usta. Wysłuchał jego żartowania, westchnął głęboko i odezwał się.

-Wiesz Włodziej! My tu mamy więcej kłopotów. Dopóki węgiel jedzie na zachód to wszystko w porządku! A czy jada po nasypie czy po stepie to ja mam w nosie. Teraz idź i nie przeszkadzaj nam w bardzo ważnej dyskusji.

Dotknięty tą odpowiedzią wrócił do wioski w bardzo złym humorze. W wiosce natknął się na Opolską.

Widząc jego zmartwioną twarz, starała się go pocieszyć.

-Towarzyszu Włodziej, nie martw się! Jutro będziemy pracować o wiele lepiej, bo dzisiaj byliśmy zmęczeni drogą. No i nie wiedzieliśmy jak się trzyma łopaty.

Włodziej spojrzał na nią. Przypomniało mu się co mówił maszynista. Skiwnął głową.

-Wy polskie kobiety! Pracujcie tak jak potraficie! Jak naczelnika nie obchodzi nasza praca to po co ja mam się o nią martwić!- odwrócił się i zostawił zdziwioną Opolską.

Gluche uderzenia lomu polaczyly sie z glosami i krzykiem pracujacych ludzi.

-Zaraz! Zaraz! niech ja wiecej podkopie!- zawolal Franek, i zaczal wyrzucac ziemie z pod wysokiego brzegu wzniesienia. Z wielkim lomem w reku Janek, zatrzymal sie. Wbil lom w ziemie i otarl rekawem spoczone czolo.

-Ten Franek! Musi on to robic?- mruknal obserwojac jak on wyciaga ziemie z pod glebokiego podkopu. Zofia, Jurek i Rena widzac jak Franek rozpoczel podkopywac w nowym miejscu, zniecheceni, usiedli na ziemi.

-Franek! Mowilem tobie ze ta sciana obsunie sie bez podkopywania. Denerwowal sie stojacy przy wagonie Tomasz.

-Dobrze! Dobrze! Jak ja to podkopie to bedziemy zrownani z czwartym wagonem- sapal glosno- no i latwiej bedzie wrzucac ziemie do wagonu- podkopywal coraz to glebiej.

Janek objal jedna reka koniec lomu polozyl druga na gorze i oparl na niej brode. Patrzyl daleko na niekonczacy sie step.

Juz minal miesiac pracy na kolei. Piekne sloneczne dni minely predko. W Ribience ludzie obawiali sie ze suche lato moze zaszkodzie dojnym krowom. Malenka ta wioska zajmowala sie hodowla bydla. W podatkach dla panstwa dostarczali smietane maslo i mieso.

Dla Polakow i kolchozownikow zostawiali tylko przepuszczona przez wirowke wodnista maslanke. Za prace na kolei otrzymywali chleb, ziemniaki i kapuste.

Obrabowana wioska nie miala wystarczajaco zywnosci dla soich ludzi.

-Tydzien temu- Janek zasmial sie pod nosem i poprawil rece.

Tydzien temu ktos zepsul wirowke. Naraz obladowana mlekiem wioska, dostarczyła co mogła na stacje kolejowa. Reszta mleka zmuszona byla spszedawac dla ludzi.

Swieze mleko! Kwasne mleko z kartoflami, wypelnilo zglodniale zoladki. Dodalo humoru nowej energii i sil do zycia.

Franek meczyl sie jeszcze. wyciagal ziemie z coraz to glebszego podkopu. Janek przelozyl lom do drugiej reki i spojrzal na Rene.

-Jak to sie stalo ze pomiedzy Frankiem i Rena nastapily nieporozumienia?-

Nie rozumial co on widzi w Danusi. Wysoka szczupla bladynka. Mozna powiedziec ze bardzo chuda. A on zapomnial o calym swiecie do tego stopnia, ze tłumaczac sie brakiem miejsca u Viery, zabral swoje rzeczy i przeprowadzil do rodziny Opolskich.

Zasmial sie cicho i spojzal w kierunku, gdzie Wolodziej flirtowal z grupa mlodych Rosjanek, pracujacych jak i oni na kolei.

-On musial wiedziec ze nabieraja go ze wszystkich stron. Ale ostatnio nawet ziemie w wagonach mierzyl tylko okiem.

-Hej! Janek! Przestan marzyc! Podkop gotow. Twoja kolejka!- Uslyszal glos Franka.

Sprawdzil czy nikogo niema pod sciana. Wyciagnal lom z ziemi. Wybil dziure po dziurze w rownej linji i na nowo zaczal je poglebiac az w pewnym momencie caly kawal ziemi z gluchym rumorem i gestym pylem usunol sie na dol.

Zofia, Rena, i Stanislaw Potocka, ktora jako szosta osoba przydzielona byla do wagonu, zabraly sie do sypania ziemi do wagonu.

Po kilkunastu szuflach zasapane, odstapily na bok oddajac miejsce Frankowi, Tomaszowi i Jankowi.

Pracowali na zmianie, az srodek wagonu wypelnil sie ziemia. Z kolei Janek z Frankiem wdrapali sie do srodka wagonu. Zbierajac rozsypana ziemie po bokach dosypali ja do srodka budujac wysoki nasyp przed drzwiami.

Wolodziej byl za leniwy zeby drapac sie do wagonu. Nauczily ich

tego i kilka innych sposobow oszczedzania sily pracujace z boku Rosjanki.

Nie zdazyli jeszcze dokonczyc ladowania ziemi, jak glosny gwizdek nadchodzacej lokomotywy przerwal prace.

Pchajac przed soba wielki dzwig na otwartej platformie doczepil reszte wagonow. Po kilku minutach ruszyli w kierunku uszkodzonego nasypu. Dopiero teraz dowiedzieli sie dlaczego musieli uwaznie wyladowywac ziemie. Wielki ten dzwig uniosl do gory sekcje toru razem ze szpalami, i pod spodem zawrzalo jak w ulu. Z obydwuch stron ludzie zaczeli podrzucac nawieziona ziemie az zrownali sie z nasypem. Wolodziej dal znak i dzwig opuscil tory na swierzo usypany nasyp.

Maszynista sprawdzil sruby, przeszedl sie po szpalach. Z zadowoleniem pomachal glowa. Powoli dojechal dzwigiem do konca nowego toru i tak jak poprzednio, dzwig uniosl nastepna sekcje toru do gory. Pracowali tak do ostatniego blysku zachodzacego slonca.

XLII

W niedziela z samego rana do domu Viery wleciala zasapana Potocka. -Paniusiu! Paniusiu!- Wolala od drzwi szukajac Klaudji. wszyscy zbiegli sie do pokoju.

-Co sie stalo? Co sie stalo!- pytania posypaly sie ze wszystkich stron. -

-Och! Paniusiu!- zwrocila sie do Klaudji.

-Niech pani sobie wyobrazil ze znowu beda nas glodzic! Zreperowali wirowke! Od jutra bedziemy musieli pic to wsretna, wodnista maslanke. Mysmy to na mleku zyli! Kwasne mleko, smietana i maslo, trzeba zapomniec. A co teraz zrobimy?- otarla naplywajace do oczu lzy.

-Niech pani sie uspokoi. Pani Stasiu! Pani gospodyni napewno sprzedala troche mleka dla pani- poradzila jej Zofia.

-Ale gdziesz tam! Paniusiu! Jej krowa nie daje wystarczajaco mleka. Ona sama szuka gdzie ma dokupic! Co za zwariowany system!. Znowu bedziemy musieli jesc codziennie zupe na kapuscie i ziemniaki.

-Dzieki Panu Bogu ze to mamay- przerwal jej Tomasz.

-Pani powinna urozmaicac gotowanie, tak jak Klaudja- odezwala sie spokojnym glosem Zofia.

-Dobrze paniusi to mowic, Pani Klaudja wie jak sie gotuje! A ja nigdy w zyciu nie gotowalam. Paniusiu! Ja nie mialam na to czasu. A teraz droga do pracy i zpowrotem zabija mnie, a co dopiero gotowanie! Ja nie wiem co gotowac! na tych zwariowanych piecach.

-Jak pani do dzisiaj przezyla?- zaciekawila sie Zofia.

-Jedlismy z gospodynia domu. Zamienialam rzeczy za jedzenie. Ale ich na dlugo nie wystarczy!- pokiwala smutnie glowa.

-Niech pani sie nie martwi. Ja pani pokaze jak sie robi kilka latwych potraw z maki. Dzisiaj zaraz jak wroce z mlekiem. Mamy jeszcze pozwolenie na pol wiadra. Ja musze je dzisiaj kupic bo jutro bedzie za pozno.

-A Janek! Jurek! Nie moga oni to zrobic?

-Pani sie spieszy! A to ich wolny dzien. Jurek z Jankiem dowiedzieli sie od Viery ze na wschodzie, nie cale dwa kilometry od wioski plynie Iszym. Ida tam sie wykupac. Bo tu to niema jak. Czekaaja na Rene. Prosila zeby ja zabrali. Troche cierpliwosci! Naucze pania jak sie robi placki kartoflane, dobrze?

-Oczywiscie paniusiu. No i polozy pani mnie i Opolskiej karty. Ja slyszalam ze pani umie wrozyc- podeszla do drzwi.

-To ja bede na pania czekala.- Zadwolona na twarzy Stasia wyszla na dwor.

-Ona wiedziala po co przychodzi- zasmiala sie Zofia.

-Dobrze! Dobrze! Ale wy badzcie tam ostrozni!- podala reczniki.

Dlugi czas idac jeden za drugim walczyli z wysoka trawa, ktora w niektórych miejscach siegala az do pasa. Wioska, pozostala daleko w tyle. Zofia zatrzymala sie. Ciezko oddychajac usiadla na trawie.

-Gwarantuje wam ze przeszliśmy wiecej niz dwa kilometry! No i gdzie ta rzeka?- zapytala glosno.

-Napewno w innym kierunku! Zabladzilismy i ja dalej nie ide!- opuscila bezradnie rece.

Widzac smutna twarz Reny Janek zlapal ja za reke. Pokazal z boku jasno-zielone krzaki, i pociagna ja w ich strone.

Smiejac sie i zartujac walczyli z trawa. Naraz zatrzymali sie. Zdumieni przez chwile nie mogli wymowic slowa. Tuz przed nimi swiecila sie jak lustro woda.

Niezbyt szeroka wcieta kilka metrow w ziemie, obrosnieta byla po obydwu jej stronach zielonymi krzakami. Wolno plynaca woda, tak jak ukazywala sie tak i chowala, gdzies za bujna trawa i krzakami.

-Mozna byloby isc, i isc, i isc, i nigdy jej nie znalezesc!- uslyszeli za soba sapiacy glos Zofii.

Kapiel w chlodnej wodzie wrocila energie i humor. Po kapieli rozsiedli sie wygodnie. Zofia opowiadala o Warszawie. Rena ze Zbyszkciem sluchali kiwajac co pewien czas glowami.

Franek zabawial rozmowa Danusie. Janek z Jurkiem usiedli na brzegu rzeki i miezyli wzrokiem jej szerokosc.

-Czy ty wiesz ze Iszym plynie do polnocnego bieguna- odezwal sie Jurek.

-Oczywiscie! Wpada do morza pod lodem- Janek uniosl grudke ziemi i rzucil ja na srodek rzeki. Cichy plusk i szybko mknace kola wzburzily jej szklista powieszchnie. W miejscu gdzie upadla grudka ukazala sie

cała masa ryb. Zdumieni z szeroko otwartymi oczyma patrzyli, jak za drugą grudką powiekrzyła się ich ilość.

-Rozpacz! nie mamy ani wedki ani haczyków! No i jak mamy je łapać!- krzyknął Jurek z taką siłą że aż wszyscy spojrzeli na niego.

Tym razem Janek nie dał za wygraną. Długo myślał dookoła. Od Zofiji dostał agrafkę. Od Reny wstążkę do włosów, którą porwał na długie wąskie kawałki. Małym scyzorykiem, z którym Jurek nigdy się nie rozstał wycieli długą rozgę. Doczepił do niej związane razem kawałki wstążki. Na końcu Janek przymocował wygiętą w kształcie haczyka agrafkę.

Nastąpiło nowe rozczarowanie. Zmęczony kopaniem scyzorykiem Tomasz, nie znalazł ani jednego robaka. Zniechęceni położyli się znowu na trawie.

Zawiedziony nieco Janek usiadł spowrotem na brzegu rzeki i skupił się w myślach, gdzież można byłoby znaleźć jakąś przynętę.

Wielka kosa mucha zabrzeczała z boku i usiadła mu prosto na nodze. uderzył ją dłonią. Roztarł ugryzione miejsce i spojrzał z niechęcią na muchę.

Widocznie jeszcze żyła bo ruszała nogami. Janek uderzył się dłonią w czoło. Złapał muchę, założył ją na agrafkę i zarzucił na wodę.

Nie zdążył jeszcze przelożyć rozgi do drugiej ręki jak coś szarpnęło i pociągnęło wędkę do dołu.

Nie marnując czasu pociągnął wędkę do góry. Kilka błysków w wodzie i niewielka ryбка wyleciała z wody, przeleciała nad głową Janka i wylądowała prosto na brzuchu leżącego Tomasza.

Krótki krzyk poderwał wszystkich na nogi. Tomasz siedział z szeroko otwartymi oczyma i patrzył na skaczącą pomiędzy nogami rybę.

-Świetnie!- zawołała Rena.

-Jurek podaj mi scyzoryk. Wy wiecie że ryby jedzą ryby! Mam

przynete!- zawolala Zofia.

-Ja dobrego miesa tobie nie dam!- usmiechnela sie podajac Jankowi wnetrzosci od ryby.

Widzac jego skrzywiona mine, Jurek zalozyl na agrafke kawalek przynety.

-Lap!- odezwal sie spokojnym glosem.

W niecale pol godziny nalapali spora ilosc ryb. Nawlekli je na rozge i wrocili do wioski.

Klaudja dlugo ogladala ryby. Do smazenia byly za male. Oczyscila je z lusek i wnetrzosci. Obciela ogony, glowy i reszte przepuscila przez maszynka do mielenia miesa, ktora pozyczyla od jednych z pan. Po dodaniu troche maki i soli porobila male kotleciki.

Prawie caly tydzien Jurek i Janek szukali gdzie mozna kupic wedki. Ani w sklepie, Adyra, ani w Rybience, nie znalezli ani jednego naczynka, ani zylki. Zniecheceni szukaniem, uzywali agrafke doczepiona do mocniejszego sznurka.

-Na czym my bedziemy gotowac?- Zmartwila sie Zofia widokiem bardzo malej ilosci kiziakow.

-Tak to troche kłopotliwe. Ze Slawkiem szukalismy od strony rzeki, ale tam ich jest bardzo malo. Kolchoznicy zabieraja je prawie spod krowy, zanim jeszcze nie wyschna. Trawa nie mozna palic bo za mokra. A to co wyscie nazbierali konczy sie - skiwnela glowa Klaudja- widzialam jak Viera przynosla rozgi. Wycinala je nad brzegiem rzek, ale to na zime, teraz sa za mokre i nie beda sie palic. Pioluna w okolicy nie widzialam.

-Wiecie! ja slyszalem ze jacys Polacy ukradli szpale. Porabali ja i maja czem palic. Dlaczego my to nie zrobimy?- zapytal Tomasz.

-Cos ty oszalal! Jak by ciebie zlapali ze szpala to murowane wiezienie. Nawet czasu nie mialbys na pozegnanie!- zawolal Jurek.

Rozmowe ich przerwal glos Wolodzieja.

Zapytany co maja robic, rozlozyl beradnie rece.

-Robcie co chcecie ale nie wolno opuscic dnia pracy. Bo bez pozwolenia doktorki, bardzo karalne! Rozumiecie! A teraz Czas do pracy!
zostawil otwarte drzwi i poszedl dalej.

Caly dzien leniwie dluzyl sie. Nawet sam Wolodziej chodzil z nosem do dolu. Nie sprawdzil naladowanej do wagonow ziemi. Odeslal wagony pol godziny pozniej.

Na wykonczonym odcinku latwiej bylo wyladowywac ziemie. Tym razem poszerzali tylko nasyp. Przed zakonczeniem pracy Janek przyniosl kilka workow po ziemniakach.

-Skad ty je wzioles? i po co ci one?- zapytal zdziwiony Tomasz.

-Dostalem od maszynisty- schowal krotkie sznurki do kieszeni.

-Ja z nim rozmawialem o braku topliwa. Wiecie co on mnie doradzil? Ale potrzebuje was do pomocy!

-Potrzebujesz mojej pomocy?- zapytala Rena.

-Ja potrzebuje do pomocy Jurka i Tomasza- mruknal cicho.

Tomasz odtawil na bok lopate i spojrzal na Janka.

-Co masz na mysli? Zgodzilismy sie ze szpaly to niebezpieczna robota.

-Nie nie szpaly. Ale ja pojde do przodu. Do tego zepsutego nasypu.

Poczekam na pocig z woglem. On zawsze jedzie pol godziny po naszej pracy. Zrzuce kilka workow z wagonu, a wy zabierzecie je do domu.
Zgoda?

-To bardzo niebezpieczne- zawolala Rena.

-Tak ty wiesz co oni moga ci za to zrobic?- odezwała sie cicho Zofia.

-Tak! Ale nam potrzeba, na czymś gotowac! Jak zmieszamy z kiziakami to mala ilosc wegla wystarczy na bardzo dlugo- wytlumaczyl Janek.

-Janek bedziesz mial worek dla mnie. Ja bede czekala. Powiedz mi tylko gdzie- odezwała sie bardzo powaznym glosem Potocka.

Jurek i Tomasz spojzeli' na siebie.

-No dobrze gdzie mamy na ciebie czekac?- Zapytal sie Jurek.

-Nie ma innej rady, Co mamy robic- westchnal gleboko Tomasz.

-To wy sie schowacie a ja bede siedziala na wykopie i dam wam znac kiedy macie zabrac worki. Zgoda?- zapytala sie Zofia.

-Tak to bedzie o wiele bezpiecniej. Nie bedzie wygladalo podejrzenie! zgodzil sie Janek.

-A co ja bede robila? Nam tez potrzebny jest wegiel!- odezwała sie Rena.

-Oczywiscie! Mam i dla ciebie worek, Ale bedziesz musiala poczekac z nimi. Za tym wzniesieniem- wytlumaczyl zadowolony, ze sie wszyscy zgodzili, oddal lopate Jurkowi, i rozejrzal sie dookola.

Wolodziej jak zwykle krecil sie pomiedzy Rosjankami. Janek przedostal sie pod wagonem na druga stronie torow, wspiol sie na wzniesienie i zsunal sie na dol po drugiej stronie. Tu byl bezpiecznie zasloniety od pracujacych ludzi.

Maszerowal predko. Zwolnil tylko dla odpoczynku. Nie bylo duzo czasu do tracenia. Daleko w tyle uslyszal gwizdek lokomotywy.

-Koniec pracy! Mam jeszcze pol godziny czasu i kawal drogi!- odezwał sie przyspieszajac.

Z daleka zobaczył zjezdżające szyny kolejowe na płaski kawał stepu. Serce zabilo mu mocno. Skupil sie, powoli uspokoil i zanim nie zobaczył sylwetke pociagu, zajal miejsce przed zjazdem. Polozył sie na trawie i ciezko oddychajac odpoczywal.

Rytmiczne uderzenia kol i glosne sapanie lokomotywy zblizaly sie predzej niz sie spodziewal. Nie bylo czasu na odpoczynek. Sprawdzil przyczepione na plecach worki i podciagnal sie pod konczacy w tym miejscu nasyp.

Widzac nadchodzaca lokomotywe schowal glowe. Gesta para zaslonila

wagony. Cierpki zgrzyt hamulcow zmieszał się z glosem uderzających buforów. Pociąg zwalniał. Był bardzo długi. Janek czekał na ostatnie wagony. Był najwyższy czas. Wybiegł na nasyp zrownął się z drabinką, złapał za nią i szybko dostał się na górę. Przerzucił nogę na drugą stronę wagonu i przewrócił się prosto na węgł. Twarde kawlki wcisnęły się w bok, ale na ból nie było czasu.

W leżącej pozycji wyciągnął worki. Napelnił je węglem i zawiązał mocno sznurkami. Poukladał je na brzegu wagonu i czekał na zrzut.

Uniosł głowę do góry i rozejrzał się uważnie po pociągu. Lokomotywa była za daleko żeby mogli z niej coś zauważyć. Kilka wagonów z tyłu. Kibitka trochę go martwiła. Wykop zbliżał się szybko. Nerwowo posunął worki do przodu. Szybko zrzucił je na bok.

Nie patrząc za workami, zsunął się po drabinie na dół, przysiadł na ostatnim szczeblu i jak tylko pociąg zwolnił zeskoczył na dół.

Pomimo miękkiej ziemi, w szybkim biegu nogi nie nadążyły z szybkością opuszczonego pociągu i Janek koziolkując znalazł się na dole nasypu.

Oszolomiony upadkiem otworzył oczy. Ze zdumieniem zobaczył czyjeś nogi. Podniósł głowę do góry. Z boku stała przestraszona Rena.

-Janek! Janek! Czy tobie się nic nie stało?- wołała nerwowym głosem.

Przyjemne uczucie wypełniło serce. Zamiast podnieść się czekał aż ona nachyliła się. Nie mógł wytrzymać. Złapał ją i przyciągając do siebie mocno pocałował.

Przez chwilę obydwójce wypluwali piasek. Naraz wybuchnęli śmiechem.

-Ja myślałam że tobie coś się stało, a ty robisz sobie ze mnie żarty- zachnęła się Rena. Janek nic jej nie odpowiedział. Wzjął ją za rękę i pociągnął w stronę wykopu. Na zielonej trawie leżały dwa worki węgla. Jeden większy a drugi mniejszy.

-Czy ty dasz sobie z nim radę? Ja nie wiedziałem że węgiel będzie taki ciężki- zmartwił się Janek unosząc mniejszy worek do góry.

-Ty się nie martw ja jestem mocna dziewczyna!- zaśmiała się Rena. Zabrała od Janka worek i zarzuciła go sobie na plecy.

Było ciemno jak doszli do wioski. Janek postawił swój worek na ziemi.

-Widzisz będzieisz miała. Jeszcze czas na randkę. No dobranoc!- wyciągnęła rękę na pożegnanie.

-Randkę? Z kim?- zapytała zdziwiona.

-Z Frankiem! Oczywiście!- odpowiedział delikatnie zabierając swoją dłoń.

-Ja teraz widzę dlaczego mnie tak unikasz. Chcesz wiedzieć to ja z Frankiem zerwałam zupełnie. W ogóle pomiędzy nami nic nie było. Trochę flirtowałam z nim ale na tym koniec. On lubi dziewczynki. Teraz uwodzi Danusie. To on z nią, ma randkę, a nie ze mną.-

-Ja tego nie rozumiem mieszkają razem i ma randkę?- zdziwił się Janek.

-Ach ty nie rozumiesz! Przy rodzicach nie będa się całowali!- zaśmiała się wesoło.

W pokoju czekała na niego Viera. Z przestaszona twarzą, ze łzami w oczach zaczęła go prosić żeby nie przynosił do jej domu węgla.

-Ty wiesz jakie okrutne kary oni dają! Za mały kawałek węgla! Możesz im mówić że znalazłeś! Maszynista wyrzucił! Nic nie pomoże! Więzienie i koniec!- płakała podenerwowana.

Dopiero jak wszyscy przyzekli jej że więcej węgla nie przyniosła, a ten co mają, będa palić z kiziakami, uspokoiła się i opuściła pokój.

Nadeszła piękna słoneczna niedziela. Jakby wynagrodzenie za ich ciężką pracę. Już z samego rana cała grupa, nie wyłączając Reny, z zapakowanym jedzeniem poszli nad rzekę.

Polow ryb był nadzwyczajny. Złapali nawet kilka większych ryb.

które od razu upiekli i zjedli. Kąpiel wygrzewania się na słońcu i łapanie ryb, pożknęły czas jak głodny wilk zająca.

Słońce zarożowiło się na horyzoncie oznajmiając im, że jest najwyższy czas wracać do wioski.

Zbliżając się do pierwszych chałup zauważyli że coś jest nie w porządku. Na ulicy nie było widać ani jednego człowieka. Co gorsze nie było widać wychodzącego dymu z kominów.

Zatrzymali się na chwilę obserwując wioskę. Nieprzyjemne uczucie drażniło, denerwowało.

-Co się mogło stać?- zapytała cicho Rena.

-Nie wiem! Może N.K.W.D. czeka na nas- Tomasz cofnął się do tyłu.

-Tak! Tak! Napewno znaleźli węgiel i czekają na nas- skrzywiła się do płaczu Zofia.

-No nie mam! Dlaczego nie ma dymu w kominach?- przerwał jej Jurek.

Janek poczuł że coś sciska go za gardło. Niezrozumiała odpowiedzialność za nich wszystkich obciążała go niesamowitym ciężarem.

On był winien! On namówił ich do kradzieży. On ich zmusił do brania udziału w rabunku węgla. Będzie musiał wytłumaczyć że tylko on jest winien. Nikt inny! Tylko on!

-Ja wam coś powiem- odezwał się niesmiało.

-Wy tu poczekajcie, a ja wślizgnę się do wioski i zobaczę co się stało i zaraz wrócę.

W głębokiej ciszy poczuł jak Rena ścisnęła mu rękę. Delikatnie oswobodził się i z duszą na ramieniu wysunął się na udeptaną dróżkę do wioski.

Nie wiedział przed kim i przed czym ma się chować. Która chałupę wziąć za osłonę.

Wysoka trawa została w tyle. Pomiedzy nim a pierwszym rzędem

które od razu upiekli i zjedli. Kąpiel wygrzewania się na słońcu i łapanie ryb, pożknęły czas jak głodny wilk zająca.

Słońce zarożowiło się na horyzoncie oznajmiając im, że jest najwyższy czas wracać do wioski.

Zbliżając się do pierwszych chałup zauważyli że coś jest nie w porządku. Na ulicy nie było widać ani jednego człowieka. Co gorsze nie było widać wychodzącego dymu z kominów.

Zatrzymali się na chwilę obserwując wioskę. Nieprzyjemne uczucie drażniło, denerwowało.

-Co się mogło stać?- zapytała cicho Rena.

-Nie wiem! Może N.K.W.D. czeka na nas- Tomasz cofnął się do tyłu.

-Tak! Tak! Napewno znaleźli węgiel i czekają na nas- skrzywiła się do płaczu Zofia.

-No nie mam! Dlaczego nie ma dymu w kominach?- przerwał jej Jurek.

Janek poczuł że coś sciska go za gardło. Niezrozumiała odpowiedzialność za nich wszystkich obciążyła go niesamowitym ciężarem.

On był winien! On namówił ich do kradzieży. On ich zmusił do brania udziału w rabunku węgla. Będzie musiał wytłumaczyć że tylko on jest winien. Nikt inny! Tylko on!

-Ja wam coś powiem- odezwał się niesmiało.

-Wy tu poczekajcie, a ja wślizgnę się do wioski i zobaczę co się stało i zaraz wrócę.

W głębokiej ciszy poczuł jak Rena ścisnęła mu rękę. Delikatnie oswobodził się i z duszą na ramieniu wysunął się na udeptaną dróżkę do wioski.

Nie wiedział przed kim i przed czym ma się chować. Która chałupę wziąć za osłonę.

Wysoka trawa została w tyle. Pomiedzy nim a pierwszym rzędem

chałup leżał szeroki zaorany pas.

Ochrona wioski przed stepowym pożarem. Musiał się dostać na jedną z działek, na których przeważnie coś było posadzone.

Skulił się. Szybko przeskoczył zaorany kawałek i schował się w ziemniakach. Pomiędzy chałupami do których się zbliżał, coś się poruszało.

Krople potu spłynęły powoli z czoła. Janek wyciągnął powoli nogi i położył się na brzuchu. Czołgając do przodu, uniósł głowę do góry.
-Te pierwsze chałupy zajęte są przez Rosjanki pracujące na torze kolejowym! Może byłoby lepiej dostać się do środka wioski. Tam mieszka Rena z rodzicami u gospodyni która nienawidzi komunistów. Ale oni również mieli węgiel- mruknął niezdecydowany.

-Większość Polaków mieszka po drugiej stronie! I co mam robić?

Skrzyp otwieranych drzwi zwrócił Janka uwagę. Żeby lepiej zobaczyć, uniósł głowę do góry.

W drzwiach ukazała się sylwetka Włodzieja. Poprawił sobie spodnie i zapinając pas rozejrzał się dookoła.

Janek bezwiednie poderwał się na nogi i podbiegł do niego.

-Towrzyszu Włodziej! Co się stało?- zapytał półgosem.

Włodziej drgnął jakby go ktoś rąbnął łopatą. Wywalil oczy i czerwieniąc się na twarzy, wyksztusił cicho.

-Janek! Co ty tu robisz?- zamknął prędko drzwi i pociągnął Janka na środek ulicy.

-Cała wioska pracuje na torach! A ty obijasz się! Nie wiesz co się stało? Gdzieś ty był, nic nie wiesz!- zarzucił Janka pytaniami.

-Przecież dzisiaj niedziela! Poszliśmy kąpać się! Nic nie wiemy?

-My! Ilu! Ilu was?- zawołał rozgądając się nerwowo dookoła.

-Tylko nasza grupa. Oni są daleko w tyle. Ja ich wyprzedziłem. Ale co się stało?

-To dobrze- Wołodziej odetchnął swobodniej.

-Pociąg się wykoleił. Wszyscy nie wylaczając dzieci reperują tory. Nie może być zatrzymania transportów! Wojna rozumiesz! Zabierzcie łopaty i natychmiast ja chcę was widzieć przy wagonach!- zostawił oniemiałego Janka i pobiegł w stronę niedokonczonoego jeszcze nasypu.

Janek poczuł jak życie zaczyna tętnić mu w żyłach. Błogie uczucie zadowolenia odsunęło na bok nieprzyjemne uczucie strachu.

W chałupie gdzie mieszkały Rosjanki ktoś zgasił światło. Janek ominął chałupę i pobiegł w stronę rzeki. Z daleka zobaczył prestraszoną twarz Tomasza.

-Pociąg się wykoleił! Całą wioskę wygnali do pracy!- nabrał powietrza do ust i krzyczał dalej.

-Widziałem Wołodzieja! Będzie czekał na nas przy wagonach!

Clemno już było jak doszli do miejsca wypadku. Długi pociąg z węglem wykoleił się za wykopem.

Objazd w tym miejscu był o wiele trudniejszy. Ze względu na wysokość zjazdu na step.

Widocznie maszynista za szybko jechał. Od pracujących ludzi dowiedzieli się że maszyniscie i jego pomocnikowi nic się nie stało.

Siedzący w kibutce kolejarz miał złamaną rękę. Najwięcej ucierpieli jadący na gapę ludzie. Jeden został zabity a dwóch zabrali do szpitala w Albasar.

W kilku miejscach kolejarze układali nowe szyny. Wielki dźwig odrzucał uszkodzone wagony na bok. Podsuwał się wolno do przodu, a przed nim i za nim ludzie oczyszczali szyny z rozsypanego węgla.

Późno w nocy, jak tylko pierwszy pociąg przejechał po zreperowanych torach, Wołodziej odesłał ludzi do wioski.

Zmęczeni, spoceni, posuwali się pogrzebowym krokiem po piaszczystej drodze do wioski. Jurek przywiązał swoją łopatę do pasa

i ciągnął ją za sobą. Janek położył lopatę na karku i założył na nią luźno ręce. Spojrzał na idącą z boku Renę.

-A gdzie twoja łopata?- zdziwił się.

-Zostawiłam ją na wykopie. Nie bój się, schowałam ją!- zasmiała się.

Mijająca ich grupa Rosjanek rozmawiała głośno.

-Ty mówisz że lokomotywa fiknela koziołka?- pytała jedna z nich.

-Tak już ci to tłumaczyłam!- odpowiedziała inna szorstkim głosem.

-Ten maszynista to miał wielkie szczęście. Nic mu się nie stało!

-Szczęśliwy?- przerwała jej dziewczyna z przodu.

-On głupi. Powinien uważać co robi! Co ty Marusia nie wiesz że za taki wypadek to kara śmierci! On jest odpowiedzialny za katastrofę.

-A wy wiecie że on uciekał! ale go złapali- odezwała się dziewczyna szorstkim głosem.

-Sonia! Sonia!- przerwał jej jakiś głos z tyłu.

-Sonia! Ja nie widzę Mili? Gdzie on a jest? Może została w tyle?

-Nie! Nie!- odpowiedział szorstki głos- Mila została w wiosce. Chora! Wołodziej pozwolił jej zostać w domu.

Głosy Rosjanek cichły w miarę odległości.

-Wojenne prawa, i losy!- zawołał głośno Tomasz.

-Maszynistę roztrzelają za wypadek. My się trzęsiemy ze strach, nie wiadomo dlaczego. A nasz Wołodziej kocha się z moją Milą.

-Co! Ona jest twoja sympatia? Brakuje Polek!?- obużyła się Zofia.

-No nie! Nie! Ja tylko tak mówię. Ale musicie mnie przyznać że ona jest najpiękniejsza z nich wszystkich.

-Ja ci tuzin piękniejszych Polek pokażę! I to tu! Na tym wykopie- denerwowała się Zofia- pamiętaj że oni ciebie tu przywiązali!

-Tak! Tak! One mnie się nie podobają! Ja tylko żartowałem. A co do przesiedlenia! To wy wiecie że oni zabrali mnie jak ja byłem z wizytą u siostry. O tak dla wyrównania. Siostry syna nie było w domu to

zabrali mnie- zaśmiał się sztucznie.

W chałupie czekała na nich Klaudja z kotletami z ryb i ziemniakami. w czasie jak zabierali ludzi z domów, Klaudja ze Sławkiem ukryli się w sionce. Zaskonili kocami okna i przy malenkim swietle naftowej lampy ugotowali obiad.

Zaproszona do uczty Wiera, nie wiedziała jak ma im dziękowac, Usiadla do stołu nakrytego serweta. Zjadla podane jej kotlety i popijajac herbatę odezwała sie z wielkim entuzjazmem.
-Ot wy Polacy! Nie dacie sobie napluc do kieszeni. Dajecie sobie rade! Głodni nie jesteście. Jeszcze nas nakarmicie- pokiwała głowa.

Przez dwa dni, specjalna grupa ludzi z narzędziami, oczyszcila miejsce z polamanych wagonow. Węgiel zabrali tylko ten co lezał w wiekszej ilosci. Zaraz po nich, ludzie z wioski jak szarancza oczyszcili resztki porozrzucanego węgla.

Widzac powracajaca Wiere z wielkim workiem na plecach, Jurek nie mogl wytrzymac.

-Przygadał kociol garnkowi! Co sie stalo z wielkimi karami?

Wiera przez pewien czas milczala. Wysypala węgiel do kojca w sionce i zakryła słoma. Zlozyla worek i ukazala w usmiechu zeby.

-Nauczylam sie od was. Zreszta. Jak by mieli nas ukarac, to by musieli cala wioske wsadzic do wiezienia. Prawda?- dotknela palcem Jurka nos.

-A na to ich teraz nie stac. Prawda?

Zdziwiony ta nagla zmiana. Ta wielka odwaga, Jurek wrocil do pokoju. Spod oka spojrze na lezacego na sienniku Janka. Przy stole Klaudja, Zofia, i Tomasz grali w brydza. Slawek spal za piecem.

Jurek usiadl z boku na lawie i widzac jak Tomasz wyciaga krola zatrzymal go reka.

-Waleta! Waleta! Preciez nie masz damy, a po drugiej stronie lezy As! Mozesz smialo fanansowac!-

-Hej! my nie potrzebujemy kibicow!- zawolala Zofia.

-Jak chcesz to zajmij czwarte miejsce. We trójce to nie jest tak ciekawie- odezwal sie Tomasz.

-A co z Jankiem? Dlaczego on nie gra?- zapytal Jurek.

-Z Jankiem! Zab go boli. Ma cala buzie spuchnieta. Musialem isc do Wolodzieja, prosic o przepustke i pozwolenie do dentystki- Tomasz potasowal karty i zaczal je rozdawac.

-Nocna zmiana! Ostrzegalem go zeby nie odpoczywal lezac na ziemi. Jurek zajal miejsce przy stole.

-Nie wiem po co oni wprowadzili nocna zmiane. Dluzej czekamy na wolne tory. Nikt nie sprawdza. Wagony jadą polnapelnione piaskiem. Co za balagan! Po co oni to robia?- narzekala Zofia- bylismy bardzo zmeczeni i bylo chlodno. Nie wiedzielismy kiedy nas zabiora. Lokomotywy nie bylo. Widzialam jak Janek wlazl pod wagon i polozyl sie pomiedzy szpalami. Czekalismy cala godzine na odjazd. Widocznie wtedy, lezac na szynie przeziebil sie.-

-A teraz boli go zab- skiwal glowa Tomasz.

Skrzyp otwieranych drzwi przerwal gre. Do pokoju wszedl Wolodziej. Popatrzył na spiacego Janka i na grajacych, podal Klaudji zlozony we dwoje papier.

-Tacy z was robotnicy dwa wieczory pracy i juz chory.

-On nie chory! Jego boli zab. U was nie ma pasty do zebow. On nie winien ze nie ma czym czyscic zebow- mruknal polglosem Tomasz.

Wolodziej popatrzył na niego z wyrzutem.

-To! nie moja wina- burknal wychodzac.

XLIII

Z pierwszymi promieniami słońca Janek zastukał do drzwi małej stacyjki kolejowej Adyra. Musiał powtórzyć stukanie kilka razy, zanim rozespany kolejarz otworzył drzwi.

-Co chcesz?- zapytał głośno ziewając. Leniwie spojrzał na wiszący na ścianie zegar.

-Ooo!- zawołał naraz i zamknął drzwi przed Janka nosem. Krótki rumor wewnątrz i kolejarz na nowo otworzył drzwi. Z całą masą przekleństw na ustach, wybiegł na zewnątrz. Zapiał ciemno-niebieską marynarkę.

Przerzucił z lewej ręki do prawej kwadratową torbę z przyczepionym do niej wielkim metalowym kołem i pobiegł do końca peronu. Przez chwilę obserwował łączące się z horyzontem tory kolejowe. Trochę uspokojony pokręcił głową, uklęknął i przyłożył ucho do szyny.

-Będzie tutaj za dziesięć minut- odezwał się do stojącego z boku Janka. Zaczepił koło z torba na długim, wąskim, wystającym w stronę szyn żelazie, przymocowanym do drewnianego słupa.

-Ale co ty tu chcesz?- zapytał ostro.

Janek poprawił szalik na spuchniętym policzku i podał kolejarzowi zwinięty dokument.

Kolejarz powoli przeczytał i spojrzał na Janka.

-Zęby! Ha!- pokiwał głową i wskazał palcem horyzont.

-On nie zatrzymuje się tutaj. Dopiero w Albasar. Ale ja go zwolnie. Umiesz skakać?- oddał mu papier.

-Umiem.

-No jak potrafisz to stan tu i czekaj!- odczepił lampę i zapalił ją. Z daleka usłyszeli gwizdek. Pociąg zbliżał się do stacyjki.

Kolejarz trzymając w ręku lampę zakreślił nią wielkie koło. Zgrzyt hamulców, mocne uderzenia buforów zagłuszyły ostrzegawcze słowa.

Janek widział jak maszynista zabrał wiszącą torbę i z kolei zaczepił swoją na drugim wystającym zelazie.

Zaraz po zamianie torb, lokomotywa zasyczała i schowała się w białej parze. Był najwyższy czas do skakania.

Janek nie widząc specjalnego wagonu, złapał za pierwszą drabinę i wdrapał się na wagon. Po środku węgla zauważył wglebienie. Dostał się do niego. Z pasa wyciągnął zwinięty worek. Rozłożył go na węglu i ułożył się wygodnie.

Do Abasara nie było daleko. Po kilku godzinach jazdy z wielkim hałasem wjechali na niewielką stację i zatrzymali się na bocznym torze.

Długa ulica miasteczka, zaczynająca się na dworcowym placu kończyła się jarmarkiem handlujących ludzi.

-Czarny rynek! nawet tu go mają- zdziwił się.

Zaciekawiony obleciał wszystkie stoly. Ludzie sprzedawali przeważnie jarzyny ze swoich działek.

Od grubej kobiety w watowanych spodniach, kufajce, ostro-czerwonej chustce na głowie, co sprzedawała cebule i kapuste, dowiedział się gdzie urzęduje dentystka.

-Ja ją znam! Ona dobra. Ale po usunięciu zęba radzę ci wypić dobry litr kumysu- spojrzała na Janka uważnie.

-Ja myślę że dla ciebie wystarczy pół litra- zaśmiała się.

-Spiesz się! Ona pracuje tylko do dwunastej! A potem przyjdź tu, to ci powiem gdzie można kupić kumys.

Tak jak kobieta określiła, dom w którym urzędowała dentystka podzielony był na kilka części. Janek otworzył pierwsze drzwi od ulicy i znalazł się w pustej poczekalni.

Ostry zapach lekarstw zakrecił w nosie. Nie zdążył usiąść jak starsza kobieta w białym fartuchu weszła do poczekalni.

-Chodz tu!- odezwała sie rozkazującym głosem.

-Polak!- zapytala i nie czekajac na odpowiedz pomogla Jankowi ulokowac sie na glebokim drewnianym krzesle. Regulujac podporke z tyłu, oparla na niej Janka glowe.

Przez pewien czas ogladala zeby. Delikatnie uderzyła a bolacy zab.

-Ten?- zapytala. Slyszac syk bolu, odwrocila sie do malej szafki i przez chwile cos przygotowywala.

-Dobrze! I nie dobrze!- odezwała sie odwracajac z wielkim zastrzykiem w reku. Zanim Janek zorientowal sie co sie dzieje, zab byl usuniety.

-Byles dzielny! Za to masz ten zab na pamiatke, Podpisz sie i wracaj do pracy!- podala mu wyrwany zab.

Zadowolony ze juz po wszystkim Janek podziekowal i powrocil na rynek.

-Pobladles i to bardzo pobladles- uslyszal glos grubej kobiety.

-No! Idz tam! Widzisz ta furmanke. Na niej siedzi stary Kirgiz z pomarszczoną twarzą. On sprzedaje kumys- poklepala Janka delikatnie po ramieniu.

-Targuj sie! Pierwsza cena przesadzona. Z Kirgizem bedziesz mial do czynienia!-

U kirgiza na wozie lezalo kilka arbusow i samosiejka.

-Ja slyszalem ze ty sprzedajesz kumys!- zapytal Janek.

-Kumys! Malo. ledwo dla siebie wystarcza- odpowiedzial leniwie Kirgiz.

Janek przypomniał sobie rade matki. Wyciagnal z kieszeni polska piecioletowke i podrzucil ja kilka razy do gory.

Na widok srebnego krazka, Kirgizowi zaswiecily sie oczy.

-Srebro? Srebro?- zaciekawil sie.

Obracajac w reku podany mu pieniadz, zasmial sie ukazujac czarne od zucia tabaki zeby.

-Co ty za niego chcesz? Ile kumysu?- niecierpliwil sie.

-O nie! Ja nie mogę pozbyć się takiej pamiątki. Ale za kumys to ci dam pięć rubli za pół litra, dobrze?- schował pieniądze do kieszeni.

Kirgiz posmutniał. Wielkie niezadowolenie pojawiło się na jego twarzy.

-Ja tobie mówiłem, że kumysu nie sprzedaje. Co mi tam po rublach. Ale o ten pieniądź, to możemy pohandlować.-

Po pół godziny handlu i czerwonej dłoni od uderzenia za każdą ofertą, Janek trzymał dwu kilogramowy woreczek wypchany samosiejką. Nie mniej zadowolony Kirgiz wyciągnął spod siedzenia skorzany worek.

Odkorkował wąską szyjkę i trzymając korek zębami, nalął do kubka białe mleko. Podał je Jankowi i przyglądał się jemu z wielką uwagą.

Spragniony, oszłomiony jeszcze wyrwanym zębem, Janek prędko unosił kubek do ust. Słodko kwaskowaty smak kumysu zalał go pragnieniem.

Znany tylko Kirgizom sposób kiszenia kobyłego mleka, utrzymany był w tajemnicy z pokolenia na pokolenie. Rosjanie mówili to ze jest wspaniałe lekarstwo na choroby płuc.

Był smaczny. Przypominał Jankowi wspaniałą polską maślankę. Wypił drugi kubek i oblizal się z zadowoleniem.

Kirgiz przez chwilę się wahał. Widocznie zadowolona twarz Janka zaimponowała mu, bo bez pytania nalął trzeci kubek i podał go Jankowi. -Masz! To ode mnie! Za to że ci tak smakuje!- zaśmiał się zadowolony.

Po trzecim kubku, Janek pożegnał Kirgiza. Od grubej Rosjanki kupił trochę cebuli i bochenek chleba.

Zanim doszedł do stacji, zując prawą stronę zjadł pół bochenka chleba. Schował resztę do worka i przywiązał go mocno do pasa.

Na stacji stał pociąg czekający na wolne tory w stronę Akmolinska. Janek podszedł do stojącego z boku kolejarza. Pokazał mu pozwolenie na jazdę. Wytlumaczył że pracuje niedaleko Rybienki i wraca od

-Chodz tu!- odezwala sie rozkazujacym glosem.

-Polak!- zapytala i nie czekajac na odpowiedz pomogla Jankowi ulokowac sie na glebokim drewnianym krzesle. Regulujac podporke z tyłu, oparla na niej Janka glowe.

Przez pewien czas ogladala zeby. Delikatnie uderzyła a bolacy zab. -Ten?- zapytala. Slyszac syk bolu, odwrocila sie do malej szafki i przez chwile cos przygotowywala.

-Dobrze! I nie dobrze!- odezwala sie odwracajac z wielkim zastrzykiem w reku. Zanim Janek zorientowal sie co sie dzieje, zab byl usuniety.

-Byles dzielny! Za to masz ten zab na pamiatke, Podpisz sie i wracaj do pracy!- podala mu wyrwany zab.

Zadowolony ze juz po wszystkim Janek podziekowal i powrocil na rynek.

-Pobladles i to bardzo pobladles- uslyszal glos grubej kobiety.

-No! Idz tam! Widzisz ta furmanke. Na niej siedzi stary Kirgiz z pomarszczoną twarzą. On sprzedaje kumys- poklepalą Janka delikatnie po ramieniu.

-Targuj sie! Pierwsza cena przesadzona. Z Kirgizem bedziesz mial do czynienia!-

U kirgiza na wozie lezalo kilka arbusow i samosiejka.

-Ja slyszalem ze ty sprzedajesz kumys!- zapytal Janek.

-Kumys! Malo. ledwo dla siebie wystarcza- odpowiedzial leniwie Kirgiz.

Janek przypomniał sobie rade matki. Wyciagnal z kieszeni polska pieciozlotowke i podrzucil ja kilka razy do gory.

Na widok srebnego krazka, Kirgizowi zaswiecily sie oczy.

-Srebro? Srebro?- zaciekawil sie.

Obracajac w reku podany mu pieniadz, zasmial sie ukazujac czarne od zucia tabaki zeby.

-Co ty za niego chcesz? Ile kumysu?- niecierpliwil sie.

dentystki.

Patrzac ze wspolczuciem na opuchnieta twarz Janka, zaprowadzil go do kibitki.

-Hej Masza! Chodz tu- zawolal glosno.

-Co chcecia?- zapytal z niechecia gladko ogolony kolejarz.

-On pracuje na odcinku Rybienka. Wysadz go w Adyrze- rozkazal.

Janek wdrapal sie do srodka. Usiadl na podlodze przy drzwiach i oparl sie o sciane wagonu. Czul sie bardzo oslabiony. Widocznie kumys zaczal swoje tajemnicze dzialanie, bo nie mogl utrzymac otwrtych oczu.

Nie slyszal nadchodzacego po drugiej stronie pociagu. Nie czul mocnych szarpniec wagonu. Z podciagnietymi nogami do gory, oparta glowa na kolanach, spal jak zabity.

Dwa krotkie gwizdki oznajmily zblizajaca sie stacje kolejowa. Kolejarz wychyli glowe na zewnatrz. Ostry powiew wiatru zalzawil mu oczy. Oslonil je dlonia i spojrzal w kierunku zblizajacej sie stacji.
-Wstawaj to twoja stacja! Adyra!- zawolal do tyłu.

Budynki z napisem Adra przesunely sie predko przed jego nosem. Machajac ze zloscia rekoma zaklal glosno.

-Zapomnialem dac im znac zeby zwolnili!- odwrocil sie do Janka .
Widzac ze ten nie ruszyl sie z miejsca, zlapal sie za glowe.

-Co ty! Upiles sie?- podrapal sie po glowie. Uchwycil Janka pod ramiona. Kilka mocnych szarpnienc i udalo mu sie postawic go na nogi.

Wykorzystujac kolysanie wagonu, dostal sie z nim na otwarta platforme, po prawej stronie kibitki.

Mocne uderzenie chlodnego powietrza, ocknelo Janka. Otworzyl oczy. Widzac przed soba przesuwanajaca sie ziemie, zlapal za zelazna raczke.
-Skacz Polak! Skacz!- uslyszal glos z tyłu. Ktos go z tyłu pchal. Pod naciskiem przykucnal na ostatnim schodku.

Glosne uderzenia buforow zagluszyly przeklenstwa i krzyki

kolejarza. Pociąg zwalniał. Znajdowali się na niewykonczonym jeszcze nasypie. Wąski w tym miejscu, wyglądał bardzo stromo.

Janek poczuł jak żelazna raczka wysuwa się z jego reki. Przez chwilę zawisł w powietrzu. Ostatnim wysiłkiem schował głowę pomiędzy ramionami i koziolkował aż do samego dołu.

-Całe szczęście że tu jest miękka ziemia!- zawołał głośno. Wypluł z ust piasek i otrzepał się z kurzu. Wolnym sennym jeszcze krokiem ruszył w stronę wioski.

Po drodze przypominał sobie o chlebie. Obszukał wszystkie kieszenie, ale chleba nie było.

-Napewno zgubiłem go podczas skakania- odezwał się nie mogąc zdecydować czy ma iść dalej, czy wracać po chleb.

-Zaraz! Zaraz! a gdzie samosiejka i cebula?- obudził się zupełnie.

-Miałem wszystko przywiązane do pasa!- złapał ręką dyndający z tyłu worek.

W worku znalazł chleb. Odrywając małe kawałeczki skończył go zanim doszedł do wioski. Musiało być późno. Matka i Sławek już spali. Zofia, Jurek, i Tomasz pracowali. Nocna zmiana. Nie budząc matki zostawił worek na stole, zdjął buty i wsunął się pod koc.

Zdawało mu się że tylko co się położył a tu już musiał wstawać. Unosił głowę do góry. Mrużąc oczy od blasku wpadającego przez okno słońca. Do pokoju wbiegł Jurek a za nim płacząca głośno Wiera.

-Wstawaj! Janek! Szybko wstawaj! Furmanki czekają na nas!- Obudził go Jurek.

-Furmanki? Co ty mówisz?- spojrzał na płaczącą Wierę.

-Zawiadomili nas godzinę temu że mamy pracować w innym miejscu. Ales ty zaspany- zdziwił się patrząc jak Janek ziewa i ziewa.

Oszolomiony jeszcze, nie wiedział jak i kiedy znalazł się w ciepyszczce. Dopiero po umyciu twarzy w zimnej wodzie obudził się

zupełnie.

-Za dużo wypilem kumysu!- wytłumaczył Jurkowi.

-Czy Rena jedzie z nami? O i dlaczego Wiera tak płakała?- zapytał cicho.

-Rena z rodzicami siedza po drugiej stronie wagonu. Zabrali nas, i cały wagon kobiet. Franka i reszta znajomych zostawili w Rybience. A Wiera? Ona widocznie nas polubiła. Siadaj!- zrobił miejsce z boku siebie na podłodze w otwartych drzwiach wagonu. I jak tylko Janek usiadł, smutnie uśmiechnął się do niego.

-Wiesz co! Zostawili Zosie- westchnął głęboko.

-Płakała jak ja zegnalem. Ty wiesz, to tak nieprzyjemnie rozstawac się. Nie wiadomo kiedy się zobaczymy. Czy w ogóle się zobaczymy.

Pociąg ruszył. Siedzieli cicho przyglądając się okolicy. Przez pewien czas widac było wioske. Szare sciany domow i słomiane dachy, wolniutko rozplynely się w odleglosci. Jurek spuścił głowę do dołu.

-Wiesz co! My jesteśmy w gorszej sytuacji niż najbiedniejszy Cyganie. Oni przynajmniej trzymają się razem.-

Widząc jak Janek kiwa się starając zwalczyć senność, pociągnął go do środka wagonu.

-Widzę że kumys jeszcze tanczy w tobie. Ileś ty go wypił?-

-No nie! Kumys działa tylko kilka godzin, ale ja przez ten głupi zab kilka nocy nie spałem- usprawiedliwił się Janek.

Jurek zatrzymał się po środku wagonu, gdzie przy okrągłym żelaznym piecu krztała się jakaś starsza kobieta.

-Co dobrego pani gotuje?- zapytał.

-O nic! Podgrzewam dla dzieci narodowa zupe szczy- zasmiała się

-Niewygodnie z tym że ten garnek muszę stale trzymać. Przy tych drganiach wagonu wszystko z tego pieca zlatuje- spojrzała na Janka.

-Ty lepiej się wyspij! Wyglądasz na bardzo zmęczonego- poprawiła

garnek. Janek widzac ze Jurek stara sie nawiazac z nia rozmowe, zostawil ich i dolaczyl do Slawka i Zbyszka, chrapiacych na rozeslanych kocach.

XLIII

-Uwazaj! Uwazaj! Za gleboko kopiesz!- zawolal Jurek wskakujac do rowu.

Tomasz przerwal kopanie. Odszedl na bok. Oparl sie o lopate i przygladal sie jak Jurak przylozyl drewniana forme do wykopanego rowu. -Ty myslisz ze ja wyrzuce jedna lopate wiecej niz potrzeba?- Tomasz wyskoczyl z rowu. Janek przestal kopac. Usiadl na brzegu rowu i odpoczywal.

-Przestancie sie bawic! Ja znowu trafilam na gline! Potrzebuje pomocy!- pogonila ich Zofia.

Tomasz zostawil drewniana forme, zlapal za kilof i pobiegl z pomoca. Robota ich posuwala sie bardzo wolno.

Juz od kilku tygodni pracowali nad rowem. Mial on byc wykopany po obydwóch stronach, w rownej odleglosci od szyn. Poza tym, musieli uzywac drewnianej formy, zeby jego ksztalt byl, ostro spadajacy od strony szyn a lagodnie od piaszczystego peronu.

Pracowali na malej stacyjce kolejowej Krasiwaja. Nowy dworzec niedawno wybudowany, zastepowal stary budynek, ktory pamietal jeszcze carskie czasy. Budynek ten, podzielony na dwie czesci, przeznaczony zostal na mieszkanie dla robotnikow.

Jedna strone, pokoj z kuchnia, zajmowal kierownik budowy Ladawoj Fiecia z zona. Druga strone, poczekalnie z wielkim piecem z boku drzwi wejsciowych, zajeli Gegotkowie, Falkowscy i Słomski.

Tak jak i przedtem Klaudja ,Zofia i Slawek zajeli pieczke. Jurek, Tomasz i Janek zajeli zelazne sprezynowe lozka na ktorych lezaly sloma wypchane sienniki.

Po drugiej stronie placu, widac bylo kilka dlugich ziemlanek. Dwie pierwsze zajeli Polacy. W nastepnych mieszkali Rosjanie z rodzinami, ktorzy pracowali na kolei.

Krasiwaja dostala nazwe od dwoch pagorkow oddalonych nie caly kilometr od stacji kolejowej.

Te dwa wysokie wzniesienia, pomiedzy ktorymi w glebokim wawozie plynela rzeczka, na plaskim monotonnym terenie, rzucaly sie kazdemu podroznikowi w oczy.

Odcieci od wszystkiego, nie wiedzieli co sie na swiecie dzieje. Z gazety, Prawda, opoznionej kilka tygodni, dowiedzieli sie ze wojska rosyjskie bija sie w okolicach Gomla.

Wiadomosci, ktorymi dzielil sie z nimi zawiadowca stacji, wedlug mapy, ktora Jurek przywiozl z Polski, mowily ze, czerwona armia bijac Niemcow, walczyła coraz to glebiej na terenach Rosji.

Nie wiadomo bylo co sie dzieje. Plotki, ktore slyszalo sie tak czesto w Obuchowce i nawet w Rybience poginęły zupełnie. Wiadomosci slyszalo sie tylko tu i tam, od Rosjan z nadzieja w oczach, ze Niemcy zniszcza komunizm i ludzie beda mogli pracowac i mieszkac gdzie im sie bedzie podobalo, a nie tam gdzie im kaza.

Jesienna pogoda byla przyjemna. Ani jednej chmurki na niebie. Tylko wieczory byly coraz to zimniejsze. Dawaly znac o zbliżającej sie zimie.

Zofia, Jurek, Tomasz i Janek pracowali razem jako grupa. Placono im od wykopanego metra. Kilka innych grup kopalo row po drugiej stronie toru kolejowego. Reszta przywiezionych tu polskich kobiet, zajeta byla rownaniem stacyjnego placu.

Było już po południu. Tarcza słońca dotknęła trawy na horyzoncie.

Pomoczeni praca ludzie, podstawiali na bok łopaty.

-No kończmy robotę! Tu jest patyk do którego mamy kopac. Niedługo przyjdzie Fiecia- odezwał się zmęczonym głosem Tomasz.

-Tak, ja nie rozumiem dlaczego my się tak męczymy? Nawet gdybyśmy zarobili więcej rubli to i tak nic za nie nie kupisz!- narzekal Jurek. Poprawił brzeg rowu i unosząc się na rękach usiadł na skarpie.

Janek odłożył łopate na bok i usiadł z boku. Zofia przez pewien czas przyglądała się wagonom na bocznych szynach.

-Co ty tam widzisz? Nie możesz odpocząć?- denerwował się Tomasz.

-Cicho! Cicho! Tam ktoś się chowa! Widzisz! Ktoś się poruszał!

-Mama ma rację tam ktoś stoi- zgodził się Jurek

-Ale popatrzcie na lewo- zaśmiał się patrząc na zbliżającego się Fiecia.

Wysoki, szczupły, blondyn, o wielkich, spokojnych, szarych oczach na okrągłej twarzy, był ich nowym formenem.

-Jak się czujesz Fiecia? Nie widzieliśmy cię cały dzień!- Zawołał Tomasz.

Jurek wyskoczył z rowu i zabrał podaną mu taśmę. Podał jeden jej koniec Jankowi i przyłożył drugi do białego w ziemię patyka.

Janek doszedł do białego z rana kolka i przyłożył taśmę naciskając wielkim palcem na jej koniec. Na znak Fieci wyciągnął kolek i przeniósł go na nowe miejsce.

Fiecia wpisał podane mu odległości do notesu. Po krótkim obliczaniu zaśmiał się głośno.

-Jak tak dalej będziecie pracować to nieopłaca się was karmić! Spojrzał na Janka i pokiwał głową.

-Ty wiesz że z wami to przyjemnie się mierzy. Nie tak jak z tymi Tobolczykami! tam to ja zawsze tracę poczucie odległości. Obliczając

podana przez nich miare, to wykopany row po tamtej stronie jest o dwa kilometry dluzszy niz potrzeba. A nie jest jeszcze skonczony.

Zamknal notes i odszedl w strone kolejowej stacji.

-Dlaczego on dzisiaj taki wesoly?- zdziwila sie Zofia.

-Napewno poklocil sie z zona- mruknal Tomasz.

-Ej! Mieliscie racje za wagonem ktos sie chowa. Wiecie kto?- Zapytal sie Tomasz.

Zaciekawini odwrocili glowy w strone wagonow. Z za wagonu wybiegla Rena.

-Ja mam wiadomosci ze wam uszy stana deba!- zawolala z daleka.

-Nie moglam doczekac sie az Fiecia odejdzie.

-Dobrze! Dobrze ale jakie i skad masz wiadomosci?- zaciekawila sie Zofia.

-W pociagu idacym do Akmolinska siedzialo kilku ludzi z Moskwy! Tylko co z Moskwy- spojrzala z duma na Janka.

-No i co? No i co?- wydol smiesznie usta do przodu Tomasz.

-Jedna z kobiet slyszala jak oni rozmawiali z zawiadowca stacji. Mowili ze Niemcy sa na ulicach Moskwy!- mowila nerwowym glosem.

-Na ulicach to ja nie wierze. Moze niedaleko Moskwy, ale nie na ulicach!- przerwal jej Tomasz.

-Tak to ciekawe. Ja w gazecie przeczytalem ze Niemcy bija sie niedaleko ^{Ch}Kharkova, to znaczy ze pchaja sie w strone Stalingradu.- Odezwal sie Jurek.

-Ale wy wiecie ze jak oni dojdza do Oremburgu czy Czkalowa jak to oni nazywaja to miasto, to po prawej stronie beda mieli Kaspijskie Morze, a przed soba zupełnie otwarta droge na Syberie- dolaczyl sie do rozmowy Janek.

-No i co! Zajma cala Rosje a my z deszczu pod ryne. Czy myslicie ze pod Niemcami bedzie lepiej? Bo ja slyszalem ze oni tez morduja ludzi,

Moze nie tak jak Rusek. Ale morduja! My to ani dla Ruska ani dla Niemca nie jestesmy wygodni- Tomasz machnal niedbale reka.

-Tak ale Niemcy nie sa komunistami. Nie licza co masz w kieszeni nie ruszaja prywatnych wlasnosci!- staral przekonac go Jurek.

-Z jednej strony tygrys a z drugiej niedzwiedz i wybieraj. Ale chodzmy bo ja jestem bardzo glodna- przerwala im Zofia.

-Poczekajacie ! Poczekajacie! Ja mam jeszcze jedna nowine!- zatrzymala ich Rena, i nie czekajac na pytania mowila predko.

-Tu z nami pracuje mezczyzna ktory jest w Prawdzie! Caly artykul i fotografia Krasiwej w gazecie. Podobno jest najlepszym robotnikiem w Rosji. Wyrobil najwieksza trudodniowke.

Ta wiadomosc zainteresowala Tomasza. Spojrzal na Rene, postawil z boku lopate i zapytal.

-A ty wiesz gdzie on pracuje?

-Tak! On kopie taki sam row co i wy. Tylko po drugiej stronie szyn.

-Po co ci on?- zasmiala sie Zofia.

-Po co! Po co!- zachnal sie Tomasz.

-Rosjanki nauczyly nas jak wyrabia sie norme bez meczanie sie na smierc. To moze i od niego czegos sie nauczemy! Bo te kilka metrow ktore ty odstawiasz kolek do tylu i troche tej tasmy ukrytaj w Janka dloni, duzo nam nie pomaga! A ja tu bardziej jestem zmeczony a mniej zarabiam!

-Mamo! Tomasz ma racje. Wy idzcie do domu a ja z Jankiem i Tomaszem zobaczymy jak on to robi!- podal Zofii lopate.

We trojke przeskoczyli tory kolejowe i waska sciazka doszli do wykopanego rowu.

-Psia kosc! Darmo niszczymy energie!- zawolal Tomasz nie widzac nikogo w okolicy.

-Tssii!- uciszyl go Jurek, i wskazal palcem w kierunku rowu.

Na dnie rowu, wyciągnięty na całego, leżał jakiś człowiek.

Wyglądał na średniego wzrostu mężczyznę. Ubrany w nową szarą kufajkę, tego samego koloru spodnie, wciśnięte w skórzane buty. Z boku leżała szeroka łopata. Schowanej pod ramionami twarzy nie mogli zobaczyć.

-Nic dziwnego że on tyle wyrabia! Popatrz na tą miękką ziemię i jego wielką łopate!- wycedził przez zęby Tomasz.

-Tak! Ale nie pamiętasz co mówił Fiecia? Propaganda! Wybrali sobie ciołka, ubrali, dali dużą łopate do ręki, żeby lepiej wyglądało- zasmiał się Janek.

Na drugi dzień z samego rana Fiecia zebrał wszystkich robotników i zaprowadził ich na plac kolejowego dworca. Na placu przed małą drewnianą platformą, w niewielkich grupach stali Rosjanie i Polacy.

Na platformie kilku mężczyzn rozmawiało o czymś, gestykulując zawzięcie rękoma.

-Na pewno dowiemy się czegoś o wojnie- szepnął Tomasz.

Mężczyźni widząc zgromadzonych ludzi, zakończyli rozmowę. Ustawili się w rzędzie. Jeden z nich, niskiego wzrostu, brodaty jegomość wystąpił do przodu i odezwał się grubym głosem.

My tu się zebraliśmy, żeby wybrać przedstawiciela Krasiwej. Na tę pozycję mamy kandydata. Sasza Choben!- wskazał ręką.

Z grupy wystąpił mężczyzna z kręconymi włosami, ostro obcięta broda. Miał na sobie nowiutką kufajkę, długie watowane spodnie, które zakrywały buty. Na głowie czapka była ozdobiona wielką czerwoną gwiazdą.

-Skąd oni dostają te nowe ubrania? zapytał cicho Tomasz.

-Ja też bym chciał wiedzieć- szepnął mu do ucha Jurek.

-Szary kolor wam się niepodoba? uśmiechnął się Janek.

Brodaty gość, chrząknął kilka razy i położył rękę na Saszy ramieniu.

-No tak! A czy nie ma nikogo, kto by głosował na kogoś innego.

Z tyłu, stojący w rzędzie mężczyźni wyciągnęli notesy, gotowi zapisać nazwiska nowych kandydatów. Ludzie stali jak zahipnotyzowani.

-No widzicie, że nie ma opozycji. Gratuluje!- odwrócił się do Saszy i podał mu rękę.

-Towarzyszu! Wszyscy ciebie lubią. To dobrze!- podrapał się w brode.

-No a teraz wracajcie do roboty! Mamy wojnę z Niemcami! Nie wolno marnować czasu. Do roboty!- zawołał rozkazującym głosem.

-Po co on nas w ogóle wołał?- odezwał się Tomasz.

-Po co? Po co? Głosowałeś! To ciesz się!- zaśmiał się Jurek.

-Podobne głosowanie, mieliśmy w szkole. Ale co się stało ze starym naczelnikiem- zapytał cicho Janek.

-Zapytaj się Fieci- Jurek wskazał zbliżającego się Ładowoja.

-No! Jak wam się podobają nasze wybory?- usłyszeli głos formana.

-A co się stało ze starym naczelnikiem?- odpowiedziała pytaniem na pytanie Zofia.

-Zabrali go do wojska- odciał krótko Fiecia.

-Czy nie mogli mieć przynajmniej dwóch kandydatów?- zapytał Tomasz. Fiecia spojrzał na niego ze zdziwioną miną.

-A po co! Marnować czas? My wiemy kto pasuje na to stanowisko.

Inny mógł być wrogiem narodu. Cały system straciłby wartość. Tylko dobry komunista może zajmować takie stanowisko- zachnął się i spojrzał na row.

-Według moich obliczeń to i ten row jest już dawno skończony- spojrzał na Zofię.

-Acha! O mało co nie zapomniałem! Jutro rano zgłoszcie się do nowego naczelnika. On wyda wam pozwolenie na wyjazd.-

-Na wyjazd?- zawołali razem.

-Tak! Możecie jechać gdzie chcecie. Za pracę na kolei dostaniecie

darmowy bilet. Tu więcej roboty nie ma. Ale jak chcecie, to możecie wrócić do wioski.

-Fiecia a czy możemy wrócić do Polski?- uśmiechnął się ponuro Tomasz.

-Dlaczego nie. Tylko uważaj żeby Niemiec nie obciął ci uszu- zaśmiał się Fiecia- ale do Europy wam jechać nie wolno- dodał odchodząc.

-Dlaczego ty go zawsze tak drażnisz? On ci nic złego nie zrobił!- zdziwiła się Zofia.

-Oni wszyscy tacy dobrzy! A zobacz co się dzieje!- nie dawał za wygraną Tomasz.

-To wszystko nieważne! Teraz musimy dobrze pomyśleć, co mamy robić? Gdzie jechać?- przerwał im Janek.

W głębokiej ciszy dokonczyli row do zaznaczonego miejsca i wrócili do budynku. Do późna w nocy dyskutowali co mają dalej robić.

Pozostac w Krasiej i walczyć z mrozem. Na to nie byli przygotowani. Wrócić do wioski? Do której? Nie przygotowani na zimą w wiosce można zginąć jak nie z głodu to z zimna. Ruble których trochę nazbierali w wioskach nie miały żadnej wartości.

Następnego dnia dowiedzieli się że bilety mogą dostać tylko do określonych rejonów.

Po dokładnym opracowaniu mapy wybrali Taszkiet. Położony niedaleko granicy, zachęcał łagodnym klimatem.

Rozczarowani dostali bilety tylko do Orska. Stamtąd będą mogli starać się o pozwolenie i bilety na dalszą drogę.

Dzień wyjazdu wyznaczony został na pierwszego listopada. Pozostałe kilka dni zajęli się przygotowaniem do podróży. Musieli ze sobą zabrać jedzenie przynajmniej na dziesięć dni. Kilka bochenków chleba i dobrze upieczone kotlety były by idealnym pożywieniem w drodze.

Niestety, nigdzie nie było można kupić mięsa. Wysłany do Ałbasar Jurek powrócił tylko z machorką.

Nie mając już nic do roboty, Janek usiadł na łozku i patrzył na małe płomyki ognia w piecu, głęboko się zamyslił.

Tylko kilka dni zostało do odjazdu, a oni nie mieli nawet chleba. Do pokoju wszedł Fiecia. Spojrzał na Janka, usiadł z boku.

-O czym tak mocno myślisz?- zapytał.

-O drodze. Braku jedzenia na drogę- ocknął się Janek.

-Gdzie jest ten Polak Jurek?- zapytał Fiecia.

-Chcesz żeby go zawołać?

-Tak. Przyjdźcie do mnie. Ja dla was coś mam- odpowiedział wstając. Naraz dowrócił się do tyłu.

-Ty wiesz, że ja wam zazdroszczę. Syberyjska zima zawsze wywoływała na moim ciele dreszcze. Specjalnie tu na tej płaszczynie.

Jurka, Janek znalazł, zbierającego suche badyle.

-Nigdy nie wiadomo. Moga się przydać- tłumaczył się czerwieniąc na twarzy. Zadyszani wbiegli do małego pokoiku, w którym Fiecia obliczał jakieś rachunki. Janek szturchnął Jurka łokciem.

-Na pewno doliczył się i złapał nas na gorąco- szepnął cicho.

-Janek! Jurek! Dobrze. Zamknijcie drzwi i trzymajcie język za zębami!- odezwał się cichym głosem Fiecia.

-Ja was lubię. Bo wy nigdy nie narzekacie na zarobki tak jak Tomasz!-

-Fiecia! Nie dziw się. Dziesięć rubli na dzień to trochę mało. Co można za to kupić? Chleb po dwa ruble za bochenek a ziemniaki to tu w sklepiku po trzy ruble za kilogram. Na czarnym rynku taniej bo tylko po dwa ruble za kilogram. A mięsa? od dwóch tygodni w ogóle nie ma.

Nam ono bardzo potrzebne na drogę- starał się wytłumaczyć Janek.

-No tak! No tak! Ja to rozumiem. Ale po co tak narzekać. Wojna! Mięso poszło dla żołnierzy, dlatego nie ma. Ale wy nie narzekacie. A ja mam dla was rade- wyciągnął kilka kartek z notesu i podał Jankowi.

-Tu pisze że pracowaliście po zachodniej stronie na torach.

-To chyba pomyłka. Mysmy tam nie pracowali!- zdziwił się Jurek.

-Ja wiem że nie! Ale o tym nikt nie wie, tylko wy i ja. Oddajcie te kartki mojej żonie na stacji kolejowej, a ona wypłaci wam w rublach. Za to podzielicie się ze mną mięsem.

-Mięsem?- zapytali razem, otwierając szeroko oczy.

-No tak! Mięsem- zaśmiał się Fiecia.

-Siedem kilometrów na północ jest wioska. Wy teraz macie czas, nie pracujecie. Możecie tam kupić owce. No i podzielimy się mięsem- spojrzał na nich z ukosa.

-Dobrze! Dobrze! Fiecia, ja zwołam Matkę. Niech ona zabierze pieniądze a my do wioski!- ucieszył się Jurek.

-Dlaczego ja o tym nie pomyślałem?- mruknął Janek pod nosem.

W mieszkani zastali Klaudje, Zofje i Tomasza. Naradzali się czym mogą zastąpić mięso. Słyszac o wiosce ucieszyli się. Dla pewności, do pieniędzy dołożyli jedno przescieradło i podpinke na poduszke.

Do wioski wybrali się we trojkę. Jurek, Tomasz i Janek. Klaudja poszła zamienić kartki na pieniądze, a Zofia poleciała do znajomych pożyczyć maszynkę do mielenia mięsa.

Planując i rozmawiając o podróży nie zauważyli jak szybko doszli do wioski. Janek zastukał do drzwi pierwszej chalupy. Ze środka wyszła bardzo pomarszczona na twarzy kobieta. Przez pewien czas nie mogli się z nią porozumieć. Przestraszona na twarzy, nie chciała dać im żadnej informacji. Dopiero jak jej powiedzieli że są Polakami uspokoiła się i wskazała chłupę, gdzie mogli kupić owce.

We wskazanej chalupie po długim przyzekaniu że nie pójdą na milicję, i nikomu nic nie powiedzą, stara kobieta wskazała im drugą chłupę.

-Tam hodują owce. Widziałam. U mnie to możecie kupić tylko chleb. wczoraj pieklam. Po dwa ruble za bochenek- uśmiechnęła się ukazując

dwa zepsute zeby.

W trzeciej chalupie zastali starszego człowieka. Długo obserwowali ich za nim nie zgodził się pokazać owieczce. Mała, widac było że nie była dobrze karmiona. Nie targując się zapłacili całą sumę.

Tomasz pociągnął za sznurek a Janek z Jurkiem pogonili z tyłu. Za wioską Tomasz odwrócił się do tyłu.

-Ja z nią sobie dam radę. A wy idźcie po chleb- zabrał od Janka patyk i trzymając mocno za sznurek skierował się w prostej linii przez step w stronę Krasiwej.

Widocznie kobieta zmieniła zdanie. Ociągając się i narzekając na brak maki, zaoferowała cztery bochenki za jednego czerwienca.

-Daj jej pieniądze zanim nam nie odmówi!- szturchnął Jurka Janek.

Z chlebem pod pachą, szukając Tomasza po drodze doszli do domu. Nie znajdując go, wrócili z powrotem na drogę do wioski.

-Co się mogło z nim stać?- denerwował się Janek.

-Hej! Popatrz tam na horyzoncie!- wskazał malenika kropczkę na stepie.

-To nie on! Widzisz że posuwa się w innym kierunku- niezgadzał się Jurek.

-Jurek! Ja ci mówię że to Tomasz! Popatrz z przodu malenka kropka to na pewno owca. Popatrz teraz. Oni idą w odwrotnym kierunku! Ty wiesz że na stepie łatwo można stracić orientację.

Krzycząc na zmianę zauważyli że kulka z kropelką zaczęły się powiększać. Po kilku minutach usłyszeli głos Tomasza.

-Cos ci zrobili! Zostawiliście mnie z tą głupią owcą. A ja tu się męczę i męczę. Dajcie mi budył a nie patyk! Jak ja miałem ja poganiać!

-Nie krzycz tak głośno! Bo przestraszysz owcę!- zaśmiał się Jurek.

-Dlaczego ciągniesz ja w tym kierunku? My cię szukamy! i szukamy.

Napewno zabladziles. zapytal Janek.

-A co z chlebem? Tak jak myslalem. Rozmyslila sie i nie sprzedala!

-Mamy chleb. Zostawilismy go w Krasiwej. -

-No to dobrze- ucieszyl sie Tomasz i podal Jankowi sznurek z owca.

-No ale teraz wasza kolejka. Ja na dzisiaj mam dosyc. Niech ja odpoczne- oddychajac ciezko usiadl na trawie.

-Ile bochenkow wam sprzedala? I za ile?- zapytal.

-Cztery za czerwieca!- odpowiedzial Jurek. Zawiazal grubszy sznur owieczce na szyi i podal go Jankowi.

-Oszukala was, po prostu oszukala! dziesiec rubli za cztery bochenki! Zwariowali! Za dzien pracy cztery bochenki chleba! I to ma byc sprawiedliwie!- denerwowal sie Tomasz.

Widzac oddalajacych sie Jurka z Jankiem wstal i mruzcac cos pod nosem podazal za nimi.

-No nareszcie! Ola boga rety! Mysmy nie wiedzieli co sie z wami dzieje!- zawolala czekajaca przy drzwiach Zofia.

-Niedawno co, zawiadowca stacji przyslal chlopca z nowina. Mamy pasazerski pociag do Kartalow. Bedzie tu jutro o siodmej rano!- oznajmila Klaudja.

-Tak a nastepny bedzie dopiero za tydzien. Oni sami nie wiedza kiedy.

-Ten albo dlugie czekanie!- potrzasnela glowa Zofia.

-Ten! Ten! Pani sama widzi! Pracy nie ma! Z czego bedziemy zyli?- zawolal glosno Tomasz.

-No to musimy sie spieszyc! Janek ty przynies patelnie. Maszynke do mielenia miesa mamy! Zawolaj Fiecie! Jurek zapal naftowa lampe! Tomasz pomoz polozyc ja na stole- padaly rozkazy z roznych stron.

Do pokoju wszedl Fiecie z dlugim ostrym nozem.

Janek spojrzal na owieczke. Beknela kilka razy i rozgladala sie swoimi wielkimi przestraszonymi oczyma. Jurek i Tomasz trzymali ja za

nogi. Spojrzał na Fiecie jak ten ostrzył noz na kamieniu. Zrobilo mu sie nieprzyjemnie i szybko wybiegl z pokoju.

Wracajac z patelnia w reku, w sionce natknal sie na Rene. Nie mowiac ani slowa zarzucila ramiona na jego szyje i placzac przytulila sie mocno do niego.

Cos dusilo mu w gardle. Serce walilo jakby chcialo wyskoczyc. Cala sila woli powstrzymywal sie od lez, ktore niemilosiernie pchaly sie do oczu.

-Dowiedzialam sie ze jutro rano wyjezdzacie. Ja myslalam ze z wami pojedziemy. Ale moi rodzice. Oni za starzy zeby jechac tak w niepewne. Po chwili milczenia zapytala.

-Janek! Czy my sie zobaczymy! Bedziesz do mnie pisal!

Janek kiwnal tylko glowa. Bylo mu bardzo smutno.

-Janek! Janek! Czekamy na patelni!- uslyszeli glos Tomasza. Weszli do srodka. Rena starala sie powstrzymac lzy, ale widzac Zofie ze lzami w oczach wybuchnela nowym placzem.

-Dosyc tej mazganiny! Przesolicie mieso!- wolal poddenerwowany Tomasz.

Fiecia zawinol swoja czesc w skore i opuscil pokoj. Klaudja zaczela kroic mieso na male kawalki, ktore mielil Jurek z bardzo posepna mina. Slawek wycieral szmatka stol. Zofia odprowadzila zaplakana Rene do drzwi.

-Rena! My musimy sie bardzo spiszyc. Pozegnaj innych i powiedz ze zobaczymy sie jeszcze jutro na dworcu. Dobrze?

W pokoju zawrzalo jak w ulu. Kazdy z nich mial jakies zadanie. Zmielone mieso zmieszali z cebula i maka, porobili malenkie kotleciki. Usmazone powkladali do przygotowanych na nie garnkow.

Pracowali tak do drugiej w nocy. Zaledwie zamkneli oczy gdy glosne stukanie do drzwi poderwalo ich na nogi.

Nacelnik przysłał kolejarza z zawiadomieniem że pasazerski pociąg w strone Kartalow bedzie tu o piatej rano.

W zwariowanym tempie dostali sie na peron. Dlugi pociąg z węgłem, i z kilkoma ciepluzkami dla podrozujacych ludzi, czekal na bocznych torach.

Zaraz po zaladowaniu rzeczy, Janek i Jurek zaczęli rozgladac sie za znajomymi.

-Co wy chcecie! Piata rano! Oni jeszcze spia.- Odezwal sie Tomasz.

-Moze pociąg bedzie stal troche dluzej, jak to czesto u nich bywazy- zyczyla sobie Zofia- tak bym chciala pozegnac sie ze znajomymi- westchnela gleboko.

Z daleka uslyszeli gwizdek i po torach z wiekim chalasem, w strone Akmolinska, nie zatrzymujac sie na stacji, z pustymi wagonami, przejechal pociąg.

Ostry gwizdek lokomotywy, Kilka mocnych szarpniec i pociąg ruszyl. Klaudja przezegnala sie. Rozlozyla kilka kocy na podlodze, ulokowala na nich Slawka i usiadla z boku.

Jurek z Jankiem przykucneli na podlodze. Przez mala luke niedosuniętych drzwi patrzyli jak malenka stacyjka z dwoma wielkimi pagórkami oddalala się z kazdym rytmicznym uderzeniem kol, az ukryla się w porannej mgle.

Jankowi naplynely lzy do oczy. Narzekajac na wiatr, otarl je chusteczka.

-A mowilem ci, badz ostrozny z babami! Uprzedzalem!- odezwal sie Jurek.

-Przygadal kociol garnkowi!- odpowiedzial Janek, widzac jak Jurek wyciera swoje oczy.

-Ale! Ktora byla tym razem?- zapytal zdziwiony.

-Ach nie wazne! Machną ręką. Marysa!- opuscil glowe do dolu.

-Jak to? W Rybience Zosia! W Krasiwej Marysia! Jurek, ty to jak marynarz!- zasmial sie Janek.

-O nie to nie bylo takie powazne- bronil sie Jurek.

-Hej zamknijcie tam drzwi!- krzyknal ktos z boku. Ktos inny dosunal drzwi. W wagonie zrobilo sie ciemno.

Klaudja podala im koce. Z braku miejsca usiedli na podlodze i oparli sie o walizki.

W poludnie zrobilo sie goraco. Jacys ludzie odsuneli drzwi. Dopiero teraz przy dziennym swietle znalezli wiecej miejsca.

Zjedli sniadanie, Po jednym pysznym kotlecie z kawalkiem chleba. Popili chlodna herbata i ulokowali sie na kocach.

Pociag pedzil jakby ktos go gonil. Nie zatrzymujac sie mineli Adyre i dopiero na drugi dzien rano pociag zwolnil i zatrzymal sie na bocznych torach miasteczka Kuszmarun.

Przez chwile nastapil wielki balagan. Duza czesc ludzi opuscila wagon. Korzystajac z okazji Klaudja zace²ła przenosic rzeczy na druga strone wagonu.

-Musicie wiedzec ze zawsze jest lepiej podrozowac od strony lokomotywy.

-Dlaczego?- Zapytal niezadowolony Tomasz.

-Dlatego ze jak ktos bedzie wychodzil w nocy, albo otworzy dzwi, to ty sie nie przeziebisz- zawolala z drugiej strony Zofia.

-Boze Swiety! O Boze! Jedna z walizek zginela!- zawolala przerazona Klaudja.

-Pani zartuje! Co pani mowi!- zalamala rece Zofia.

-Moze zostawila ja pani w Krasiwej?- mruknal Tomasz.

-Nie! Nie! Ja nic nie zostawilam. Ja dobrze wszystko policzylam.

Nastapila glucha cisza. Przez chwile przegladali wszystkie rzeczy.

-Te dwie walizki sa z bielizna i ubraniem. Ten bandel z kocami

rozpakowany- wskazała reka.

-Koszyk z jedzeniem, co niosl Slawek i ta niewielka walizka z podpinkami i przescieradlami co ja ja nioslam. Jej nie ma! Zginela!- rozgaladla sie ze lzami w oczach.

Jeden z pasazerow zatrzymal przechodzacego kolejarza i powiedzial co sie stalo.

-Wam cos zginelo? Zwrocil sie do Klaudji kolejarz.

-Tak! Mala walizeczka z rzeczami- odpowiedziala wycierajac husteczka naplywajace do oczu lzy.

-Oni pracowali na kolei! Sa w drodze do pracy!- odezwal sie ktos z boku. Kolejarz pokiwal glowa. Obejrzel podany mu bilet z podpisem naczelnika stacji i glosno zaklal.

-My tu bedziemy stali az nie przepuscimy kilka transportow. Ja zawiadomie milicjanta. Moze on wam pomoze- zdjal czepke i podrapal sie po glowie.

-Jak mamy tu tak czekac, to chodźmy zobaczyc miasteczko. Moze za ruble mozna cos tu kupic- zaproponowal Jurek.

-Ty idz! Bo z nimi to nigdy nie wiadomo. Sami nie wiedza kiedy pociag ruszy. Moga przepuscic inne, albo i nie- mruknal Tomasz.

-No dobrze! Przynajmniej do czasu, zanim lokomotywa nie nabierze wody- zadecydowal Jurek i zeskoczyl z wagonu.

Za nim podazyl Janek. Przebiegli peron i zatrzymali sie na placu z przodu stacji kolejowej. Zatrzymali kobiety idaca w strone dworca. Zapytali sie jej co i gdzie mozna kupic w tym miasteczku.

Kobieta spojrzala na nich uwaznie. Poprawila chustke na glowie i odezwala sie niskim, powaznym glosem.

-Tam na tej ulicy jest sklep. Ale w nim nic nie ma. Z boku piekarnia. Ale zamknieta do jutra rano. Jak jestescie brudni to jest laznia. Teraz otwarta. Maja dobra parowke na wszy- zasmiala sie i reka

wsakazala szary dlugi budynek z cala sciana okien i szerokim wejsciem.
-A tu jest restauracja! Otwarta!- Przykryla sie szalem, zrobila kilka
krokw i odwrocila do tyłu.

-Tam na koncu tej ulicy jest rynek. Czarny rynek!- spowazniala a tu
naprzeciwko restauracja! Otwarta! wskazala reka i szybko odeszla.

Przez chwile Janek z Jurkiem obserwowali restauracje. Nie mogac
powstrzymac sie od ciekawosci podbiegli do niej. Otworzyli drzwi i
weszli do srodka.

W dlugim pokoju przy oknach staly drewniane stoly z lawami po
obydwu stronach. Z boku drzwi przy niskiej ladzie uwijalo sie kilka
dziewczat.

Pierwsza odbierala od stojacych w kolejce ludzi pieniadze. Druga
podawala drewniana miske z blaszana lyzka i' po kromce chleba. Trzecia
mieszajac co chwile w glebokim parujacym kotle dluga chochla, nalewala
do miseczek zupe. Czwarta przy drzwiach, odbierala lyzki i miski po
jedzeniu. Wrzucala je do wielkiego kotla z woda z ktorego piata z nich
wyjmowala i po wytarciu szmata podawala drugiej dziewczynie.

-Co za wspaniala organizacja!- szepnal Jurek.

Wspanialy aromat zupy przygwozdzil ich do miejsca. Bezradnie
stojac nie wiedzieli czy maja powrocic do wagonu czy stanac w kolejce.

Krotka kolejka zadecydowala. Janek wyciagnal z kieszeni rubla i
dolaczyl sie do kolejki. Nie widzac pociagu zakrytego budynkiem stacji
kolejowej, Jurek nie mogl sie zdecydowac. Do tego czasu nie widzieli
ani jednego mijajacego stacje transporu.

Z niepewnym
usmiechem na tawazy stanal za Jankiem. Dziewczyna nalala im zupy do
misek. Szybko zjedli ja i biegiem wrocili do pociagu.

Z boku wagonu jakis tegi mezczyzna w kufajce i watowanych
spodniach skonczyl rozmowe z Klaudja. Poprawil z nausznikami czapke,
schowal do kieszeni notes.

-Zobaczymy. Zobaczymy- zawołał polglosem.

-Kto to był Mamo?- zapytał Janek.

-Milicjant. Zebrał wszystkie informacje i będzie szukał. Odpowiedziała Klaudia.

-A co wycie jedli?- pociągnął nosem Tomasz.

-Wiesz że ja nie wiem co ja jadłem!- szturchnął Jurka Janek.

-Tak szybko jedliśmy że i ja nie zauważyłem co było w misce!- zaśmiał się Jurek.

-Acha! Jedliście! Gdzie? Co?- nieustępował Tomasz.

-No tam, na końcu tego placu jest restauracja. Dają chleb i miseczkę zupy za rubla- wyjaśnił mu Janek.

-Och te dziady! Żeby można było wiedzieć kiedy ten pociąg ruszy!- złościł się Tomasz nie mając odwagi opuścić wagon.

-Ja mam świetną myśl!- zawołał Janek.

-Może uda nam się nabrać zupy do dzbanka! Wiesz co Jurek, niech Tomasz stanie z boku budynku stacji kolejowej. My go będziemy widzieli z restauracji. Jak pociąg ruszy to on da nam znać, a my omiemy stację i zanim pociąg nie nabierze szybkości wskoczmy do wagonu.

Zabrało sporo czasu przekonać Tomasza że od stacji kolejowej do wagonu nie jest taka wielka odległość.

-Zanim bufory uderzą drugi raz, będziesz siedział w wagonie! A jak nie chcesz to ja tam stanę!- Zofja podała Jankowi dzbanek.

Trochę niezadowolony Tomasz podążył za Jurkiem i Jankiem. Zatrzymał się z boku ściany budynku i nerwowo rozglądał się dookoła.

Zdziwione Rosjanki nie zgodziły się wypełnić dzbanek zupą. Według ich przepisów sprzedawały tylko jedną miseczkę zupy z kromką chleba na osobę.

Stojąc w kolejce kilka razy na zmianę wypełnili zupą dzbanek. Zanim dobiegli do budynku stacji kolejowej, Tomasz siedział w wagonie.

wagonie.

-Dostaliscie zupe?- wolal z daleka.

-Dostalismy Dostalismy!- Janek podal dzbanek Zofi.

-A gdzie chleb?- zaniepokoil sie Tomasz.

-Uspokoj sie! Uspokoj! Jurek niesie chleb- odezwala sie pogardliwie Zofja.

Klaudja rozlala zupe do miseczek. Jurek wyciagnal chleb, ktory ukryty mial w glebokich kieszeniach plaszczu.

Zapach zupy obudzil Slawka. Usiadl na kocu. Spojrzal na matke.

-Czy juz dojechalismy?- zapytal spiacym glosem.

-Nie. Jeszcze nie- usmiechnela sie Klauja.

-A gdzie jest mieso!- zawolal nagle Tomasz.

-To przeciesz jest zupa szczy! Kapusta, kartofle na miesie! A ja nie widze ani kawalka miesa!- narzekal dalej.

-Mysmy miesa tobie nie zabrali!- oburzyl sie Jurek.

-My tez nie mielismy miesa. Badz zadowolony z tego co masz!- mruknal Janek.

-No ja was wcale nie podejrzewam. Ale na tyle zupy ani kawaleczka, to tego nie rozumiem. To jest skandal!-

-Niech pan tam tak nie narzeka. Ja i tego nie mialem!- uslyszeli glos z boku.

Tomasz umilkl. Oddal wyczyszczony do blysku talerz i ulozyl sie na kocu. Godziny mijaly jedna po drugiej. Na dworze zrobilo sie szaro zimno. Dwa pociagi pustych wagonow, nie zatrzymujac sie na stacji pognalo w kierunku Akmolinsku. Jeden naladowany węgłem w przeciwna strone.

Pod wieczor, probowali jeszcze raz dostac sie do restauracji. Niestety byla juz zamknieta.

-Uwaga! Pani Klaudjo. Tam idzie ten sam facet! politruk! Czy jak go

tam nazywaja- zauwazyl Tomasz.

Klaudja z Jankiem podeszli do drzwi. Milicjant rozlozyl bezradnie rece.

-Obszukalem wszystkie katy. Nie ma! Waszej walizki nie widzialem.

Klaudja kiwnela tylko glowa. Strata walizki mogla zadecydowac o glodowej smierci. Pieniadze nie odrywaly tu takiej waznej roli jak te podpinki, przescieradla, ktore zginely. Nie wiedziala co odpowiedziec.

-Towarzyszu!- odezwal sie naraz Janek.

-Ja wiem jak ja mozeecie znalezc!-

-A kto ty! Co tak duzo wiesz?- zdziwil sie milicjant.

-To jest moj syn. On pracowal na kolei pod Ladowojem- przedstawila Janka Klaudja polykajac lzy.

-Pod Ladowojem!- zdziwil sie milicjant.

-No to co ty mnie powiesz? Co nowego. Co ja nie wiem?- zasmial sie lekcewazaco.

-My niedlugo odjedziemy. I jak tylko pociag ruszy to ten co ukradl, bedzie sie staral sprzedac co moze na markiecie. Tym za piekarnia. A wieczorem to wiecej ludzi, latwiej sprzedac- zakonczyl niesmialo.

Milicjant pokiwal glowa. Cmoknal kilka razy i usmiechajac sie spojrzal na Klaudje.

-Sprytnego macie syna. Nic dziwnego, pracowal pod Ladowojem- mruknal.

-No dobrze! Zobaczymy. Nie obiecuje! Ale zobacze.

Ostatnie jego slowa zagluszył halas mijajacego dlugiego pustego pociagu. Jeszcze ostatnie wagony toczyly sie po torze stacji kolejowej, jak zawiadowca stacji dal znak i mocne szarpniecie wagonow oznajmilo ze jada dalej.

Klaudja usiadla w samym kaciku. Widac bylo ze sie modli. Po pewnym czasie, uspokojona przygotowala Slawkowi miejsce do spania.

Podala Jankowi koc.

-Ty tak samo pomodl sie do Matki Boskiej. Pros Ja o Jej opieke, bo nie wiadomo co z nami bedzie. Dotychczas zawsze prosilam Matke Boska Ostrobramska o opieke nad nami. Pomodl sie do Niej! Pomodl- szepnela cicho.

Janek nic nie odpowiedzial. Polozył sie na kocu, zarzucil drugi koc na siebie i gleboko westchnal.

-O Boze bez Twojej pomocy, opieki i blogoslawienstwa, my marnie zginiemy- szepnal polglosem i zatopil sie w modlitwie.

Glosna rozmowa obudzila Janka. Pociag stal. Widocznie znowu czekali na bocznych torach. Przepuszczali wazniejsze transporty.

Klaudja przy troche otwartych drzwiach rozmawiala z jakimś czlowiekiem.

-Telefonowali z Kuzmurun ze znalezi walizke- odezwała sie cicho.

-To ja po nia wroce!- odpowiedzial Janek.

-Co sie stalo? Co sie stalo?- uslyszeli zaspany glos Zofii.

Do drzwi podbiegl zasapany kolejarz.

-Milicjant z Kuzmurun odpowiedzial ze musicie sami odebrac walizke. Jak sie zdecydujecie to za piec minut bedzie jechal w ta strone pociag. Zwolni na tyle ze mozna bedzie na niego wskoczyc.

Nie bylo czasu do stracenia. Janek zalozyl buty, zlupal szalik i gotow byl do drogi.

-Poczekaj! Poczekaj!- zatrzymala go Klaudja.

-Zaczyna byc zimno. Tam moze padac snieg. A w ogole nie wiem czy to warto wracac taki kawal drogi? Moze i bez niej sie obejdzimy. A tak to zostaniesz w tyle, i jak ty nas dogonisz?- nie mogla sie zdecydowac. -Ale co pani mowi! Janek nie tylko nas dogoni ale i przegoni. Z szybkościa jaka my jedziemy to nie ma co sie martwic- odezwał sie glosno ziewajacy Tomasz.

-A za te rzeczy mozna smialo przezyc kilka miesiecy, bez obawy o glod.

Zreszta to pani walizka. Wasza decyzja- dodal przykrywajac sie kocem.
-Przynajmniej umowmy sie gdzie bedziemny na ciebie czekac!- zawolala
Klaudja do stojacego juz na peronie Janka. Widzac jak sie trzesie z
zimna zatrzymala go.

-Poczekaj! Zabierz ze soba jakis plaszcz- otworzyla jedna z walizek i
podala Jankow krotki zakopianski kozuszek.

-Niech Mama czeka na mnie w Orsku! Dobrze! Zobaczymy sie w Orsku.
Zadecydowal Janek.

-Tak jak umowilismy sie, Orsk a potem razem pojedziemy do Taszketu!-
zawolala za nim Zofia.

Glosny halas wpadajacego na stacje pociagu zagluszył dalsza
rozmowe. Kolejarz pociagnal Janka za rekaw.

Przedostali sie pod wagonem na druga strone. Po glownych torach,
jechal wolno dlugi pociag.

Na znak kolejarza Janek zlapal sie drabinki i szybko wspial sie do
gory. Przerzucil nogi i dostal sie do srodka pustej weglarki.

Nie bedac pewnym czy podloga jego jest mocno zatrzasnieta
przykucnal na pochylonej scianie wagonu. Mocne szarpiecie,
nabierajacego szybkoosci pociagu odrzucilo go na bok. Przez chwile stal
na srodku, starajac sie utrzymac rownowage. Odbijajacy sie o tylne
sciany wiatr zaczol dawac sie we znaki. Powoli idac dostal sie do
miejsca gdzie laczyly sie sciany. Nie czujac tu wiatru usiadl.

Monotonne kolysanie sie wagonu usypialo. Poprawil sie, i opierajac
glowe na ramionach usnal.

Mocne uderzenia buforow ocknely go. Podniosl glowe do gory.
Zaczelo switac. Gwiazdy znikaly jedna po drugiej, ustepujac miejsce
blyskom porannego slonca. Zrobilo sie chlodniej. Skulil sie i czekal
na pierwsze promienia slonca. Obserwowal jak one powoli wypelnily
wagon, zblizajac sie do niego. Nareszcie oblany ich cieplem wyciagnal

sie na calego i rozkoszował pięknym porankiem.

Krotkie gwizdki lokomotywy oznajmiały jakąś stację. Wdrapał się na górę wagonu i przez chwile obserwował zbliżające się miasteczko.

Nie było żadnej wątpliwości. Dojeżdżali do Kuzmurunu. Z daleka na stacji zauważył kilku ludzi. Jeden z nich, widocznie naczelnik stacji zatoczył czerwoną lampą koło. Maszynista odpowiedział kilkoma krotkimi gwizdkami.

Widocznie pociąg miał wolne tory. Zwolnił tylko do wymiany poczty i mocnym szarpnięciem dał znak że idzie dalej.

Janek widząc co się dzieje zsunął się po drabince na dół. Korzystając jeszcze z wolnej szybkości pociągu, zeskoczył na peron. -Powoli! Powoli!- krzyknął kolejarz patrząc jak Janek przebierając nogami i machając rękoma starał się utrzymać równowagę. -To ty wracasz po skradzione rzeczy?- zapytał. -Tak- odpowiedział zdyszany Janek- gdzie mogę je odebrać? -Musisz iść do naszego milicjanta Wietki. On mieszka po prawej stronie tej ulicy, na samym końcu- wskazał ręką równoległą ulicę do nasypu toru kolejowego. Wskazując na wagony stojące na bocznym kolejowym torze uśmiechnął się. -Pospiesz się to może nie będziesz potrzebował skakać! Ten niedługo odejdzie.

Janek podziękował i szybko wybiegł na plac przed dworcem. Tu zwolnił i stanął. Do restauracji wchodziła grupa ludzi. Była otwarta. W tym samym czasie poczuł jak kiszki zaczęły grać marsza.

W takim wypadku zoladek miał pierwszeństwo. -Pieniądze! Ja zapomniałem zabrać pieniądze!- przeraził się.

Odebrać walizkę, i jechać dalej bez jedzenia niewiedomo jak długo? Nie bardzo mu się to podobało. Sprzedać coś na rynku czy wymienić na jedzenie to zajęłoby sporo czasu i na pewno straciłby ten pociąg.

Czekac na drugi pasazerski nie majac gdzie przenocowac byloby bardzo ryzykowne.

Ze smutna mina spojrzal na wagony stojacego pociagu. Na restauracje nawet nie chcial patrzec. Wolnym krokiem ruszyl w strone domu milicjanta. Wsadzil rece do kieszeni. Naraz poczul kawalek sztywnego papieru. Zatrzymal sie i powoli wyciagnal zawiniety w rulon rubel. Niespodziewany pieniadz spadl jak z nieba. Byl to rubel jeszcze z Obuchowki.

Ucieszony biegiem wrocil do restauracji. Oddal rubla, zabral od drugiej dziewczyny chleb. Schowal go do kieszeni i podstawil miseczke trzeciej. Dziewczyna po obowiazkowym zamieszaniu w kotle, zagarnela i cala zawartosc chochli wlala do miseczki. Odrzucila spadajace jej wlosy na bok i usmiechnela sie do Janka.

-Ot szczesliwy mlodzieniec dostal kawalek mięsa!

Nie zdazyl jeszcze postawic miseczke na stole jak jakis wysoki mezczyzna przysiadl sie z boku.

-Towarzyszu! Czy bys nie chcial zamienic swoja zupe na moja?- zapytal cichym glosem.

-O nie!- odpowiedzial stanowczo Janek i podniosl lyzke do gory.

Mezczyzna przytrzymal jego reke i patrzac swoimi swiecacyimi oczyma odezwal blagalnie.

-Mlodziencze! Ja tobie dam dziesiec rubli. Ja miesa nie jadlem tak dawno ^znie pamietam jak ono smakuje!- nie czekajac na Janka odpowiedz wsadzil mu czerwinca do reki i zabral zupe. Postawil z boku swojej miski i zanurzajac lyzke raz w jednej a raz w drugiej misece ,z glosnym chlupaniem zaczal palaszowac jedzenie.

Zaskoczony tym zajsciem Janek stanal z powrotem do kolejki i razem z innymi przygladal sie jak mezczyzna rozkoszowal sie smakiem tego niewielkiego kawalka miesa.

Najedzony, w dobrym humorze przeskakując z nogi na nogę dobiegł do drewnianego budynku z napisem nad drzwiami "Biuro Milicji".

Zastukał delikatnie do drzwi. Po kilku minutach usłyszał mocny, basowy głos. Otworzył drzwi i znalazł się na korytarzu, Przez otwarte naprzeciwko drzwi, zauważył obładowany starymi bogatymi meblami pokój. Ktos od środka szybko zamknął drzwi.

-Chodź tu! Ja na ciebie czekam!- usłyszał głos z boku. Odwrócił głowę i ujrzał drugie, pół otwarte drzwi z napisem na gorze.

"Biuro milicji Kuzmurunskiego rejonu"

Z nieprzyjemnym uczuciem wszedł do środka. W pokoju za wielkim stołem na wygodnym fotelu siedział znajomy milicjant.

Na stole leżała zaginiona walizka. Milicjant podniósł głowę do góry. Swidrując Janka oczyma odłożył jakiś dokument na bok .

-To wasza walizka?- widząc jak Janek przytakuje głową zapytał.

-Co w niej jest?-

-Podpinki, przescieradła, serwetki.

-I co jeszcze?

-Reczniki!- starał się przypomnieć co mu matka mówiła.

-Co jeszcze! Nie pamiętasz! Co jeszcze? Nie wiesz co w niej masz?

Nalegał milicjant. Widząc zdziwioną twarz Janka mruknął przez zęby.

-Złodziej zostawił ją polotwartą. Do siedzącego z boku starego Kirgiza powiedział, że właściciel albo milicjant ją zabierze a sam nawiał. Ja tego nie rozumiem. Otwieraj!

Dwa głosne uderzenia zatrząsków i wierzch waliski uniosł się do góry.

-Co to jest?- krzyknął milicjant wskazując ręką na rozaniec.

Przez chwilę Janek nie wiedział co ma odpowiedzieć. Wiedział że komunistyczne władze niszczyły religie. Zabraniali się modlić.

Spojrzał na cierpliwie czekającego na odpowiedź milicjanta.

Naraz wspaniała myśl wpadła Jankowi do głowy. Zamieni odpowiedź na pytanie.

-Co w tym złego towarzyszu komisarzu?-

My tu w Sowieckim Sojuszu jesteśmy bardzo kulturalni ludzie i nie wierzymy w jakies tam zabobony- zawołał mocnym basowym głosem.

-Towarzyszu to jest tylko lancuszek do modlitwy.

-Do modlitwy? A co to modlitwa?-

-Modlitwa? Modlitwa to jest rozmowa z Panem Bogiem, podziękowanie, no i prosba o to co nam potrzebne w zyciu- odpowiedział cicho Janek.

-Ja o nic nie prosze! Ja żądam i otrzymuje!

-Wszystko? Nawet od swoich przelozonych?

Milicjant umilkł. Podrapał się po głowie. Spojrzał ponuro na Janka.

-Co ty myslisz? Ze ta zabawka moze mnie pomoc?

-No nie. Nie pomoze- odpowiedział Janek.

-No widzisz. Sam zgadzasz się ze mna- usmiechnął się triumfalnie milicjant.

-No nie. Jak wy kogos nie znacie, to jak mozecie wiedziac co on od was potrzebuje. A jak ktos was nie chce znac, to czy wy mu pomożecie?

-A kogo ja mam prosic jak nikogo tu nie widze?- zagadkowy uśmiech ukazał się na milicjanta twarzy.

-I co ty na to powiesz?- drażnił Janka.

-Towarzyszu! Wy powietrza nie widzicie. Ale wiecie że ono jest dookola i bez niego nie moglibyście żyć- zachnął się Janek.

-Ach ty smarkaczu! Zabieraj walizke i wynos się.- Wrzasnął milicjant.

-Nie dosyc, że mam kłopot z żoną, jeszcze ty będziesz grał mi popa.- Krzyczał za znikającym w szalonym pośpiechu Jankiem.

-Zeby nie to, że pracowałeś pod Michałem Ładowoj, to bym ci pokazał gdzie raki zimują.

Janek wybiegł z domu jak oparzony, przebiegł ulicę, plac i dobiegł

Naraz wspaniała myśl wpadła Jankowi do głowy. Zamieni odpowiedź na pytanie.

-Co w tym złego towarzyszu komisarzy?-

My tu w Sowieckim Sojuszu jesteśmy bardzo kulturalni ludzie i nie wierzymy w jakies tam zabobony- zawołał mocnym basowym głosem.

-Towarzyszu to jest tylko lancuszek do modlitwy.

-Do modlitwy? A co to modlitwa?-

-Modlitwa? Modlitwa to jest rozmowa z Panem Bogiem, podziękowanie, no i prosba o to co nam potrzebne w zyciu- odpowiedział cicho Janek.

-Ja o nic nie prosze! Ja żądam i otrzymuje!

-Wszystko? Nawet od swoich przelozonych?

Milicjant umilkł. Podrapał się po głowie. Spojrzał ponuro na Janka.

-Co ty myslisz? Ze ta zabawka moze mnie pomoc?

-No nie. Nie pomoze- odpowiedział Janek.

-No widzisz. Sam zgadzasz się ze mna- usmiechnął się triumfalnie milicjant.

-No nie. Jak wy kogos nie znacie, to jak mozece wiedziac co on od was potrzebuje. A jak ktos was nie chce znac, to czy wy mu pomozece?

-A kogo ja mam prosic jak nikogo tu nie widze?- zagadkowy uśmiech ukazał się na milicjanta twarzy.

-I co ty na to powiesz?- drażnił Janka.

-Towarzyszu! Wy powietrza nie widzicie. Ale wiecie ze ono jest dookola i bez niego nie moglibyscie zyc- zachnął się Janek.

-Ach ty smarkaczu! Zabieraj walizke i wynos sie.- Wrzasnął milicjant.

-Nie dosyc, ze mam klopot z żoną, jeszcze ty bedziesz gral mi popa.- Krzyczał za znikajacym w szalonym pospiechu Jankiem.

-Zeby nie to, ze pracowales pod Michałem Ładowoj, to bym ci pokazal gdzie raki zimuja.

Janek wybiegł z domu jak oparzony, przebiegł ulice, plac i dobiegł

do stojącego jeszcze pociągu. Z daleka zobaczył otwarte drzwi pasazerskiej ciepłuszki. Wskoczył do środka, wcisnął się w sam kącik i ciężko oddychając usiadł na walizce.

-Jaki tam Michał?- odezwał się polglosem.

-Ja pracowałem pod Fiecia a nie pod żadnym Michałem Ladwojem!- zaśmiał się nerwowo. Uspokojony coś zaczął obserwować ludzi.

Wagon przeladowany był ludźmi. Brudni, oberwani, jechali gdzieś tak jak i on, szukali lepszego miejsca. Uciekali do tej stasznej zimy.

Po południu pociąg ruszył. Janek wyjął z kieszeni pozostawiony ze śniadania chleb. Zmartwiony że nie zaopatrzył się w jedzenie zjadł go powoli.

Po środku wagonu zauważył wiadro z wodą. Zbliżył się do niego i poprosił siedzącą z boku kobietę o wodę.

Kobieta mruczac coś niezrozumiałego pod nosem podała mu kubek. Opity wodą z burczącym brzuchem wrócił do swojego kąta. Oparł się o walizkę i starał się zasnąć.

Bez żadnego przystanku przejechali całą noc. Janek nie mógł spać. W wagonie było duszno. Zmiana pogody nie pozwalała otworzyć drzwi. Najmniejsza szparka klula ostrym zimnym powietrzem. W dodatku poczuł że coś go gryzie. Co chwile drapał się. Nie mógł doczekać się dnia.

Poranek nie był lepszy. Jacyś ludzie otworzyli drzwi. Mroźne powietrze wypełniło wagon. Jak okiem sięgnąć, śnieg pokryty był świeżo napadającym śniegiem. Narzekania i kłotnie zmusiły pragnących świeżego powietrza ludzi zasunąć drzwi.

Do zmecenia po niewyspanej nocy, dołączył się głód. Od ostatniej kromki chleba z wodą, nie miał nic w ustach. Zapytywani ludzie, czy mogli by mu coś sprzedać, odpowiadali, że nie mają wystarczająco jedzenia dla siebie.

Okolo południa zatrzymali się na bocznych torach malej stacyjki.

Janek zeskoczył z wagonu. Z powiewem wiatru przyjemny zapach gotowanego jedzenia zakrecił w nosie. Po prawej stronie torów nie widac było ani jednej chalupy. Zdziwilo go że ta mala stacja miała cztery tory, z jednym tuż obok wysokiego nasypu. Daleko na przodzie malenka budka stacji kolejowej stala tuż przy łączących się torach.

Nowa fala pachnacego jedzenia wstrzasnęła nim. Zaciekawiony skąd ten zapach przychodzi, przecisnął się pod wagonem. Po drugiej stronie oprócz chalupy na skraju malego lasu, widac było tylko falujące wzgorza stepów.

Ciemna smuga dymu unosząca się z komina zainteresowała go bardziej niż stacyjny budynek. Ale ten zapach nie mógł być z chalupy. Kierunek wiatru wskazywał, że przychodzi gdzieś, od budynku stacji kolejowej.

Z daleka zauważył nadchodzący pociąg. Szedł w tym samym kierunku co i oni.

-Widocznie czekamy na ten ważniejszy transport- odezwał się sam do siebie.

Dwie wielkie lokomotywy ciągnęły długi sznur zamkniętych ciepłuszek. Pociąg zwolnił i wjechał na pierwszy tor z boku wysokiego nasypu.

Z myśla, że może uda mu się dostać na ten szybszy pociąg. Zbliżył się do ostatniej ciepłuszki.

Naraz zauważył wielki ruch na płaskim terenie poniżej kolejowego nasypu. Od strony stacji kolejowej wyjechało kilka połowych kuchni. Żołnierze ustawili je w rzędzie i odczepili konie. W białych ubraniach kucharze zajęli miejsca przy parujących kotłach.

Przyjemny zapach jedzenia zmieszał się z tak dobrze Jankowi znanym, zapachem wojskowego ubrania rosyjskich żołnierzy.

Z wagonów wysypała się cała masa żołnierzy. Z błyszczącymi się instrumentami, orkiestra zajęła miejsce niedaleko kotłowni.

Poustawiani w kolejce żołnierze po otrzymaniu swojej porcji, jedni stojąc drudzy kucając zabrali się do jedzenia.

-Biedni muzykanci! Kiedy oni dostaną swoją porcję?- stojący z boku chudy młodzieniec, odezwał się po polsku.

Zolandek scisnął się niemilosiernie. Zapach jedzenia był coraz mocniejszy. Janek scisnął walizkę w reku. Przedostał się na drugą stronę wagonu i zmierzył wzrokiem odległość do chalupy.

-Nie całe dziesięć minut drogi. Zanim orkiestra przestanie grać muszę być z powrotem- zdecydował.

Zbiegł z nasypu kolejowego i dostał się na wąską ścieżkę. W połowie drogi zauważył że drożka wznosiła się do góry. Zmęczony, zasapany obejrzał się do tyłu.

-Może omyliłem się w odległości?- szepnął nie wiedząc czy ma iść dalej czy wracać do wagonu.

Spojrzał w stronę chalupy. Unoszący się dym z komina zdecydował. Przełożył walizkę do drugiej ręki i ruszył dalej. Przeskoczył płytki row i zastukał mocno do drzwi.

-Co chcesz?- usłyszał kobiecy głos.

-Możecie sprzedać bochenek chleba?

-Co? Bochenek chleba?- otwierane drzwi zaskrzypiały mocno.

Przed Jankiem stanęła w starszym wieku kobieta z bardzo pomarszczoną twarzą. Długa do samych kostek suknia, była tyle razy łatana że nie można było zorientować się z jakiego materiału była uszyta. Czerwona szmata na głowie zakrywała tylko górę czarnych spadających poniżej ramion włosów. Ciemno brązowymi oczyma obrzuciła Janka od góry do dołu.

-Chleba? My chleba jeszcze nie mamy. Nie ma mąki. Jutro albo pojutrze mąkę przyniesie kilka pudów, to dla siebie będzie. Na sprzedaż to chyba nie. Odpowiedziała cicho.

-Nie macie nic do jedzenia?- zawolal przerazony Janke.

-Nic! Nawet zupy nie gotowalam. Stary bedzie czyscil kotly po zolnierzach to troche przyniesie.

-No to dlaczego palicie w kuchni?- denerwowal sie Janek.

Kobieta spojrzala na komin. Zasmiala sie wesolo.

-To dlatego tu przyleciales. Ja parze dla swin ziemniaki.

-Mogla bys sprzedac troche ziemniakow- zapytal pokazujac jej piecio rublowke.

-Nie! Nie! Mam wystarczajaco tylko dla swin. A pieniadze? Po co? Na tej lichej stacji nic nie kupisz a do rynku za daleko!- zamknela mu drzwi przed nosem.

Rozczarowany ruszyl w kierunku wagonow. Pociagi jeszcze staly. Nie wiedzial tylko, ktory z nich odejdzie pierwszy. Liczac na to ze wojskowy ma zawsze pierwszenstwo zatrzymal sie przy studni. Nachylil sie do picia i wzrok jego zatrzymal sie na walizce.

Nie namyslajac sie, otworzyl ja i wyciagnal biala podpinke na poduszke. Trzymajac ja w reku zblizyl sie znowu do chalupy.

Widocznie kobieta obserwowala go przez okno, bo nie zdazyl dosc do drzwi jak ona otworzyla drzwi i wyciagnela reke po podpinke.

Przez chwile piescila material w reku, przylozyla do siebie.

-Och! Z tego moze byc piekna bluzeczka! Tylko tu troche obciac, otwor na glowe i ramiona- usmiechnela sie.

-Ja mowie prawde! My chleba nie mamy, ale jak chcesz to ziemniakow moge ci dac. Swinie moga poczekac do jutra!- machnela niedbale reka.

-Dobrze! Dobrze! Tylko predko. Z pociagami nigdy nie wiadomo!-

-Ja nie mam nawet do czego ci nalozyc- potrzasnela glowa i usiadla na pienku. Spojrzala spod oka na Janka.

-No nie! Ale czy ty nie politruk?- zapytala cicho.

-Nie!

-A dokad ty jedziesz?-

-Do Taszkientu. Uciekamy od zimy.-

-Uciekaj! Uciekaj golabku. Jak sie daje to uciekaj. My tez uciekali!
Az przygwozdzili nas tutaj- westchnela gleboko.

-Ot tu nie tak zle. Stary pracuje na kolei. Las blisko. Mamy jagody i
cos nie cos do palenia w piecu. Ot nie ma gdzie uciekac. Tu bedzie
nasz grob.-

-Ona marnuje tylo czas- mruknal niezadowolony Janek. Zabral podpinke i
gotow byl do drogi. Kobieta zatrzymala go reka.

-Ja ci dam sznor, podwiaz zakiet a ja nasypie ci kartofli do srodka.
Dobrze?

Nie czekajac na odpowiedz wbiegla do chalupy. Po chwili wrocila ze
sznorem i wiadrem z ziemniakami. Pomogla Jankowi zawiazac sznur
dookola pasa i odpiela dwa guziki pod szyja.

-Kladz!- zawolala podajac mu malenkie okragle ziemniaki.

Janek wypelnil pomieszczenie pomiedzy koszula i zakietem.
Pozostale ziemniaki wlozyl do kieszeni. Podal Kobiecie podpinke i
biegiem skierowal sie w strone wagonow.

W polowie drogi zatrzymal sie, ziemniaki zaczely go parzyc. Odpial
jeszcze jeden guzik i nachylil sie do przodu tak, zeby chlodny wiatr
dostal sie pomiedzy ziemniakami, a mokra od pary koszula.

Odetchnal zadowolony. Nie spodziewal sie zeby one byly az tak
bardzo gorace. Znecony ich zapachem wyciagnal jeden.

Za maly byl do obierania. Otarl go troche palcami z brudu i wlozyl
do ust. Na polsurowy smakowal wysmienicie. Uspokojony widokiem
stojacego pociagu zwolnil i nachylajac sie raz po raz chlodzil
przypekajace coraz to wiecej ziemniaki. Odsuwajac je od koszuli
wyciagal najbardziej gorace i jadl je jeden po drugim.

-Cos ty kupil?- uslyszal glos chudego mlodzianca.

-Ziemniaki- odpowiedzial przeciskajac sie pod wagonem na druga strone.

Wojskowego transportu juz nie bylo. Mlodzieniec pomogl mu wdrapac sie do wagonu.

-Myslalem, ze tu zostaniesz- zasmial sie cicho.

-Mogl bys sprzedac mi kilka ziemniakow?- zapytl cichym blagalnym glosem.

-Sprzedac to nie! Ale zamienie sie na gazete- odpowiedzial czerwony jak burak od goraca.

Mlodzieniec jak blyskawica zniknal i po chwili ukazala sie z powrotem z "Prawda" w reku. Pierwsza garsc ziemniakow schowal do kieszeni, druga zjadl predzej niz Janek zdazyl z gazety ukrecic lejek.

Najedzony ziemniakami dostal sie do swojego katka. Usiadl na podlodze, zdjal kozuszek, wlozyl kawalek pozostalej gazety pod mokra koszule i oparl sie o sciane wagonu.

Kilka krokow od niego kilku Polakow rozmawialo o tworzacej sie Polskiej dywizji, niedaleko Orska. Wypuszczeni z obozu koncentracyjnego, jechali zapisac sie do wojska.

Chec walki o wolna Polske necila wiecej niz ucieczka za granice. Sluchajac ich opowiadania, postanowil umiescic matke ze Slawkiem gdzies w bezpiecznym miejscu, a sam zapisze sie do wojska.

Od siedzacego z boku starszego pana dowiedzial sie ze Rosja podpisala umowe z Anglia i Polskim rzadem w Londynie.

Dzieki temu Rosjanie zaczeli wypuszczac Polakow z wiezien, obozow koncentracyjnych. A ci co zostali wyslani do wiosek, maja prawo przeniesc sie na inne tereny Syberii. Duzo rodzin tak jak i on uciekaja od Syberyjskiej zimy.

-Jedziemy do wojska!- zawolal chudy mlodzieniec.

-Do polskiego wojska!- odpowiedzial uszczesliwiony Janek.

Uslyszeli kilka gwizdkow i pociag ruszyl. Po poludniu

gwizdek lokomotywy obudzil polspiacych ludzi. Pociag zwolnil.

Kilku mezczyzn odsunelo drzwi. Zimny wiatr zalzawil im oczy zmuszajac do zasuniecia ich z powrotem. Odsuneli je dopiero jak pociag stanal.

Janek nie marnujac czasu zlupal za walizke i zeskokczy z wagonu.

-A gdzie pan teraz idzie?- zaptrzymal go szczuply mlodzieniec.

-Musze znalesc cos do jedzenia. Jak jest wiecej chalup niz jedna to na pewno cos sie znajdzie. Do glodu, jakos nie moge sie przyzwyczaic.

zasmial sie Janek.

-Pan nie boi sie zgubic pociagu?- zapytal z boku kobieta.

-Ja nie bede dlugo. A pociag napewno odejdzie pozno w nocy.-

-Cos do jedzenia!- zapalil sie mlodzieniec. Po chwili opuscil na dol glowe.

-Ja nie mam odwagi opuscic pociagu- szepnal cicho.

-Ja rozumiem- odpowiedzial Janek i widzac przechodzacego z boku kolejarza zapytal, gdzie sie znajduja i gdzie mozna kupic cos do jedzenia. Kolejarz polozyl reke na jego ramieniu.

-To miasto nazywa sie Tobol. Wiesz co! Za tym ceglany budynkiem jest piekarnia. Nie wiem czy jest otwarta, ale wiem ze maja pyszny chleb. Tylko nie wiem jak dlugo bedziecie tu stali. Niby to czekacie na dwa transporty z obydwu stron- przytaknal glowa.

Na peron weszla gruba kobieta. Welniany szal na glowie spadal luzno zakrywajac polowe jej twarzy i to co niosla z boku. Widzac ja kolejarz szturchnal Janka lokciem.

-Saja! Saja! Chodz tu tu masz glodomorow!- zasmial sie odchodzac.

Kobieta zblizyla sie do wagonu. Odchylila szal i pokazala koszyk z kilkoma bochenkami chleba.

-Mam chleb do sprzedania. Dziesiec rubli za bochenek- odezwala sie cicho. Szczuply mlodzieniec, nie mowiec ani slowa wyciagnal czerwienca

z kieszeni. Zlapal za bochenek chleba i zniknal w srodku wagonu.

Zanim Janek obejrzał się koszyk został opróżniony. Zdumiony tą szybkością sprzedaży podniósł walizkę i szybkim krokiem wyszedł na ulicę. W Tobolu śniegu jeszcze nie było. Tylko cienki lod świecił się tu i tam na drodze.

Ślizgając się co pewien czas, doszedł do ceglanego budynku. Zaraz za nim, tak jak określił kolejarz, zobaczył stary budynek z polotwartymi dzwiami.

Odsunął je delikatnie i wszedł do środka. Za ladą stała jakaś kobieta zajęta czyszczeniem polek.

-Co chcesz?- zapytała nie odrywając się od roboty.

-Czy mogłabys sprzedać mnie bochenek chleba?- zapytał niesmiało Janek.

-Chleba nie ma! Wszystko sprzedane. Przyjdź jutro o dziewiątej rano! Sklep zamknięty! Jutro rano, Rozumiesz- zawołała nerwowo.

Naraz drzwi do bocznego pokoju otworzyły się na całą szerokość i do pokoju wbiegła mała dziewczynka. W drugim pokoju przy stole zobaczył wkładającą do kosza chleb, ta sama kobieta która sprzedawała chleb na stacji kolejowej.

-Mówiłam ci tyle razy! Nigdy nie otwieraj tych drzwi!- krzyknęła carwieniac się na twarzy.

-A ty tu jeszcze jesteś?- czyszcząc półki kobieta odwróciła się do Janka.

-Sklep zamknięty! Chleba nie ma!- starała się go pozbyć.

-Sima! Co się stało?- zapytała z drugiego pokoju Saja.

-Drzwi były otwarte. On wszedł i chce kupić chleb. Mówiłam mu, że niema.

Saja spojrzała na Janka. Czerwona jeszcze na twarzy przytknęła drzwi.

-On musi być bardzo głodny. Bo inaczej nie odszedł by od pociągu.

-Tak! Ale nic nie zostanie dla nas!- denerwowała się Sima

-Mamy dla partyjnych. Odłożone na boku. Rozumiesz?- Saja podeszła do lady.

-Ja wam zapłacę! Za darmo nie chce! Ile chcecie za bochenek?- zapytał Janek.

-Dziewiec! Dziesięć! Odezwały się równocześnie i patrząc jedna na drugą wybuchły śmiechem.

-Ile masz pieniędzy?- zapytała Saja.

-Dziewiec rubli- odpowiedział zadowolony Janek.

-Co to za interes? dziewiec rubli? Jak ty na tym daleko zajedziesz?- Spojrzała na Janka spod oka.

-Do Orska a potem do wojska!- odpowiedział Janek.

-No jak do wojska to daj mu dwa bochenki chleba za dziewiec rubli.- Odezwała się Sima przyglądając się Jankowi.

Saja wyszła do drugiego pokoju. Powróciła z dwoma bochenkami chleba. Odebrała od Janka pieniądze. Nic nie mówiąc wypuściła go na ulicę i zamknęła za nim drzwi.

Zadowolony Janek, schował obydwie bochenki pod kózki i szybkim krokiem wrócił na stację kolejową.

Naraz serce zabiło mu mocno. Po ciele poczuł zimny pot. Na stacji nie było pociągu. Spóźnił się. Bezradnie rozejrzał się dookoła.

Oprócz kilku wagonów na końcu bocznych torów nie było nawet lokomotywy. Zniechęcony spojrzał na kilku kolejarzy pracujących na torach, z boku pustych wagonów, i wolnym krokiem zbliżył się do budynku stacji kolejowej.

Na dworze robiło się coraz to zimniej. Syberyjska zima uparcie goniła za nim.

Naraz odwrócił się do tyłu. Ktoś położył rękę na jego ramieniu. Za nim siedział ten sam kolejarz który wskazał jemu piekarnię.

-Co sie stalo? Zgubiles pociag?- zapytal.

-Tak- odpowiedzial posepnie Janek.

-Nie martw sie! Ty nie pierwszy ani ostatni! Widzisz tam, ten budynek z boku stacji. To druga poczekalnial. Tam mozesz sie przespac. A jutro znajdziesz inny pociag- poklepal Janka po ramieniu.

-Tylko pospiesz sie, bo poczekalniala nieduza. Moze zabraknac miejsca-

Zadowolony, ze znalazl miejsce na noc przyspieszyl kroku. Minal budynek stacji kolejowej i wszedl do poczekalni. Niewialki, kwadratowy pokoj mizernie oswietlony byl naftowa lampa.

Oprocz jednej lawy przy scianie, nie bylo ani jednego mebla. Jak i Polacy tak i Rosjanie czekali tu na pociag. Walizki i tobloki na ktorych lezeli wypelnily prawie polowe pokoju. Kilka ludzi siedzialo na lawie, reszta pasazerow ulokowala sie na podlodze.

Widzac w samym rogu pokoju wolne miejsce, Janek postawil walizke z boku, usiadl na podlodze i zabral sie do jedzenia chleba.

-Obywatelu! Sprzedaj mi bochenek chleba!- uslyszal gruby glos nad swoja glowa.

Przed nim stal wysoki mezczyzna z niegolona, bardzo blada twarza. -Od dwoch dni nic nie jadlem. Zarzykowalem! Ha! Piekarnia byla zamknieta i zgubilem pociag. Sprzedaj dla mnie bochenek- mowil ostrym rozkazujacym glosem.

-Skad ty wiesz, ze ja mam chleb?

-Widzialem jak wychodziles z piekarni. Schowales dwa bochenki- wskazal palcem miejsce gdzie Janek mial ukryty chleb.

-Nie wiem jakim cudem dostales go. Bo ja probowalem! Probowalem! Stukalem do drzwi! I fige z makiem dostalem. Jeszcze mnie milicjantem nastraszyli- Podal Jankowi dziesiec robli.

Zaskoczony nie wiedzac co ma robic, wyciagnal bochenek i podal mezczyznie. Przez chwile przygladal sie jak on odrywal kawalki chleba

i łapczywie, prawie, że nie zując polykał kawalki.

Tak jak mówił kolejarz w bardzo szybkim czasie pokój zapelniał się ludźmi. Zrobiło się duszno, ale ciepło. Ktoś zgasił lampę. W pokoju zrobiło się ciemno i słychać było tylko kaszel i chrapanie śpiących ludzi.

Późno w nocy, hałas przejeżdżającego pociągu ocknął Janka. Przez chwilę przysłuchiwał się uderzeniom buforów. Naraz poczuł jak jego but zsuwa się z nogi. Przycisnął go mocniej do podłogi. Czyjes palce luzowały mu sznurowki. Otworzył szeroko oczy, ale za ciemno było żeby coś zauważyć.

-Rany Boskie! Ktoś kradnie moje buty!- krzyknął głośno kopiąc drugą nogą.

Głośniejszy pisk obudził innych.

-Co się stało?- zawołał ktoś z boku.

-Cicho! Dajcie nam spać!- odpowiedział ktoś inny i znowu nastąpiła cisza.

Janek podciągnął nogi pod siebie. Zawiązał sznurowadła na kilka węzłów. Sprawdził czy jeszcze siedzi na walizce. Uspokojony jej zimną powierzchnią odetchnął głęboko. Niewygodnie siedząc na butach, pół drzemiac doczekał się poranka.

Głośny krzyk ocknął go zupełnie. W poczekalni było widno. Większość ludzi opuściła pokój. Jakiś mężczyzna z boku narzekał, że mu ukradli buty. Złapał za swoje. Odsznurowane były do połowy. Zawiązał je po raz drugi.

Jakaś kobieta z wiadrem wody weszła do poczekalni. Za nią kolejarz. Niskim basowym głosem, budził śpiących jeszcze ludzi.

Podszedł do siedzącego na ławie z nisko pochyloną głową człowieka. -Wstawaj! Wstawaj!- wołał bez skutku. Na koniec poruszał go za ramię. Mężczyzna pod naporem ręki osunął się na podłogę.

W poczekalni nastapila panika. W kilka sekund nie zostalo ani jednego czlowieka. Kolejarz rozlozyl bezradnie rece. Kobieta przezegnala sie trzykrotnie. Janek dowiazal sznurowki zlapal za walizke, minal bokiem lezacego, z blada jak smierc twarza czlowieka i zblizyl sie do drzwi. -O Boze! Tyfus! Tyfus brzuszny!- uslyszal glos kobiety.

Ostre zimne powietrze otrzewilo go zupełnie. Musial zmruzyc oczy od blasku odbitego od sniegu slonca. Cale miasteczko pokryte bylo sniegiem.

-Co ja bym robil bez butow?- przerazil sie rozgladajac za czlowiekiem ktoremy ukradli buty.

Zobaczyl go siedzacego z boku poczekalni. Przeklinajac glosno owijal nogi workami od ziemniakow. Stojacy z boku kolega wskazal mu ceglany budynek z boku piekarni.

-Erik! Erik! Musimy isc do lazni! Rozumiesz! Wypalic wszy! Slyszysz co ja mowie!- denerwoal sie nie mniej jak Erik.

Jankowi przed oczyma stanela blada twarz czlowieka w poczekalni. Tyfus! Tyfus! Pulsowaly slowa kobiety. Wszy napadly go w wagonie.

Przed chwila jedna wielka opasiona, strzasnal z siebie. Nie namyslajac sie, szybkim krokiem podazyl w strone ceglaneanego budynku.

Mocny zapach pieczonego chleba zatrzymal go. Przed piekarnia stala kolejka.

-Te wsretne baby oszukaly mnie. Siodma rano, a one mowily, ze otwieraja o dziesiatej!- stanal w kolejce.

W srodku obslugiwaly inne kobiety. Sprzedawaly tylko po jednym bochenku na osobe, po dwa ruble za bochenek. Udalo mu sie obrocic dwa razy.

Denerwujaca mysl o wszach, z uczuciem ze go gryza nie dawala mu spokoju. Schowal obydwie bochenki chleba do walizki i popedzil do

ceglanego budynku z wielkim napisem "Bania". Pchnal grube, ciezkie drzwi i wszedl do srodka.

W pokoju przy ladzie siedzial starszy mezczyzna. Zapytal czy ma do dezynfekcji rzeczy i poradzil zeby buciki zwiazal razem i doczepil do walizki. Podal Jankowi recznik, kawalek szarego mydla. wyciagnal z szuflady dwa krazki z numerami. Jeden doczepil do walizki a drugi do drucianego koszyka. Odebral od Janka dwa ruble i jak tylko on sie rozebral kazal mu wlozyc ubrania do koszyka. Podal mu krazek z numerem i ostroznie niosac koszycek wsunal go do zelaznej szuflady w scianie.

Widzac jak Janek z ciekawoscia obserwuje co on robi, wytlumaczyl. -To jest piec. On grzeje do takiej temperatury, ze wszystko zabije! Widzac u Janka niepewny wyraz twarzy, usmiechnal sie.

-Nie buj sie, ten piec ubrania nie spali. On jest stary, dobry, piec! Walizki tam ne dam. Nie buj sie, masz numer to nie zgubisz. A tam sa prysznice- wskazal reka drzwi do nastepnego pokoju.

Za pociagnieciem sznurka ciepla woda leciala prosto na glowe. Zauwazyl ze prysznice blizej sciany maja cieplejsza wode. Mydlac sie, nie zauwazyl jak kilku mezczyzn weszo do srodka. Jeden z nich usiadl na lawie i przygladal sie Jankowi.

-Hej Polak! Jak ty tak lubisz goraca wode to idz do parni!- wskazal Jankowi malenkie drzwi.

Przez chwile Janek sie wahal. Nigdy nie byl w rosyjskiej parni. W przesadzonych opowiadaniach trudno bylo sie o niej cos dowiedziec. Pamietal co Karol Papow opowiedal. Jak w Moskiewskiej banii Vasil za szybko wlazl na gore, i zemdlal.

Zaciekawiony otworzyl drzwi i wszedl do srodka. Kleby pary, z krzykiem zamykaj! Zamykaj! otoczyly go ze wszystkich stron. Przez chwile nic nie widzial.

Goraca para zmusila go do nachylenia sie. Przykucnal i usiadl na

pierwszym stopniu wznoszących się do góry betonowych schodów, które zajmowały trzy czwarte pokoju. Na dole przy ścianie z boku wejścia do parni stał żelazny rozpalony do czerwonego koloru piecyk.

Jakis jegomość przysłał na niego wodę. Gęsta para wypełniła pokój. Pot zaczął kapać ciurkiem. Janek chciał wejść na wyższy stopień ale szczypiąca para zmusiła go do powrotu.

Pomiędzy mężczyznami natąpiło jakieś nieporozumienie. Tylko jeden z nich siedział na wyższych stopniach. Kilku innych sprzecząc się o coś siedziało na pierwszym stopniu.

Ktoś z zewnątrz otworzył drzwi i wrzucił garść żużli. Widocznie w grupie nastąpiło porozumienie bo jeden z nich zbliżył się do drzwi po drugiej stronie pokoju, a drugi otworzył drzwiczki piecyka i poruszał długim żelazem kawałki węgla. Słychać było trzask i szum ognia. W kilku sekundach piecyk przybrał jasno czerwony kolor.

Młodzieniec podsunął wiadro z wodą i zaczął skrapiać rozpalony piec. Janek usłyszał głośne syczenie, przerywane od czasu do czasu bulgotaniem kropel wody. Gorąca para wypełniła pokój. Siedzący na gorze mężczyzna, mrucząc coś po nosie zsunął się na dół. Janek poczuł jak para zaczyna szczytać.

-Teraz!- krzyknął młodzieniec przy piecu.

Mężczyzna przy drzwiach otworzył je na całą szerokość. Dwóch chłopców wybiegło na zewnątrz. Po kilku koziolkach w puszystym białym śniegu, wbiegli z powrotem na najwyższe schodki.

-Teraz wasza kolejka!- wołali śmiejąc się głośno.

Zimne powietrze skroplilo parę. Młodzieniec zaczął na nowo skrapiać wodą piecyk.

Do środka weszło kilku innych ludzi. Wołania -zamykaj! Zamykaj!- zagłuszył głośniejszy krzyk z boku.

Janek zobaczył wbite w niego oczy czerwonego jak burak mężczyzny.

-Ty lajdaku! Ty lajdaku!- uslyszeli znowu jego ostry glos.

Wielkie kleby pary uniosly sie do gory. Zdumiony Janek nie rozumiejac o co chodzi wstal i oparl sie o sciane.

Czerwony na twarzy, mezczyzna, przeklinajac glosno z wyciagnieta reka w strone Janka medalika zblizyl sie do niego.

-Ty lajdaku! Religie bedziesz tu pokazywal- ryknal z calej sily.

Janek uczul sie bezradny. Nie wiedzial co ma robic. Mezczyzna znalazl sie pomiedzy drzwiami a nim. Nie bylo ktoredy uciekac.

Scisnal bezwiednie piesci. Mydlo wysliznelo sie mu z reki i polecialo prosto pod mezczyzny noge. Janek zobaczyl naraz jego wielkie piety i uslyszal glosne uderzenie ciala. W parni nastapila martwa cisza. Buchajaca para z piecyka zalonila wszystko. Ktos pociagnal Janka za reke.

-Uciekaj Polak! Uciekaj, dopoki masz czas!- uslyszal glos z boku.

Nie ogladajac sie ominal lezacego mezczyzne i wyskoczyl na zewnatrz. Wycierajac sie recznikiem po drodze, minal prysznicze i podal czlowiekowi przy stole recznik z przyczepionym do niego numerem. Nie sluchajac jak starszy mezczyzna stara mu sie wytlumaczyc, ze musi poczekac, az wyciagniete z pieca rzeczy ochladza sie, w kilka sekundach wciagnal na siebie gorace jeszcze ubranie. Zawiazal byle jak sznurowki, zlupal za walizke i wybiegl na ulice.

Zimne powietrze zakrecilo w nosie. Kichnal kila razy i biegiem dostal sie do stacji kolejowej.

Dlugi olbladowny weglem pociag mijal miasteczko w strone Kartalow. Janek przyspieszyl. Minal stacje kolejowa z boku. Zrownal sie z przedostatnim wagonem, postawil walizke na wystajace zelazo i zlupal sie obydwoma rekoma za drabinke. Powoli trzymajac walizke pomiedzy nogami dostal sie na gore wagonu. Zepchnal walizke do wglebienia pomiedzy grudami wegla i usiadl.

Przez dluga chwile, ciezko oddychajac patrzyl za znikajacymi na horyzacie zarysami Tobola.

Zimny wiatr zaczal dawac sie we znaki. Janek poczul ostre szczypanie po lewej stronie. Wsadzil reke pod korzuszek. Z boku rekawa namacal niewielka dziure.

-Stary dobry piec! Dobrze ze na czas zabralem ubranie- mruknal pod nosem.

Zawiazujac wezly po obydwóch stronach, zatkal dziure chusteczka od nosa. Ulozyl wieksze kawalki wegla od strony wietru i skulil sie jak tylko mogl.

Godziny mijaly powoli. Nie rozumial dlaczego olbrzymie plaskie tereny pokryte byly coraz to mniejsza iloscia sniegu. Po poludniu zrobilo sie o wiele cieplej. Snieg pozostal daleko w tyle.

Widocznie ta cala plaszczyzna wnosila sie do gory, bo slychac bylo coraz czesciej glosne sapanie dwoch lokomotyw.

Wedlug jego obliczenia nastepnego dnia powinien dojechac do Kartalow. Nie wiedzial tylko czy z rana czy wieczorem.

Glodny zoladek domagal sie jedzenia. Wyciagnal bochenek chleba. Rozdzielil go na pol. Jedna polowe schowal z powrotem do walizki i zabral sie do jedzenia.

Powolutku zul kawalek po kawalku, Staral sie jak najdluzej rozkoszowac sie smakiem chleba. Po zaspokojeniu glodu, grzejac sie promieniami slonca usnal.

Nagle szarpiecia wagonu ocknely go. Pociag zaczal zwalniac. Zaciekawiony jaka stacje beda mijac, wychylil glowe. Olbrzymie pustkowia otaczalo ich ze wszystkich stron. Nie widac bylo ani jednego budynku. Daleko na horyzacie, gotowe do zachodu slonce, opieralo sie promieniami o ginace gdzies daleko, daleko szyny.

Glosne uderzenia buforow przelecialy od lokomotywy do kibitki.

kilka mocnych szarpniec i pociąg stanął.

Gdzieś na przodzie Janek usłyszał głosne krzyki. Zbliżały się w jego kierunku. Podniósł głowę do góry i zauważył jak kilku kolejarzy idąc po obydwóch stronach wagonów, wyrzucali jadących na gapię ludzi.

Kilku mężczyzn zbiegło z nasypu kolejowego i robiąc wielkie kolo na stepie zatrzymali się w pobliżu lokomotywy.

Kolejarze mineli jego wagon i doszli do kibitki. Pociąg ruszył i zanim nie nabral szybkości, wyrzuceni ludzie powskakiwali z powrotem na wagony.

Niezadowoleni kolejarze dali znak maszyniście i pociąg stanął na nowo.

Nowe krzyki, wołania, przekleństwa wypełniły puste stepy. Janek słyszał jak kolejarze mineli jego wagon. Niezauważony leżał cicho, czekając na koniec tej zabawy.

Po chwili pociąg ruszył. Janek usłyszał jak ktoś biegnie z boku. Ciche sapanie, ktoś uchwycił drabinkę i wspina się do góry. Oslepiony słońcem nie mógł zauważyć kto drapie się na górę. Z wielką ulgą zauważył wataowane, latane spodnie.

-Cale szczęście że to nie kolejarz- mruknął pod nosem przyglądając się szczupłemu chłopakowi.

Młodzieniec machnął do Janka ręką. Przedostał się na drugą stronę wagonu i przysiadł w niewielkim zagłębieniu. Odrzucił kilka kawałków węgla, pogłębiając swoją skrytkę. Dopiero teraz Janek zauważył jego szczupłą twarz. Miłał czarne podbite oko i zamazany krwią policzek.

Młodzieniec wydmuchwał głośno nos. Wymacał niewielki płaski kawałek węgla i przyłożył go sobie do podbitego oka.

-Co się stało?- zapytał Janek.

Młodzieniec lażał, nie mówiąc ani słowa. Dopiero po chwili, ciężko oddychając, odpowiedział.

-To ten ze sznurem w reku! Wyrzwał mnie kulakiem prosto w twarz, aż policzyłem gwiazdy!- Poprawił wegiel.

-Ja jade do wojska! A te dranie jeszcze utrudniają. Szkoda im trochę pary! A dokąd ty jedziesz?

Odpowiedz przerwało nowe szarpiecie. Uderzenia buforów zagłuszyły skrzyp hamulców i pociąg stanął.

Widocznie kolejarze zauważyli drapiącego się na wagon młodzienca. Usłyszeli masę przekleństw i ktoś zaczął drapać się po drabinie. Nie było czasu do stracenia, Janek złapał za walizkę i podążył za młodzieńcem. Zsuneli się po drugiej stronie i przedko zbiegli z nasypu kolejowego.

Obciążony walizką Janek nie mógł nadążyć za młodzieńcem. Naraz zauważył, że jeden z kolejarzy biegnie za nim w ślad. Jego głosne sapanie dodało mu otuchy. Starł się wyprzedzić przynajmniej kilka wagonów.

Słyszac gwizdek, obejrzał się do tyłu. Zasapany kolejarz zostawił ich i zaczął biec w stronę ruszającego pociągu. Był najwyższy czas dostać się do wagonu. Skreśli w stronę pociągu i wbiegli na nasyp. Młodzieniec złapał się za drabinę, wspinał się do góry. Zasapany Janek zmuszał się do wysiłku. Wystarczyło teraz tylko wyciągnąć rękę i złapać się za drabinę. Z przodu na nasypie zauważył innego kolejarza. Biegł wolno ze sznurem w reku.

-Zabierze ci walizkę i da ci po zębach!- krzyczał ktoś z tyłu.

Janek zbiegł z nasypu. Kolejarz zrownał się z nim i biegnąc z boku wagonów zakreślił sznurem nad głową i rzucił w stronę Janka. Janek nachylił się i odrzucił sznur na bok. Ostatnie wagony mijaly ich z boku. Żeby przegonić kolejarza mając walizkę w reku nie miał sił.

Ile razy przyspieszył, kolejarz robił to samo. Powoli zostawał coraz bardziej w tyle.

Spocony, ciężko oddychając zwolnił. Widział jak kolejarz decyduje się czy ma jeszcze raz rzucić łańcuszek czy ma skakać do kibitki.

-Skacz! Skacz!- wołał ktoś z kibitki.

Naraz biegnącemu kolejarzowi sznur zaplątał się pomiędzy nogami. Tracąc równowagę wyciągnął się jak długi na szpalach. Dla Janka było za późno ominąć go.

Zatrzymał się i patrzył jak kolejarz, przeklinając głośno, poderwał się na nogi. Z wielką trudnością dogonił pociąg. Złapał się za poręcz schodów. Sznur wypadł mu z ręki. Przez chwilę nogi jego obijały się o szpaly. Z pomocą kolegi wdrapał się na pierwszy stopień kibitki. Usiadł na schodkach i rościł swoje nogi. Oddalający się pociąg malował, aż w końcu zniknął w promieniach zachodzącego słońca.

Dookoła nastąpiła kompletna cisza. Nawet wiatr przestał wiać. Janek usiadł na trawie. Przez długi czas odpoczywał. Naraz złapał za walizkę, wbiegł na nasyp kolejowy i zaczął iść w stronę zachodu. -Nie zatrzymacie mnie! Jak nie pociągiem to piechota dojdzie!- krzyknął z całej siły. Kopnął leżący na jego drodze sznur i zaciął zęby. Naraz zatrzymał się.

-Ten dziadowski sznur może mi się przydać! odezwał się głośno. Zostawił walizkę na szpalach i wrócił z powrotem.

Przez chwilę uważnie oglądał sznur. Był gruby i długi. Pleciony z nieznanego mu rośliny, wyglądał na bardzo mocny.

-Szkoda, że go nie miałem do noszenia pioluna- potrząsa głową.

Przyniósł go do walizki. Złożył we dwoje, przesunął przez rączkę. Pozostawiając wystarczająco miejsca na ramiona, przywiązał obydwa konce do rączki i zarzucił walizkę, jak plecak na plecy.

Z wielkim zadowoleniem machnął w powietrzu kilka razy wolnymi rękoma.

-Szkoda, że nie miałem go wcześniej- mruknął pod nosem.

Z walizka na plecach o wiele latwiej bylo maszerowac. Po dlugim marszu zatrzymal sie na chwile. Sloneczna tarcza dotknela trawe na horyzacie. Niebo zarozowilo sie. Z daleka na tle czerwonego nieba zauwazyl wazutkie smugi dymu. Wydawalo sie jakby wychodzily z kilku kominow. Nadzieja wstapila w serce.

-Moze uda sie przenocowac w jakiejs chalupie. Przynajmniej do jutra rano- odezwal sie myslac, ze niedaleko od torow lezy jakas wioska.

Nadzieja wygodnego spania ginela powoli jak dym zbil sie do kupy, a na torach kolejowych ukazal sie maly kwdracik, ktory rosl szybko w oczach i zamienil sie na dlugi jak waz pociag, z dwoma lokomotywami na przodzie.

Janek zszedl z nasypu. Z daleka widzial jak maszynista machal do niego reka. Dlugi pociag pustych wagonow zwolnil na tyle ze moglby,

bez zadnego trudu, na jeden z nich wskoczyc. Ale Janek zrezygnowal. Wracac spowrotem do Tobola, po tylu przygodach, do zimnego sniegu nie mial ochoty.

-Jakos sobie dam rade- machnal reka i wbiegl spowrotem na nasyp.

Najwazniejsza rzecz bylo znalesc jakies bezpieczne miejsce do spania. Isc noca, pomimo oswietlonej gwiazdami i jasnym ksiezycem drogi, nie mial zamiaru. Po prawej stronie nasypu zauwazyl wglebienie. Postanowil je obejrzec. Miejsce okazalo sie swietne. Odsloniete nasypem kolejowym od wiatru, wglebienie wystarczajace bylo na niego i waliske, ktora umiescil nad glowa. Jakis kamien dokuczal z boku. Wygrzebal go rekoma i odlozyl na bok. Wyciagnal z walizki chleb. Powoli go zjadal i w kilu sekundach usnal.

Kilka razy w nocy, stuk przejezdzajacych pociagow obudzil go na tyle, zeby przekrecic sie na drugi bok i spac dalej.

Jeszcze bylo ciemno jak uslyszal jakis ϕ halas. Ocknal sie. Przez chwile lezal cicho starajac sie zobaczyc co go obudzilo.

Naraz zobaczył dwa jasno zielone światelka. Jakis cien przesunął się bokiem i zbliżył w jego stronę. Nieprzyjemny zapach uderzył w nozdrza. Światelka znikły i szara postać oddaliła się znikając w porannej mgle.

-Wilki!- szepnął. Nieprzyjemny dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

-Co robić? Gdzie uciekać?- szepnął cicho. Wiedział, że ucieczka mogła być skończona obiadem wilków. Powoli opanował się.

-Niewiadomo ile ich otacza to miejsce. Tu, mając tylko jeden otwór przed sobą, może się bronić łatwiej niż na zewnątrz. Tylko czym?- myślał nerwowo.

Bezwiednie, namacał reka kamień. Zimny jego ciężar dodał otuchy. Powoli oparł się o nasyp i podniósł rękę do góry.

-Jak tym go odstraszę, a w międzyczasie, na zewnątrz, poszukam więcej kamieni- dodał sobie otuchy i ciplikwie czekał, aż sylwetka ze świecącymi oczyma zbliżyła się do wglebienia.

W tym momencie, Janek z całej siły rzucił kamień w kierunku świecących się oczu. Głośny pisk przerwał ciszę. Janek poderwał się na nogi. Wyskoczył na zewnątrz, wymacał kilka sporych kamieni i szybko schował się do dziury. Po długim czekaniu, z radością przywitał pierwsze promienie słoneczne. Ciesząc się ich delikatnym ciepłem zjadł pół bochenka chleba. Po tym posiłku wbiegł na nasyp kolejowy i rozejrzał się dookoła. Oprócz wysokiej, trawy od horyzontu do horyzontu, przeciętej torami kolejowymi, nie było widac nic.

Zmartwiony zarzucił walizkę na plecy i ruszył w kierunku Kartalów. Kilka pociągów minęło go w stronę Tobola. Dwa inne idące w stronę zachodu, widząc Janka, dodały tylko pary i przyspieszyły.

Zbliżał się wieczór. Zmęczony, nie wiedział jak daleko zaszedł. Najbardziej drażniła go ta niekończąca się przestrzeń. Tak długo jak był w drodze nie widział nic, na czym mogłby zatrzymać swoje oczy.

Przez moment wydawało mu się, że w wysokiej trawie widzi kilka szarych przesuwających się cieni.

-Wilki!- wykształcił. Dla pewności zatrzymał się i uważnie obejrzał dookoła teren.

-Może mnie się wydawało- starał się pokrzepić. Brak jedzenia i wilki zdecydowały.

Żeby nie nocować na stepie, postanowił złapać pierwszy lepszy pociąg, nawet z powrotem do Tobola.

Diwny kształt, jakby ściany domu zatrzymały go na chwilę. Po lewej stronie torów wyraźnie widac było budynek. Przyspieszył kroku.

Dopiero niedaleko, kształty chałupy zamieniły się na okrągłe kolczaste zielka zbite razem do kupy.

-Perekocipole!- zawołał głośno. Zniechęcony usiadł na szynie.

-Gdzieś tam daleko za horyzontem musi być jakaś cywilizacja, zacofana! Ale jak bardzo w tej chwili mnie potrzebna- mruknął pod nosem spoglądając znowu na chwasty.

Naraz twarz jego zakwitła w radosnym uśmiechu. Wstał i obserwował przez chwilę znikające na horyzontach kolejowe tory. Dla pewności ukiąkl i przyłożył ucho do szyn.

-Ach wszystko jedno w którą stronę pojedzie- odezwał się cicho.

Postawił na szpalach walizkę, zbiegł z nasypu i zbliżył się do chwastów. Uważnie żeby się nie pokłoc wciągnął je na tory kolejowe.

Ułożył wielką kupę pomiędzy szynami i zasapany usiadł na walizce. Oblizując podrapane w kilku miejscach palce obserwował obydwa horyzaty.

-Niemożliwe!- zawołał radośnie nie wierząc własnym oczom.

Z daleka na wschodzie unosiła się waziotka nitka czarnego dymu. -Pociąg! Pociąg! Idący w stronę Kartalów!- nie mógł się nadziwić.

Załozyl predko walizke na plecy. Biegiem oddalil sie od chwastow

w strone zbliżającego się pociągu. Po chwili stanął i spojrzał do tyłu.

Zadowolony ich wyglądem zbiegł z nasypu. Narwał trochę trawy i siedając w kucki opsypał nią walizkę i głowę. Gotowy do skoku cierpliwie czekał.

Z daleka widział jak maszynista wychylił głowę. Po chwili dwie głowy ukazały się w oknie lokomotywy. Po kilku, krótkich gwizdkach usłyszał uderzenia buforów. Pociąg zwalniał. Z kibitki wysunęła się głowa kolejarza. Nie widząc nic po tej stronie, maszynista tak i kolejarz pobiegli na drugą stronę pociągu. Zachodzące słońce utrudniało rozpoznanie co leży na torach kolejowych. Nowe klekotanie buforów oznajmiło, że pociąg jeszcze raz zwolnił.

Janek wyskoczył z ukrycia, wbiegł na nasyp kolejowy. Złapał za pierwszą drabinę wagonu, wdrapał na górę i przykucnął na węglu.

Widocznie maszynista rozpoznał perekopole, bo dodał pary i pociąg zaczął nabierać szybkości.

Widząc z boku ścianę wglebienie, Janek zsunął się do niego. Odrzucił kikanascie kawałek węgla na bok, ustawił walizkę i skulił się z boku. Pomimo dobrej osłony od wiatru było chłodno. Janek spał nerwowo. Budził się za każdym razem jak usłyszał klekotanie buforów.

Pociąg nie zatrzymywał się. Zwolnił kilka razy na małych stacyjkach, i pedził dalej.

XLIV

Poranek był zimny. Na niebie gwiazdy powoli ustąpiły miejsce złotym promykom wschodzącego słońca. Ogrzany promieniami słońca Janek wyciągnął zeszywniałe ręce i nogi. Ziewnął kilka razy i unosił głowę do góry.

Plaskie stepy zamieniły się na falujące pagórki. Gdzie nie gdzie widac było drzewa. Rosły przeważnie a małych grupach. Zbliżali się do Uralu. Zmiana terenu dodała otuchy.

-Jeszcze nie zginałem- zawołał wesolo. Odmówił modlitwę, Podziękował Panu Bogu za opiekę i otworzył walizkę. Pozostała połowa małego bochenka chleba zatrzymała go. Nie mógł się zdecydować czy ma go zjeść teraz, czy zostawić na potem. Naslinionym palcem pozbierał okruszynki i zostawił chleb. Nie rozumiał dlaczego nie był głodny. Jakies inne uczucie go dreczyło. W ustach brakowało śliny.

-Może ja zachorowałem!- przestraszył się.

-Złapałem jakas zarazę od tych ludzi na kolejowej stacji!- machnął ręką.

-Powoli, powoli- starał się uspokoić.

-Najgorsza rzecz jest ponika- szepnął dotykając ręką czoła.

Nie było gorące. Usiadł i zastanowił się

-W ustach i gardle sucho. Język jeszcze mokry. W brzuchu nie burczy. Tylko że mam szalone pragnienie. Od Tobolu nie miałem w ustach ani kropli wody. Brak wody przewycieża głód- tłumaczył sobie.

Jezioro Druskonie, rzeka Niemen, małe źródełko pysznej wody pod górą Poganki ukazały mu się przed oczyma.

Tym razem pociąg pedził. Nie zwalniając minal małe stacyjki z czekającymi pociągami.

Okolo poludnia zrobilo sie goraco. Janek rozpial kozuszek i wyciagnal chleb. Jadal bardzo wolno.

Po poludniu zobaczył cienutkie wstazki dymu. Obserwował je bez entuzjazmu. Dopiero jak ukazały się sciany domów ze słomianymi dachami podskoczył z radości.

Predko założył walizkę na plecy, ułożył się niedaleko drabinki, i obserwował zbliżającą się stację.

Nie zależało mu więcej gdzie dojedzie. Pragnął tylko dostać się do miejsca gdzie mają wodę.

Nareszcie pociąg zaczął zwalniać. Zanim nie stanął Janek zeskoczył i przeskakując kilka torów kolejowych dostał się na peron.

Z daleka przy scianie budynku Janek zobaczył kran. Podbiegł do niego, przykucnął, odkrecił roczkę i składając razem dłonie, nabrał do nich wody i pił, pił i pił zdawało się bez końca.

-Janek To ty?- usłyszał głos matki.

-Mamo! Co mama tu robi?- poderwał się na nogi. Objął matkę rekoma i niewierzac walsnym oczom ucałował ją.

-No przecież miałam czekać na ciebie w Kartalach. Ale co się stało? Nie było ciebie tyle czasu? I dlaczego jesteś taki brudny?

-Byłem głodny i zgubiłem pociąg- odpowiedział predko.

-A gdzie Slawek i Jurek?- zapytał.

-Chodź po drodze ci opowiem- pociągnęła go za reke.

-My przyjechalismy tu trzy dni temu. Jakis kapitan zawiadomil nas o Polskiej Dywizji. Organizują się w Buzuluk niedaleko Kuybysheva.

Zofia i Tomasz tłumaczac się, że tam się spotkamy od razu wyjechali.

Jurek postanowił czekać na ciebie. Ale jak dowiedział się o artylerii i możliwości dostania się na podchorazówkę pojechał za nimi. Slawek i ja znaleźliśmy mały kacyk na stacji kolejowej i czekamy na ciebie. Czy ty jesteś zdrow? Nic tobie się nie stało?- zapytała przyglądając się

Jankowi.

-Ales ty brudny! Wygladasz jak kominiarz. A co to?- zapytala wyciagajac chusteczke z dziury w kozuszk .

-Bylem w lazni. Dalem ubranie do dezynfekcji. Mama nie ma pojecia ile wesz zabili. Ja myslalem, ze one mnie zagryza- zasmial sie.

Klaudja machnela tylko reka. Przez szerokie drzwi weszli do poczekalni. W samym rogu pokoju na bagazu siedzial Slawek.

-Janek! Janek!- zawolal radosnie. Podbiegl i przytulil sie do brata.

-Co sie z toba stalo? My tu czekamy i czekamy. Jurek z Tomaszem juz sa w wojsku. Kiedy my sie zapiszemy?- zarzucil Janka pytaniami. -Do wojska? Nie wiem, ale ja mysle, ze ty jestes troszeczkę za mlody i za maly- zasmial sie Janek.

-Za mlody! Za mlody! Popatrz co ja potrafie! A ty mowisz, ze ja jestem za mlody!- odwiazal malenki woreczek i pokazal Jankowi brazowe pachnace Rosyjskie pierogi.

-Slawek! Jakis ty dobry- zawolal Janek pakujac jeden pierog po drugim do ust.

Przez moment Slawek patrzyl jak pierogi ginely w Janka brzuchu. Naraz cofna sie do tylu i oslonil reszte od tej szybkiej zaglady.

-Ty zjadles caly moj zarobek!- pisnal glosno.

-Ja je sprzedaje po rublu za jeden- wytlumaczyl powaznym glosem.

-Sprzedajesz? Komu? Skad je masz?-

-Za pol godziny otwieraja tu piekarnie. W niej nic nie ma oprócz pierogow. Sprzedaja cztery za rubla, a ludzie w wagonach daja mnie po rublu, czasem wiecej. To ci co jada do Oremburga daja wiecej.

-Do Oremburga?- zapytal Janek.

-Mamo! Jak czesto pociagi chodza do Oremburga?-

-Czasami. Tak jak dzisiaj to nie ma ani jednego. Dlaczego sie pytasz?

-Mamo przez Oremburg mozna dostac sie do Kuybyszeva. A tam, przy

wojsku napewno Polacy sie organizuja. Powiedzą nam co mamy robic.-

-No tak. Ty pojedziesz do wojska a my? Zima na nosie i co bedziemy robic?- zmartwila sie Klaudja.

-Mamo oni napewno beda mieli miejsce dla rodzin zolnierzy. Polacy potrafia sie organizowac, a takich rodzin jak my tu jest bardzo duzo.

-Niech pani sie nie martwi! Do wojska biora od dwudziestu lat- odezwal sie stojacy z boku jegomosc.

-Ja bylem w lagrze a kilka dni temu w Buzuluk, Powiedzieli mnie zebym znalazl rodzine a potem mnie przyjma. Moich wywiezli do jednej z wiosok ale nie wiem do ktorej. Moje imie Zakrzewski Juljusz. Moze Pani slyszala o mojej zonie Marii Zakrzewaskiej z corka, Kazia.-

-Ja takiego nazwiska nie slyszalam, ale moze ona byla w grupie kobiet pracujacych na kolei. Niech pan zapyta sie w biurze kolejowym, oni powinni miec spis pracujacych ludzi na kolei- poradzila Klaudja.

Zadowolony z rady Zakrzewaski, podziekowal i szybko pobiegl do drugiego budynku. Janek zabral mydlo, recznik i poszedl do kranu. Wolanie Slawka przyspieszylo mycie.

Wycierajac sie po drodze dobiegl do poczekalni. Slawek placil juz za pierogi. Korzystajac z krotkiej kolejki obracajac kilka razy, udalo mu sie kupic dwanascie pierogow. Zanim Janek zdazyl zaplacic za ostatnie pierogi, Slawek zniknal za drzwiami. Chcac go powstrzymac od sprzedania pierogow, oddal pierogi matce i pobiegl za nim.

Slawka znalazl przy ciepluszce. Rozmawial z Polakami.

-Dokad wy jedziecie?- zaciekawil sie Janek.

-Do Taszkientu- odpowiedziala jedna z kobiet.

-Po co do Taszkientu?

-A co ty nie slyszales? Niedaleko Taszkientu organizuje sie polska dywizja! Tam pomagaja takim jak my- zawolala jakas kobieta ze srodka.

Nie bylo czasu do stracenia. Janek biegiem wrocil do siedzacej na

bagazu matki.

Zdziwiony zastał tam już Sławka opowiadającego co usłyszał od Polaków.

Bez słowa złapali za bagaż i przeciskając się pomiędzy wchodzącymi do poczekalni ludźmi wydostali się na peron. Jakis starszy człowiek dopomógł im wdrapać się do ciepłuszki.

-O Boże! Żeby tylko wszystko wyszło na dobre- niepokoiła się Klaudja.

-Niech mama się nie martwi. Jedziemy do Taszketu tak jak planowaliśmy na początku- pocieszał ją Janek.

-Sławek ile tobie zostało pierogów?- zapytała Klaudja.

-Cztery- odpowiedział cicho.

-Nie jesteś głodny?

-O nie! Ja już cztery zjadłem- odpowiedział czerwieniąc się na twarzy.

-To ci dopiero handlarz. Jeden pieróg sprzedaje a drugi chowa do brzucha- zaśmiał się wesoło Janek.

W odsuniętych drzwiach wagonu, ukazał się pan Zakrzewski.

-Pani Klaudjo!- pomachał ręką.

-Pani rada opłaciła się. Powiedzieli mi, że zona pracuje niedaleko Kushmurun! Szukam pociągu w tamtą stronę! Dziękuję i życze wam powodzenia!- zawołał salutując.

Po chwili pociąg ruszył. Tym razem jechali razem, najedzeni i w dobrym kierunku. Na twarzach było widac zadowolenie.

Na drugi dzień po południu, dojechali do Orska. Podczas krótkiego postoju, część ludzi opuściła wagon. Jacyś Rosjanie weszli do wagonu. W wielkiej ciszy porozkładali swoje rzeczy.

Pociąg ruszył dalej. Jedna z kobiet narzekała że zgubiła syna. Poszedł za jedzeniem i spóźnił się na pociąg.

Tym razem Janek, nie potrzebował martwić się o jedzenie. Matka zaopatrzyła się na kilka dni. Najedzony, popijając herbatę leżał na

kocu i sluchal co opowiadaja ludzie.

Jeden ze starszych mezczyzn opowiadal o soich przezyciach podczas walk pod Leningradem. Dwa razy wydostal sie z terenow zajetych przez niemieckie wojska.

Nazywajac ich diablami, opowiadal jak oni mordowali cywilow. Roztrzeliwali niewinnych ludzi. Zabierali dzieciom krew.

Przejety brutalnoscia Niemcow, dlugo nie mogl zasnac. Mocne kolysanie wagony obudzilo go. Podeszedl do drzwi i odsunal je lekko. Na zewnatrz bylo widno. Pagorkowaty teren i poranne slonce nie zgadzalo sie z kierunkiem ich drogi.

-No i co ty widzisz?- uslyszal za soba glos.

-Widze ze jedziemy w zlym kierunku- odpowiedzial cicho.

-Co ty takie glupstwa gadasz!- wtracil sie starszy mezczyzna. Otworzył szerzej drzwi i spojrzal na zewnatrz.

Po prawej stronie pociagu widac bylo gory wznoszące sie coraz to wyzej. Przez chwile nastala cisza.

-Wiesz, ze ty masz racje. My jedziemy do Oremburgu a nie do Taszkientu- westchnal.

- Moja rodzina czeka na mnie w Taszkientie. Ja musze za wszelka cene tam sie dostac- wytlumaczyl cicho.

Na drugi dzien rano dojechali do miasta. Wielki marmurowy budynek z napisem Oremburg zasmucil tych co jechali do Taszkientu.

Kolejarze odsuneli drzwi i zawiadomili ze ten pociag dalej nie jedzie i kazali ludziom wyladowac rzeczy na peron.

-Musimy znaleśc miejsce na bagaz i dowiedziec sie co mamy dalej robic- odezwała sie Klaudja.

-Niech mama zotanie tu ze Slawkiem a ja dowiem sie o ktorej odchodzi pociag do Taszkientu

Zniechęcony pomyłka doszedł do drzwi peronu. W poczekalni nie było miejsca do przejścia. Niektóre kobiety, otoczone bagażem siedziały w kucki jedna przy drugiej. Janek wyszedł do korytarza na końcu którego, natknął się na rosyjskiego żołnierza. Błady na twarzy z jedną nogą opierając się na szczudłach podszedł do Janka. Odsłonił delikatnie płaszcz i pokazał bochenek chleba.

-Dziesięć rubli!- zapytał. Widząc bezradnie rozłożone Janka ręce, schował chleb i pokustykał dalej.

Przyjemny zapach pieczonego chleba, zwabił Janka do małej drewnianej budki, doczepionej do budynku stacji kolejowej. Z boku stała kolejka rannych żołnierzy. Z okrwawionymi bandażami na głowach, rękach stali przed budką.

Od jednego z nich dowiedział się że tu sprzedają chleb tylko dla żołnierzy.

Przygnębiony tym widokiem zawrócił z powrotem w stronę peronu. Po drodze natknął się na Sławka.

-Janek! Prędko chodź! Mama cie potrzebuje- pociągnął brata za rękaw. Janek! Janek!-wolała matka z daleka- niedawno co był tu polski sierżant. Dał nam bilety do Taszketu. Powiedział gdzie możemy przenocować. Jutro przyjedzie, specjalny pociąg dla Polaków! Mamy do niego się dołączyć- cieszyła się zabierając walizki.

W wąskim korytarzem, przeszli na drugą stronę stacji kolejowej. Przed dworcem po środku okrągłego placu stała stara altana dla orkiestry.

Obita dookoła dykta miała tylko jedno okno przez które wychodziła kominowa rura, z której unosiły się kleby dymu.

Po kilku drewnianych schodkach weszli do środka. W ciemnym pomieszczeniu kilka polskich rodzin siedziało na swoim bagażu.

Jedna z kobiet gotowała coś na piecu. Za nią stało kilku ludzi z garnkami w reku.

Klaudja położyła swoje rzeczy z boku ściany. Sławek dołączył się do kolejki, Janek poleciał po wodę. Zmęczona Klaudja usiadła na walizce i przysłuchiwała się jak jedna rodzina obliczała dni drogi do Taszketu.

Po skromnym śniadaniu wyciągnęła przescieradło z walizki i podała Jankowi.

-Wiesz, że oni mają racje. Podróż z czekaniem na pociąg do Taszketu może zabrać dobry tydzień, a my jedzenia mamy tylko na kilka dni. Będziesz musiał znaleźć czarny rynek i zamienić to przescieradło na chleb i ziemniaki. Może jakas kasze- uśmiechnęła się smutnie.

Janek schował przescieradło pod kózuszek. Wiedział że każde większe rosyjskie miasteczko miało pulsujący życiem czarny rynek.

Znaleść go nie było trudno. Pierwsza zapytana osoba wskazała kierunek. Idąc po ulicy z ciekawością przyglądał się małym sklepikom. Fryzjernia i bania zajmowały pierwsze dwa budynki. Jakas jadalnia, z napisem, tylko dla wojska, była zamknięta. Kilka innych sklepików, tak jak na wioskach zastawione były drewnianymi zabawkami i rolniczymi narzędziami.

Wystawa w oknie z aparatami fotograficznymi zatrzymała go. Śmiało otworzył drzwi i wszedł do środka. Starszy mężczyzna za ladą obrzucił go ostrym wzrokiem.

-Co chcesz!- zapytał z niechęcią.

-Ja chciałbym się dowiedzieć ile kosztuje ten aparat?- zapytał Janek i pokazał stojący na okiennej półce mały aparat fotograficzny.

-A po co ci?

-Ja miałam kodaka w Polsce. Zapomniałem go zabrać.

-Ty miałeś aparat?- mężczyzna spojrzał na niego podejrzanie.

-Miales pozwolenie?-

-U nas pozwolenie nie trzeba bylo na glupi jakis tam aparat!- mruknal pod nosem Janek.

-Jak masz pozwolenie to bedziesz musial poczekać dobre kilka miesiecy, teraz wojna, aparatow nie ma!

-A te?- Zapytal Janek.

-Te! To sa tylko modele zrobione z drzewa- zasmial sie sklepikarz i spojrzal ostro na Janka.

-A co ty tu robisz?-

-Ja jestem w drodze do wojska!- Odpowiedzial dumnie Janek.

-Do wojska? To jak bedziesz w wojsku i bedziesz mial pozwolenie na aparat to przyjdź do mnie. A teraz zmiataj stad! Ten sklep nie dla ciebie! Rozumiesz!-

-Sklep na pokaz. Oni nie maja pojecia o handlu- mruknal Janek wychodac na ulice.

-Nic dziwnego, ze ten system nie ma najmniejszego sensu- machnal reka i skrecil w waski zaulek. Minal kilka ceglanych domow i wyszedl na szeroka ulice.

Tu panowal najwiekszy handel i ruch miasteczka. Po jednej stronie kolchoznicy sprzedawali jarzyny, po drugiej domowe rupiecie.

Doswiadczony juz cos nie cos Janek, na poczatku oblecial wszystkie stragany. Nie spieszac sie z wymiana, pytal co mu za przescieradlo zaofiaruja.

Po dlugim targu z tega kobieta, zamienil przescieradlo na kilka kilogramow maki, worek ziemniakow, dwie kapusciane glowki, pol kilo samosiejki i dwa bochenki chleba.

Wlozyl wszystko do worka od ziemniakow. Zarzucil na plecy i odwrocil sie do kobiety.

-Ja widzialem sklep z miesem, na tej bocznej ulicy. Nie wiecie o

ktorej on jest otwarty?

Kobieta rozesmiała się. Schowała przescieradło, poprawiła chustę na głowie i rozejrzała się dookoła.

-Ten sklep nie dla nas chłopcze. On jest otwarty tylko dla partyjnych, rozumiesz- szepnęła cicho, prawie ze dotykając ustami jego ucha.

Trochę rozczarowany, że nie będzie mógł ugotować zupy szczu na miesie, oddał matce prowiant.

-Mamo!- odezwał się- ja pojde na zwiady. Moze znajde jakas resteuracje, albo piekarnie z chlebem czy pierogami.-

Siedzacy z boku Slawek poderwał się na nogi. Objął matkę rekoma. Ja tez! Ja tez! Moge isc z Jankem?- prosił błagalnym głosem.

-Idz! Idz, tu i tak dla ciebie nie ma nic do roboty- zgodziła się Klaudja.

Idąc za przykładem brata Slawek schował kromkę chleba do kieszeni i pobiegł za bratem.

Obeszli stacje dookoła i zatrzymali się przy ostatniej scianie. Mały wycięty na kamiennej płycie napis zainteresował Janka. Z trudem odczytał "Orenburg". Carski dwugłowy orzeł był do połowy zdrapany. Na dole datę nie można było odczytać.

-Widzisz! Ten budynek stacji kolejowej budowany był jeszcze za carskich czasow. Komunisci go nie budowali, ale się chwala że to ich robota. I jak można im wierzyć?-

-Kto ci to mówił?- skrzywił się Slawek.

-O! Jeden z tych kolejarzy. Ale dlaczego ty tak się krzywisz? Nie wierzysz mnie?-

-Wierze! Wierze! Al² my tu tak chodzimy i chodzimy a ja jestem głodny. Kiedy zaczniemy jesc?

-Przecież dała ci mama kromkę chleba. Coś z nią zrobił?- zdziwił się Janek

-Schowalem ja do kieszeni tak jak i ty. Czekam az ty zacniesz jesc!

-Slawek ja o swoim chlebie juz dawno zapomnialem!- zasmial sie Janek.

-Widzisz! Ja go jadlem po malenkim kawaleczku. W ten sposob to na dluzej wystarcza. Rozumiesz!- poklepal brata po ramieniu, i widzac jak on z pospiechem wkłada, wielkie kawalki do ust, zasmial sie znowu. Nie znajdujac nic ciekawego, wrocili spowrotem do budki.

Klaudja z pokrojoma kapusta i ziemniakami w garnku stala bezradnie.

-Nestety, ale o cieplej kolacji to dzisiaj trzeba zapomniec, chyba ze bedziemy jedli bardzo pozno- odezwala sie smutnym glosem i wskazala reka na dluga kolejke kobiet z garnkami w reku przy jednym malenkim zelaznym piecyku.

-Co sie stalo? Przeciez tylu nas tu nie ma?- zapytal zdziwiony Slawek.

-No nie! Ale widzisz, dolaczyli sie ludzie z poczekalni. Oni tam nie maja na czem gotowac- wytlumaczyla mu matka.

-Na piecyku miejsce jest tylko na jeden garnek, a tyle kobiet! Czy tylko wegla wystarczy?- zaniepokoil sie Janek.

-O! Wegla to wystarczy. Jakis starszy pan, u maszynisty zamienil machorke na kilka solidnych workow wegla- odezwala sie z boku chuda kobieta.

-Mamo! Niech mama zostawi gotowanie na potem. A ja postaram sie upiec kilka ziemniakow- odezwal sie spokojnym glosem Janek.

-A gdzie ty je upieczesz?- zaciekawil sie Slawek.

Stojacy w kolejce, starszy pan z siwymi wlosami, krotko obcieta broda, wtulony w po same uszy w dlugi, do podlogi siegajacy korzuch, spojrzal na Janka czarnymi, swiecacyimi sie oczyma.

-Ja wiem gdzie mozna upiec ziemniaki- odezwal sie cichym glosem.

Odwrocil sie do Klaudji i uklonil sie grzecznie.

-Moje imie Kowal Wojciech, z Polesia. Do wojska jestem za stary to

odeslali mnie do Taszketu. Czekam jak i wy na pociąg. Znam to miasto jak swoja własna kieszen- podał Klaudji malenki ronderek z woda.

-Ta kasza to mnie sie znudzila- wysypal do woreczka nieduza ilosc kaszy, ktora mial w blaszanym kubku i przywiazal razem z kubkiem do pasa.

-Ta kasza to mnie sie znudzila ale pieczone ziemniaki! To pycha!

Zaskoczona Klaudja nie wiedziala co ma odpowiedzic. Trzymala jego garnuszek z woda nie widac co ma z nim zrobic. Wojcich zauwazyl jej zaambarsowanie. Usmiechnal sie.

-Ja za darmo nie prosze! Zaplace w rublach bo to tylko mam. No i znam miejsce gdzie mozna upiec kartofle. A pani jak dojdzie wczesniej od nas do pieca to zagrzeje dla mnie te wode na herbate. Bardzo prosze!

-Dobrze! Dobrze, niech pan z Jankiem idzie, a ja tu stane w kolejce- zgodzila sie Klauja. Wyjela z worka kilkanascie ziemniakow i podala Jankowi.

-Mamo! Mamo! Czy ja moge z nimi isc?- zawolal z boku Slawek. Widzac jak matka skiwnela glowa wybiegl za Jankiem.

Wojciech mruczac cos pod nosem, skrecil na waska uliczke po prawej stronie dworca. Mineli kilka drewnianych domow i skrecili w bardzo waska aleje, pomiedzy ogrodami.

-Co pan mowi?- zapytal zaciekawiony Janek.

Wojciech zwolnil. Poprawil na sobie futro.

-Ja nie rozumiem dlaczego nie pomyslalem o tym wczesniej. Ziemniaki mozna kupic na czarnym rynku. A ja przykleilem sie do tej kaszy i tylko to ja jem- potrzasnal glowa.

-A daleko jeszcze do tego miejsca?- zapytal zadyszany Slawek.

-Nie!- odpowiedzial krotko Wojciech.

Mineli kilka zniszczonych staroscia domow i doszli do wysokiego

mur. Przez mala dziure dostali sie na gesto zarosniete krzakami podworko.

Ruiny bardzo dawno spalonego domu, odsłaniały ich od głównej ulicy, a wysoki mur od alei ktora przyszli.

Wojciech podszedl do zazacego sie jeszcze ogniska. Rozgarnal butem popiol i tworzac dosc spore wglebienie wskazal reka gdzie Janek ma umiescic ziemniaki.

Zagrzebal je popiolem i poukladal na gorze suche kawalki drzewa. Wyciagnal zapalniczke i podpalil kawalek zwinietej gazety. Podlozyl ja pod suche kawalki drzewa i usiadl z boku.

-Ja tu juz gotowalem kasze. Kilka godzin temu. Tu o wiele latwiej ale daleko od pociagu a on nie wiadomo kiedy nadejdzie przez to nigdy nie dogotowalem kaszy- zasmial sie.

-Dlaczego?- rogladajacy sie bojazliwie Slawek.

-W obawie, ze go zgubie. Ale siadajcie- wskazal reka.

Mruczac cos pod nosem, wyjal malenki woreczek z samosiejka. Wypelnił nią rowny kwadratowy kawalek gazety, zwinął i sliniąc jedna strone zakleil. Jednym z palacych sie patykw zapalil papierosa i podal woreczek Jankowi.

-Dziekuje, ale ja nie pale- podziekowal mu Janek.

-Tos mady! Gdzie ja bylem, to za papierosa oddawali ostatni kawalek chleba. Niektorzy to palili zwyczajne liscie, trawe co tylko dostalo sie pod reke- kiwnal glowa, zaciagnal sie gleboko i schowal woreczek z machorka.

Glosny trzask galezi poderwal Janka na nogi. Na otoczonym ze wszystkich stron podworku, nie czul sie bezpiecznie.

Uspokojony widokiem Slawka z garscia patykw, usiadl z powrotem na cegle.

Wojciech zaciagnal sie gleboko kilka razy i wypuszczajac nosem dym

zapytał.

-Skąd wy jesteście?

-Z Druskienik!- odpowiedział siadając z boku Janka, Sławek.

-Druskieniki! Ja tam byłem. Ulubione miejsce "Dziadka"- uśmiechnął się i dołożył kilka kawałków chrustu do ognia.

Czerwone iskry buchnęły do góry. W wielkiej ciszy we troje obserwowali tańczące tu i tam czerwono-złote języki.

Było ciepło, przyjemnie. Na dworze robiło się coraz to ciemniej.

-Ogien! Błogosławieństwo Boże i diabelska zagłada!- przerwał ciszę Wojciech. Zaciągnął się ponownie papierosem i mruknął coś cicho sam do siebie.

-Czy wy wiecie że ja osobście znalazłem "Diadka". Należałem do Legionów. Wtedy praliśmy bolszewików oj, praliśmy. Z początku było nam ich trochę żal. No wiecie, oni też ludzie. Ale potem jak znaleźliśmy kilku rannych żołnierzy, których oni okrutnie zbili, sol sypali do ran. To wiecie co! Potem nie było litości. Praliśmy, aż do końca.

-A za co pana tu wywiezli?- zapytał Sławek.

Wojciech rozgarnął patyki zmniejszając ogień. Popatrzał na unoszący się do góry dym. Wyciągnął wygodnie nogi.

-Ja mieszkałem na ziemi rodziców. Było źle. Jedzenia to po uszy. Stara zajmowała się spizarnią, kuchnią no i domem, a ja hodowałem świnię. Robiłem kielbasy! Wspaniałe kielbasy.- Otarł dłonią usta, spojrzał na Janka.

-Jak Rusek przyszedł to niektórzy otumanieni propaganda cieszyli się! Śpiewali z radości, każdego dnia ciszej i ciszej. Na końcu śpiew zamienił się w szlochanie.

Zona uciekła do córki we Lwowie. No a ja starałem się sprzedać co tylko było można i chciałem do nich pojechać. Nie zdążyłem zawiązać butów, jak oni wsadzili mnie do ciepłuszki. A za co? Wiecie!

Jak Boga kocham, naprawde nie wiem-

Janek opowiedzial mu jak komunisci zabrali ojca i wywiezli ich na Syberie.

Naraz Wojciech poderwal sie na nogi.

-My tu gadamy a krtofle sie pala.

-Tak, ja czuje ich zapach- zawolal Slawek.

Janek rozgrzebal popiol i powoli wyciagnal, podpalone troche, pachnace ziemniaki.

Po Wojciecha minie widzac bylo ze byl bardzo glodny. Podane mu ziemniaki, razem ze skorupa, znikaly w blyskawicznym tepie.

Slawek glosno wzdychajac, tak jak i Janek, przekladal je z reki do reki, dmuchal i dopiero jak dobrze ostygly wkladal do buzi.

Po wspanialej uczcie, Janek powkladal resztki upieczonych ziemniakow do worka, i pierwszy dostal sie do dziury w murze.

-Janek! Janek! Nie uciekaj tak predko!- wolal goniacy za nim Slawek.

-Nie boj sie! Nie boj! Droga idzie prosto do stacji a tam jest cos nie cos widniej- pocieszal go Wojciech.

Jak i na ulicach tak i w domach nie bylo ani jednej zapalonej lampy, tylko ksiezyc i gwiazdy oswiecaly ciemne ulice i ponure zarysy domow, odbijajac sie tu i tam o szyby.

W budce bylo duszno i goraco. Przy mizernym swietle dostali sie do swojego miejsca. Wiekszosc ludzi spala. Tylko kilka kobiet z garnkami stalo w kolejce do piecyka.

Janek oddal ziemniaki matce. Zabral garnek z kapusta i stanal za Wojciechem w kolejce.

Pozno w nocy zapach gotujacej sie zupy obudzil kilku glodnych ludzi.

-Wynos sie z tym! Wynos! Bo ja z glodu oszaleje!- uslyszal kobiecy glos. Przykryl pokrywa niedogotowana zupe i odstawil ja na bok.

Pozno po poludniu, glosny krzyk wbiegajacego do budki chlopca, poderwal wszystkich na nogi.

-Pociag do Taszkientu! Specjalny! Dla Polakow! Tylko co przyjechal na czwarte tory!- w altanie zawrzalo jak w ulu. Ludzie pakowali swoje rzeczy w szalonym pospiechu.

Janek zaczal zwijac koce. Klaudja obudzila Slawka i pomogla Jankowi zwiazac bandel.

XLV

Trzy dni spedzone w tym malym pomieszczeniu przyspieszalo i naglilo do wyjazdu. Przez te trzy dni nie mogl Janek dogotowac zupy szczy. Jak i wszyscy inni zaledwie zdazyl zagotowac wode i juz nastepna w kolejce osoba gwaltem zajmowala miejsce na piecyku.

Janek, z jedna walizeczko na plecach, z dwoma po bokach, a za nim Slawek z dwoma koszykami w reku i na koncu Klaudja z wielkim bandlem bielizny na plecach, pedzili do pociagu.

W wilkim pospiechu dostali sie do polskiego pulmana. Zajeli miejsce kolo okna, poukladali swoje rzeczy na gorze i pod nogami.

Do tego malego przedzialu wladowalo sie siedmiu ludzi z bagarzem i dwoje dzieci. Poustawiane walizki i tobolki pomiedzy siedzeniami, zabraly miejsce na nogi.

Po prawej stronie przy oknie usiadl Janek, z boku zajely miejsce trzy starsze wiekiem siostry, ktore w Polsce mieszkaly w majatku niedaleko Porzecza i jechaly do Taszketu gdzie na nich czekal starszy brat. Za nimi starsza, nerwowa kobieta.

Po drugiej stronie przy oknie Klaudja ze Slawkiem. Z boku, Lisa Kosniecka przedstawila sie, z malym chlopcem Tadziem.

Pozno po poludniu, glosny krzyk wbiegajacego do budki chlopca, poderwal wszystkich na nogi.

-Pociag do Taszkientu! Specjalny! Dla Polakow! Tylko co przyjechal na czwarte tory!- w altanie zawrzalo jak w ulu. Ludzie pakowali swoje rzeczy w szalonym pospiechu.

Janek zaczal zwijac koce. Klaudja obudzila Slawka i pomogla Jankowi zwiazac bandel.

XLV

Trzy dni spedzone w tym malym pomieszczeniu przyspieszalo i naglilo do wyjazdu. Przez te trzy dni nie mogl Janek dogotowac zupy szczy. Jak i wszyscy inni zaledwie zdazyl zagotowac wode i juz nastepna w kolejce osoba gwaltem zajmowala miejsce na piecyku.

Janek, z jedna walizeczko na plecach, z dwoma po bokach, a za nim Slawek z dwoma koszykami w reku i na koncu Klaudja z wielkim bandlem bielizny na plecach, pedzili do pociagu.

W wielkim pospiechu dostali sie do polskiego pulmana. Zajeli miejsce kolo okna, poukladali swoje rzeczy na gorze i pod nogami.

Do tego malego przedzialu wladowalo sie siedmiu ludzi z bagarzem i dwoje dzieci. Poustawiane walizki i tobolki pomiedzy siedzeniami, zabraly miejsce na nogi.

Po prawej stronie przy oknie usiadl Janek, z boku zajely miejsce trzy starsze wiekiem siostry, ktore w Polsce mieszkaly w majatku niedaleko Porzecza i jechaly do Taszketu gdzie na nich czekal starszy brat. Za nimi starsza, nerwowa kobieta.

Po drugiej stronie przy oknie Klaudja ze Slawkiem. Z boku, Lisa Kosniecka przedstawila sie, z malym chlopcem Tadziem.

W samym kacie przy drzwiach wtulony w swoje futro zajmował ostatnie miejsce Wojciech Kowal.

Ze waszyskich stron widac bylo biegnacych do pociagu ludzi. Dlugi okolo pieszesciu wagonowy pociąg, prawie caly zaladowany byl Polkami. Nie zdazyli ulozyc swoich rzeczy, jak pociag bez zadnego sygnalu ruszyl, zostawiajac za soba spoznionych ludzi.

Siedzaca za trzema siostrami kobieta narzekala, ze wsadzili ja do stodoly na koncu miasteczka. Czekala tam grupa ludzi i zeby nie jakas mloda panienka, przegapilaby ten pociag.

-Ona biegla cala droge tam i z powrotem. Gdyby nie ona, to bym zamarzla na smierc. Dnie to ladne, ale noce! Coraz to zimniejsze, a przykrycia dobrego nie mam. Zamienilam na jedzenie- mowila nerwowo.

-Trzecia klasa! Ale polski wagon! Rozszerzyli mu kola i tak jak i my znalazl sie na Syberii!- odezwal sie Wojciech.

-Okradają Polske z czego sie tylko da! Ale! Dlaczego tys taki ponury-! spojrzal na Janka smutna mine.

-Nie usluhalem matki! I zrobilem wielkie glupswo. Trzeba bylo lapac ciepluszka a nie polskiego pulmana! On nie jest budowany na takie odlegosci, a do tego tu jest tak ciasno ze nie ma miejsca na nogi!- odpowiedzial polglosem.

-Poloz na gore tlomoku! Tak bedzie ci nawet wygodniej! Ciasno to ciasno! Ale w polkim wagonie jedziesz! Ha! Najwazniejsze ze jedziesz- skrzywil sie Wojciech.

Janek podlozyl koc pod siebie i staral sie zasnac. Tak jak i na dworze tak i w wagonie zrobilo sie ciemno. Pociag pedzil. Gwizdal i pedzil, jak by nie mial czasu.

Z samego rana Janek zauwazyl ze matka jest chora.

Widac bylo ze ma goraczke. Narzekala na klucia w boku. Stracila apetyt, Zjadla kilka kawaleczkow chleba i popila zimna herbata.

Zrozpaczony Janek nie wiedział co ma robić. Na pierwszej stacji, na której się zatrzymali, obleciał kilka wagonów z nadzieją że znajdzie jakieś lekarstwo. Niestety nic nie znalazł.

Zmartwionemu Sławkowi Klaudja starała się wytłumaczyć że nie jest tak bardzo chora.

-Dojedziemy do Taszkientu tam znajdzie się lekarstwo i będzie wszystko dobrze- Mówiła ciężko oddychając.

Po rozmowie z matką, Janek postanowił ugotować ostatnią garstkę kapusty z ziemniakami.

Przygotował sobie garnek z pokrojona kapusta i ziemniakami. Zjadł kromkę chleba, popił herbata i cierpliwie czekał.

Trzy siostry wydstały worek wypchany kawałkami suszonego chleba. Tłumaczył że w ten sposób nie psuje się i na dłużej wystarczy, chrupali głośno popijając herbata, która dolewali sobie z wielkiego słoika.

Lisa, wyjęła chleb z torby, odkroiła dla Tadka i siebie dwie duże kromki. Kilka kropel wody, które pozostały w butelce, odala synowi.

Wojciech zjadał gotowaną kaszę. Wydstawał ją łyżką z białego woreczka, uszytego z grubego materiału.

Głośne gwidki lokomotywy poderwały Janka na nogi. Przepchnął się pomiędzy bagażami do drzwi i jak tylko pociąg stanął, wyskoczył na peron. Biegając z garnkiem w ręku zawołał.

-Kipiatok! Kipiatok!- Jakas kobieta wskazała mu kran z wodą. Nalał wodę do garnka i biegiem wyprzedził kilka wagonów, widząc dym unoszący się nad jednym z towarowych wagonów, podbiegł do niego.

Pociąg ruszył i zanim nie nabrał szybkości Janek z pomocą piegowatego chłopca dostał się do środka ciepłuszki.

Przy małym puciołowym piecyku, w grubej kufajce i watowanych spodniach, szarego koloru; kreciła się Rosjanka.

Poprawiając co pewien czas spadające na twarz włosy, kolysała się razem z wagonem. Co pewien czas poprawiała garnek aby nie zleciał na podłogę.

Dłozyla kilka kawalczków węgla, zamknęła drzwiczki i z wielką niechęcią zrobiła miejsce na Janka garnek.

Przytrzymując garnek jedną ręką, tak jak i ona, z ciekawością rozejrzał się dookoła.

Po obydwóch stronach ludzie siedzieli na swoich tobołkach tak ciasno że z trudnością można było się precyzować. Po jednej stronie wagonu siedziała spora grupa Rosjan, w szarych kufajkach i okrągłych czapkach.

W samym kącie zauważył grupę chłopców otaczających oficera w polskim mundurze. Jeden z nich średniego wzrostu blondyn, o wielkich niebieskich oczach na szczupłej, bladej twarzy, jak zahipnotyzowany bez mrużenia oczu, patrzył w kierunku, gdzie siedzieli Rosjanie.

Mimowoli Janek spojrzał w tym samym kierunku. Gładko ogolony, czerwony na twarzy jak burak, z czapką na głowie ozdobioną wielką czerwoną gwiazdą, średniego wieku mężczyzna, kroił chleb.

-Biedny chłopiec. Na pewno jest bardzo głodny- mruknął i korzystając z nieuwagi Rosjanki, podsunął trochę bliżej środka swój garnek.

Zupa zaczęła się gotować. Janek spojrzał w stronę młodzieńca. Nie widząc go w grupie chłopców odwrócił się w stronę kolchoznika. Nie omylił się. Szczupły blondyn, nachylając się mówił coś do Rosjanina.

Na twarzy kolchoznika wryło się wielkie niezadowolenie. Przez chwilę patrzył się na młodzieńca swoim ostrym wzrokiem, i naraź całą masę przekleństw wypełniła wagon. Wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Kolchoznik wyprostował plecy, odłożył na bok noż i złowrogo patrząc na blondyna, zawołał na cały głos.

-Popatrzcie na cwaniaka! Daje mnie tylko pięć rubli za bochenek

chleba! Cos ty! Z Moskwy przyjechał? Nie wiesz ile na pociagu chleb kosztuje? Piec rubli! Tylko piec rubli!- powtarzał krzykliwym glosem.
-Ja ciebie prosze tylko o polowe bochenka- bronil sie blondyn.

Kolchoznik odgryzl kawalek chleba i przygladajac sie chudzielcowi przez chwile cos wazyl w glowie. Na jego twarzy ukazal sie ironiczny usmiech.

-Tak! Tak! Wiesz co? Ja dla ciebie mam lepszy interes!- szturchnal swojego kolege w bok.

-Ty wiesz co? Ja tobie sprzedam dwa bochenki za dwadziescia rubli? Dwa bochenki! Ale czy ty tyle masz?- zasmial sie zlosliwie.

Robiac dziwna mine, przygladal sie jak mlodzieniec przeszukuje swoje kieszenie. Widzac jego zaambarasowanie zaczal sie z niego wysmiewac.

-Bogaty pan! Nie ma nawet dwudziestu rubli! Nie zapracowal na jedzenie! U nas kto nie pracuje ten nie je! Ha! Ha! Ha! Jak ci na imie, cwaniak? I on ode mnie chce kupic chleb?

-Czy mozesz poczekac! Ja zaraz od kolegi dostane pieniadze i dam ci dwadziescia rubli za dwa bochenki- ucieszyl sie mlodzieniec.

-Sluchaj! Ja nie chce sprzedawac chleba dla kogos innego. Tylko dla ciebie, zaaaa! Nooo! za pietnascie rubli dwa bochenki chleba! Ale teraz! Jak masz pietnascie rubli! Szukaj po kieszeniach Panoczku Szukaj!

Ciche bulgotanie zwrocilo Janka uwage. Poprawil garnek i podniosl pokrywke do gory. Przyjemny zapach gotowanej kapusty wypelnil powietrze. Wysoki piegowaty mlodzieniec zblizyl sie do Janka. Wciagnal pare gleboko do pluc i poglaskal sie po brzuchu.

-Pan wie! Ze te zapachy zaczynaja byc tortura. Umie pan gotowc! Umie.

Janek poczerwienial na twarzy. Zrobilo mu sie przykro.

-Same glodomory- mruknal przygladajac sie mlodziencowi.

Tak jak i blondyn miał bardzo polatane ubranie i zniszczone buty.

Rosjanka zabrała swój garnek i zniknęła pomiędzy kolchoznikami. Janek szybko przesunął garnek na środek piecyka.

-Niedługo będzie gotowa, Czy ma pan jakieś naczynie?- zapytał.

-Wie pan! Ja nie wiedziałem że oni są tacy okrutni- spojrzał na blondyna..

-O tak! Może nie wszyscy, ale gdyby nie byli tacy, to by nie było komunizmu- odpowiedział blondyn smutnie obserwując Rosjanina.

-Mógł by sprzedać pół bochenka. Tem bardziej że my jedziemy z łagru a oni jada do Aralska na roboty. Za kilka godzin będą na miejscu. Och żebym miał tak kilka rubli, ale nas to tylko nakarmili w Oremburgu i odesłali do Lugawoj. Tam się tworzy nowa dywizja.

Słyszac jak kolchoznik zniżył cenę do dziesięciu za dwa bochenki Janek nie wytrzymał. Wyciągnął z kieszeni pieciorublowkę i podał piegowatemu.

-Potrafi pan?- mrugnął do młodzieńca.

Piegowaty bez słowa odwrócił się i przepychając pomiędzy ludźmi zbliżył się do blondyna. Otarł o niego bokiem i usiadł kilka kroków dalej na podłodze. Oparł głowę o ścianę i niewinnie patrząc w sufit wagonu zaczął śpiewać.

-Oj duli, duli, coś masz w koszuli, u cha cha, u cha cha!

-Oj duli, duli, koło wielkiej dziury, u cha cha, u cha cha!

Blondyn drgnął. Z ukosa spojrzał na piegowatego. i udając że się drapie wsadził rękę pod koszulę.

Uśmiech zadowolenia ukazał się na jego chudej twarzy. Z nową energią odezwał się do kolchoznika.

-Ty masz tylko wielką gębę! A sam to nawet nie masz dwóch bochenków chleba. A nawet jakbyś miał to tylko tak gadasz. Sprzedać dla mnie to byś nie sprzedał!

Rosjanin zbladl. Chcial podskoczyc, ale powstrzymany przez kolege usiadl z powrotem. Wsciekle mruczac cos pod nosem, wyciagnal z worka dwa bochenki chleba i machajac nimi przed nosem blondyna krzyknal tak glosno, ze az dwie male dziewczynki zaczely plakac.

-Ty! Ty! Glupi Polaku! A co to jest? Masz dziesiec rubli to twoje! A jak nie masz to sie wynos! Precz z moich oczu.

-Poczekaj! Poczekaj! Zawolal blondyn. Nachylil sie i udal ze wyciagnal druga pieciorublowke z buta. Rzucil je na kolana zaskoczonemu, z szeroko otwartymi ustami kolchoznikowi i delikatnie wyciagnal z jego rak chleb.

Dookola ludzie wybuchneli smiechem. Kolchoznik glosno przeklinajac schowal sie pomiedzy swoimi kolegami.

Glosne, hurra, z polskiej strony ucichlo, w miare coraz to glosniejszego mlaskania i znikajacego z byskawiczna szybkościa chleba.

-Ja nie wiem jak ja mam panu za to podziekowac- podal Jankowi kawalek chleba i nadstawil blaszany kubek.

-Tylko glodny czlowiek zrozumie glodnego- pozegnal Janka i wrocil do swojej grupy.

Nowa atrakcja zwrocila uwage jadacych. Tym razem organizowal ja polski oficer. Siedzacych w kolo chlopcom nalal do kobkow herbate.

Na wystajacym w suficie gwozdziu zaczepil sznurek. Zmierzył jego odlegosc i przywiazal na koncu cos bialego.

-Bediemy pili herbate z cukrem! Na prykusku- wytlumaczyl i ze swoim kubkiem zajal miejsce w kole.

Janek nie wierzył własnym oczom. Malenka kostka cukru w miare kolysania sie wagonu leciala od jednej strony do drugiej, zatrzymujac sie tylko na tyle zeby ja polizac.

W srod smiechu i wolania, "Tutaj! Tutaj!" znalazla sie naraz pod nosem mlodziaca, z krotko ostrzyzona glowa. Widocznie nie mogli on

powstrzymać się od pokusy i otworzył usta. Głosne chrupnięcie i pusty sznurek zatrzymał się w środku koka.

Cała masa kulaków z krzykiem zasłoniła jego twarz. Nie mniej niezadowolony oficer długo szukał po kieszeniach zanim nie znalazł jeszcze jednej kostki cukru.

Przywiązał ją mocno do sznurka, usiadł na swoim miejscu i pogroził młodzieńcowi z podbitym okiem.

Przez pewien czas wszystko odbywało się według przepisów. Prawie każdy z nich osłodził swoją herbatę.

Nagle szarpnięcie hamowanego pociągu, rumor ludzi łapiących za bagaże, odwrócił uwagę i zdumieni chłopcy nie zauważyli kto tym razem zjadł kostkę cukru.

Szczupły młodzieniec, na nowo zasypywany został kulakami. Rozczarowany oficer spojrzał na młodzieńca z poditymi oczyma. -Ty fujar! tyle czasu pilem herbatę osładzając ją patrzeniem na tą kostkę, a ty musiałeś ją spalaszować!- potrząsnął głową, usiadł i oparł się o ścianę wagonu.

Pociąg stanął na kilka sekund. i za nim nie ruszył Janek dobiegł do pulmana.

Matka napiła się ciepłego rosolu. Chleba nie chciała jeść. Przykryła się kocem i zasnęła.

Po kilku dniach rano dojechali do Arysza. Ta niewielka stacja kolejowa zasiana było torami kolejowymi. Do Taszkientu było nie daleko.

Czując się o wiele lepiej, Klaudja dostała apetytu. Niestety, oprócz chleba i odrobiny suchej herbaty, nie mieli już nic do jedzenia.

Klaudja wyciągnęła z torebki trzy paczuszki rosyjskiego tytoniu i podała go Jankowi.

-Moze to zamienisz na cos do jedzenia. Ja tak bym chciala jakis owoc jablko albo gruszke- zapytala cicho.

-Fiu! Fiu! Ale pani ma zachciewajki!- odezwala sie jedna z siostr.

-Ja! Jak dlugo jestem na Syberii to nie widzialam ani jednego jablka- przytaknela glowa druga siostra.

-Jak Ruska sie zapytacie to wam powie, ze fabryke jablek jeszcze nie skonczyli budowac!- zasmiala sie trzecia z siostr.

-Czego wy sie dziwicie! Kobieta chora, organizm potrzebuje witamin a nie suchy chleb. My to rozumiemy, jestesmy z miasta a nie z jakiejs tam zakichanej wioski!- huknal glosno Wojciech.

Dluga jazda w ciasnym wagonie powodowala ze ludzie stawali sie bardzo nerwowi.

Korzystajac z momentu, w ktorzym lokomotywa pojechaly po wode, Janek podbiegl do pociagu stojacego kilka torow dalej.

Wysoki, brodaty Rosjanin tlumaczac mu, ze za kilka godzin beda w Taszkientie, a tam bedzie mogl kupic jedzenie. zaofiarowal mu dziesiec rubli i bochenek chleba za dwie paczki.

Zadowolony zabral pieniadze i trzymajac trzecia paczuszke w reku doszedl do lokomotywy. Olbrzymia wielkosc lokomotywy zatrzymala go.

Podziwiajac ja zblizyl sie do drabinki na ktora wspinal sie z koszykiem pomidorow, mlody kolejarz. Zachecony jego usmiechem, zapytal czy chcialby zamienic kilka pomidorow na tabake.

Ze srodka kabiny wysunal sie tegi, gladko ogolony maszynista.

-Tabake masz do sprzedania!- zapytal ostrym glosem.

-Ile za nia chcesz?

-Nie ruble! Wolal bym zamienic ja na za cos do jedzenia.

-Pokaz tyton!- wyciagnla reke do lapania.

Janek podrzucil paczuszke do gory. Maszynista zlupal ja, wyciagnal z kieszeni kawalek gazety i rozsypujac tyton ukerecil jednego grubego

papierosa. Zapalil go. Zaciagnal sie dymem.

-A teraz zmiataj bo ci zeby policze!- krzyknal z calej sily.

-Bedzie mi tu handlowal! Kapitalista! Won!

Janek odstaopil kilkanascie krokow od lokomotywy.

-Moze ja kapitalista, ale ty jestes zlodziej! i lajdak- odkrzyknal.

Maszynista zatrzasl sie. Poczerwienial na twarzy. Rzucil paierosa w strone Janka i grozac kulakiem, odwrocil sie i zaczal schodzic po szczeblach drabinki na dol.

Za nim ukazala sie glowa pomocnika. Z szeroko otwartymi oczyma szukal dookola czym by mogl uderzyc Janka. Naraz, zlapal cos, zamachnal sie i rzucil. Z boku Janka czerwony pomidor rozprysnal sie na drobne kawalki. Widzac lecacy w jego strone drugi pomidor, Janek zlapal go i schowal do kieszeni, a za nim trzeci.

Pomocnik spojrzal na gotowego do lapania Janka, Zatrzymal sie. Glupi usmiech ukazal sie na jego twarzy.

Maszynista zeskoczył z ostatniego szczebla na ziemie. Byl to najwyzszy czas aby uciekac.

Odwrocil sie i w kilu susach przeskoczył tory kolejowe, minal towarowy pociag i wskoczył do pulmana.

Z triumfalna mina, na kolanach, po bagarzu, dostal sie do swojego miejsca przy oknie. Oddal matce pieniadze, chleb i powoli, z szerokim usmiechem na twarzy, wyciagnal z kieszeni pomidory.

-To nie sa jablka, ale zawsze lepszy ryc^{dy} nisz nic!- podal matce pomidory.

-Mamo ktorego jest dzisiaj?

-Dlaczego[?] sie pytasz?

-Trzydiesty listopad tysiac dziewieset czterdziesty pierwszy rok!- odpowiedziala zmeczonym glosem jedna z siostr.

-A co sie stalo?- zapytala Klaudja, widzac jak Janek denerwoje sie.

-Nic! Ja mysle ze, jak ten pociag ruszy, to bedzie moj szczesliwy dzien- uwaznie spojrzal przez okno na zewnatrz.

Mocne uderzenie buforow obudzily Slawka. Pociag powoli ruszyl.

-Janek! Co sie stalo?- zapytal zaspanym glosem.

-Twoj brat zamienil tabake na pomidory- odpowiedziala cicho Klaudja.

-Ten tyton? Janek! on jest nie dobry. Ja go kupilem dla mamy jak handlowalem pierogami. Za cztery paczuszki dalem calego czerwienca. A mama nie chciala go palic. Mowila ze za mocny. Prawda? Prawda mammo?

-Tak! Tak! Okropny tyton. Ja nie wiem jak ludzie moga go palic- przytaknela glowa.

-Mama to woli samosiejke. A za ile ty je sprzedales?

-Za to, co ty jesz!- zasmial sie Janek.

Okolo poludnia, pociag nie zwaliajac minal jakies wieksze miasteczko. Sidzaca przy drzwiach siostra, zerwala sie na nogi.

-Dokad my jedziemy?- krzyknela z calej sily.

-Przed chwila minelismy ^{Chimkent} Chimkent! On nie jest na drodze do Taszkientu! Co sie dzieje?- wolala nerwowo.

-Jedziemy do ^{Lugovoy} Lugovoy! Tam sie tworzy nowa dywizja!- zawolal ktos z korytarza.

W wagonie slychac bylo radosne krzyki, tylko trzy siostry narzekaly ze jada w zlym kierunku.

-Jak tylko pociag sie zatrzyma, bedziemy musialy wysiasc i znowu czekac na pociag do Taszkientu. narzekaly poplakujac.

-Moze wasz brat jest juz w Lugovoy?- Zapytala Lisa.

-O nie! On napisal, ze bedzie na nas czekal w Taszkiencie. Podal adres gdzie mieszka i ja wiem, ze on sie stamtad nie ruszy az my tam nie przyjedziemy!- odpowiedziala siostra siedzaca z boku Janka.

Po poludniu mineli ^{Dzhambul} Dzhambul. Pociag nawet nie zwolnil. Gwizdnal kilka razy i popedzil dalej. Nie bylo watpliwosci ze jechali

w stronę Lugovoy.

Janek wyciągnął mapę i pokazał Sławkowi jak blisko są chińskiej granicy. Według mapy za Lubovoy linia kolejowa kończyła się przy jeziorze Issuk-kuk, od którego było o wiele bliżej do granicy niż do Alma-Aty.

Sama myśl o znajdowaniu się w polizu innego państwa dodawała otuchy. Naraz pociąg zaczął zwalniać i po kilku mocnych szarpnięciach stanął. Trzy siostry były gotowe do wysiadania. Nie widząc nic oprócz płaskiego terenu po obydwóch stronach, zajęły spowrotem swoje miejsca nie rozumiejąc co się dzieje.

Po kilku minutach pociąg ruszył dalej, i znowu po pewnym czasie zwolnił i stanął.

Po prawej stronie ujrzyli łańcuch pokrytych śniegiem gór. Zbliżały się i oddalały od prostej jak strzała linii kolejowej, która oddzielała je od płaskiego, jak okiem sięgnąć terenu.

Góry, wznosiły się raptownie. Chowały się gdzieś w środku ich wysokości w białym świecącym śniegu. Ostre, poszarpane szczyty wyglądały jak zaczarowane pałace otoczone białymi murami.

Wydawało się że do śniegu to można było dostać się łatwo, ale wyżej wysokie, raptownie wnoszące się kamienne ściany pokryte lodem, uniemożliwiały dostanie się do pałaców.

Pomimo całego wysiłku obserwacji, Janek nie zauważył ani jednego przejścia, ani jednego wawozu prowadzącego na drugą stronę.

Zachwycony widokiem nie zauważył jak pociąg zatrzymał się. Głośne krzyki kolejarzy ocknęły go.

-Oni wyladowują ludzi! Patrzcie! Tam stoją furmanki!- Sławek wskazał ręką stojące z boku nasypu furmanki.

-Wysiadajcie! Wysiadajcie! Macie tylko pięć minut czasu na opuszczenie tego wagonu!- Wolali kolejarze.

Trzy siostry zlapaly za walizki, worek z sucharami i zanim Klaudja Slawek i Janek wyniesli z wagony swoje rzeczy, znikly z oczu.

Na kilku furmankach ktore na nich czekaly miejsce bylo tylko na bagaz. Ludzie musieli isc piechota. Pomimo prozb, skosnooki Kirgiz nie pozwolil nikomu usiasc na wozie.

W miare zblizania sie do wioski, kolejka idacych ludzi wydłużala sie coraz bardziej. Po pieciu zmudnych kilometrach z boku ostro wznoszących sie gor, ujrzeli wioske.

Z jedna dluga wijaca sie ulica i niewielka ilosc porozrzucanych tu i tam chalup, wygladala na bardzo biedna.

Waski strumyk, z szybko plynaca woda, zaczynajacy sie gdzies w gorach, omijal domy z tylu. Przecinajac wielkie podworko, chowal sie pod drewnianym mostem, ktorym przechodzili i ginal gdzies po drugiej stronie ulicy pomiedzy falujacymi wzniesieniami terenu.

Woz na ktorym lezaly ich rzeczy zatrzymal sie przy malej chalupie. Kirgiz rozkazujacym glosem kazal Jankowi wyladowac ich bagarz i z reszta pojechal dalej.

Mlada, przystojna kobieta o czarnych jak wegale oczach, przywitala ich grzecznym gestem reki. Przez niskie drzwi wprowadzila ich do korytarzyka. Po lewej stronie odsunela, z workow od ziemniakow, zaslonie i odezwała sie.

-Twoj! Spac! Twoj!- potrzásnęła głową, otworzyła drzwi po prawej stronie i znikla im z oczu.

Zmeczona Klaudja usiedla na walizce. Z boku przykucnal Slawek. Przez pewien czas, slychac bylo tylko oddychanie pomeczonych ludzi. -Ola Boga reta Tu nawet szyb nie ma w oknach- westchnela Klaudja. -Mamo! Jak my tu sobie damy rade? Ziemia wilgotna! To jest chlew a nie pokoj! Jak my bedziemy tu spali?- Zlapal sie za glowe Slawek. -Poczekaj, poczekaj, niech ja odpoczne. W tym bandlu powinien byc

stary koc. On odizoluje nas od wilgotnej ziemi- odpowiedziala slabym glosem matka.

Rozmowe ich przerwaly jakies glosy w korytarzyku. Do srodka weszla Lisa z Tadkiem na reku.

-Pani Klaudjo z braku miejsca przeznaczyl nas do tej chalupy.

Zdziwiona wielkoscą pomieszczenia spojrzala bezradnie na Klaudję.

-Pani myslisz ze my sie tu zmiescimy?-

Janek rozejrzal sie po pomieszczeniu i zatrzymal wzrok na glowie Wojciecha Kowala wychylajacego sie z za zaslony.

Wojciech delikatnie wsunal sie do srodka. Spojrzal na pomieczone twarze i smutnie usmiechnal sie. Zmierzył wzrokiem pokoj, podrapal sie po nieogolonej brodzie.

-Ja widze ze tu za ciasno. Ale w wiosce nie ma wiecej miejsca! Po prostu nie ma! Za duzo nas wysadzili na tym postoju. Cale szczescie ze siostry wcisnely sie do innego wagonu i pojechaly dalej. Jak pozwolicie to ja przepie sie tu, a jutro moze znajde inny kacik.

Nie otrzymujac odpowiedzi wkalal reka w strone podworka.

-Tam przywiezli troche slomy. Zostawili kolo sciany.

Wiadomosc o slomie poderwala wszystkich na nogi. Nie wiadomo skad dostali nowa energje. Janek wybiegl na dwor. Zagrzebal rece w slomie i wniosl ja do srodka.

Klaudja z Lisa rozeslaly slome pomiedzy sciana i piecem. Po rozlozeniu poscieli, zobaczyli jak bardzo malo maja miejsca.

Przy piecu zajela miejsca Lisa z synem, z boku Klaudja ze Slawkiem i troche miejsca przy scianie zotalo dla Janka.

Widzac ja pomieczeni z dotkineciem poduszki zasneli, Wojciech podsunal do konca pokoju, stojace walizki. Wniosl reszte slomy, polozyl ja pomiedzy piecem a sciana przy wejsci do pokoju zgasil naftowa lampe i zawinal sie w swoj gruby kozuch.

XLVI

Ostre promienie światła ocknały Janka. Oslepiony blaskiem zamknął oczy. Powoli zaczął się budzić. Wczoraj dojechali do kirgizkiej wioski. Nareszcie może wyciągnąć na całego nogi. Naraz poczuł że o coś się opiera.

-O nie! To nie wagon, w wagonie nie było tak miękko- mruczał pod nosem.

-Spój Janek! Spój! Nie krec się tak- usłyszał Sławka z boku.

Powoli otworzył oczy. Przez okno widac było lodowate szczyty gór. W jednym miejscu słoneczne promienie odbiły się i kolorem teczki oblały ściany pokoju. W miarę jak słońce unosiło się do góry, kolorowa teczka przesuwała się po ścianie.

W pokoju było zimno. Podciągnął koc pod nos i rozglądał się po nowym mieszkaniu. W świetle dnia pokój wydawał się trochę większy niż w słabym świetle naftowej lampy.

Przez chwilę przyglądał się glinianym cegłom. Były takie same jak widział w Obuchowce, tylko zlepione były prawdziwym cementem a nie glina. Z boku ujrzał pajaka, ale zanim złapał za but, pajak zniknął pomiędzy gesto ułożonymi patykami sufitu.

-Nie rob tego! Naruszysz dach i podczas deszczu będzie na nas kapalo- powstrzymał go Wojciech. Głosno ziewnął kilka razy i usiadł.

-Co się stało? Co się stało?- poderwała się Lisa.

-O mój Boże!- zawołała zdając sobie sprawę gdzie się znajduje.

-Ja jestem głodny!- zapiszczał Tadek.

-Ja też!- odpowiedział mu Sławek.

-Janek! Przynies wodę to ja coś ugotuję- Klaudja podała Jankowi garnek i zaczęła szukać coś w koszyku.

Troche niezadowolony ze nie daja mu troche dluzej poleżec, wygrzebal sie zpod koca. Zalozył buty, wciagnal na siebie kozuszek, przecisnal pomiedzy Wojciechem i kominkiem. Powoli odslonil zaslone.

Krotki krzyk przestachu i Janek potykajac sie o zakladajacego buty Wojciecha wskoczyl z powrotem do pokoju. Usiadl na wlizce.

Z szeroko otwartymi oczyma, blada jak kreda twarza, wygladal jakby zobaczyl ducha.

-Co sie stalo? Co sie stalo?- podskoczyl do niego Wojciech.

Kobiety w milczeniu patrzyly na przestraszonego Janka.

-Ja widzialem! Ja tam w korytarzu widzialem, tam jakies!

-Janek! Uspokoj sie. Co widziales?- niecierpliwila sie Klaudja.

-Ach cos mu sie przysnilo i jeszcze marzy- zasmiala sie Lisa.

-Ja nie zartuje! Mowie wam! przerwal im- widzialem w korytarzu straszna twarz. Zamiast nosa dwie duze, czerwone jak krew wglebienia. Straszna twarz! Cos okropnego!

W pokoju zapanowala cisza. Nawet maly Tadzio otworzyl szeroko usta i przytulil sie do matki.

-Uspokujcie sie wszyscy! Uspokujcie!- odezwal sie Wojciech.

-Tak! Widziales wlasciciela domu. Czlowieka bez nosa. Ja go wczoraj poznalem. Przywiozl nam slome. Musze sie przyznac ze tez poczulem cwierki na ciele- zasmial sie.

-Ale nie mozemy na jego nos zwracac uwage, To jego dom, Jeszcze nas stad wyrzuci- potrzasnal glowa

-Bez nosa?- zdziwila sie Lisa.

-No tak! Tu duzo ludzi chodzi bez nosow!- skrzywil sie Wojciech.

-Ja slyszalem w pociagu od Rosjanina ze tu cale wioski zarazone byly syfilisem. Nawiecej ucierpieli Kirgizi- mowil dalej Wojciech.

-Jak to! To oni ich nie lecza?- przerwala mu Lisa.

-Lecza, na pewno lecza. Ale syfilis jest niewyleczalny. Mozna go

zaleczyc, ale o wyleczniu to nie ma mowy- wytлумaczyła Klaudja.

-Ola Boga! To co my tu robimy! Ja stad uciekam! Natychmiast uciekam!-
zawolala przestraszona Lisa.

-Niech pani sie uspokoi, zaleczony syfilis nie jest grozny- uspakajala
ja Klaudja.

-No to co mamy robic zeby sie nie zarazic? Ja bez nosa nie chce
chodzic! Co mam robic? Co mam robic?- denerwowala sie Lisa.

-Poprostu unikac milosci!- zasmial sie Wojciech.

Gruby glos za zaslona przerwal rozmowe. Do pokoju wszedl niskiego
wzrostu w srednim wieku mezczyzna. Mial na sobie szara kufajke,
watowane spodnie, obwiazane kolorowymi sznurkami, opadajacymi na
krotkie skorzane buty. Pod czarnymi wlosami, blada pomarczona twarz,
ozdobiona byla dwoma czarnymi swiecacyimi sie oczyma.

Przez pewien czas Janek nie mogl oderwac oczu od dwoch wglebien
zamiast nosa. Czerwono niebieska skora zakrywala rane. Widocznie byla
dobrze zagojona, bo nie widac zaognienia.

Mezczyzna widocznie nic sobie z tego nie robil.

-Moje imie Han!- Przedstawil sie ukazujac w usmiechu badzo zepsute,
czarne od zucia tabaki zeby. .

-Wy tu mozecie mieszczkac dlugo! Dlugo. Mnie kolchoz zaplaci. Ale wy
musicie o tem im powiedziec. Tu mozecie gotowac!- wskazal reka piec.

-O paliwo to musicie sami sie starac. Bo ja nie mam. Moja zona ma male
dziecko i siedzi w domu. Slabo mowi po rusku ale jak potrzeba to wam
powie co robic. No ja musze isc do pracy! Musze!- westchnal gleboko i
nie czekajac na odpowiedz zniknal za zaslona.

Nie bardzo zadowolony ze swojej przygody Janek wybiegl na dwor.
Umyl sie przy studni, nalal wode do garnka i zanosl matce.

Dopiero teraz zauwazyl ze kociol na piecu byl wmurowany na stale.
Nie bylo innej rady, Musieli wszystko gotowac w jednym polokraglym

kotle.

Zanim woda się zagotowała, cała słoma Wojciecha znikła w piecu. W pokoju zrobiło się o wiele cieplej.

Przy herbacie i kawalku pozostałego z podróży chleba, usiedli do narady. W warunkach których się znajdowali musieli się wszystkim dzielić.

U Rosjan łatwo było zamienić niektóre rzeczy na jedzenie, ale tu u Kirgizów nie wiadomo było co robić. Słyszeli że oni nie interesują się wymiana jedzenia za bieliznę. Ale trzeba było próbować.

Uzgodnili pomiędzy sobą, że Wojciech zajmie się wymiana rzeczy na jedzenie, kobiety ze Sławkiem, gotowaniem, a Janek zbieraniem topłiwa.

Nie czekając na dalszą dyskusję, Janek oddał Wojciechowi ostatecznie dwie srebrne pieciorzlotówki, zabrał sznur, machnął ręką na pożegnanie i opuścił pokój.

Ominął kilka chałup i przeskakując strumyk wyszedł na zaorane pole. Przypomnił sobie, że w drodze do wioski daleko na wzgórzu zauważył [✓]kszaki. Nie marnując czasu skierował się prosto w tym kierunku.

Przeszedł wielkie zaorane pole i kawał dzikiego stepu, zasapany dostał się na pochyle zbocze pagórka.

Z radością zobaczył piolun. Zdumiony wysokością rośliny zabrał się do roboty.

Układając równo na sznurze uzbierał wielką wiaskę. Zmęczony usiadł z boku.

Daleko za wioską zauważył pracujących ludzi. Z boku nich stały zaprzężone wozy. Przypomniało mu to, jak on z Frankiem uwijał się przy zbiorach siana. Franek? Gdzie on jest teraz i co robi? A Jurek, Rena? Och Rena jak by on chciał zobaczyć ją jeszcze raz, westchnął głęboko. Zarzucił wiaskę na plecy i skierował się w stronę wioski.

-Nawet wiatru tu nie ma, żeby pomógł mi nieść- odezwał się połamem.

Nie widząc nikogo na ulicy, za mostkiem zbiegł na brzeg rzeczki. Idąc po wąskiej drodze z boku bierzacej wody, dostał się na podworko.

Zostawił piolun pod ścianą i z sznurem w ręku wszedł do środka. W pokoju nie było nikogo.

Zdziwiony nieobecnością matki, która nigdy przedtem nie zostawiała rzeczy bez nadzoru zaniepokoił się. Wszedł na dwór. Na podworku, na ulicy, w całej wiosce panowała ponura cisza. Tylko z kilku kominów wychodził dym.

-Co i tu katastrofa na kolei?- zawołał głośno.

Nie było innej rady, tylko cierpliwie musiał czekać. Usiadł na walizce i wyciągając nogi oparł się o ścianę.

Przyglądając się wystającej z pod koców słomie zaczął kombinować jakby to można było zbudować łozko kilka centymetrów od ziemi.

W wyobraźni obliczył ile pali wystarczyłoby na ten luksus.

Z daleka widział, na wyższych terenach, rosnące drzewa.

Nie tracąc nadziei postanowił zapytać się gospodarza, skąd by mógł dostać, albo kupić kilka drewnianych dragów.

Wydawało mu się że strasznie długo czeka na matkę. Poddenerwowany zaczął chodzić od pieca do ściany i z powrotem. Na końcu zmęczony usiadł na walizce, oparł głowę o ścianę i czekał.

Mocne szarpnięcie obudziło go. Nad nim stał Sławek z wielkim uśmiechem na twarzy.

-Janek! Janek! Ja dzisiaj pracowałem! Pracowałem na polu z burakami- usiadł z boku i dumnie spojrzał na brata.

-Tak! My wszyscy pracowaliśmy- skinęła głową Klaudja. Odwróciła się i wyjęła z koszyka woreczek z mamalygą.

-Niech pani poczeka, najpierw zagotujemy herbatę- zatrzymała ją Lisa.

-Tak! Tak! Jak woda się zagotuje to część zabierzemy na herbatę, a

reszta użyjemy na mamalyge- postawiła z boku woreczek i nalala wodę do kotła.

Wojciech zajął się piecem. Wciągnął część wiązki do środka, usiadł na piolunie i łamiąc go na małe kawałki, dokładał do ognia.

Klaudja z Lisa usiadły na kocach. Podwinęły nogi po turecku i cierpliwie czekały.

-Tobie to się udało!- uśmiechnęła się Lisa- może to i na naszą korzyść- dodała przecierając sobie oczy.

-Dlaczego pani tak mówi- zdziwił się Janek.

-Bo jak byś pracował, to teraz musielibyśmy lecieć w stepy po topłiwę a ja na to, naprawdę nie mam siły- Ziewnęła kilka razy.

-Tak to dobrze. Kilka minut po tobie zabrali nas na robotę. Zapisali nazwiska, imiona i powiedzieli, że jutro przyjadą po nas. Teraz jesteśmy na ich liście i nie ma jak się wykroczyć od roboty- mówiła zmęczonym głosem.

-A co wyście robili?- zapytał Janek.

-Zbieraliśmy buraki. Obcinalismy konce i wrzucaliśmy je na wóz- wytłumaczył Wojciech.

-Wiesz Janek! To były buraki cukrowe. Białe, wielkie, i twarde jak kosc!- Przerwał mu Sławek.

-No i co zapisali wam trudodniówkę. Prawda?- uśmiechnął się smutnie Janek.

-O nie! Zapłacili nam na miejscu- ziewnęła głośno Lisa.

-Tak! Tak! na miejscu- zgodziła się z nią Klaudja.

-W południe dali nam po kromce chleba i gorącą wodę, a po pracy przyjechał przedstawiciel wioski i zapłacił nam pszenicą.

-Pszenicą?- zdziwił się Janek.

-Tak! Każdemu z nas nasypał do rak pszenicę- Sławek podszedł do Janka i złożył razem swoje dłonie.

-inni to moze sa zadowoleni ale u mnie duzo sie nie zmiescilo. Oni mnie oszukali. Zobacz jakie ja mam male rece. Ja prawie ze nic nie dostalem- skarzyl sie Slawek.

-Jak to? placili wam pszenica w zaleznosci od wielkosci rak?- klepnal Slawka w dlon.

-Niestety, ale tak. Slawek ma racje. Kazali nam stanac w kolejce i jeden z Kirgizow sypal pszenice do rak. Ile sie zmiescilo bylo zaplata- skiwnela glowa Lisa.

-Ach Janek! Ty sobie wyobraz mine pierwszych kobiet w kolejce- zasmiala sie Klaudja.

-One napoczatku nie wiedzialy co maja z ta pszenica zrobic! Musielismy im pomodz. Ja to mialam woreczek, a inni to sypali pszenice do torebek, kieszen, Zawijali w chusteczki do nosa, do czego sie tylko dalo.-

-Nó dobrze! I co mamy zrobic z ta pszenica? Za malo zeby niesc ja do mlyna?- Janek rozlozyl bezradnie rece..

-No nie! Jutro dostaniemy znowu troche i tak sie uzbiera, wystarczajaco zeby zemlec na jakis tam placek- Lisa pokazala pszenice w garnku.

-Czy tak czy nie, to my musimy jutro isc do pracy. Beda sprawdzac wedlug listy. Ci co nie pojada maja byc karani- skrzywil sie Wojciech.

-Czy ja mam tez isc?- zapytal.

-No nie! Ty nie jestes na liscie. Bedziesz mogl przynieśc paliwo. Wojciech oddzielil czesc piolunu na podsciolke do spania.

-Uwazaj tylko! My pracujemy na wschodniej stronie wioski. Na zachodniej na pewno ciebie nie zauwaza- podal Jankowi kubek z herbata.

Do pozostalej wody Klaudja nasypala kukurydzianej maki. Mamalyga smakowala niezle, zwlaszcza ze od rana nie mial nic w zoladku.

Z braku nafty, kolacje musieli jesc po ciemku. Zadovolony Wojciech ze przyjeli go do grupy, ulozyl sie na piolunie i zaczal opowiadac bajki.

Slawek i Tadzio sluchali z wielka ciekawoscia. Po kazdej bajce prosili zeby opowiadal im wiecej. Zadovolony, ze znalazl dobrych sluchaczy, opowiadal dalej. Pozno w nocy sam zmeczony, zawinal sie w swoja szube i glosnym chrapanie dal znac, ze spi.

XLVII

Wioska "Dzarlisu". W jezyku Kirgizkim "Malo wody" do ktorej sie dostali nalezala do Kirgizow. Glownym ich zadaniem bylo dostarczac buraki do fabryki cukru w Dzhambule.

Wielkie obszary ziemi, dookola wioski, zasiane byly bialymi burakami. Wszyscy ludzie w wiosce, nie wylanczajac Polakow, zbierali je z pola od switu do nocy. Z ciaglego poganiania, widac bylo, ze zalezalo im na czasie. Woz za wozem pelen burakow jechal do pobliskiej stacji kolejowej, gdzie na bocznym torze czekaly puste wagony.

Korzystajac, ze nie jest na liscie, Janek, zajal sie zbieraniem topliwa. Obracajc dwa razy dziennie nazbieral spora ilosc piolunu.

Przez caly tydzien, zanim Wojciech nie znalazl u jednej Kirgizki zaren, musieli ubijac pszenice w wielkim mozdziezu, ktory pozyczyl im gospodarz domu.

Z grubej maki, z kawaleczkami pszenicy, lepili placki. Lisa doszla do wspanialej wprawy w pieczeniu ich na brzegach kotla. Do smaku dodawli posiekane na drobniutkie kawaleczki, biale cukrowe buraki.

Wodnista kartoflanka z kilkoma plackami staly sie codzienna potrawa.

Po długim miesiącu zaczęli odczuwać wielki brak jarzyn. Nie mówiac nic o miesie, którego nie można było dostać za żadne skarby.

Kapusta, marchew, cebula, szmuglowana z innych wiosek stały się luksusami nieocenionej wartości.

Za ruble, oprócz drewnianych zabawek, w pokoju jednej chalupy która miała reprezentować sklep, nie było nic.

Wymiana rzeczy na jedzenie stała się nowym problemem życia. Kirgizi z przescieradłami, które Klauja trzymała na zamiane, nie chcieli nawet zaczynać targu.

Jednego dnia udało się Klaujce zamienić podpinke na ziemniaki. Po długim tradycyjnym targu, uderzając dłonią o dłoń, za każdym dodanym ziemniakiem, zabrała niewielki worek i z bolącą ręką wróciła do domu.

Kirgizi, zacieci w swojej tradycji, chodzili konie. Od czasu do czasu zabijali jednego z nich i rozdzielali mięso pomiędzy swoimi rodzinami. O kupnie konskiego mięsa nie było mowy.

Pod koniec drugiego tygodnia, Wojciech dowiedział się, że siedem kilometrów od nich na wschód leży wioska, zamieszkała przez Rosjan wywiezionych na Syberie podczas rewolucji. Nowa nadzieja dodała otuchy.

Przeglądając swoje rzeczy, Lisa natrafiła na stary, harcerski plecak. Szerokie pasy i duża jego pojemność ucieszyła Janka.

-Do niego to przynajmniej można coś nie coś włożyć- odezwał się zadowolony.

-Tak, tylko pamiętaj! Najbardziej potrzebujemy kapustę no i jarzyny. Bron Boże nie zamien na pieniądze.

Klauja zapakowała przescieradło do plecaka i podała Jankowi.

-A co się stało z Wojciechem, chciałem się zapytać o drogę?-

-On poleciał nad rzeczkę! Choruje- potrząsnęła głową Lisa.

-Choruje? Na co?

-Zaraz po pracy, jakas Kirgizka, ktorej sie spodobał, nakarmila go kasza. Kasza na konskim tuszczu no i choruje- zasmiała się.

-Ty lepiej idz spać. Jutro z samego rana, przed switem musisz wyjść, zeby ciebie nie zobaczyli- Klaudja przykreciła knot w lampie.

-Tak! Tak! Nie marw się o Wojciecha! Do jutra rana będzie zdrow- przytaknęła Lisa.

Na drugi dzień, z samego rana, Janek opuścił wioskę. Idąc polną drogą na wschód podziwiał piękno natury.

Po prawej stronie mijał osniezone, wysokie Kirgizkie góry. Prosto wznoszące się ich sciany, wydawały się niedostępne. Ostre kształty strzelających do góry skał, pokrytych lodem i śniegiem, wyglądały jak zaczarowane zamki, obsypane błyszczącymi klejnotami koloru tarczy porannego słońca.

Olbrzymi ten górski kolos, urywał się nagle przy drodze. Po drugiej stronie drogi, Muyunkum Pustynia, olbrzymim półkolem delikatnej kreski horyzontu, łączyła się z białym jeszcze, porannym, niebem. Tuż przed nim, zmieniając kolory z purpurowego na złote, promienie słoneczne oblały pustynne stepy, drogi i góry.

Janek zwolnił. Nie mógł się nasycić widokiem pięknego wschodu słońca. Kompletna cisza poranku zatrzymała go. Zimny dreszcz przeszedł po jego ciele.

W tej błogiej ciszy usłyszał delikatny szelest, jakby szeptał modlących się ludzi w olbrzymim kościele, szelest suchej trawy i roślin poruszanych wiatrem, którego nie czuł.

Bezwiednie przeżegnał się i wolno idąc, oczarowany tym pięknym momentem życia, roglądał się.

Wyraźnie wyglądało, że w kraju, w którym ludziom zabroniono modlić się do Pana Boga, natura przejęła to zadanie.

Złota tarcza słońca wytoczyła się na niebo. Oblała wszystko

dookola ciepłymi promieniami i budziła do życia.

Kilka chomików przeskoczyło drogę. Jakas wielka mucha zawróciła w locie i zaatakowała Janka. Uderzona dlonia, brzeczac głośno zniknęła w trawie.

Droga zaczęła wspinac się na długą, łagodną górę. Z góry, daleko na zupełnie płaskim terenie, widac było nasyp kolejowy i łąki w blasku porannego słońca, szyny.

Ominając głębsze koleiny i kępki trawy na drodze, myślał na co ma zamienić przescieradło.

Matka nalegała na kapuste i znikająca w szalonym teple samosiejke. Lisa mówiła, że ważniejsza jest cebula i marchew. Wojciech prosił go o czosnek. Od wszelkiego wypadku i chorób chciał powiesić go sobie na szyi. Lisa przyrzekła że go wyrzuci razem z czosnkiem.

Sławek z Tadzkiem prosił o cukierki. I to wszystko miał dostać za jedno przescieradło.

Daleko na horyzoncie zauważył, unoszące się cieniutkie sznureczki dymu. Po kilku minutach marszu drzewa, a pomiędzy drzewami zarysy ścian domów.

Widok wioski dodał mu siły. Z bliższej odległości rozpoznał pozbawione liści drzewa owocowe.

Cieszył się myślać jakie zdumienie ujrzy na twarzach matki, Sławka, Lisy, Tadzka i Wojciecha na widok jablek. Przez cały ten czas co byli na Syberii nie widzieli ani jednego owocu.

Wioska wyglądała na większą od Dzarlisu. Z daleka można było odróżnić kilka drewnianych domów pobielonych wapnem. Nawet chałupy z glinianych cegieł miały na sobie szarą, wypłowiałą farbę.

Pierwsza chłupa z boku drogi, otoczona murkiem, zainteresowała go.

Skierował się w jej stronę.

-Tu muszą mieszkać zamożni ludzie- odezwał się polglosem.

Nie widząc nikogo na ulicy zbliżył się do chalupy. przeskoczył rów i zastukał do drzwi.

Skrzyp otwieranych drzwi zmieszał się z brutalnym przekleństwem. Na zewnątrz wysunął się szczupły młodzieniec z twarzą obsypaną piegami. W szarej pogniecionej kufajce, z roztrzepanymi, ryzymi włosami.

Przeszył Janka swoimi brązowymi oczyma i wciągnął go do środka. Przez chwilę Janek nic nie widział. Słabe światło przeciskające się przez brudne, poklejone kawałki szkła z trudnością oświetlało to pomieszczenie. Dopiero po chwili, jak oczy oswoiły się z mrokiem zauważył, drewniany stół otoczony ławami.

Po środku stołu, pomiędzy blaszanymi kubeczkami, stały butelki z wódką. Po drugiej stronie stołu, z głową ukrytą pomiędzy ramionami siedział jakiś jegomość. Zaraz przy ścianie, stały luzno poustawiane karabiny.

-Ola Boga rety! Gdzie ja jestem?- wyrwało mu się z piersi.

-Co! Co! Co mówisz?- zapytał młodzieniec.

-Ja chciałbym porozmawiać z gospodynią domu. Mam przescieradło, które chciałbym zamienić na jarzyny- odezwał się głosniej Janek.

-O my tu gospodyni nie mamy- zaśmiał się młodzieniec.

-No to nic. Ja pójdę dalej- potrząsnął głową Janek i zbliżył się do drzwi.

-Ej! Ty! Ty nigdzie nie pójdziesz!- usłyszał mocny głos, zastępującego mu drogę mężczyzny.

Wysoki, mocno zbudowany o gładko ogolonej twarzy, ubrany w jakieś stare wojskowe ubranie, mężczyzna, swidrował Janka swicacymi się złowrogo oczyma. Czując jego oddech z mocnym zapachem alkoholu, Janek odskoczył do tyłu.

-Co ty masz na plecach?- krzyknął głośno mężczyzna. Nie czekając na odpowiedź zerwał z Janka plecak i rzucił na stół.

-Co to jest?- zapytal ostro.

-Plecak! Zeby latwiej bylo nosic kapuste i inne jarzyny- wytlumaczyl nerwowym glosem Janek.

-To nalezy do wojska! Gdzie go skradles?- wyciagnal z plecaka przescieradlo i rzucil je w strone Janka.

-Dala mie go jedna pani. To jest hacerski plecak! U nas w Polsce kazdy mogl kupic taki plecak- staral sie wytlumaczyc.

Mezoczyna cofnal sie. Spojrzal ostro na Janka.

-Tak! Tak! U was w Polsce wszystko mozna bylo kupic! Ha! To dlaczego przegraliscie wojne! Ha! Mysmy wojne wygrali! Ha! Teraz to do nas nalezy Ha!-

-Wojskowy tornister! Grysza! Wojskowy tornister!- przerwal mu ryzy.

-Tak! Wojskowy! A jak wojskowy to moj- zasmial sie Grysza.

-Tvoj! Tvoj! Tvoj Grysza. A co z Polakiem zrobimy?

-Oddamy na milicje! Ha! Ha!- Grysza popchnal Janka.

-Widziales go! Wojskowy tornister ma na plecach, a sam nie umie nawet strzelac!- potrzasnal glowa ryzy.

Grysza spowaznial. Spojrzal na stojacego Janke. Polozyl mu reke na ramieniu.

-Umiesz strzelac Polak?- zapytal i naraz odwrocil sie do swojego kolegi.

-Misza! Ty wiesz? my mu pokazemy jak sie strzela Ha!

Widzac jak Janek delikatnie zblizyl sie do drzwi, zastapil mu droge.

-Choodz Polaku! choodz, ja ci pokaze jak ja umiem strzelac!- zawolal glosno i popchnal Janka w strone drugich drzwi.

-Misza pdaj moja Katusze- rozkazal ostro.

Mlodzieniec podskoczyl do stojaka. Zlapal za stojacy na samym koncu karabin. Zarepetowal i podal go Gryszy.

Widząc przed sobą latającą lufę karabinu, Janek wyszedł na dwór. Czuł jak pod przescieradłem poca mu się rece. Z trudem przelknął sline.

-Chodź Polaku- zaśmiał się Gysza popychając Janka w stronę murku.

Janek rozejrzał się dookoła. Murek był zbudowany z glinianych cegieł. Wyglądał na za wysoki do przeskoczenia.

-Gysza zatrzymał się, wyrwał z ręki Miszy butelkę wódki i starał się postawić ją na Janka głowie. Przez chwilę walczył nie rozumiejąc dlaczego butelka nie chce stać prosto na głowie. Zdenerwowany podniósł Janka rękę i wtykając w nią butelkę wrzasnął z całej siły.

-Trzymaj ją prosto! Trzymaj!- cofnął się do tyłu.

-Nie! Nie!- zawołał niezadowolony. Podszedł do Janka i przekrecając butelkę włożył jej szyjkę do dłoni. Umieścił na głowie i zadowolony odwrócił się w stronę chalupy.

Przez chwilę Janek chciał zarzucić na niego przescieradło. Niestety zaplątane na jego rece nie chciało się rozwinąć. Stojący przy drzwiach Misza z karabinem w ręku i wysoki mur zatrzymywał go od ucieczki. Po prawej stronie, przy chlupie, zauważył niedomkniętą bramkę. Teraz trzeba było dostać się do niej i to jak najprędzej.

-Hej! Nie ruszaj butelka! to nie uczciwie!- darł się Gysza, unosząc karabin do góry.

Jankowi pot ukazał się na czole. Widział jak lufa karabinu biegła od góry do dołu. Myśli jak błyskawice przelatywały jedna za drugą. Musiał coś zrobić. Przysiąść? Nawet jakby przysiadł, nie wiadomo gdzie on strzeli.

Ostry trzask zamka przeszył powietrze. Jak głośna błyskawica wstrząsnęła całym jego ciałem.

-Nie wypal!- uczył jak butelka wyslizguje mu się z ręki.

-Hej! Misza! Ty go nie naładowałeś!- krzyk Gyszy ocknął go.

-Przynies kule! Szybko!-

W srodku chalupy uslyszeli jakis inny glos.

-Grysza pokazuje Polakowi jak sie strzela!- tłumaczyl komus glosno Misza.

W drzwiach ukazal sie starszy jegomosc. Przebiegl oczyma po podworku i podrapal sie po glowie.

-Ty mnie nie przeszkadzaj! Ha! Ja pokazuje Polakowi jak my potrafimy strzelac- Wrzasmal glosno Grysza.

-Co ty glupi! Co ty chcesz strzelac do pelnej butelki wodka? Co! Czy tu nie ma pustej butelki? Co?- krzyknal starszy mezczyzna.

Gryszy twarz skrzywila sie z niezadowolenia. Odstawil na bok karabin i wpychajac mezczyzne do srodka odwrocil sie tylem do Janka.

Zanim zniknal w drzwiach Janek w kilu susach dopadl do bramki. Pchnal ja z czalej sily. Widzac ze nie chce ustapic, oslonil sie przescieradlem od wystajacego zelaza i przecisnal sie na druga strone.

Widzac przed soba plaski teren, skierowal sie w strone drogi. Zaczepil sie o kamien i przewrocil sie. Niezadowolony zerwal sie na nogi. Rozwiniete przescieradlo zakrylo go z glowa. Nie marnujac czasu przeskoczyl droge tuz przed jadacym wozem. Stracil rownowage na spadajacym po drugiej stronie drogi nasypie i wpadl w kszaki.

Przescieradlo zlecialo mu z glowy. Zobaczył sploszone konie i przerazone twarze siedzacych na kozle ludzi. Brodaty mezczyzna, siedzacy po prawej stronie staral sie zmusic batem konie do galopu. Przerazone jego oczy skupily sie na skaczacych do gory zwierzetach.

W tym samym czasie towarzysz jego, z nie mniej przerazona mina zegnal sie raz po raz i wolal, " Wio! Wio! Wio!"

Naraz konie rzucily sie do galopu, pozostawiajac za soba tumany kurzu.

-Ja go dogonie! Grysza! Zobaczysz ze ja go dogonie!- uslyszal glos

Miszy po drugiej stronie drogi.

-Ty go dogonisz? Patrz jak on daleko! Tylko kurz pozostał za nim. No strzelac nie potrafi! Ale biegac! To potrafi!- uslyszal pijany glos Gryszy.

-Tak! Tak! Chodz oblejemy naszego, dobrego biegacza- zawolal ktos inny od strony chalupy.

Kilka dlugich minut minelo, zanim Janek odwazyl sie poruszyc. Powoli wydostal sie z krzakow. Przez chwile, bardzo zdziwiony przygladal sie butelce wodka, ktora przez caly czas trzymal kurczowo w dloni. Ostroznie polozyl ja z boku, zwinal przescieradlo i chowajac wodke do srodka, zarzucil jak worek na plecy.

Pierwsze kilka kilometrow szedl po lewej stronie, z boku drogi, odwracajac sie co chwile do tyłu. Dopiero za wzmesieniem, w bezpiecznej odleglosci, wszedl z powrotem na droge. Bylo juz po poludniu jak doszedl do Dzarlisu.

Ze zdziwieniem zastal wszystkich w pokoju.

-Wiecej nas nie potrzebuja!- przywitala go zrozpaczona Lisa.

-Powiedzieli ze robota skonczona, no i gdzie dostaniemy chociaz troche pszenicy! Giniemy powoli z glodu, tylko ze teraz to bedzie szybciej- otarla zalzawione oczy.

--Pani sie nie martwi! Damy sobie rade. Jeszcze nie zginelismy! Ale! Slyszalam ze kolchoz ma nam dawac make, Co tydzien! dla kazdego po troche maki- pocieszala ja Klaudja.

-Co maja robic a co robia! Slyszalem ze w innych wioskach polacy umieraja z glodu- przerwal jej Wojciech. Wniosl do srodka wiazke piolunu i uwaznie go rozeslal.

-Pani boi sie smierci? Nie powinismy sie jej bac. Jak Pan Bog nas zabierze to bedzie nam lepiej, o wiele lepiej- sposcil glowe do dolu.

-Panu to tak latwo powiedziec, bo pan nie ma dziecka! Jak ja umre to

co sie stanie z Tadzkiem?- w pokoju nastala grobowa cisza.

-Cos dostał za przescieradko? przerwał ją Wojciech.

-Nic! Tym razem i mnie się nie udało. W dodatku zabrali mi plecak.

-Tak! Przyniosł ze soba przescieradko i wodka- westchnela Klaudja.

-Wodka!!

Wojciech podskoczył do gory. wyrwał butelkę z Klaudji rąk i zniknal za zasloną.

Po godzinie wrócił z wielkim usmiechem na twarzy. Postawił worek na podłodze i powólutku zaczął wyciagac z niego, ziemniaki, zawinięta w gazetę mamalyge, woreczek mąki i kilka kosci. Na koncu wyciagnął owczy, pełen tluszczu gruby ogon.

-To, to ja bym zostawił na zamiane. Słyszałem ze w Dzhambulke na czarmym rynku za to można dostac dużo smakolyków. A jutro przyniose wam litr kumysu! No co! Dobra zamiana?- śmiał się glaszczac czerwoną jak burak dlon.

-No wie Pan! A ja myslalam ze Kirgizi nie piją!- Klauja otworzyła szeroko oczy.

Szalona radosc wypelnika pokój. Nawet maly Tadzio nie wiedzac dlaczego śmiał się na cały głos.

Po raz pierwszy od przybycia do Dzarlisu wszyscy razem z ochota zabrali się do gotowania. Gotowli mamalyge na kosciach. przyjemny zapach gotowanej zupy wypelnił pokój.

Najedzeni w swietnych humorach dlugo słuchali Wojciecha bajek. Puzno w nocy, miljony gwiazd odbitych o lodowate sciany Kirgizkiego Lancucha gor, oswietlyły srebrnym blaskiem pokój i głęboko pograzonych we snie tułaczy.

Na drugi dzien, po dlugiej naradzie i dlugim namawianiu, Klaudja zgodziła się na podróz Janka do Dzhambulu.

Następnego dnia z samego rana Janek zabrał z sobą worek od ziemniaków i kawał sznura. Do worka włożył barani ogon, przescieradło i w pasie przywiązał to wszystko do siebie.

Według Wojciecha obliczeń do Dzhambulu było około stu kilometrów. O kupieniu biletu bez pozwolenia nie było mowy. Poza tym pasażerskie wagony chodziły bardzo rzadko.

Mając już doświadczenie w skakaniu na pociąg, niedaleko stacji kolejowej, Janek przedostał się na drugą stronę torów kolejowych, ukrył się za krzakiem i cierpliwie czekał.

Słyszał od Wojciecha że linia Lugovoy-Arys była bardzo ruchliwa. Klody drzewa i puste wagony jechały w stronę Lugovoy, pełne węgla w stronę Arys.

Nie zdążył jeszcze zagrzać miejsca jak długi pociąg ukazał się na torach w stronę Lugovoy. W tym samym czasie na tym samym torze widział pociąg idący w przeciwną stronę.

Jadąc na tej samej, jedno torowej linii, wydawało się, że się zderza. Dzarlisu była punktem wymijania.

Zależało teraz od szczęścia, który pociąg zatrzyma się na stacji. Do ruszającego się pociągu było o wiele łatwiej skakać.

Z wielką radością zobaczył jak długi obciążony węglem pociąg w stronę Dzhambulu zwolnił i wjechał na boczne tory.

Janek miał zamiar dostać się do niego, ale widząc pilnujących kolejarzy zrezygnował i czekał, aż ruszy.

Pusty pociąg do Lugovoy zwolnił przed stacją. Ominął ją o wiele szybciej niż Janek się spodziewał.

Naladowany pociąg ruszył, powoli i zanim nabral rozpedu Janek siedział w gębieniu węgla. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

Ogrzany promieniami słońca rozpiął kozuszek i podziwiał piękno śnieżnych gór.

Musiał przyznac Wojciechowi racje. W niecałe dwie godziny, na horyzacie zauważył drzewa i domy. Pociąg zwolnił.

Widząc zeskakujących z wagonów ludzi, poszedł za ich przykładem. Zsunął się na najniższy stopień drabinki i zeskoczył na bok. Zbiegł z nasypu i przeskakując row znalazł się na polnej drodze.

Jakis chłopiec w bardzo polatanym ubraniu zbлизł się do Janka.

-Daleko do stacji, Co?- zapytał niesmiało.

-Tak! Byles tu przedtem?

-Kilka razy z ojcem- wskazał reka idącego z przodu mezczyzne.

-My tu na rynku kupujemy samosiejke i cebule. W naszej wiosce Kirgizi tego nie maja- wytłumaczył sapiacym glosem.

-Czy ty wiesz gdzie jest rynek?- zapytał Janek.

-O tak, tam po drugiej stronie na koncu miasteczka. Ale my tam jeszcze nie idziemy.-

-Dlaczego?

-Widzi pan! My jeszcze nie jedlismy. Dlatego z poczatku idziemy na te pole. Widzi pan tych ludzi!- wskazał reka kilka kobiet na wielkim polu.

-Tam mozna jeszcze znalezc pozostawione po zbiorach kartofle. Na koncu pola robimy ognisko i mamy frajde. Pozostale kartofle zabieramy z soba do wioski. U Kirgizow trudno cos kupic.-

-Czy w tym miasteczku jest piekarnia? czy mozna kupic chleb?- zapytał Janek.

-Maja piekarnie, ale kartofle sa za darmo. Zabiera sporo czasu, ale po ich zbiorach zawsze cos sie wygrzebie- machnal reka na pozegnanie i skrecil za ojcem w strone zaoranego pola.

Janek przez chwile wahal sie czy ma pojsc za nim, ale pragnal tego samego dnia wrocic do wioski.

Uspokojony wiadomoscia, ze maja piekarnie doszedl do miejsca,

gdzie polna droga laczyła sie z przecinajaca tory kolejowe.

Grube pale drzewa, ulozone rownolegle z szynami ulatwiały przejazd na druga strone.

Pociąg, ktorym jechal, opuscil stacje kolejowa, oddajac droge nowemu transportowi z cala masa pustych wagonow.

Po drugiej stronie zobaczyl gruba kobieta szamotajaca sie z dwu kolowym wozkiem. Widzial jak jedno kolo zapadniete w sprochnialej klodzie drzewa, zatrzymalo sie na wysokiej szynie.

Kilku zolnierzy w dlugich plaszczach, przygladajac sie jak kobieta walczy z wozkiem, zanosili sie od smiechu.

Janek podbiegl do wozka.

-Ciagnij!- zawolal popychajac wozek od tylu. W kilku sekundach wydostali sie na droge.

Janek ominal zolnierzy bokiem i skrecil w strone staci kolejowej. Piekarnie znalazl na drugiej ulicy od staci kolejowej. Za bochenek chleba zaplacil piec rubli i jak przedtem stanal ponownie w kolejce. Schowal chleb do worka i przeszedl kilka ulic miasteczka.

Sklepy tak jak i wszedzie, zaladowne drewnianymi zabawkami nie mialy nic wartosciowego do sprzedania.

Niedaleko rynku zauwazyl male studio fotograficzne. Zainteresowany wszedl do srodka.

W szarym do samych kostek fartuchu fotograf, zazadal jednego rubla za zdjecie.

Zadowolony Janke ze go na to stac, zapytal czy moze mu zrobic zdjecie na ulicy. Zaskoczony tym zyczeniem fotograf o malo co nie przewrocil swojego aparatu.

-Zabronione! Nie wolno! Co chcesz, wyslac mnie na Sybir!- Denerwowal sie ustawiajac Janka przy czarnej faldowanej kurtynie. Uspokoil sie dopiero jak podal Jankowi zdjecie.

-Ja nie wiedzialem ze mam tyle lat na sobie- zasmial sie patrzac na zdjecie. Zbiegl po drewnianych schodkach na dol, i mijajac kilka ulic zaglebil sie w powazna dzielnice handlu.

Bez zadnego klopotu sprzedal barani tluszcz za siedemdziesiat rubli. U jednej z kobiet zamienil przescieradlo na kapuste, samosiejke, marchew, cebule i woreczek kukurydzianej maki.

Zadowolony z tego targu zapytal ja gdzie moze kupic troche cukru. Kobieta wywalila na niego oczy.

-Cuuukru! Ty chcesz kupic cuuuukier?- zajaknela sie mocno.

-Przeciez macie tu fabryke cukru!- zdziwil sie Janek.

-No tak! Mamy fabryke! Wielka fabryke! Ale w miasteczku szczypty cukru nie kupisz za zadne skarby.

-Dlaczego?

-Bo wysylaja do Moskwy! Pilnuja go ja oka w glowie. Wielkie kary jak ciebie zlapia z cukrem. Wodke to mozesz kupic tam za kolejowa stacja w budce i to tylko jak ja zolnierze nie wykupia. Oni maja pierwszenstwo. Ale o cukrze to zapomnij!- odwrocila sie do sasiadki.

-Nie wszystko sie udaje- mruknal polglosem i wrocil na kolejowa stacje.

Na torach nie bylo ani jednego pociagu. Nie majac nic do roboty postanowil zbadac mozliwosci kupienia wodka.

Przed malenkim okienkiem stalo kilku zolnierzy. Jedn z nich zblizyl sie do Janka. Odslonil plaszcz i pokazal butelke wodka.

-Chcesz kupic?- zapytal zakrywajac ja plaszczem.

-Ile chcesz?

-Trzydziesci rubli!

Zaskoczony ta cena, Janek nie wiedzial co ma mu opowiedziec.

-Zeby ustapil do dwudziestu, to bym kupil ze dwie butelki- mruknal obserwojac zolnierza.

-Ja tyle pieniędzy nie mam! Ale jak chcesz to ci dam dwadzieścia rubli- odezwał się stanowczym głosem.

-Nas jest trzech. Porozmawiam z kolegami- zdecydował żołnierz.

Widocznie cena była za mała. Niedbale ruszając ramionami żołnierze odeszli w stronę stacji kolejowej.

Kobiecy głos z budki zwrócił jego uwagę. Z wielkim zdumieniem poznał kobietę której dopomógł z wozkiem. Przywołała go reka i jak się zbliżył poczęstowała rosyjskim pierogiem.

-Co ty, chciales od nich kupic wodka?- zapytała z uśmiechem.

-Tak, ale była za droga- odpowiedział rozkoszując się smakiem pieroga.

-Gdzieś ty go kupiła?- zaciekawił się.

-O nie, ja sama narobiłam pierogów i małych pierozków z mięsem, które nazywamy pielemieniami, na zime- spojrzała poważnie na Janka.

-Po co ci wódka? Ty pijesz?

--O nie! To nie dla mnie. My mieszkamy pomiędzy Kirgizami. A u nich to tylko za wódkę można coś nie coś do jedzenia kupić- wytłumaczył.

-Ja wiem! Ja wiem. Tylko od żonierzy nie kupuj. Oni sprzedają żeby więcej butelek kupić. Rozumiesz? A potem pijani zachowują się gorzej od zwierząt- otrząsnęła się.

-Ja tobie sprzedam. Ale tylko dwie po dziesięć rubli za butelkę tak jak i dla żołnierzy. Ale nikomu o tym nie mów- wychyliła głowę.

Upewniona że nikogo nie ma w polizu, podała dwie butelki. Janek szybko ukrył je w worku, zapłacił i spojrzał na kobietę.

-Ja nie wiem, jak tobie mam podziękować!- uśmiechnął się.

-Nie mów nic. Uciekaj! A jak będziesz potrzebował więcej to wiesz gdzie możesz kupić- zawołała za odchodzącym Janekiem.

Omiijając stację kolejową, Janek usiadł na trawie przy torach kolejowych idących na wschód. Sprawdził czy worek trzyma się mocno na plecach i cierpliwie czekał.

Po pewnym czasie zauwazyl ruch na stacji kolejowej. Z obydwuch stron nadchodzily pociagi. Dwa, jeden za drugim z Lugovoy minely go i zajely boczne tory. Z daleka na zachodzie ukazal sie dlugi pociag. Zwolnil, minal stacje i wlecial na tory do Lugovoy.

Nie bylo czasu do namyslu. Janek zlapal pierwsza drabinke i dostal sie do pustej weglarki.

Usiadl na pochylonej scianie wagonu i obserwowal szczyty gor. Kilka razy wdrapywal sie na gore sprawdzajac teren. Nareszcie, Znajome skaly zawiadomily go ze zliza sie do Dzarlisu.

Naraz uswiadomil sobie ze ma dwie buteli z wodka, ktore moga sie rozbic przy wyskakiwaniu.

Wiedzial ze przy tej szybkości skok bez przewrocenia sie jest nimożliwy. Zeskoczyc na stacji kolejowej, gdzie pociagi zwalnialy, albo sie zatrzymywaly, nie chcial ryzykowac.

Nie chcial spotkac sie z kolejarzami. Po dlugiej chwili myslenia zadecydowal.

Odwiazal jeden koniec sznura i wzmocnil go wezlem. Uważnie zsunal sie po drabince na ostatni szczebel. Doczekal do chwili w ktorej pociag zwolnil. Opuscil worek na dol, rozkolysal go i widzac gladkie miejsce przy szpalach posadzil go lagodnie na ziemi. Odrzucil sznur i szybko zeskoczyl. Pociag musial szybko jechac bo, koziolkowal az do samej trawy.

Po otrzeptaniu sie z kurzu wrocil po worek. Zadovolony ze buteli nie rozbily sie, zarzucil worek na plecy i pomaszerowal w kierunku wioski.

Musial kilka razy opowiadac jak spedzil dzien w Dzhabule. Gorace jedzenie i Wojciecha bajki zakonczyly ten piekny dzien.

Sukces podrozy do Dzhabulu nie tylko zaopatrzyl ich w potrzebne kulinarne produkty, ale dodal otuchy do dalszego zycia.

Janek co pewien czas jechał na rynek. Pozostałe dni spędzał na zbieraniu topliwa.

Piolunowe pole oczyszczone było zupełnie. Prawie cały dzień zabralo żeby zebrać niewielko wiozke.

O kiziakach z powodu bardzo malej ilosci krow musieli zapomniec. Konski kal, ktorego wszedzie bylo duzo, nie nadawal sie do palenia.

Na kradziez wegla z wagonow w drodze do Arys, nikt sie nie zgodzil. Slyszei jak okropne kary nakladali na tych, co kradli wegiel. W grudniu z dnia na dzien robilo sie coraz to zimniej.

XLVIII

Korzystajac z kilku dni ladnej pogody, Janek postanowil pojechać do Dzhambulu. Od samego rana miał pecha. O malo co nie zaspal.

Majac na sobie dlugi ojca plaszcz, nie wiedzial jak latwo bedzie w nim skakac do jadacego pociagu.

Matka zmusila go do zabrania plaszcz, zamiast krotkiego kozuszka. tłumaczac ze po ostatniej podrozy potrzebuje on duzej reperacji.

Pociag do Lugowej przyjechal pierwszy, przepuszczajac ciezko naladowany transport do Arys.

Krotkie uderzenia buforow mowily ze zwolnil tylko na moment, przyspieszajac zaraz za stacja kolejowa. Unoszac do gory plaszcz, zmuszony byl goniec za nim z podwojna szybkoscia.

W polowie drogi, grupa trenujacych sie pilotow atakowala pociag. Zblizali sie coraz to blizej do srodkowego wagonu, na ktorym siedzial

Janek. Po kilku obrotach widząc samolotowe koło tuż nad swoją głową, zrezygnował z wygodnego miejsca i zsunął się na ostatni szczebel drabinki, na której pozostał do końca podróży.

W Dzhambule piekarnia z niewiadomego powodu była zamknięta. Dopiero na rynku humor mu się poprawił. Kilku mężczyzn, którzy chcieli kupić od niego tłusty ogon, podbili cenę do bardzo wysokiej.

Po zakupieniu potrzebnych produktów udał się do drewnianej budki po wódkę. Niestety zamiast znajomej kobiety, wódkę sprzedawał jakiś starszy mężczyzna.

Z boku zauważył tych samych trzech żołnierzy, z którymi spotkał się poprzednio. Tak jak poprzednio mieli ze sobą jedną butelkę wódki, za którą chcieli trzydzieści rubli.

Tłumaczyli że ledwo co zebrali na tą jedną butelkę, ale jedna to dla nich za mało i chcą mieć po jednej dla każdego. Janek uśmiechnął się.

-Zróbcie to co ja wam powiem- odezwał się cicho.

-Sprzedajcie dla mnie tą butelkę za dwadzieścia rubli, i kupcie dwie butelki. I znowu sprzedajcie mnie jedną z nich za dwadzieścia ^urubli. Dokupcie dwie, i będziecie mieli po jednej butelce na osobę- spojrzał na nich z ukosa.

Po długiej naradzie żołnierze zgodzili się. Po krótkim targu zadowoleni opuścili placyk. Janek wiedział, że w ostatnim miesiącu zaczęto odczuwać się wielki brak wódki. Ceny jej rosły z odległością od miejsca gdzie tylko żołnierze mieli przywilej kupna.

Nawet dla wojska zaczęto ograniczać sprzedaż zamykając budkę o kilka godzin wcześniej. W drodze do stacji kolejowej żołdek zaczął domagać się jedzenia.

Przechodząc na drugą stronę torów kolejowych, zauważył kilku mężczyzn a gumowymi pałkami w ręku. Widząc jak zbliżają się do

stacji kolejowej, dla bezpieczeństwa obszedł dookoła i dostał się na drugi koniec placu.

Schowal się za sklepowy budynek i nie wierząc własnym oczom patrzył jak kilku milicjantów gnało ludzi do stojącej przy budynku stacji kolejowej, ciężarówki. Jeden ze złapanych przewrócił się na ziemię. Wśród głośnych przekleństw, krzyków, milicjanci złapali go za ręce i nogi i rzucili prosto na siedzących w ciężarówce ludzi.

-Nagonka!- usłyszał głos z tyłu.

-Potrzebują ludzi do pracy!- płakała jakaś starsza kobieta z boku.

-Dzisiaj stacja a jutro beda tutaj, tak jak kilka dni temu- zawołał jakiś mężczyzna, chowając się za budynek.

Zimny dreszcz wstrząsnął Janka. Wiedział że o powrotnym pociągu do domu, dzisiaj musi zapomnieć.

-Zebym tylko mógł znaleźć miejsce do przespania- zawołał i przebiegł kilka ulic.

Zastukał do kilku drzwi. Nie otrzymując żadnej odpowiedzi pobiegł dalej. Domy wyglądały jakby nikt w nich nie mieszkał. Nie było nawet słychać hałasu dzieci. Na ulicach nie widział ani jednej duszy.

Sam nie wiedział jak, znalazł się na rynkowym placu. Oprócz pustych stołów nie było nikogo. Z boku sklepowego budynku zauważył wiadro. Podbiegł do niego. Zanim poruszył wiadro, spróbował otworzyć drzwi do sklepu. Były zamknięte od środka.

Wiadro napełnione było wodą. Gruby sznur z konskich włosów zaczepiony do rączki wskazywał że należało do jakiegoś Kirgiza, który go w pośpiechu zapomniał. Z boku leżało kilka zwiniętych w rolkę worków od ziemniaków.

Świeża woda smakowała wspaniale. Napił się i trochę uspokojony usiadł pod ścianą.

Na niebie czarne chmury toczyły się powoli. Zasłoniły gwiazdy,

ksieźyc, robiło sie coraz ciemniej. Przypomnial sobie co slyszal i wiedzial o nagonce.

Milicjanci łapali tych, co nie mieli pozwolenia na podroź.

W miasteczku tych co nie mieli pracy i to co widzial. Tych, ktorzy wpadli im w ręce.

Jeden Polak, co byl w drodze do wojska, opowiedzial mu ze, w obozach pracy, maja tylko trzy kotly jedzenia. Ci co wyrabiaja norme dostaja gesta zupe szczy na kosciach z kawalkiem chleba. Jak nie wyrobia norme to w drugim kotle czeka na nich rzadka zupa szczy z mala iloscia ziemniakow i polowa porcji chleba. Trzeci kociol to dla tych co sa na wykonczeniu. troche kapuscianej wody i bardzo mały kawałeczek chleba. Wzdrygnął sie i zerwał na nogi. Podciagnął pasek do niedawno co zrobionej, nowej dziurki i jeszcze raz oblecial kilka ulic, z nadzieją ze znajdzie malenki kącik do spania.

Rozczarowany wrocił z powrotem na rynek. Po ciemku znalazł waski stoi z deskami do przytrzymywania owocow i daszkiem, w sam raz na jedną noc.

Janek zdjął plaszcz, rozłożył go, wsunął się do srodka i przykrył druga polowa plaszcz. Przekrecil worek z butelkami do dolu i ulozyl glowe na miekiej mamałydze.

Oddychając pod plaszczem, zrobilo sie cieplo i przyjemnie. Zadwolony ze usluhał matki i zabral ojca plaszcz, zamiast krótkiego kozuszka, zamknął oczy.

-Jakos to tak zawsze wychodzi ze matka ma racje- usmiechnął się.

W nocy zrobilo się bardzo zimno. Obudził się i z zamkietymi oczyma cichutko lezał. Nawet oddychanie pod plaszczem nie pomogło.

Przypomnial sobie o workach. Noc byla strasznie ciemna. Po omacku znalazł wiadro. Zabral lezace z boku worki i wrocił do stołu. Ulozyl dwa worki na stole a dwa zarzucil na ojca plaszcz i skulil się.

Późno w nocy zrobiło się cieplej. Uczuł jakby ktoś przykrył go kocem i zapadł w głęboki sen.

Snilo mu się, że w jakiejś piekarni wyciągnął rękę po bochenek chleba, ale ostre uczucie bólu zmusiło go do zabrania ręki.

Rozczarowany spojrzal na kuchcika rozdającego zupę.

-Ja się czuję jak ten koń, którego gospodarz chciał oduczyć od jedzenia. Może by mu się to udało, żeby nie to, że koń zdechnął. A ja nie chce umierać! Chciał go kopnąć, ale szpilki w nogach zmusiły go do skurczenia się.

Ocknął się. Powoli otworzył oczy. Ciepło było i przyjemnie.

-Co za mizerny sen!- szepnął przeciągając się. Naraz poczuł ostre, zimne ukłucia w nogach.

- Co się stało?- Zawołał głośno i podciągnął je szybko do siebie. Zaskoczony tym, powolutku odchylił płaszcz. Zimne płatki śniegu spadły prosto na jego czoło. Odrzucił je i usiadł.

Chaty, ulice, jego stół i on, przykryci byli białym puszystym śniegiem. Zaskoczył szybko ze stołu, otrząsnął płaszcz ze śniegu i założył na siebie. Słońce było już wysoko. Chmury cofnęły się na zachód i schowały się daleko, daleko w górach. Zapchany codziennie o tej porze rynek, wyglądał jakby wszyscy o nim zapomnieli. Przypomniawszy sobie o wodzie. Zimna jak lód zmusiła go do wolnego picia. Głodny żołądek upominał się o coś lepszego.

Zatrzymując się na każdym rogu pustych ulic, doszedł do piekarni. Piekarnia była zamknięta.

-Psia kosa! Nawet i oni się ich boją?- zawołał głośno i z wielką ostrożnością zbliżył się do stacji kolejowej.

Przypomniawszy sobie co mówił mężczyzna. O ile on miał rację, trzeba było schować się po drugiej stronie kolejowych torów i cierpliwie czekać na pierwszy pociąg idący na wschód.

Ukrywając się przed ludźmi, ślizgając po śniegu, przedostał się na drugą stronę kolejowego budynku, przykucnął za krzakiem.

Po długim czekaniu, na stację wpadły dwa pociągi. Jeden transport naladowany węglem ze wschodu a drugi prawie pusty z zachodu.

Zatrzymały się, zostawiając dwa wolne tory pomiędzy sobą. Janek zauważył kilka towarowych wagonów w pociągu na pierwszym torze od stacji, idącym w stronę Lugovoy. Pełen nadziei, przedostał się pod wagonem transportu z węglem, podbiegł do towarowego wagonu i zajrzał do środka. Wagon był pusty. Zadowolony wskoczył do środka. Nie zdążył jeszcze zciągnąć sznura z ramienia, jak ktoś odsunął drzwi i do środka wskoczyło dwóch mężczyzn.

Mieli na sobie stare polatane ubrania i nie najlepiej wyglądające spodnie, wcisnięte w buciki.

-Pan też do wojska?- zawołał jeden z nich w stronę Janka.

-Jeszcze nie. Wracam do wioski- odpowiedział Janek.

Nerwowe ich zachowanie udzieliło się Jankowi. Nie pytając o nic więcej, obserwowali przez pol otwarte drzwi co się dzieje na zewnątrz.

Na nieogolonych chudych twarzach zauważyć można było wielkie niezadowolenie. Naraz jeden z nich dał reka znak i razem wyskoczyli z wagonu.

Zaniepokojony Janek wysunął na zewnątrz głowę. Uzbrojeni w gumowe pałki milicjanci, przeglądali wagon po wagonie zbliżając się w jego stronę. Od strony kolejowego budynku wybiegło kilku innych milicjantów i zatrzymali biegnących mężczyzn.

-O Boże! Co ja teraz zrobię? Szkoda że nie poczekałem dłużej. Ach! trzeba było czekać za stacją- krzyknął głośno i pobiegł do drzwi po drugiej stronie wagonu.

Na drugim torze od stacji zobaczył nadchodzący pociąg z Lugovoy. Nie spiesząc się, wyskoczył z wagonu i przebiegł tuż przed lokomotywą.

na druga strone toru.

Z radoscia zauwazyl ze naladowany weglem transport na czwartych torach ruszyl w kierunku Arys. Z nadzieja w sercu, nie myslac w ktora strone jedzie, zeby tylko uciec od tej nagonki przeskoczyl wolny tor i zlapal pierwsza drabinke.

Nie zdazyl jeszcze dostac sie na gore. jak pociag zatrzymal sie. Rozczarowany zsunal sie na dol. Zanim oni go nie zauwazyli, postanowil przedostac sie pod wagonem i ukryc w krzakach. Nachylil sie i zauwazyl kilku milicjantow po drugiej strone wagonu.

Nieprzyjemne uczucie strachu, poloczylo sie z uczuciem przerazenia. Bezradnie szukal za jakas skrytka.

Naraz uslyszal glosny gwizdek lokomotywy. Zza gestej pary na trzeci tor, wleciala lokomotywa ciagnac za soba mase wagonow z klodami drzewa.

Otoczone ze wszystkich stron milicjantami, Janek nie namyslajac sie odrzucil poly plaszcza, w kilku susach dopadl do wielkiej cysterny. Zlapal sie kurczowo obydwoma rekoma drabinki i zawisnal w powietrzu.

Naraz poczul ze pelko mu sznurowadlo. Rozluzniony pantofel, podczas skoku znalazl sie na samym czubku jego palcow. Czul ze za chwile go zgubi.

Nie mogl sie zdecydowac czy ma zaskoczyc? Czy pozegnac sie z pantoflem. Mysl o maszerowaniu po sniegu do wioski walczyła z mysla dostania sie w rece milicji.

Mineli naladowany weglem transport i na otwartym peronie zobaczyl dwoch milicjantow stojacych na czwartych torach.

Powoli podciagnal prawa noge do gory i oparl ja na ostatnim szczeblu drabinki. Z jedna noga wiszaca w powietrzu, wygladal jakby chcial zeskoczyc.

Milicjanci zatrzymali sie. Widac bylo, ze czekali az on zeskoczy za pantoflem, prosto w ich rece.

Janek przycisnal sie do drabinki, zaknal oczy i czekal co sie stanie. Mocne szarpniecie zmieniajacego tory wagonu podsunelo pantofel glebiej na palce. Wykorzystujac ten moment Janek, powoli podciagnal lewa noge do gory. Oparl pantofel o szczebel i wepchnal go na noge.

Z daleka widzial jak milicjanci podniesli palki do gory i machajac nimi w powietrzu krzydzeli cos na cale gardlo.

Z glebokim westchnieniem ulgi wspial sie do gory na wygodniejsze miejsce, usiadl tylem do wiatru i na nowo zawiatal sznurowadlo.

Uspokojony zczal przygladac sie jak w miare oddalania sie od Dzhambulu, snieg ginal, zamieniajac sie na coraz to mniejsze kaluze.

Z zazdroscia spojrzal na jadacy przed nim wagon z kibitka.
-Tam byloby o wiele cieplej- mruknal do siebie kulac sie z zimna.

Na widok wychodzacego z niej lolejarza zmienil zdanie. Nie majac gdzie sie ukryc, znieruchomial. Spod oka obserwowal jak kolejarz przez pewien czas majstrowal cos przy drzwiach kabinki. Nareszczie skonczyl i wszedl do srodka.

Po pewnym czasie wyszedl na zewnatrz i zauwazyl Janka. Na jego na twarzy ukazalo sie zdumienie. Zdumienie zamienilo sie w wscieklosc.

Przeklinajac glosno podbiegl do konca platformy. Nie widzac mozliwosci przedostania sie na drugi wagon, mrugajac oczyma przeklinajac glosno i krzydzac, rozkazywal Jankowi zeskoczyc z wagonu.

Widzac jego zlosliwa twarz, dla bezpieczenstwa Janek zaslizgnal sie na ostatni szczebel drabinki.

Kolejarz widzac, ze on nie ma zamiaru zeskakiwac, pobiegl zpowrotem do kabinki. Widocznie porozumial sie z maszynista i po kilku gwizdkach. pociag zczol hamowac.

Nie bylo innego wyjscia, Janek musial skakac. Tyle razy slyszal ze

jazda bez pozwolenia byla karana. Wielka postac kolejarza nie byla zabawka. Moglby go zlapac i oddac milicji.

Nie majac czasu na zrzucenie worka, doczekal do momentu, kiedy pociag zupeinie zwolnil. Wyprzedzil gotowego do skoku klejarza i zanim ten dotkнал ziemi, Janek byl juz na dole kolejowego nasypu.

Dopiero daleko od nasypu odwrocil sie do tyłu. Widzial jak kolejarz wskoczyl do ostatniego wagonu.

Po zorientowaniu sie w okolicy skierowal sie prosto w strone gor. Znajome ksztalty szczytow ucieszyly go. Czekaиie do ostatniego momentu na drabince oplacilo sie. Do wioski nie bylo tak daleko. Doszedl do drogi i usiadl na trawie.

Postanowil ze z nadejsciem wiosny namowi matke, aby sie przeniesli do Rosyjskiej wioski, blizej jakiegos miasta, albo jak sie uda to do Taszkientu.

Szalony bol glodu scisnal zoladek. W tej okolicy nie bylo wody, zeby wypelnic i oszukac zoladek.

Nawet snieg, ktory obnizyl sie do podnorza gor, byl jeszcze za daleko zeby sie do niego dostac.

Oslabiony glodem i droga podniosl sie na nogi. Naraz zatrzymal sie. Przypomniал sobie o cebuli, ktora mial w worku na plecach.

Spieszac sie jak tylko mogl, wyciagnal z worka jedna glowke. Oczyscil rekoma sucha skorke i ugryzl. Smakowala wysmienicie. tylko troche szczypala i nie mogl powstrzymac sie od lez.

Pokrzepiony cos nie cos, otarl chusteczka oczy i ruszyl dalej. Bylo pozno po poludniu kiedy zobaczyl zarysy wioski.

W pokoju, wszyscy w wielkiej ciszy, czekali na gotujace sie jedzenie.

Ucieszeni powrotem Janka, jeden przez drugiego mowili o zmianie.
-Nie bedziesz musial jechac na rynek!- usmiechnela sie Klaudja.

-Panie Janku, teraz to tylko musimy szukać topłiw!- śmiała się Lisa.

-Znajdujemy się pod polską opieką!- wołał z boku Wojciech.

-Co się stało? Dlaczego? Co się stało?- zaniepokoił się Janek.

-Teraz jesteśmy pod polską opieką. Główne biuro jest w Lgowoy.

Kolchoz będzie wydawał nam co tydzień pszenicę- wytłumaczył poważnym głosem Wojciech.

-Wczoraj zawołali nas do biura. Dużo nam nie dadzą, ale przeżyć będzie można. Trudno co prawda, ale lepiej niż było- kiwnęła głową Lisa.

-Ty znasz rodzinę Grabowskich ten pan z brodka, co ma dwóch chłopców i żonę, on będzie reprezentował Polaków w Dżarlisu- wytłumaczyła matka.

-Jego żona rozdzieliła już paczkę żywnościową z Ameryki!- zaśmiała się Lisa.

-Z Anglii a nie z Ameryki!- poprawił ją Wojciech.

-Z Anglii czy z Ameryki to mniejsza o to! Rozdzieliła i dała nam trochę skondensowanego mleka, czekoladę i jakieś pudełko z mięsem- mówiła dalej Lisa, machając rękoma żeby jej nie przerwać i odwróciła się do tyłu. Wydostała z za pieca papierowe pudełko, w którym stało kilka metalowych puszek.

-Po rozdzieleniu, na każdego wypadło po łyżce mleka, mięso jest w zupie, a teraz otwórz buzię!- zanim Janek się zorientował, Lisa włożyła mu do ust łyżkę gęstego, słodkiego mleka i podała Tadekowi puszkę.

-Reszta należy do niego. On jeszcze nie dostał swojej porcji!- wytłumaczyła i podała Jankowi małego kawałeczka czekolady.

-Tak! Tak! Nie wiele tego dostałeś- chrząknął Wojciech patrząc jak słodkie mleko i czekolada zniknęły z oczu, a Janek szuka w zupie mięso.

-Podobno wiele rzeczy do nas nie doszło. Pokradli je po drodze- mówił smutnym głosem.

-Ale my mamy jeszcze jedną nowinę!- przerwała mu Klauja.

-Znalazlam o wiele lepsze zarna niz u tej starej Kirgizki. Za dwa reczniki mozemy uzywac je az do maja.

-Tak! Tak! Wiesz co, wodka otwiera rozne drzwi- usmiechnal sie Wojciech.

Tego wieczoru, nie wiadomo dlaczego Wojciech, nie mial ochoty do opowiadania bajek. Ulozyl piolun przy picu, zawinal sie w swoj kozuch i po chili zaczal chrapac.

Zadowolony z nowin, a najbardziej z miekkiego lozka, Janek zakryl sie kocami po sam nos i zasnal.

Pod koniec grudnia dogonila ich zima, od ktorej tak bardzo starali sie uciec. Gory, wioska, pola pokryly sie bialym sniegiem.

W pokoju bylo ciemno. Z braku szkla okno musieli zaslonic workami od ziemniakow.

Do zimy dolaczyla sie jeszcze gorsza kleska. Zaatakowani byli wszami. Pomimo mycia sie i czesania, nie mogli ich sie pozbyc. Najwieksza ich ilosc chowala sie u Wojciecha w kozuchu.

Pogryziony obiecywal codziennie ze jak tylko dostanie pozwolenie od przedstawiciela wioski, zawiezie go do dyzenfekcji w Lugawoj.

-On nie chce mi go dac. Mowi ze nie moze napisac takiego jak na wszy usprawiediwienia- tłumaczyl sie z niechecia. Wiedzial jak w piecach dyzenecyjnych przypalaja ubrania. A jego kozuch juz dobrze byl polatany.

Na koncu obiecal wszystkim ze jak tylko zbierze wystarczajaca ilosc workow do przykrycia sie, to zostawi kozuch przez cala noc na sniegu.

XLIX

Ostre jasne promienia slonca, odbijajace sie o lodowate sciany gor przedzieraly sie przez worki zaslaniajace okno.

Po jednej stronie odczepiony wiatrem kawalek materialu, kolysal sie wpuszczajac do srodka tecze kolorow razem z zimnym powietrzem poranka.

-Zaslonce to dziure! Zaslonce! Tu jest strasznie zimno!- zawolal trzesacy sie pod kocem Slawek.

-Mnie tez jest zimno!- wolal z boku Tadzio.

-Dobrze! Dobrze! Uspokojcie sie! Zaraz poprawie- mruknal Wojciech ziewajac na calego.

Przetarl oczy, podniosl lezacy na podlodze kamien. -Za maly! Ja tak i myslalem ze bedzie za maly- naciagnal worek i przytrzymal go na dole kamieniem. Zagarnal troche piolunu i wlozyl do pieca.

Po chwili plomyki ognia zaczely tanczyc po scianie i drapiacym sie Wojciechu.

Janek delikatnie wyciagnal nos spod koca. Musialo byc zimno bo jasne klebki pary ukazaly sie przy kazdym oddechu.

-Ola Boga reta! Janek nie ruszszaj sie!- uslyszal glos matki.

-Co sie stalo? Co sie stalo?- obudzila sie Lisa.

-Janek przykryl sie szalem! Welnianym szalem! I patrzcie!- wskazala reka na zalozona fale szala. Wszystkie oczy skupily sie na szalu.

Janek delikatnie odsunal falde. Pod falda zobaczyli wszy. Jedna przy drugiej, male durze, grube, chude, zbite gesto do kupy.

-One napewno maja zebranie, kogo nastepnego maja grysc- zawolal

Slawek.

-Ale ich duzo! Chowaja sie od zimna! Wyrzuc je Janek. Wyrzuc! Zanim nie pouciekaja- Zapiszczala Lisa przegladajac swoje przykrycie.

Wojciech pokrecil tylko glowa. dolozyl pioluna do ognia zamknal drzwiczki i jak tylko Janek wybiegl z szalem w reku na dwor, obiecal glosno ze zostawi swoj kozuch na cala noc na sniegu.

Janek z poczatku chcial wyrzucic je prosto na snieg, ale sie rozmyslil i dobiegl do strumyka na koncu kirgizkiej dzialki.

-Potopie je to bedzie lepiej- zawolal cicho pod nosem.

Duza czesc spokojno plynacej wody byla juz pod pokrywa przezroczystego, lsniacego sie lodu. Troche wyzej bulgoczaca po kamieniach woda nie dala sie jeszcze ujazmic, przenoszac tylko kawaleczki bialego lodu.

Janek uwaznie zblizyl sie do brzegu i stajac jedna noga na wystajacym kamieniu, wysypal cala zawartosc szala do wody.

-To za to, ze tak mnie gryzlyscie!- zawolal i sprawdzil czy na szalu nic nie zostalo.

W pokoju bylo o wiele cieplej. Zdjal kozuszek i usiadl na walizce.

-My mamy klopoty!- odezwal sie glosno.

-Robi sie coraz to zimniej, a w tym chlewie jak sie nie napali to za zimno nawet wszom.-

-Zimno! Zimno mamom!-zapiszczal Tadzio.

-Tak! Tak! Bo topliwa nam brakuje- burknal Wojciech.

-Ja szukalem badyli do palenia, ale nic nie znalazlem- tłumaczyl sie Slawek.

-To nie twoja wina! Ja musze znalezc miejsce gdzie rosnie piolun. Dzisiaj pojde na zachod. Jak tam nic nie znajde to bedziemy musieli krasc wegiel. zadecydowal Janek.

Slonce bylo wysoko kiedy Janek wyszedl na droge w strone zachodu.

Slawek.

-Ale ich duzo! Chowaja sie od zimna! Wyrzuc je Janek. Wyrzuc! Zanim nie pouciekaja- Zapiszczala Lisa przegladajac swoje przykrycie.

Wojciech pokrecil tylko glowa. dolozyl pioluna do ognia zamknal drzwiczki i jak tylko Janek wybiegl z szalem w reku na dwor, obiecal glosno ze zostawi swoj kozuch na cala noc na sniegu.

Janek zпочatku chcial wyrzucic je prosto na snieg, ale sie rozmyslil i dobiegl do strumyka na koncu kirgizkiej dzialki.

-Potopie je to bedzie lepiej- zawolal cicho pod nosem.

Duza czesc spokojno plynacej wody byla juz pod pokrywa przezroczystego, lsniacego sie lodu. Troche wyzej bulgoczaca po kamieniach woda nie dala sie jeszcze ujazmic, przenoszac tylko kawaleczki bialego lodu.

Janek uwaznie zblizyl sie do brzegu i stajac jedna noga na wystajacym kamieniu, wysypal cala zawartosc szala do wody.

-To za to, ze tak mnie gryzlyscie!- zawolal i sprawdzil czy na szalu nic nie zostalo.

W pokoju bylo o wiele cieplej. Zdjal kozuszek i usiadl na walizce.

-My mamy klopoty!- odezwal sie glosno.

-Robi sie coraz to zimniej, a w tym chlewie jak sie nie napali to za zimno nawet wszom.-

-Zimno! Zimno mamom!-zapiszczal Tadzio.

-Tak! Tak! Bo topliwa nam brakuje- burknal Wojciech.

-Ja szukalem badyli do palenia, ale nic nie znalazlem- tłumaczyl sie Slawek.

-To nie twoja wina! Ja musze znalezc miejsce gdzie rosnie piolun.

Dzisiaj pojde na zachod. Jak tam nic nie znajde to bedziemy musieli krasc wegiel. zadecydowal Janek.

Slonce bylo wysoko kiedy Janek wyszedl na droge w strone zachodu.

Wojciech zatrzymali sie w robocie.

-Pani wie, ze u nich religia zabrania jedzenia osliny jak i swininy!-
zdziwila sie Klaudja.

-Tak ale Kirgizi zabili osla. Zlamal sobie noge to go zabili. A pan
Zagorski z synami zostawili im skore a mieso zabrali na kielbase.

-Ola Boga reta! Przezegnala sie Klaudja.

-Kirgizi jeszcze ich pomorduja!- spojrzala na Lise przestraszonymi
oczyma.

-Tak! Tak! Oni co do religii to sa fanatycy! Jak ich nie pomorduja to
cos innego moga im zrobic- mruknal Wojciech.

-No tak! Ale Zagorscy musza cos jesc!- zawolal Janek.

-Jesc! Ty wiesz jacy sa fanatyci!- nie dawal za wygrane Wojciech.

-Ja wiem i dziwie sie ze ich religia zabrania jedzenia oslego miesa i
to podczas glodu! A Wegrzy robia z osliny pyszne kielbasy. I kto ma
racje?- odpowiedzial Janek.

-Tak ale ja mysle ze to ludzie a nie religja, z jakis powodow porobili
prawa, ktore byly im na reke a teraz cierpia- szepnela cicho Klaudja.

-Ja sie tylko boje zeby nam za to nic nie zrobili. Nasz gospodarz
dziwny! Do swojego pokoju niegdy nas nie zaprosil. Nie pokazal jak
mieszkaja. Dziwni ludzie- denerwowala sie Lisa.

-On nie ma nic do pokazania. Zajrzałem raz do srodka. Taki sam pokoj z
pieczka jak i u Rosjan. Ma w kacie jakies dziwne narzedzia no i dobra
spizarke. Ale zona zawsze w domu i nie ma jak sie do niej dostac-
zasmial sie Wojciech.

-Pan by im nic nie ukradl! My za dobrze pana znamy!- usmiechnela sie
Klaudia.

-No nie! Ale zobaczyc jak mieszkaja to ciekawe. A my dlaczego mamy sie
bac, i czego? Chyba glodu. Ale teraz, juz jest troche lepiej.

Prawda?- potrzasnal glowa Wojciech i dolozyl do pieca zwinieta slome.

-Prawda! Prawda! I ja mysle ze Kirgizi boja sie komunistow i nie beda sie niepotrzebnie narazac. Oni sami ukrywaja sie jak tylko moga ze swoja religia. Niech pani sie nie martwi!- Klaudja podala Lisie miske zupy.

-Kobiety! Nie maja czem sie martwic!- mruknal cicho Wojciech. Nalozyl czapke i wyszedl na dwor.

-Mamo! Dlaczego Wojciech ostatnio jest taki nerwowy?- zapytal Janek.

-On tez sie martwi! Boze Narodzenie przychodzi, z daleka od rodziny. Dlatego nerwowy- wytlumaczyla Klaudja.

Kirgizi przez pewien czas unikali zetkniecia sie z rodzina Zagorskich. Nawet gospodarz u ktorego mieszkali omijal ich z daleka, ale nic im nie zrobili. Zmuszeni przez komunistow do pracy ktora im nie odpowiadala, wykorzystani, glodni tak jak i Polacy, zignorowali to wielkie religijne przestepstwo i po pewnym czasie cale to zajscie poszlo w zapomnienie.

Swieta Bozego Narodzenia obchodzone byly tylko u Polakow. Zbierali sie po kilku, modlili sie i spiewali koledy.

Janek znalazl okragly, klujacy chwast. Taki sam, jaki uzyl do zatrzymania pociagu na linji Kartaly-Akmolinsk. Umiescil go na jednej z walizek. Lisa ze Slawkiem udekorowali go kawaleczkami kolorowego papieru i welnianymi nitkami.

Patrzac na ta choinke dziwne uczucie scisnelo za gardlo. Czuli sie biedni, zapomnieni przez caly swiat. Dziekowali Panu Bogu ze nie zgineli, jeszcze zyja.

Wśród błysków palacej się słomy Lisa zaczęła śpiewać koledy. Do pomocy dołączył się Slawek, Klaudja za nią Tadek, Janek i ukradkiem ocierając łzy z oczu, dopomagał grubym basem Wojciech.

Patrzac się na choinke śpiewali koledy, aż scisnięte gardła i mokre oczy zatrzymały ich w śpiewie.

Narzekając na ból głowy Wojciech, zgasił naftową lampę i obiecując że innym razem będzie opowiadał bajki, schował się w swój kozuch.

Boże Narodzenie wśród Kirgizów, przeszło jak normalny dzień. Przywieziona na Nowy Rok do sklepu wódka, rozkupiona została w jeden dzień.

Korzystając z okazji, stojąc po kilka razy w kolejce, wiedząc że po kilku dniach, każda butelka wódki mogłaby zamienić na potrzebne produkty żywnościowe, kupili dość sporo butelek.

Zajęty noszeniem, strasznie szybko palącym się słomy Janek, zauważył że ktoś inny dostał się do słomy.

Na początku w stercie porobiły się długie korytarze. Powoli łącząc się, zostawiały pustą przestrzeń. W środku stycznia ze sterty pozostała tylko gruba skorupa zamrożonej na lodzie słomy.

Zaraz po Bożym Narodzeniu wiadomość o mobilizacji Polskiej dywizji w Ługowoy rozeszła się jak błyskawica.

Pobór na całego. Zawiadomienie przyszło do wioski żeby mężczyźni od osiemnastu lat przygotowani byli do wyjazdu.

Możliwość walczenia o wolność Polski wzburzyło krew. Podniosło na duchu. Nawet stary Wojciech z wielkim entuzjazmem zaczął opowiadać o swoich przeżyciach podczas pierwszej wojny światowej.

Janek ucieszył się idąc do wojska i będzie mógł walczyć o Polskę. Martwił się tylko że zostawia matkę i Sławka w tych ciężkich warunkach życia.

-Jak oni sobie dadzą radę! Żeby przynajmniej Sławek był trochę starszy!- klebiło mu się bezustannie w głowie.

Widział jak brat jego starał się udowodnić że jest w stanie pomóc matce. Przynosił wodę, zbierał na polu chwasty do palenia, i to więcej przygnębiało go i martwiło. W takim wieku, nie całe jedenaste lat i musi już tak ciężko pracować.

Pod wieczor wtapil do nich pan Grabowski. Usiadl na walizce i zaczął mówić.

-Moje chłopcy i ja zapisani jesteśmy w kolchozie. Jedziemy do polskiego wojska. Pani syn Janek! Jak on nie pojedzie z nami, to potem zabiora go Rosjanie. Oczyszczają oni całe wioski do ostatniego mężczyzny. Mogą nawet zabrać pana Kowala.-

-No nie!- zaśmiał się Wojciech.

-Ja już przekroczyłem siedemdziesiątkę. Jak by takich starych mieli zabierać, to chyba byłby koniec z Rosją.

-Nie wiem na pewno co do pana, ale slyszalem i to z dobrych źródeł że pozabierali szesnastoletnich chłopców i to nie na ochotnika!

Odpowiedział bardzo poważnym głosem Grabowski.

-Ja bardzo się ciesze że idę do wojska!- przerwał im Janek.

-Tylko co się stanie z moją matką i bratem. Ja ich tak zostawić nie mogę! Oni bez mnie nie dadzą sobie radę- spojrzał na Grabowskiego.

-Ty o to się nie mart! Jak ty pojedziesz do wojska to twoja rodzina będzie miała lepsze przywileje. Kolchoz będzie musiał nimi się zająć i to nie tak jak teraz. Ja tak samo zostawiam żonę z najmłodszym synem.-

-Ty się nie mart! My będziemy jeden drugiemu pomagać- odezwała się Lisa.

-Tak! Tak! Wszyscy będziemy, jeden drugiemu pomagać. Ale! Co się stało z kiebasą co pan narobił?- zapytał się Wojciech .

Pan Grabowski wzruszył ramionami. Spojrzał z wyrzutem na Wojciecha. Machnął ręką. Podniósł się z walizki i podrapał po głowie.
-Mysmy mieli dużo nieprzyjemności i kłopotu z tą kiebasą. Nawet w kolchozie powiedzieli nam że zabrakło im pszenicy i obcieli- pożegnał się szybko i opuścił pokój.

-Musiał go pan zaczepić ta kiebasa!- zawołała Lisa.

-No chciałbym choć kawaleczek spróbować!. Pani by nie chciała?-

zdziwil sie Wojciech.

Klaudja tłumaczac ze potrzebuje wode wyszla na dwor. Sama nie wiedziala czy ma sie martwic czy cieszc. Rozumiala ze o wiele lepiej bedzie Jankowi dostac sie do polskiego wojska.

Za nic w swiecie nie chciala widziec go w Rosyjskim mundurze. Wiedziala ze i on nienawidzi ten mundur. Za duzo od nich ucierpieli.

Najwiecej martwilo ja, ze nie ma zadnych wiadomosci o mezu. Wielu mezczyzn powrocilo do swoich rodzin. Miesiac temu podala wszystkie dane jakie miala o Stefanie do Czerwonego Krzyza, ktory zajmowal sie wyszukiwaniem zaginionych w wiezieniach i obozach koncentracyjnych, Polakow. Niestety o Stefanie nie bylo zadnej wiadomosci.

Zadowolony z powzietej decyzji Janek postanowil zaopatrzc ich na dlugi czas w topliwo.

On tez martwil sie o ojca. Widzial przygniebiona twarz matki jak inni opowiadali o wypuszczonych z wiezien Polakow. On sam nie rozumial co moglo sie stac z ojcem. Dlaczego nie ma o nim zadnych wiadomosci.

Slyszac opowiadania jak Rosjanie mordowali Polakow, serce sciskalo sie z rozpaczny. Odsuwal jak tylko mogl mysli, ze moze ojciec znalazl sie pomiedzy tymi nieszczesliwymi ludzmi.

-Moze podczas Niemieckiego ataku na Rosje, znalazl sie po niemieckiej stronie i szuka ich na polskich terenach- myslal glosno idac w strone slomianej sterty. Z boku na drodze zauwazyl wielkie drabiniaste sanie. Jechaly w tym samym kierunku co i on.

Na wozie siedzialo trzech Kirgizow. Zaciekawiony podazyl za nimi. Ze zdumieniem zobaczyl jak oni zajechali prosto pod pusta sterte slomy. Uwaznie zeby go nie ujrzeli, obszedl dookola wzniesienie i przykucnal za sniezna wydma.

Jeden z Kirgizow zdjal z wozu dluga drabine i z pomoca drugiego ustawili ja posrodku sterty. Trzeci trzymajac w reku drewniane widly,

wdrapał się szybko na górę. Przeszedł na koniec sterty. wbił w słomę widły i zaczął rutować sobie papierosa. Drugi Kirgiz wolno, nie spiesząc się wdrapał po drabinie na górę, dostał się na drugą stronę i rozglądając się dookoła, zaczął rozgrzewać się rekoma.

Janek potrząsnął głową. Przetarł oczy. Nie rozumiał co się stało. Sterta stała jakby była wypchana słomą. Patrzył szeroko otwartymi oczyma jak kirgiz spokojnie zapalił papierosa a drugi walczył się rekoma na zmianę rozgrzewał się.

-Widocznie oni nie mieli śniadania i za mało wazy.- mruknął sam do siebie, dziwiąc się sile zamrzonych słomianych ścian.

Pozostali na dole Kirgiz, wbił w ziemię kolek, przywiązał do niego konia i zbliżył się do drabiny. Stanął na pierwszym szczeblu i zawołał coś do Kirgizów na górę. Nie otrzymując odpowiedzi, zaczął pisać się do góry.

Nie zdążył stanąć na czwartym szczeblu, jak cały srodek sterty załamał się. Dwóch ludzi znajdujących się na górę, machając rekoma w powietrzu, zniknęli w środku zapadającej się góry. Za górą poleciały ściany, Kleby kurzu uniosły się wysoko do góry.

Znajdujący się na drabinie Kirgiz, zdążył odskoczyć na bok. Patrząc się na rozlatującą stertę złapał się rekoma za głowę i zaczął podskakiwać do góry.

Przez chwilę zapanowała cisza, podczas której słomiany pył powoli opadł na dół. Nagły wrzask rosyjskich przekleństw zamienił się na kirgizkie. Musiały być straszne bo stojący przy drabinie mężczyźni, krzycząc głośno "Oj! Oj! Oj! Przesunął ręce z głowy na uszy. Wśród nie kończących się krzyków z obydwóch końców sterty wygrzebali się jego towarzysze. Plując na słomę, kopiąc co się znalazło na ich drodze wskoczyli na wóz. Machaniem rąk przywołali stojącego jeszcze z rekoma na uszach mężczyznę. Wyrwali z jego rąk lejce, wciągnęli drabinę na

woz i walac niemilosierdzie batem konia wyjechali na droge.

Nie mogac powstrzymac sie od smiechu, Janek zlupal sie za buzie. Naraz spowaznial. Kirgizi skrecili w zachodnia strone.

-Oni napewno jada do drugiej sterty!- zawolal podrywajac sie na nogi. Szybkim marszem przeciol pole. Za saniami nie mogl nadazyc, ale swieze slady na sniegu, doprowadzily go do nastepnego pagorka i skrecily na bok.

Uwaznie, zeby nie byc zauwazonym, wspial sie na pagorek. W malej dolinie, tuż przy ostro wznoszaczej sie sciany gor, stala wielka sterta slomy. Tym razem Kirgizi nie wdrapali sie na gore, tylko oderwali kawal lodowatej sciany. Naladowali slome na sanie tak wysoko, ze kon ledwo wyciagnal je na droge.

Patrzac za nimi, mimo woli spojrzal na zboczcie po drugiej stronie pagorka. Przetarl oczy i spojrzal jeszcze raz. Na zboczcu od strony gor wystawal spod sniegu wysoki gesty piolun.

-To ci chęca! Podwojne szczescie!- zawolal glosno.

-Ja widze ze tego piolunu wystarczy do drugiej zimy- zasmial sie

Palacy sie o wiele wolniej od slomy, piolun mial pierwszenstwo. Rozlozyl sznury i narwal wielka wiazke. Z trudnoscia zarzucil ja na plecy. Wracal powoli, zeby sie nie przewrocic. Za mostkiem skrecil w prawo i brzegiem rzeczki zeby go nikt nie zauwazyl, doszedl do domu.

Nie rozumial dlaczego wszyscy, nie wylaczajac malego Tadka wygladali na bardzo przygnebieni. Nawet wiadomosc o nowej sterckie slomy i piolunowym polu nie wycisnela na twarzach usmiechu.

Zmeczony usiadl na walizce i spojrzal na matke.

-Mamo! Co sie stalo?- zapytal cicho.

Przez chwile Klauja wahala sie jak ma mu to powiedziec.

-Osmego lutego, furmanka z kolchozu zawiezie mezczyzn na stacje kolejowa. Janek! Jutro z samego rana zabieraja ciebie do wojska.

L

Z samego rana, zaraz po śniadaniu Janek obwiązał nogi workami.

-Bedzie ci ciepło i wygodnie- mruknął Wojciech podając mu sznurek.

-Obwiąż nimi worki, żeby ci nie pospadały. A jutro dostaniesz wojskowe buty- zaśmiał się cicho.

-Nie martw się, za twoje buciki dostaniemy od Kirizow^g sporo kartofli, a za kałesony mam obiecaną cebulę i pamiętaj że w wojsku najważniejszą rzeczą jest łyżka i menażka- pokiwnął smutnie głową.

-Pan go gołego do wojska odstawi!- zawołała poddenerwowana Lisa.

-Co pani tam wie. Jemu dadzą mundur, a jego ubranie to na pewno wyrzucą. A tu przynajmniej za nie coś dostaniemy. Z resztą na ten dzień to mu wystarczy to co ma na sobie- mruknął cicho Wojciech.

W pokoju było cicho. Ciężko było ich opuszczać. Ale nie było innego, lepszego wyjścia z sytuacji. Myślał, czy oni dadzą sobie radę, wracała przygnębiona niemilosierdzie. Z ukosa spojrzał na Sławka.

Szczupły, wychudzony brat bawił się z Tadkiem piólkami. Co pewien czas patrzył na Janka smutnymi oczyma.

Lisa zebrała się myciem kotła. Wojciech wyszedł na dwór i kopał papierosa.

Biała twarz matki zmartwiła go. Siedziała cichutko i patrzyła się przez okno na białe szczyty gór. Zauważył jak usta jej delikatnie poruszały się jakby w głębokiej modlitwie.

Smętna cisza przerwała wejście Wojciecha.

-Furmanka przyjechała! Czeka na ulicy- odezwał się półgłosem.

-Oła Boga reta!- zawołała Lisa.

Janek podał jej rękę, poklepał Tadzia po ramieniu, nachylił się,

pocalował w czoło brata i podszedł do matki. Objął ją ramionami i mocno ucałował policzki. Matka ocierając łzy odezwała się smutnym ale stanowczym głosem.

-Pamiętaj Janek! Nie skrzywdz nikogo i nie rob nic złego w życiu, bo jak coś zrobisz w głupim gniewie potem będziesz bardzo żałował. Widzisz! Okropnie ciężko jest naprawić wyrządzona komus krzywdę. Bądź uczciwym człowiekiem a Pan Bóg będzie się toba opiekował- głos się jej załamał i odwróciła się do Sławka. Janek spojrzał na Wojciecha i podał mu rękę.

-Lyzka i meanazka! Będę pamiętał- uściskał mu mocno dłoń i wybiegł na dwór.

Na ulicy stała furmanka. Siedziało na niej kilku mężczyzn. Jeden z nich podał Jankowi rękę i pomógł dostać się na wóz.

Furman zaciął batem konia i ruszył z miejsca. Wzrok Janka zatrzymał się na stojącej przy ścianie chałupy, szczupłej sylwetce matki. W zniszczonej, polatanej sukience z szalem na głowie, przyciskała do siebie Sławka. Coś scisnęło go za gardło.

-Jaka ona chuda i jaki on mały! Czy oni sobie dadzą radę?- Cisnęły się do głowy bolesne myśli. Zanim zdążył wytrzeć zalzawione oczy, furmanka wjechała na polną drogę zostawiając ich daleko, daleko w tyle.

Zaladowani do ciepłuszek dojechali do Lugovoy. Komisja poborowa zajmowała kilka szkolnych budynków oddalonych dobre pół kilometra od stacji kolejowej. Dopiero na po drodze Janek odczuł brak butów. Co chwile podskakiwał na ostrych kawałkach lodu.

Przy budynku stała długa kolejka zapisujących się do wojska Polaków. Minęło dwie godziny zanim dostał się do budynku. Siedzacemu przy biurku sierżantowi, podał imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia i wiele innych drobiazków. Po załatwieniu rejestracji dostał

pocalował w czoło brata i podszedł do matki. Objął ją ramionami i mocno ucałował policzki. Matka ocierając łzy odezwała się smutnym ale stanowczym głosem.

-Pamiętaj Janek! Nie skrzywdz nikogo i nie rob nic złego w życiu, bo jak coś zrobisz w głupim gniewie potem będziesz bardzo żałował. Widzisz! Okropnie ciężko jest naprawić wyrządzona komus krzywdę. Bądź uczciwym człowiekiem a Pan Bog będzie się toba opiekował- głos się jej załamał i odwróciła się do Sławka. Janek spojrzał na Wojciecha i podał mu rękę.

-Lyzka i meanazka! Będzie pamiętał- uściskał mu mocno dłoń i wybiegł na dwór.

Na ulicy stała furmanka. Siedziało na niej kilku mężczyzn. Jeden z nich podał Jankowi rękę i pomógł dostać się na wóz.

Furman zaciął batem konia i ruszył z miejsca. Wzrok Janka zatrzymał się na stojącej przy ścianie chałupy, szczupłej sylwetce matki. W zniszczonej, polatanej sukience z szalem na głowie, przyciskała do siebie Sławka. Coś scisnęło go za gardło.

-Jaka ona chuda i jaki on małenki! Czy oni sobie dadzą radę?- Cisnęły się do głowy bolesne myśli. Zanim zdążył wytrzeć zalzawione oczy, furmanka wjechała na polną drogę zostawiając ich daleko, daleko w tyle.

Zaladowani do ciepłuszek dojechali do Lugovoy. Komisja poborowa zajmowała kilka szkolnych budynków oddalonych dobre pół kilometra od stacji kolejowej. Dopiero na po drodze Janek odczuł brak butów. Co chwile podskakiwał na ostrych kawałkach lodu.

Przy budynku stała długa kolejka zapisujących się do wojska Polaków. Minęło dwie godziny zanim dostał się do budynku. Siedzącemu przy biurku sierżantowi, podał imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia i wiele innych drobiazgów. Po załatwieniu rejestracji dostał

malenki dokument, pozwolenie na przenocowanie w jednym z budynkow szkoły.

Następnego dnia miał przejść komisje lekarska. Rozczarowany, że nie dostał ^{my}mynduru i butów skierował się w stronę budynku, w którym miał spędzić noc.

Ciepłe promienia słońca roztopiły tu i tam śnieg, zmuszając Janka do przeskakiwania mokrych miejsc. Musiał bardzo uważać, żeby nie zamoczyć worków. W budynku, w dwóch wielkich pokojach na drewnianej podłodze, leżało kilkunastu takich samych jak i on chłopców czekających na komisje lekarska.

Pod wieczór znudzony czekaniem, głodny na całego, postanowił zajrzeć do miasteczka. Miał nadzieję za dziesięć rubli, które matka wsadziła mu do kieszeni, dostanie coś do jedzenia.

Pomimo długiego szukania nie znalazł ani piekarni, ani restauracji, ani czarnego rynku, na który tak bardzo liczył.

Rozczarowany, zastukał do drzwi kilku chałup, ale żaden z mieszkających ludzi nie chciał ich otworzyć.

Czując jak mokre szmaty na nogach zaczynają zamarzać, postanowił wrócić do budynku. Z boku pierwszego budynku zauważył niskiego wzrostu ~~mezczyzne~~ mezczyznę. Po brudnej polatanej kufajce, poznać było Rosjanina.

Widząc jak wola go reka, podszedł do niego. Mezczyzna pokazał mu kilka okrągłych placków.

-Potrzebne mnie pieniądze! Sprzedam tobie za dziesięć robli!- odezwał się cicho.

Janek po krótkim targu kupił je za pięć robli. Ugryzł jeden z placków i zrozumiał dlaczego on mu tak łatwo ustąpił na cenie.

-Zakalec!- odezwał się głośno i z nim doszedł do schodków ostatniego budynku, zakalec zniknął w głodnym żołądku.

Na drugi dzien z samego rana, stanal w kolejce do lekarskiej komisji. Po kilku godzinach dostal sie do pierwszego doktora.

Oprocz uwagi ze jest za chudy, co bylo tu fasonem, wszystko inne znalezli na miejscu i to jeszcze w dobrym stanie.

Pod wieczor dostal sie do ostatniego pokoju, w ktorym przydzielano do roznej broni.

Za biurkiem starszy siwy oficer, zapytal sie jeszcze raz o date urodzenia.

-To ty jeszcze nie masz dwudziestujeden lat! Z trudem masz osiemnascie!- Zasmial sie grubym glosem.

-Niepodlegasz jeszcze mobilizacji.

-Panie majorze nam mowili ze zabieraja do wojska od osiemnastu lat. Ja bede mial w maju, za trzy miesiace dziewietnascie . Jak pan mnie odrzuci to Rosjanie na pewno mnie zabiora!- zmartwil sie Janek.

.-O nie! My ciebie nie odrzucimy- zasmial sie oficer.

-Przyjety jestes tyko, jako ochotnik! Rozumiesz? Zapisuje ciebie do lacznosci!- podpisał papiery i podal Jankowi mala kartke.

-Jutro idz do tego dlugiego budynku. Tam sie toba zajma. Nastepny! zawolal glosno za odchodzacych Jankem.

Wracac do baraku nie bylo sesu. Wiedzial ze tam oprocz spania nic nie znajdzie. Pomimo glodu i zmeczenia bylo mu wesolo. Juz jutro bedzie w mundurze. W polskim mundurze, ale zoladek tego nie rozumial.

Nawet woda ktora pil w poludnie nie oszukala go i kurczac sie z bolu domagal sie jedzenia.

Z nadzieja, ze moze jeszcze gdzies kupi cos do zjedzenia wyszedl na ulice. Scisnal w reku piecoroblowke i nie przebierajac podszedl do pierwszej chalupy przy drodze. Zastukal do drzwi.

-Co chcesz?- uslyszal gruby glos.

W malenkim okienku z boku drzwi poruszala sie zaslona. Nie dajac

za wygrane Janek cierpliwie czekał.

Po drugim stukaniu, z cichym skrzypem otworzyły się drzwi. Przy mizernym świetle, zobaczył biednie ubrana kobietę. Z drugiego końca pokoju usłyszał ten sam gruby głos.

-Co ty chcesz? Głosu nie masz?

-Ja szukam jedzenia! Możecie sprzedać mnie kawałek chleba? Mam pięć rubli- zapytał słabym głosem.

-Chleba nie mamy! Pieniedzy nam nie potrzeba! Jedzenie! To nam potrzeba!- odkrzyknął złośliwie mężczyzna. Kobieta wzruszyła ramionami. -Takich jak ty z rublami to w tych dniach jest bardzo dużo- odezwiała się cicho. Widząc że chce zamknąć drzwi, zawołał.

-Chcecie zamienić rzeczy na jedzenie?

Tym razem drzwi otworzyły się na całą szerokość. Na środku izby ukazał się w szarej polatanej kufajce mężczyzna.

Z wielką czupryną na głowie, krótko obcięta broda, obwisłym ubraniem, wydawał się Jankowi za drobny na swój mocny głos.

-Co masz?- burknął szukając wzrokiem towar na wymianę.

Do rozmowy dołączyła się kobieta. Ciągle jeszcze trzymając drzwi, odezwiała się cicho.

-Ja mogę zamienić tylko na miskę zupy! Bo nic innego nie mam. Mąż tylko co wrócił z pracy. A chleba dzisiaj nie mamy- obrzuciła Janka wzrokiem od góry do dołu.

-Zupa będzie dobra- ucieszył się Janek rozpinając płaszcz.

-Ta! Ale co ty masz?- niecierpliwil się mężczyzna.

Janek sam nie wiedział co ma zamienić na żupę. Pokazał szalik, chusteczkę do nosa, ale widząc ich rozczarowane twarze zaproponował koszulę. Powoli zdjął płaszcz, sciągnął z siebie koszulę i podał kobiecie.

Przez chwilę oboje wrywając sobie z rąk oglądali koszulę. Na

koncu kobieta skinela glowa, podeszla do kominka. Z zelaznego kotla zagarnela chochla zupe i nalala ja do drewnianej miski. Postawila na stole i podala Jankowi drewniana lyzke.

Glodny Janek nie oddechajac wypil zupe i dopiero jak zobaczyl dno miseczki odetchnal gleboko. Nabral powietrza do pluc i zadowolony z tego posilku podniosl sie z lawy. Podziekowal kobiecie i skierowal sie w strone drzwi.

Bez koszuli, tylko w plaszczu, na dworze bylo o wiele chlodniej. -Jeszcze kilka takich dni czekania w kolejce po wojskowy mundur, to tak jak mowila Lisa, bede stal nago- zasmial sie cicho.

Slizgajac sie w szmaciakach po sniegu, dostal sie do baraku. Jacys nowi ludzie spali na jego miejscu.

Nie bardzo z tego zadowolony polozyl sie z boku zabitego dykta okna. W nocy budzil sie z zimna i mocniejszych ugryzien wszy.

Z samego rana stanal w kolejce do dlugiego budynku i z pierszymi promieniami slonca dostal sie do srodka. Podal sierzantowi swoje nazwisko i za wskazujacym palcem wszedl do drugiego pokoju.

Starszy mezczyzna kazal mu sie rozebrac, zatrzymac osobiste dokumenty i wyrzucic ubranie przez okno do drugiego pokoju.

Owiniety recznikiem znalazl sie u fryzjera.

-Na zero!- zasmial sie mlody blondyn obcinajac wlosy u gory i u dolu.

Po ostrzyzeniu i prysznicu z bardzo dziwnie smierdzacym mydlem, otrzymal zielonego koloru bielizne i nieznany mu wojskowy mundur. Troche zaduzy zakiet zamienil na mniejszy z kolega ktory przygladal sie z ciekawoscia szerokiemu szmacianemu pasowi z mosieznymi zatraskami.

Tak jak i inni z butami Janek mial klopot. Zalozyl po dwie grube skarpety i jeszcze znalazl miejsce na dwa palce.

Razem z plecakiem otrzymal dwa koce, brezentowa plachte, lyzke,

noz, widelec i prostokatna menazke.

W oczach Janka ukazala sie twarz Wojciecha.

-Pamietaj! Najwazniejsza rzecz w wojsku jest lyzka i manazka.

Na koncu dostal czapke. Przygladal jej sie przez chwile. Długa w krztałcie czolna z podwinieta szeroka falda widocznie dla sztywnosci, przykrywala tylko polowe glowy.

Wysoki mlodzieniec stojacy z boku szturchnal Janka lokciem.

-Cale szczescie ze juz wiosna- zalozyl czapke.

-Wiosna! Dzisiaj jest dziesiatego! Luty!- zdziwil sie Janek.

-Moje imie Witek Jastrzemski. Jak twoje?- zapytal cicho mlodzieniec.

Zanim Janek zdazyl odpowiedzeic Witek poderwal sie na nogi i prostujac jak struna, stanal na baczosc. Janek poszedl za jego przykladem.

-Ja zapisany jestem do lacznosci. A to jest nasz sierzant- wskazal nosem przegladajcego popiery sierzanta.

Slyszac swoje nazwisko pomiedzy innymi, Janek dolaczyl sie do grupy. Po krotkim sprawdzeniu nazwisk wyszli na zewnatrz.

Idac w dwoch rzedach, doszli do placu, na ktorym poustawiane byly namioty.

-Mamy mieszkac w namiotach z dwoma kocami?- zapytal ktos glosno.

-Ja mysle ze wewnatrz bedzie sie wam podobalo- odpowiedzial sierzant. Spojzal na chlopcow i odezwal sie.

-Moje imie Jozef Sliwa. Ja jestem waszym sierzantem. Lacznosc jest bardzo wazna jednostka armii. Musiecie sie duzo nauczyc. Najwazniejsza rzecz w wojsku to jest dyscyplina, ktory was nauczymy. A to jest wasz namiot! Gwarantuje wam ze nie zmarzniecie. A teraz macie piec minut na ulozenie swoich rzaczy i chce was widziec przed namiotem! Zrozumiano!

-Tak Jest!- odkrzykneli.

- O nie! Odpowiadac macie wszyscy razem, a nie kazdy z osobna." Tak

jest panie sierzancie! Zrozumiale!- krzyknal glosno.

-Tak jest panie sierzancie!- odkrzykneli wszyscy razem.

-Tylu ludzi! Jak my sie w nim zmiescimy?- odezwal sie cichym glosem Witek.

-Ja nie wiem. Wyglada bardzo niski- odpowiedzial mu Janek.

Rosyjski kwadratowy namiot, ustawiony byl nad wykopanym po srodku rowem, ktory zaczynal sie schodami i konczyl sciana, przy ktorej stal maly okragly piecyk na wegiel. Rura jego zakopana w ziemi wychodzila kilka metrow za namiotem. Dwa glebokie wciecia w ziemi, po obydwóch stronach. Zaslane byly sloma.

Po wyznaczeniu miejsc do spania, Janek polozyl na slomie osobisty brezent, ulozyl na nim koce i plecak. Nie zdazyl jeszcze wyrownac koca jak uslyszal wolajacego na zbiorke sierzanta. Zlapal manaszke do reki i wybiegl z namiotu.

Po ustawieniu sie w rzedzie i odliczeniu, sierzant zabral glos.
-Macie na sobie angielski mundur i angielskie buty. Spicie w rosyjskich namiotach. Bedziecie jedli to! Co dostarczą Rosjanie. Ale ja bede wymagal zebyscie sie zachowywali jak Polacy. Zrozumiano!
-Tak jest panie sierzancie!- odkrzykneli glosno.

-W prawo zwrot!- uslyszeli komede i pomaszrowali do kuchni.

Dni w wojsku, jeden za drugim mijaly w blyskawicznym tepie. Musieli przyzwyczaić sie do spania w wyciagnietej pozycji bo nie bylo miejsca na skurczenie nog. Troche gorzej bylo z zoladkiem. Pomimo zwiekszonej racji jedzenia, Janek jak i jego koledzy byli ciagle glodni. Rozepchane zoladki ziemniakami i chlebem nie mogly sie przyzwyczaić do malej ilosci grochowki na miesie. Nic dziwnego, ze zbiorke przed jedzeniem, nie potrzebowaly mocnego glosu sierzanta, a do mycia kotlow po jedzeniu bylo wiecej ochotnikow niz zolnierzy w kompanii. W dodatku codzienne cwiczenia i gimnastyka zaostrzaly apetyt

tych głodnych, wychudzonych do ostatniej możliwości chłopców.

Oprocz ćwiczeń mieli masę innych obowiązków. Żeby w nocy nie zamarzać pod cienkim plotnem namiotu, przez całą noc, po dwóch ludzi na zmianę dokładano węgla do brzuchatego piecyka.

Janka kolejka wypadła w środku tygodnia. Co pewien czas dokładał po kilka kawalków węgla. Siedząc na wyznaczonym miejscu walczył ze snem. O pierwszej w nocy obudził kolegę który zajął jego miejsce.

Rano, musiał ze wszystkimi razem stanąć do porannego apelu. Zaspany przez nieuwagę dotknął głową namiot. Zimny szron wleciał mu za kołnierz, wstrząsnął się i wybiegł na dwór i spojrzał w kierunku polnocy. Dwoch ludzi niosło kogoś na noszach w stronę ceglanego budynku.

-Ile razy w tą stronę patrze to widze jak kogos niosa ze szpitala do tego ceglanego budynku. Po co oni ich tam niosa?- zapytał cicho.

-Co ty nie wiesz? Oni niosa umarłych ludzi do trupialni. Ludzie umieraja tu jak muchy. Panuje tyfus!- odpowiedział Witek

-Tak Witek niektorzy umieraja z głodu. Za dlugo głodowali i nie moga przywrocic ich do zdrowia. inni na dyzenterje z powodu zmiany jedzenia!- przytaknął głową Zdzisław Jankiewicz, dobry ich kolega.

-Masz racje! Widzisz tego chłopaka!- wskazał ręką ostatniego żołnierza w rzedzie.

-On ma kurza ślepotę. Po zachodzie słońca nic nie widzi!

-No to jak on sobie daje tu radę?- zdziwił się Witek

-Koledzy mu pomagaja. Dostal jakies lekaswo. Z taka choroba nie biora do szpitala bo nie maja miejsca.

-W drugiej kompanji jest jegomosc co wyciaga sobie bez bulu zeby! Wtracil sie do ich rozmowy wysoki blondyn.

-Ja w to nie wierze- zasmiał się Witek.

-Mozesz nie wierzyc! Ale widzili go moi koledzy jak przy jedzeniu

stracil zab. Poprostu mu wypadl- wzdrygnal sie blondyn.

-Baczność!- uslyszeli glos sierzanta.

Nie majac karabinow ani zadnej innej broni, najwiecej czasu poswiecali maszerowaniu z plecakami, bez plecakow z patykami na ramieniu, bez patykow na ramieniu. Widocznie Rosjanie bali sie dac im karabiny.

Podczas marszu spiewali. Ulubiona ich piosenke nauczyl ich porucznik z gropy teatralnej. Z uniesiona glowa do gory i duma w oczach spiewali:

"Co ty tu robisz przyjacielu moj
i masz na sobie taki dziwny stroj
Stroj to glupstwo, grunt ze zyje
a pod lachmanami kryje
Polskie srce, Polska krew!
Polskie serce Polska krew."

Poranne raporty, na ktorych odczytywano ostatnie wiadomosci nie byly wesole. Tak jak i przedtem. Slyszac o sukcesach rosyjskich zolnierzy, podawane miasta zajete przez cofajacych sie Niemcow byly coraz to glebiej w Rosji.

Gorace slonce rostopilo snieg, wysuszylo kaluze i bloto. Z wiosna dwudziestego czwartego marca 1942 roku przyszla nadzwyczajna wiadomosc. Widomosc nie do uwierzenia.

Druga dywizja ma polaczyc sie z trzecia dywizja, ktora walczy w Afryce pod Tobrukiem.

Jeszcze wieksza radosc zapanowala jak im podano w porannym raporcie, ze Rosjanie zgodzili sie na wyjazd rodzin Polskich zolnierzy za granice.

Cala kompania otrzymala wolny dzien. Janek popedzil na poczte. Dla pewnosci wyslal trzy pocztowki do matki. Napisal krotko.

-Jedziemy w nieznane, Niech mama sie dowie kiedy was zabiora.-

Dwudziestego szóstego marca przed obiadem alarm. Zpakowani z plecakami na plecach pomaszerowali na stacje kolejowa.

Na bocznych torach czekały na nich ciepłuszki. O jedenastej w nocy otrzymali pierwszy posiłek w Taszkecie. Po południu dojechali do Krasnovodska. Po drodze otrzymali suchary i sucha solona ryba. Zanim doszli do stoczni, kilka kilometrów odalonych od linii kolejowej, co drugi z nich narzekał na ból żołądka.

Po ostrym ostrzeżeniu że nie wolno zabierać z sobą pieniędzy ani żadnych rzeczy kompromitujących Sowiecki Sojusz załadowali ich na okret. Pod wieczór przeladowany ludźmi okret opuścił Rosję.

Po dwóch dniach na burzliwym Kaspijskim Morzu, z samego rana zobaczyli brzegi Persji. Okret zatrzymał się kilka kilometrów od brzegu. Wielka wielopietrowa barka dopłynęli do Perskiego portu Bandar-e Pahlavi.

Nowe strzyżenie, prysznic ze śmierdzącym mydłem. Dostali kilka zastrzyków, nowe mundury i koce.

Tym razem nie było namiotów. Poustawiani w równych odstępach poukładali osobiste prezenty, koce i plecaki na piasku wybrzeża Kaspijskiego Morza.

Długo Janek nie mógł zasnąć, podziwiał piękne gwiazdziste niebo i wkładając do buzi po małym kawaleczku daktyla, rozkoszował się ich słodkim smakiem.

Daktyle otrzymali z racją chleba i sera, a w kotłach czekała na nich zupa z ryby. Pomimo wystarczającej ilości jedzenia, Janek i jego koledzy, zamieniali ołówki i notesy, które otrzymali do nauki, na okrągłe placki i kolorowo malowane jajka u czekających na tą zamianę po drugiej stronie siatkowego płotu Arabów.

Dopiero po tygodniu przenieśli się do namiotów. Angielskie namioty

mialy wysokie boczne sciany i podwojna gore. Wewnatrz bylo duzo miejsca. Nie potrzeba bylo przewracac sie z boku na bok na komende. Nastepnego dnia po przeprowadzce do namiotow, otrzymali pierwsze pieniadze na swoje personalne wydatki.

Wstrod wesołego smiechu lapali sie na kupowaniu wiekszych ilosci rzeczy z obawy, zeby nie zabraklo w sklepie.

-Czy ty wiesz jaka roznica jest pomiedzy Rosja a Iranem?- Zapytal Janka Witek.

-No powiedz jaka?- zatrzymal sie z boku Zdzislaw.

-W Rosji to trzeba blagac zeby cos kupic a w Persji blagaja ciebie zebyś cos od nich kupil!- zasmial sie wesoło.

-A ty widziales Franka z drugiego plutonu. No tego wysokiego draba.-

-A co?- zapytal Janek.

-Ja widzialem jak on za swoje pieniadze kupil patelnie i dwa tuziny jajek! Myslalem ze to dla kilku ludzi- Witek zlapal sie za glowe.

-Ale gdzie tam! Czy wyobrazas sobie, ze on sam to wszystko wtrabil!

-Dlatego nie dali nam odrazu pieniedzy! Bali sie ze dostaniemy skurczu kiszek. Ja sam widzialem goscia co ciagnal za soba olbrzymia rybe. Po co mu taka wielka ryba?- zlapal sie za glowe Zdzislaw.

-Co on z nia bedzie robil? Nie dosyc mu rybnej zupy?- zdziwil sie Janek.

-Falkowski! Jan Falkowski!- uslyszeli glos sierzanta.

-Cos ty nawalil? Zamieniles znowu swoj olowek na gotowane jajka i okragle placki?- zasmial sie Witek. Janek w odpowiedzi machnal tylko reka, podbiegl szybko do sierzanta i stanal na baczność.

-Szeregowiec Falkowski na rozkaz panie sierzancie!- zawolal glosno.

-Falkowski ktos przyszedl do ciebie z wizyta. Czeka na ciebie po wschodniej stronie obozu- spojrzal powaznie na Janka.

-Pas prawidlowo zapiety? Mundur w porzadku? Odwroc sie! No tak! Moze

byc. Za godzinę chce ciebie widziec! Tu z powrotem!

-Tak jest panie sierzancie!- odpowiedzial Janek.

-Kto to moze byc?- myslal idac w kierunku gdzie oddzielajacy od Arabow siatkowy plot obozu, zanurzal sie w Morzu Kaspijskim.

Tam gdzie spotykaly sie rodziny i znajomi. Ominal kuchenny palac i wyszedl na piaszczysty kawalek plazy.

Serce zabilo mu mocno. Z daleka na wydnie zobaczył szczupla syiwetke matki. Byla jeszcze w zniszczonym obwislym ubraniu.

Z radoscia objal ja i ucalowal. Zdumiony troche na twarzy rozejrzal sie za Slawkiem.

-Co sie stalo! Mamo gdzie jest Slawek?- zapytal przerazony.

-Uspokoj sie. On zostal w namiocie. Ja ci zaraz wszystko opowiem. uspokoila go Klaudja.

Usiedli na piaskowej wydnie i patrzyli na ciemno niebieska wode morza. Matka zaczela opowiadac.

-Jak tylko otrzymalam od ciebie pocztowke, natychmiast zapakowalam manatki i razem z Lisa wyjechalismy do Lugovoy- usmiechnela sie.

-Na stacji kolejowej znalezlismy malenki kacik. Tak jak i przedtem, zostawilam rzeczy ze Slawkiem i Lisa, a sama polecialam szukac ciebie. Po dlugim szukaniu powiedzieli mnie, ze ty juz wyjechales, a na liscie rodzin nie mogli znalezc naszego nazwiska. Moze ty zapomniales mnie zapisac?-

-O nie! oczywiscie ze zapisalem mame i Slawka!- potrzasnal glowa Janek.

-Nie wiedzac co mam robic, wrocilam na stacje kolejowa. Na peronie czekal na mnie Slawek. Powiedzial ze Lise z bagazem milicjanci zabrali do chalupy przeznaczzonej dla takich jak my, polskich rodzin.

Wyobraz ty sobie! Z boku podchodzi do nas jakas pani z lista w reku. Pyta sie nas czy jestesmy Polacy! Czy mamy kogos w wojsku. Ja mowie,

ze tak! Szukam syna. I mowie jej ze jestes w lacznosci, Pokazalam jej twoj list. Ona sprawdzila swoja liste, ale naszego nazwiska nie mogla znalezc. Myslalalam, ze bedziemy musieli zostac w Lugovoy. Ale do tej pani doszla jeszcze inna kobieta. Porozmawiali z soba i powiedzialy nam, ze na bocznym torze stoja wagony z rodzinami polskich zolnierzy i za chwile pociag odchodzi. Wytlumaczyly mnie, ze jeden transport juz odszedl. A po tym pociagu nie wiadomo kiedy bedzie nastepny. Ja poslalalam Slawka po Lise. Wrocil zasapany i mowi ze Lisa z Tadkiem dolaczyli sie do innego transportu i juz odjechali.

Sprawdzajaca nazwiska kobieta, zawiadomila nas, ze nie ma czasu na zabranie rzeczy. Dopisala nas do listy. Tak jak stalismy weszliśmy do wagonu, i pociag zaraz ruszyl. Cale szczescie, ze mialam przy sobie torebke z dokumentami i kilka kopiejek na jedzenie- westchnela.

-A Slawek! to jemu skradli buty i musi sie ze mna dzielic walonkami- wskazala strasznie poniszczone walonki w kaloszach.

-Powiedzieli nam ze za kilka dni zabieraja nas do wielkiego obozu, niedaleko Esfahanu. Tam dostaniemy obuwie i ubrania. Slawek pojdzie do polskiej szkoly, a ja bede pracowala w szpitalu. A teraz powiedz jak ty sie czujesz?-

-Ze mna to nie ma zadnego klopotu. Ale czy mama slyszala cos nie cos o ojcu? Bo tu bylo kilku ludzi z Druskienik. Za nim ja sie o nich dowiedzialem to wyjechali. Rozmawialem tylko z doktorem Trusiewiczem.-

-Z doktorem Trusiewiczem? On byl aresztowany tego samego dnia co i ojciec! Co on ci mowil?-

-On szuka swojej zony. Ojca widzial w Grodnie. Mowil ze byl zdrow i pelen nadzieii. A potem jego odeslali do Rosji i ojca wiecej nie widzial.

-Niestety ja tak samo o ojcu nic nie slyszalam. Zeby tylko Pan Bog mial go w swojej opiece. Moze i jemu uda sie wydostac z tego

straszego kraju- mowila patrzac w dal, gdzie ciemno-niebieska woda morza loczyła sie na horyzoncie z jasno-niebieskim kolorem nieba.

-Szczesliwi ci co nigdy nie zetkneli sie z ta straszna umyslowa ludzka choroba!- odezwal sie cicho Janek.

-Mamo! Ja dowiedzialem sie ze Pani Zofia. Rena i Irena sa w wojsku. Nazywaja ich "Pastkami" Wyjechaly do Palestyny.

-Pestki? Dlaczego ich tak nazywacie?- spojrzala na Janka.

-No widzi mama! P.S.K. to Polskie Stowazyszenie Kobiet. Latwiej i barwniej jak sie mowi Pestka! Prawda?- zasmial sie Janek.

-Czy mama slyszala cos o Helenie Hutnikowej z corkami.-

-Niestety, ale nic o nich nie slyszalam. Tam na Syberii tak strasznie duzo Polakow poginelo- odpowiedziala smutnym glosem.

-Ty wiesz, jak wyjechales, to Slawek o malo co, ze nie poderwal sie zbieraniem topliwa.

-Dlaczego Wojciech mu nie pomogl?-

-Wojciech, Wojciech on biedny zapadl na duchu. do wojska za stary. Nikogo tu niema. Prosil tylko, zeby nie pochowali go na Kirgiskim cmentarzu. Staralismy sie go pokrzepic. Gdziez tam! Zawinal sie w swoj korzuch i nie chcial z nikim miec nic do czynienia. Po twoim liscie powiedzial nam, ze jedzie do Lugovoy i wiecej go nie widzialam.-

-To jak sobie daliscie rade?-

-Razem z Lisa pomagalismy Slawkowi zbierac topliwo.-

-To przeciez kolchoz mial wam pomagac!-

-Kolchoz ! Oni oszukiwali nas na kazdym kroku. Narzekajac ze sami nic nie maja, ze Sowiecki Sojusz pozabieral im wszystko! Obcinali na czym sie tylko dalo. Na bielizne do wymiany, ktorej troche zostalo, Kirgizi nie chcieli patrzec. Bylo gorzej z kazdym dniem. Prawde mowiac nie wiem jak dlugo dali bysmy sobie rade.

Och! Dzieki Bogu, ze jestesmy od nich z daleka. Janek modl sie za

ojciem, bo ja czuje, ze sie z nim nie zobaczymy- otarla chusteczka oczy. -Mamo my nie mozemy tracic nadzieji. Duzo Polakow szuka rodziny po wioskach. Moze i ojciec jest pomiedzy nimi- staral sie ja pocieszyc.

Tego samego dnia zobaczył sie z bratem. Zadowolony Slawek nie dal mu dojsc do slowa. Opowiadal jak uciekli z Rosji. Jak matka zadecydowala pozostawic wszystko co mieli, aby tylko stamtad wyjechac.

Godzine przed spaniem sierzant rozdal im po pol paczki prasowanych daktyli. Zawiadomil, ze moga pozniej udac sie na spoczynek. Jutro, caly dzien maja wolny, a pojutrze z samego rana opuszczaja Pahlavi.

Janek i jego koledzy rozsiedli sie napiachu plazy. Wiczor by cichy spokojny. Delikatny wiatr poruszal dlugimi rozlozonymi jak wielkie wachlarze liscmi wysokich, palmowych drzew. Slychac bylo cichutki plusk zalamujacych sie fal Kaspijskiego Morza.

Janek podziwial obsypane milionami gwiazd niebo, myslal jak to nie dawno temu, przygladal sie temu samemu niebu lezac na wagonie z węgłem. Szczesliwy, ze znalazl sie razem z matka i bratem za granica, nie wiedzial jak ma dziekowac Panu Bogu za takie szczesliwe zakonczenie tulaczki.

-Od strony kuchni uslyszeli trobke. Daleko po drugiej stronie obozu jakis trebacz oglaszal pore snu.

-Dziewiata godzina. Posiedzimy jeszcze? Tu jest tak spokojnie i tak cicho- odezwal sie Witek Jastrzemski.

-Tak! Cicho, cieplo i przyjemnie!- odpowiedzial mu Zdzislaw.

-Popatrz tam na horyzacie gdzie gwiazdy mocza sie w morzu, plynie okret, slabo oswietlony okret. Widzicie go?-

-O tak napewno wiezie polskich zolnierzy i ich rodziny- Zdzislaw przylozyl reke do czola.

-Okret szczesliwych ludzi- szepnal Janek.

-Jutro z samego rana bede musial kupic kilka rzeczy zanim oni nie rozkupia towaru!- potrzasnal glowa Witek.

-Nie martw sie, zanim oni dostana pieniadze i przepustke, nas tu juz nie bedzie- odpowiedzial Janek.

-Pod tym samym niebem, pod tymi samymi gwiazdami, a jaka wielka roznica- dodal patrzac na gwiazdy.

-Tak Janek! Tam w sklepach mozesz kupic ile tylko chcesz, drewnianych barwnie malowanych zabawek, a tu masz taki wielki wybor w jedzeniu ze mozna umrzec z glodu zanim sie czlowiek zdecyduje co ma kupic- zasmial sie Zdzislaw.

-Czy wy wiecie jak te dwa lata na Syberji pozmienialy ludzi? Ja na wlasne oczy widzialem jak niektorzy, kupowali po kilkanascie tubek pasty do zebow, po kilka pudelek pasty do czyszczenia butow i tuzinami wiele innych drobnych rzeczy w obawie ze zabraknie- rozlozyl bezradnie rece Zdzislaw.

Ja sam nieraz, w obawie zeby nie zabraklo, kupowalem za duzo plackow i malowanych, gotowanych na twardo jajek. A przeciez codziennie calymi koszykami sprzedaja je Arabowie- zachichotal Janek.

-Masz racje! Ciezko jest odzwyczaic sie od nalogow glodnej Rosji- skiwnal glowa Witek.

No! Chodźmy! Musimy dobrze odpoczac, bo jutro przed obiadem przepustka. Po obiedzie dostaniemy bron! A nastepnego dnia jedziemy walczyć o Warszawe, Wilno, Lwow, o Polska ziemie!- poderwal sie na nogi Zdzislaw.

-Hej! nie zapomnij Grodno i Druskieniki! Gdzie Pilsudzki przyjezdzał na odpoczynek!- zawolal glosno Janek.

-Zdzislaw spojrzal na Janka, usmiechnal sie i krzyknal z calej sily.

-Bedziemy walczyć za Grodno i D R U S K I E N I K I !